

G.

- Joe Abercrombie -
Czerwona kraina





- *Joe Abercrombie* -
Czerwona kraina

Przełożył
Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Red Country*

Copyright © 2012 Joe Abercrombie

Copyright for the Polish translation © 2013 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Magdalena Górnicka

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-66409-87-3

Wydanie III

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 2519
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 50 10
www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Spis treści

I Kłopoty

Wyjątkowy tchórz

Najprostsze wyjście

Zwyczajni ludzie

Najlepszy człowiek

Każdy ma przeszłość

Porwani

II Drużyna

Sumienie i zgnilizna fiuta

Nowe życia

Twardy wędrowiec

Drewno niesione wodą

Powody

Mój Boże, ten pył

Przeprawa Słodkiego

Marzenia

Gniew Boga

Praktyczne umysły

Uczciwa zapłata

III Fałda

Tandetne piekło

Działki

Słowa i takt

Takie proste

Wczorajsze wieści

Rychły rozlew krwi

Uśpiony partner

Zabawa

Wysoka stawka

Starzy przyjaciele

Bez celu

IV Smoki

Trójkami

Wśród barbarzyńców

Przynęta

Dzicy

Leże Smoka

Chciwość

V Kłopoty

Rozliczenia

Powrót

Wysłuchane modlitwy

Ostre zakończenia

Donikąd

Czasy się zmieniają

Cena

Ostatnie słowa

Wyjątkowy tchórz

Podziękowania

*Dla Teddy'ego,
A także Clinta Eastwooda,
Ale skoro Clinta pewnie niezbyt to obchodzi,
Głównie dla Teddy'ego.*

I

Kłopoty

*„Wy, którzy sądzą ludzi po rękojeści i pochwie,
jak sprawić, byście poznali się na ostrzu?”.*

Jedediah M. Grant

Wyjątkowy tchórz

– Złoto... – Wist sprawił, że to słowo zabrzmiało jak niewyjaśniona tajemnica – ...czyni ludzi szalonymi.

Płoszka pokiwała głową.

– Tych, którzy już nie są szaleni.

Siedzieli przed Domem Mięsa u Stupfera. Taką nazwę mógłby nosić burdel, lecz w istocie była to najgorsza oberża w promieniu pięćdziesięciu mil, chociaż konkurencja była ostra. Płoszka przycupnęła na workach w swoim wozie, zaś Wist na płocie, jak miał w zwyczaju, zupełnie jakby unieruchomiła go tam drzazga wbita w dupę. Obserwowali tłum.

– Przyjechałem tutaj, żeby uciec od ludzi – rzekł Wist.

Płoszka pokiwała głową.

– No to popatrz.

Poprzedniego lata można było spędzić w mieście cały dzień i nie napotkać żadnych nieznanym. Można było spędzić tutaj kilka dni i w ogóle nikogo nie spotkać. Jednakże wiele może się zmienić za sprawą kilku miesięcy oraz gorączki złota. Teraz Uczciwość pękała w poszarpanych szwach od śmiałych pionierów. Ruch odbywał się tylko w jedną stronę, na zachód ku domniemanym bogactwom. Niektórzy przebijali się tak szybko, na ile pozwalał tłum, a inni przystawali, żeby zwiększyć pulę handlu i chaosu. Turkotały koła wozów, rżały muły i konie, wrzeszczał żywy inwentarz i ryczały woły. Mężczyźni, kobiety i dzieci wszelkich ras oraz stanów również robili mnóstwo

hałasu, w różnych językach i z różnego powodu. Byłby to całkiem kolorowy spektakl, gdyby nie wzbijany z ziemi pył, który nadał wszystkiemu taki sam brudny odcień.

Wist hałaśliwie pociągnął z butelki.

– Niezła zbieranina, co?

Płoszka przytaknęła.

– Wszyscy chcą zdobyć coś za darmo.

Wszyscy oszołomieni wariacką nadzieją. Albo chciwością, w zależności od tego, jak bardzo patrzący wierzył w ludzkość, z czym u Płoszki nie było najlepiej. Wszyscy pijani wizją sięgnięcia obiema rękami w głąb jakiegoś lodowatego stawu pośrodku wielkiego pustkowia i znalezienia w nim nowego życia. Pozostawienia monotonnej egzystencji na brzegu niczym zrzuconej skóry i skorzystania ze skrótu do szczęścia.

– Nie kusi cię, żeby do nich dołączyć? – spytał Wist.

Przycisnęła język do przednich zębów i splunęła przez szparę.

– Ani trochę.

Jeśli nawet przedostaną się żywi przez Daleką Krainę, prawdopodobnie spędzą zimę z tyłkami w lodowatej wodzie i nie znajdą niczego poza błotem. A jeśli nawet piorun trafi w czubek twojej łopaty, to co z tego? Czy bogaci nie mają kłopotów?

Kiedyś Płoszka wierzyła, że dostanie w życiu coś za darmo. Zrzuci skórę i odsunie się od niej z uśmiechem. Okazało się, że czasami skrót nie prowadzi tam, gdzie byśmy chcieli, lecz wiedzie na krwawe manowce.

– Wystarczy plotka o złocie, żeby stracili rozum. – Wist pociągnął kolejny łyk, aż podskoczyła grdyka na jego wątlej szyi. Patrzył, jak dwóch niedoszłych poszukiwaczy złota walczy

o ostatni kilof na straganie, a handlarz bezskutecznie próbuje ich uspokoić. – Wyobraź sobie, jak ci dranie będą się zachowywali, jeśli wpadnie im w ręce samorodek.

Płoszka nie musiała sobie tego wyobrażać. Widziała to na własne oczy i nie lubiła tych wspomnień.

– Mężczyznom niewiele trzeba, żeby zachowywać się jak zwierzęta.

– Podobnie jak kobietom – dodał Wist.

Zmrużyła oczy.

– Dlaczego patrzysz na mnie?

– Zajmujesz najważniejsze miejsce w moich myślach.

– Nie wiem, czy mam ochotę być z tobą tak blisko.

Wist roześmiał się, pokazując zęby wyglądające jak nagrobki, po czym podał jej butelkę.

– Dlaczego nie znajdziesz sobie mężczyzny, Płoszko?

– Chyba nie bardzo ich lubię.

– Ty nikogo nie lubisz.

– To oni zaczęli.

– Wszyscy?

– Wystarczająco wielu. – Mocno przechyliła butelkę, uważając, żeby upić tylko łyczek. Wiedziała, jak łatwo jeden łyk może się zmienić w całą butelkę, a potem w przebudzenie w zaszczanym ubraniu z jedną nogą w strumyku. Ludzie na nią liczyli, a ona już dostatecznie wiele razy zawodziła.

Rozdzielono walczących, którzy obrzucali się wyzwiskami w swoich językach, nie rozumiejąc szczegółów, ale pojmując ogólne przesłanie. Wyglądało na to, że kilof zaginął w całym zamieszaniu; zapewne zabrał go jakiś sprytniejszy awanturnik, gdy oczy wszystkich były zwrócone w innym kierunku.

– Złoto z pewnością może czynić ludzi szalonymi – mruknął z mądrą miną Wist. – Ale gdyby nagle otworzyła się ziemia i zaproponowała mi swoje bogactwa, raczej bym nie odmówił.

Płoszka pomyślała o gospodarstwie i wszystkich obowiązkach, na które nie miała czasu, po czym potarła poobijanymi kciukami o pogryzione palce. Przez chwilę wyprawa na wzgórze nie wydawała jej się aż takim szalonym pomysłem. A jeśli tam naprawdę jest złoto? Obfite bogactwa rozsiane na dnie jakiegoś strumienia, tęskniące za pocałunkiem jej świerzbiących palców? Płoszka Południe, największa szczęściara w Bliskiej Krainie...

– Ha. – Odpędziła tę myśl jak natrętną muchę. Nie mogła sobie pozwolić na luksus marzeń. – Z doświadczenia wiem, że ziemia niczego nie daje za darmo. To taka sama sknera jak my wszyscy.

– Nie brakuje ci go, prawda?

– Czego?

– Doświadczenia.

Mrugnęła, oddając mu butelkę.

– Żebyś wiedział, staruszk.

Na pewno miała więcej doświadczenia niż większość pionierów. Pokręciła głową, obserwując najnowszą grupę. Po wyglądzie rozpoznała w jej członkach czcigodnych Unionistów, których stroje bardziej nadawały się na piknik niż na kilkaset mil podróży przez pozbawione praw pustkowia. Ludzie, którzy powinni być zadowoleni ze swojego wygodnego życia, nagle postanowili, że zrobią wszystko, żeby jeszcze bardziej się obłowić. Zastanawiała się, jak prędko pokażę do domu, złamani i zubożali. Jeżeli w ogóle wrócą.

– Gdzie jest Gully? – spytał Wist.

– Został w gospodarstwie, opiekuje się moim bratem i siostrą.
– Dawno go nie widziałem.
– Dawno go tu nie było. Twierdzi, że jazda konna sprawia mu ból.

– Starzeje się. To dotyka nas wszystkich. Kiedy się z nim zobaczysz, powiedz, że mi go brakuje.

– Gdyby tutaj był, opróżniłby twoją butelkę jednym haustem, a ty przeklinałbyś jego imię.

– Nie zaprzeczę. – Wist westchnął. – Tak to już jest z rzeczami, za którymi tęsknimy.

Owca brnął ulicą pełną ludzi, a jego siwa czupryna sterczała ponad głowami tłumu, chociaż był jeszcze bardziej przygarbiony niż zazwyczaj.

– Ile dostaniemy? – spytała Płoszka, zeskakując z wozu.

Owca się skrzywił, jakby wiedział, co się zaraz wydarzy.

– Dwadzieścia siedem? – Jego grzmiący głos załamał się piskliwie na końcu zdania, zmieniając wypowiedź w pytanie, ale tak naprawdę mężczyzna chciał spytać: „Jak bardzo to spieprzyłem?”.

Płoszka pokręciła głową, wypychając policzek językiem, co znaczyło, że spieprzył to koncertowo.

– Wyjątkowy z ciebie tchórz, Owco. – Uderzyła pięścią w worki, wzbijając obłok zbożowego pyłu. – Nie po to wlekłam je tutaj przez dwa dni, żeby teraz oddać je za darmo.

Jeszcze bardziej się skrzywił, a na jego ogorzałej i brudnej twarzy porośniętej siwą brodą wyraźniej zarysowała się siatka starych blizn i kurzych łapek.

– Przecież wiesz, że nie umiem się targować.

– A co ty w ogóle umiesz? – rzuciła przez ramię, ruszając

w stronę sklepu Claya. Przepuściła stado łaciatych kóz, po czym precyzyjnie się bokiem pomiędzy jadącymi wozami. – Poza noszeniem worków?

– To też coś, prawda? – mruknął.

W sklepie panował jeszcze większy ścisk niż na ulicy i unosiła się woń pociętego drewna, przypraw oraz stłoczonych, ciężko pracujących ciał. Płoszka musiała się przepchnąć pomiędzy sprzedawcą a jakimś czarniejszym niż noc Południowcem, próbującym się dogadać w języku, którego nigdy nie słyszała, potem okrążyć tarkę zwieszającą się z niskich krokwi, rozbujaną przez czyjś nieostrożny łokieć, wreszcie minąć marszczącego czoło Ducha o rudych włosach, w których tkwiły gałązki wciąż porośnięte liśćmi. Wszyscy ci ludzie pracy na zachód oznaczali szansę na zarobek i biada kupcowi, który spróbowałby stanąć między Płoszką a jej pieniędzmi.

– Clay?! – wrzasnęła, wiedząc, że szeptanie zda się na nic. – Clay!

Handlarz podniósł surowy wzrok, przerywając ważenie mąki na szalkach wielkości dorosłego mężczyzny.

– Płoszka Południe w Uczciwości. Czyż to nie mój szczęśliwy dzień?

– Na to wygląda. Całe miasteczko pełne frajerów, których można okantować! – Ostatnie słowo wypowiedziała z większym naciskiem, co sprawiło, że kilka głów zwróciło się w ich stronę, a Clay oparł potężne pięści na biodrach.

– Nikt tutaj nikogo nie kantuje – odrzekł.

– I tak pozostanie, póki mam na ciebie oko.

– Z twoim ojcem umówiliśmy się na dwadzieścia siedem, Płoszko.

– Dobrze wiesz, że on nie jest moim ojcem. Poza tym, umowa

jest głównie warta, jeśli to nie ja ją zawarłam.

Clay uniósł brew i zerknął na Owcę, a Północny wbił wzrok w ziemię, odsuwając się w bok, jakby bezskutecznie próbował zniknąć. Mimo potężnej postury, Owca nie potrafił wytrzymać surowego spojrzenia. Był serdecznym człowiekiem, nie bał się ciężkiej pracy i godnie zastępował ojca Ro, Pestce, a także Płoszce – w stopniu, w jakim mu na to pozwalała – ale, na spokojnie zmarłych, był z niego wyjątkowy tchórz.

Płoszka wstydziła się za niego oraz wstydziła się jego towarzystwa, co ją irytowało. Wycelowwała w twarz Claya palec, jakby to był obnażony sztylet, którego nie zawaha się użyć.

– Dziwne, że rozkręcasz interes w mieście o nazwie Uczciwość! W zeszłym sezonie płaciłeś dwadzieścia osiem, a miałeś ponad czterokrotnie mniej klientów. Wezmę trzydzieści osiem.

– Co takiego? – Clay odezwał się jeszcze bardziej piskliwie niż się spodziewała. – To złote ziarno?

– Zgadza się. Najwyższej jakości. Nie zważając na odciski, młóciłam je własnymi rękami.

– I moimi – mruknął Owca.

– Cicho – syknęła Płoszka. – Zgodzę się na trzydzieści osiem, w przeciwnym razie nie ruszę się stąd.

– Nie robisz mi łaski! – wściekł się Clay, a jego tłusta twarz pokryła się zmarszczkami. – Ponieważ kochałem twoją matkę, dam ci dwadzieścia dziewięć.

– Nigdy nie kochałeś niczego poza swoją sakwą. Trzydzieści osiem albo ustawię się obok twojego sklepu i będę sprzedawała ziarno ludziom taniej niż ty.

Wiedział, że Płoszka to zrobi, nawet gdyby miała na tym stracić. Nigdy nie należy wygłaszać gróźb, co do których nie ma

się choćby połowicznej pewności, że można je wcielić w życie.

– Trzydzieści jeden – wychrypiał.

– Trzydzieści pięć.

– Tylu ludzi musi przez ciebie czekać, samolubna suko! –
A raczej tylu ludzi właśnie dowiedziało się, jakie Clay ma zyski,
i wkrótce mogą zmądrzeć.

– To same szumowiny, a ja będę tutaj stała, dopóki Juvens nie
wróci z krainy umarłych, jeśli dzięki temu dostanę trzydzieści
pięć.

– Trzydzieści dwa.

– Trzydzieści pięć.

– Trzydzieści trzy, a wychodząc, równie dobrze możesz spalić
mój sklep!

– Nie kuś mnie, grubasie. Trzydzieści trzy i dorzucisz dwie
nowe łopaty oraz trochę paszy dla wołów. Żrą prawie tyle co ty.

– Napłuła sobie na dłoń i wyciągnęła ją w jego stronę.

Clay skrzywił się z goryczą, ale w końcu również splunął
i podali sobie dłonie.

– Twoja matka nie była lepsza.

– Nie znosiłam jej. – Płoszka przepchnęła się łokciami do
drzwi, pozostawiając Claya, by wyładował złość na następnym
klientcie. – To nie takie trudne, prawda? – rzuciła przez ramię do
Owcy.

Wielki stary Północny wodził palcem po zagłębieniu
w małżowinie ucha.

– Chyba wolałbym pozostać przy dwudziestu siedmiu.

– Bo wyjątkowy z ciebie tchórz. Najlepiej jest stawić czoło
temu, czego się boimy. Czy nie to mi zawsze powtarzałeś?

– Czas pokazał mi, że ta rada ma swoje złe strony – szepnął

Owca, ale Płoszka była zbyt zajęta gratulowaniem samej sobie.

Trzydzieści trzy to dobra cena. Kiedy wszystko sobie przeliczyła, wyszło jej, że po załatwieniu przeciekającego dachu stodoły i kupieniu parki prosiaków w miejsce tych, które ubili zimą, zostanie im coś na książki dla Ro. Może uda się kupić także trochę nasion i wskrzesić zagon z kapustą. Uśmiechnęła się szeroko, myśląc o tym, jak wiele może naprawić i zbudować dzięki tej sumie.

„Nie trzeba mieć wielkich marzeń”, mawiała jej matka w tych rzadkich chwilach, gdy miała dobry nastrój. „Wystarczą małe”.

– Przenieśmy worki – powiedziała Płoszka.

Chociaż Owcy przybyło lat i był tępy jak ich ulubiona krowa, wciąż nie brakowało mu sił. Nie ugiął się pod żadnym ciężarem. Płoszka mogła tylko stać na wozie i wrzucać kolejne worki na jego ramiona, podczas gdy on stał nieruchomo, nie uskarżając się na swoje brzemie bardziej niż wóz, którym przywieźli ładunek. Potem nosił je czwórkami i układał na podwórzu Claya tak łatwo, jakby były wypełnione pierzem. Płoszka była od niego o połowę lżejsza i, pomimo łatwiejszego zadania oraz dwudziestu pięciu lat mniej na karku, wkrótce jej ciało było mokre jak świeżo wykopana studnia. Kamizela przykleiła się jej do grzbietu, a włosy do twarzy, ręce zaś zaróżowiły się od szorstkiego płótna i ubieliły zbożowym pyłem. Wepchnęła język w szparę między zębami i przeraźliwie zakłęła.

Owca przystanął z dwoma workami na jednym ramieniu i kolejnym przerzuconym przez drugie ramię. Nawet nie miał zadyszki. W kącikach jego oczu wyraźnie rysowały się głębokie kurze łapki.

– Chcesz odpocząć, Płoszko?

Posłała mu ostre spojrzenie.

– Chyba od twojego marudzenia.

– Mógłbym ułożyć dla ciebie posłanie z tych worków. Może tam z tyłu znajdzie się jakiś koc. Zaśpiewam ci kołysankę, tak jak wtedy, gdy byłaś młoda.

– Wciąż jestem młoda.

– Powiedzmy. Czasami przypominam sobie tamtą małą dziewczynkę, która się do mnie uśmiechała. – Owca popatrzył w dal, kręcąc głową. – Wtedy zastanawiam się, gdzie ja i twoja matka popełniliśmy błąd.

– Może to dlatego, że ona umarła, a ty do niczego się nie nadajesz? – Podniosła ostatni worek i upuściła mu go na ramię z jak największej wysokości.

Owca tylko się uśmiechnął, nakrywając worek dłonią.

– Może tak.

Gdy się obracał, prawie wpadł na innego Północnego, który był równie potężny i znacznie groźniej wyglądał. Mężczyzna zaczął wywarkiwać jakieś przekleństwo, ale zamilkł w połowie. Owca oddalił się z opuszczoną głową, jak zawsze czynił w obliczu nawet najmniejszych kłopotów. Północny popatrzył ze zmarszczonym czołem na Płoszkę.

– Co? – spytała, odwzajemniając spojrzenie.

Zerknął w ślad za Owcą, po czym odszedł, drapiąc się po brodzie.

Cienie się wydłużyły, a chmury na zachodzie poróżowiały, gdy Płoszka zrzuciła ostatni worek, a uśmiechnięty Clay podał jej pieniądze schowane w skórzanym woreczku dyndającym na jego grubym palcu wskazującym. Rozprostowała plecy, otarła czoło rękawicą, po czym rozsznurowała woreczek i zajrzała do

środka.

– Wszystko się zgadza?

– Nie zamierzam cię okraść.

– Jasne, że nie. – Zabrała się za liczenie. „Łatwo poznać złodzieja po tym, z jaką troską obchodzi się z własnymi pieniędzmi”, mawiała jej matka.

– Może powinienem zajrzeć do wszystkich worków, żeby się upewnić, że w środku jest ziarno, a nie gówno?

Parsknęła.

– Czy gdyby tam było gówno, nie próbowałbyś go sprzedać?

Kupiec westchnął.

– Niech będzie jak chcesz.

– Oczywiście.

– Tak się zazwyczaj dzieje – dodał Owca.

Zapadła cisza, którą zakłócał tylko brzęk monet i liczby przeskakujące w głowie Płoszki.

– Słyszałem, że Glama Złoty wygrał kolejny pojedynek niedaleko Greyer – rzekł Clay. – Mówią, że to najtwardszy drań w całej Bliskiej Krainie, a tam nie brakuje twardzieli. Tylko głupiec stawiałby teraz przeciwko niemu. Tylko głupiec chciałby z nim walczyć.

– Niewątpliwie – mruknął Owca, który zawsze się peszył, kiedy poruszano temat przemocy.

– Słyszałem od człowieka, który to widział, że Glama tak mocno pobił starego Stocklinga Niedźwiedzia, że wyleciały mu z dupy flaki.

– To ma być rozrywka? – spytała Płoszka.

– Lepsze to niż zesrać się własnymi flakami.

– Kiepska rekomendacja.

Clay wzruszył ramionami.

– Są gorsze rzeczy. Słyszeliście o bitwie pod Rostod?

– Coś mi się obilo o uszy – odburknęła, próbując nie pomylić się w rachunkach.

– Podobno buntownicy znów dostali lanie, tym razem poważne. Wszyscy są w odwrocie. Nie licząc tych, których dopadła Inkwizycja.

– Biedacy – rzekł Owca.

Płoszka na chwilę przerwała liczenie, po czym znów do niego wróciła. Na świecie jest wielu biedaków, ale ona nie może się nimi przejmować. Ma wystarczająco dużo zmartwień ze swoimi bratem i siostrą, Owcą, Gullym oraz gospodarstwem. Nie ma czasu płakać nad pechowym losem, który inni sami na siebie sprowadzili.

– Możliwe, że stawią opór w Mulkovej, ale długo się nie utrzymają. – Ogrodzenie zaskrzypiało, gdy Clay oparł się o nie swoim miękkim ciałem, krzyżując ręce na piersi i chowając dłonie pod pachy, tak że sterczały spod nich tylko kciuki. – Wojna już prawie się skończyła, jeśli można to nazwać wojną, i wielu ludzi wypędzono z ich ziem, okradziono albo spalono im cały dobytek. Otwarto kanały żeglowne, przybywają okręty. Nagle mnóstwo osób dostrzegło swoją fortunę na zachodzie. – Wskazał głową chaotyczny tłum wzbijający obłoki pyłu na ulicy, kłębiący się pomimo nadchodzącego zmierzchu. – To tylko pierwsza strużka. Nadchodzi prawdziwa powódź.

Owca pociągnął nosem.

– Zapewne wkrótce przekonają się, że góry nie są zbudowane ze złota, i zaczną ciągnąć w przeciwnym kierunku.

– Niektórzy tak. Inni zapuszczą korzenie. Po nich nadejdzie Unia. Nieważne, jak wiele ziemi zdobywają Unioniści, wciąż jest

im mało, a odkrycie na zachodzie sprawi, że poczują zapach pieniędzy. Ten stary wredny drań Sarmis siedzi na granicy i wymachuje mieczem w imieniu Imperium, ale to akurat nic nowego. Myślę, że nie powstrzyma tej powodzi. – Clay zbliżył się o krok do Płoszki i odezwał cichym głosem, jakby dzielił się tajemnicą: – Słyszałem, że w Hormringu już pojawili się agenci Unii i rozważają dokonanie aneksji.

– Wykupują ludzi?

– Owszem, w jednej dłoni będą mieli monetę, ale w drugiej ostrze. Tak jak zawsze. Powinniśmy się zastanowić, jak to rozegramy, kiedy przybędą do Uczciwości. Powinniśmy stanąć ramię w ramię, skoro jesteśmy związani z tym miejscem.

– Nie interesuje mnie polityka. – Płoszki nie interesowało nic, z czym mogły się wiązać kłopoty.

– Jak większości z nas – odrzekł Clay. – Ale czasami polityka może się zainteresować nami. Unioniści tutaj przyjdą i przyniosą swoje prawo.

– Nie wydaje mi się, żeby prawo było czymś złym – skłamała Płoszka.

– Może i nie. Ale w ślad za prawem podążają podatki, jak wóz za osłem.

– Za podatkami rzeczywiście nie przepadam.

– To tylko bardziej elegancka forma kradzieży, czyż nie? Wolałbym, żeby uczciwie mnie obrabował zamaskowany bandyta ze sztyletem, a nie jakiś blady drań z piórem i papierami.

– No nie wiem – odparła Płoszka. Żadna z osób, które obrabowała, nie wydawała się zachwycona tym doświadczeniem, a niektórym wyjątkowo nie przypadło to do gustu. Wsyłała monety z powrotem do woreczka i mocno

zaciągnęła sznurki.

– Rachunek się zgadza? – spytał Clay. – Czy czegoś brakuje?

– Tym razem nie. Ale i tak będę cię miała na oku.

Kupiec się wyszczerzył.

– Niczego innego się nie spodziewam.

Wybrała kilka rzeczy, których potrzebowali – sól, ocet, trochę cukru, który pojawiał się w sklepie tylko od czasu do czasu, kawałek suszonej wołowiny, pół worka gwoździ, co sprowokowało Claya do przewidywalnego żartu, że Płoszka pewnie żywi się gwoździami, skoro jest taka ostra, co sprowokowało Płoszkę do przewidywalnego żartu, że przybije mu tymi gwoździami jaja do nogi, co z kolei sprowokowało Owcę do przewidywalnego żartu, że jaja Claya są zbyt małe, żeby je przygwoździć. Wszyscy zaśmiali się ze swojego ciętego dowcipu.

Rozentuzjasmowana Płoszka omal nie kupiła nowej koszuli dla Pestki – na co nie było ich stać, pomimo niskiej ceny – ale Owca w porę poklepał ją po ramieniu dłonią w rękawiczce i zamiast tego kupiła igły i nitkę, dzięki którym mogła sama uszyć chłopakowi koszulę ze starego ubrania Owcy. Pestka był tak chudy, że materiału zapewne wystarczyłoby na pięć koszul. Clay powiedział, że ma igły nowego typu, wytwarzane w Adui za pomocą specjalnej prasy, która jednorazowo wypuszcza sto sztuk, a Płoszka uśmiechnęła się, myśląc o tym, co na to powie Gully. Pewnie pokręci białą głową i stwierdzi: „Igły z maszyny. Co oni jeszcze wymyślą?“, a Ro zacznie je obracać w swoich szybkich palcach, marszcząc czoło i zastanawiając się, jak je wyprodukowano.

Płoszka na chwilę zatrzymała się przed półką z alkoholem i oblizwała usta, patrząc na bursztynowy blask w ciemności, po

czym zmusiła się do odejścia, przed opuszczeniem sklepu ostrzej niż kiedykolwiek targując się z Clayem.

– Nigdy więcej tu nie wracaj, ty zwariowana suko! – rzucił za nią handlarz, gdy usiadła na wozie obok Owcy. – Prawie mnie zrujnowałaś!

– Do zobaczenia za rok?

Pomachał jej tłustą dłonią, odwracając się do swoich klientów.

– Tak, do zobaczenia.

Opuściła rękę, żeby zwolnić blokadę kół, i niemal wsadziła dłoń w brodę Północnego, z którym wcześniej zderzył się Owca. Mężczyzna stał tuż obok wozu z czołem tak pobrużdżonym, jakby chciał przywołać jakieś zamglone wspomnienie. Kciuki zatknął za pas obok dużej, prostej rękojeści miecza. Miał szorstkie oblicze, bliznę biegnącą obok oka i przecinającą nierówną brodę. Płoszka z miłym uśmiechem wyjęła nóż z pochwy i obróciła ostrze tak, że ukryła je za przedramieniem. Lepiej mieć stal pod ręką i nie napotkać kłopotów niż wpaść w tarapaty bez broni.

Północny powiedział coś w swoim języku. Owca jeszcze bardziej skulił się na siedzeniu, nawet się nie odwracając. Północny ponownie się odezwał. Owca coś odburknął, po czym strzelił lejcami i wóz ruszył, a Płoszka zakołysała się w rytmie podskakujących kół. Obejrzała się przez ramię, kiedy oddalili się o kilka kroków drogą pokrytą koleinami. Północny wciąż stał w kłębach pyłu wzbijanych przez ich wóz i groźnie marszczył czoło.

– Czego chciał?

– Niczego.

Wsunęła nóż do pochwy, położyła jedną nogę na poręczy

i poprawiła się na siedzeniu, nisko opuszczając rondo kapelusza, żeby zachodzące słońce nie świeciło jej w oczy.

– Na świecie jest pełno dziwaków. Jeśli zaczniesz się przejmować tym, co myślą, zmarnujesz na to całe życie.

Owca jeszcze bardziej się zgarbił, jakby chciał zapaść się w sobie.

Płoszka parsknęła.

– Psiakrew, ale z ciebie tchórz.

Zerknął na nią z ukosa, po czym odwrócił wzrok.

– Są gorsze przypadłości.

Śmiali się, kiedy z turkotem pokonali wzniesienie i ujrzeli przed sobą płytką dolinkę. Rozśmieszyło ich coś, co powiedział Owca. Jak zwykle poprawił mu się nastrój, gdy wyjechali z miasta. Nigdy nie czuł się dobrze pośród tłumu.

Płoszka poweselała także dlatego, że wjechali na znajomy szlak, który miał postać dwóch niewyraźnych linii biegnących pośród długiej trawy. W jej młodości nie brakowało chwil czarnych jak noc, gdy myślała, że zginie i zgnije pod gołym niebem albo zostanie złapana, powieszona i rzucona psom na pożarcie. Nie raz, nocami, podczas których pociła się ze strachu, przyrzekała sobie, że odtąd będzie wdzięczna za każdą chwilę życia, jeśli los pozwoli jej ponownie powędrować tą niepozorną ścieżką. Jak dotąd nie przepełniała jej wieczna wdzięczność, ale tak to bywa z obietnicami. Mimo to, czuła się spokojniejsza, gdy wóz toczył się w stronę domu.

Potem zobaczyli gospodarstwo i śmiech uwiązał jej w gardle. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, podczas gdy wokół nich wiatr poruszał źdźbłami trawy. Nie mogła oddychać, mówić ani

myśleć, w żyłach czuła przyływ lodowatej wody. W końcu zeskoczyła z wozu i puściła się biegiem.

– Płoszko! – ryknął Owca w ślad za nią, ale ledwie go słyszała.

W głowie rozbrzmiewał jej własny chrapliwy oddech, gdy pędziła w dół zbocza, a ziemia i niebo skakały jej przed oczami. Przebiegła przez pole, na którym przed niecałym tygodniem skosili zboże. Przeskoczyła stratowane ogrodzenie i kurze pióra wgniecione w błoto.

Dotarła na podwórze – a raczej to, co kiedyś nim było – i stanęła bezradna. Dom zmienił się w stertę zwęglonego drewna i szczątków, pośród których wznosił się tylko chwiejący się komin. Żadnego dymu. Deszcz zapewne zgasił pożar dzień albo dwa wcześniej. Mimo to, wszystko było spalone. Obiegła poczerniałą ruinę stodoły, cicho pochlipując przy każdym oddechu.

Gully wisiał na dużym drzewie za domem. Powiesili go nad grobem jej matki i przewrócili nagrobek. W zwłokach tkwiły strzały, co najmniej tuzin.

Poczuła się, jakby ktoś kopnął ją w brzuch; pochyliła się, objęła rękami i jęknęła, a drzewo zajęczało razem z nią, gdy wiatr poruszył liśćmi i wprawił trupa Gully’ego w delikatne kołysanie. Stary nieszkodliwy biedak. Zawołał do niej, kiedy odjeżdżali turkoczącym wozem. Zapewnił, że Płoszka nie musi się przejmować, ponieważ on zajmie się dziećmi, a ona roześmiała się i odparła, że owszem, nie musi się przejmować, ponieważ to dzieciaki zajmą się nim. Oślepiły ją ból oczu oraz ostry wiatr. Mocniej objęła się rękami, gdyż nagle zrobiło jej się tak zimno, że nic nie było w stanie jej rozgrzać.

Usłyszała kroki Owcy, który po chwili zwolnił i zatrzymał się obok niej.

– Gdzie dzieci?

Przekopali cały dom i stodołę. Początkowo pracowali powoli, miarowo, jak w transie. Owca odrzucał spalone belki, a Płoszka grzebała w popiele, pewna, że za chwilę znajdzie kości Pestki i Ro. Ale nie było ich w domu. Ani w stodole. Ani na podwórzu. Płoszka szukała coraz bardziej wściekle, starając się zagłuszyć strach, a także coraz bardziej rozpaczliwie, starając się zagłuszyć nadzieję, miotając się po trawie i rozgrzebując palcami szczątki, ale znalazła tylko zwęglonego zabawkowego konika, którego Owca przed laty wystrugał dla Pestki, oraz spalone kartki z jednej z księжек Ro, które rozsypały się jej w dłoniach.

Dzieci zniknęły.

Stała nieruchomo na wietrze, wytrzeszczając oczy, trzymając grzbiet poobcieranej dłoni przy ustach i ciężko dysząc. Mogła myśleć tylko o jednym.

– Ktoś je porwał – wychrypiała.

Owca pokiwał głową; jego siwe włosy i broda były pokryte pasmami sadzy.

– Po co?

– Nie wiem.

Wytarła czarne dłonie o przód koszuli, po czym zacisnęła je w pięści.

– Musimy ich gonić.

– Tak.

Przykucnęła nad rozdartą darnią wokół drzewa. Otarła nos i oczy. Pochylona, podążyła za śladami do kolejnego fragmentu poruszonej ziemi. Tam znalazła pustą butelkę wdeptaną w błoto i odrzuciła ją. Napastnicy nie starali się zacierać śladów. Wszędzie wokół skorup budynków widniały odciski kopyt.

– Zgaduję, że było ich około dwudziestu, ale mogli mieć nawet czterdzieści koni. Tutaj zostawili zapasowe wierzchowce.

– Może używali ich do przewożenia dzieci?

– Tylko dokąd?

Owca pokręcił głową.

Płoszka mówiła dalej. Koniecznie chciała jakoś wypełnić lukę, zająć się czymś, żeby o tym nie myśleć.

– Według mnie, nadjechali z zachodu i ruszyli dalej na południe. Śpieszyli się.

– Przyniosę łopaty. Pochowamy Gully’ego.

Szybko się uwinęli. Płoszka sprawnie weszła na drzewo, знаła bowiem na pamięć wszystkie punkty oparcia dla dłoni i stóp. Kiedyś, jeszcze zanim pojawił się Owca, często się na nie wspinała, pod czujnym okiem matki, okłaskiwana przez Gully’ego. Teraz matka była pod nim pogrzebana, a Gully’ego na nim powiesili, ona zaś wiedziała, że poniekąd sama to spowodowała. Nie da się beztrosko zapomnieć o przeszłości, która była jej udziałem.

Odcięła Gully’ego, złamała strzały i przyglądała jego zakrwawione włosy, podczas gdy Owca wykopał dół obok grobu jej matki. Zamknęła wytrzeszczone oczy trupa i położyła dłoń na lodowatym policzku. Gully wydawał się taki mały i chudy, że chciała go ubrać w płaszcz, ale żadnego nie znalazła. Owca opuścił zwłoki do grobu, niezdarnie je obejmując, po czym wspólnie zakopali dół, ponownie ustawili nagrobek i przydeptali poszarpaną trawę. Zimny wiatr chłostał ziemię i unosił donikąd czarne i szare plamki popiołu.

– Powinniśmy coś powiedzieć? – spytała Płoszka.

– Nie mam nic do powiedzenia. – Owca wskoczył na siedzenie wozu. Do zmroku pozostało około godziny.

– Nie bierzemy go – oznajmiła Płoszka. – Potrafię biec szybciej niż te przeklęte woły.

– Ale nie dłużej i nie z obciążeniem, a my nie musimy bezmyślnie rzucać się w pogoń. Mają nad nami dwa albo trzy dni przewagi i ostro popędzają konie. Mówiłaś, że jest ich około dwudziestu? Musimy być realistami, Płoszko.

– Realistami? – szepnęła, niemal nie wierząc własnym uszom.

– Jeśli popędzimy za nimi pieszo i uda nam się nie umrzeć z głodu ani nie zginąć podczas burzy, to co zrobimy, kiedy ich dogonimy? Nawet nie mamy broni. Tylko twój nóż. Nie. Pojedziemy tak szybko, jak zdołają pójść Szalka i Calder – rzekł, wskazując głową woły wykorzystujące chwilę przerwy na skubanie trawy. – Spróbujemy oderwać kilku od głównej grupy. Dowiedzieć się, co knują.

– To chyba jasne, co knują! – odparła, wskazując grób Gully’ego. – A co się stanie z Ro i Pestką, kiedy my będziemy się opierdalać?! – wywrzeszczała, a jej głos rozdarł ciszę i przegonił dwie wrony z gałęzi drzewa.

Kącik ust Owcy drgnął, ale olbrzym na nią nie spojrział.

– Pojedziemy za nimi – powiedział, jakby już to uzgodnili. – Może uda nam się z nimi dogadać. Wykupić dzieciaki.

– Wykupić? Spalili twoje gospodarstwo, powiesili twojego przyjaciela i porwali twoje dzieci, a ty jeszcze chcesz im zapłacić? Ty pieprzony tchórze!

Wciąż na nią nie patrzył.

– Czasami tchórzostwo się przydaje – odrzekł szorstkim głosem, który trzeszczał mu w krtani. – Rozlew krwi nie cofnie tego, co się stało z gospodarstwem i Gullym. To już przeszłość. Teraz musimy odzyskać malców, niezależnie, w jaki sposób. Odzyskać ich całych i zdrowych. – Tym razem skurcz zaczął się

przy ustach, po czym przemknął po całym pokrytym bliznami policzku aż do kącika oka. – Potem zobaczymy.

Po raz ostatni popatrzyła na zgliszcza, gdy ruszyli w stronę zachodzącego słońca. Jej dom. Jej nadzieje. Jak wiele może zmienić jeden dzień. Nie zostało nic poza kilkoma zwęglonymi belkami sterczącymi pod różowiejącym niebem. Nie trzeba mieć wielkich marzeń. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pogwałcona, a bywała w naprawdę kiepskich, mrocznych i podłych miejscach. Nagle zabrakło jej sił, żeby unieść głowę.

– Dlaczego musieli wszystko spalić? – wyszeptała.

– Niektórzy ludzie po prostu to lubią – odparł Owca.

Obejrzała się na niego, na zarys sponiewieranej, surowej twarzy widoczny pod równie sponiewieranym kapeluszem, na błysk umierającego słońca w jednym oku, i zdziwiła się, że potrafi zachować taki spokój. Mężczyzna, który boi się targować w sklepie, zna się na śmierci i porwaniach. Podchodzi realistycznie do końca wszystkiego, na co pracowali.

– Jak możesz być taki obojętny? – wyszeptała. – Zupełnie jakbyś... się spodziewał, że to się wydarzy.

Wciąż na nią nie patrzył.

– Takich rzeczy zawsze trzeba się spodziewać.

Najprostsze wyjście

– Doznałem wielu rozczarowań. – Nicomo Cosca, generał Kompanii Łaskawej Dłoni, wsparł się sztywno na jednym łokciu.
– Podejrzewam, że dotyczy to każdego wybitnego człowieka. Porzucamy marzenia zrujnowane przez zdradę i znajdujemy nowe, za którymi podążamy. – Zmarszczył czoło i popatrzył w stronę Mulkovej i kolumn dymu unoszących się w błękitne niebo ponad płonącym miastem. – Porzuciłem wiele marzeń.

– To z pewnością wymagało niezwyklej odwagi – odrzekł Sworbreck, a jego okulary mignęły, gdy na chwilę uniósł wzrok znad notatek.

– Zaiste! Nie potrafię zliczyć, jak wiele razy jakiś optymistycznie nastawiony wróg przedwcześnie ogłaszał moją śmierć. Czterdzieści lat prób, zmagania, wyzwania i zdrad. Kto żyje dostatecznie długo... zobaczy, jak wszystko obraca się w ruinę. – Cosca otrząsnął się z zamyślenia. – Ale przynajmniej nie było nudno! Cóż za przygody mieliśmy po drodze, prawda, Temple?

Temple się skrzywił. Od pięciu lat osobiście doświadczał chwil strachu, długich okresów nudy i epizodów biegunki, a także nieskutecznie unikał zarazy oraz walki, jakby to była zaraza. Jednakże nie płacono mu za prawdę. Wręcz przeciwnie.

– Heroiczne – odparł.

– Temple jest moim notariuszem. Przygotowuje umowy i dba o to, by ich dotrzymano. To jeden z najzmyślniejszych drani, jakich znam. Iloma językami władasz, Temple?

– Płynnie zaledwie sześcioma.

– To najważniejszy człowiek w całej przeklętej Kompanii! Oczywiście, nie licząc mnie. – Wiatr, który zerwał się na zboczu wzgórza, poruszył delikatnymi białymi włosami na pokrytej plamami wątrobowymi łepetynie Coski. – Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszysz moje opowieści, Sworbreck! – Temple powstrzymał kolejny grymas obrzydzenia. – Oblężenie Dagoski! – Które skończyło się kompletną katastrofą. – Bitwa pod Afieri! – Pożalowania godne fiasko. – Krwawe Lata! – Strony konfliktu zmieniane jak koszule. – Kampania w Kadiri! – Pijacka porażka. – Przez kilka lat nawet hodowałem kozę. Uparte zwierzę, ale trzeba przyznać, że lojalne...

Sworbreckowi udało się nie lada sztuka, gdyż uklonił się służalczo, siedząc ze skrzyżowanymi nogami pod przewróconą bryłą marmuru.

– Nie wątpię, że moi czytelnicy z zapartym tchem przeczytają o pańskich wyczynach.

– Można nimi wypełnić dwadzieścia tomów!

– Trzy w zupełności wystarczą...

– Kiedyś byłem Wielkim Księciem Visserine. – Cosca powstrzymał gestem słowa protestu, których nikt nie wypowiedział. – Nie przejmuj się, nie będziesz musiał mnie tytułować Waszą Ekscelencją. Wszyscy w Kompanii Łaskawej Dłoni odnosimy się do siebie bez zbędnych formalności, prawda, Temple?

Temple przeciągle westchnął.

– Bez zbędnych formalności. – Większość z nich była kłamcami, wszyscy bez wyjątku złodziejami, a niektórzy zabójcami. Brak formalności nikogo nie dziwił.

– Sierżant Przyjazny jest ze mną jeszcze dłużej niż Temple, od czasu, gdy obaliliśmy Wielkiego Księcia Orso i posadziliśmy

Monzcarro Murcatto na tronie Talinsu.

Sworbreck podniósł wzrok.

– Zna pan Wielką Księżną?

– I to blisko. Nie przesadzę, jeśli powiem, że byłem jej bliskim przyjacielem i mentorem. Uratowałem jej życie podczas oblężenia Muris, a ona mi się odwzajemniła! Kiedyś będę ci musiał opowiedzieć o jej dojściu do władzy, gdyż to szlachetna historia. Na świecie nie ma zbyt wielu wartościowych ludzi, dla których albo przeciwko którym nie zdarzyłoby mi się walczyć. Sierżancie Przyjazny?

Pozbawiony szyi sierżant podniósł wzrok, ukazując twarz wyzuta z emocji.

– Co sądzisz o czasie spędzonym u mojego boku?

– Wolałem życie w więzieniu – odparł Przyjazny, po czym wrócił do rzucania kośćmi, co potrafiło zająć go na długie godziny.

– Prawdziwy z niego dowcipniś! – Cosca pogroził mu kościstym palcem, chociaż w słowach sierżanta próżno było szukać chociaż śladu humoru. – Sworbreck, z pewnością odkryjesz, że Kompania to miejsce nieustającej zabawy!

A także zapalczywych kłótni, koszmarnego lenistwa, przemocy, chorób, kradzieży, zdrady, pijaństwa i rozpusty, która przyprawiłaby diabła o rumieńce.

– Od pięciu lat niemal nie przestaję się śmiać – odrzekł Temple.

Opowieści Starego kiedyś go bawiły, urzekały i poruszały. Pozwalały w czarodziejski sposób zobaczyć, jak wygląda życie pozbawione strachu. Teraz miał ich serdecznie dosyć. Trudno powiedzieć, czy to Temple odkrył prawdę, czy raczej Cosca ją zapomniał. Może i jedno, i drugie.

– Tak, to była wspaniała kariera. Wiele chwil dumy. Wiele triumfów. Ale nie brakowało także porażek. Przydarzają się one każdemu wybitnemu człowiekowi. Kosztem takiego życia są wyrzuty sumienia, jak mawiał Sazine. Ludzie często oskarżają mnie o brak konsekwencji, ale mam poczucie, że na każdym życiowych rozstajach postępowałem tak samo. Zawsze robiłem to, na co miałem ochotę. – Gdy wiekowy najemnik znów zbłądził myślą do wyobrażonej chlubnej przeszłości, Temple powoli zaczął się oddalać, okrążając pękniętą kolumnę. – Miałem szczęśliwe dzieciństwo, ale szaloną młodość, pełną nieprzyjemnych wydarzeń, a w wieku siedemnastu lat porzuciłem rodzinne strony, żeby szukać szczęścia, zabierając ze sobą tylko rozum, odwagę i swoje zaufane ostrze...

Przechwałki litościwie cichły, gdy Temple opuszczał wzgórze, wychodząc z cienia starych ruin na światło słońca. Niezależnie od słów Coski, wcale nie uznawał Kompanii za miejsce nieustającej zabawy.

Zaznał prawdziwej nędzy, doświadczał jej częściej niżby chciał, jednak rzadko widywał ludzi tak nieszczęśliwych jak najnowsza grupa jeńców Kompanii: tuzin groźnych buntowników ze Stariklandu, nagich, zakrwawionych i brudnych, o martwych spojrzeniach, przykutych łańcuchami do pala wbitego w ziemię. Trudno było sobie wyobrazić, żeby stanowili zagrożenie dla najpotężniejszej nacji w Kręgu Świata. Trudno było dostrzec w nich ludzi. Tylko tatuaże na ich przedramionach świadczyły o próżnym sprzeciwie.

„Pieprzyć Unię. Pieprzyć Króla”. Taki wyraźny napis sięgał od łokcia do nadgarstka najbliższego z jeńców. Temple coraz bardziej podzielał ten pogląd. Powoli zaczynało go ogarniać poczucie, że znalazł się po niewłaściwej stronie. Ponownie.

Niełatwo to przewidzieć, gdy dokonuje się wyboru. Być może, jak kiedyś powiedział mu Kahdia, znajdujesz się po niewłaściwej stronie w chwili, gdy się na którąś zdecydujesz. Jednak Temple zauważył, że najgorszy los zawsze spotyka tych, którzy stają pośrodku, a on miał już dosyć najgorszego losu.

Obok jeńców stał Sufeen z pustą manierką w dłoni.

– Co robisz? – spytał Temple.

– Marnuje wodę – wyjaśnił Bermi, który wylegiwał się w słońcu i drapał po jasnej brodzie.

– Wprost przeciwnie – odparł Sufeen. – Staram się postępować zgodnie z Bożym miłosierdziem.

Jeden z buntowników miał na boku paskudną nieopatrzoną ranę. Zamrugał, bezgłośnie wypowiadając pozbawione znaczenia rozkazy albo równie bezsensowne modlitwy. Kiedy można wyczuć zapach z rany, już nie ma nadziei. Pozostali wcale nie wyglądali lepiej.

– Jeżeli istnieje jakiś Bóg, to jest zdradzieckim lizusem, któremu nie warto zaufać w żadnej ważnej sprawie – odburknął Temple. – Miłosiernie byłoby ich dobić.

Bermi przytaknął.

– Też tak mówiłem.

– Ale to wymagałoby odwagi. – Sufeen uniósł pochwę, podsuwając Temple'owi rękojeść swojego miecza. – Jesteś odważny?

Temple parsknął.

Sufeen opuścił broń.

– Ja też nie. Dlatego daję im wodę, chociaż jej także mi brakuje. Co się dzieje na szczycie wzgórza?

– Czekamy na naszych pracodawców. A Stary karmi swoją

próżność.

– Niełatwo zaspokoić taki apetyt – rzekł Bermi, zrywając stokrotki i od razu je odrzucając.

– Każdego dnia rośnie. Jest już prawie tak duży jak poczucie winy Sufeena.

– To nie jest poczucie winy – odparł Sufeen, posyłając surowe spojrzenie w stronę jeńców. – To poczucie sprawiedliwości. Kapłani cię tego nie nauczyli?

– Nic tak nie leczy człowieka z poczucia sprawiedliwości jak religijne nauczanie – szepnął Temple.

Przypomniawszy sobie, jak Haddisz Kahdia wygłaszał swoje lekcje w skromnym białym pokoju, a on z nich drwił. Dobroczynność, miłosierdzie, bezinteresowność. Sumienie jako część Boga, którą umieszcza On w każdym człowieku. Odprysk boskości. Temple przez długie lata starał się go wydobyć na światło dzienne. Skrzyżował spojrzenie z jedną z buntowniczek. Splątane włosy opadały jej na twarz. Wyciągnęła rękę najdalej, jak pozwalały jej łańcuchy. Nie wiedział, czy sięgała po wodę, czy po miecz. „Chwytaj przyszłość!” – krzyczały słowa wytrawione tuszem na jej skórze. Temple wyjął własną manierkę i, marszcząc czoło, zważył ją w dłoni.

– Czyżby również poczucie winy? – spytał Sufeen.

Temple dawno nie miał na sobie łańcuchów, ale nie zapomniał ich dotyku.

– Od jak dawna jesteś zwiadowcą? – warknął.

– Od osiemnastu lat.

– Powinieneś już wiedzieć, że sumienie to gówniany nawigator.

– Z pewnością nie zna tych okolic – dodał Bermi.

Sufeen szeroko rozłożył ręce.

– Więc któż wskaże nam drogę?

– Temple! – Cosca zawył chrapliwie gdzieś na górze.

– Wzywa cię twój przewodnik – rzekł Sufeen. – Będziesz musiał ich napić później.

Temple rzucił mu manierkę, ruszając z powrotem w górę zbocza.

– Ty to zrób. Później zajmie się nimi Inkwizycja.

– Zawsze wybierasz najprostsze wyjście, prawda, Temple?! – zawołał w ślad za nim Sufeen.

– Zawsze – mruknął Temple. Nie zamierzał za to przeproszać.

– Witajcie, panowie, witajcie! – Cosca zamaszystym ruchem zdjął z głowy ekstrawagancki kapelusz, gdy ich znakomici pracodawcy nadjechali konno, otaczając ciasną formacją potężny wzmacniany wóz.

Mimo że Stary, dzięki Bogu, przed kilkoma miesiącami ponownie odstawił mocne trunki, nadal miało się wrażenie, że stale jest lekko pijany. Jego gruzłowate dłonie poruszały się bezładnie, wysuszone powieki leniwie opadały, a w mowie pobrzmiwała bełkotliwa melodia. Poza tym, nigdy nie można było mieć pewności, co za chwilę zrobi albo powie. Kiedyś Temple uważał tę stałą niepewność za emocjonującą, jak patrzeć na obracające się koło szczęścia i czekanie, aż wypadnie obstawiona liczba. Dzisiaj czuł się tak, jakby kulił się pod chmurą burzową, wypatrując uderzenia pioruna.

– Generale Cosca. – Superior Pike, zwierzchnik Inkwizycji Jego Królewskiej Mości w Stariklandzie i zarazem najpotężniejszy człowiek w promieniu pięciuset mil, jako pierwszy zsiadł z konia.

Jego twarz była tak poparzona, że nie sposób jej było rozpoznać, oczy odznaczały się mrocznymi cieniami na

cętkowanej różowej masce, a kącik ust wyginał się ku górze, albo pod wpływem uśmiechu, albo za sprawą obrażeń spowodowanych przez ogień. Tuzin jego potężnych Praktyków, ubranych w ciemne stroje i maski oraz najeżonych bronią, ustawił się czujnie pośród ruin.

Niewzruszony Cosca uśmiechnął się w stronę miasta dymiącego po drugiej stronie doliny.

– Widzę, że Mulkova płonie.

– Lepiej, żeby spłonęła w rękach Unii, niż kwitła pod rządami buntowników – odparł Inkwizytor Lorsen, zeskakując na ziemię.

Był wysoki i szczupły, a w jego oczach lśniła gorliwość. Temple mu jej zazdrościł. Też chciałby czuć, że ma rację, niezależnie od tego, jak wielkie zło czyni.

– Zdecydowanie – zgodził się Cosca. – Mieszkańcy miasta z pewnością podzielają ten pogląd! Sierżanta Przyjaznego już panowie znają, a to jest pan Temple, notariusz w mojej kompanii.

Generał Brint zsiadł z konia jako ostatni; była to operacja wymagająca nieco więcej wysiłku, gdyż podczas Bitwy o Osrung stracił większą część ręki oraz całe poczucie humoru i nosił lewy rękaw swojego karmazynowego munduru złożony i przypięty do ramienia.

– A zatem jest pan przygotowany na konflikty prawne – rzekł, poprawiając pas z mieczem i spoglądając na Temple'a, jakby ten był porannym wozem wiozącym ofiary zarazy.

– Drugą rzeczą, której potrzebuje najemnik, jest dobra broń. – Cosca po ojcowsku poklepał Temple'a po ramieniu. – Pierwszą są porady prawne.

– A na którym miejscu znajduje się całkowity brak skrupułów?

– Na piątym – odparł Temple. – Tuż za krótką pamięcią i ostrym dowcipem.

Superior Pike przyglądał się Sworbreckowi, który wciąż coś notował.

– A w jakiej dziedzinie doradza panu ten człowiek?

– To Spillion Sworbreck, mój biograf.

– Jestem tylko skromnym opowiadaczem! – Sworbreck wytwornie uklonił się Superiorowi. – Chociaż przyznaję, że moja proza doprowadzała już dorosłych mężczyzn do łez.

– Czy był to z ich strony komplement? – spytał Temple.

Nawet jeśli pisarz usłyszał te słowa, był zbyt zajęty wychwalaniem siebie, żeby odpowiedzieć.

– Układam opowieści o bohaterstwie i przygodach, żeby zainspirować obywateli Unii! Trafiają do wielu odbiorców dzięki cudom nowej prasy drukarskiej Rimaldiego. Może słyszeli panowie o moich pięciotomowych Opowieściach o Haroldzie Wielkim? – Cisza. – W których zgłębiam splendor początków samej Unii? – Cisza. – Albo o ich ośmiotomowej kontynuacji, Życie Casamira, Bohatera Anglandu? – Cisza. – W której ukazuję w zwierciadle dawnej chwały moralny upadek współczesnych czasów?

– Nie. – Twarz Pike'a nie zdradzała żadnych emocji.

– Każę przesłać panu te pozycje, Superiorze!

– Mógłby pan czytać je więźniom, żeby zmuszać ich do zeznań – mruknął Temple pod nosem.

– Ależ proszę się nie kłopotać – odparł Pike.

– To żaden kłopot! Generał Cosca pozwolił, abym towarzyszył mu podczas najnowszej kampanii, dzięki czemu będzie mógł mi opowiadać o szczegółach swojej fascynującej kariery najemnika! Zamierzam uczynić go bohaterem swego najsłynniejszego

działa!

Echa słów Sworbrecka wybrzmiały w miazdzącej ciszy.

– Zabierzcie ode mnie tego człowieka – rozkazał Pike. – Jego zachowanie mi uwłacza.

Sworbreck wycofał się w dół zbocza z niemal lekkomyślną szybkością, kierowany przez dwóch Praktyków. Cosca mówił dalej bez cienia zażenowania.

– Generale Brint! – zawołał, chwytając obiema rękami jedną dłoń generała. – Rozumiem, że ma pan jakieś wątpliwości dotyczące naszego udziału w oblężeniu...

– Martwi mnie raczej brak tego udziału! – odburknął Brint, uwalniając palce.

Cosca wyduł usta, udając obrażoną niewinność.

– Uważa pan, że nie dopełniliśmy zobowiązań wynikających z kontraktu?

– Zabrakło wam honoru, uczciwości, profesjonalizmu...

– Nie przypominam sobie, żeby wspomiano o nich w umowie – odparł Temple.

– Otrzymaliście rozkaz ataku! Niewykonanie go kosztowało życie wielu ludzi, w tym mojego bliskiego przyjaciela!

Cosca leniwie machnął ręką, jakby bliscy przyjaciele stanowili fanaberię, na którą nie ma miejsca w rozmowie dorosłych ludzi.

– Byliśmy zajęci tutaj, generale Brint. Nie mieliśmy chwili wytchnienia.

– Od bezkrwawej wymiany strzał?

– Mówi pan tak, jakby krwawa wymiana była bardziej pożądana. – Temple wyciągnął rękę w stronę Przyjaznego, a sierżant wyjął kontrakt z wewnętrznej kieszeni. – Klauzula

ósma, o ile się nie mylę. – Szybko znalazł właściwy zapis i pokazał go generałowi. – Praktycznie rzecz ujmując, każda wymiana pocisków wyczerpuje znamiona udziału w działaniach zbrojnych. W związku z tym każdemu członkowi Kompanii przysługuje dodatek.

Brint pobladł.

– Dodatek? Mimo że ani jeden człowiek nie został ranny?

Cosca odchrząknął.

– Mamy jeden przypadek czerwoni.

– Czy to żart?

– Na pewno nie dla kogoś, kto kiedykolwiek cierpiał na tę wyniszczającą chorobę.

– Klauzula dziewiętnasta... – Papier zaszeleścił, gdy Temple przesunął kciukiem po drobno zapisanym dokumencie. – „Każdy przypadek choroby uniemożliwiający żołnierzowi wypełnianie zobowiązań wynikających z kontraktu uznaje się za stratę poniesioną przez Kompanię”. Z tego tytułu należy się wypłata przeznaczona na pokrycie strat. Nie wspominając o pojmanych i dostarczonych jeńcach...

– Zatem wszystko sprowadza się do pieniędzy?

Cosca wzruszył ramionami, tak zamasyście, że złożone epolety połaskotały go po uszach.

– A do czego miałyby się sprowadzać? Jesteśmy najemnikami. Szlachetniejsze motywy pozostawiamy szlachetniejszym ludziom.

Brint posłał Temple'owi wściekłe spojrzenie.

– Pewnie jesteś zachwycony swoimi wykrętami, gurkijski robaku.

– Chętnie przystał pan na te warunki, generale. – Temple

pokazał ostatnią stronę umowy, na której widniał nadmiernie ozdobny podpis Brinta. – Mój zachwyty bądź jego brak nie mają tutaj nic do rzeczy. Podobnie jak moje wykręty. Poza tym, powszechnie uznaje się, że jestem w połowie Dagoškańczykiem, a w połowie Styryjczykiem, skoro już postanowił pan wspomnieć o moim rodowodzie...

– Jesteś brązowoskórym bękartem i skurwysynem.

Temple tylko się uśmiechnął.

– Moja matka nigdy nie wstydziła się swojego zawodu, dlaczego ja miałbym się go wypierać?

Generał wbił wzrok w Superiora Pike'a, który rozsiadł się na pokrytym porostami kamiennym bloku, wyjął kawałek chleba i za pomocą cichego cmokania próbował wywabić ptaki spomiędzy sypiących się ruin.

– Czy mam rozumieć, że wyraża pan zgodę na ten zalegalizowany bandytyzm, Superiorze? Na to usankcjonowane tchórzostwo, absurdalne...

– Generale Brint. – Głos Pike'a był grzeczny, ale pobrzmiwała w nim zgrzytliwa nuta, która, podobnie jak odgłos zardzewiałych zawiasów, wymusza bolesne milczenie. – Wszyscy doceniamy skrupulatność, jaką wykazują się pan i pańscy ludzie. Jednak wojna się skończyła. Wygraliśmy. – Rzucił kilka okruchów na trawę i patrzył na malutkiego ptaszka, który wylądował i zaczął je dziobać. – Nie wypada sprzeczać się, kto co zrobił. Podpisał pan kontrakt, więc powinniśmy go wypełnić. Nie jesteśmy barbarzyńcami.

– My nie jesteśmy. – Brint zmierzył wściekłym wzrokiem Temple'a, potem Coscę, a wreszcie Przyjaznego. Każdy z nich na swój sposób pozostał niewzruszony. – Muszę się przewietrzyć. Coś tutaj strasznie śmierdzi! – Generał z trudem wskoczył na

siodło, zawrócił konia i pośpiesznie odjechał, ścigany przez kilku adiutantów.

– Mnie żaden zapach nie przeszkadza – rzekł Temple wesoło, czując ulgę, że konfrontacja dobiegła końca.

– Proszę wybaczyć generałowi – odezwał się Pike. – Jest bardzo oddany swojej pracy.

– Zawsze staram się być wyrozumiały dla słabości innych – odparł Cosca. – W końcu mnie także ich nie brakuje.

Pike nie próbował zaprzeczać.

– Mimo wszystko mam dla pana kolejne zadanie. Inkwizytorze Lorsen, czy mógłby pan wyjaśnić? – Po czym odwrócił się w stronę swoich ptaków, jakby to z nimi przyjechał się spotkać, a cała reszta stanowiła tylko kłopotliwy dodatek.

Lorsen wystąpił naprzód, wyraźnie rozkoszując się swoją chwilą sławy.

– Rebelia została stłumiona. Inkwizycja wyłapuje wszystkich zdrajców korony. Jednak nieliczni buntownicy uciekli i rozproszyli się po przełęczach i niecywilizowanym zachodzie, gdzie z pewnością znów będą siali zamęt.

– Tchórzliwi dranie! – Cosca klepnął się po udzie. – Czy nie mogli dać się zaszlachtować jak uczciwi ludzie? Jestem miłośnikiem fermentacji, ale sianie fermentu to nadużycie!

Lorsen zmrużył oczy, jakby zawiał mu w nie przeciwny wiatr, po czym kontynuował.

– Z przyczyn politycznych wojsko Jego Królewskiej Mości nie może ruszyć w pogoń.

– Czy te przyczyny polityczne to granica? – spytał Temple.

– Właśnie – odrzekł Lorsen.

Cosca przyjrzał się swoim nierównym, poźółkłym

paznokciom.

– Nigdy nie przywiązywałem do nich większej wagi.

– Właśnie – skwitował Pike.

Chcemy, żeby Kompania Łaskawej Dłoni przekroczyła góry i spacyfikowała Bliską Krainę w kierunku zachodnim, aż po rzekę Sokwayę. Zgniliznę rebelii należy usunąć raz na zawsze. – Lorsen ciął krawędzią dłoni wyobrażone plugastwo, z entuzjazmem podnosząc głos. – Musimy oczyścić to bagno deprawacji, które już zbyt długo zanieczyszcza naszą granicę! Tę... przepełnioną latrynę! Ten zatkany kanał, z którego ohyda chaosu nieustannie wylewa się do wnętrza Unii!

Temple doszedł do wniosku, że jak na człowieka, który przeciwstawia się ohydzie, Inkwizytor Lorsen zadziwiająco chętnie stosuje metafory oparte na gównie.

– Cóż, nikt nie lubi zatkaných kanałów – stwierdził Cosca. – Może poza samymi kanalarzami, którzy żyją z grzebania się w mazi. Przetykanie rur to nasza specjalność, prawda, sierżancie Przyjazny?

Olbrzym na chwilę podniósł wzrok znad kości i wzruszył ramionami.

– To Temple jest językoznawcą, ale pozwoli pan, że tym razem sam pokuszę się o interpretację. – Stary podkręcił nawoskowane końcówki wąsów palcem wskazującym i kciukiem. – Chce pan, żebyśmy sprowadzili zarazę na osadników z Bliskiej Krainy. Chce pan, żebyśmy przykładnie ukarali wszystkich buntowników i ludzi, którzy udzielają im schronienia. Chce pan, żebyśmy uzmysłowili im, że mogą mieć przyszłość wyłącznie pod skrzydłami Jego Królewskiej Mości. Chce pan, żebyśmy zmusili ich do powrotu w ramiona Unii. Jestem blisko?

– Wystarczająco blisko – mruknął Superior Pike.

Temple zauważył, że się poci. Otarł czoło drżącą dłonią. Ale co mógł zrobić?

– Przygotowaliśmy dokumenty werbunkowe. – Lorsen wyjął plik szeleszczących papierów, które w dolnym rogu oznaczono masywną czerwoną pieczęcią.

Cosca lekceważąco machnął ręką.

– Mój notariusz je przejrzy. Te prawnicze bzdury mnie męczą. Jestem prostym żołnierzem.

– Godne podziwu – odrzekł Pike, lekko unosząc bezwłose brwi.

Temple wodził palcem pokrytym plamami tuszu po wykaligrafowanym tekście, przeskakując wzrokiem między kolejnymi interesującymi go fragmentami. Zdał sobie sprawę, że nerwowo skubie narożniki stron i zmusił się, żeby przestać.

– Dołączę do waszej wyprawy – rzekł Lorsen. – Dysponuję listą osad, których mieszkańców podejrzewamy o ukrywanie rebeliantów bądź sprzyjanie buntowniczym nastrojom!

Cosca się wyszczerzył.

– Nie ma niczego bardziej niebezpiecznego od buntowniczych nastrojów!

– Jego Eminencja Arcylektor oferuje nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy marek za pojmanie żywcem głównego podżegacza do buntu, człowieka, którego rebelianci zważają Conthusem. Używa on także imienia Symok. Duchy nazywają go Czarną Trawą. Z kolei, podczas masakry w Rostodzie używał przydomka...

– Błagam, żadnych więcej przydomków! – Cosca pomasaował skronie, jakby chciał złagodzić ból. – Odkąd zostałem ranny w głowę podczas bitwy o Afieri, dręczy mnie przekleństwo

fatalnej pamięci do imion. Stało się to dla mnie źródłem ciągłych upokorzeń. Sierżant Przyjazny zajmie się wszystkimi szczegółami. Jeżeli ten wasz Conshus...

– Conthus.

– A co powiedziałem?

– Conshus.

– No widzi pan! Jeśli przebywa na terenie Bliskiej Krainy, na pewno wpadnie w nasze ręce.

– Tylko żywy – odburknął Lorsen. – Musi odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Trzeba przykładowo go ukarać. Pokazać publicznie!

– Jestem pewien, że będzie to pouczające przedstawienie!

Pike rzucił kolejną porcję okruchów powiększającemu się stadu ptaków.

– Metody działania pozostawiamy w pańskiej gestii, generale. Prosimy jedynie, żeby pośród zgliszczy pozostało coś, co będziemy mogli zaanektować.

– Muszą panowie zrozumieć, że kompania najemników bardziej przypomina pałkę niż skalpel.

– Jego Eminencja sam wybrał taką metodę i rozumie jej ograniczenia.

– Arcylektor to inspirujący człowiek. Pewnie pan wie, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Jego jedyne zastrzeżenie, zresztą wyraźnie określone w kontrakcie, dotyczy tego, by nie angażował się pan w konflikt z siłami imperialnymi. Pod żadnym pozorem, rozumiano? – W głosie Pike'a ponownie pojawiła się chrapliwa nuta. – Legat Sarmis wciąż nawiedza granicę jak wściekły upiór. Nie sądzę, żeby ją przekroczył, jednak jest to człowiek, z którym nie należy igrzać, wyjątkowo krwawy i okrutny wróg. Jego Eminencja

pragnie uniknąć kolejnej wojny.

– Bez obaw, unikam walki, kiedy to tylko możliwe. – Cosca radośnie poklepał rękojeść broni. – Mieczem lepiej pogrzechotać niż go zdobyć, czyż nie?

– Mamy dla pana podarunek. – Superior Pike wskazał opancerzony wóz, dębowego potwora obłożonego nitowanym żelazem i zaprzężonego w osiem muskularnych koni. Przypominał połączenie pojazdu z zamkiem; miał szpary zamiast okien i wieńczyły go blanki z prześwitami, przez które obrońcy mogli strzelać do otaczających ich wrogów. Nie był to najbardziej praktyczny prezent, lecz Cosca nigdy nie zwracał uwagi na praktyczność.

– Dla mnie? – Stary przycisnął wysuszone dłonie do pozłacanego napierśnika. – To będzie mój dom z dala od domu na pustkowiu!

– W środku kryje się... tajemnica – rzekł Lorsen. – Coś, co Jego Eminencja bardzo chciałby przetestować.

– Uwielbiam niespodzianki! Przynajmniej takie, w których za moimi plecami nie pojawiają się uzbrojeni ludzie. Może pan powiedzieć Jego Eminencji, że będę zaszczycony. – Cosca wstał, krzywiąc się, gdy jego stare kolana głośno strzeły. – Jak wygląda dokument werbunkowy?

Temple podniósł wzrok znad przedostatniej strony.

– Cóż... – Kontraktowi, wzorowanemu na poprzedniej umowie, którą sam przygotował, nie można było niczego zarzucić, a w kilku miejscach był on jeszcze korzystniejszy. – Mam kilka uwag do kwestii zaopatrzenia – wydukał, na siłę szukając zastrzeżeń. – Wspomniano o jedzeniu i broni, ale klauzula powinna zawierać także...

– Detale. Nie ma powodów, żeby zwlekać. Podpiszmy

dokumenty i szykujemy ludzi do drogi. Im dłużej siedzą beczynnienie, tym trudniej będzie im ruszyć tyłki. Nie ma drugiej siły tak niebezpiecznej dla życia i handlu jak najemnicy bez zatrudnienia. – Może nie licząc zatrudnionych najemników.

– Rozwaga nakazuje, żebym jeszcze dokładniej...

Cosca podszedł i ponownie położył dłoń na ramieniu Temple'a.

– Czy masz jakieś zastrzeżenia natury prawnej?

Temple umilkł, rozpaczliwie szukając słów, które mogłyby zrobić wrażenie na człowieku, na którym nic nie robiło wrażenia.

– Prawnej nie.

– Więc może finansowej? – spytał Cosca.

– Nie, generale.

– A zatem...

– Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie?

Na ustach Coski nagle pojawił się świetlisty uśmiech, do jakiego tylko on był zdolny; dobry nastrój i dobre intencje aż promieniowały z jego twarzy poprzecinanej głębokimi zmarszczkami.

– Oczywiście. Miałem na sobie tamten błękitny mundur, a ty brązowe łachmany.

– Powiedział pan... – Teraz wydawało się to niemożliwe. – Powiedział pan, że razem będzie się nam dobrze powodziło.

– I czy tak nie jest? Zarówno legalnie, jak i finansowo. – Zupełnie jakby między tymi bliźniaczymi biegunami rozciągało się całe spektrum dobroci.

– A... moralnie?

Stary zmarszczył czoło, jakby usłyszał słowo w obcym języku.

– Moralnie?

– Generale, proszę. – Temple posłał Cosce swoje najbardziej szczere spojrzenie. Wiedział, że potrafi być szczery, kiedy naprawdę w coś wierzy. Albo kiedy ma wiele do stracenia. – Błagam pana. Niech pan nie podpisuje tego dokumentu. To nie będzie wojna, tylko morderstwo.

Cosca uniósł brew.

– To niewielka różnica dla pogrzebanych.

– Nie jesteśmy sędziami! Co się stanie z ludźmi z tych miasteczek, gdy wkroczą między nich żołnierze żądni plądrowania? Z kobietami i dziećmi, generale, którzy nie brali żadnego udziału w buncie. Stać nas na coś lepszego.

– Czyżby? W Kadirze tak nie twierdziłeś. O ile pamiętam, przekonałeś mnie do podpisania tamtego kontraktu.

– Cóż...

– A w Styrii, czy to nie ty zachęcałeś mnie, żebym odebrał, co do mnie należy?

– Miał pan pełne prawo...

– Zanim pożeglowaliśmy na Północ, pomogłeś mi namówić ludzi. Potrafisz być bardzo przekonujący, kiedy się do tego przyłożysz.

– Więc niech pan pozwoli się przekonać także teraz. Proszę, generale Cosca, niech pan tego nie podpisuje.

Zapadło długie milczenie. Cosca wziął głęboki wdech, a jego czoło pokryły jeszcze głębsze zmarszczki.

– Zatem odmowa ze względu na klauzulę sumienia.

– Sumienie – mruknął Temple z nadzieją w głosie – to odprysk boskości? – A także gówniany nawigator, który właśnie wyprowadził go na niebezpieczne wody. Zdał sobie sprawę, że

nerwowo skubie brzeg koszuli, a Cosca na niego patrzy. – Po prostu mam przeczucie, że to zadanie... – z trudem szukał słów, które mogłyby powstrzymać nieuniknione – ...źle się skończy – zakończył słabo.

– Przyjemne zadania rzadko wymagają usług najemników. – Cosca nieco mocniej zacisnął dłoń na jego ramieniu, a Temple poczuł za sobą przytłaczającą obecność Przyjaznego. Nieruchomego i milczącego, ale bardzo rzeczywistego. – Ludzie kierujący się sumieniem i przekonaniem mogliby się lepiej sprawdzić w innych branżach. Z tego co mi wiadomo, Inkwizycja Jego Królewskiej Mości oferuje pracę w szlachetnej sprawie?

Temple przełknął ślinę, zerkając na Superiora Pike'a, który zdołał już przywabić pokaźnych rozmiarów świergoczące ptasie stado.

– Nie sędzę, żeby podobała mi się ich wizja szlachetności.

– Tak to już jest ze szlachetnością, że każdy ma inną jej wizję – odparł Cosca. – Tymczasem złoto jest uniwersalne. Ze swojego sporego doświadczenia wiem, że lepiej troszczyć się o to, co dobre dla własnej sakiewki, niż o to, co po prostu... dobre.

– Ja tylko...

Cosca ścisnął jeszcze mocniej.

– Nie chcę być niemiły, Temple, ale nie wszystko kręci się wokół ciebie. Muszę myśleć o powodzeniu całej swojej kompani. To pięciuset ludzi.

– Pięciuset dwunastu – rzekł Przyjazny.

– Oraz jeden z czerwinką. Nie mogę im szkodzić ze względu na twoje uczucia. To by było... niemoralne. Potrzebuję cię, Temple. Ale jeśli chcesz odejść... – Cosca ciężko westchnął. – Pomimo wszystkich twoich obietnic, pomimo mojej szczodrości,

pomimo wszystkiego, co razem przeszliśmy, cóż... – Wyciągnął rękę w stronę płonącej Mulkovej i uniósł brwi. – Drzwi są otwarte.

Temple przełknął ślinę. Mógł odejść. Mógł powiedzieć, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Wystarczy tego dobrego, psiakrew! Ale to wymagało odwagi. Zostałby bez uzbrojonych ludzi za plecami. Samotny i słaby, znów stałby się ofiarą. To byłoby trudne, a Temple zawsze wybierał najprostsze wyjście. Nawet kiedy wiedział, że jest niewłaściwe. Zwłaszcza wtedy, ponieważ te dwie cechy często idą w parze. Nawet kiedy doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatecznie sprawy się skomplikują. Po co myśleć o jutrze, skoro dzisiejszy dzień daje się nam we znaki?

Być może Kahdia znalazłby jakiś sposób, żeby to powstrzymać. Zapewne byłby skłonny do jakiegoś olbrzymiego poświęcenia. Jednakże Temple, co oczywiste, nie był Kahdią. Otarł świeżą warstwę potu z czoła, zmusił się do niewyraźnego uśmiechu i ukłonił.

– Zawsze do usług.

– Znakomicie! – Cosca wyjął kontrakt z bezwładnej dłoni notariusza i rozłożył dokument na złamanej kolumnie, żeby go podpisać.

Superior Pike wstał, strzepując okruchy z bezkształtnego czarnego płaszcza i płosząc ptaki.

– Czy pan wie, co pana czeka na zachodzie?

Pozwolił, by to pytanie wybrzmiało. Z dołu dobiegało ciche pobrzękiwanie, stękanie i trzaskanie, gdy Praktycy odprowadzali jeńców. W końcu sam sobie odpowiedział.

– Przyszłość. Jednak nie należy ona do Starego Imperium, którego czas minął przed tysiącem lat. Nie należy do Duchów,

gdyż to banda dzikusów. Nie należy do uchodźców, poszukiwaczy przygód ani oportunistycznych śmieci, którzy postanowili zapuścić pierwsze korzenie w tamtej dziewiczej glebie. Nie. Przyszłość należy do Unii. Musimy ją wywalczyć.

– Nie wolno nam się bać tego, co konieczne, żeby to osiągnąć
– dodał Lorsen.

– Bez obaw, panowie. – Cosca z uśmiechem nakreślił ostatni zawijas swojego podpisu. – Wspólnie wywalczymy przyszłość.

Zwyczajni ludzie

Deszcz ustał. Płoszka zerkała poprzez drzewa ożywiane kapaniem wody, poza porzucony pień spoczywający na kozłach, częściowo obdarty, z nożem zaklinowanym pod zawijaszem kory, w stronę poczerniałego szkieletu domu.

– Nietrudno drani wytropić – szepnął Owca. – Gdziekolwiek się pojawią, zostawiają za sobą spalone budynki.

Zapewne uważają, że zabili każdego, komu mogło zależeć na tym, żeby za nimi podążyć. Płoszka starała się nie myśleć o tym, co się może stać, kiedy zauważą ją i Owcę podążających za nimi rozklekotanym wozem.

Kiedyś starannie rozplanowywała każdą chwilę każdego dnia – dla siebie, Owcy, Gully’ego, Pestki, Ro – układając je na właściwych miejscach i przypisując im właściwy sens. Zawsze patrzyła przed siebie, w przyszłość lepszą niż teraźniejszość, widząc ją wyraźnie jak wybudowany dom. Trudno uwierzyć, że od tamtej pory minęło zaledwie pięć nocy spędzonych pod łopoczącym płótnem z tyłu wozu. Pięć poranków, gdy budziła się sztywna i obolała, a świt przypominał dziurę ziejącą jej pod stopami. Pięć dni szukania śladów na trawiastym pustkowiu, a potem w lasach, kiedy jednym okiem oglądała się na swoją mroczną przeszłość, zastanawiając się, jaka część niej wypełzła z lodowatych szponów ziemi i skradła jej życie, gdy ona z uśmiechem wypatrywała przyszłości.

Nerwowo tarła opuszkami palców o wnętrze dłoni.

– Zerkniemy? – Tak naprawdę bała się tego, co mogą znaleźć.

Przerażało ją patrzenie i niepatrzenie. Była zmęczona i lękała się pustych przestrzeni, w których kiedyś mieszkały marzenia.

– Podejdę od tyłu. – Owca otrzepał kolana kapeluszem i zaczął okręzać polanę.

Gałązki trzaskały mu pod butami, a kilka spłoszonych gołębi wzbiło się z wrzaskiem w białe niebo, uprzedzając wszystkich o ich przybyciu. Oczywiście, gdyby ktokolwiek tutaj był. A przynajmniej ktoś żywy.

Za domem znajdował się zarośnięty ogródek warzywny. Ktoś wydrążył w upartej glebie rów sięgający zaledwie do kostki. Obok niego coś wybrzuszało się pod przemoczonym kocem. Z jednej strony sterczały buty oraz para kościstych bosych stóp z brudem za niebieskawymi paznokciami.

Owca przykucnął i podniósł jeden róg koca. Twarze mężczyzny i kobiety, szare i obwisłe, oba trupy z głęboko poderżniętymi gardłami. Głowa kobiety się zakołysała, a na jej szyi rozwarła się wilgotna i fioletowa rana.

– Ach. – Płoszka wcisnęła język w szparę między przednimi zębami i wbiła wzrok w ziemię.

Tylko niepoprawny optymista spodziewałby się czegoś innego, a jej z pewnością nie można było określić takim mianem. Mimo to, widok tych twarzy i tak nią wstrząsnął. Rozbudził w niej strach o Pestkę i Ro, strach o swój własny los, a może po prostu chore wspomnienie chorych czasów, gdy trupy nie stanowiły dla niej rzadkiego widoku.

– Dajcie im spokój, dranie!

Pierwszym, co Płoszka zauważyła, był błysk grotu strzały. Potem dostrzegła dłoń trzymającą naciągniętą cięciwę, pobielale knykcie na ciemnym drewnie. W końcu zobaczyła twarz, która należała do chłopca, może szesnastoletniego, z mokrą jasną

czupryną przylepioną do bladej skóry.

– Zabiję was! Zrobię to! – Wysunął się spomiędzy krzaków, szukając stopami solidnego gruntu, a cienie prześlizgiwały się po jego napiętej twarzy i dłoniach drżących na łuku.

Płoszka zmusiła się do bezruchu, co nie było łatwe, instynkt bowiem podpowiadał jej, żeby rzuciła się na napastnika bądź uciekła. Każdy mięsień drżał z chęci działania i dawniej Płoszka bez wahania dałaby się poprowadzić instynktowi. Jednakże, skoro ten zazwyczaj wiódł ją paskudnym szlakiem prosto w gówno, tym razem pozwoliła draniowi odejść i tylko stała nieruchomo, patrząc chłopakowi prosto w oczy. Przerażone oczy, co nie mogło dziwić, wytrzeszczone i lśniące w kącikach. Odezwała się cichym głosem, jakby spotkali się podczas potańcówki z okazji żniw i nie dzieliły ich spalony dom, martwi ludzie i napięty łuk.

– Jak masz na imię?

Szybko oblizał usta, grot strzały zadrżał, a Płoszka poczuła dotkliwe swędzenie na piersi, gdzie chłopak celował.

– Ja jestem Płoszka. A to jest Owca.

Chłopiec szybko przeniósł wzrok na jej towarzysza, jednocześnie przesuwając łuk. Owca nawet nie drgnął, tylko odłożył koc na miejsce i powoli wstał. W oczach nieznanego młodzieńca wyglądał niezwykle groźnie. Pomimo splątanej siwej brody na jego twarzy było widać blizny, jakich tylko wyjątkowy pechowiec mógłby się nabawić podczas golenia. Płoszka podejrzewała, że są pozostałością jakiejś wojny na Północy, ale jeśli nawet Owca kiedyś był wojownikiem, to teraz nie pozostało w nim ani trochę bojowego ducha. Zawsze miała go za wyjątkowego tchórza. Tyle że ten chłopiec tego nie wiedział.

– Ścigamy grupę ludzi – dodała cicho, a spojrzenie młodzieńca oraz grot strzały ponownie skierowały się w jej stronę. – Spalili nasze gospodarstwo niedaleko Uczciwości. Spalili je, zabili człowieka, który dla nas pracował, i zabrali moją siostrę oraz braciszka... – Załamał się jej głos i musiała przełknąć ślinę, zanim odzyskała równowagę. – Ścigamy ich.

– Widzę, że tutaj też byli – dodał Owca.

– Tropimy ich. To około dwudziestu mężczyzn, którzy szybko się przemieszczają. – Grot strzały zaczął się obniżać. – Po drodze zatrzymali się jeszcze w dwóch innych gospodarstwach. Zrobili to samo. Potem jechaliśmy za nimi przez las, aż wreszcie dotarliśmy tutaj.

– Byłem na polowaniu – powiedział chłopiec.

Płoszka pokiwała głową.

– My byliśmy w miasteczku, żeby sprzedać zboże.

– Wróciłem, a wtedy... – Strzała skierowała się w stronę ziemi, co Płoszka powitała z ulgą. – Nic nie mogłem poradzić.

– Nic.

– Zabrali mojego brata.

– Jak miał na imię?

– Evin. Miał dziewięć lat.

Cisza, w której rozbrzmiewało tylko kapanie wody i delikatne poskrzypywanie, gdy chłopiec poluzował cięciwę.

– Wiesz, kto to był? – spytał Owca.

– Nie widziałem ich.

– Wiesz, po co zabrali twojego brata?

– Przecież powiedziałem, że mnie tutaj nie było.

– W porządku – odrzekła Płoszka pojednawczo. – Wiem.

– Ścigacie ich? – spytał chłopiec.

– Z trudem udaje nam się dotrzymywać im kroku – odparł Owca.

– Odzyskacie swoją siostrę i braciszka?

– Możesz być tego pewien – odrzekła Płoszka, zupełnie jakby pewność w głosie gwarantowała powodzenie.

– Znajdziecie też mojego brata?

Płoszka popatrzyła na Owcę, a on odwzajemnił spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– Możemy spróbować – odparła w końcu.

– Więc chyba muszę pojechać z wami.

Znów zapadła cisza.

– Jesteś pewien? – spytał Owca.

– Potrafię zrobić, co trzeba, ty stary draniu! – wrzasnął chłopiec, a żyły uwypukliły mu się na szyi.

Na twarzy Owcy nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Jeszcze nie wiemy, co trzeba zrobić.

– Ale jeśli chcesz się przyłączyć, to mamy miejsce na wozie.

Płoszka wyciągnęła do chłopca rękę, a on przez chwilę na nią patrzył, po czym podszedł i ją uścisnął. Zrobił to zbyt mocno, tak jak robią mężczyźni, gdy chcą udowodnić, że są twardsi niż w rzeczywistości.

– Mam na imię Leef.

Płoszka wskazała głową dwa ciała.

– To twoi rodzice?

Chłopiec popatrzył na zwłoki i zamrugał.

– Próbowałem ich pochować, ale ziemia jest za twarda, a ja nie mam żadnych narzędzi do kopania. – Potarł kciukiem połamane paznokcie. – Próbowałem.

– Pomóc ci? – spytała.

Skrzywił się i pokiwał głową, z której zwisały mokre włosy.

– Każdy od czasu do czasu potrzebuje pomocy – rzekł Owca. – Przyniosę łopaty.

Płoszka wyciągnęła rękę, odczekała chwilę, po czym delikatnie położyła dłoń na ramieniu chłopca. Poczowała, że zesztyniał, i spodziewała się, że strąci rękę, ale, ku jej zadowoleniu, nie zrobił tego. Może ona potrzebowała tego bardziej niż on.

Ruszyli dalej, od tej pory w trójkę, ale poza tym niewiele się zmieniło. Ten sam wiatr, to samo niebo, te same ślady, za którymi podążali, ta sama pełna niepokoju cisza panująca między nimi. Grzechoczący wóz ciągnięty przez cierpliwe woły z trudem wytrzymywał podróż, z każdą milą coraz bardziej podskakując na zniszczonym szlaku. Jedno z kół prawie się rozpadło wewnątrz żelaznej obręczy. Płoszka mu współczuła, ponieważ pod surową miną kryła wnętrze, które także było w kawałkach. Wyładowali sprzęt i pozwolili wołom paść się na trawie, a Owca ze stęknieniem i wzruszeniem ramion uniósł jedną stronę wozu, dzięki czemu Płoszka mogła postarać się naprawić zniszczenia za pomocą narzędzi i połowy worka gwoździ. Leef chciał pomóc, ale mógł tylko podawać jej młotek, gdy o to prosiła.

Ślady prowadziły do rzeki, a następnie na drugą stronę przez płyciznę. Calder i Szalka nie miały ochoty przeprowiać się na drugi brzeg, ale ostatecznie Płoszka zdołała zwabić ich do wysokiego kamiennego młyna o trzech kondygnacjach. Ludzie, których ścigali, nie próbowali spalić budynku, więc woda wciąż wesoło w nim chlupotała. W oknie na poddaszu wisieli dwaj

mężczyźni i kobieta. Jedno z nich miało skręcony kark i nienaturalnie wyciągniętą szyję, a drugie spalone stopy kołyszące się metr nad błotem.

Leef popatrzył w górę szeroko otwartymi oczami.

– Co za ludzie robią coś takiego?

– Zwyczajni – odparła Płoszka. – Do tego nie potrzeba nikogo wyjątkowego. – Mimo to, czasami miała wrażenie, że podążają za czymś niezwykłym. Za szaloną burzą, która bezmyślnie szaleje w tej opuszczonej krainie, wzbijając kłęby kurzu i pozostawiając za sobą butelki, gówno, spalone budynki oraz wisielców. Burzą, która porwała wszystkie dzieci, nie wiadomo dokąd i po co. – Chcesz tam wejść i ich odciąć, Leef?

Wydawało się, że nie ma na to ochoty, ale wyciągnął nóż i wszedł do budynku.

– Ostatnio dużo czasu poświęcamy na grzebanie zmarłych – mruknęła.

– Dobrze, że dzięki tobie Clay dorzucił nam łopaty – odparł Owca.

Parsknęła śmiechem, ale szybko się zreflektowała i zmieniła śmiech w brzydki kaszel. W oknie pojawiła się głowa Leefa, po czym chłopak wychylił się i zaczął przecinać liny, od czego zwłoki zadrżały.

– To nie w porządku, że sprzątam po tych draniach.

– Ktoś musi. – Owca podał jej łopatę. – A może chcesz zostawić tych ludzi na sznurze?

Przed wieczorem, gdy nisko wiszące słońce podpałało krawędzie obłoków, a wiatr wprawiał drzewa w taniec i rysował wzory na trawie, dotarli do obozu. Duże ognisko wypaliło się pod okapem lasu, pozostawiając krąg zwęglonych gałęzi i mokrego popiołu o średnicy trzech kroków. Płoszka

zeskoczyła z wozu, podczas gdy Owca nadal wstrzymywał parszających Szalkę i Caldera. Kobieta dobyła noża i dźgnęła pozostałości ogniska, odsłaniając kilka wciąż rozpalonych węgielków.

– Wczoraj tutaj nocowali! – zawołała.

– Więc ich doganiamy? – spytał Leef, zeskakując z wozu i zakładając strzałę na luźną cięciwę.

– Tak myślę. – Jednak Płoszka nie była pewna, czy to dobrze. Podniosła z trawy kawałek postrzępionej liny, znalazła rozdartą pajęczynę pomiędzy krzewami na skraju linii drzew oraz strzęp materiału na ciernistym krzaku.

– Ktoś tędy szedł? – spytał Leef.

– Więcej niż jedna osoba. I to szybko. – Płoszka wślizgnęła się między zarośla i, trzymając się nisko na nogach, zaczęła się skradać w dół błotnistej zbocza po zdradliwym śliskim piachu i opadłych liściach. Starła się utrzymać równowagę i przeniknąć wzrokiem ciemność...

Zobaczyła Pestkę leżącego twarzą do ziemi obok powalonego drzewa. Był taki mały pośród splątanych korzeni. Chciała krzyknąć, ale straciła głos, a nawet oddech. Puściła się biegiem, ześlizgnęła na boku otoczona martwymi liśćmi, po czym znów zerwała na nogi. Przykucnęła obok niego i wyciągnęła drżącą rękę w stronę jego głowy, którą z tyłu pokrywała zakrzepła krew. Nie chciała zobaczyć jego twarzy, ale musiała. Wstrzymała oddech, gdy z trudem go odwracała; był drobny, ale miał ciało sztywne jak deska. Niezdarnymi palcami odgarnęła liście, które okleiły mu twarz.

– To twój brat? – wyszeptał Leef.

– Nie. – Niemal ogarnęły ją mdłości pod wpływem ulgi, a następnie pod wpływem poczucia winy, że odczuwa ulgę,

choć chłopeć nie żyje. – A twój?

– Nie – odrzekł Leef.

Płozka wsunęła dłonie pod martwe dziecko i je podniosła, po czym z trudem ruszyła w górę zbocza, a Leef podążył za nią. Owca patrzył na nich, stojąc pomiędzy drzewami na szczycie; czarny kształt odznaczający się na tle blasku zachodzącego słońca.

– To on? – spytał łamiącym się głosem. – To Pestka?

– Nie. – Płozka ułożyła chłopca na zgniecionej trawie z szeroko rozłożonymi rękami i lekko odchyłoną głową.

– Na spokój zmarłych. – Owca wsunął palce w siwą czuprynę, zaciskając je na swojej czaszce, jakby chciał ją zgnieść.

– Może próbował uciec i zabili go dla przykładu? – Miała nadzieję, że Ro tego nie spróbuje. Że jest na to za sprytna. Płozka taka była w jej wieku. Oparła się o wóz, odwrócona plecami do pozostałych, zacisnęła powieki i otarła łzy. Wyjęła przekłete łopaty i zaniosała je swoim towarzyszom.

– Kurwa, znowu kopanie – parsknął Leef, uderzając w ziemię z taką wściekłością, jakby to ona odebrała mu brata.

– Lepiej kopać niż samemu zostać pogrzebanym – odrzekł Owca.

Płozka zostawiła ich przy pracy, a woły przy posiłku, po czym zaczęła badać okolicę, zataczając coraz szersze kręgi, nisko trzymając się na nogach, przeczesując palcami zimną trawę, starając się odczytać ślady w słabnącym świetle. Wyczuć, co porywacze zrobili i co zamierzają.

– Owca.

Stęknął, przysiadając obok niej i otrzepując piach z rękawic.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że tutaj trzech się oddzieliło i ruszyło na południowy wschód. Pozostali dalej wędrują na zachód. Co o tym myślisz?

– Próbuję w ogóle o tym nie myśleć. To ty jesteś tropicielką. Chociaż nie mam pojęcia, kiedy tak się w tym wyszkoliłaś.

– Wystarczy dobrze ruszyć głową. – Nie chciała przyznać, że ściganie i bycie ściganą to dwie strony tej samej monety, a w byciu ściganą ma dwuletnie doświadczenie zdobyte w najsurowszych warunkach.

– Rozdzielili się? – spytał Leef.

Owca skubał wcięcie w uchu, patrząc na południe.

– Może się poróżnili?

– Niewykluczone – odparła Płoszka. – A może posłano ich, żeby zatoczyli krąg i sprawdzili, czy nikt nie idzie ich śladem.

Leef sięgnął po strzałę, omiatając wzrokiem horyzont.

Owca uspokoił go machnięciem ręki.

– Gdyby chcieli to sprawdzić, już by nas zobaczyli. – Wciąż patrzył na południe, wzdłuż linii drzew, na niski grzbiet górski, dokąd według Płoszki udała się wspomniana trójka. – Nie, myślę, że mieli dosyć. Może uznali, że to wszystko zaszło za daleko. Może pomyśleli, że oni zawisną jako kolejni. Tak czy inaczej, idziemy za nimi. Miejmy nadzieję, że ich dogonimy, zanim od wozu odpadną koła. Albo zanim ja się rozpadnę – dodał ze skrzywioną miną, zajmując miejsce na siedzisku.

– Z tą trójką nie ma dzieci – zauważył Leef, pochmurniejąc.

– Nie. – Owca ponownie założył kapelusz. – Ale mogą nam wskazać właściwy kierunek. Musimy naprawić wóz i znaleźć nowe woły albo konie. Potrzebujemy prowiantu. Możliwe, że ta trójka...

– Ty pieprzony stary tchórze.

Zapadła cisza. W końcu Owca wskazał głową Płoszkę.

– Ona i ja od lat roztrząsamy ten temat, a ty nie masz nic wartościowego do dodania.

Płoszka popatrzyła na chłopca, który stał na ziemi i ze złością spoglądał w górę, oraz na potężnego starca, który beznamiętnie zerkał na niego z wozu.

Leef zmarszczył górną wargę.

– Musimy podążać za dziećmi, w przeciwnym razie...

– Wsiadaj na wóz, chłopcze, albo pójdiesz za dziećmi sam.

Leef ponownie otworzył usta, ale Płoszka złapała go za ramię.

– Chcę ich złapać tak samo jak ty, ale Owca ma rację. Tam jest dwudziestu ludzi, złych, uzbrojonych i gotowych na wszystko. Nie moglibyśmy się im przeciwstawić.

– Wcześniej czy później będziemy musieli ich złapać, prawda? – odburknął Leef, ciężko dysząc. – Lepiej to zrobić, póki mój i twój brat nadal żyją!

Musiała przyznać, że chłopak ma rację, ale nic nie mogli zrobić. Popatrzyła mu w oczy i odezwała się ze spokojem, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Wsiadaj na wóz, Leef.

Tym razem usłuchał i zajął miejsce pośród ich sprzętu. Siedział w milczeniu, odwrócony do nich plecami.

Płoszka posadziła posiniaczony tyłek obok Owcy, który strzelił lejcami, zmuszając Szalkę i Caldera do niechętnego ruszenia z miejsca.

– Co zrobimy, jeśli dogonimy tamtą trójkę? – wyszeptwała, nie chcąc, żeby Leef ją usłyszał. – Możliwe, że są uzbrojeni i zdeterminowani. Na pewno lepiej uzbrojeni od nas.

– A więc to my będziemy musieli być bardziej zdeterminowani.

Uniosła brwi, słysząc te słowa. Ten potężny, spokojny Północny, który ze śmiechem biegał wśród zboża z Pestką na jednym i Ro na drugim ramieniu, wieczorami przesiadywał z Gullym przy butelce, w milczeniu patrząc na zachód słońca, i nigdy nie podniósł na nią ręki, gdy dorastała, chociaż wiele razy dotkliwie go prowokowała, nagle zaczął mówić o ubrudzeniu sobie ręką po łokcie krwią, jakby to był drobiazg.

Wiedziała, że to nie jest drobiazg.

Zamknęła oczy, przypominając sobie twarz Jega po tym, jak dźgnęła go nożem. Leżał na ulicy z zakrwawionym rondem kapelusza naciągniętym na oczy i wciąż mamrotał „Dym, dym”, a sprzedawca z pobliskiego sklepu wbijał w nią wzrok, gdy koszula ofiary czerniała od krwi. Przypomniała sobie spojrzenie Dodda wpatrującego się w jej strzałę sterczącą z jego piersi. „Po co to zrobiłaś?”.

Mocno potarła twarz dłonią, nagle oblewając się potem i tak samo jak wtedy słysząc w głowie łomot serca. Zaczęła się wiercić, jakby w ten sposób mogła się wyślizgnąć ze szponów przeszłości. Jednakże ta dopadła ją na dobre. Dla dobra Pestki i Ro musi ponownie zbrukać ręce czerwienią. Zacisnęła palce na rękojeści noża, gwałtownie wciągnęła powietrze i zacisnęła zęby. Wtedy nie miała wyboru. Teraz także. A nad ludźmi, których ścigają, nie warto wylewać łez.

– Czy kiedy ich znajdziemy, będziesz wykonywać moje polecenia? – spytała, a jej głos zabrzmiał słabo w gęstniejącej ciemności.

– Nie – odparł Owca.

– Co takiego? – Dowodziła od tak dawna, że nie sądziła, iż

starzec może pójść inną drogą.

Kiedy na niego popatrzyła, jego stara, pokryta bliznami twarz była wykrzywiona, jakby zmagął się z bólem.

– Obiecałem twojej matce, zanim umarła, że zaopiekuję się jej dziećmi. Pestką, Ro... no i myślę, że to dotyczy także ciebie.

– Pewnie tak – mruknęła bez przekonania.

– Złamałem w życiu wiele obietnic. Niech odpłyną jak liście niesione przez wodę. – Potarł oczy wierzchem dłoni okrytej rękawicą. – Tym razem dotrzymam słowa. Więc kiedy ich znajdziemy... to ty wykonasz moje polecenia. Tylko tym razem.

– W porządku. – Może się zgodzić, jeśli to ma mu pomóc.

Potem i tak zrobi to, co trzeba.

Najlepszy człowiek

– To chyba Uczciwość – rzekł Inkwizytor Lorsen, patrząc ze zmarszczonym czołem na mapę.

– A czy Uczciwość jest na liście Superiora? – spytał Cosca.

– Owszem. – Lorsen zadbał o to, żeby w jego głosie nie było ani cienia niepewności. Był jedynym człowiekiem w promieniu stu mil, który działał w jakiejś sprawie. Nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości.

Superior Pike stwierdził, że zachód to przyszłość, jednak przez lunetę Inkwizytora Lorsena miasteczko Uczciwość wcale nie wyglądało na jej przedstawiciela. Nie wyglądało nawet jak teraźniejszość, którą ktokolwiek świadomie by wybrał. Ludzie starający się wiązać koniec z końcem w Bliskiej Krainie byli biedniejsi, niż inkwizytor się spodziewał. Sami uchodźcy i wyrzutkowie, niedopasowani i przegrani. Na tyle ubodzy, że wspieranie buntu przeciwko najpotężniejszej nacji świata nie mogło być dla nich priorytetem. Jednak Lorsen nie mógł się kierować prawdopodobieństwem. Tolerancja, usprawiedliwienie oraz kompromis także stanowiły luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. W ciągu wielu bolesnych lat, które przepracował, zarządzając obozem jenieckim w Anglandzie, nauczył się, że ludzi trzeba dzielić na dobrych i złych, a tym drugim nie wolno okazywać litości. Nie czerpał z tego przyjemności, ale lepszy świat musi mieć swoją cenę.

Złożył mapę, poprawił zagięcie paznokciem kciuka, po czym schował ją pod płaszczem.

– Niech pan przygotuje swoich ludzi do ataku, generale.

– Mmmm. – Gdy Lorsen zerknął w bok, z zaskoczeniem stwierdził, że Cosca właśnie pociąga z metalowej butelki.

– Nie za wcześnie na trunki? – syknął przez zaciśnięte zęby. Minęła zaledwie godzina albo dwie od świtu.

Cosca wzruszył ramionami.

– To, co jest dobre w porze podwieczorku, z pewnością nie przestaje takie być w porze śniadania.

– Chyba że zawsze jest złe – wychrypiał Lorsen.

Cosca zignorował go i pociągnął kolejny łyk, po czym hałaśliwie mlasnął.

– Chociaż byłoby lepiej, gdyby pan nie wspominał o tym Temple’owi. Biedak się martwi. Traktuje mnie niemal jak ojca. Kiedy go spotkałem, był w trudnym momencie życia...

– Fascynujące – odburknął Lorsen. – Proszę przygotować swoich ludzi.

– Natychmiast, Inkwizytorze. – Wiekowy najemnik zakręcił butelkę – z całych sił, jakby już nigdy nie zamierzał jej odkręcić – po czym sztywno i bez godności zaczął się ześlizgiwać w dół zbocza.

Sprawiał wrażenie odrażającego człowieka, którego surowa ręka czasu w żaden sposób nie naprawiła: nieopisane próżny, godny zaufania jak skorpion, nieznający moralności. Jednakże po kilku dniach spędzonych z Kompanią Łaskawej Dłoni inkwizytor musiał z żalem stwierdzić, że Cosca, czy też Stary, jak go pieśzcotliwie nazywano, może być najszlachetniejszym z całego grona. Jego bezpośredni podwładni nie pozostawiali żadnych złudzeń. Kapitan Brachio był nikczemnym Styryjczykiem, któremu za sprawą dawnej rany stale łzawiło oko. Sprawnie jeździł konno, ale był szeroki jak dom i dla

własnych potrzeb zmienił własne lenistwo w religię. Kapitan Jubair, potężny Kantyjczyk czarny jak smoła, postąpił odwrotnie, dla własnych potrzeb zmieniając swoją religię w szaleństwo. Według plotek, niegdyś był niewolnikiem i walczył w dole. Chociaż teraz wiódł zupełnie inne życie, Lorsen podejrzewał, że jakaś część tamtych dni w nim pozostała. Kapitan Dimbik przynajmniej był Unionistą, ale został wyrzucony z wojska za niekompetencję. Był człowiekiem pozbawionym charakteru i kapryśnym, który wciąż nosił wytartą szarfę przypominającą o jego dawnej chwale. Mimo że łyśiał, zapuścił długie włosy, przez co wyglądał zarazem jak łysy i jak błazen.

Lorsen zauważył, że żaden z najemników nie wierzył w nic poza własnym zyskiem. Pomimo sympatii, jaką darzył go Cosca, prawnik Temple okazał się najgorszy z całej kompanii. Czczył egoizm, chciwość i dyskretną manipulację, traktując je jak cnoty. Był tak oślizgły, że mógłby znaleźć zatrudnienie jako smar do osi. Lorsen zadrżał, patrząc na inne twarze, które kłębiły się wokół olbrzymiego opancerzonego wozu Superiora Pike'a. Paskudne odrzuty ze wszystkich ras i mieszańcy, pokryci bliznami, dotknięci chorobami, zszargani, wyglądający z obleśnym zniecierpliwieniem przemocy i rabunku.

Jednakże nawet brudne narzędzia można wykorzystać do szlachetnych celów, czyż nie? Miał nadzieję, że to prawda. Buntownik Conthus przyczaił się gdzieś w tej opuszczonej krainie, planując kolejne wywroty i masakry. Należało go usunąć, niezależnie od ceny. Należało przykładowie go ukarać, żeby Lorsen mógł okryć się chwałą. Po raz ostatni zerknął na Uczciwość – wciąż pogrążoną w ciszy – po czym złożył z trzaskiem lunetę i ruszył w dół zbocza.

Na dole Temple cicho rozmawiał z Coscą, a w jego głosie było słycać płaczliwą nutę, która wyjątkowo irtowała Lorsena.

– Czy nie moglibyśmy... porozmawiać z mieszkańcami?

– Porozmawiamy – zapewnił Cosca. – Gdy tylko zabezpieczymy zapasy.

– Czyli ich obrabujemy.

Cosca klepnął Temple'a w ramię.

– Ach, wy prawnicy! Zawsze potraficie trafić w sedno!

– Musi być lepszy sposób...

– Szukałem go przez całe życie, i to poszukiwanie przywiodło mnie tutaj. Jak doskonale wiesz, Temple, podpisaliśmy kontrakt, a Inkwizytor Lorsen zamierza dopilnować, żebyśmy się z niego wywiązali, prawda, inkwizytorze?

– Zależy mi na tym – zaskrzypiał Lorsen, posyłając prawnikowi jadowne spojrzenie.

– Jeśli chciałeś uniknąć rozlewu krwi, powinieneś był odezwać się wcześniej – rzekł Cosca.

Prawnik zamrugął.

– Odzywałem się.

Stary bezsilnie uniósł dłonie, pokazując najemników, którzy już się zbroili, wsiadali na konie, pili i na różne inne sposoby przygotowywali się do przemocy.

– Najwyraźniej byłeś za mało wymowny. Ilu mamy ludzi zdolnych do walki?

– Czterystu trzydziestu dwóch – natychmiast odrzekł Przyjazny. Lorsen odniósł wrażenie, że pozbawiony szyi sierżant ma dwie specjalności: robienie groźnego wrażenia oraz liczby. – Nie licząc sześćdziesięciu czterech osób, które postanowiły nie przyłączać się do wyprawy, od opuszczenia

Mulkovej mieliśmy jedenaście dezercji oraz pięć przypadków choroby.

Cosca lekceważąco wzruszył ramionami.

– Nie da się uniknąć strat. Im mniej liczne będą nasze szeregi, tym więcej chwały przypadnie na każdego z nas, prawda, Sworbreck?

Pisarz, dla którego obecność podczas wyprawy stanowiła ogromny przywilej, nie wyglądał na przekonanego.

– Chyba... tak?

– Chwałę trudno policzyć – odparł Przyjazny.

– To prawda – rzekł z żalem Cosca. – Podobnie jak honor, cnotę i wszystkie inne pożądane, acz nieuchwytnie wartości. Jednak, im mniejsze będą nasze szeregi, tym większy zysk dla każdego z nas.

– Zysk można policzyć.

– Oraz zważyć, poczuć i obejrzeć pod światło – dodał kapitan Brachio, delikatnie masując się po pojemnym brzuchu.

– Logicznym rozwinięciem tego argumentu – Cosca podkreślił nawoskowane końcówki wąsów – byłoby twierdzenie, że wszystkie szlachetne ideały są nic niewarte.

Lorsen zadrżał z obrzydzenia.

– Nie zniósłbym życia w takim świecie.

Stary się wyszczerzył.

– A jednak jakoś pan w nim żyje. Czy Jubair jest na miejscu?

– Już niedługo – stęknął Brachio. – Czekamy na jego sygnał.

Lorsen wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Tłum szaleńców czekający na sygnał najbardziej szalonego z nich.

– Jeszcze nie jest za późno. – Sufeen mówił cicho, żeby pozostali go nie usłyszeli. – Moglibyśmy to powstrzymać.

– Dlaczego mielibyśmy to robić? – Jubair dobył miecza, zobaczył strach w oczach Sufeena i poczuł litość oraz pogardę. Strach rodzi się z arogancji. Z wiary, że nasz los nie jest wolą Boga i może zostać zmieniony. Ale niczego nie da się zmienić. Jubair zaakceptował to wiele lat temu. Od tamtej pory on i strach byli dla siebie obcy. – Przecież tego pragnie Bóg.

Większość ludzi nie chciała dostrzec prawdy. Sufeen patrzył na niego jak na szaleńca.

– Po co Bóg miałby pragnąć kary dla niewinnych?

– To nie my osądzamy, kto jest niewinny. Poza tym, człowiek nie potrafi przejrzeć zamysłu Boga. Jeśli On zechce kogoś ocalić, wystarczy, że odwróci moje ostrze.

Sufeen powoli pokręcił głową.

– Jeśli to jest twój Bóg, to ja w Niego nie wierzę.

– Co byłby z niego za Bóg, gdyby twoja wiara mogła cokolwiek zmienić? Albo moja lub kogokolwiek innego? – Jubair uniósł ostrze, patrząc na plamki słonecznego blasku lśniącej w licznych wyszczerbieniach i rysach na długiej, prostej krawędzi. – Jeśli nie będziesz wierzył w ten miecz, on i tak cię uderzy. To Bóg. Niezależnie od wszystkiego, każdy z nas chodzi Jego ścieżkami.

Sufeen ponownie pokręcił drobną głową, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

– Jaki kapłan cię tego nauczył?

– Zobaczyłem, jak działa świat, i sam osądziłem, co jest prawdą. – Obejrzał się przez ramię na swoich ludzi zbierających drewno, broje i broń, z entuzjazmem przygotowujących się do pracy. – Jesteśmy gotowi do ataku?

– Byłem tam. – Sufeen wskazał przez zarośla w stronę Uczciwości. – Mają trzech konstabli, z czego dwaj to idioci. Nie jestem pewien, czy tak zdecydowane działania jak szturm są konieczne.

Rzeczywiście, miasteczko było słabo bronione. Kiedyś otaczało je ogrodzenie z nierównych pali, ale zostało częściowo zburzone, żeby umożliwić miastu rozrost. Dach drewnianej wieży strażniczej porastał mech, a ktoś przywiązał do jednego ze wsporników sznur z praniem. Duchy już dawno wygnano z tej okolicy i mieszkańcy najwyraźniej nie spodziewali się innych zagrożeń. Wkrótce mieli się przekonać, jak bardzo się mylili.

Jubair ponownie przeniósł wzrok na Sufeena.

– Mam dosyć twojego marudzenia. Daj sygnał.

W oczach zwiadowcy kryły się niepewność i rozgoryczenie, ale wykonał rozkaz. Wziął lusterko i doczołgał się do skraju lasu, żeby wysłać sygnał do Coski i pozostałych. Tak było dla niego najlepiej. Gdyby się sprzeciwił, Jubair zapewne by go zabił i miałby słusność.

Kapitan odchylił głowę i uśmiechnął się do błękitnego nieba przez czarne gałęzie i czarne liście. Mógł zrobić wszystko i miałby rację, ponieważ uczynił sam siebie marionetką Bożego planu i w ten sposób się wyzwolił. Jedyne wolny otoczony przez niewolników. Był najlepszym człowiekiem w Bliskiej Krainie. Najlepszym człowiekiem w Kręgu Świata. Nie bał się, ponieważ Bóg był z nim.

Bóg był wszędzie i zawsze.

Jak mogłoby być inaczej?

Sprawdzając, czy nikt na niego nie patrzy, Brachio wyciągnął medalion z kieszeni koszuli i go otworzył. Dwa małe portrety były pokryte pęcherzykami i wyblakłe, tak że ktoś inny zobaczyłby na nich tylko niewyraźne smugi, ale Brachio wiedział, kogo przedstawiają. Delikatnie dotknął opuszkami obu twarzy, które w jego myślach były takie same jak w dniu, w którym wyjechał, tak dawno temu – miękkie, idealne i uśmiechnięte.

– Nie martwcie się, dzieciaczki – odezwał się czułym głosem.
– Niedługo wrócę.

Mężczyzna musi wybrać to, co ważne, a całą resztę rzucić psom. Jeśli będzie się wszystkim zamartwiał, niczego nie osiągnie. Brachio jako jedyny w całej Kompanii miał nieco oleju w głowie. Dimbik był mizdrzącym się smutasem. Jubair postradał rozum. Pomimo całego kunsztu i sprytu, Cosca był marzycielem – dowodziły tego te bzdury z biografem.

Brachio był z nich najlepszy, ponieważ wiedział, kim jest. Żadnych szlachetnych ideałów, żadnych wielkich iluzji. Był rozsądnym człowiekiem o rozsądnych ambicjach, który robił to, co musiał, i był z tego zadowolony. Liczyły się dla niego tylko jego córeczki. Nowe sukienki i dobre jedzenie, dobre posagi i dobre życie. Lepsze niż piekło, którego on sam doświadczył...

– Kapitanie Brachio! – Ryk Coski, donośny jak zawsze, wyrwał go z zamyślenia. – Jest sygnał!

Brachio zatrzasnął medalion, otarł wilgotne oczy grzbietem zaciśniętej dłoni i wyprostował bandolier z nożami. Cosca wsunął but w strzemień, po czym podskoczył jeden, dwa, trzy razy, przytrzymując się połączanego łęku siodła. Zrównał się z nim wytrzeszczonymi oczami, po czym znieruchomiał.

– Czy ktoś mógłby...?

Sierżant Przyjazny wsunął dłoń pod tyłek generała i bez wysiłku podrzucił go na siodło. Stary przez chwilę starał się odzyskać oddech, po czym z trudem wyciągnął ostrze z pochwy i uniósł je wysoko nad głowę.

– Dobądźcie mieczy! – Zawahał się. – Albo tańszej broni! Zróbmy... coś dobrego!

Brachio wskazał grzbiet wzgórza i wrzasnął:

– Jazda!

Z donośnym okrzykiem pierwszy szereg jeźdźców popędził konie i pomknął przed siebie, wyrzucając w górę fontanny piachu i suchej trawy. Cosca, Lorsen, Brachio i pozostali, jak przystało na dowódców, pokłusowali w ślad za żołnierzami.

– To wszystko?

Brachio usłyszał zdziwiony szept Sworbrecka, gdy ich oczom ukazała się zapuszczona dolina z nierównymi poletkami oraz niewielka brudna osada. Może spodziewał się wysokiej na milę fortecy ze złotymi kopułami i adamantowymi murami. Może ją opisie, gdy będzie relacjonował tę scenę.

– Wygląda...

– Prawda? – odburknął Temple.

Styryjczycy Brachia już chciwie galopowali przez pola w stronę miasta, a Kantyjczycy Jubaira wyroili się z drugiej strony na koniach, które wyglądały jak czarne kropki na tle piaskowej burzy.

– Patrzcie, jak pędzą! – Cosca zdarł z głowy kapelusz i nim pomachał. – Dzielni chłopcy. Co za wigor i animusz! Jakże żałuję, że nie mogę razem z wami wziąć udziału w szarży!

– Naprawdę? – Brachio przypomniał sobie, jak kiedyś prowadził szarżę; było to trudne, bolesne i niebezpieczne zadanie, całkowicie wyzute z wigoru i animuszu.

Cosca przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym wcisnął kapelusz z powrotem na łysiejącą głowę i schował miecz do pochwy.

– Nie. Nieszczególnie.

Ruszyli dalej spacerowym tempem.

Jeśli nawet Uczciwość stawiała jakikolwiek opór, to kiedy dotarli do miasteczka, było już po wszystkim.

Jakiś mężczyzna siedział w pyle obok drogi, przyciskając zakrwawione dłonie do twarzy. Mrugał, patrząc na przejeżdżającego Sworbrecka. Ktoś otworzył zagrodę dla owiec i niepotrzebnie zarznął wszystkie zwierzęta. Pośród puchatych zwłok już uwijał się pies. Kantyjczyk i Styryjczyk zajadłe kłócili się o rozrzuconą zawartość wozu, który leżał na boku. Obracające się koło skrzypiało. Dwaj inni Styryjczycy próbowali kopniakami wyważyć drzwi kuźni. Kolejny wspiał się na dach i uparcie kopał w nim toporem jak łopatą. Jubair siedział na swoim olbrzymim koniu na środku ulicy, wymachując ponadwymiarem mieczem i wywrzaskując rozkazy oraz wznosząc niezrozumiałe okrzyki o woli Boga.

Ołówek Sworbrecka zawisł nad stroną, opuszki palców skubały sznurek łączący kartki, ale biografowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby napisać. W końcu bezsensownie nabazgrał „Nie stwierdzono heroizmu”.

– Co ci idioci robią? – mruknął Temple.

Grupka Kantyjczyków przywiązała kilka mułów do jednej z rozpór porośniętej mchem miejskiej wieży strażniczej i teraz, chłuszcząc zwierzaki, którym piana wystąpiła na pyski, próbowali ją przewrócić.

Sworbreck zauważył, że wielu mężczyznom sprawia radość niszczenie wszystkiego, co napotkają. Im większego wysiłku będzie wymagało naprawienie uszkodzonej rzeczy, tym większa satysfakcja. Jakby dla zilustrowania tej zasady, czterej ludzie Brachia przewrócili kogoś na ziemię i nieśpiesznie go bili, podczas gdy grubas w fartuchu bezskutecznie próbował ich uspokoić.

Sworbreck rzadko bywał świadkiem przemocy, nawet najłżejszego rodzaju. Kiedyś dwaj jego znajomi pisarze pokłócili się o strukturę narracyjną, ale teraz trudno mu było traktować poważnie ich konflikt. Znalazłszy się w samym środku bitwy, Sworbreck jednocześnie czuł, że jest mu zimno i gorąco. Zarazem umierał ze strachu i był niezwykle podniecony. Odwracał wzrok, ale chciał zobaczyć więcej. W końcu, czy nie po to tutaj przybył? Żeby doświadczyć krwi, brudu i dzikości w najintensywniejszym wydaniu? Żeby poczuć woń wysychających flaków i usłyszeć jęki ofiar? Dzięki temu będzie mógł powiedzieć, że sam tego doświadczył, co doda jego dziełu autentyczności i mocy przekonywania. Dzięki czemu będzie mógł przesiadywać w eleganckich salonach Adui i opowiadać wzniosłym głosem o mrocznych prawdach wojennego rzemiosła. Może nie były to najszlachetniejsze z motywów, ale z pewnością nie najbardziej podłe. W końcu nie twierdził, że jest najlepszym człowiekiem w Kręgu Świata.

Jedynie najlepszym pisarzem.

Cosca zeskoczył z siodła, ze stęknieniem obracając stare biodra, po czym sztywnym krokiem podszedł do niedoszłego rozjemcy w fartuchu.

– Dobry wieczór! Jestem Nicomo Cosca, generał Kompanii Łaskawej Dłoni. – Wskazał czterech Styryjczyków, którzy unosili

łokcie i kije, nie przerywając bicia. – Widzę, że już pan spotkał kilku z moich dzielnych kompanów.

– Nazywam się Clay – odrzekł grubas, a jego obwisły podbródek zadrżał ze strachu. – Jestem właścicielem tutejszego sklepu...

– Sklepu? Doskonale! Możemy trochę poszperać?

Ludzie Brachia już wynosili naręcze towarów pod czujnym okiem sierżanta Przyjaznego. Sierżant starał się ograniczyć do minimum kradzieże wewnątrz Kompanii, jednak kradzieże poza Kompanią najwyraźniej były zalecane. Sworbreck poruszył ołówkiem. Kolejna notatka o braku heroizmu wydawała się zbędna.

– Weźcie, czego tylko potrzebujecie – rzekł Clay, pokazując dłonie ubrudzone mąką. – Nie ma potrzeby stosować przemocy. – Zapadła cisza, zakłócana tylko brzękiem szkła, trzaskiem drewna i jęczeniem człowieka na ziemi, którego od czasu do czasu kopano bez entuzjazmu. – Czy mogę spytać, co panowie tutaj robią?

Lorsen wystąpił do przodu.

– Przyjechaliśmy wykorzenić nielojalność, paniczu Clay. Stłumić bunt.

– Pan należy... do Inkwizycji?

Lorsen nie odpowiedział, ale jego milczenie było niezwykle wymowne.

Clay przełknął ślinę.

– Zapewniam, że tutaj nie ma żadnego buntu.

Sworbreck wyczuł fałsz w jego głosie. Coś więcej niż zrozumiałą nerwowość.

– Nie interesuje nas polityka...

– Naprawdę? – Zawód Lorsena najwyraźniej także wymagał wyczulenia na oszustwo. – Podwiń rękawy!

– Co takiego? – Kupiec spróbował się uśmiechnąć, mając nadzieję, że rozładuje napięcie delikatnymi ruchami mięsistych dłoni, ale Lorsen nie miał zamiaru dać się uspokoić. Wykonał zdecydowany ruch palcem, przyzywając dwóch Praktyków: krzepkich mężczyzn, zamaskowanych i zakapturzonych.

– Rozbierzcie go.

Clay usiłował się wykręcić.

– Zaczekajcie...

Sworbreck wzdrygnął się, gdy jeden z Praktyków uderzył sklepikarza pięścią w brzuch, tak że mężczyzna zgiął się wpół. Drugi oderwał mu rękaw i wykręcił obnażoną rękę. Od nadgarstka do łokcia sięgał wytatuowany napis w Starej Mowie. Nieco wyblakły od upływu lat, ale wciąż czytelny.

Lorsen lekko przechylił głowę.

– „Wolność i sprawiedliwość”. Wzniosłe ideały, co do tego musimy się zgodzić. Tylko co one mają wspólnego z niewinnymi obywatelami Unii, których buntownicy zmasakrowali w Rostodzie?

Kupiec dopiero teraz odzyskał oddech.

– Przysięgam, że nigdy w życiu nikogo nie zabiłem! – Na jego twarzy lśniły krople potu. – Ten tatuaż to błąd młodości! Chciałem zrobić wrażenie na kobiecie! Od dwudziestu lat nie rozmawiałem z żadnym buntownikiem!

– I wydawało ci się, że tutaj, poza granicami Unii, ukryjesz się przed swoimi zbrodniami?

Sworbreck dotychczas nie widział, jak Lorsen się uśmiecha, i miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał tego oglądać.

– Inkwizycja Jego Królewskiej Mości sięga dalej i ma lepszą

pamięć niż ci się wydaje. Kto jeszcze w tej żalosnej zbieraninie chałup sympatyzuje z buntownikami?

– Śmiem twierdzić, że nawet jeśli tego nie robili przed naszym przybyciem, to wszyscy zaczną po naszym wyjeździe... – mruknął Temple.

– Nikt. – Clay pokręcił głową. – Nikt nie ma złych zamiarów, a już na pewno nie ja...

– Gdzie w Bliskiej Krainie ukryli się buntownicy?

– Nie mam pojęcia. Gdybym wiedział, na pewno bym powiedział!

– Gdzie jest przywódca buntowników Conthus?

– Kto? – Kupiec tylko wytrzeszczył oczy. – Nie wiem.

– Przekonamy się, co wiesz. Zabierzcie go do środka i przynieście moje narzędzia. Nie mogę ci obiecać wolności, ale sprawiedliwości stanie się dzisiaj zadość.

Dwaj Praktycy powlekli pechowego kupca w stronę jego sklepu, który już doszczętnie splądrowano, zabierając wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Lorsen szedł za nimi, tak samo jak najemnicy nie mogąc się doczekać rozpoczęcia swojej pracy. Ostatni z Praktyków zamykał pochód, dźwigając w jednym ręku wypolerowaną drewnianą skrzynię z narzędziami. Drugą ręką cicho zamknął drzwi. Sworbreck przełknął ślinę, zastanawiając się, czy nie powinien schować notatnika. Nie był pewien, czy tego dnia będzie mógł cokolwiek zapisać.

– Po co buntownicy się tatuują? – mruknął. – Przez to łatwo ich rozpoznać.

Mrużąc oczy, Cosca wpatrywał się w niebo i wachlował kapeluszem, od czego powiewały jego rzadkie włosy.

– To gwarantuje ich oddanie sprawie. Nie mają odwrotu. Chlubią się tymi znakami. Im dłużej walczą, tym więcej tatuują

dodają. Pod Rostodem widziałem wisielca, który miał zapisaną całą rękę. – Stary westchnął. – Ale w końcu ludzie pod wpływem emocji robią różne dziwactwa, które po trzeźwym rozpatrzeniu okazują się niezbyt rozsądne.

Sworbreck uniósł brwi, polizał końcówkę ołówka i zapisał tę myśl w notatniku. Zza zamkniętych drzwi dobiegło echo słabego krzyku, a po chwili kolejne. W takich warunkach trudno było się skupić. Kupiec niewątpliwie był winny, ale Sworbreck próbował postawić się na jego miejscu i wcale nie podobała mu się ta perspektywa. Wokół siebie widział banalne rabunki, bezmyślny wandalizm i przypadkową przemoc. Chciał wytrzeć spocone dłonie i w końcu użył do tego swojej koszuli. Wyglądało na to, że wszystkie jego standardy uległy gwałtownemu obniżeniu.

– Myślałem, że to wszystko będzie trochę bardziej...

– Chwalebne? – spytał Temple. Prawnik patrzył ze zniesmaczoną miną w stronę sklepu.

– Chwała na wojnie jest równie rzadka jak złoto w ziemi, przyjacielu! – rzekł Cosca. – Albo stałość u kobiet! Możesz to zapisać.

Sworbreck obracał w palcach ołówek.

– Eee...

– Powinieneś mi towarzyszyć podczas oblężenia Dagoški! Tamtejsze chwalebne czyny mogłyby wypełnić tysiąc opowieści!

– Cosca chwycił go za ramię i powiódł wkoło drugą dłońią, jakby wskazywał nadchodzący legion w pozłacanych zbrojach, a nie bandę łotrzyków wywlekających meble z domu. – Zewsząd maszerowali niezliczeni Gurkowie! Nasza nieustraszona garstka broniła się na blankach wysokich murów! Nagle, na rozkaz...

– Generale Cosca! – Bermi pośpiesznie ruszył na drugą stronę ulicy i uskoczył przed parą galopujących koni wlekących

podskakujące drzwi wyrwane z jednego z domów. Po chwili ruszył dalej, rozwiewając chmurę pyłu kapeluszem. – Mamy problem. Jakiś Północny chwycił Dimbika i przystawił...

– Chwileczkę. – Cosca zmarszczył czoło. – Jakiś Północny?

– Zgadza się.

– Jeden człowiek?

Styryjczyk przeczesał palcami potargane złociste loki i założył kapelusz.

– Ale duży.

– Ilu ludzi ma Dimbik?

Przyjazny odpowiedział, zanim Bermi zdążył się zastanowić.

– W kontyngencie Dimbika jest stu osiemnastu najemników.

Bermi rozpostarł dłonie, odżegnując się od wszelkiej odpowiedzialności.

– Jeśli cokolwiek zrobimy, zabije kapitana. Kazał sprowadzić głównodowodzącego.

Cosca ścisnął palcem wskazującym i kciukiem pomarszczony grzbiet nosa.

– Gdzie jest ten potężny porywacz? Miejmy nadzieję, że uda nam się z nim dogadać, zanim rozprawi się z całą Kompanią.

– W środku.

Stary przyjrzał się podniszczonemu szyldowi nad drzwiami.

– „Dom Mięsa u Stupfera”. Mało apetyczna nazwa jak na burdel.

Bermi zmrużył oczy.

– To chyba gospoda.

– Więc nazwa jest jeszcze mniej apetyczna. – Stary gwałtownie wciągnął powietrze, po czym przekroczył próg, pobrząkując złoconymi ostrogami.

Sworbreck potrzebował chwili, żeby jego oczy przywykły do ciemności. Przez szpary w ścianach z desek wpadało migoczące światło. Na podłodze leżały dwa wywrócone krzesła i stół. Wokół stało kilku najemników uzbrojonych w dwie włócznie, dwa miecze, topór oraz dwie kusze wymierzone w napastnika, który siedział przy stole na środku pomieszczenia.

Północny jako jedyny nie okazywał nerwowości. Rzeczywiście był potężny; włosy zwisały mu wzdłuż twarzy i mieszały się z wytartym futrem okrywającym ramiona. Wąchał i spokojnie przeżuwał mięso i jaja, które leżały na stojącym przed nim talerzu, z dziwnie dziecinną niezdarnością trzymając widelec w lewej zaciśniętej dłoni. W prawej ręce, z dużo większą wprawą, dzierżył nóż, który przyciskał do gardła wytrzeszczającego oczy kapitana Dimbika bezradnie rozplaszczanego na blacie.

Sworbreck westchnął. Może to nie był heroizm, ale z pewnością nieustraszoność. Jemu także zdarzyło się publikować kontrowersyjne materiały, co wymagało godnej podziwu siły woli, ale nie rozumiał, jak ktoś może zachowywać spokój w takich okolicznościach. Odwaga pośród przyjaciół niewiele kosztuje. Co innego, gdy cały świat jest przeciwko tobie, a ty mimo wszystko krocysz swoją ścieżką. Polizał czubek ołówka, żeby to zapisać. Północny popatrzył na niego, a Sworbreck zauważył, że coś lśni za jego rzadkimi, prostymi włosami. To odkrycie go zmroziło. Lewe oko mężczyzny było zrobione z metalu, który lśnił w ciemnym wnętrzu karczmy, a twarz zniekształcała olbrzymia blizna. Drugie oko promieniowało straszliwą rządzą, jakby Północny z trudnością powstrzymywał się przez podejrzeniem Dimbikowi gardła, chociażby po to, żeby sprawdzić, co się stanie.

– A niech mnie! – Cosca wyrzucił ręce w górę. – Sierzancie Przyjazny, przecież to nasz dawny kompan!

– Caul Dreszcz – odezwał się Przyjazny cicho, nie spuszczając wzroku z Północnego.

Sworbreck był pewien, że spojrzenie nie może zabić, ale i tak cieszył się, że nie stoi pomiędzy tą dwójką.

Nie odrywając ostrza od gardła Dimbika, Dreszcz niezdarnie nabrał na widelec porcję jajek, przeżuł je nieśpiesznie i przełknął.

– Skurwiel chciał mi zabrać jajka – wyszeptał chrapliwie.

– Dimbik, ty niewychowany prostaku! – Cosca postawił jedno z krzeseł i usiadł naprzeciwko Dreszcza, karcąco kiwając palcem przed zaczerwienioną twarzą kapitana. – Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczy. Nigdy nie zabieraj jajek człowiekowi z metalowym okiem.

Sworbreck zapisał te słowa, chociaż miał wrażenie, że to mało uniwersalny aforyzm. Dimbik spróbował się odezwać, być może zamierzając powiedzieć to samo, ale Dreszcz mocniej przycisnął ostrze do jego gardła i kapitan tylko zabalgotał.

– To twój przyjaciel? – mruknął Północny, zerkając ze zmarszczonym czołem na swojego zakładnika.

Cosca wzruszył ramionami.

– Dimbik? Czasem się przydaje, ale nie nazwałbym go najlepszym człowiekiem w Kompanii.

Choć Dimbikowi trudno było wyrazić sprzeciw, gdyż Północny tak mocno przyciskał pięść do jego gardła, że kapitan ledwie mógł oddychać, to jednak sprzeciwiał się z całą stanowczością. Był jedynym członkiem Kompanii, który chociaż trochę dbał o dyscyplinę, godność oraz właściwe zachowanie, i proszę, do czego go to doprowadziło. Jakiś barbarzyńca dusi go

w podłej knajpie na pustkowiu.

Sprawę dodatkowo pogarszał – a przynajmniej jej nie polepszał – fakt, że dowódca Dimbika chętnie wdał się w pogaduszki z napastnikiem.

– Cóż za przypadek – mówił Cosca – że wpadamy na siebie po tylu latach, wiele setek mil od miejsca naszego pierwszego spotkania. Ile to może być mil, Przyjazny?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Nie lubię zgadywać.

– Myślałem, że wróciłeś na Północ?

– Wróciłem. Potem przybyłem tutaj. – Najwyraźniej Dreszcz nie miał w zwyczaju upiększać faktów.

– Po co?

– Szukam dziewięciopalcego mężczyzny.

Cosca wzruszył ramionami.

– Mógłbyś obciąć jeden palec Dimbikowi i zaoszczędzić sobie kłopotu.

Dimbik zaczął się wić i parskać, zaplątany we własną szarfę, ale Dreszcz mocniej przycisnął czubek noża do jego szyi i zmusił go do bezradnego opadnięcia na stół.

– Chodzi o konkretnego dziewięciopalcego mężczyznę – odrzekł chrapliwie, nie zdradzając ani cienia emocji. – Dotarły do mnie plotki, że może tutaj przebywać. Czarny Calder ma z nim rachunki do wyrównania. Podobnie jak ja.

– Nie widziałeś, do czego doprowadziło wyrównywanie rachunków w Styrii? Zemsta źle wpływa na interesy. Oraz na duszę, prawda, Temple?

– Tak słyszałem – odrzekł prawnik, którego Dimbik ledwie widział kątem oka.

Ależ nienawidził tego człowieka. Temple zawsze się zgadzał, zawsze przytakiwał, zawsze sprawiał wrażenie kogoś, kto wie lepiej, ale nie zamierza zdradzić skąd.

– Pozostawię dusze kapłanom, a interesy kupcom – odrzekł Dreszcz. – Ja się znam na wyrównywaniu rachunków. Kurwa!

Dimbik jęknął, oczekując końca. Po chwili rozległ się grzechot widelca upadającego na stół, a jajko rozbryzgnęło się na podłodze.

– Będzie ci łatwiej dwiema rękami. – Cosca pomachał do swoich ludzi stojących pod ścianami. – Możecie spocząć. Dreszcz to mój stary przyjaciel i nie spotka go tutaj żadna krzywda. – Najemnicy stopniowo opuścili kusze, ostrza i pałki. – Czy teraz wypuścisz kapitana Dimbika? Wystarczy, że jeden z nich zginie, a reszta zrobi się niespokojna. Są jak kaczęta.

– Kaczęta są groźniejsze niż ta zgraja – odparł Dreszcz.

– To najemnicy. Walka jest ostatnim, na co mają ochotę. Może się do nas przyłączysz? Będzie jak za dawnych lat. Koleżeństwo, śmiech, emocje!

– Trucizna, zdrada, chciwość? Przekonałem się, że wolę działać na własną rękę.

Nagle nacisk na szyję Dimbika ustał. Kapitan łapczywie wciągnął powietrze, po czym Dreszcz podniósł go za kołnierz i rzucił przez pomieszczenie. Dimbik, bezradnie wierzgając nogami, wpadł na jednego ze swoich kompanów i obaj runęli na stół.

– Dam ci znać, jeśli spotkam jakichś dziewięciopalcych mężczyzn – rzekł Cosca, kładąc dłonie na kolanach, obnażając poźółkłe zęby i wstając z krzesła.

– Zrób to. – Dreszcz spokojnie użył noża, którym niemal zakończył życie Dimbika, do krojenia mięsa. – A wychodząc,

zamknij drzwi.

Dimbik powoli wstał i zmierzył Północnego wzrokiem, ciężko dysząc i przyciskając dłoń do bolesnego otarcia na szyi. Chciał zabić to zwierzę. A przynajmniej zlecić jego zabicie. Jednak generał rozkazał, żeby nikt nie krzywdził Dreszcza, a Cosca, na szczęście lub niestety, chociaż raczej to drugie, był jego dowódcą. W odróżnieniu od reszty tej zbieraniny, Dimbik był żołnierzem. Poważnie traktował takie rzeczy jak szacunek, posłuszeństwo i procedury, nawet jeśli nikt inny tego nie robił. Zwłaszcza dlatego, że nikt inny tego nie robił. Poprawił pogniecioną szarfę, z obrzydzeniem zauważając, że wytarty jedwab jest uwalany jajkiem. Cóż to kiedyś była za piękna szarfa. Dzisiaj nikt by się tego nie domyślił. Kapitanowi bardzo brakowało służby w wojsku. Prawdziwym wojsku, a nie w tej chorej kpinie z żołnierskiego życia.

Był najlepszym człowiekiem w Kompanii, a traktowano go z pogardą. Otrzymał najmniej liczny oddział podwładnych, najgorsze zadania, najlichszą część łupów. Rozprostował znoszony mundur, uczesał się grzebieniem, po czym opuścił miejsce swojego upokorzenia i wyszedł na ulicę, starając się wyglądać jak najbardziej godnie.

Podejrzewał, że w szpitalu dla obłąkanych jedyny zdrowy na umyśle także wygląda na szaleńca.

Sufeen czuł zapach spalenizny. Przypomniały mu się inne bitwy, dawno temu. Bitwy, które trzeba było stoczyć. A przynajmniej tak mu się teraz wydawało. Zaczął od walki za ojczyznę, która wkrótce zmieniła się w walkę za przyjaciół, potem o przeżycie, za pieniądze, aż w końcu... w to, co robił

teraz. Ludzie, którzy próbowali zburzyć wieżę strażniczą, porzucili swój plan i, zniechęceni, siedzieli wokół budynku, podając sobie butelkę. Obok nich stał Inkwizytor Lorsen w jeszcze gorszym nastroju.

– Skończyliście z kupcem? – spytał Cosca, schodząc po stopniach prowadzących do drzwi karczmy.

– Owszem – odburknął Lorsen.

– I co odkryliście?

– Że zmarł.

Chwila ciszy.

– Życie jest morzem smutków.

– Niektórzy ludzie nie są w stanie wytrzymać surowego przesłuchania.

– To pewnie słabość serca spowodowana moralnym rozkładem.

– Nic się nie zmieniło – odrzekł Inkwizytor. – Mamy listę osad, którą otrzymaliśmy od Superiora. Następne będzie Lobbery, potem Averstock. Niech pan zbierze Kompanię, generale.

Cosca zmarszczył czoło. To była najpoważniejsza oznaka zmartwienia, jaką tego dnia zobaczył u niego Sufeen.

– Nie możemy przynajmniej pozwolić ludziom przenocować? Odpocząć, nacieszyć się gościnnością miejscowych...

– Wieści o naszym przybyciu nie mogą dotrzeć do buntowników. Szlachetni nie mogą sobie pozwolić na zwłokę. – Lorsenowi udało się to powiedzieć bez cienia ironii.

Cosca nadął policzki.

– Szlachetni ciężko pracują, prawda?

Sufeen poczuł porażającą bezsilność. Nagle ogarnęło go takie

zmęczenie, że ledwie mógł podnieść ręce. Gdyby tylko w pobliżu znajdowali się jacyś szlachetni ludzie... Niestety, on był najbliższym tego zaszczytu. Był najlepszym człowiekiem w Kompanii, i wcale się tym nie chlubił. Nawet robak w stercie gnoju mógłby się uznać za lepszego. Sufeen jako jedyny miał chociaż strzęp sumienia. Może nie licząc Temple'a, ale ten spędzał każdą chwilę, próbując przekonać siebie i innych, że jest inaczej. Sufeen popatrzył na prawnika, który stał za Coscą, lekko przygarbiony, jakby się ukrywał, z niespokojnymi palcami, które usiłowały ukręcić guziki przy koszuli. Człowiek, który mógłby być kimkolwiek, starał się zostać nikim. Jednakże w samym środku tego szaleństwa i zniszczenia zmarnowany potencjał jednej osoby nie wydawał się wart komentarza. Czy Jubair może mieć rację? Czy Bóg jest mściwym zabójcą, który lubuje się w zniszczeniu? W tej chwili trudno było temu zaprzeczyć.

Potężny Północny stał na werandzie przed „Domem Mięsa u Stupfera” i patrzył, jak dosiadają koni. Zaciskał potężne dłonie na balustradzie, a popołudniowe słońce odbijało się od martwej metalowej kulki, która zastępowała mu oko.

– Jak to opiszesz? – spytał Temple.

Sworbreck popatrzył ze zmarszczonym czołem na swoje zapiski, trzymając ołówek nad kartką, po czym starannie zamknął notatnik.

– Być może zatuszuję ten epizod.

Sufeen parsknął.

– Mam nadzieję, że wzięłeś dużo tuszu.

Nie dało się ukryć, że Kompania Łaskawej Dłoni tego dnia zachowała się z nietypową powściągliwością. Opuścili Uczciwość, tylko lekko narzekając na niewystarczającą jakość

rabunku. Pozostawili nagie ciało kupca wiszące na wieży strażniczej, a na szyi trupa umieścili tabliczkę, która ostrzegała, że jego los stanowi lekcję dla buntowników ukrywających się w Bliskiej Krainie. Sufeen nie potrafił przewidzieć, czy buntownicy dowiedzą się o tej lekcji, a jeśli tak, to czego ich ona nauczy. Obok kupca wisieli jeszcze dwaj mężczyźni.

– Kto to był? – spytał Temple, oglądając się ze zmarszczonym czołem.

– Młodego chyba zastrzelili podczas próby ucieczki. Co do drugiego nie jestem pewien.

Temple się skrzywił i zadrzał, bawiąc się postrzępionym rękawem.

– Cóż możemy począć?

– Tylko podążać za swoim sumieniem.

Temple zwrócił się w jego stronę ze złością.

– Jak na najemnika dużo gadasz o sumieniu!

– Więc po co przejmujesz się moimi słowami? Chyba że twoje sumienie nie daje ci spokoju?

– Z tego, co mi wiadomo, wciąż bierzesz pieniądze od Coski!

– Gdybym przestał, poszedłbyś w moje ślady?

Temple otworzył usta, po czym bezgłośnie je zamknął i ze wściekłym grymasem popatrzył w stronę horyzontu, skubiąc swój rękaw, skubiąc i skubiąc.

Sufeen westchnął.

– Bóg jeden wie, że nigdy nie uważałem się za dobrego człowieka.

Ktoś podpalił dwa najdalej wysunięte domy i Sufeen zapatrzył się na kolumny dymu unoszące się ku błękitowi.

– Jedynie za najlepszego w Kompanii.

Każdy ma przeszłość

Spadł rześisty deszcz. Wypełnił koleiny oraz głębokie odciski butów i kopyt taki, że ziemia zamieniła się w bagno, a głównej ulicy brakowało tylko nurtu, by móc ją ogłosić rzeką. Zaciągnął nad miastem szarą zasłonę, przez którą pojedyncze lampy przeświecały niczym przez mgłę, a pomarańczowe widmowe błyski tańczyły w setkach tysięcy kałuż. Rozchlapywał błoto, ściekając strumieniami z zatkanych rynien na dachach i dachów bez rynien oraz z krawędzi kapelusza Owcy, który moknął, przygarbiony i milczący, na siedzeniu wozu. Spływał żałosnymi kropelkami po znaku, który zwisał z powykrzywianego drewnianego łuku, oznajmiając, że te resztki miasteczka, do których wjeżdżają, to Averstock. Moczył ochlapane błotem boki Caldera, mocno utykającego na tylną nogę, oraz Szalki, który był w niewiele lepszym stanie. Padał na konie przywiązane do balustrady przed budą, która udawała karczmę. Trzy niezadowolone wierzchowce pociemniałe od wilgoci.

– To oni? – spytał Leef. – To ich konie?

– To oni – odrzekła Płoszka, przemoczona i lepka w przeciekającym płaszczu, jak kobieta pogrzebana żywcem.

– Co zrobimy? – Leef starał się ukryć napięcie, ale bezskutecznie.

Owca nie odpowiedział. Nie od razu. Zamiast tego nachylił się w stronę Płoszki.

– Wyobraź sobie, że złożyłaś dwie obietnice i nie możesz dotrzymać jednej bez złamania drugiej – rzekł cicho. – Co

robisz?

Zważywszy na czekające ich zadanie, Płoszka uznała ten problem za wydumany. Wzruszyła ramionami, podrażniając skórę mokrą koszulą.

– Pewnie dotrzymałabym tej, która jest ważniejsza.

– Racja – szepnął, patrząc na drugą stronę bagnistej ulicy. – Jak liście niesione wodą, prawda? Żadnego wyboru. – Siedzieli jeszcze przez chwilę, nie robiąc niczego poza moknięciem, aż w końcu Owca obrócił się na siedzeniu. – Wejdę pierwszy. Zajmijcie się wołami, a potem pójďte za mną, tylko spokojnie. – Zeskoczył z wozu, rozchlapując błoto. – Chyba że chcecie zostać. Tak może być najlepiej.

– Zrobię, co do mnie należy – odburknął Leef.

– Zdajesz sobie sprawę, co to może oznaczać? Zabiłeś kiedyś człowieka?

– A ty?

– Po prostu nie wchodźcie mi w drogę. – Owca już się nie garbił. Był większy. Potężny. Deszcz bębnił o ramiona jego płaszcza, odrobina światła padała z boku na jego surową twarz, której druga połowa pozostawała w ciemności. – Trzymajcie się z daleka. Musicie mi to obiecać.

– W porządku – odrzekł Leef, posyłając Płoszce zdziwione spojrzenie.

– W porządku – powiedziała Płoszka.

Takie słowa dziwnie brzmiały w ustach Owcy. Na każdym pastwisku można było znaleźć owieczki bardziej agresywne od niego, ale duma skłania mężczyzn do dziwnych zachowań. Płoszka nigdy nie przywiązywała do niej większej wagi. Dlatego uznała, że pozwoli mu się wygadać i pójść przodem. Ta metoda dobrze się sprawdzała, kiedy sprzedawali zboże. Niech ściągnie

na siebie uwagę, a ona wślizgnie się za nim. Wsunęła nóż do rękawa, patrząc, jak stary Północny brnie przez bagnistą ulicę, z trudem utrzymując buty na nogach i szeroko rozkładając ręce, żeby złapać równowagę.

Kiedy Owca zawiedzie, ona robi to, co trzeba. W końcu robiła to już wcześniej, z bardziej błahych powodów i ludziom, którzy mniej na to zasłużyli. Słyszając w głowie łomot serca, upewniła się, że nóż sprawnie wysuwa się z mokrego rękawa. Może ponownie to zrobić. Nie ma wyjścia.

Z zewnątrz karczma wyglądała jak rozsypująca się buda, a po wejściu do środka wrażenie nie ulegało zmianie. Płoszka zatęskniła za „Domem Mięsa u Stupfera”, czego nigdy by się po sobie nie spodziewała. Żałosny płomyk wił się w palenisku tak poczerńiałym, że nie było już dla niego ratunku, a w powietrzu unosiła się kwaśna woń dymu z palonego drewna, odór wilgoci i ciał nieznanających mydła. Rolę kontuaru pełnił kawał starego drewna pełnego drzazg, przez lata wypolerowanego łokciami i wypaczonego na środku. Karczmarz stał za nim i wycierał kubki.

Wąskie i niskie wnętrze wciąż nie było wypełnione, co w tak paskudny wieczór oznaczało porażkę. Grupa złożona z trzech mężczyzn i dwóch kobiet, zapewne niezbyt zamożnych handlarzy, pochylała się nad miskami z gulaszem przy stole najbardziej oddalonym od wejścia. Obok siedział zmęczony kościsty mężczyzna z kubkiem w dłoni. Płoszka przyjrzała mu się w lustrze pokrytym czarnymi plamkami i stwierdziła, że prawdopodobnie jest rolnikiem. Nad kolejnym stołem garbił się człowiek ubrany w futro tak ogromne, że niemal w nim tonął. Miał siwą czuprynę, kapelusz ozdobiony dwoma tłustymi piórkami i stała przed nim na wpół opróżniona butelka.

Naprzeciwko niego, sztywna jak sędzia podczas rozprawy, siedziała staruszka z ludu Duchów, ze złamanym nosem. Siwe włosy miała związane czymś, co przypominało strzępy imperialnej flagi, a zmarszczki na twarzy tak głębokie, że można by ich użyć jako przegródek na talerze. Oczywiście, gdyby owe talerze nie spłonęły razem z lustrem i całą resztą dobytku.

Płoszka przeniosła wzrok na ostatnich członków tej wesołej kompanii, udając, że wcale ich tam nie ma. Ale byli. Trzej mężczyźni pochyleni ku sobie. Wyglądali jak Unioniści, jeśli w ogóle dało się określić czyjeś pochodzenie w Bliskiej Krainie, gdzie każdy wyglądał równie żałośnie po kilku latach kontaktu z pyłem i niekorzystną pogodą. Dwaj byli młodzi: jeden miał na głowie szopę rudych włosów i zachowywał się niespokojnie, jakby po plecach chodziła mu mucha, drugi był przystojny, na ile Płoszka była w stanie to stwierdzić, patrząc na niego z boku, i miał na sobie płaszcz z owczej skóry ściśnięty eleganckim pasem wysadzonym metalowymi ćwiekami. Trzeci z mężczyzn był starszy, nosił brodę i wysoki kapelusz poplamiony deszczem, zawadiacko przekrzywiony na bok, jakby uważał się za kogoś wyjątkowego. Co oczywiście jest prawdą w wypadku większości mężczyzn, odwrotnie proporcjonalnie do ich wartości.

Miał miecz. Płoszka zobaczyła poobijany mosiężny czubek pochwy wystający przez rozcięcie w płaszczu. Przystojniak był uzbrojony w topór i ciężki nóż zatknięty za pas obok zwoju liny. Rudy był odwrócony tyłem, więc Płoszka nie mogła mieć pewności, ale niewątpliwie także miał przy sobie jedno albo dwa ostrza.

Trudno jej było uwierzyć w to, jacy są przeciętni. Zwyczajni i monotanni, jak tysiące innych wędrowców przepływających przez Uczciwość. Patrzyła, jak Przystojniak cofa dłoń i wsuwa

kciuk za elegancki pas, swobodnie zwieszając pozostałe palce i opierając się o kontuar, tak jak mógłby zrobić każdy po długiej podróży. Tylko że trasa jego wędrówki wiodła przez spalone gospodarstwo i zrujnowane nadzieje Płoszki, unosząc jej brata i siostrę w nieznane.

Mocno zacisnęła zęby i wślizgnęła się do pomieszczenia, trzymając się cieni, nie ukrywając się, ale także nie starając się rzucać w oczy. Nie było to trudne, ponieważ Owca robił coś przeciwnego, co było dla niego bardzo nietypowe. Podszedł do drugiego końca kontuaru i oparł potężne pięści na rozszczepionym drewnie.

– Zgotowaliście nam ładny wieczór – odezwał się do karczmarza, zdejmując kapelusz i zamasyście strzepując z niego wodę, tak żeby każdy podniósł na niego wzrok.

Tylko staruszka z ludu Duchów w milczeniu obserwowała Płoszkę głęboko osadzonymi oczami, gdy ta przesuwała się wzdłuż ścian.

– Troszkę deszczowy, prawda? – odrzekł karczmarz.

– Gdyby zaczęło nieco mocniej padać, moglibyście przeprowadzać ludzi przez ulicę promem.

Karczmarz zerknął na swoich gości z oszczędnym uśmiechem.

– Przydałby mi się jakiś interes przynoszący zyski. Słyszałem, że przez Bliską Krainę wędrują tłumy, ale tutaj jakoś nie trafiają. Coś do picia?

Owca ściągnął rękawice i niedbale rzucił je na blat.

– Wezmę piwo.

Karczmarz sięgnął po metalowy kubek, który wcześniej wytarł do połysku.

– Nie w tym. – Owca wskazał duży gliniany kufel,

staroświecki i zakurzony, który stał na górnej półce. – Lubię, kiedy coś mi ciąży w dłoni.

– Rozmawiamy o kuflach czy kobietach? – spytał karczmarz, sięgając po naczynie.

– Może o jednym i drugim? – Owca się wyszczerzył.

Jak może się uśmiechać w takiej chwili? Płoszka zerknęła na trzech mężczyzn, którzy siedzieli przy drugim końcu kontuaru, w milczeniu pochylając się nad swoimi napitkami.

– Skąd jesteś? – spytał karczmarz.

– Ze wschodu. – Owca zrzucił z ramion przemoczony płaszcz.

– Z południowego wschodu, z okolic Uczciwości.

Jeden z trzech mężczyzn, ten z rudymi włosami, popatrzył na Owcę, pociągnął nosem, po czym odwrócił wzrok.

– To daleko. Pewnie ze sto mil.

– Może nawet więcej, biorąc pod uwagę trasę, jaką obrałem. Do tego jadę przeklętym wozem zaprzężonym w woły. Moje stare dupsko przypomina mielonkę.

– Cóż, jeśli chcesz jechać dalej na zachód, proponuję dobrze się zastanowić. Zdąża tam mnóstwo ludzi, których gna gorączka złota. Słyszałem, że podrażnili Duchy.

– Czyżby?

– To szczerą prawdą, przyjacielu – rzucił mężczyzna w futrze, wyciągając szyję jak żółw wyglądający ze skorupy. Miał najniższy i najbardziej chrapliwy głos, jaki Płoszka kiedykolwiek słyszała, a miewała do czynienia z wieloma zdartymi gardłami. – Ruszyli się w całej Dalekiej Krainie jak mrówki, którym ktoś nadepnął na gniazdo. Wkurzone bandy szukające uszu, jak za dawnych lat. Słyszałem nawet, że Sangeded dobył miecza.

– Sangeded? – Karczmarz poruszył głową, jakby uciskał go kołnierz.

– Imperator Równin we własnej osobie. – Płoszka miała wrażenie, że stary drań czerpie sporą przyjemność z siania paniki. – Niecałe dwa tygodnie temu jego Duchy zmasakrowały grupę poszukiwaczy. Ucięły im uszy i nosy, i nie zdziwiłbym się, gdyby zabrały także fiuty.

– Co oni z nimi robią, do diabła? – spytał rolnik, z drżeniem wbijając wzrok w starą kobietę z ludu Duchów, ale ta nic nie odpowiedziała. Nawet się nie poruszyła.

– Jeśli koniecznie chcesz jechać na zachód, na twoim miejscu wyruszyłbym w licznej grupie i upewnił się, że twoim towarzyszom nie brakuje dobrego nastroju, a przede wszystkim ostrej stali. – Po tych słowach starzec ponownie zatonął w swoim futrze.

– Dobra rada. – Owca uniósł duży kufel i powoli pociągnął łyk.

Płoszka przełknęła razem z nim, nagle czując, że również koniecznie musi napić się piwa. Psiakrew, przecież chce się stąd wydostać. Wydostać albo zabrać do dzieła. Ale Owca z jakiegoś powodu zachowywał się równie nieśpiesznie jak podczas orki.

– Tylko że jeszcze nie jestem pewien, dokąd zmierzam.

– Co cię sprowadza tak daleko? – spytał karczmarz.

Owca zaczął podwijać wilgotne rękawy koszuli, pod którymi napinały się grube mięśnie przedramion porośniętych siwymi włosami.

– Jadę śladem pewnych ludzi.

Rudy ponownie uniósł wzrok, a fala drgawek przebiegła po jego ramieniu, docierając do twarzy. Tym razem nie odwrócił spojrzenia. Płoszka pozwoliła nożowi dyskretnie wysunąć się z rękawa i zacisnęła rozgrzane, lepkie palce na rękojeści.

– Po co? – spytał karczmarz.

– Spalili moje gospodarstwo. Porwali moje dzieci. Powiesili mojego przyjaciela – rzucił Owca obojętnie, jakby chodziło o drobiazg, po czym uniósł kufel.

W karczmie zapadła cisza, w której było słycać, jak przełyka piwo. Jeden z handlarzy obejrzał się ze zmarszczonym czołem. Wysoki Kapelusznik sięgnął po swój kubek i chwycił go tak mocno, że Płoszka zauważyła ścięgna napinające się na grzbiecie jego dłoni. W tej samej chwili Leef postanowił wejść do lokalu i stanąć na progu, mokry, blady i niepewny, co ma ze sobą począć. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdyż wszyscy wbijali wzrok w Owcę.

– To bardzo źli ludzie, pozbawieni skrupułów – ciągnął. – Porywają dzieci i wieszają ludzi w całej Bliskiej Krainie. W ciągu ostatnich kilku dni pochowałem ich z tuzin.

– Ilu jest tych drani?

– Około dwudziestu.

– Może powinniśmy zebrać drużynę i ich poszukać? – zaproponował karczmarz, chociaż sprawiał wrażenie, jakby wolał zostać i dalej wycierać kubki. Kto mógłby go winić?

Owca pokręcił głową.

– To bez sensu. Zdążą odjechać.

– Racja. No cóż, pewnie wcześniej albo później dopadnie ich sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość będzie musiała się zadowolić tym, co jej zostawię. – Owca skończył podwijając rękawy i odwrócił się bokiem, swobodnie opierając się o kontuar, patrząc prosto na trzech mężczyzn siedzących przy jego drugim końcu. Płoszka nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie tego. Owca gawędził z uśmiechem, jakby niczym się nie przejmował.

– Kiedy powiedziałem, że odjechali, trochę minąłem się

z prawdą. Trzech odłączyło się od reszty.

– Czyżby? – odezwał się Wysoki Kapelusze, odbierając karczmarzowi głos jak złodziej wyrywający torebkę.

Owca popatrzył mu w oczy.

– To szczerą prawdą.

– Trzech ludzi, powiadasz? – Niespokojna dłoń Przystojniaka zbłądziła w stronę topora za pasem. Nastrój w karczmie szybko się zmienił, a zapowiedź przemocy zawisła w niewielkim pomieszczeniu jak burzowa chmura.

– Posłuchajcie – odezwał się karczmarz. – Nie chcę żadnych kłopotów w swojej...

– Ja też nie chciałem żadnych kłopotów – przerwał mu Owca. – A jednak same mnie znalazły. Mają taki paskudny zwyczaj.

Odgarnął mokre włosy z twarzy. Miał szeroko otwarte, lśniące oczy oraz otwarte usta, przez które szybko oddychał, nie przestając się uśmiechać. Nie wyglądał jak człowiek przygotowujący się do trudnego zadania. Raczej jak ktoś, kogo czeka coś przyjemnego, więc się nie śpieszy, jak smakosz przy dobrym posiłku. Nagle Płoszka na nowo ujrzała jego blizny i poczuła lodowaty dreszcz na rękach oraz plecach, a wszystkie włosy stanęły jej dęba.

– Namierzyłem tych trzech – rzekł Owca. – Przez dwa dni jechałem po ich śladach.

Znów wszyscy wstrzymali oddech, a karczmarz cofnął się o krok, wciąż trzymając w dłoniach kubek i ścierkę. Widmo uśmiechu nadal utrzymywało się na jego twarzy, ale był pełen wątpliwości. Trzej mężczyźni odwrócili się w stronę Owcy, lekko się rozstępując. Stanęli plecami do Płoszki, która wyłoniła się z cienia i ruszyła ku nim powoli, jakby brnęła przez miód, poprawiając w mrowiących palcach rękojeść noża. Każda chwila

dłużyła się jak wiek, a wstrzymywane oddechy drażniły gardła.

– I dokąd cię te ślady doprowadziły? – spytał Wysoki Kapelusz łamiącym się głosem.

Owca uśmiechnął się jeszcze szerzej, jak człowiek, który dostał na urodziny dokładnie to, co sobie wymarzył.

– Do waszych nóg, skurwiele.

Wysoki Kapelusz odrzucił do tyłu łopoczące poły płaszcza, sięgając po miecz.

Owca rzucił kuflem, trafiając mężczyznę w głowę i posyłając go na ziemię pośród fontanny piwa.

Rozległ się zgrzyt, gdy rolnik spróbował wstać i potknął się o krzesło.

Rudowłosy młodzieniec cofnął się, chcąc zrobić sobie więcej miejsca albo po prostu pod wpływem szoku, a wtedy Płoszka przycisnęła mu do szyi płaską powierzchnię noża i mocno przytrzymała go drugą ręką.

Ktoś krzyknął.

Owca jednym susem przemierzył pomieszczenie. Złapał Przystojniaka za nadgarstek w chwili, gdy ten próbował wyciągnąć topór, szarpnął jego dłoń do góry, po czym drugą ręką chwycił nóż tkwiący za eleganckim pasem przeciwnika i wbił mu go w pachwinę, przesuwając ostrze ku górze, rozpruwając swoją ofiarę i ochlapując ich obu krwią. Przystojniak wydał z siebie bulgoczący wrzask, przerażająco głośny w tak małym wnętrzu, a następnie padł na kolana z wytrzeszczonymi oczami, próbując przytrzymać wylewające się wnętrzności. Owca zdzielił go w tył głowy ręką noża, uciszając jego krzyk i powalając go na ziemię.

Jedna z handlarek zerwała się na nogi, zakrywając usta dłońmi.

Rudzielec, którego trzymała Płoszka, zaczął się wić, a kobieta przytrzymała go mocniej i wyszeptała „Ciii”, przyciskając ostrze noża do jego szyi.

Wysoki Kapelusz chwiejnie wstał, zapominając o swoim nakryciu głowy. Krew płynęła z rozcięcia na jego czole. Owca chwycił go za szyję, podniósł jak szmacianą lalkę, uderzył jego twarzą o kontuar, potem ponownie, z chrzęstem przypominającym odgłos tłuczonego garnka, i jeszcze raz, aż głowa mężczyzny bezwładnie odskoczyła, a krew zbryzgała fartuch karczmarza, ścianę za jego plecami i sufit. Owca uniósł wysoko nóż, przez chwilę migając szaleńczym uśmiechem, po czym wbił ostrze w plecy ofiary, z taką siłą, że kontuar pękł przy wtórze potężnego trzasku, a w powietrze wystrzeliły drzazgi. Owca zostawił mężczyznę przygwożdżonego do blatu, z kolanami wiszącymi tuż nad posadzką, butami szorującymi po deskach, krwią skapującą wokół nich jak rozlany napitek.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Płoszka zdążyłaby najwyżej trzykrotnie odetchnąć, oczywiście gdyby przez cały czas nie wstrzymywała oddechu. Było jej gorąco, miała zawroty głowy, a cały świat wydawał się zbyt jasny. Mrugała powiekami. Nie potrafiła zrozumieć, co się wydarzyło. Przez cały czas nie ruszyła się z miejsca. Nadal stała nieruchomo. Tak jak wszyscy. Tylko Owca szedł naprzód z błyszczącymi oczami pełnymi łez, jedną stroną twarzy zbryzganą i umazaną na czarno, obnażonymi zębami lśniącymi w szaleńczym uśmiechu, z każdym oddechem cicho powarkując.

– Kurwa, kurwa – zajęczał Rudy, a Płoszka mocniej przycisnęła płaz noża do jego szyi i ponownie go uciszyła.

Wolną ręką wyjęła duże ostrze, prawie miecz, które miał za pasem. Po chwili Owca stanął nad skuloną parą, głową niemal

dotykając krokwi, chwycił młodzieńca za koszulę i wyrwał go ze słabego uścisku Płoszki.

– Mów. – Uderzył chłopaka w twarz, otwartą dłonią, ale na tyle mocno, że przewróciłby go na ziemię, gdyby go nie przytrzymał.

– Ja... – szepnął Rudy.

Owca ponownie go uderzył przy wtórze głośnego kłaśnięcia, a handlarze w głębi pomieszczenia wzdrygnęli się, ale nie wstali.

– Mów.

– Co chcesz...

– Kto dowodził?

– Cantliss. Tak się nazywa. – Chłopak zaczął bełkotać; słowa plątały mu się w ustach, jakby nie nadążał z ich wypowiedaniem. – Grega Cantliss. Nie wiedziałem, jaka to paskudna kompania, po prostu chciałem się dostać z miejsca na miejsce i trochę zarobić. Pracowałem jako przewoźnik na promie na wschodzie. Pewnego dnia przyszła ulewa, woda zabrała prom i... – Cios. – Nie chcieliśmy tego, musisz nam uwierzyć... – Cios. – Jest z nimi kilku złych ludzi. Północny imieniem Czarny Grot, który zastrzelił staruszkę z łuku. Śmiali się z tego.

– Widzisz, żebym ja się śmiał? – zapytał Owca i ponownie zdzielił go w twarz.

Rudowłosy chłopak uniósł bezużyteczną, drżącą dłoń.

– Ja się nie śmiałem! Nie chcieliśmy brać udziału w zabójstwach, więc się odłączyliśmy! Cantliss powiedział, że chodzi tylko o rabunek, ale okazało się, że porywaliśmy dzieci i...

Owca uciszył go kolejnym ciosem.

– Po co zabiera dzieci? – Zachęcił go do mówienia następnym

uderzeniem.

Piegowata twarz młodzieńca z jednej strony była rozcięta i opuchnięta, nos pokrywały smugi krwi.

– Powiedział, że ma na nie kupca, i kiedy je do niego dostarczymy, wszyscy będziemy bogaci. Obiecał, że włos im z głowy nie spadnie. Miały odbyć podróż w idealnym stanie.

Owca ponownie go uderzył, rozcinając skórę w drugim miejscu.

– Podróż dokąd?

– Najpierw do Fałdy.

– To u źródeł Sokwayi – zauważyła Płoszka. – Po drugiej stronie Dalekiej Krainy.

– Na Cantlissa czeka łódź. Zabierze go w górę rzeki... w górę rzeki...

– Do Fałdy, a potem dokąd?

Rudowłosy chłopak obwisł, na wpół omdlały, trzepocząc powiekami. Owca ponownie go spoliczkował, z obu stron, po czym potrząsnął, trzymając za koszulę.

– Do Fałdy, a potem dokąd?

– Nie powiedział. Przynajmniej nie mnie. Może Oberżyscie. – Popatrzył w stronę mężczyzny przyszpilonego do kontuaru, na rękojeść noża sterczącą mu z pleców.

Płoszka podejrzewała, że Oberżysta już niczego im nie opowie.

– Kto kupuje dzieci? – spytał Owca.

Oszołomiony Rudy pokręcił opuchniętą głową. Owca uderzył go jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz. Jedna z handlarek ukryła twarz w dłoniach. Druga tylko się przypatrywała, stojąc sztywno jak kołek. Jeden z jej towarzyszy pociągnął ją

z powrotem na krzesło.

– Kto je kupuje?

– Nie wiem. – Splątane słowa i krwawa ślina zwisająca z rozbitej wargi.

– Zostań tutaj.

Owca puścił chłopaka i podszedł do Wysokiego Kapelusza, którego buty tonęły w krwawej kałuży, zabrał mu miecz i wyjął nóż spod jego płaszcz. Potem przetoczył butem Przystojniaka i pozostawił go wpatzonego pustymi oczami w sufit. Mężczyzna wyglądał znacznie mniej atrakcyjnie z wnętrznościami na podłodze. Owca zabrał mu linę przypiętą do pasa, po czym podszedł do rudowłosego chłopaka i zaczął wiązać pętlę wokół jego szyi. Płoszka tylko się przyglądała, odrętwiała i bezsilna. Nie były to fachowe węzły, ale wystarczyły i po chwili Owca pociągnął młodzieńca w stronę drzwi, a ten podążył za nim pokornie jak zbity pies.

Nagle się zatrzymali. Karczmarz okrążył kontuar i stanął w progu. Oto dowód, że nigdy tak do końca nie wiadomo, do czego i kiedy jest zdolny człowiek. Kurczowo ścisnął ścierkę, jakby to była tarcza przeciwko złu. Płoszka podejrzewała, że ścierka nie sprawdzi się w tej roli, ale musiała przyznać, że karczmarz ma jaja. Miała tylko nadzieję, że Owca nie rozprawi się z nimi tak samo jak z wnętrznościami Przystojniaka, które walały się na drewnianej podłodze.

– To nie w porządku – powiedział karczmarz.

– Czy twoja śmierć sprawi, że będzie inaczej? – odrzekł beznamiętnie i cicho Owca, jakby to nie była groźba, tylko zwykłe pytanie. Nie musiał krzyczeć. Dwa trupy czyniły to za niego.

Karczmarz szybko się rozejrzał, ale żaden bohater nie

przyszedł mu z pomocą. Wszyscy sprawiali wrażenie wystraszonych, jakby Owca był wcieleniem samej śmierci. Nie licząc staruszki z ludu Duchów, która siedziała dumnie na swoim krześle i tylko patrzyła, oraz jej towarzysza w futrze, który cały czas miał skrzyżowane nogi i bez pośpiechu napełniał swój kubek.

– Nie w porządku. – Głos karczmarza był słaby jak rozwodnione piwo.

– Bardziej w porządku nie będzie – odparł Owca.

– Powinniśmy zwołać zgromadzenie i porządnie go osądzić, zapytać...

Owca pochylił się nad karczmarzem.

– Jedyne, o co musisz zapytać, to czy chcesz mi stać na drodze.

Karczmarz się skulił, a Owca ominął go, ciągnąc za sobą chłopaka. Płoszka nagle odzyskała władzę w nogach i szybko podążyła za nimi, przechodząc obok Leefa, który stał w progu z szeroko otwartymi ustami.

Deszcz osłabł do miarowej mżawki. Owca wlekkł Rudego przez bagnistą ulicę w stronę wykrzywionego drewnianego łuku, z którego zwisał szyld. Łuk był na tyle wysoki, że mógł się pod nim zmieścić jeździec. Albo zawisnąć pieszy.

– Owca! – Płoszka zeskoczyła z ganku karczmy, zapadając się po kostki. – Owca!

Z trudem przeszła na drugą stronę ulicy, brnąc w błocie wciągającym jej buty. Chwyciła luźny koniec liny i ją napięła, a rudowłosy chłopak potknął się, gdy pętla zacisnęła mu się pod brodą. Jego opuchnięta twarz była otępiała, jakby jeszcze się nie domyślił, dokąd go prowadzą.

– Czy nie widzieliśmy już wystarczająco wielu wisielców?! –

zawołała Płoszka, podchodząc do Owcy.

Nie odpowiedział, nawet na nią nie popatrzył, tylko owinął sobie przedramię końcem liny.

– To nie w porządku – powiedziała.

Owca pociągnął nosem i zabrał się za wciąganie chłopaka na łuk. Płoszka chwyciła linę przy szyi Rudego i zaczęła ją piłować krótkim mieczem. Broń była ostra i w ciągu kilku chwil przecięła splot.

– Uciekaj.

Młodzieniec tylko zamrugał.

– Uciekaj, ty pieprzony idioto! – Kopnęła go w tyłek, a on zatoczył się i przewrócił na twarz. Po chwili chwiejnie wstał i odbiegł w ciemność z liną wciąż zawiązaną wokół szyi.

Płoszka odwróciła się w stronę Owcy. Wpatrywał się w nią, trzymając w jednej dłoni zdobyczny miecz, a w drugiej sznur, ale wcale jej nie widział. Nie był sobą. Czy to może być ten sam człowiek, który pochylał się nad Ro i jej śpiewał, kiedy miała gorączkę? Nieudolnie, ale śpiewał, z twarzą pomarszczoną od troski. Teraz popatrzyła w jego ciemne oczy i poczuła dreszcz przerażenia, jakby zaglądała w otchłań. Stała na krawędzi nicości i musiała przywołać całą odwagę, żeby nie uciec.

– Przyrowadź ich konie! – warknęła do Leefa, który wyszedł na ganek z płaszczem i kapeluszem Owcy w dłoniach. – Ale już!

Leef pobiegł wykonać polecenie. Owca tylko stał, patrząc w ślad za rudowłosym chłopakiem, a deszcz powoli zmywał mu krew z twarzy. Kiedy Leef postawił przed nim największego konia, chwycił łąk siodła i chciał wskoczyć na grzbiet wierzchowca. Wtedy zwierzę przestraszyło się i wierzgnęło, a Owca stęknął, stracił uchwyt i runął do tyłu, próbując chwycić ręką powiewające strzemie, po czym ciężko wylądował na boku

w błocie. Płoszka uklękła obok niego, kiedy z trudem oparł się na dłoniach i kolanach.

– Nic ci się nie stało?

Podniósł na nią wzrok, a w jego oczach zalśniły łzy.

– Na spokój zmarłych, Płoszko – wyszeptał. – Na spokój zmarłych.

Wyteżyła wszystkie siły, żeby go podźwignąć, co nie było łatwe, nagle bowiem stał się bezwładny jak trup. Gdy w końcu stanął na nogach, przyciągnął ją do siebie za poły płaszcza.

– Obiecuj mi – szepnął. – Obiecuj, że już nigdy nie wejdiesz mi w drogę.

– Nie. – Położyła dłoń na jego pokrytym bliznami policzku. – Ale mogę potrzymać wodze.

Tak też zrobiła, a także przytrzymała głowę konia, szepcząc do niego uspokajające słowa, żałując, że nie ma nikogo, kto zrobiłby to samo dla niej. W tym czasie Owca gramolił się na siodło, powoli i z trudem, zgrzytając zębami, jakby wymagało to od niego nie lada wysiłku. Kiedy już usiadł na grzbiecie wierzchowca, pochylił się, zaciskając prawą dłoń na wodzach, a lewą przytrzymując płaszcz pod szyją. Znow wyglądał jak starzec. Bardziej niż kiedykolwiek. Starzec przygnieciony potwornym brzemieniem zmartwień.

– Nic mu nie jest? – spytał Leef głosem niewiele głośniejszym od szeptu, jakby się bał, że zostanie usłyszany.

– Nie wiem – odparła Płoszka.

Owca wyglądał tak, jakby niczego nie słyszał. Ze skrzywioną miną wpatrywał się w czarny horyzont, który zlewał się w jedno z czarnym niebem.

– A tobie? – wyszeptał Leef.

– Tego też nie wiem. – Czują, że świat jest rozbity na kawałki

i zmyty przez fale, a ona dryfuje na obcych morzach, daleko od lądu. – A jak ty się czujesz?

Leef tylko pokręcił głową i wbił wzrok w błoto, szeroko otwierając oczy.

– Lepiej zabierzmy z wozu to, co nam potrzebne, i wsiadajmy na koń.

– A co z Szalką i Calderem?

– Są wyczerpane, a my musimy ruszać dalej. Zostaw je.

Wiatr chłostał jej twarz deszczem, więc naciągnęła kapelusz mocniej na głowę i zacisnęła zęby. Jej brat i siostra – to na nich musi się skupić. Oni są gwiazdami, na które obierze kurs, dwoma świetlistymi punktami w ciemności. Tylko oni się liczą.

Dlatego spięła swojego nowego konia piętami i poprowadziła towarzyszy przez zapadający mrok. Nie ujechali daleko, gdy Płoszka usłyszała jakieś odgłosy przebijające się przez szum wiatru i zwolniła do spacerowego tempa. Owca zawrócił wierzchowca i dobył miecza. Była to stara broń kawaleryjska, długa i ciężka, zaostrzona po jednej stronie.

– Ktoś za nami jedzie! – rzekł Leef, sięgając po łuk.

– Odłóż to! Przy takim świetle prędzej sam się postrzelisz. Albo, co gorsza, mnie.

Usłyszała dźwięk kopyt oraz skrzypienie wozu na szlaku za nimi i dostrzegła migotanie pochodni między pniami drzew. Czyżby ścigali ich ludzie z Averstock? Może karczmarz przywiązywał większą wagę do sprawiedliwości niż się wydawało? Chwyciła rogową rękojeść i dobyła krótkiego miecza, który zaśnił w ostatnich czerwonych promieniach wieczornego słońca. Nie miała pojęcia, czego jeszcze może się spodziewać. Nawet gdyby sam Juvens wybiegł z ciemności i życzył im dobrego wieczoru, tylko wzruszyłyby ramionami

i spytała, dokąd zmierza.

– Zaczekajcie! – rozległ się najniższy i najbardziej szorstki głos, jaki Płoszka kiedykolwiek słyszała. Nie był to Juvens, tylko mężczyzna w futrze. Pojawił się w ich polu widzenia, jadąc konno z pochodnią w dłoni. – Jestem przyjacielem! – dodał, zwalniając do stępa.

– Nie jesteś moim przyjacielem – odparła.

– Więc wykonajmy pierwszy krok. – Sięgnął do torby przy siodle i rzucił Płoszce w połowie wypełnioną butelkę.

Nadjechał wóz ciągnięty przez dwa konie, którego lejce trzymała staruszka z ludu Duchów. Jej pomarszczona twarz była równie pozbawiona wyrazu jak w karczmie. W zębach trzymała starą osmaloną fajeczkę z czagą, ale jej nie paliła, tylko żuła cybuch.

Przez chwilę siedzieli nieruchomo w ciemności.

– Czego chcecie? – spytał w końcu Owca.

Nieznajomy powoli uniósł rękę i zsunął kapelusz na tył głowy.

– Nie ma potrzeby, żeby dziś wieczorem rozlewać więcej krwi, wielkoludzie, nie jesteśmy waszymi wrogami. A gdybyśmy byli, to zapewne poważnie byśmy to przemyśleli. Chcemy tylko porozmawiać. Złożyć propozycję, która może się okazać korzystna dla nas wszystkich.

– Zatem mów, co masz do powiedzenia – odrzekła Płoszka, odkorkowując zębami butelkę i cały czas trzymając miecz w pogotowiu.

– Tak zrobię. Nazywam się Dab Słodki.

– Co takiego? – zdziwił się Leef. – Jak ten zwiadowca, o którym krąży tyle opowieści?

– Właśnie tak. To ja.

Płoszka na chwilę oderwała się od butelki.

– Jesteś Dab Słodki? Ten sam, który jako pierwszy zobaczył Czarne Góry? – Podała trunek Owcy, a ten od razu przekazał go Leefowi, który pociągnął łyk i zakaszłał.

Słodki zachichotał.

– Myślę, że to góry zobaczyły mnie pierwsze. Zresztą, Duchy żyją tam od kilkuset lat, Imperialni zapewne byli tam przed nimi, a któż może wiedzieć, kto mieszkał w tamtych okolicach przed Dawnymi Czasami? Trudno powiedzieć, kto ma pierwszeństwo do czegokolwiek w tej krainie.

– Ale to prawda, że zabiłeś tamtego olbrzymiego rudego niedźwiedzia przy źródłach Sokwayi, i to gołymi rękami? – spytał Leef, oddając butelkę Płoszce.

– Owszem, wielokrotnie byłem u źródeł Sokwayi, ale ta opowieść mi ubliża. – Słodki się uśmiechnął, a zmarszczki rozprzestrzeniły się po jego ogorzalej twarzy. – Walka gołymi rękami z nawet najmniejszym niedźwiedziem nie wydaje się zbyt mądra. Jeśli chodzi o niedźwiedzie, a także inne niebezpieczeństwa, zdecydowanie wolę trzymać się od nich z daleka. Jednak przez lata wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy, a muszę przyznać, że pamięć już nie służy mi tak dobrze jak kiedyś.

– Więc może źle zapamiętałeś swoje imię – odparła Płoszka i pociągnęła kolejny łyk. Dręczyło ją piekielne pragnienie.

– Kobieto, mógłbym w to uwierzyć, gdybym nie miał go wytłoczonego na siodle. – Po przyjacielsku poklepał zniszczoną skórę. – Dab Słodki.

– Po tym, co o tobie słyszałam, byłam pewna, że jesteś wyższy.

– Na podstawie opowieści powinienem mieć pół mili wzrostu.

Ludzie lubią gadać. A kiedy już zaczną, nie mam wpływu na to, jak bardzo urosnę, czyż nie?

– Kim jest dla ciebie ten stary Duch? – spytała Płoszka.

Staruszka odezwała się tak powolnym i uroczystym głosem, jakby wygłaszała mowę pogrzebową.

– On jest moją żoną.

Słodki ponownie chrapliwie się roześmiał.

– Przyznaję, że czasami tak się czuję. Przedstawiam wam Płaczącą Skałę. Razem przemierzyliśmy każdy zakątek Dalekiej i Bliskiej Krainy oraz wiele miejsc, które nie mają nazw. Obecnie pełnimy rolę zwiadowców, myśliwych i pilotów w Drużynie poszukiwaczy, którą prowadzimy przez równiny do Fałdy.

Płoszka zmrużyła oczy.

– Naprawdę?

– Z tego, co usłyszałem w karczmie, wy również zmierzacie w tamtym kierunku. Sami nie znajdziecie łodzi, a przynajmniej żadna się nie zatrzyma, żeby was zabrać, co oznacza konieczność samotnej podróży konno, wozem albo pieszo. Będziecie potrzebowali towarzystwa, zwłaszcza że w okolicy grasują Duchy.

– Waszego towarzystwa, jak mniemam.

– Może nie duszę niedźwiedzi gołymi rękami, ale jak nikt znam Daleką Krainę. Jeśli ktoś może was doprowadzić do Fałdy z uszami na miejscu, to z pewnością jestem to ja.

Płacząca Skała odchrząknęła, przesuwając językiem wygasłą fajkę z jednej strony ust na drugą.

– Ja i Płacząca Skała.

– A dlaczego mielibyście wyświadczyć nam taką przysługę? – spytała Płoszka. Zwłaszcza po tym, co niedawno widzieli.

Słodki podrapał się po zarośniętej szczęce.

– Nasza ekspedycja wyruszyła, zanim na równinach zaczęło być niespokojnie, i uczestniczą w niej różni ludzie. Kilkoro ma broń, ale za mało doświadczenia i zbyt wiele bagaży. – Zmierzył Owcę wzrokiem, tak jak Clay mógłby patrzeć na kupione ziarno. – Teraz, kiedy w Dalekiej Krainie panują niepokoje, przydałby się nam jeszcze jeden człowiek, któremu nie robi się słabo na widok krwi. – Przeniósł wzrok na Płoszkę. – Zresztą mam wrażenie, że ty także potrafisz władać ostrzem, kiedy to konieczne.

Zważyła miecz w dłoni.

– Jakoś udaje mi się go nie upuścić. Co proponujecie?

– Zazwyczaj ludzie oferują drużynie swoje umiejętności albo się wkupują. Potem wszyscy dzielą się zapasami i pomagają sobie w miarę możliwości. Wasz wielkolud...

– Owca.

Słodki uniósł brew.

– Naprawdę?

– Imię jak każde inne – odparł Owca.

– Nie będę się spierał. Możesz do nas dołączyć za darmo. Widziałem na własne oczy, co potrafisz. Ty możesz zapłacić połowę stawki, kobieto, a chłopak musi wnieść pełną opłatę, co razem daje... – Słodki zmarszczył czoło, rachując w myślach.

Co prawda, Płoszka tego wieczoru widziała śmierć dwóch ludzi i ocaliła trzeciego, wciąż miała mdłości i zawroty głowy, ale nie zamierzała pozwolić, by dobry interes przeszedł jej koło nosa.

– Wszyscy pojedziemy za darmo.

– Co takiego?

– Leef to najlepszy łucznik, jakiego widziałeś. Jest nieoceniony.

Słodki nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Naprawdę?

– Naprawdę? – szepnął Leef.

– Wszyscy pojedziemy za darmo. – Płoszka pociągnęła kolejny łyk i rzuciła butelkę Dabowi. – Wóz albo przewóz.

Słodki zmrużył oczy i powoli napił się trunku, po czym ponownie popatrzył na Owcę. Olbrzym siedział nieruchomo w ciemności, a blask pochodni tańczył w kącikach jego oczu.

– Lubisz dyktować warunki, prawda? – Zwiadowca westchnął.

– Jeśli chodzi o złe interesy, zdecydowanie wolę trzymać się od nich z daleka.

Słodki znów zachichotał, po czym popędził konia, wepchnął sobie butelkę pod pachę, zdjął rękawicę zębami i podał Płoszce rękę.

– Zgoda. Chyba cię polubię, dziewczyno. Jak się nazywasz?

– Płoszka Południe.

Słodki ponownie uniósł brew.

– Płoszka?

– To tylko imię, starcze, nie opisuje mojej natury. A teraz oddaj mi butelkę.

Wspólnie odjechali w ciemność, a Dab Słodki snuł opowieści swoim chrapliwym basem. Mówili wiele i milczeli, śmiali się swobodnie, jakby godzinę wcześniej wcale nie zostawili za sobą dwóch trupów, oraz przekazywali sobie butelkę, dopóki jej nie opróżnili, a wtedy Płoszka odrzuciła ją w mrok, czując ciepło w brzuchu. Kiedy po Averstock pozostało już tylko kilka świateł

na horyzoncie, wstrzymała wierzchowca i zrównała się z człowiekiem, który był dla niej jak ojciec.

– Nie zawsze miałeś na imię Owca, prawda?

Popatrzył na nią, po czym odwrócił wzrok. Jeszcze bardziej się przygarbił i mocniej otulił płaszczem. Raz za razem poruszał kciukiem, masując kikut brakującego środkowego palca.

– Każdy ma przeszłość – odparł.

Nie da się ukryć.

Porwani

Dzieci kulili się w milczeniu za każdym razem, gdy Cantliss udawał się po kolejnych malców. Mówił, że spędza ich do obozowiska jak bezpańskie bydło, zupełnie, jakby mógł ich przygarnąć bez potrzeby zabijania kogokolwiek. Jakby nie musiał robić tego, co wtedy w gospodarstwie, ani śmiać się ze swoich czynów, gdy sprowadzał kolejnych maluszków o szeroko otwartych oczach. Czarny Grot stale się śmiał, wykrzywiając usta, w których brakowało dwóch przednich zębów. Jakby nie znał żartu śmiesznieszego niż morderstwo.

Początkowo Ro próbowała zgadnąć, gdzie się znajdują. Może nawet zostawić jakiś ślad dla tych, którzy z pewnością podążali jej tropem. Ale lasy i pola zmieniły się w pustkowie porośnięte rzadkimi krzakami, które stanowiły najwyraźniejszy punkt orientacyjny. Domyśliła się jedynie, że zacierają na zachód. Musiała myśleć o Pestce i innych dzieciach; starała się dbać o to, żeby były najedzone, czyste i spokojne.

Dzieci pochodziły z różnych miejsc, ale żadne nie miało więcej niż dziesięć lat. Było ich dwadzieścioro jeden, ale pewnego dnia mały Care usiłował uciec, a Czarny Grot ruszył w pogoń i wrócił cały zakrwawiony. Nikt z pozostałej dwudziestki już nie próbował ucieczki.

Była z nimi kobieta zwana Pszczołą, która była sympatyczna, mimo że miała ręce pokryte bliznami po ospie. Czasami przytulała malców. Nie Ro, ponieważ ta nie potrzebowała przytulania, a także nie Pestkę, który mógł się przytulić do

siostry, ale niektóre mniejsze dzieci. Uciszała je szeptem, kiedy płakały, ponieważ piekielnie bała się Cantlissa. Od czasu do czasu ją bił, a potem ona ocierała krew z nosa i go usprawiedliwiała. Opowiadała o tym, że miał ciężkie życie, porzucili go rodzice, był bity w dzieciństwie i tak dalej. Ro uważała, że takie doświadczenia powinny raczej skłaniać do powstrzymywania się od bicia innych, ale uznała, że najwyraźniej każdy ma swoje wymówki. Nawet jeśli są one słabe.

W oczach Ro Cantliss nie miał w sobie nic wartościowego. Jechał na przedzie w elegancko skrojonym stroju, jakby był kimś znacznym wypełniającym ważne zadanie, a nie zwykłym porywaczem dzieci i najpodlejszym mordercą, który starał się wyglądać na kogoś wyjątkowego, otaczając się jeszcze gorszymi szumowinami. Wieczorami kazał rozpalać ogromne ognisko, ponieważ uwielbiał patrzeć, jak coś płonie, i zaczynał pić, a wtedy jego usta wykrzywił gorzki grymas i Cantliss zaczynał narzekać. Na niesprawiedliwość życia, na to, że jakiś bankier podstępem pozbawił go spadku, i że wszystko toczy się nie po jego myśli.

Kiedy zatrzymali się na jeden dzień obok szerokiej płynącej wody, Ro spytała, dokąd ich zabiera, a on odrzekł tylko: „W górę rzeki”. Przy brzegu unosiła się łódź, którą popłynęli pod prąd, za pomocą żerdzi, lin i wiosł obsługiwanych przez żyłastych mężczyzn, patrząc na przesuwany się płaski krajobraz i wyłaniające się z mgły trzy błękitne szczyty widoczne na tle północnego nieba.

Ro początkowo sądziła, że odpoczynek od jazdy konnej okaże się błogosławieństwem, ale teraz mogli tylko beczynnie siedzieć pod baldachimem na dziobie i obserwować wodę oraz

mijany ląd, czując, jak ich dawne życie coraz bardziej się oddala, a twarze znajomych ludzi zacierają się w pamięci, aż w końcu przeszłość upodobniła się do snu, a przyszłość stała się nieznanym koszmarem.

Czarny Grot od czasu do czasu schodził na ląd z dwójką ludzi, zabierając ze sobą łuk, po czym wracał z upolowaną zwierzyną. Przez resztę czasu siedział na pokładzie, paląc i godzinami obserwując z szerokim uśmiechem dzieci. Kiedy Ro widziała w jego ustach lukę po brakującym zębie, przypomniała sobie, jak zastrzelił Gully'ego i zostawił go wiszącego na drzewie, przeszytego strzałami. Gdy o tym myślała, chciało jej się płakać, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić, ponieważ jest jedną z najstarszych i mniejsze dzieci potrzebują jej siły. Uznała, że jeśli nie będzie płakała, na swój sposób zdoła ich pokonać. Może to niewielkie zwycięstwo, ale Płoszka zawsze powtarzała, że liczy się każda wygrana.

Po kilku dniach spędzonych na łodzi zobaczyli, jak coś płonie po drugiej stronie trawiastego pustkowia. Kłęby dymu wzbijały się w niebo i rozplywały w ogromie przestrzeni, a czarne kropki ptaków bezustannie krążyły. Kapitan łodzi stwierdził, że powinni zawrócić, gdyż w okolicy krążą Duchy, ale Cantliss tylko się roześmiał, po czym poprawił nóż przy pasie i ostrzegł, że tuż obok znajdują się znacznie bardziej niepokojące niebezpieczeństwa. Na tym rozmowa się skończyła.

Tego wieczoru jeden z mężczyzn ją obudził i zaczął opowiadać o tym, że kogoś mu przypomina. Uśmiechał się, ale w jego oczach było coś niedobrego, a oddech cuchnął alkoholem. Chwycił ją za rękę, a wtedy Pestka uderzył go z całej siły, czyli niezbyt mocno. Pszczoła obudziła się i wrzasnęła, a wtedy Cantliss odciągnął swojego człowieka. Czarny Grot zaczął go

kopać, dopóki ten nie znieruchomiał, po czym wrzucił go do wody. Cantliss zawołał do pozostałych, żeby nie ważyli się naruszyć towaru, tylko używali swoich pieprzonych rąk, gdyż żaden drań nie będzie go wpędzał w kosza.

Wiedziała, że nie powinna o tym wspominać, ale nie potrafiła się powstrzymać i rzuciła:

– Moja siostra za mną jedzie! Mogę się założyć, że was znajdzie!

Spodziewała się, że Cantliss ją uderzy, ale on tylko popatrzył na nią, jakby była kolejną z wielu niedogodności, które przyniósł mu los.

– Maleńka, przeszłość minęła, podobnie jak ta przepływająca woda. Im szybciej wbijesz to sobie do swojej małej główki, tym lepiej dla ciebie. Już nie masz siostry. Nikt za tobą nie jedzie. – Po tych słowach oddalił się i stanął na dziobie, cmokając z niezadowoleniem, gdy bezskutecznie próbował usunąć plamki krwi z eleganckiego ubrania za pomocą wilgotnej szmatki.

– Czy to prawda? – spytał Pestka. – Nikt za nami nie jedzie?

– Płozka na pewno wyruszyła naszym śladem.

Ro ani przez chwilę w to nie wątpiła, ponieważ wiedziała, że Płozka nie należy do osób, którym można cokolwiek nakazać. Choć tak naprawdę miała nadzieję, że Płozka wcale nie ruszyła w pogoń, ponieważ Ro nie chciała zobaczyć, jak ją przeszywają strzały, i nie wiedziała, jak siostra mogłaby im pomóc. Nawet nie licząc trójki dezertków, kolejnej dwójki, która zabrała większość koni, żeby je sprzedać, gdy wsiedli na pokład, oraz mężczyzny, którego zabił Czarny Grot, Cantliss i tak miał do dyspozycji trzynastu ludzi. Nikt nie mógł mu się przeciwstawić.

Żałowała, że nie ma z nimi Owcy, który mógłby się uśmiechnąć i zapewnić: „Wszystko będzie dobrze. Nie martw

się”, tak jak wtedy podczas burzy, gdy nie mogła zasnąć. Byłoby miło.

II

Drużyna

*„Cóż za dzikie życie, cóż za nowy rodzaj egzystencji!
Tylko te niewygody!”.*

Henry Wadsworth Longfellow

Sumienie i zgnilizna fiuta

– Modlisz się?

Sufeen westchnął.

– Nie, klęczę z zamkniętymi oczami i gotuję owsiankę. Oczywiście, że się modłę. – Rozchylił powiekę jednego oka i popatrzył na Temple’a. – Chcesz się przyłączyć?

– Zapomniałeś, że nie wierzę w Boga? – Temple zdał sobie sprawę, że znów skubie brzeg koszuli, i się powstrzymał. – Czy możesz uczciwie stwierdzić, że On kiedykolwiek ruszył palcem, żeby ci pomóc?

– Nie trzeba lubić Boga, by wierzyć. Poza tym wiem, że mnie już nie da się pomóc.

– Więc o co się modlisz?

Sufeen otarł twarz modlitewną szmatką, zerkając na Temple’a ponad jej krawędzią.

– Modłę się za ciebie, bracie. Sprawiasz takie wrażenie, jakbyś tego potrzebował.

– Czuję się... trochę niespokojny. – Temple zauważył, że teraz zaczął gnieść rękaw, i czym prędzej cofnął dłoń. Na litość boską, czy jego palce nie spoczną, póki nie rozprawią się z każdą koszulą, którą posiada? – Czy kiedykolwiek czuleś, że wisi nad tobą przerażający ciężar...

– Często.

– ...a ty nie wiesz, jak się spod niego wydostać?

– Ale przecież ty to wiesz.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Nie – odparł Temple, cofając się o krok. – Nie, nie.

– Stary liczy się z twoim zdaniem.

– Nie!

– Mógłbyś z nim porozmawiać, nakłonić, żeby zakończył...

– Próbowałem, ale nie chce mnie słuchać!

– Może za słabo próbowałeś.

Temple zakrył uszy, ale Sufeen odciągnął jego rękę.

– Łatwa droga prowadzi donikąd!

– Więc ty z nim porozmawiaj.

– Jestem tylko zwiadowcą!

– A ja tylko prawnikiem! Nigdy nie twierdziłem, że jestem szlachetnym człowiekiem.

– Żaden szlachetny człowiek tak nie twierdzi.

Temple wyrwał się i odszedł między drzewa.

– Skoro Bóg chce, żeby to się skończyło, niech sam to powstrzyma! Czy nie jest wszechmogący?

– Nigdy nie zostawiaj Bogu tego, co możesz zrobić sam! – zawołał za nim Sufeen.

Temple zgarbił się, jakby te słowa były kamieniami miotanymi z procy. Ten człowiek zaczynał mówić jak Kahdia. Temple tylko miał nadzieję, że wszystko skończy się inaczej.

Niewątpliwie nikomu innemu w Kompanii nie zależało na unikaniu przemocy. Lasy były pełne chętnych wojowników, którzy poprawiali zużyte paski, ostrzyli broń, naciągali łuki. Dwaj Północni okładali się po zaróżowionych twarzach, wspinając się na szczyty podniecenia. Dwaj Kantyjczycy oddawali się własnym modłom, klęcząc przed kamieniem do błogosławieństw, który z wielką pieczę ułożyli na pniu świętego

drzewa, niewłaściwą stroną ku górze. Każdy człowiek próbuje sprzymierzyć się z Bogiem, niezależnie od tego, po której stronie stoi.

Potężny wóz wciągnięto na polanę, a zapracowane konie posilały się z worków z obrokiem. Cosca stał oparty o jedno z kół i objaśniał swoją wizję ataku na Averstock najważniejszym członkom Kompanii, płynnie przechodząc pomiędzy styryjskim a wspólną mową, obszernie gestykułując dłonią i kapeluszem na potrzeby tych, którzy nie znali żadnego z tych języków. Sworbreck przykucnął obok głazu i przygotował ołówek do opisywania wybitnego dowódcy przy pracy.

– ...żeby unijny kontyngent kapitana Dimbika mógł nadciągnąć z zachodu, wzdłuż rzeki!

– Tak jest, generale – odrzekł Dimbik, poprawiając poślinionym małym palcem kilka solidnie natłuszczonych włosów.

– Tymczasem Brachio poprowadzi skoordynowany atak ze wschodu!

– Skoor... co? – mruknął Styryjczyk, dotykając językiem zgniętego zęba.

– Zaatakujesz w tej samej chwili – wyjaśnił Przyjazny.

– Aha.

– A Jubair zejdzie ze wzgórza i wyłoni się z lasu, zamykając okrążenie! – Piórko na kapeluszu Coski miotano się, osiągając metaforyczne zwycięstwo nad siłami ciemności.

– Niech nikt nie ucieknie – wychrypiał Lorsen. – Musimy wszystkich przesłuchać.

– Oczywiście. – Cosca wysunął zuchwę i z namysłem podrapał się po szyi, gdzie pojawiła się bladoróżowa wysypka. – A wszystkie zagarnięte dobra należy zgłosić, oszacować

i odnotować, żeby później podzielić łupy zgodnie z Zasadą Ćwiartek. Jakież pytania?

– Ilu ludzi Inkwizytor Lorsen zamęczy dzisiaj na śmierć? – zapytał Sufeen donośnym głosem.

Temple popatrzył na niego z szeroko otwartymi ustami. Nie był jedyny.

– Chodziło mi o pytania dotyczące naszej taktyki... – odrzekł Cosca, nie przestając się drapać.

– Tyłu, ilu będzie trzeba – wszedł mu w słowo Inkwizytor. – Myślisz, że sprawia mi to radość? Świat jest szarym miejscem pełnym półprawd. Częściowego zła i częściowego dobra. A jednak są na nim rzeczy, o które warto walczyć, i należy do tego dążyć z pełnym zaangażowaniem i oddaniem. Półśrodki do niczego nie prowadzą.

– A jeśli tam nie ma żadnych buntowników? – Sufeen odtrącił rękę Temple'a, który rozpaczliwie szarpał go za rękaw. – Jeśli pan się myli?

– Czasami tak się dzieje – przyznał Lorsen. – Odwaga polega na mężnym ponoszeniu kosztów. Każdy z nas czegoś żałuje, ale nie każdy może sobie pozwolić na to, by wyrzuty sumienia go ograniczały. Czasami trzeba popełnić małą zbrodnię, żeby zapobiec większej. Czasami mniejsze zło jest większym dobrem. Człowiek z zasadami musi podejmować trudne decyzje i ponosić ich konsekwencje. Oczywiście, można też usiąść i płakać nad niesprawiedliwością losu.

– Mnie to odpowiada – odparł Temple, śmiejąc się nieszczerze.

– A mnie nie. – Sufeen miał dziwny wyraz twarzy, jakby patrzył poza zgromadzonych ludzi na coś znajdującego się w oddali. Temple wyczuwał w jego głosie złą wróżbę. Jeszcze

gorszą niż zazwyczaj. – Generale Cosca, chcę zejść do Averstock.

– Jak my wszyscy! Nie słyszałeś mojej mowy?

– Przed atakiem.

– Po co? – zażądał Lorsen.

– Żeby porozmawiać z mieszkańcami – odrzekł Sufeen. – Dać im szansę wydania buntowników.

Temple się skrzywił. Mój Boże, cóż za absurdalny pomysł. Szlachetny, prawy, odważny i absurdalny.

– Żeby uniknąć tego, co się wydarzyło w Uczciwości...

Cosca nie ukrywał oburzenia.

– Uważam, że wyjątkowo dobrze się tam zachowywaliśmy. Stado kociaków wyrządziłoby większe szkody! Zgodzisz się ze mną, Sworbreck?

Pisarz poprawił okulary.

– Zadziwiająca powściągliwość – wydukał.

– To biedne miasteczko. – Sufeen wskazał gęstwinę drzew lekko drżącym palcem. – Nie mają niczego, co warto zabrać.

Dimbik zmarszczył czoło, drapiąc paznokciem plamę na swojej szarfie.

– Nie wiadomo, dopóki się nie zobaczy.

– Po prostu chciałbym, żebyście dali mi szansę. – Sufeen złożył dłonie i popatrzył Cosce w oczy. – Modłę się o to.

– Modlitwa to arogancja – zaintonował Jubair. – Nadzieja człowieka, że zmieni wolę Boga. Tymczasem Boży plan jest ustalony, a Jego słowa już zostały wypowiedziane.

– No to pierdolić Go! – warknął Sufeen.

Jubair lekko uniósł brew.

– Jeszcze się przekonasz, że to Bóg pierdoli ludzi.

Zapadła cisza, w której rozbrzmiewały tylko metaliczne nuty

wojskowych przygotowań dobiegające spomiędzy drzew oraz śpiew porannych ptaków.

Stary westchnął i potarł grzbiet nosa.

– Wyglądasz na zdeterminowanego.

Sufeen powtórzył słowa Lorsena.

– Człowiek kierujący się zasadami musi podejmować trudne decyzje i liczyć się z ich konsekwencjami.

– A jeśli się zgodzę, to co wtedy? Czy twoje sumienie będzie nas dręczyło aż do Bliskiej Krainy i z powrotem? To może się stać męczące. Sumienie potrafi dawać się we znaki, ale to samo można powiedzieć o zgniliznie fiuta. Dorosły człowiek powinien zmagać się ze swoimi dolegliwościami dyskretnie i nie pozwalać, by stały się problemem dla jego przyjaciół i kolegów.

– Sumienie to nie jest to samo co zgnilizna fiuta – odburknął Lorsen.

– Zaiste – rzekł z naciskiem Cosca. – Zgnilizna fiuta rzadko bywa śmiertelna.

Twarc Inkwizytora wykrzywiła jeszcze większa wściekłość niż zazwyczaj.

– Mam rozumieć, że rozważa pan przystanie na ten idiotyzm?

– Owszem. Miasteczko jest otoczone i nikt z niego nie ucieknie. Być może w ten sposób zdołamy ułatwić sobie życie. Co o tym myślisz, Temple?

Temple zamrugął.

– Ja?

– Patrzę na ciebie i wypowiadam twoje nazwisko.

– No tak, ale... ja? – Nie bez przyczyny przestał podejmować trudne decyzje. Jego wybory zawsze okazywały się błędne.

Najlepszy dowód stanowił fakt, że po trzydziestu latach nurzania się w ubóstwie i strachu pomiędzy kolejnymi katastrofami, wpakował się w taki układ. Przeniósł wzrok z Sufeena na Coscę, potem na Lorsena i z powrotem. Co może mu zapewnić największy zysk? Co jest najmniej groźne? Kto ma... rację? Niezwykle trudno było odnaleźć właściwą drogę w tym gąszczu. – Cóż...

Cosca wydał policzki.

– Człowiek sumienia i człowiek wątpliwości. Rzeczywiście, niech Bóg ma nas w opiece. Masz godzinę.

– Protestuję! – warknął Lorsen.

– Skoro pan musi, ale obawiam się, że niczego nie słyszę przez ten hałas.

– Jaki hałas?

Cosca wetknął sobie palce do uszu.

– Bla-li-la-li-la-li-la-li-la...!

Wciąż to robił, gdy Temple pośpiesznie ruszył między potężnymi drzewami w ślad za Sufeenem. Ich buty chrzęściły na opadłych patykach, zgniłych szyszkach, zbrązowiałych sosnowych igłach. Odgłosy ludzi ucichły i było słychać jedynie szelest gałęzi wysoko w górze oraz świergotanie i ćwierkanie ptaków.

– Oszalałeś? – syknął Temple, z trudem nadążając za Sufeenem.

– Raczej odzyskałem rozum.

– Co zamierzasz zrobić?

– Porozmawiam z nimi.

– Z kim?

– Z każdym, kto mnie wysłucha.

– Słowami nie naprawisz świata!

– Więc jak? Ogniem i mieczem? Dokumentami werbunkowymi?

Minęli ostatnią grupę zaskoczonych strażników, a gdy Bermi posłał im pytające spojrzenie, Temple tylko bezradnie wzruszył ramionami. Po chwili znaleźli się na otwartej przestrzeni i poczuli na twarzy jasne światło słońca. W dole kilka tuzinów domów tworzących Averstock tuliło się do zakrętu rzeki. W wypadku większości z nich określenie „dom” było zbyt łaskawe. Nędzne budy poprzedzielane piachem, a czasami gównem. Sufeen ruszył pewnym krokiem w ich stronę w dół zbocza.

– Co on zamierza, do diabła? – syknął Bermi ze swojej bezpiecznej kryjówki w cieniu drzew.

– Chyba podąża za swoim sumieniem – odrzekł Temple.

Styryjczyk nie wyglądał na przekonanego.

– Sumienie to gówniany nawigator.

– Często mu to powtarzam.

Mimo to, Sufeen nie zamierzał zwalniać.

– O Boże – szepnął Temple, mrużąc oczy i spoglądając na błękitne niebo. – O Boże, o Boże. – Po czym ruszył w ślad za Sufeenem przez trawę chłuszczącą mu łydki, upstrzoną białymi kwiatkami, których nazwy nie znał.

– Poświęcanie się dla idei wcale nie jest szlachetne! – zawołał, gdy dogonił zwiadowcę. – To paskudna, bezcelowa sprawa, za którą nikt ci nie podziękuje!

– Może Bóg to zrobi.

– Nawet jeśli istnieje jakiś Bóg, to ma ważniejsze zmartwienia niż ktoś taki jak my!

Sufeen szedł dalej, nie rozglądając się na boki.

– Wracaj, Temple. To nie jest łatwa ścieżka.

– Kurwa, domyśliłem się! – Chwycił Sufeena za rękaw. – Obaj wracajmy!

Sufeen odtrącił jego rękę.

– Nie.

– Więc idę z tobą!

– Dobrze.

– Kurwa! – Temple ponownie przyśpieszył kroku, żeby nadążyć za Sufeenem. Miasteczko coraz bardziej się zbliżało i coraz mniej wyglądało jak coś, dla czego chciałby ryzykować życie. – Jaki masz plan? Bo masz jakiś, prawda?

– Mam... część planu.

– To niezbyt pocieszające.

– Nie miałem zamiaru cię pocieszać.

– Więc ci się, kurwa, udało, przyjacielu.

Przeszli pod łukiem z grubo ociosanych belek, służącym jako brama, z której zwieszał się skrzypiący szyld z napisem „Averstock”. Ominęli najbardziej bagniste miejsca na bagnistej głównej ulicy biegnącej pomiędzy pochyłymi parterowymi budynkami, w większości zbudowanymi z wypaczonej sośniny.

– Boże, co za biedne miejsce – mruknął Sufeen.

– Przypomina mi o domu – szepnął Temple.

Wcale go to nie ucieszyło. Spieczone słońcem dolne miasto w Dagoście, tłoczne slumsy Styrii, jałowe wioski Bliskiej Krainy. Każdy naród był na swój sposób bogaty, a zarazem biedny.

Kobieta oprawiała zanieczyszczoną jajeczkami much padlinę, która mogła należeć do królika albo kota, a Temple miał wrażenie, że dla wieśniaczki nie stanowi to różnicy. Para

półnagich dzieci bezmyślnie okładała się drewnianymi mieczami na ulicy. Długowłosy starzec strugał patyk na ganku jednego z kilku kamiennych domów, a miecz, który z pewnością nie był zabawką, stał oparty o ścianę za jego plecami. Wszyscy obserwowali Temple'a i Sufeena z ponurą podejrzliwością. Niektóre okiennice się zatrzasnęły, a prawnikowi serce zaczęło łomotać w piersi. Nagle zaszczekał pies, i Temple o mało się nie zesrał. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy owionął go cuchnący podmuch. Zastanawiał się, czy to najgłupsza rzecz, jaką zrobił w ciągu swojego życia pełnego idiotyzmów, i uznał, że powinna się znaleźć wysoko na liście, a nawet wciąż ma szansę przebić się na sam szczyt.

Lśniącym sercem Averstock była szopa z kuflem wymalowanym na desce wiszącej nad wejściem i pozbawioną szczęścia klientelą. Przy jednym ze stolików siedzieli rolnik i jego syn, obaj rudowłosi i kościści. Chłopak miał na ramieniu torbę; razem z ojcem pożywiali się chlebem i nieświeżym serem. Jakaś tragiczna postać ubrana w postrzępione wstążki pochylała się nad kubkiem. Temple podejrzewał, że to podróźny bard, i miał nadzieję, że ten specjalizuje się w smutnych pieśniach, ponieważ sam jego widok doprowadzał do łez. Kobieta, która gotowała nad ogniem w poczerniałym palenisku, posłała wchodzącemu Temple'owi kwaśne spojrzenie.

Kontuar wykonano z masywnego kawałka wypaczonego drewna ze świeżym pęknięciem biegnącym przez środek i dużą plamą, która niepokojąco przypominała krew. Stojący za nim karczmarz starannie wycierał kubki szmatą.

– Jeszcze nie jest za późno – wyszeptał Temple. – Możemy wychylić kubek szczyn, które tutaj sprzedają, a potem po prostu wyjść i nic złego się nie stanie.

– Dopóki nie pojawi się reszta kompanii.

– Miałem na myśli nas...

Jednakże Sufeen już podchodził do kontuaru, pozostawiwszy przy drzwiach Temple'a, który najpierw cicho zaklął, a potem niechętnie ruszył śladem zwiadowcy.

– Co wam podać? – spytał karczmarz.

– Wasze miasteczko otacza około czterystu najemników szykujących się do ataku – rzekł Sufeen, a nadzieje Temple'a na uniknięcie katastrofy zostały zdruzgotane.

Zapadła cisza pełna napięcia.

– Nie miałem najlepszego tygodnia – mruknął karczmarz. – Nie jestem w nastroju do żartów.

– Gdybyśmy chcieli wywołać śmiech, wymyślilibyśmy lepszy dowcip... – mruknął Temple.

Sufeen wszedł mu w słowo.

– To Kompania Łaskawej Dłoni, dowiedziona przez niesławnego najemnika Nicomo Coscę, wynajęta przez Inkwizycję Jego Królewskiej Mości w celu usunięcia buntowników z Bliskiej Krainy. Jeżeli nie spotkają się z waszą pełną współpracą, ten zły tydzień stanie się znacznie gorszy.

Wreszcie zdołali zainteresować karczmarza. A także wszystkich gości lokalu, którzy zwrócili na nich baczność. Trudno było stwierdzić, czy to dobrze, ale Temple nie był optymistą. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to przytrafiło.

– A jeśli w miasteczku są buntownicy? – Rolnik oparł się o kontuar obok nich i podwinął rękaw. Na jego żylastym przedramieniu widniał tatuaż: „Wolność, swoboda, sprawiedliwość”. Oto zakąła potężnej Unii, podstępny wróg Lorsena, przerażający buntownik we własnej osobie.

Temple popatrzył mu w oczy. Jeśli tak wyglądało oblicze zła,

to prezentowało się wyjątkowo nędznie.

Sufeen starannie dobierał słowa.

– W takim razie mają niecałą godzinę, żeby się poddać i ocalić mieszkańców tego miasta przed rozlewem krwi.

Kościsty mężczyzna uśmiechnął się niewesoło, ukazując braki w uzębieniu.

– Mogę was zaprowadzić do Sheela. On zdecyduje, czy można wam wierzyć. – Najwyraźniej sam im nie uwierzył, a może nawet nie w pełni ich zrozumiał.

– Więc zabierz nas do Sheela – odrzekł Sufeen. – Dobrze.

– Naprawdę? – mruknął Temple. Przeczucie nieuchronnej katastrofy niemal go dławilo. A może to oddech buntownika tak na niego działał. Z pewnością było w nim zło.

– Będziecie musieli oddać broń – rzekł mężczyzna.

– Z całym szacunkiem – odezwał się Temple – ale nie jestem pewien, czy...

– Oddajcie ją.

Temple z zaskoczeniem zobaczył, że kobieta siedząca przy kominku pewną ręką wycelowwała w niego z kuszy.

– Już jestem pewien – wychrypiał, dwoma palcami wyjmując nóż zza paska. – Jest bardzo mały.

– Nie rozmiar się liczy – odparł kościsty mężczyzna, zabierając mu ostrze – ale to, gdzie go wsadzisz.

Sufeen odpiął pas z mieczem i oddał go rolnikowi.

– Chodźmy. I pamiętajcie, żeby nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

Temple uniósł dłonie.

– Zawsze staram się ich unikać.

– Nie udało ci się, kiedy tu za mną przyszedłeś – odparł

Sufeen.

– Już tego żałuję.

– Zamknijcie się.

Kościsty buntownik pokierował ich w stronę drzwi. Kobieta szła za nimi w bezpiecznej odległości, nie opuszczając kuszy. Temple dostrzegł niebieski tatuaż na wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Kuśtykający chłopak zamykał pochód. Jedną nogę miał usztywnioną szynami i mocno przyciskał torbę do piersi. Byłaby to zabawna procesja, gdyby nie towarzysząca jej groźba śmierci. Temple zawsze uważał, że to doskonałe antidotum na komizm.

Okazało się, że Sheel to ten sam starzec, który niedawno patrzył, jak wchodzi do miasteczka. Teraz z rozrzewnieniem wspomnieli tamtą chwilę. Sheel wstał sztywno, odpędzając muchę, a następnie, jakby po chwili namysłu, jeszcze bardziej sztywno schylił się po swój miecz i zszedł z ganku.

– Co się dzieje, Danardzie? – spytał głosem zachrypniętym od flegmy.

– Złapałem tych dwóch w karczmie – odpowiedział chudzielec.

– Złapałeś? – zdziwił się Temple. – Weszliśmy tam i sami o was spytaliśmy.

– Zamknij się – odburknął Danard.

– Sam się zamknij – odparł Sufeen.

Sheel wydał z siebie taki dźwięk, jakby próbował zwymiotować, po czym z trudem przełknął to, co odchrząknął.

– Spróbujmy znaleźć równowagę pomiędzy mówieniem za dużo a milczeniem. Jestem Sheel. Występuję w imieniu tutejszych buntowników.

– Całej czwórki? – spytał Temple.

– Było nas więcej. – Starzec sprawiał wrażenie raczej smutnego niż rozgniewanego. Wyczerpanego i, przy odrobinie szczęścia, gotowego, by się poddać.

– Mam na imię Sufeen i przybyłem, żeby was ostrzec...

– Podobno jesteście otoczeni – zakpił Danard. – Jeśli poddamy się Inkwizycji, Averstock ocaleje.

Sheel skierował na Temple'a spojrzenie oczu w kolorze rozwodnionej szarości.

– Sam przyznasz, że to naciągana historia.

Nie miało znaczenia to, czy dotarli tutaj łatwą, czy trudną ścieżką, teraz bowiem istniała tylko jedna droga wyjścia – przekonać tego człowieka, że mówią prawdę. Temple zrobił najbardziej szczerą minę, na jaką było go stać. Taką samą jak wtedy, gdy przekonał Kahdię, że już nie będzie kradł, swoją żonę, że wszystko będzie dobrze, a Coscę, że można mu zaufać. Czyż oni wszyscy mu nie uwierzyli?

– Mój przyjaciel powiedział prawdę. – Wymawiał słowa powoli, ostrożnie, jakby rozmawiali w cztery oczy. – Chodźcie z nami, a uratujemy wielu ludzi.

– Kłamie. – Kościsty mężczyzna dźgnął Temple'a w bok głowicą miecza Sufeeny. – Tam nikogo nie ma.

– Po co mielibyśmy tutaj przychodzić i kłamać? – Temple zignorował zaczepkę i nie spuszczał wzroku ze zniszczonej twarzy starca. – Co byśmy na tym zyskali?

– A po co w ogóle przyszliście? – spytał Sheel.

Temple na chwilę umilkł z na wpół otwartymi ustami. Może powiedzieć prawdę? To by przynajmniej było coś nowego.

– Mieliliśmy już dosyć, że nigdy tego nie robimy.

– Hmm. – Najwyraźniej ich słowa odniosły jakiś skutek. Starzec odsunął dłoń od rękojeści miecza. Jeszcze się nie poddał.

Do tego była daleka droga, ale zrobili na niej pierwszy krok. – Co się stanie, jeśli mówicie prawdę, a my się poddamy?

Zbyt wiele prawdy to zawsze błąd. Temple postanowił trzymać się faktów.

– Mieszkańcy Averstock zostaną oszczędzeni, obiecuję.

Starzec ponownie odchrząknął. Boże, z jego płucami było naprawdę niedobrze. Czyżby zaczynał im wierzyć? Czyżby ich plan miał szansę powodzenia? Czy nie tylko przeżyją ten dzień, ale dodatkowo ocalą innych ludzi? Czy Temple zrobi coś, z czego byłby dumny Kahdia? Ta myśl na chwilę napełniła jego samego dumą. Pozwolił sobie na uśmiech. Kiedy ostatnio czuł się dumny? Czy kiedykolwiek tak było?

Sheel otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ulec, poddać się... ale nagle znieruchomiał i ze zmarszczonym czołem popatrzył ponad ramieniem Temple'a.

Wiatr przyniósł słaby odgłos. Kopyta. Końskie kopyta. Temple podążył za wzrokiem starego buntownika i na porośniętym trawą zboczu doliny zobaczył galopującego jeźdźca. Sheel także go dostrzegł i ze zdziwieniem uniósł brwi. Wkrótce na zboczu pojawili się kolejni konni, było ich już kilkunastu.

– Nie – szepnął Temple.

– Temple! – syknął Sufeen.

Sheel szeroko otworzył oczy.

– Dranie!

Temple uniósł dłoń.

– Nie!

Usłyszał obok siebie stęknienie, a kiedy obrócił się, żeby powiedzieć Sufeenowi, że to niewłaściwy moment, zobaczył swojego przyjaciela w morderczym uścisku z Danardem.

Zapatrzył się na nich z otwartymi ustami.

Obiecano im godzinę.

Sheel niezdarnie dobył miecza przy wtórze zgrzytu metalu, a Temple chwycił starca za rękę, zanim ten zdążył się zamachnąć, i uderzył go głową w twarz.

Nie zastanawiał się nad tym, po prostu zadziałał.

Świat podskoczył mu przed oczami i Temple poczuł na policzku ciepły, chrapliwy oddech Sheela. Szamotali się i szarpali, a w pewnej chwili Temple dostał w twarz pięścią, aż zadzwoniło mu w uszach. Ponownie uderzył głową i poczuł, jak nos przeciwnika pęka pod jego czołem. Sheel zatoczył się do tyłu, a Sufeen stanął obok Temple'a z mieczem w dłoniach, najwyraźniej bardzo tym faktem zaskoczony.

Temple przez chwilę zastanawiał się, jak tutaj trafili oraz co powinni dalej zrobić.

Usłyszał brzęk cięciwy i szelest bełtu, który ich ominął. Chyba.

Potem zobaczył, jak Danard z trudem wstaje.

– Pierdoleni... – Jego głowa się rozpadła.

Temple zamrugął z twarzą zbryzganą krwią. Zobaczył, jak Sheel sięga po nóż, a wtedy Sufeen dźgnął starca mieczem. Przywódca buntowników zakaszłał skrzekliwie, gdy metal wślizgnął się w jego bok, i wykrzywiając twarz zacisnął dłoń na ranie, a krew wypłynęła mu spomiędzy palców.

Sheel wymamrotał coś, czego Temple nie zrozumiał, i ponownie spróbował dobyć noża, ale wtedy otrzymał cios mieczem tuż ponad okiem.

– Och – sapnął, gdy krew płynąca z dużego rozcięcia na czole zalała mu twarz. – Och.

Czerwone krople zbryzgały błoto, gdy starzec zatoczył się

w bok, odbił od ganku swojego domu i upadł, przetaczając się z wygiętymi plecami, bezładnie uderzając dłonią o ziemię.

Sufeen na niego popatrzył.

– Chcieliśmy ocalić ludzi – wyszeptał. Na ustach miał krew. Padł na kolana, a miecz wypadł mu z bezwładnej dłoni.

Temple go chwycił.

– Co... – Nóż, który oddał Danardowi, sterczał między żebrami Sufeena, wbity aż po rękojeść, a koszula zwiadowcy szybko robiła się czarna. To było bardzo małe ostrze, ale w zupełności wystarczyło.

Pies wciąż czekał. Sufeen upadł na twarz. Kobieta z kuszą zniknęła. Czy gdzieś przeładowuje broń i za chwilę się pojawi, gotowa do strzału? Temple pewnie powinien poszukać schronienia.

Nie ruszał się z miejsca.

Odgłos kopyt stał się głośniejszy. Krew rozlewała się w błotnistą kałużę wokół rozplątanej głowy Sheela. Chłopak powoli się wycofał, po czym puścił się chwiejnym truchtem, wlokąc za sobą okaleczoną nogę. Temple patrzył, jak młodzieniec ucieka.

Nagle zza rogu karczmy wyjechał Jubair z wysoko uniesionym mieczem. Błoto bryzgało spod kopyt jego potężnego wierzchowca. Chłopiec próbował skrócić, postawił kolejny rozpaczliwy krok, ale ostrze trafiło go w ramię i rzuciło na drugą stronę ulicy. Jubair minął go w wielkim pędzie, coś przy tym wykrzykując. Za nim jechali kolejni jeźdźcy. Ludzie uciekali. Wrzeszczeli. Ich głosy z trudem przebijały się przez tętent kopyt.

Obiecano im godzinę.

Temple uklęknął obok Sufeena, obrócił go na plecy, obejrzał jego rany, podarł materiał na bandażę, robiąc wszystkie te

rzeczy, których dawno temu nauczył go Kahdia. Ale gdy tylko zobaczył twarz zwiadowcy, wiedział, że ten nie żyje.

Najemnicy pędzili przez miasteczko, wyjąc jak stado psów, wymachując bronią, jakby to były zwycięskie karty w rozgrywce. Temple poczuł zapach dymu.

Podniósł miecz Sheela o wyszczerbionym ostrzu pokrytym czerwonymi plamkami, wstał i podszedł do kulawego chłopca, który czołgał się w stronę karczmy z okaleczoną jedną ręką. Chłopak zobaczył Temple'a i jęknął, kurczowo zaciskając zdrową dłoń na błotnistej ziemi. Z jego otwartej torby wysypały się monety. Srebro wałało się w błocie.

– Pomóż mi – wyszeptał. – Pomóż mi!

– Nie.

– Oni mnie zabiją. Oni...

– Zamknij ten pieprzony ryj!

Temple szturchnął chłopca mieczem w plecy, a ten głośno przełknął ślinę i się skulił. Im bardziej się kulił, tym większą Temple miał ochotę go przebić. Miecz był zaskakująco lekki. To byłoby takie proste. Chłopiec wyczytał to z jego twarzy. Znów jęknął i skulił się, a Temple ponownie go szturchnął.

– Zamknij ryj, skurwielu! Zamknij ryj!

– Temple! Nic ci nie jest? – Cosca zatrzymał się obok niego na swoim wysokim siwku. – Krwawisz.

Temple popatrzył w dół i zobaczył rozerwany rękaw koszuli oraz strużkę krwi ściekającą po grzbiecie dłoni. Nie był pewien, jak do tego doszło.

– Sufeen nie żyje – wybełkotał.

– Dlaczego Boginie Losu zawsze zabierają najlepszych spośród nas...?

Uwagę Coski szybko odwrócił blask pieniędzy w błocie. Wyciągnął rękę w stronę Przyjaznego, a sierżant pomógł mu zejść z poślaczanego siodła. Stary pochylił się, wyłowił dwoma palcami monetę i z zapalem wytarł ją z błota, a na jego twarzy zagościł olśniewający uśmiech, do jakiego tylko on był zdolny. Jego pomarszczona twarz promieniowała dobrym nastrojem i dobrymi intencjami.

– Tak – szepnął.

Przyjazny zerwał torbę z pleców chłopaka i otworzył ją szarpnięciem. Słabe pobrzękiwanie świadczyło o obecności kolejnych monet.

Łup, łup, łup, grupa najemników kopała w drzwi karczmy. Jeden odskoczył z przekleństwem na ustach, ściągając brudny but, żeby pomasować palce. Cosca przykucnęła.

– Skąd się wzięły te pieniądze?

– Zrobiliśmy zbrojny wypad – wyszeptał chłopiec – ale wszystko poszło nie po naszej myśli.

Rozległ się huk, gdy drzwi karczmy ustąpiły, oraz wiwaty, gdy najemnicy wdarli się do środka.

– Nie po waszej myśli?

– Wróciła nas tylko czwórka, więc mieliśmy do sprzedania dwa tuziny koni. Kupił je od nas Grega Cantliss w Greyer.

– Cantliss?

Rzucone krzesło wyleciało przez okno karczmy, roztrzaskując okiennice, i potoczyło się po ulicy tuż obok nich. Przyjazny z surową miną popatrzył na powstały otwór, ale Cosca nawet nie drgnęła. Zupełnie jakby na świecie nie było niczego poza nim, chłopcem i monetami.

– Co to za człowiek ten Cantliss? Buntownik?

– Nie. Był elegancko ubrany. Był z nim jakiś Północny

o szalonym spojrzeniu. Zabrał konie i zapłacił tymi monetami.

– Skąd je wziął?

– Tego nie powiedział.

Cosca podwinął rękaw koszuli na bezwładnej ręce chłopca, obnażając tatuaż.

– Ale na pewno nie był buntownikiem tak jak wy?

Chłopak pokręcił głową.

– Ta odpowiedź nie zachwyci Inkwizytora Lorsena. – Cosca pokiwał głową tak delikatnie, że niemal niezauważalnie.

Przyjazny otoczył dłońmi szyję chłopca. Pies wciąż czekał. Hau, hau, hau. Temple marzył o tym, żeby wreszcie ktoś go uciszył. Po drugiej stronie ulicy trzej Kantyjczycy brutalnie bili jakiegoś mężczyznę na oczach dwójki dzieci.

– Powinniśmy ich powstrzymać – szepnął Temple, ale nie ruszył się z ziemi.

– Niby jak? – Cosca trzymał w dłoni kolejne monety i starannie je segregował. – Jestem generałem, a nie Bogiem. Wielu generałom to się miesza, ale ja już dawno wyleczyłem się z tego błędu. – Jakąś wrzeszczącą kobietę wywleczono za włosy z pobliskiego domu. – Ludzie są niezadowoleni. Tak samo jak podczas powodzi, bezpieczniej popłynąć z prądem niż próbować zatamować wodę. Jeśli teraz nie znajdą ujścia dla swojej złości, wyładują ją gdzie indziej. Nawet na mnie. – Stęknął, gdy Przyjazny pomógł mu wstać. – Zresztą, to nie jest moja wina, prawda?

Głowa Temple'a pulsowała bólem. Był tak zmęczony, że ledwie mógł się ruszyć.

– A czyja? Moja?

– Wiem, że chciałeś dobrze. – Płomienie łapczywie lizały krokwie na dachu karczmy. – Ale tak to już jest z dobrymi

chęciami. Mam nadzieję, że wszyscy czegoś się dzisiaj nauczyliśmy. – Cosca wyjął manierkę i z namysłem zaczął ją odkręcać. – Ja o spełnianiu twoich zachcianek, a ty o spełnianiu swoich. – Pociągnął kilka łyków.

– Znów pan pije? – mruknął Temple.

– Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Mały łyczek jeszcze nikomu nie zaszkodził. – Cosca wysłał ostatnie kilka kropel i rzucił pustą manierkę Przyjaznemu, żeby ten ją napełnił. – Inkwizytorze Lorsen! Cieszę się, że mógł pan do nas dołączyć!

– Obwiniam pana za tę klęskę! – burknął Lorsen, gwałtownie wstrzymując wierzchowca na ulicy.

– To nie moja pierwsza – odparł Stary. – Będę musiał jakoś żyć z tym wstydem.

– To nie jest czas na żarty!

Cosca zachichotał.

– Mój dawny dowódca Sazine powiedział mi kiedyś, że należy się śmiać w każdej chwili życia, ponieważ później będzie z tym kłopot. Takie rzeczy dzieją się podczas wojny. Mam wrażenie, że doszło do nieporozumienia w kwestii sygnałów. Niezależnie od tego, jak starannie się planuje, zawsze mogą się zdarzyć niespodzianki. – Jakby dla zilustrowania jego słów jeden z gurkijskich najemników przeparadował ulicą ubrany w ozdobiony wstążkami strój barda. – Jednak ten chłopiec zdążył nam coś powiedzieć przed śmiercią. – Srebro błysnęło w dłoni Coski. – Imperialne monety. Buntownicy dostali je od mężczyzny nazwiskiem...

– Grega Cantliss – uzupełnił Przyjazny.

– Właśnie tak, w miasteczku Greyer.

Lorsen mocno zmarszczył czoło.

– Chce pan powiedzieć, że buntownicy są finansowani przez

Imperium? Superior Pike wyraźnie zaznaczył, żeby unikać jakichkolwiek konfliktów z ich siłami.

Cosca uniósł monetę do światła.

– Widzi pan tę twarz? Imperator Ostus Drugi. Umarł jakieś tysiąc czterysta lat temu.

– Nie wiedziałem, że tak się pan interesuje historią – powiedział Lorsen.

– Interesuję się pieniędzmi. To bardzo stare monety. Może buntownicy natrafili na jakiś grobowiec? Dawnych władców czasami grzebano razem z ich bogactwami.

– Dawni władcy nas nie obchodzą – odparł Lorsen. – Szukamy współczesnych buntowników.

Dwaj najemnicy Unioniści krzyczeli na klęczącego mężczyznę. Pytali go, gdzie trzyma pieniądze. Jeden z nich uderzył go kawałkiem drewna wyrwanym z rozbitych drzwi jego domu, a kiedy mężczyzna chwiejnie wstał, po twarzy spływała mu krew. Spytał go ponownie. Potem znów go uderzyli, trzask, trzask, trzask.

Sworbreck patrzył na nich, zakrywając dłonią usta.

– Ojej – wyszeptał przez palce.

– Bunt kosztuje, tak jak wszystko – tłumaczył Cosca. – Jedzenie, ubrania, broń, schronienie. Fanatycy mają podobne potrzeby jak my. Może nieco mniejsze, ponieważ karmią się swoimi ideałami, ale mimo wszystko. Wystarczy podążać śladem pieniędzy, żeby znaleźć przywódców. Zresztą, Greyer i tak znajduje się na liście Superiora Pike'a, prawda? A może Cantliss doprowadzi nas do tego pańskiego... Contusa.

Lorsen uniósł głowę.

– Conthus.

– Poza tym – Cosca wskazał trupy buntowników swobodnym

ruchem miecza, niemal odcinając Sworbreckowi nos – wątpię, żebyśmy mogli uzyskać jakieś dodatkowe informacje od tej trójki. Życie rzadko toczy się zgodnie z oczekiwaniami. Musimy dostosowywać się do okoliczności.

Lorsen stęknął z niezadowoleniem.

– No dobrze. Chwilowo ruszemy tropem pieniędzy. – Zawrócił konia i zawołał do jednego z Praktyków: – Poszukajcie tatuaży na ciałach zabitych i, psiakrew, znajdźcie mi jakichś żywych buntowników!

Trzy domy dalej jeden z najemników wspiął się na dach i wpychał pościel do komina, podczas gdy jego kompani zgromadzili się przy drzwiach. Cosca tymczasem uspokajał Sworbrecka.

– Podzielam twój niesmak, możesz mi wierzyć. Uczestniczyłem w paleniu najstarszych i najpiękniejszych miast świata. Żałuj, że nie widziałeś Oprile w płomieniach, rozświetlało niebo w promieniu wielu mil! To trudno nazwać jasnym punktem w karierze.

Jubair ułożył kilka trupów w jednej linii i beznamiętnie odcinał im głowy. Łup, łup, łup, hałasował jego ciężki miecz. Dwaj jego ludzie rozerwali łuk nad drogą i ostrzyli końce belek. Jedną z nich już wbito w błoto i zatknięto na niej głowę Sheela z dziwnie wydętymi wargami.

– Ojej – ponownie szepnął Sworbreck.

– Odcięte głowy nigdy nie wychodzą z mody – tłumaczył Cosca. – Jeśli korzysta się z nich rozważnie i z artystycznym wyczuciem, mogą przemówić z większą elokwencją niż te wciąż przytwierdzone do szyi. Zanutuj to. Dlaczego nie piszesz?

Staruszka o twarzy poplamionej sadzą wyczołgała się z płonącego domu. Kilku najemników otoczyło ją i zaczęło

popychać tam i z powrotem.

– Cóż za marnotrawstwo – rzekł z goryczą Lorsen do jednego z Praktyków. – Przy odpowiednim zarządzaniu to mogłaby być wspaniała kraina. Dzięki silnym rządóm oraz zastosowaniu najnowszych metod z dziedziny rolnictwa i leśnictwa. W Midderlandzie mają maszynę do młócenia, która w ciągu jednego dnia może wykonać pracę tuzina chłopów, a potrzebuje do obsługi tylko jednej osoby.

– Co robi pozostałych jedenastu? – spytał Temple, który miał wrażenie, że jego usta same się poruszają.

– Szukają innego zatrudnienia – odburknął Praktyk.

Za nim nabito na pal kolejną głowę z długimi powiewającymi włosami. Temple nie rozpoznał twarzy. Dom, z którego wykurzono mieszkańców, wesoło płonął. Płomienie chłostały drewno, powietrze migotało, mężczyźni cofali się, grzejąc uniesione dłonie, pozwalając staruszce odpełznąć.

– Szukają innego zatrudnienia – mruknął Temple.

Cosca chwycił Brachia za łokieć i krzyczał mu do ucha, zagłuszając zgiełk:

– Musisz zebrać swoich ludzi! Ruszamy na północ i wschód w stronę Greyer, żeby dowiedzieć się czegoś o tym Gredze Cantlissie.

– Uspokojenie ich może trochę potrwać.

– Masz godzinę, potem poproszę sierżanta Przyjaznego, żeby sam przyprowadził maruderów, jeśli będzie trzeba, to w kawałkach. Dyscyplina, Sworbreck, jest podstawą w każdym oddziale!

Temple zamknął oczy. Boże, co za smród. Dym, krew, wściekłość i znowu dym. Musiał się napić. Odwrócił się, żeby poprosić Sufeena o wodę, i zobaczył jego trupa w błocie

w odległości kilku kroków. Człowiek z zasadami musi podejmować trudne decyzje i ponosić ich konsekwencje.

– Przyprawiliśmy twojego konia – rzekł Cosca, jakby to mogło mu wynagrodzić przynajmniej część niepowodzeń tego dnia. – Jeśli chcesz mojej rady, znajdź sobie coś do roboty. Jak najszybciej zostaw to miejsce za sobą.

– Jak mam to zapomnieć?

– Och, to by było za wiele. Najważniejsze, żeby nauczyć się... – Cosca ostrożnie się cofnął, przepuszczając galopującego Styryjczyka ciągnącego trupa za koniem – ...nie przejmować.

– Muszę pochować Sufeena.

– Tak, pewnie masz rację. Tylko szybko. Jeszcze jest jasno i nie mamy ani chwili do stracenia. Jubair! Odłóż to! – Stary ruszył na drugą stronę ulicy, wymachując mieczem. – Spalcie wszystko, co jeszcze trzeba spalić, i na koń! Ruszamy na wschód!

Kiedy Temple się odwrócił, Przyjazny podał mu łopatę. Pies wreszcie przestał szczekać. Potężny Północny, wytatuowana bestia pochodząca zza Crinny, nabił jego głowę na włócznię obok głów buntowników i teraz ją pokazywał, chichocząc.

Temple chwycił Sufeena za nadgarstki i zarzucił go sobie na ramię, a następnie na siodło swojego wystraszonego konia. Nie było to łatwe, ale łatwiejsze niż się spodziewał. Za życia Sufeen dużo mówił, ruszał się i śmiał. Po śmierci prawie nic nie ważył.

– W porządku? – spytał Bermi, dotykając ręki Temple'a.

Jego troska sprawiła, że prawnik miał ochotę się rozplakać.

– Nie jestem ranny, ale Sufeen nie żyje. – Oto sprawiedliwość.

Dwaj Północni roztrzaskali komodę i kłócili się o znajdujące się w niej ubrania, rozrzucając strzępy materiału po błotnistej ulicy. Wytatuowany mężczyzna przywiązał patyk pod łbem psa i teraz starannie wieszał na nim elegancką koszulę z falbanami,

a na jego twarzy malowało się artystyczne skupienie.

– Na pewno nic ci nie jest?! – zawołał w ślad za nim Bermi, stojąc pośrodku zaśmieconej ulicy.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Temple wyprowadził wierzchowca z miasta, po czym zjechał ze szlaku, a raczej dwóch pasów żłobionego koleinami błota, które go udawały, pozostawiając za sobą odgłosy wykrzykiwanych rozkazów, pożarów i niechętnych przygotowań do wymarszu, które zastąpił szmer płynącej wody. Pojechał w górę rzeki, aż znalazł przyjemne miejsce pomiędzy dwoma drzewami, których gałęzie zwieszały się aż do wody. Zsunął ciało Sufeena na ziemię i przewrócił je na plecy.

– Przykro mi – powiedział, po czym wrzucił łopatę do rzeki i wskoczył na konia.

Sufeenowi byłoby wszystko jedno, gdzie i jak zostanie złożony po śmierci. Jeśli istnieje Bóg, to on już z Nim jest i zapewne wypytuje Go, dlaczego jak dotąd nie naprawił świata. „Na północ i wschód”, powiedział Cosca. Temple zwrócił się ku zachodowi i spiął konia piętami, po czym ruszył galopem, oddalając się od tłustego całunu dymu unoszącego się nad ruinami Averstock.

Pozostawiał za sobą Kompanię Łaskawej Dłoni. Pozostawiał Dimbika, Brachia i Jubaira. Pozostawiał Inkwizytora Lorsena i jego szlachetną misję.

Nie miał żadnego celu. Był dalej od Nicomo Coski.

Nowe życie

– A oto Drużyna – rzekł Słodki, wstrzymując konia z przedramionami opartymi o łęk siodła i swobodnie zwisającymi palcami.

Sznur wozów ciągnął się przez około milę wzdłuż dna doliny. Było ich co najmniej trzydzieści, niektóre pokryte poplamionym płótnem, inne pomalowane na jaskrawe kolory. Pomarańczowe i fioletowe kropki oraz połyskujące złocenia wyraźnie odznaczały się na tle zakurzonego brązowego krajobrazu. Pomiedzy wozami było widać pieszych, z przodu jechali konni. Na końcu prowadzono zwierzęta – konie, zapasowe woły, spore stado bydła – a za nimi podążała powiększająca się chmura pyłu, ciągnięta przez podmuchy wiatru i unoszona pod błękitne niebo, by oznajmić światu nadejście Drużyny.

– Tylko popatrzcie! – Leef popędził konia, stając w strzemionach z szerokim uśmiechem na twarzy. – Widzicie?

Płoszka jeszcze nigdy nie widziała go uśmiechniętego i stwierdziła, że to go odmładza. Upodabnia do chłopca, którym zapewne jest. Sama też się uśmiechnęła.

– Widzę – odrzekła.

– Całe miasto w ruchu!

– Rzeczywiście, mamy tutaj pełny przekrój społeczeństwa – przyznał Słodki, poprawiając stary tyłek w siodle. – Są ludzie uczciwi i gwałtowni, są bogaci i biedni, są bystrzy i niezbyt lotni. Wielu poszukiwaczy. Trochę hodowców bydła i rolników. Garstka kupców. Wszyscy chcą znaleźć nowe życie za

horyzontem. Nawet mamy Pierwszego z Magów.

Owca gwałtownie się obejrzał.

– Co takiego?

– To słynny aktor. Iosiv Lestek. Podobno, wcielając się w Bayaza, porywał tłumy w Adui. – Słodki chrapliwie zachichotał. – Jakies sto lat temu. Ma nadzieję, że uda mu się wprowadzić sztukę teatru do Dalekiej Krainy, ale według mnie i połowy mieszkańców Unii, jego umiejętności się wypaliły.

– Już nie potrafi przekonująco wcielać się w Bayaza? – spytała Płoszka.

– Rzadko dobrze wypada jako Iosiv Lestek – odrzekł Słodki, wzruszając ramionami. – Ale cóż ja mogę wiedzieć o aktorstwie.

– Nawet w roli Daba Słodkiego wypadasz najwyżej przeciętnie.

– Zjedźmy tam! – zawołał Leef. – Przyjrzyjmy się dokładnie!

Z bliska wszystko wyglądało mniej urzekająco. Zresztą, czy tak nie jest ze wszystkim? Tak wielka liczba ciepłych ciał, ludzkich i zwierzęcych, produkowała odpady w ilościach, które trudno było zliczyć, a jeszcze trudniej wąchać. Mniejsze i mniej imponujące zwierzęta – głównie psy i pchły, ale niewątpliwie także wszy – nie były widoczne z daleka, ale robiły dwukrotnie większe wrażenie, gdy stanęło się w tłumie. Płoszka zaczęła się zastanawiać, czy Drużyna nie jest odważną, ale lekkomyślną próbą przeniesienia wszystkich bolączek miejskiego życia na łono dziewiczej natury.

Widząc to, niektórzy ze starszych członków Drużyny oddalili się od niej o dobre pięćdziesiąt kroków, by rozprawiać o trasie wędrówki, czyli klócić się i raczyć trunkami. W tej chwili drapali się po głowach, patrząc na dużą mapę.

– Odsuńcie się od tej mapy, bo zrobicie sobie krzywdę! –

zawołał Słodki, kiedy się do nich zbliżyli. – Wróciłem, a wy zbczyliście z kursu na południe o całe trzy doliny.

– Tylko o trzy? To znacznie lepiej niż się spodziewałem. – Wysoki, żylasty Kantyjczyk o kształtnej i łysej jak jajo głowie podszedł do przybyszy, uważnie przyglądając się Płoszce, Owcy i Leefowi. – Przeprowadziłeś przyjaciół.

– To jest Owca, a to jego córka Płoszka. – Nie sprostowała tej drobnej pomyłki. – Muszę przyznać, że imię chłopca mi umknęło...

– Leef.

– O właśnie! A oto mój... pracodawca. – Słodki wypowiedział to ostatnie słowo tak, jakby samo uznanie jego istnienia ograniczało jego wolność. – Pozbawiony skruchy przestępca Abram Majud.

– Miło mi was poznać – rzekł Majud serdecznie, pokazując złote przednie zęby i kłaniając się każdemu z osobna. – Zapewniam was, że stale odczuwam skruchę, odkąd utworzyłem tę Drużynę. – Jego ciemne oczy zapatrzyły się w dal, jakby wspominał przebyte mile. – Zrobiłem to w Keln, razem ze swoim partnerem Curnsbickiem. To surowy człowiek, ale ma głowę na karku. Wynalazł między innymi przenośną kuźnię. Wiozę ją do Fałdy, gdzie zamierzam otworzyć warsztat obróbki metali. Być może uda nam się także zdobyć działkę wydobywczą w górach.

– Złoto? – spytała Płoszka.

– Żelazo i miedź. – Majud pochylił się i ściszył głos. – Moim skromnym zdaniem tylko głupcy uważają, że złoto to dobry interes. Czy wasza trójka chce przyłączyć się do Drużyny?

– Zgadza się – odparła Płoszka. – Również mamy coś do załatwienia w Fałdzie.

– Dla wszystkich znajdzie się miejsce! Opłata wynosi...

– Owca to groźny wojownik – wtrącił się Słodki.

Majud umilkł i zacisnął usta, mierząc przybysza wzrokiem.

– Bez obrazy, ale jest trochę... stary.

– W tej kwestii nie będę się spierał – rzekł Owca.

– Ja również mam już za sobą lata młodości – dodał Słodki. – Zresztą, ty także nie jesteś dziećciem. Jeśli zależy ci na młodości, ten chłopak ma jej pod dostatkiem.

Leef zrobił na Majudzie jeszcze mniejsze wrażenie.

– Przydałby mi się ktoś w średnim wieku.

Słodki parsknął.

– Nie będzie ci łatwo go znaleźć. Mamy za mało wojowników. Duchy są żądne krwi, więc nie mamy czasu na cięcie kosztów. Możesz mi wierzyć, że stary Sangeed nie będzie z tobą negocjował cen. Albo przyjmiesz Owcę, albo ja odchodzę, a wtedy możesz krążyć w kółko, dopóki nie rozpadną ci się wozy.

Majud podniósł wzrok na Owcę, a ten bez mrugnięcia odwzajemnił spojrzenie. Wydawało się, że pozostawił całą niepewność w Uczciwości. Wystarczyło kilka chwil, by Majud dostrzegł to, czego szukał.

– A więc panicz Owca pojedzie z nami za darmo. Opłata za dwie osoby wyniesie...

Słodki podrapał się w kark ze skrzywioną miną.

– Umówiłem się z Płoszką, że wszyscy pojedą za darmo.

Majud popatrzył na kobietę z niechętnym szacunkiem.

– Wygląda na to, że ona lepiej wyszła na tych negocjacjach.

– Jestem zwiadowcą, a nie handlarzem.

– Więc może powinieneś pozostawić interesy tym spośród nas, którzy się na tym znają.

– Poradziłem sobie z handlem znacznie lepiej niż ty ze zwiadem.

Majud pokręcił kształtną głową.

– Nie mam pojęcia, jak wyjaśnię to Curnsbickowi. – Odszedł, wymachując długim palcem. – Curnsbick nie zna się na żartach, gdy chodzi o wydatki!

– Na spokój zmarłych – mruknął Słodki. – Słyszeliście kiedyś takiego marudę? Można by pomyśleć, że wyruszyliśmy w drogę z kompanią bab.

– Na to wygląda – odrzekła Płoszka.

Obok nich przejechał jeden z najbardziej jaskrawych wozów – szkarłatny ze złotymi zdobieniami – na którym siedziały dwie kobiety. Pierwsza miała na sobie strój dziwki, jedną ręką przytrzymała kapelusz, a na jej wymalowanej twarzy widniał niepewny uśmiech. Zapewne zachwalała swoją dostępność pomimo trwającej wędrówki. Druga była ubrana w znacznie skromniejszy podróżny strój i pewną ręką trzymała lejce. Pomiedzy nimi siedział brodaty mężczyzna o surowym spojrzeniu, odziany w kamizelę dopasowaną kolorem do wozu. Płoszka wzięła go za alfonsa. Z pewnością tak wyglądał. Pochyliła się i splunęła przez szparę między zębami.

Myśl o zadawaniu się z kimś w podskakującym wozie, w połowie wypełnionym przez brzęczące garnki, a w połowie przez kogoś innego oddającego się takiej samej czynności, nie roznieciła w Płoszce płomieni namiętności. Ale one ledwie się tliły już od tak dawna, że podejrzewała, iż całkiem wygasły. Praca w gospodarstwie z dwójką dzieci i dwoma starcami może skutecznie wybić z głowy miłość.

Słodki pomachał do kobiet, po czym zepchnął wystającymi knykciami kapelusz z czoła.

– Psiakrew, nic nie jest takie jak dawniej – mruknął. – Kobiety, wykwintne stroje, pługi i przenośne kuźnie, kto wie, jakie koszmary jeszcze nas czekają. Kiedyś były tutaj tylko ziemia, niebo, zwierzęta, Duchy oraz rozległe przestrzenie, na których można było oddychać. Kiedyś spędziłem tutaj cały rok, mając za towarzystwo tylko swojego wierzchowca.

Płoszka ponownie splunęła.

– Nigdy w życiu nie było mi tak żal konia. Przejadę się i przywitam z członkami Drużyny. Sprawdzę, czy ktoś coś słyszał o dzieciach.

– Albo o Gredze Cantlissie. – Owca spochmurniał, wypowiadając to imię.

– W porządku – odrzekł Słodki. – Ale uważaj. Słyszysz?

– Potrafię o siebie zadbać – odpowiedziała Płoszka.

Ogorzała twarz starego zwiadowcy zmarszczyła się pod wpływem uśmiechu.

– Boję się raczej o pozostałych.

Najbliższy wóz należał do mężczyzny imieniem Gentili, wiekowego Styryjczyka podróżującego z czterema kuzynami, których nazywał chłopcami, chociaż byli niewiele młodszy od niego. Żaden z nich nie znał wspólnej mowy. Gentili uparł się, żeby wykopać dla siebie nowe życie spod gór, co wymagało nie lada optymizmu, gdyż ledwie mógł ustać na nogach na suchym lądzie, a co dopiero zanurzony po pas w lodowatym nurcie. Nie słyszał o porwanych dzieciach. Płoszka nie była nawet pewna, czy dosłyszał pytanie. Gdy odchodziła, zapytał, czy miałaby ochotę dzielić z nim nowe życie jako jego piąta żona. Grzecznie odmówiła.

Lorda Ingelstada najwyraźniej prześladował pech. Gdy o tym wspominał, Lady Ingelstad – kobieta, która nie nadawała się do

znoszenia trudów życia, ale i tak postanowiła rozdeptywać je na miazgę – patrzyła na niego ze złością, jakby chciała powiedzieć, że to ona odczuła na swojej skórze skutki jego pecha, a dodatkowo musiała ścierpieć błędny wybór męża. Płoszka miała wrażenie, że wspomniany pech dotyczy kości i długów, ale skoro jej własna ścieżka życiowa rzadko bywała prosta, postanowiła powstrzymać się od krytyki i nie kwestionować słów Ingelstada. Lord nic nie wiedział o bandytach porywających dzieci, podobnie jak o wielu innych sprawach. Gdy odchodziła, zaprosił ją i Owcę na wieczorną partyjkę kart. Obiecał, że stawka nie będzie wysoka, ale Płoszka wiedziała z doświadczenia, że nawet wtedy łatwo wpaść w kłopoty. Ponownie grzecznie odmówiła i zasugerowała, że człowiek, którego tak bardzo prześladowuje pech, powinien postarać się więcej go nie kusić. Lord Ingelstad przyjął tę radę z rubasznym humorem, po czym złożył taką samą propozycję Gentiliemu i jego chłopcom. Lady Ingelstad sprawiała wrażenie, jakby była gotowa ich wszystkich pozagryzać, byle tylko nie dopuścić do rozgrywki.

Następny wóz wyglądał na największy w całej Drużynie. Miał szklane okna, a na jego burcie widniał napis „Sławny Iosiv Lestek”, wymalowany łuszczącą się fioletową farbą. Płoszka pomyślała, że gdyby aktor był tak sławny, nie musiałby umieszczać swojego nazwiska na wozie, ale skoro sama o sławę otarła się tylko za sprawą listów gończych ze swoją podobizną, nie zamierzała udawać specjalistki w tej dziedzinie.

Potargany chłopiec powoził, a słynny aktor, stary, wychudły i wyblakły, siedział chwiejnie obok niego, owinięty wytartym kocem zrobionym przez Duchy. Gdy Płoszka i Owca podjechali bliżej, wyraźnie się ożywił, wyczuwając okazję do przechwałek.

– Jam jest... Iosiv Lestek. – To był prawdziwy szok, usłyszeć, jak z tej wymizerowanej głowy wydobywa się grzmiący głos króla, bogaty, głęboki i soczysty jak śliwkowy sos. – Podejrzewam, że o mnie słyszeliście.

– Przykro mi, ale rzadko bywamy w teatrze – odrzekł Owca.

– Co cię sprowadza do Dalekiej Krainy? – spytała Płoszka.

– Z powodu choroby zostałem zmuszony do porzucenia pracy w Domu Teatralnym w Adui. Oczywiście, zespół był zrozpaczony tą stratą, ale już wróciłem do pełni sił.

– To dobra wiadomość. – Płoszka bała się myśleć, jak wyglądał przed wyzdrowieniem. Teraz przypominał trupa wskrzeszonego za pomocą czarów.

– Podróżuję do Fałdy, gdzie odegram główną rolę w kulturalnym święcie!

– Kultura? – Płoszka uniosła brzeg kapelusza, żeby popatrzeć na rozciągające się przed nimi pustkowie porośnięte szarą trawą i niewydarzonymi krzewami, upstrzone stertami spieczonych słońcem brązowych głazów, gdzie nie żyło nic poza kilkoma pełnymi nadziei sokołami krążącymi w górze. – Tutaj?

– Nawet najbardziej prymitywne serca pragną tego co wzniosłe – poinformował ich artysta.

– Wierzę na słowo – odrzekł Owca.

Lestek był zajęty posyłaniem uśmiechów w stronę czerwieniejącego horyzontu, trzymając przy piersi zaciśniętą dłoń, tak bladą, że niemal przezroczystą. Płoszka miała wrażenie, że ma do czynienia z jednym z tych ludzi, którzy nie widzą potrzeby, by w rozmowie uczestniczyły dwie strony.

– Mój największy występ jest jeszcze przede mną, tego jestem pewien.

– A więc jest na co czekać – mruknęła Płoszka, zawracając

konia.

Grupa mniej więcej tuzina Suljuków przysłuchiwała się ich rozmowie, stojąc wokół wozu zniszczonego zgnilizną. Nie porozumiewali się wspólną mową, a Płoszka z trudem rozpoznawała suljucki język, nie wspominając o jego rozumieniu, więc tylko skinęła głową, gdy ich mijała, a oni odpowiedzieli w ten sam sposób, zachowując sympatyczną zagadkowość.

Ashjid był gurkijskim kapłanem, który postanowił jako pierwszy zanieść słowo Proroka na zachód od Fałdy. A raczej jako drugi, gdyż niejaki Oktaadi zrezygnował po trzech miesiącach pobytu w tamtych okolicach, a gdy wracał, Duchy obdarły go żywcem ze skóry. Ashjid na razie próbował nauczać członków Drużyny za pośrednictwem codziennych błogosławieństw, jednak jak dotąd udało mu się nawrócić tylko ciekawskiego półgłówka zajmującego się zbieraniem wody pitnej. Nie mógł im przekazać żadnych informacji poza objawieniem pisma, ale poprosił Boga, by spojrział życzliwym okiem na ich poszukiwania, a Płoszka mu za to podziękowała. Lepiej otrzymać błogosławieństwo niż przekleństwo, chociaż pług czasu i tak odsłoni to, co ma odsłonić.

Kapłan wskazał surowego człowieka siedzącego na schludnie utrzymanym wozie. Mężczyzna miał na imię Savian i podobno lepiej było z nim nie zadzierać. Miał przy boku długi miecz, który wyglądał, jakby wiele przeszedł, oraz pokrytą siwym zarostem twarz, która zapewne przeszła jeszcze więcej. Szparki oczu wyglądały z cienia nisko opuszczonego kapelusza.

– Nazywam się Płoszka Południe, a to jest Owca.

Savian tylko skinął głową, jakby uznał, że to możliwe, ale nie miał na ten temat żadnego zdania.

– Szukam swojego brata i siostry. Mają sześć i dziesięć lat.

Tym razem nawet nie pokiwał głową. Zacięty drań.

– Porwał ich człowiek nazwiskiem Grega Cantliss.

– Nie mogę wam pomóc – odrzekł z nutką imperialnego akcentu, mierząc Płoszkę wzrokiem. Najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia. Potem popatrzył na Owcę, który również mu nie zaimponował. Przyłożył pięść do ust i przeciągle, chrapliwie zakaszłał.

– Brzydki kaszel – stwierdziła Płoszka.

– A kiedy kaszel jest ładny?

Płoszka zauważyła kuszę zawieszoną na oparciu siedzenia za jego plecami. Nie naładował jej, ale naciągnął cięciwę i zablokował spust klinem. Broń była gotowa do użycia.

– Przyłączyłeś się do Drużyny, żeby walczyć?

– Mam nadzieję, że nie będę musiał. – Jego wygląd nie świadczył o tym, że jego nadzieje zawsze się spełniają.

– Tylko głupiec pragnie walki.

– Niestety zawsze się taki znajdzie.

Owca parsknął.

– Przykre, ale prawdziwe.

– Po co wybierasz się do Dalekiej Krainy? – spytała Płoszka, starając się wyciosać coś więcej z tej kamiennej twarzy.

– To moja sprawa – odparł, po czym ponownie zakaszłał. Nawet wtedy jego usta ledwo się poruszyły.

Płoszka zastanawiała się, czy Savian ma jakieś mięśnie w głowie.

– Postanowiliśmy spróbować swoich sił jako poszukiwacze. – Z wozu wychyliła się kobieta, szczupła i silna, z krótko ostrzyżonymi włosami i bardzo niebieskimi oczami. Miała

przenikliwe spojrzenie. – Mam na imię Corlin.

– To moja siostrzenica – wyjaśnił Savian, chociaż było coś dziwnego w tym, jak na siebie patrzyli.

Płoszka nie była pewna, na czym to polega.

– Poszukiwacze? – spytała, zsuwając kapelusz z czoła. – Niewiele kobiet się tym zajmuje.

– Chcesz powiedzieć, że kobiety nie mogą robić wszystkiego? – spytała Corlin.

Płoszka uniosła brwi.

– Myślę, że powinny mieć na tyle rozumu, by nie próbować niektórych rzeczy.

– Wydaje się, że żadna z płci nie ma monopolu na pychę.

– Na to wygląda – odparła Płoszka i mruknęła pod nosem: – Cokolwiek to, kurwa, znaczy. – Skinęła do nich głową i zawróciła wierzchowca. – Do zobaczenia na szlaku.

Corlin i jej wuj nie odpowiedzieli, tylko oddali się rywalizacji na śmierć i życie, próbując ustalić, które z nich zdoła odprowadzić Płoszkę surowszym wzrokiem.

– Jest w nich coś dziwnego – szepnęła Płoszka do Owcy, gdy odjeżdżali. – Nie widziałam, żeby mieli sprzęt do kopania.

– Może chcą go kupić w Fałdzie?

– I pięciokrotnie przepłacić? Patrzyłeś im w oczy? Nie wyglądają na ludzi, którzy zawierają kiepskie interesy.

– Nic ci nie umknie, prawda?

– Staram się być czujna, na wypadek gdyby coś miało się obrócić przeciwko mnie. Myślisz, że oni mogą nam przysporzyć kłopotów?

Owca wzruszył ramionami.

– Myślę, że najlepiej traktować innych ludzi tak, jak sami

chcielibyśmy być traktowani, i pozostawić im swobodę wyboru. Każdy z nas może przysporzyć komuś kłopotów. Zapewne połowa Drużyny ma do opowiedzenia jakąś ponurą historię. W przeciwnym razie po co brnęliby przez to bezkresne i płaskie pustkowia w towarzystwie takich ludzi jak my?

Raynault Buckhorm mógł im opowiedzieć tylko o swoich marzeniach, chociaż nawet wtedy się jąkał. Należała do niego połowa bydła prowadzonego przez Drużynę, zatrudniał sporą część poganiaczy i już po raz piąty podróżował do Fałdy, gdzie zawsze był popyt na mięso, tym razem wioząc ze sobą żonę i dzieci, żeby osiąść tam na stałe. Dokładną liczbę jego dzieci trudno było oszacować, ale wydawało się, że jest ich mnóstwo. Buckhorm spytał Owcę, czy ten widział trawę w Dalekiej Krainie. Psiakrew, to najlepsza trawa w Kręgu Świata. A także najlepsza woda. Warto zmierzyć się z pogodą, Duchami oraz morderczą odległością, żeby dotrzeć do takiej trawy i wody. Kiedy Płoszka wspomniała mu o Gredze Cantlissie oraz jego bandzie, pokręcił głową i stwierdził, że wciąż go dziwi, jak nisko mogą upaść ludzie. Żona Buckhorma, Luline – posiadaczka olbrzymiego uśmiechu oraz malutkiego ciała, które nie wiadomo jakim cudem wydało na świat tak liczne potomstwo – również pokręciła głową i odrzekła, że to najokropniejsza rzecz, o jakiej słyszała, i że chciałyby jakoś pomóc Płoszce. Zapewne by ją przytuliła, gdyby ta nie siedziała na koniu. Potem dała jej trochę ciasta i spytała, czy rozmawiała z Hedgesem.

Hedges okazał się przebiegłym typkiem, który jechał na wymizerowanym mule, miał za mało sprzętu oraz nieprzyjemny zwyczaj patrzenia na Płoszkę od szyi w dół podczas rozmowy. Nigdy nie słyszał o Gredze Cantlissie, ale pokazał swoją niesprawną nogę, którą podobno zranił, dowodząc szarżą

podczas Bitwy o Osrung. Płoszka wątpiła w prawdziwość tej opowieści. Jednakże matka zawsze jej powtarzała, że „warto szukać w ludziach tego, co najlepsze”, co stanowiło dobrą radę, nawet jeśli matka sama nigdy z niej nie korzystała. Dlatego Płoszka poczęstowała Hedgesa ciastem Luline Buckhorm, a on w końcu popatrzył jej w oczy i rzekł:

– Jesteś w porządku.

– Niech ciasto cię nie zwiedzie – odparła, ale kiedy odjeżdżała, Hedges nadal wpatrywał się w brudną dłoń, w której je trzymał, jakby znaczyło dla niego tak wiele, że nie mógł się zdobyć na zjedzenie go.

Płoszka krążyła wśród ludzi, dopóki nie zachrypła od dzielenia się swoimi kłopotami i nie rozboleły jej uszy od wysłuchiwania cudzych marzeń. Uznała, że Drużyna w większości składa się z pogodnych i szczodrych ludzi. Niektórzy byli nieco surowi, dziwaczni albo głupi, ale wszyscy pragnęli znaleźć lepsze jutro. Nawet Płoszka to czuła, pomimo twardego pancerza, jakim okryły ją czas i przeciwności losu, umęczenia pracą i niesprzyjającą pogodą, a także troski o przyszłość Pestki i Ro oraz przeszłość Owcy. Świeży wiatr wiejący jej w twarz oraz świeże nadzieje rozbrzmiewające jej w uszach sprawiły, że krążyła między wozami z głupkowskim uśmiechem, kłaniając się ludziom, których nie знаła, i klepiąc po plecach tych, których dopiero co spotkała. Co jakiś czas przypominała sobie, co tutaj robi, a wtedy uśmiech zniknął z jej twarzy, ale po chwili powracał, jak gołębie przeganiane ze świeżo obsianego pola.

Wkrótce przestała się tym przejmować. Gołębie mogą zrujnować uprawy, ale co złego jest w uśmiechu?

Dlatego postanowiła z nim nie walczyć. Tak czuła się lepiej.

– Mnóstwo współczucia – stwierdziła, kiedy już porozmawiała prawie ze wszystkimi, a słońce zmniejszyło się do złocistego paska przed nimi i Drużyna zaczęła rozpalać pochodnie, by pokonać kolejną milę przed rozbiciem obozu. – Mnóstwo współczucia, ale niewiele pomocy.

– Myślę, że współczucie to też coś – odparł Owca. Czekwała na dalszy ciąg, ale on tylko siedział przygarbiony, kiwając głową w rytm powolnych kroków wierzchowca.

– Wydaje się, że większość z nich jest w porządku. – Paplała, żeby wypełnić pustkę, i irytowało ją, że musi to robić. – Nie wiem, jak sobie poradzą, jeśli pojawią się Duchy i dojdzie do najgorszego, ale nic do nich nie mam.

– Myślę, że nigdy nie wiadomo, jak ludzie sobie poradzą w trudnej sytuacji.

Zerknęła na niego.

– Tu się z tobą zgodzę.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym ze wstydem odwrócił wzrok. Otworzyła usta, ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, głęboki głos Słodkiego odbił się echem w zapadającej ciemności, oznajmiając koniec dnia.

Twardy wędrowiec

Temple gwałtownie obrócił się w siodle, czując, że serce wyrywa mu się z piersi...

Nie zobaczył niczego poza blaskiem księżyca na kołyszących się gałęziach. Było tak ciemno, że nawet to ledwo widział. Być może usłyszał gałązkę oderwaną przez wiatr albo królika zajmującego się swoimi niegroźnymi nocnymi sprawami w zaroślach, bądź żadnego krwi dzikusa z ludu Duchów wysmarowanego krwią niewinnych, przygotowującego się, żeby obedrzeć go żywcem ze skóry i zrobić sobie czapkę z jego twarzy.

Zgarbił się, gdy kolejny zimny podmuch potrząsnął sosnami i zmroził go do szpiku kości. Kompania Łaskawej Dłoni tak długo trzymała go w swoim brudnym uścisku, że uznawał za pewnik bezpieczeństwo, które mu zapewniała. Teraz dotkliwie odczuwał jego brak. Jest wiele rzeczy w życiu, które nie w pełni doceniamy, dopóki nie stracimy ich na skutek brawury. Na przykład, dobry płaszcz. Albo nożyk. Albo kilkudziesięciu zatwardziałych zabójców i sympatyczny wiekowy złoczyńca.

Pierwszego dnia mocno popędzał konia i martwił się tylko tym, że go dogonią. Kiedy świt przywitał go chłodem i rozległą pustką, zaniepokoił się, że im się nie uda. Trzeciego ranka przygnębiła go myśl, że być może nawet nie próbują. Ucieczka z Kompanii, bez celu ani ekwipunku, w środek pustkowiec nieopisanego na żadnej mapie, coraz mniej przypominała łatwą drogę.

Przez trzydzieści lat życia Temple odgrywał wiele źle obsadzonych ról. Był żebrakiem, złodziejem, niechętnym kandydatem na kapłana, nieudolnym chirurgiem, zniesmaczonym rzeźnikiem, stolarzem o obolałych dłoniach, przez chwilę kochającym mężem, a przez jeszcze krótszą chwilę oddanym rodzicem, by wkrótce stać się bolejącym żałobnikiem i zgorzkniałym pijakiem, nadmiernie pewnym siebie kanciarzem, więźniem Inkwizycji, a następnie ich informatorem, tłumaczem, księgowym i prawnikiem, współpracownikiem wielu niewłaściwych stron, współnikiem masowego mordercy, a ostatnio, na swoją zgubę, człowiekiem słuchającym sumienia. Jednak twardy wędrowiec nie znajdował się na tej liście.

Temple nawet nie miał przyborów do rozpalenia ognia, a gdyby je miał, nie wiedziałby, jak z nich skorzystać. Zresztą nie miał niczego, co mógłby przyrzędzić. A teraz zgubił się w każdym znaczeniu tego słowa. Kolce głodu, zimna i strachu wkrótce zaczęły mu dokuczać znacznie bardziej niż słabe ukłucia sumienia. Zapewne powinien się lepiej zastanowić, zanim opuścił Kompanię, ale ucieczka i rozważa są jak oliwa i woda, niechętnie się łączą. Obwinił Coscę. Obwinił Lorsena. Obwinił Jubaira, Sheela i Sufeena. Obwinił każdego skurwiela na świecie, oczywiście oprócz tego, który rzeczywiście ponosił odpowiedzialność, siedział w jego siodle i z każdą nieprzyjemną chwilą coraz bardziej marzył, głodniał i gubił drogę.

– Psiakrew! – ryknął w pustkę.

Jego wierzchowiec przystanął, strzygąc uszami, po czym mozolnie ruszył dalej. Z rezygnacją uodparniał się na jego wybuchy. Temple zerknął w górę przez pokrzywione gałęzie, na księżyc lśniący za szybko poruszającymi się smugami obłoków.

– Boże? – szepnął, zbyt zrozpaczony, żeby czuć się jak głupiec. – Słyszysz mnie? – Oczywiście, nikt nie odpowiedział. Bóg nie odpowiada, zwłaszcza komuś takiemu jak on. – Wiem, że nie jestem najlepszym człowiekiem. Ani nawet szczególnie dobrym... – Skrzywił się. Kiedy już uznasz, że On tam jest, wszechwiedzący i wszechwidzący, zapewne dojdiesz do wniosku, że nie ma sensu upiększać prawdy. – No dobrze, jestem kiepski, ale... chyba nie najgorszy? – Cóż za dumne stwierdzenie. Nadawałoby się na napis nagrobny. Tylko że on samotnie umrze i zgnije pod gołym niebem, więc nikt nie postawi mu nagrobka. – Ale jestem pewien, że mogę się stać lepszy, gdybyś tylko zgodził się... dać mi jeszcze jedną szansę. – Ależ czaruje. – Naprawdę... tylko jedną?

Żadnej odpowiedzi poza kolejnym zimnym podmuchem, który wypełnił las szeptami. Jeśli istnieje Bóg, to jest milczącym draniem, który...

Temple zauważył blady pomarańczowy błysk za drzewami.

Ognisko! Przepełniła go radość!

Po chwili stłumiła ją ostrożność.

Czyje ognisko? Może odcinających uszy barbarzyńców tylko o krok wyprzedzających w rozwoju dzikie zwierzęta?

Gdy poczuł woń smażonego mięsa, zaburczało mu w brzuchu, tak przeciągle i głośno, że przestraszył się, iż go to zdradzi. Przez większą część dzieciństwa cierpiał głód, więc nauczył się, jak sobie z nim radzić, ale ta umiejętność, podobnie jak wiele innych, wymaga stałego treningu.

Delikatnie wstrzymał wierzchowca, po czym jak najciszej ześlizgnął się z siodła i przywiązał wodze do gałęzi. Trzymając się nisko nad ziemią, przeszedł przez zarośla pośród przypominających pazury cieni konarów, klnąc pod nosem, gdy

zaczepiał ubraniem, butami i twarzą o gałązki.

Ognisko płonęło na środku wąskiej polany i piekło się nad nim małe, zręcznie opracowane zwierzę nadziane na patyki. Temple powstrzymał potężne pragnienie rzuć się na mięso z zębami. Pojedynczy koc leżał na ziemi pomiędzy ogniskiem a zużytym siodłem. O drzewo opierała się okrągła tarcza z metalową obwódką i drewnianym frontem naznaczonym śladami po uderzeniach. Obok stał topór o ciężkim, długim ostrzu. Nie trzeba było specjalisty od broni, żeby dojść do wniosku, że nie służył do rąbania drewna.

Sprzęt jednego człowieka, ale z pewnością takiego, któremu lepiej nie kraść kolacji.

Temple krążył wzrokiem pomiędzy mięsem i toporem, a ślina napływała mu do ust z niemal bolesną intensywnością. Możliwa śmierć od topora majaczyła na horyzoncie, ale znacznie bardziej przemawiała mu do wyobraźni pewna śmierć z głodu. Powoli się wyprostował, przygotowując się...

– Ładna noc. – Chrapliwy szept w mowie Północy rozległ się tuż za jego uchem.

Temple zamarł, czując, że stają mu włoski na karku.

– Nieco wietrzna – zaskrzeczał.

– Widywałem gorsze. – Zimny i straszliwy czubek ostrza dotknął jego karku. – Oddaj broń, powoli jak ślimak w zimie.

– Nie mam broni.

Chwila ciszy.

– Co takiego?

– Miałem nóż, ale... – oddał go kościstemu rolnikowi, który zabił nim jego najlepszego przyjaciela – ...go zgubiłem.

– Wędrujesz po wielkim pustkowiu bez broni? – Nieznajomy zdziwił się, jakby spotkał kogoś pozbawionego nosa.

Temple pisnął jak dziewczyna, gdy potężna dłoń wślizgnęła mu się pod pachę i zaczęła go obszukiwać.

– Rzeczywiście, chyba że schowałeś coś w tyłku. – Nieprzyjemna perspektywa. – Ale tam nie zamierzam szukać. – Wreszcie jakaś dobra wiadomość. – Jesteś szaleńcem?

– Jestem prawnikiem.

– To się wyklucza?

Najwyraźniej niekoniecznie.

– Chyba... nie.

Znów chwila milczenia.

– Prawnikiem Coski?

– Byłem.

– Aha.

Ostrze się cofnęło, pozostawiając na karku Temple'a kłujący ślad. Jak widać można tęsknić nawet za czymś nieprzyjemnym, jeśli wystarczająco długo się z tym obcowało.

Mężczyzna ominął Temple'a. Był potężny, czarny i włochaty, w dłoni trzymał nóż. Wyjął zza pasa długi miecz i rzucił go na koc, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami, a blask ogniska zalśnił czerwonymi i żółtymi refleksami w zwierciadle jego metalowego oka.

– Życie wiedzie nas dziwnymi ścieżkami, prawda? – rzekł.

– Caul Dreszcz – wymamrotał Temple, nie wiedząc, czy powinien się ucieszyć, czy zmartwić.

Dreszcz obrócił rożen pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem, a tłuszcz z pieczeni skapnął do ognia.

– Głodny?

Temple oblizał usta.

– To tylko pytanie... czy zaproszenie?

– Mam więcej niż będę w stanie zjeść. Lepiej przyprowadź konia, zanim ucieknie. Ale uważaj, gdzie stawiasz stopy. – Północny wskazał głową drzewa. – Tam jest wąwóz, głęboki na jakieś dwadzieścia kroków, a dnem płynie woda o bystrym nurcie.

Temple przyprowadził wierzchowca i go skrępował, zdjął mu z grzbietu siodło i wilgotny koc, po czym go zostawił, by sam poszukał sobie trawy. To przykre, ale im człowiek jest bardziej głodny, tym mniej dba o nakarmienie innych. Dreszcz oddzielił mięso od kości i jadł z cynowego talerza, nabijając kolejne kęsy na czubek noża. Druga porcja lśniła na kawałku kory leżącym po przeciwnej stronie ogniska. Temple uklęknął przed nią jak przed najświętszym ołtarzem.

– Bardzo dziękuję. – Zamknął oczy i zaczął jeść, wysysając soki z każdego kawałka. – Myślałem, że tutaj umrę.

– Kto powiedział, że nie umrzesz?

Kawałek mięsa uwiązał Temple'owi w gardle, wywołując niezręczny kaszel.

– Jesteś sam? – wysapał, byle tylko przerwać miazdzącą ciszę.

– Przekonałem się, że kiepski ze mnie kompan.

– Nie przejmujesz się Duchami?

Północny pokręcił głową.

– Słyszałem, że zabili wielu ludzi w Dalekiej Krainie.

– Zacznę się martwić, kiedy zabiją mnie. – Dreszcz rzucił talerz na ziemię, po czym oparł się na łokciu, chowając okaleczoną twarz głębiej w cieniu. – Człowiek może spędzić życie, srając po nogach ze strachu, ale dokąd go to zaprowadzi?

– No właśnie, dokąd? Wciąż polujesz na dziewięciopalcego?

– Zabił mojego brata.

Temple znieruchomiał z kolejnym kęsem w połowie drogi do ust.

– Przykro mi.

– A mnie nie. Mój brat był gnojkiem. Ale rodzina to rodzina.

– Wierzę na słowo. – Krewni Temple'a zazwyczaj nie pozostawali na długo w jego życiu. Martwa matka, martwa żona, martwa córka. – Dla mnie najbliższą osobą jest... – Chciał powiedzieć „Sufeen”, ale zdał sobie sprawę, że on też już nie żyje. – Nicomo Cosca.

Dreszcz stęknął. Niemal zachichotał.

– Wiem z doświadczenia, że nie jest bezpiecznie mieć go za plecami.

– Co to za doświadczenie?

– Obaj zostaliśmy wynajęci do zabicia kilku osób. W Styrii, mniej więcej dziesięć lat temu. Był też z nami Przyjazny oraz kilka innych osób. Truciciel. Oprawczyń.

– Wesoła kompania.

– Nie jestem taki rozrywkowy, na jakiego wyglądam. Sprawy przybrały... – Dreszcz delikatnie podrapał się po potężnej bliźnie pod metalowym okiem – ...nieco nieprzyjemny obrót.

– Tak się często dzieje, kiedy angażuje się w nie Cosca.

– Paskudne rzeczy dzieją się także bez jego udziału.

– Ale przy nim nabierają rozmachu – wyszeptał Temple, patrząc w ogień. – Nigdy nie był zbyt troskliwy, ale kiedyś chociaż trochę mu zależało. Z czasem stał się gorszy.

– Tak się dzieje z ludźmi.

– Nie ze wszystkimi.

– Aha. – Dreszcz wyszczerzył zęby. – Jesteś jednym z tych optymistów, o których słyszałem.

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Temple. – Zawszy wybieram łatwą ścieżkę.

– Bardzo mądrze. Nauczyłem się, że nadzieja na coś zazwyczaj przynosi przeciwny skutek. – Północny powoli obrócił pierścień na swoim małym palcu, błyskając klejnotem w kolorze krwi. – Kiedyś też marzyłem o zostaniu lepszym człowiekiem.

– Co się stało?

Dreszcz położył się przy ognisku, opierając buty na siodle, i zaczął się okrywać kocem.

– Obudziłem się.

Temple obudził się wraz z pierwszym rozmytym, szarobłękitnym dotknięciem świtu i stwierdził, że się uśmiecha. Ziemia była zimna i twarda, a koc zdecydowanie za mały, lecz już dawno tak smacznie nie spał. Ptaki świergotały, wiatr szeptał, a zza drzew dobiegał cichy szum płynącej wody.

Opuszczenie Kompanii nagle wydało mu się mistrzowskim planem, który dzielnie zrealizował. Poruszył się pod kocem. Jeśli istnieje Bóg, to chyba rzeczywiście jest tym litościwym gościem, o którym Kahdia zawsze...

Miecz i tarcza Dreszcza zniknęły, a na jego kocu siedział inny mężczyzna.

Był rozebrany od pasa w górę, a jego blade ciało przypominało poskręcaną masę ścięgien. Na dole nosił brudną sukienkę rozciętą na środku i pozszywaną sznurkiem w luźne spodnie. Połowę głowy miał ogoloną, a pomarańczowe włosy po drugiej stronie uformował w sztywne kolce za pomocą jakiegoś tłuszczu. W jednej opuszczonej dłoni trzymał toporek, a w drugiej jasny nóż.

A więc Duch.

Patrzył na Temple'a przenikliwymi niebieskimi oczami ponad wygasłym ogniskiem, a Temple odwzajemniał spojrzenie, lecz ze znacznie mniejszą mocą, delikatnie podciągając obiema rękami pod brodę śmierzący koniem koc.

Kolejni dwaj mężczyźni wyłonili się spomiędzy drzew. Jeden miał na głowie coś w rodzaju hełmu, chociaż zapewne nie służył on do ochrony przed żadną ziemską bronią, gdyż miał postać otwartej skrzynki z patyków, które na rogach połączono piórami, przymocowanej do kołnierza wykonanego ze starego pasa. Drugi miał policzki pokryte bliznami po samodzielnie zadanych ranach. W innych okolicznościach – na przykład, na scenie podczas karnawału w Styrii – mogliby wzbudzić wesołość, ale tutaj, w niezbadanych ostępach Dalekiej Krainy, jednoosobowej widowni złożonej z Temple'a zdecydowanie nie było do śmiechu.

– Noy.

Czwarty Duch pojawił się znikąd. Jeszcze nie mężczyzna, ale już nie chłopiec, o żółtych włosach okalających bladą twarz. Pod oczami miał zaschnięte kreski wymalowane brązową farbą. Temple miał nadzieję, że to farba. Kości jakiegoś drobnego zwierzęcia przyszyte z przodu koszuli zrobionej z worka grzechotały, gdy przeskakiwał tanecznie z jednej stopy na drugą, cały czas promiennie się uśmiechając. Gestem zachęcił Temple'a do wstania.

– Noy.

Temple bardzo powoli wstał, również się uśmiechając, najpierw do młodzieńca, a potem do pozostałych. Nie przestawaj się uśmiechać, zachowuj się przyjacielsko.

– Noy? – zagadnął.

Chłopak uderzył go w bok głowy.

Temple'a zwałił z nóg bardziej szok niż siła uderzenia. Przynajmniej tak sobie wmawiał. Szok oraz pierwotna świadomość, że nic nie zyska, jeśli wciąż będzie stał. Świat kołysał mu się przed oczami, gdy leżał na ziemi. Czuł łaskotanie we włosach. Dotknął głowy i poczuł na palcach krew.

Zobaczył, że chłopak trzyma w ręku kamień pomalowany w niebieskie okręgi. Teraz znaczyło go także kilka plamek czerwonej krwi Temple'a.

– Noy! – zawołał chłopak, znów zachęcając go do wstania.

Temple'owi wcale się nie śpieszyło.

– Posłuchaj – odezwał się we wspólnej mowie.

Chłopak go spoliczkował.

– Posłuchaj! – Tym razem spróbował po styryjsku.

Młodzieniec ponownie uderzył go otwartą dłonią. Temple przeszedł na kantyjski.

– Nie mam żadnych...

Chłopak znów wymierzył mu cios kamieniem, tym razem trafiając go w policzek i przewracając na bok.

Temple pokręcił głową. Był oszołomiony. Prawie stracił słuch.

Uchwycił się najbliższej rzeczy. Może to była noga chłopaka.

Zaczął się podnosić, ale dotarł tylko do kolan. Swoich albo młodzieńca. W każdym razie czyichś kolan.

W ustach czuł smak krwi. Twarz pulsowała. Nie czuł bólu, tylko otępienie.

Chłopak mówił coś do pozostałych, unosząc ręce, jakby prosił o zgodę.

Mężczyzna z kolcami na głowie ponuro pokiwał głową

i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy głowa spadła mu z ramion.

Jego towarzysz się odwrócił, spowolniony przez hełm z patyków. Miecz Dreszcza odciął mu rękę ponad łokciem i z głuchym odgłosem wbił się w pierś, a z rany trysnęła krew. Duch bez słowa zatoczył się do tyłu z ostrzem tkwiącym między żebrami.

Mężczyzna z bliznami na twarzy rzucił się na Dreszcza, próbując go dźgnąć i chwycić jego tarczę. Przeciwnicy zaczęli się miotać po polanie, rozrzucając nogami popioły ogniska.

To wszystko trwało tyle co dwa pełne niedowierzania niepewne oddechy. Potem chłopak ponownie uderzył Temple'a w głowę. To wydawało się absurdalnie niesprawiedliwe. Zupełnie jakby to Temple stanowił główne zagrożenie. Podciągnął się na trzymanej nodze, czując wzbierającą wściekłość. Dreszcz powalił pokrytego bliznami Ducha na kolana i okładał go po głowie krawędzią tarczy. Chłopak znów uderzył Temple'a, ale ten kurczowo się go trzymał i zanim ugięły się pod nim nogi, zdołał chwycić przeciwnika za ozdobioną kośćmi koszulę.

Padli razem na ziemię, drapiąc, bijąc pięściami, dźgając palcami. Temple początkowo leżał pod spodem, wściekle szczerząc zęby, ale po chwili wbił kciuk w nos Ducha i zrzucił go z siebie, myśląc o tym, jakie to wszystko idiotyczne i niepotrzebne, dopóki nie uświadomił sobie, że skuteczni wojownicy zapewne czekają z filozofowaniem do końca walki.

Duch uderzył go kolanem, wrzeszcząc coś w swoim języku, i obaj potoczyli się pomiędzy drzewami, ześlizgując się w dół zbocza. Temple cały czas okładał młodzieńca po twarzy zakrwawionymi knykciami, po czym zaczął wrzeszczeć, gdy

Duch ugryzł go w przedramię. Nagle drzewa zniknęły, a oni poczuli pod sobą luźną ziemię. Potem odgłos rzeki przybrał na sile, ziemia ustąpiła i runęli w dół.

Temple jak przez mgłę pamiętał, że Dreszcz wspominał coś o wąwozie.

Podmuchy wiatru, wirowanie w stanie nieważkości, skały, liście i biała woda. Temple puścił Ducha i obaj spadali bezgłośnie. To wszystko było tak nierzeczywiste, jakby działo się we śnie. Czy Temple za chwilę obudzi się i odkryje, że wciąż jest z Kompanią...

Poczuł wstrząs, gdy uderzył o wodę.

Ślepym trafem spadł na nogi i od razu znalazł się pod powierzchnią, pochwycony przez lodowatą wodę, miażdżony jej rozpędzoną masą, szarpany jednocześnie w pięciu kierunkach przez nurt, który o mało nie wyrwał mu rąk ze stawów. Wirował bezsilnie, jak liść niesiony przez wodę.

Wynurzył głowę i rozpaczliwie zaczerpnął powietrza, czując wilgotną mgiełkę na twarzy i słysząc ryk wścieklej rzeki, po czym znów dał się wciągnąć nurtowi. Uderzył ramieniem o coś twardego i obrócił się, tak że przez chwilę widział niebo. Miał tak ciężkie i obolałe kończyny, że kusilo go, żeby się poddać. Nigdy nie był wojownikiem.

Zauważył dryfujący kawałek drewna, wysuszony oraz wyblakły do białości od słońca i wody. Chwycił go, czując, że pękają mu płuca, i kurczowo zacisnął na nim palce, wynurzając prawą stronę ciała. To była część drzewa. Cały pień z pozbawionymi liści konarami. Temple zdołał wciągnąć się na niego klatką piersiową, kaszląc, plując, szorując twarzą o przegniłe drewno.

Odetchnął. Kilka oddechów. Godzina. Sto lat.

Woda go obmywała i łaskotała. Uniósł głowę, żeby zobaczyć niebo. Potężny wysiłek. Obłoki przesuwały się po obojętnym błękanie.

– Według ciebie to ma być, kurwa, śmieszne? – wychrypiał.

Fala uderzyła go w twarz, tak że zakrztusił się wodą. A więc nie. Leżał nieruchomo. Zbyt zmęczony i obolały, by zrobić cokolwiek innego. Przynajmniej nurt się uspokoił. Rzeka stała się szersza i wolniejsza, brzegi niższe i porośnięte długą trawą opadającą ku drobnym kamyczkom.

Pozwalał, by to wszystko go mijało. Ufał Bogu, skoro nie było nikogo innego. Miał nadzieję na niebo.

Ale był w pełni przygotowany na drugą możliwość.

Drewno niesione wodą

– Prrr! – krzyknęła Płoszka. – Prrr!

Może sprawił to huk rzeki, a może woły w jakiś sposób wyczuły jej niechlubną przeszłość, w każdym razie jak zawsze nie zwróciły najmniejszej uwagi na jej słowa i zbaczały w stronę głębszej wody. Głupie uparte zwierzaki. Kiedy raz wbiły sobie coś do głowy, brnęły w obranym kierunku niezależnie od sprzeciwów. Może to natura dawała jej nauczkę. W końcu słynęła z mściwości.

– Powiedziałam prrr, dranie!

Ścisnęła mokrymi nogami przemoczone siodło, kilkakrotnie owinęła sobie przedramię liną i mocno pociągnęła. Drugi koniec był mocno przywiązany do jarzma i lina gwałtownie się napięła, przyskając wodą. Jednocześnie Leef popędził kucyka w górę rzeki i wymierzył wołowi lekki cios zaostrowym patykiem. Okazało się, że zna się na poganianiu bydła. Jeden ze zwierzaków z pierwszej pary parsknął z oburzeniem, ale zwrócił tępy nos w lewo, wracając na właściwy kurs, ku naznaczonym kołami kamykom pokrywającym przeciwległy brzeg, gdzie zgromadziła się już połowa Drużyny.

Wśród nich był kapłan Ashjid, który wzniósł ręce ku niebu, jakby pełnił tutaj najważniejszą funkcję, intonując modlitwę, żeby uspokoić wzburzone wody. Płoszka nie zauważyła, by te się uspokoiły. Ani wody, ani, z całą pewnością, nie ona.

– Trzymaj je prosto! – ryknął Słodki, który wstrzymał ociekającego wodą wierzchowca na piaszczystej łasze

i odpoczywał, co robił z irytującą częstotliwością.

– Trzymaj je prosto! – powtórzył Majud, który jechał z tyłu, tak mocno przytrzymując się siedzenia wozu, że omal go nie wyrwał. Najwyraźniej nie czuł się pewnie w wodzie, co stanowiło poważną niedogodność w przypadku pioniera.

– A jak myślicie, co próbuję zrobić, leniwe kutasy? – syknęła Płoszka, obracając konia w lewo i ponownie ciągnąc za linę. – Spławić nas wszystkich do morza?

Wydawało się to możliwe. Ścieśnili woły, grupując je po sześć, osiem, a nawet dwanaście przy najcięższych ładunkach, ale i tak nie szło im łatwo. Wozy na zmianę próbowały odpłynąć i utykały na płyciźnie.

Jeden z wozów Buckhorma właśnie ugrzązł i Owca stał po pas w wodzie, mocując się z tylną osią, podczas gdy Savian wychylił się z siodła i okładał prowadzącego wołu po zadzie. Uderzał tak mocno, że Płoszka obawiała się, iż złamie zwierzęciu kręgosłup, ale ostatecznie udało mu się ruszyć je z miejsca, a Owca znużonym krokiem wrócił do swojego wierzchowca. Każdy poza Dabem Słodkim miał pełne ręce roboty.

Jednakże ciężka praca nigdy nie przerażała Płoszki. Wcześniej rozumiała, że kiedy otrzymuje jakieś zadanie, powinna dać z siebie wszystko. Wtedy godziny mijają szybciej i łatwiej uniknąć lania pasem. Odkąd tylko nauczyła się biegać, sumiennie przykładała się do przydzielanych jej obowiązków, a potem do pracy w gospodarstwie, jak również do okradania ludzi, w czym była wyjątkowo dobra, choć dziś wołała się nad tym nie rozwodzić. Teraz jej zadanie polegało na odnalezieniu brata i siostry, ale skoro los zmusił ją do przeprowadzenia wołów przez rzekę, postanowiła w pełni się w to zaangażować,

pomimo smrodu, zmęczenia obolałych rąk i lodowatej wody obmywającej jej tyłek.

Wreszcie wygramolili się na łachę. Zwierzęta ociekały wodą i parskaly, koła wozów chrzęściły na kamykach. Koń Płoszki drżał pod nią, a było to już drugie zwierzę, które zamęczyła tego dnia.

– Psiakrew, to ma być bród?! – zawołała do Słodkiego, przekrzykując szum wody.

Wyszczrzył się do niej, a jego skórzasta twarz pokryła się zmarszczkami wywołanymi wesołością.

– A jak ty byś to nazwała?

– Kawałkiem rzeki, który niczym się nie wyróżnia i w którym równie łatwo się utopić, jak gdzie indziej.

– Powinnaś była mnie uprzedzić, że nie umiesz pływać.

– Umiem, ale ten wóz to nie łoś, do kurwy nędzy. Możesz mi wierzyć.

Słodki zawrócił wierzchowca delikatnym ruchem pięty.

– Rozczarowałaś mnie, dziewczyno. Miałem cię za wielbicielekę przygód!

– Nigdy z wyboru. Gotowy?! – zawołała do Leefa.

Chłopak przytaknął.

– A ty, Majud?

Pomachał wątłą dłonią.

– Obawiam się, że nigdy nie będę gotowy. Ruszamy. Ruszamy.

Płoszka ponownie naciągnęła linę, zaczerpnęła tchu, przypomniała sobie twarze Ro i Pestki, po czym ruszyła w ślad za Słodkim. Chłód ogarnął jej łydki, potem uda, woły nerwowo zerkały na przeciwległy brzeg, a koń parskał i zarzucał głową.

Żadne z nich nie miało ochoty na kolejną kąpiel. Leef dźgał zwierzęta zaostrzonym patykiem, wołając:

– Spokojnie, spokojnie!

Ostatni etap przeprawy był najgłębszy, a woda z dużą siłą obmywała woły, pieniąc się na ich bokach. Płoszka szarpnęła linę, wprowadzając zwierzęta do rzeki po skosie, żeby ostatecznie osiągnąć prosty kurs. Wóz podskakiwał na nierównym dnie z do połowy zanurzonymi kołami i całkowicie zanurzonymi osiami, na granicy odpłynięcia i zamienienia się w kiepskiej jakości łódź.

Płoszka zauważyła, że jeden z wołów płynie, wyciągając szyję, jakby z trudem utrzymywał rozszerzające się nozdrza nad powierzchnią. Po chwili dołączył do niego drugi, zerkając w jej stronę przerażonymi oczami, a następnie trzeci. Płoszka poczuła, jak zwierzęta napinają linę, i mocniej owinęła sobie nią przedramię, zapierając się z całej siły, a konopny sznur zacisnął się na skórzanej rękawicy i obtarł gołą skórę ponad jej krawędzią.

– Leef! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Jedź do...

Jeden z prowadzących wołów o sterczących łopatkach stracił grunt pod nogami i poślizgnął się, zbaczając w prawo i podcinając swojego sąsiada. Zwierzęta porwał nurt. Lina pociągnęła prawą rękę Płoszki i gwałtownie ją wyprostowała, jakby chciała porozrywać jej mięśnie i stawy, do połowy wyciągając kobietę z siodła, zanim ta zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Para wołów znajdujących się na przedzie zaczęła się miotać, wyrzucając w powietrze fontanny wody, ściągając kolejne zwierzęta z właściwego kursu. Leef wrzeszczał i chłostał je patykiem, ale równie dobrze mógłby tłuc rzekę, co zresztą robił.

Tymczasem Płoszka z całych sił ciągnęła za linę, ale równie dobrze mogłaby próbować holować tuzin martwych wołów, co zresztą wkrótce miało się stać faktem.

– Kurwa mać! – sapnęła, gdy lina nagle wyslizgnęła się jej z prawej ręki i okręciła wokół przedramienia. Z trudem ją utrzymała, a konopie pokryła krew zmieszana z wodą. Z mokrą twarzą i włosami słuchała przerażonego ryku zwierząt oraz równie przerażonego zawodzenia Majuda.

Wóz ślizgał się z chrzęstem, prawie unosząc się na wodzie, bliski wywrócenia. Pierwszy wół jakimś cudem zdołał odzyskać grunt pod nogami, a Savian okładał go po bokach, wściekle pokrzykując. Płoszka odchyliła głowę do tyłu i ciągnęła za linę, która boleśnie szarpała jej rękę, czując, jak jej wierzchowiec drży z wysiłku. Widziała drugi brzeg i machających ludzi, a ich okrzyki, oddechy zwierząt oraz odgłosy walki z żywiołem zlewały się w jeden zgiełk pulsujący echem w jej czaszce.

– Płoszko. – Głos Owcy. Gdy poczuła wokół siebie jego silną rękę, wiedziała, że może odpuścić.

Tak samo jak wtedy, gdy spadła z dachu stodoły, a Owca ją podniósł. „Już dobrze. Cicho”. Migoczące słońce przeświecało przez jej powieki, w ustach czuła smak krwi, ale już się nie bała. Wiele lat później opatrywał oparzenia na jej plecach. „To minie. To minie”. Gdy przeminął mroczny czas i wróciła do gospodarstwa, nie wiedząc co albo kogo tam zastanie, on siedział przed drzwiami, uśmiechając się tak samo jak zawsze. „Dobrze, że jesteś”, powiedział, zupełnie, jakby odeszła zaledwie kilka chwil wcześniej, po czym mocno ją przytulił, a ona poczuła ukłucie łez pod zaciśniętymi powiekami...

– Płoszko?

Stęknęła, kiedy położył ją na brzegu. Otaczające ją

rozmazane twarze zaczęły nabierać ostrości.

– W porządku, Płoszko?! – wołał Leef. – Nic jej nie jest?

– Zróbcie jej trochę miejsca.

– Pozwólcie jej oddychać.

– Przecież oddycham – mruknęła, odpędzając ich natrętne dłonie. Próbowwała usiąść, chociaż nie była pewna, co się stanie, gdy jej się uda.

– Może lepiej przez jakiś czas się nie ruszaj? – rzekł Owca. – Na pewno jesteś...

– Nic mi nie jest – odburknęła, powstrzymując mdłości. – Ucierpiała moja duma, ale ta szybko się zagoi. – W końcu miała już na niej niejedną bliznę. – Poza tym, tylko obtarłam sobie rękę. – Skrzywiła się, ściągając rękawicę zębami, czując pulsujący ból w każdym ścięgnię, i stęknęła, poruszając drżącymi palcami. Krwawe ślady po linie otaczały jej przedramię jak wąż oplatający gałąź.

– Paskudnie ją obtarłaś. – Leef klepnął się w czoło. – To moja wina! Gdybym tylko...

– Wina leży tylko po mojej stronie. Powinnam była puścić tę przeklętą linę.

– Jestem wdzięczny, że tego nie zrobiłaś. – Majud wreszcie zdołał oderwać palce od siedzenia wozu i teraz okrył ramiona Płoszki kocem. – Nie jestem dobrym pływakiem.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy, i ponownie poczuła pieczenie w gardle, więc szybko skierowała wzrok na mokre kamyczki między kolanami.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że przeprawa przez dwadzieścia rzek pozbawionych mostów to może być błąd?

– Za każdym razem, gdy jakąś przekraczamy, tylko jakie wyjście ma kupiec, jeśli po drugiej stronie czuje swoją szansę?

Nienawidzę niewygód, ale bardziej kocham zysk.

– Właśnie tego nam tutaj potrzeba. – Słodki mocno wcisnął kapelusz na głowę i wstał. – Więcej chciwości. No dobrze! Koniec przedstawienia, kobieta żyje! Odczepiamy woły i wracamy na tamtą stronę, reszta wozów sama nie przeleci nad wodą!

Corlin wepchnęła się pomiędzy Owcę i Leefa z torbą w dłoni i uklękła obok Płoszki, unosząc jej rękę i patrząc na nią ze zmarszczonym czołem. Wyglądała na osobę, która doskonale wie, co robi, więc nikt się nie zastanawiał, czy tak jest w istocie.

– Nic ci nie będzie? – spytał Leef.

Płoszka machnęła ręką.

– Możesz iść. Wszyscy możecie. – Wiedziała, że niektórzy ludzie nigdy nie mają dosyć współczucia, ale zawsze czuła się z tym piekielnie nieswojo.

– Na pewno? – spytał Owca, spoglądając na nią z bardzo wysoka.

– Podejrzewam, że macie ważniejsze rzeczy do roboty niż wchodzenie mi w drogę – burknęła Corlin, zabierając się za oczyszczanie ran.

Rozeszli się i cofnęli do brodu. Owca rzucił przez ramię ostatnie zmartwione spojrzenie, pozostawiając Płoszkę w rękach Corlin, która sprawnie ją opatrywała, nie tracąc czasu i nie popełniając błędów.

– Myślałam, że nigdy sobie nie pójda. – Wyjęła z torby niewielką butelkę i wcisnęła ją Płoszce w wolną rękę.

– To się nazywa dobre leczenie. – Płoszka dyskretnie pociągnęła łyk i skrzywiła się pod wpływem palącego trunku.

– Jak coś robić, to porządnie.

– Zawsze mnie dziwi, że niektórzy ludzie nie potrafią o siebie zadbać.

– To prawda. – Corlin zerknęła w stronę brodu, gdzie członkowie Drużyny pchali rozklekotany wóz Gentiliego na drugi brzeg. Jeden z wiekowych poszukiwaczy zaczął wymachiwać wiotkimi rękami, gdy koło utknęło na płyciźnie. – Jest z nami kilka takich osób.

– Mam wrażenie, że większość ma dobre chęci.

– Spróbuj kiedyś wybudować łódź z dobrych chęci, a zobaczysz, jak daleko popłynie.

– Próbowałam. Poszła na dno ze mną na pokładzie.

Corlin uniosła kącik ust.

– Chyba też brałam udział w tej podróży. Woda była lodowata, prawda?

Owca stanął obok Saviana i obaj starcy zaczęli się mocować z zaklinowanym kołem, a cały wóz kołysał się od ich wysiłków.

– Na pustkowiu można spotkać wielu silnych mężczyzn. Traperzy i myśliwi rzadko nocują pod dachem. To ludzie zbudowani z drewna i skóry. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam kogoś silniejszego od twojego ojca.

– On nie jest moim ojcem – wyszeptała Płoszka, pociągając kolejny łyk z butelki. – A twój wuj to też nie słabeusz.

Corlin ucięła kawałek bandaża z rolki jednym ruchem błyszczącego nożyka.

– Może powinniśmy zrezygnować z wołów i zaprząć tych dwóch starych drani?

– Pewnie poszłoby nam szybciej.

– Myślisz, że zdołałabyś ujarzmić Owcę?

– Bez trudu, ale nie wiem, jak Savian by zareagował na okładanie kijem.

– Pewnie złamałabyś kij.

Wóz w końcu ruszył, a stary kuzyn Gentilego wciąż miotał się na siedzeniu. Stojący w wodzie Savian z uznaniem poklepał Owcę po ramieniu.

– Widzę, że się zaprzyjaźnili – rzekła Płoszka. – Szybko im poszło jak na ludzi, którzy prawie się nie odzywają.

– Ach, weterani rozumieją się bez słów.

– Dlaczego uważasz, że Owca jest weteranem?

– Wystarczy na niego spojrzeć. – Corlin sprawnie spięła bandaż szpilką. – Gotowe. – Zerknęła w stronę rzeki, na nawołujących mężczyzn rozchlapujących wodę, i nagle zerwała się na nogi. – Wujku, twoja koszula!

Wydawało się, że tylko szalona skromność może skłaniać do zamartwiania się podartym rękawem, gdy połowa mężczyzn z Drużyny była rozebrana od pasa w górę, a kilku do naga. Ale kiedy Savian się obejrzał, Płoszka dostrzegła jego obnażone przedramię. Pokrywały je niebiesko-czarne wytatuowane litery.

Nie musiała pytać o jego żołnierską przeszłość. Był buntownikiem. Zapewne walczył w Stariklandzie i teraz uciekał, zajadle ścigany przez Inkwizycję Jego Królewskiej Mości.

Podniosła wzrok, a Corlin wbiła spojrzenie w ziemię. Żadnej z nich nie udało się ukryć tego, co pomyślały.

– To tylko podarta koszula. Nie przejmuj się.

Corlin zmrużyła niebieskie oczy, a Płoszka uświadomiła sobie, że kobieta wciąż trzyma błyszczący nożyk, i zrozumiała, że musi ostrożnie dobierać słowa.

– Myślę, że każdemu z nas coś się kiedyś podarło. – Płoszka oddała Corlin butelkę i powoli wstała. – Nie do mnie należy sprawdzanie, czy ludzie wykonali solidne szwy. To ich sprawa.

Corlin także pociągnęła łyk, cały czas nie spuszczając Płoszki z oczu.

– To dobre podejście.

– A to dobry opatrunek. – Płoszka wyszczerzyła się, poruszając palcami. – Chyba nigdy nie miałam lepszego.

– Wiele ich miałaś?

– Nie raz mnie kaleczono, ale zazwyczaj musiałam czekać, aż rany same przestaną krwawić. Nikt nie miał ochoty ich bandażować.

– To smutna historia.

– Mogę takie opowiadać przez cały dzień... – Ze zmarszczonym czołem popatrzyła w stronę rzeki. – Co to jest?

Martwe drzewo powoli płynęło w ich kierunku, na zmianę zaczepiając się o dno na płyciźnie i ruszając z miejsca. Pokryta pianą splątana trawa pokrywała jego gałęzie. Na pniu coś wisiało. To był człowiek o bezwładnie zwisających kończynach. Płoszka zrzuciła z siebie koc, podbiegła do brzegu i wślizgnęła się do wody, ponownie drżąc pod wpływem lodowatego nurtu.

Brodząc, zbliżyła się do pnia i chwyciła jedną z gałęzi. Skrzywiła się, gdy ból przeszył wszystkie stawy jej prawej ręki oraz żebra, i musiała się obrócić, żeby użyć lewej ręki.

Mężczyzna niesiony przez rzekę miał odwróconą głowę, tak że nie widziała jego twarzy, tylko bujne czarne włosy, a także kawałek brązowego brzucha wystającego spod podciągniętej mokrej koszuli.

– Co za dziwna ryba – rzekła Corlin, spoglądając w dół z brzegu z rękami wspartymi na biodrach.

– Może, zamiast żartować, pomożesz mi go wyciągnąć?

– Kto to jest?

– Imperator Gurkhulu, kurwa! Skąd mam wiedzieć?

– Właśnie o to mi chodzi.

- Spytamy go na brzegu.
- Wtedy może być za późno.

– Będzie za późno, jak spłynie do morza!

Corlin cmoknęła z niezadowoleniem, po czym szybkim krokiem zeszła po pochyłym brzegu do rzeki.

- To będzie twoja wina, jeśli okaże się, że jest mordercą.
- Niewątpliwie.

Wspólnie wyciągnęły pień i leżącego na nim człowieka na brzeg, aż połamane gałęzie z chrzęstem zagłębiły się w żwirze, po czym stanęły przemoczone, wpatrując się w nieznanego. Mokra koszula nieprzyjemnie przywierała do brzucha Płoszki z każdym rozdygotanym oddechem.

– No dobrze. – Corlin pochyliła się, żeby chwycić mężczyznę pod pachami. – Ale trzymaj nóż w pogotowiu.

– Zawsze mam go pod ręką.

Z głośnym stęknieniem Corlin przewróciła mężczyznę na plecy, przerzucając jego bezwładną nogę.

– Wiesz, jak wygląda Imperator Gurkhulu?

– Na pewno jest lepiej odkarmiony – mruknęła Płoszka. Mężczyzna był szczupły, mięśnie wyraźnie rysowały się na jego wyciągniętej szyi, miał wystające kości policzkowe, a na jednej z nich paskudne rozcięcie.

– No i lepiej ubrany – dodała Corlin. Miał na sobie podarte, splątane ubranie i jeden but. – Poza tym jest starszy.

Ten człowiek mógł mieć najwyżej trzydzieści kilka lat. Nosił krótką czarną brodę, a włosy miał przyprószone siwizną.

– A także mniej... szczery – rzekła Płoszka.

To słowo najlepiej opisywało twarz nieznanego. Pomimo skaleczenia wyglądał niemal spokojnie. Jakby zamknął oczy,

żeby przez chwilę porozmyślać.

– To właśnie na tych szczerach trzeba najbardziej uważać. – Corlin przekrzywiła głowę na jedną stronę, potem na drugą. – Przystojniak z niego. Jak na szczątki wyrzucone przez rzekę. – Pochyliła się, przystawiając ucho do jego ust, po czym z namysłem zakołysała się na piętach.

– Żyje? – spytała Płoszka.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Corlin bez zbędnych ceregieli uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

Kiedy Temple otworzył oczy, zobaczył tylko oślepiający blask.
Niebo!

Ale czy w niebie powinno tak bardzo boleć?

A więc piekło.

Tylko że tam podobno jest gorąco.

Jemu zaś było bardzo zimno.

Spróbował podnieść głowę i uznał, że to zbyt trudne. Spróbował poruszyć językiem i doszedł do wniosku, że to wcale nie jest łatwiejsze. W jego polu widzenia pojawiła się jakaś widmowa postać otoczona nimbem migoczącego światła, na które trudno było patrzeć.

– Boże? – wychrypiał Temple.

Uderzenie w twarz odbiło się głuchym echem w jego głowie, rozpało jego policzek i go otrzeźwiło.

To nie był Bóg.

A przynajmniej nie tak Go zazwyczaj przedstawiano.

To była kobieta o bladej skórze. Nie była stara, ale Temple miał wrażenie, że zdążyła wiele przejść. Miała pociągłą twarz,

którą dodatkowo wydłużały kasztanowe włosy zwisające wzdłuż jasnych policzków i przyklejające się do nich pod wpływem wilgoci, wystające spod zniszczonego kapelusza o rondzie oznaczonym plamami soli. Na jej twarzy malował się podejrzliwy grymas, a delikatne zmarszczki w kącikach ust świadczyły o tym, że często tam gościł. Wyglądała na przywykłą do ciężkiej pracy i trudnych wyborów, ale grzbiet jej wąskiego nosa był obsypany delikatnymi piegami.

Z tyłu pojawiła się kolejna kobieta. Była starsza i miała bardziej kanciastą twarz, wiatr poruszał jej krótkimi włosami, a niebieskie oczy patrzyły nań obojętnie, jakby nic nie było w stanie zrobić na nich wrażenia.

Obie kobiety były mokre. Tak samo jak Temple. Tak samo jak kamyki pod jego plecami. Słyszał szum rzeki, a w tle rozbrzmiewały okrzyki ludzi i odgłosy zwierząt. Istniało tylko jedno wytłumaczenie, do którego stopniowo doszedł na drodze trudnej eliminacji.

Wciąż żył.

Obie kobiety zapewne jeszcze nigdy nie widziały tak słabego, niewyraźnego i mało przekonującego uśmiechu, jaki zdołał z siebie wykrzesać.

– Witajcie – wychrypiał.

– Jestem Płoszka – powiedziała młodsza.

– Ależ nie bój się – odparł Temple. – Mam wrażenie, że już dobrze się znamy.

Biorąc pod uwagę okoliczności, uznał, że żart całkiem mu się udał, ale kobieta się nie uśmiechnęła. Ludzi rzadko bawią żarty dotyczące ich imion. Zazwyczaj słyszeli je już tysiąc razy.

– Mam na imię Temple. – Ponownie spróbował wstać, ale udało mu się tylko oprzeć na łokciach, po czym musiał się

poddać.

– A więc jednak nie Imperator Gurkhulu – z jakiegoś powodu mruknęła starsza z kobiet.

– Jestem... – usiłował ustalić, kim właściwie jest – ...prawnikiem.

– To tyle, jeśli chodzi o szczerłość.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam tak blisko prawnika – rzekła Płoszka.

– Jesteś usatysfakcjonowana? – spytała starsza kobieta.

– Na razie niezbyt.

– Chwilowo nie jestem w najlepszej formie. – Z niewielką pomocą kobiet zdołał usiąść, z niepokojem zauważając, że Płoszka trzyma jedną dłoń na rękojeści noża. Sądząc po wyglądzie pochwy, ostrze było często używane, a surowa mina kobiety wskazywała, że ta nie będzie się wahała z niego skorzystać.

Starał się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Nie było to trudne. Nawet powolne ruchy wymagały olbrzymiego wysiłku.

– W jaki sposób prawnik łąduje w rzece? – spytała starsza z kobiet. – Udzieliłeś złej porady?

– To dobre porady zazwyczaj ściągają nam na głowę kłopoty.
– Znów spróbował się uśmiechnąć i tym razem bardziej się zbliżył do swojego sprawdzonego wzorca. – Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

Bez rezultatu.

– Nie. A więc nikt cię nie wepchnął?

– Ja i jeszcze jeden człowiek... można powiedzieć, że nawzajem się wepchnęliśmy.

– Co się z nim stało?

Temple bezradnie wzruszył ramionami.

– Może jeszcze płynie.

– Masz broń?

– Przecież nawet nie ma butów – zauważyła Płoszka.

Temple popatrzył na swoje bose nogi i ścięgna, które uwidoczniły się pod skórą, gdy poruszył palcami.

– Miałem bardzo mały nożyk, ale... nic dobrego z tego nie wynikło. Można powiedzieć, że... mam bardzo zły tydzień.

– Raz na wozie, raz pod wozem. – Płoszka zaczęła go podnosić z ziemi.

– Jesteś pewna? – spytała jej towarzyszka.

– A co innego możemy zrobić, wrzucić go z powrotem do rzeki?

– To nie byłby najgłupszy pomysł.

– Więc możesz tutaj zostać – odparła Płoszka, po czym położyła sobie rękę Temple'a na karku i dźwignęła go na nogi.

Boże, ależ go bolało. Jego głowa przypominała melon, który ktoś potraktował młotkiem. Boże, ależ zmarzł. Chyba byłoby mu cieplej, gdyby umarł w rzece. Boże, ależ był słaby. Jego kolana tak dygotały, że słyszał, jak uderzają o nogawki mokrych spodni. Dobrze, że mógł się wesprzeć na Płoszce. Wydawało się, że bez trudu utrzyma jego ciężar, a jej ramię było twarde jak drewno.

– Dziękuję – powiedział szczerze. – Bardzo ci dziękuję. – Zawsze najlepiej się czuł w towarzystwie kogoś silnego, na kim mógł polegać. Jak bluszcz oplatający głęboko zakorzenione drzewo. Albo ptak siedzący na rogu byka. Albo pijawka na końskim zadzie.

Z trudem wspiął się na brzeg, szorując po błocie jednym

butem i bosą stopą. Za nimi ludzie przeprowadzali bydło przez rzekę, jeźdźcy wychylali się z siodeł, wymachując kapeluszami lub linami, pokrzykując i nawołując, podczas gdy zwierzęta tłoczyły się, pływały i przepychały, wyrzucając w powietrze fontanny wody.

– Witaj w naszej skromnej Drużynie – powiedziała Płoszka.

Wozy, zwierzęta i ludzie licznie zgromadzili się w cieniu przygiętego wiatrem zagajnika tuż za rzeką. Niektórzy przygotowywali drewno na naprawy. Inni zaprzęgali uparte woły. Jeszcze inni zmieniali ubranie zamoczone podczas przeprawy, a na ich obnażonych kończynach odznaczały się wyraźne linie opalenizny. Dwie kobiety podgrzewały zupę nad ogniskiem, a jej zapach sprawił, że Temple'owi boleśnie zaburczało w brzuchu. Dwoje roześmianych dzieci goniło trzynogiego psa.

Temple uśmiechał się i kłaniał, starając się wkupić w łaski ludzi, gdy Płoszka prowadziła go przez środek obozowiska, mocno trzymając go pod rękę, jednak odpowiedziało mu tylko kilka surowych spojrzeń. Wszyscy skupiali się na swoich zajęciach, pragnąc za pomocą ciężkiej pracy wycisnąć zysk z tej nowej nieprzyjaznej krainy. Temple się skrzywił, nie tylko pod wpływem bólu i zimna. Kiedy przyłączył się do Nicomo Coski, spodziewał się, że już nie będzie musiał się parać ciężką pracą.

– Dokąd zmierza Drużyna? – spytał. Znając swoje szczęście, oczekiwał, że do Uczciwości albo Averstock, czyli dwóch osad, z których mieszkańcami miał nadzieję nigdy więcej się nie spotkać.

– Na zachód – odpowiedziała Płoszka. – Przez Daleką Krainę do Fałdy. Pasuje ci?

Temple nigdy nie słyszał o Fałdzie. Co stanowiło najlepszą

rekomendację.

– Pasuje mi każdy kierunek poza tym, z którego przybyłem. Zachód będzie idealny. Jeśli zgodzicie się mnie przyjąć.

– To nie mnie musisz przekonać, tylko tych starych drani.

Było ich pięcioro, stali w luźnej grupce na czele kolumny. Temple lekko się zaniepokoił, gdy zobaczył, że jest wśród nich kobieta z ludu Duchów, wysoka i smukła o twarzy zniszczonej jak skóra siodła i jasnych oczach, których spojrzenie go przenikało i które wpatrywały się w daleki horyzont. Obok niej stał drobny mężczyzna opatulony olbrzymim futrem. Miał przy pasie dwa noże oraz myśliwski miecz w połączanej pochwie, siwą czuprynę, brodę i wykrzywione usta, jakby Temple był żartem, który go nie rozbawił, ale który z grzeczności postanowił zaakceptować.

– Oto słynny zwiadowca Dab Słodki oraz jego współpracowniczka Płacząca Skała. A to przywódca naszej wesołej Drużyny, Abram Majud. – Łysy, żylasty Kantyjczyk, którego twarz składała się z bezlitosnych kątów i czujnych, skośnych oczu. – To jest Savian. – Wysoki mężczyzna o policzkach porośniętych szarym zarostem i spojrzeniu jak młot. – A to... – Płozka urwała, jakby starała się odnaleźć właściwe słowo. – Owca.

Owca był potężnym starym Północnym, lekko przygarbionym, jakby chciał udawać mniejszego niż był w istocie, nie miał kawałka ucha, a jego twarz, wyzieraająca zza plątaniny włosów i brody, wyglądała tak, jakby ktoś używał jej jako kamienia młyńskiego. Temple miał ochotę się skrzywić, gdy patrzył na tę kolekcję pęknięć, ubytków i blizn, jednak był zawodowcem, więc szeroko się uśmiechnął, zarówno do Owcy, jak i do pozostałych starych poszukiwaczy przygód, zupełnie jakby nigdy nie spotkał w jednym miejscu tylu pięknych

i wartościowych ludzi.

– Panowie i... – zerknął na Płaczącą Skałę i zrozumiał, że to słowo tutaj nie pasuje, ale zapędził się w kozi róg – ...pani. To prawdziwy zaszczyt móc was poznać. Nazywam się Temple.

– Ładnie mówi, prawda? – zagrzemiał Słodki.

Temple nie na darmo poniósł klęskę w licznych zawodach. Potrafił rozpoznać niebezpiecznego człowieka, a tego od razu zaczął się lękać.

– Wyłowiłam go z rzeki – wyjaśniła Płoszka.

– Masz jakiś powód, żeby nie wrzucić go z powrotem?

– Chyba po prostu nie chciałam go zabić.

Savian wbił w Temple'a spojrzenie twarde jak kamień i wzruszył ramionami.

– Nie zabiłabyś go, po prostu pozwoliłabyś mu utonąć.

Zapadła cisza, w której Temple miał okazję przemyśleć sobie te słowa. Zimny wiatr przenikał jego przemoczone spodnie, a każde z tej piątki zacnych starców traktowało go po swojemu, z uznaniem, podejrzliwością bądź pogardą.

Majud odezwał się jako pierwszy.

– A więc skąd do nas przydryfowałaś, paniczu Temple? Nie wyglądasz na miejscowego.

– Nie jestem z tych stron. Urodziłem się w Dagosce.

– Swego czasu to było wyśmienite miasto do prowadzenia handlu, co, niestety, zmieniło się wraz z upadkiem Gildii Korzennej. A w jaki sposób trafił tutaj mieszkaniec Dagoski?

Oto odwieczny problem z ukrywaniem swojej przeszłości. Inni stale próbują się do niej dokopać.

– Muszę przyznać, że... wpadłem w złe towarzystwo.

Majud łaskawym gestem wskazał swoich kompanów.

– To się zdarza nawet najlepszym spośród nas.

– Chodzi o bandytów? – spytał Savian.

Jeszcze gorzej.

– Żołnierzy – odparł Temple, starając się przedstawić rzeczywistość w jak najlepszym świetle, jednocześnie nie posuwając się do oczywistego kłamstwa. – Porzuciłem ich i samotnie wyruszyłem w drogę. Wpadłem w pułapkę Duchów, a podczas walki stoczyłem się ze zbocza... prosto do wąwozu. – Delikatnie dotknął poobijanej twarzy, przypominając sobie tamtą paskudną chwilę, gdy runął w przepaść. – Spadłem z wysoka do wody.

– Byłem tam – mruknął z nieobecną miną Owca.

Słodki wypiął pierś i poprawił pas z mieczem.

– Gdzie natrafiłeś na Duchy?

Temple tylko wzruszył ramionami.

– W górze rzeki.

– Jak daleko i ilu ich było?

– Widziałem czterech. To się stało o świcie, od tamtej pory unosił mnie nurt.

– To mogło być najwyżej dwadzieścia mil na południe. – Słodki i Płacząca Skala wymienili długie spojrzenia. Na jego twarzy malowała się ponura troska, ona zaś pozostawała całkowicie obojętna. – Lepiej się tam przejedźmy.

– Hmm... – mruknęła staruszka z ludu Duchów.

– Spodziewasz się kłopotów? – spytał Majud.

– Zawsze. Dzięki temu czekają mnie tylko miłe niespodzianki.

– Słodki przeszedł pomiędzy Owcą i Savianem, po drodze klepiąc każdego z nich po ramieniu. – Dobra robota tam w rzece. Mam nadzieję, że w waszym wieku będę równie użyteczny. –

Poklepał także Płoszkę. – Ty też świetnie się spisałaś, dziewczyno. Tylko następnym razem puść linę, dobrze?

Dopiero teraz Temple zauważył zakrwawiony bandaż na jej bezwładnej ręce. Nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na dolegliwości innych.

Majud uśmiechnął się, ukazując złoty przedni ząb.

– Pewnie będziesz wdzięczny za możliwość podróży z naszą Drużyną?

Temple odetchnął z ulgą.

– Niewymownie wdzięczny.

– Każdy członek musi się wkupić albo zaproponować jakieś użyteczne umiejętności.

Temple ponownie zeszywniał.

– Aha.

– Masz jakiś zawód?

– Miałem ich kilka. – Szybko przypomniał sobie te, które mogły go najskuteczniej uchronić przed natychmiastowym powrotem do rzeki. – Byłem kandydatem na kapłana, chirurgiem amatorem...

– Już mamy chirurga – odparł Savian.

– A także kapłana, niestety – dodała Płoszka.

– ...rzeźnikiem...

– Mamy myśliwych – rzekł Majud.

– ...stolarzem...

– Budowałeś wozy?

Temple się skrzywił.

– Domy.

– Tutaj ich nie potrzebujemy. Czym się zajmowałeś ostatnio?

Najemnicy zazwyczaj nie wzbudzają sympatii.

– Byłem prawnikiem – odrzekł, po czym uzmysłowił sobie, że ta profesja często budzi jeszcze większą niechęć.

Savian z pewnością nie wyglądał na zachwyconego.

– Tutaj nie obowiązuje żadne prawo, liczy się tylko to, co człowiek wnosi do Drużyny.

– Powoziłeś kiedyś wołami? – spytał Majud.

– Obawiam się, że nie.

– Spędzałeś bydło?

– Niestety, nie.

– Prowadziłeś konie?

– Tylko jednego na raz.

– Masz doświadczenie w walce? – wychrypiął Savian.

– Bardzo niewielkie, a i tak znacznie większe niżbym chciał. – Obawiał się, że ta rozmowa nie pokazuje go w najlepszym świetle, jeśli w jego przypadku w ogóle było to możliwe. – Ale... jestem zdeterminowany, żeby zacząć od zera, zasłużyć na miejsce w Drużynie, pracować równie ciężko jak każdy z mężczyzn... i każda z kobiet... oraz chcę się uczyć – zakończył, zastanawiając się, czy ktoś kiedyś zawarł tak wiele przesady w jednym zdaniu.

– Życzę ci samych sukcesów w nauce – odparł Majud. – Ale pasażerowie płacą po sto pięćdziesiąt marek.

Zapadła krótka cisza, podczas której wszyscy, a zwłaszcza Temple, rozważali, czy jest on w posiadaniu takiej sumy. W końcu prawnik poklepał się po kieszeniach mokrych spodni.

– Trochę mi brakuje.

– Ile?

– Około stu pięćdziesięciu marek.

– Pozwoliłeś nam się przyłączyć za darmo i chyba ci się

opłaciło – zauważyła Płoszka.

– To Słodki zawarł ten układ. – Majud zmierzył wzrokiem Temple’a, który próbował ukryć za sobą bosą stopę. Bez powodzenia. – A wy przynajmniej mieliście komplet obuwia. On będzie potrzebował nowego ubrania, butów i wierzchowca. Nie możemy sobie pozwolić na przyjmowanie każdego włóczęgi, którego napotkamy na drodze.

Temple zamrugął, niepewny, co to dla niego oznacza.

– Co to dla niego oznacza? – spytała Płoszka.

– Będzie musiał poczekać przy brodzie na Drużynę o innych wymaganiach.

– Albo na kolejną grupę Duchów?

Majud rozłożył ręce.

– Gdyby to zależało ode mnie, pomógłbym ci bez chwili wahania, ale muszę brać pod uwagę uczucia mojego partnera Curnsbicka, a on ma serce z żelaza, gdy chodzi o interesy. Przykro mi. – Rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby trochę żałował. Ale nie wyglądało na to, żeby miał zmienić zdanie.

Płoszka zerknęła na Temple’a. Mógł tylko odwzajemnić jej spojrzenie, najbardziej szczerze jak potrafił.

– Zaraza. – Oparła dłonie na biodrach i przez chwilę kręciła głową, spoglądając w niebo, po czym zmarszczyła górną wargę, ukazując wyraźną przerwę pomiędzy przednimi zębami, i zręcznie przez nią splunęła. – W takim razie zapłacę za niego.

– Naprawdę? – spytał Majud, unosząc brwi.

– Naprawdę? – spytał Temple, równie zaszokowany.

– Zgadza się – odburknęła. – Chcesz pieniądze od razu?

– Och, nie kłopotz się. – Na ustach Majuda zagościł ślad uśmiechu. – Wiem, jak sobie radzisz z liczbami.

– Nie podoba mi się to. – Savian oparł dłoń na rękojęści jednego ze swoich noży. – Ten drań może być kimkolwiek.

– Tak samo jak ty – odparła Płoszka. – Nie mam pojęcia, co robiłeś w zeszłym miesiącu, ani co będziesz robił w następnym, i nie jest to moja sprawa. Zapłacę, a on zostanie. Jeśli ci się to nie podoba, możesz sam spłynąć rzeką. Co ty na to? – Przez cały czas patrzyła Savianowi prosto w obojętne oczy, a Temple poczuł, że coraz bardziej ją lubi.

Savian lekko wyduł wąskie usta.

– Co o tym myślisz, Owco?

Stary Północny powoli przeniósł wzrok z Temple'a na Płoszkę i z powrotem. Wyglądało na to, że nigdy się nie śpieszy.

– Myślę, że każdemu należy się szansa.

– Nawet tym, którzy na nią nie zasługują?

– Może im najbardziej.

– Możecie mi zaufać – rzekł Temple, posyłając starcom swoje najbardziej szczere spojrzenie. – Obiecuję, że was nie zawiodę. – W końcu pozostawił za sobą szlak złamanych obietnic długi na pół Kręgu Świata. Jedna więcej nie pozbawi go nieba.

– To, że tak mówisz, niczego nie gwarantuje. – Savian pochylił się, jeszcze bardziej mrużąc oczy, co przed chwilą wydawałoby się niemożliwym wyczynem. – Mam cię na oku, chłopcze.

– To... niezwykle pocieszające – pisnął Temple, powoli się wycofując. Płoszka już odwróciła się na pięcie, a on chciał ją dogonić.

– Dziękuję – powiedział. – Naprawdę. Nie wiem, jak mogę ci się odplacić.

– Zwróć mi pieniądze.

Odchrząknął.

– No tak, oczywiście.

– Odsetki wynoszą jedną czwartą sumy. Nie jestem instytucją dobroczynną.

Nagle przestał ją lubić.

– Właśnie widzę. Kwota nominalna plus dwadzieścia pięć procent. Bardzo uczciwie. Zawsze spłacam swoje długi. – Może poza finansowymi.

– To prawda, że chcesz się uczyć?

Chętniej zapominał.

– Owszem.

– Oraz pracować równie ciężko, jak każdy z mężczyzn?

Biorąc pod uwagę, jak ubrudzeni, spoceni, spaleni słońcem i wycieńczeni byli mężczyźni w Drużynie, to stwierdzenie teraz wydało mu się nieco pochochne.

– Tak.

– To dobrze, ponieważ znajdę ci coś do roboty, nie musisz się przejmować.

Przejmował się wieloma sprawami, ale nie należał do nich brak ciężkiej pracy.

– Już... nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

Miał dziwne wrażenie, że wpadł z deszczu pod rynnę. Patrząc na swoje życie z perspektywy czasu, dostrzegał, że właśnie tym były wszystkie sytuacje, które pierwotnie brał za szczęśliwe ucieczki. W większości wypadków sam zaciskał sobie pętlę na szyi. To równie dobry sposób jak każdy inny, by zawisnąć.

Płoszka była zajęta obmacywaniem ranej ręki i obmyślaniami strategii.

– Może Hedges znajdzie jakieś ubranie, które będzie na ciebie pasowało. Gentili ma stare siodło, a Buckhorm powinien się zgodzić sprzedać muła.

– Muła?

– Jeśli to dla ciebie zbyt poniżające, zawsze możesz zapierdalać do Fałdy na piechotę.

Temple wątpił, żeby dotarł pieszo tak daleko jak na mule, więc uśmiechnął się pomimo bólu i pocieszył myślą, że wkrótce odpłaci jej z nawiązką. Jeśli nie za pożyczone pieniądze, to przynajmniej za poniżenie.

– Będę wdzięczny za każdą chwilę spędzoną na grzbiecie tego szlachetnego zwierzęcia – rzekł z wysiłkiem.

– Powinieneś – odburknęła.

– I tak będzie – odparł ostro.

– To dobrze.

– To dobrze.

Chwila ciszy.

– Dobrze.

Powody

– Wspaniała kraina, czyż nie?

– Wygląda na strasznie wielką – odparł Leef

Słodki rozłożył ręce i wciągnął powietrze z taką siłą, jakby chciał wessać nosem cały świat.

– To rzeczywiście Daleka Kraina! Daleka od miejsc, w które chciałby się wybrać cywilizowany człowiek. Poza tym jest stąd piekielnie daleko do każdego innego zakątka świata.

– Jest daleka od wszystkiego – rzekła Płoszka, wpatrując się w pustkowie porośnięte trawą delikatnie kołyszącą się na wietrze. W oddali widziała szary zarys wzgórz, tak niewyraźnych, jakby były tylko marzeniem.

– Ale zaraza na cywilizowanych ludzi, prawda, Owco?

Owca uniósł brew.

– Nie możemy po prostu zostawić ich w spokoju?

– Może nawet czasem pożyczyć od nich trochę wrzątku – wyszeptała Płoszka, drapiąc się pod pachą. Wiozła na sobie kilku dodatkowych pasażerów, nie wspominając o pyle pokrywającym jej całe ciało, a w ustach czuła słony piach i suchą śmierć.

– Zaraza na nich i na ich wrzątek! Jeśli chcesz, możesz ruszyć na południe do Imperium i poprosić starego Legata Sarmisa o kąpiel, albo wrócić na wschód do Unii i poprosić o to samo Inkwizycję.

– Ich woda może być odrobinę za gorąca jak na mój gust –

mruknęła.

– Powiedz mi, gdzie człowiek może się czuć tak swobodny jak tutaj?

– Żadne miejsce nie przychodzi mi do głowy – przyznała, chociaż osobiście uważała to bezkresne pustkowie za zbyt dzikie. Ta przestrzeń potrafiła przytłoczyć.

Jednakże nie Daba Słodkiego. Znów odetchnął pełną pierś.

– Łatwo się zakochać w Dalekiej Krainie, ale to okrutna kochanka, która ciągle cię zwodzi. Postępowała tak ze mną, jeszcze kiedy byłem młodszy od Leefa. Najlepsza trawa zawsze rośnie poza horyzontem. Najśodsza woda płynie w następnej rzece. Najbardziej niebieskie niebo jest ponad inną górą. – Westchnął przeciągle. – Zanim się zorientujesz, stawy ci strzelają nad ranem, a w nocy co dwie godziny wstajesz, żeby się odlać. Nagle dociera do ciebie, że najlepsza kraina została za tobą, a ty nigdy jej nie doceniałeś, gdyż wbijałeś wzrok przed siebie.

– Dawne lata uwielbiają towarzystwo. – Owca zadumał się, drapiąc bliznę w kształcie gwiazdy, którą nosił na zarośniętym policzku. – Za każdym razem, kiedy się oglądasz, tych drani jest coraz więcej.

– W końcu wszystko zaczyna ci przypominać wydarzenia z przeszłości. Dawne miejsca. Ludzi. Być może także to, jaki sam byłeś. Teraźniejszość staje się coraz mniej wyraźna, a przeszłość coraz bardziej rzeczywista. Przyszłość niemal całkowicie zanika.

Owca uśmiechnął się kącikiem ust i zapatrzył w dal.

– Szczęśliwe doliny przeszłości – wyszeptał.

– Uwielbiam rozmowy staruchów, a ty? – Płoszka uniosła brew, zerkając na Leefa. – Człowiek od razu czuje się zdrowszy.

– Wy, szczeniaki, myślicie, że przyszłość można odkładać

w nieskończoność – mruknął Słodki. – Traktujecie czas jak pieniądze z banku. Ale jeszcze się nauczycie.

– Jeśli najpierw nie zabiją nas Duchy – odparł Leef.

– Dziękujemy za przypomnienie o tej przyjemnej możliwości – odrzekł Słodki. – Jeśli filozofowanie ci nie odpowiada, mam dla ciebie inne zajęcie.

– To znaczy?

Stary zwiadowca wskazał głową ziemię. Na trawie leżało mnóstwo płaskich, białych i wyschniętych krowich placków, miłe wspomnienie po jakimś dzikim stadzie, które błąkało się po trawiastych pustkowiach.

– Zbieranie gówna.

Płoszka parsknęła.

– Myślę, że jak na jeden dzień miał dość kontaktu z gównem, gdy słuchał, jak ty i Owca wysławiacie dawne czasy.

– Nie da się spalić dobrych wspomnień, a szkoda, gdyż wtedy byłoby mi ciepło każdej nocy. – Słodki wyprostował rękę, wskazując płaskie pustkowia rozciągające się we wszystkich kierunkach, bezkresną połąć ziemi i nieba, nieba i ziemi prowadzącą donikąd. – Ani kawałka drewna na przestrzeni stu mil. Kiedy przekroczymy most nad Sictus, zaczniemy palić krowie placki.

– Będziemy też nad nimi gotować?

– To może poprawić smak tego, co jadamy – odrzekł Owca.

– Taki już urok wędrowni – stwierdził Słodki. – Tak czy inaczej, wszyscy młodzi zbierają opał.

Leef zerknął na Płózkę.

– Nie jestem taki młody – odburknął i żeby to potwierdzić, potarł palcem podbródek, na którym z dumą hodował rzadki

jasny zarost.

Płoszka zastanawiała się, czy sama nie zdołałaby zapuścić bardziej okazałej brody, a Słodki wyglądał na niewzruszonego.

– Jesteś wystarczająco młody, żeby pobrudzić sobie ręce głównem w służbie Drużyny, chłopcze! – Po czym poklepał Leefa po plecach, ku niezadowoleniu zgarbionego młodzieńca. – Cóż, brązowe dłonie to oznaka odwagi i zaszczyt! Równinny medal!

– Chcesz, żeby prawnik ci pomógł? – spytała Płoszka. – Za trzy miedziaki będzie twój przez całe popołudnie.

Słodki zmrużył oczy.

– Dam ci za niego dwa.

– Umowa stoi. – Nie warto było się targować przy tak niskich cenach.

– Myślę, że mu się spodoba – orzekł Owca, gdy Leef i Słodki odeszli w stronę Drużyny. Zwiadowca znów zaczął rozprawiać o tym, jak dobrze było kiedyś.

– Nie przyłączył się dla zabawy.

– Podobnie jak my wszyscy.

Przez chwilę jechali w milczeniu, tylko oni dwoje oraz niebo, tak olbrzymie i głębokie, że mogli odnieść wrażenie, iż nic nie trzyma ich na ziemi i w każdej chwili mogą w nie runąć i nigdy się nie zatrzymać. Płoszka poruszyła prawą ręką. Ramię i łokieć wciąż miała słabe i obolałe, ból promieniował na szyję i żebra, ale słabł z każdym dniem. Z pewnością bywało gorzej.

– Przykro mi – niespodziewanie odezwał się Owca.

Płoszka na niego popatrzyła. Był zgarbiony i oklapnięty, jakby obciążała go kotwica przywiązana do szyi.

– Nie dziwię się.

– Mówię poważnie, Płoszko. Przepraszam za to, co się stało

w Averstock. Za to, co zrobiłem. Oraz za to, czego nie zrobiłem. – Mówił coraz wolniej, a Płoszka miała wrażenie, że każde słowo jest bitwą, którą musi toczyć. – Przepraszam, że nigdy ci nie powiedziałem, kim byłem... zanim przybyłem do gospodarstwa twojej matki...

Wpatrywała się w niego, czując suchość w ustach, ale on wbił wzrok w swoją lewą dłoń, pocierając kciukiem kikut palca.

– Chciałem pogrzebać przeszłość. Stać się nikim i niczym. Rozumiesz?

Płoszka przełknęła ślinę. Czuła na karku ciężar kilku wspomnień, które chętnie zatopiłaby w bagnie.

– Chyba tak.

– Ale nasiona przeszłości wydają owoce w teraźniejszości, jak mawiał mój ojciec. Jestem głupcem, więc muszę wciąż na nowo uczyć się tej samej lekcji i bez przerwy sikam pod wiatr. Przeszłości nie da się pogrzebać. Przynajmniej nie takiej, jak moja. Krew zawsze cię odnajdzie.

– Kim byłeś? – Na tym pustkowiu jej głos zabrzmiał jak słaby skrzek. – Żołnierzem?

Jeszcze mocniej zmarszczył czoło.

– Zabójcą. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Walczyłeś w wojnach? Na Pólnocy?

– W wojnach, potyczkach, pojedynkach, gdzie się dało. Kiedy zabrakło okazji, sam je stwarzałem, a gdy skończyli się wrogowie, zastąpiłem ich przyjaciółmi.

Sądziła, że każda odpowiedź będzie lepsza od niewiedzy, ale teraz nie była pewna.

– Pewnie miałeś swoje powody – wyszeptała, tak cicho, że stwierdzenie zmieniło się w pytanie.

– Na początku całkiem dobre. Potem dużo gorsze. W końcu odkryłem, że można przelewać krew bez żadnego powodu, więc dałem sobie z nimi spokój.

– Ale teraz masz powód.

– Tak. Teraz go mam. – Zaczerpnął powietrza i wyprostował się w siodle. – Te dzieci... to jedyne dobro, jakie uczyniłem w życiu. Ro i Pestka. Oraz ty.

Płoszka parsknęła.

– Jeśli zaliczasz mnie do swoich dobrych uczynków, to naprawdę musisz być zdesperowany.

– Jestem. – Popatrzył na nią, z taką mocą, że z trudem wytrzymała jego spojrzenie. – Ale tak się składa, że jesteś najbardziej wartościową osobą, jaką znam.

Odwróciła wzrok i ponownie poruszyła zeszywniałym ramieniem. Zawsze uważała, że łagodne słowa są znacznie trudniejsze do przełknięcia niż ostre. Może to kwestia tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni.

– Masz bardzo ograniczony krąg przyjaciół.

– Zawsze o wiele łatwiej przychodziło mi znajdowanie wrogów. Zresztą nieważne. Nie wiem, skąd je wzięłaś, ale masz dobre serce, Płoszko.

Przypomniała sobie, jak wziął ją na ręce, gdy spadła z drzewa, jak śpiewał dzieciom i opatrywał jej plecy.

– Ty też.

– Och, potrafię zwodzić ludzi. Zmarli wiedzą, że potrafię też oszukiwać sam siebie. – Obejrzał się na płaski horyzont. – Ale nie, Płoszko, nie mam dobrego serca. Tam, dokąd się udajemy, czekają nas kłopoty. Jeśli będziemy mieli szczęście, tylko niewielkie, ale szczęście nigdy się mnie nie trzymało. Dlatego, kiedy następnym razem powiem ci, żebyś nie wchodziła mi

w drogę, musisz mnie usłuchać, rozumiesz?

– A jeśli nie, to co? Zabijesz mnie? – Chciała, żeby to zabrzmiało jak żart, ale jego lodowaty głos uciszył jej śmiech.

– Trudno powiedzieć, co zrobię.

Długa trawa zafalowała w ciszy, a Płoszka odniosła wrażenie, że słyszy krzyki niesione wiatrem. Rozpoznała charakterystyczną nutę paniki.

– Słyszysz?

Owca zawrócił konia w stronę Drużyny.

– Co ci mówiłem na temat szczęścia?

Wśród ludzi panował chaos, pokrzykujący jeźdźcy tłoczyli się albo wpadali na siebie, wozy się szepiały, psy przemykały pod kołami, a dzieci płakały. Zapanował nastrój przerażenia, jakby sam Glustrod powstał z grobu i postanowił ich zniszczyć.

– Duchy! – zawył ktoś. – Poucinają nam uszy!

– Uspokójcie się! – krzyczał Słodki. – To nie są żadne przekłete Duchy i nie chcą waszych uszu! To zwyczajni wędrowcy tacy jak my!

Płoszka popatrzyła na północ i ujrzała szereg powoli przemieszczających się jeźdźców, małych kropek kręcących się pomiędzy rozległą połacią czarnej ziemi a bezkresnym białym niebem.

– Skąd ta pewność? – zaskrzeczał Lord Ingelstad, przyciskając do piersi kilka najcenniejszych przedmiotów, jakby zamierzał uciec, chociaż nie bardzo było wiadomo dokąd.

– Ponieważ żadne krwi Duchy nie wałęsają się na widoku! Zostańcie tutaj i postarajcie się nie zrobić sobie krzywdy, a ja i Płacząca Skala z nimi porozmawiamy.

– Może ci wędrowcy wiedzą coś o dzieciach – rzekł Owca, po

czym popędził konia w ślad za dwójgiem zwiadowców, a Płoszka podążyła za nim.

Uważała ich Drużynę za wymizerowaną i brudną, ale okazało się, że są jak członkowie rodziny królewskiej w porównaniu z kolumną obdartych żebraków, do których teraz się zbliżyli. Zgrają złamanych i dręczonych gorączką jeźdźców na wychudzonych koniach, którzy ciągnęli za sobą nieliczne bydło otoczone chmarą much. Prawdziwa drużyna przeklętych, bez dwóch zdań.

– Jak leci? – odezwał się Słodki.

– Jak leci? – Ich przywódca wstrzymał wierzchowca. Był to potężny drań w podartym żołnierskim płaszczu w barwach Unii. Strzępy złotej nitki zwisały z rękawów. – Jak leci? – Wychylił się z siodła i splunął. – Jesteśmy o rok starsi od czasu, gdy wędrowaliśmy w drugą stronę, i ani odrobinę bogatsi. Właśnie tak leci. Ci chłopcy mają już dosyć Dalekiej Krainy. Wracamy do Stariklandu. Jeśli możemy wam coś poradzić, zróbcie to samo.

– Nie ma tam złota? – spytała Płoszka.

– Może i jest, dziewczyno, ale nie mam zamiaru za nie umrzeć.

– Nie ma niczego za darmo – odparł Słodki. – Zawsze istnieje ryzyko.

Mężczyzna parsknął.

– W zeszłym roku śmiałem się z ryzyka. Widzisz, żeby teraz było mi wesoło? – Płoszka musiała przyznać, że ani trochę. – Fałda jest pogrążona w krwawej wojnie, każdej nocy giną ludzie, a rano przybywają kolejni. Nikt już się nie kłopotczy grzebaniem trupów.

– Z tego co pamiętam, tam ludzie zawsze chętniej wydobywali rzeczy z ziemi niż je zakopywali – odrzekł Słodki.

– Teraz jest jeszcze gorzej. Dotarliśmy do Sygnału, do wzgórz, żeby znaleźć dla siebie działkę wydobywczą. Na miejscu roilo się od chętnych.

– W Sygnale? – Słodki parsknął. – Kiedy ostatnio tam byłem, widziałem najwyżej dziesięć namiotów.

– Teraz to jest całe miasto. A przynajmniej było.

– Było?

– Zatrzymaliśmy się tam na dwie noce, zanim wyruszyliśmy na pustkowie. Wróciliśmy po sprawdzeniu kilku strumyków i zastaliśmy tylko zimne błoto... – Umilkł i zapatrzył się w pustkę. Jeden z jego towarzyszy zdjął kapelusz z na wpół oderwanym rondem i zajrzał do środka. Dziwnie było patrzeć na łyżę w oczach tak surowego człowieka.

– I co? – spytał Słodki.

– Wszyscy odeszli. W obozie było co najmniej dwieście osób. Po prostu odeszli, rozumiesz?

– Dokąd?

– Zgadujemy, że do piekła, i nie zamierzamy, kurwa, do nich dołączyć. Miejsce było opustoszałe. Jedzenie wciąż stało na stołach, a pranie wisiało na sznurach. Na głównym placu znaleźliśmy wymalowany Smoczy Krąg o średnicy dziesięciu kroków. – Mężczyzna się wzdrygnął. – Pieprzyć to, tyle wam powiem.

– Pieprzyć i już – zgodził się jego sąsiad, wciskając zniszczony kapelusz z powrotem na głowę.

– Od lat nie widywano Smoczego Ludu – rzekł Słodki, ale widać było, że lekko się zaniepokoił. A on się nigdy nie niepokoił.

– Smoczy Lud? – spytała Płoszka. – Kim oni są? To jakaś odmiana Duchów?

– Jedna z odmian – mruknęła Płacząca Skała.

– Mieszkają daleko na północy – wyjaśnił Słodki. – Wysoko w górach. Lepiej z nimi nie zadzierać.

– Wolałbym zadrzeć z Glustrodem – odparł mężczyzna w unijnym płaszczu. – Walczyłem z Północnymi w czasie wojny, z Duchami na równinach oraz z ludźmi Papy Ringa w Fałdzie i nikomu z nich nie ustąpiłem pola. – Pokręcił głową. – Ale nie mam zamiaru walczyć ze Smokami. Nawet gdyby ich góry były zbudowane ze złota. To czarownicy, ot co. Magowie i diabły, z którymi nie chcę mieć nic wspólnego.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – odparł Słodki – ale skoro dotarliśmy tak daleko, to raczej się nie cofniemy.

– Życzę wam, żebyście wzbogacili się jak Valint i Balk razem wzięci, ale zrobicie to beze mnie. – Pomachał do swoich przygarbionych kompanów. – Jedziemy!

Kiedy się odwracał, Owca złapał go za rękę.

– Słyszałeś o Gredze Cantlissie?

Mężczyzna uwolnił rękaw z jego uścisku.

– Pracuje dla Papy Ringa i nie znajdziecie czarniejszego drania w całej Dalekiej Krainie. Zeszłego lata na wzgórzach niedaleko Fałdy ktoś wymordował i okradł Drużynę złożoną z trzydziestu osób, poodcinał im uszy, obdarł ze skóry i torturował. Papa Ring stwierdził, że to na pewno Duchy, i nikt nie udowodnił, że było inaczej, ale słyszałem szept, że to zrobił Cantliss.

– Mamy do niego sprawę – powiedziała Płoszka.

Mężczyzna popatrzył na nią zapadniętymi oczami.

– Więc jest mi was szkoda, ale nie widziałem go od miesięcy i nie mam zamiaru już nigdy oglądać tego drania Ani jego, ani Fałdy, ani żadnej innej części tej przeklętej krainy. – Cmoknął

i odjechał, kierując się na wschód.

Przez chwilę patrzyli, jak pokonana żalosna drużyna rusza w daleką wędrówkę powrotną ku cywilizacji. Taki widok nie mógł ich napełnić optymizmem co do celu ich podróży, nawet gdyby byli urodzonymi optymistami, czego nie dało się powiedzieć o Płoszce.

– Myślałam, że znasz wszystkich w Dalekiej Krainie? – odezwała się do Słodkiego.

Stary zwiadowca wzruszył ramionami.

– Tych, którzy kręcą się tam od dłuższego czasu.

– Ale nie Gregę Cantlissa?

Jego ramiona uniosły się jeszcze wyżej.

– W Fałdzie roi się od zabójców, jak od korników w pniu drzewa. Nie bywam tam na tyle często, żeby wszystkich odróżniać. Jeśli dotrzemy na miejsce żywi, przyjmie was Burmistrz. Wtedy dowiecie się więcej.

– Burmistrz?

– Burmistrz rządzi Fałdą. A raczej Burmistrz i Papa Ring. Jest tak od czasu, gdy zbito tam pierwsze dwie deski, a obie strony nigdy za sobą nie przepadały. Wygląda na to, że nic się nie zmieniło.

– Pomoże nam znaleźć Cantlissa? – spytał Owca.

Słodki jeszcze bardziej energicznie wzruszył ramionami, tak że prawie strącił sobie kapelusz z głowy.

– Zawsze chętnie pomaga. Jeśli wy się odwzajemnicie. – Spiał konia i pokłusował z powrotem do Drużyny.

Mój Boże, ten pył

– Obudź się.

– Nie. – Temple próbował zakryć twarz żalonym strzępem koca. – Proszę, Boże, nie.

– Jesteś mi winien sto pięćdziesiąt trzy marki – odrzekła Płoszka, spoglądając w dół.

Każdego ranka było tak samo. Jeśli w ogóle można to było nazwać porankiem. W Kompanii Łaskawej Dłoni mało kto wcześniej wstawał z posłania, jeśli nie chodziło o zdobycie cennego łupu, a notariusz budził się jako ostatni. W Drużynie ludzie postępowali zupełnie inaczej. Nad Płoszką wciąż migotały najjaśniejsze gwiazdy, a niebo było tylko o odcień jaśniejsze od czerni.

– Ile wynosił pierwotny dług? – wychrypiał Temple, próbując odkaszlnąć pył poprzedniego dnia.

– Sto pięćdziesiąt sześć.

– Co takiego? – Dziewięć dni harówki łamiącej grzbiet, rozdierającej płuca i obdzierającej pośladki ze skóry, a odrobił tylko trzy marki. Cokolwiek by nie mówić o Nicomo Cosce, stary drań dobrze płacił.

– Buckhorm dodał trzy marki za krowę, którą wczoraj zgubiłeś.

– Jestem jak niewolnik – mruknął z goryczą Temple.

– Gorzej. Niewolnika mogłabym sprzedać.

Trąciła go stopą, a on z trudem wstał, mamrocząc coś pod

nosem, włożył za duże buty na stopy wilgotne od rosy, które w nocy sterczały spod za małego koca, zarzucił pochodzący z czwartej ręki płaszcz na sztywną od potu koszulę i pokuśtykał do wozu kucharza, trzymając się za tyłek zmaltretowany przez siodło. Chciało mu się płakać, ale nie chciał dać satysfakcji Płoszce. Chociaż wydawało się, że ona z niczego nie czerpie satysfakcji.

Stał, obolały i ponury, przełykając zimną wodę i na wpół surowe mięso, które poprzedniego wieczoru zakopano pod ogniskiem. Wokół niego ludzie przygotowywali się do codziennej pracy i pośpiesznie rozmawiali, a ich słowa ulatywały z obłokami pary w porannym chłódzie. Z oczami szeroko otwartymi z zachwyty rozprawiali o złocie, które czeka na nich u kresu wędrówki, zupełnie jakby nie był to żółty metal, lecz tajemnica istnienia zapisana w skałach w tych nieopisanych miejscach.

– Dziś znów pojedziesz za stadem – oznajmiła Płoszka.

Wiele byłych zawodów Temple'a wymagało od niego taplania się w brudzie i robienia niebezpiecznych rzeczy, ale żaden nie mógł się równać z bolesną mieszanką nudy, niewygody i słabej płacy, która charakteryzowała jeżdżenie na tyłach stada prowadzonego przez Drużynę.

– Znowu? – Zgarbił się, jakby ktoś mu powiedział, że spędzi poranek w piekle. W sumie właśnie tak się stało.

– Nie, żartuję. Dziś przydadzą się nam twoje umiejętności prawnicze. Hedges chce, żebyś w jego imieniu złożył petycję na ręce Króla Unii, Lestek postanowił założyć nowe państwo i potrzebuje porady w sprawie konstytucji, a Płacząca Skała poprosiła o kolejny kodycył do swojego testamentu.

Stali w niemal całkowitej ciemności, a wiatr przeszywał

pustkowie i wdzierał się przez dziurę obok jego pachy.

– Jadę za stadem.

– Tak.

Temple miał ochotę błagać, ale tym razem zwyciężyła w nim duma. Może złamie się podczas obiadu. Zabrał stertę rozkładającej się skóry, która służyła mu jako siodło i zarazem poduszka, po czym pokuśtykał w stronę swojego muła. Zwierzę patrzyło na niego oczami płonącymi z nienawiści.

Starał się uczynić z muła partnera w nieszczęściu, ale zwierzak za nic nie chciał tak spojrzeć na ich sytuację. Traktował Temple'a jak swojego największego wroga i przy każdej okazji próbował go ugryźć albo zrzucić, a raz udało mu się nasikać do za dużych butów jeźdźca, gdy ten gramolił się na jego grzbiet. Zanim Temple wreszcie usiadł w siodle i skierował uparte zwierzę w stronę końca kolumny, pierwsze wozy już jechały, a ich chrzęszczące koła wzbijały w powietrze chmury pyłu.

Mój Boże, ten pył.

Po przygodzie Temple'a Słodki, z obawy przed Duchami, wprowadził Drużynę na suchy obszar pomarszczonej trawy i wyblakłych od słońca krzaków, gdzie wystarczyło popatrzeć na wysuszoną ziemię, żeby podniósł się z niej pył. Im dalej w kolumnie się jechało, tym było go więcej, a Temple spędził sześć dni na szarym końcu. Przez większość czasu pył przesłaniał słońce, pogrążając świat w niekończącej się gęstej ciemności, wymazywał krajobraz, usuwał wozy i zmieniał prowadzone bydło w bezcielesne widma. Każda część ciała Temple'a była wysuszona przez wiatr i przeniknięta pyłem. A jeśli on cię nie udusił, to mogłeś być pewien, że smród zwierząt dopełni dzieła.

Temple mógłby osiągnąć taki sam efekt, szorując dupę druciakiem i zajadając mieszanke piasku oraz krowiego gówna.

Niewątpliwie powinien cieszyć się swoim szczęściem i dziękować Bogu za to, że żyje, jednak nie potrafił być wdzięcznym za ten czyściec pełen pyłu. Wdzięczność i niechęć to odwieczne siostry. Bez końca rozważał różne sposoby ucieczki i zrzucenia kajdan długu, ale nie widział żadnego wyjścia, a już na pewno żadnej łatwej drogi. Rozciągające się dokoła setki mil pustkowia więziły go równie skutecznie jak klatka. Żalił się na swój los każdemu, kto zechciał go wysłuchać, czyli nikomu. Leef jechał najbliżej. Chłopak najwyraźniej wpadł w sidła nastoletniego zauroczenia Płoszką, widząc w niej kogoś pomiędzy kochanką i matką, przez co ulegał niemal komicznym napadom zazdrości, gdy kobieta rozmawiała lub żartowała z innymi mężczyznami, co, na nieszczęście dla niego, działo się często. Jednakże młodzieniec nie musiał się obawiać. Temple nie miał żadnych miłosnych planów wobec przywódczyni swoich oprawców.

Jednakże musiał przyznać, że było coś dziwnie interesującego w jej szybkości i sile, w tym, że zawsze była w ruchu, pierwsza zabierała się do pracy i ostatnia udawała na spoczynek, stała, gdy inni siedzieli, bezustannie manipulowała przy swoim kapeluszu, pasie, nożu albo guzikach koszuli. Czasami Temple zastanawiał się, czy cała jest tak twarda, jak jej ramię, które wcześniej poczuł pod dłonią. Jak jej bok, którym do niego przywarła. Czy całowałaby równie gwałtownie jak się targowała...?

Kiedy Słodki wreszcie doprowadził ich do żałośnie małego strumyka, ledwie zdołali powstrzymać bydło i ludzi przed wzajemnym stratowaniem. Zwierzęta tłoczyły się i wspinały na

siebie, burząc gorzką wodę i barwiąc ją na brązowo. Dzieci Buckhorma beztrąsko się pluskały. Ashjid dziękował Bogu za Jego obfite dary, podczas gdy jego sługa półgłówek kiwał głową, chichotał i napełniał beczki na wodę pitną. Iosiv Lestek ocierał bladą twarz i cytował obszernie fragmenty sielankowej poezji. Temple oddalił się w górę strumienia i znalazł ustronne miejsce, gdzie położył się na plecach na mchu i trawie, uśmiechając się szeroko, gdy wilgoć powoli przesączała się przez jego ubranie. Jego standardy przyjemności zdecydowanie uległy obniżeniu przez ostatnie kilka tygodni. Cieszył się ciepłem słońca na twarzy, dopóki ktoś nagle go nie zasłonił.

– Czy moja córka ma z ciebie pożytek? – Owca stanął nad Temple'em.

Tego ranka Luline Buckhorm strzygła swoje dzieci i Północny niechętnie pozwolił się postawić na końcu kolejki. Z krótkimi siwymi włosami i brodą wyglądał na jeszcze potężniejszego i twardszego, a jego blizny były bardziej widoczne.

– Myślę, że zarobi na mnie, nawet jeśli będzie musiała mnie sprzedać na mięso.

– Jest do tego zdolna – odparł Owca, podając prawnikowi manierkę.

– To twarda kobieta – odrzekł Temple, przyjmując naczynie.

– Nie do końca. Przecież cię uratowała.

– Owszem – przyznał niechętnie, zastanawiając się, czy śmierć nie byłaby dla niego łaskawsza.

– Więc pewnie się cieszysz, że bywa miękka?

Temple przepłukał usta wodą.

– Wygląda na wściekłą z jakiegoś powodu.

– Przeżyła wiele rozczarowań.

– Obawiam się, że trudno jej będzie odwrócić ten trend. Od

zawsze sprawiam komuś zawód.

– Znam to uczucie. – Owca powoli podrapał się po skróconej brodzie. – Ale zawsze pozostaje jutrzejszy dzień. Można się lepiej postarać następnym razem. Na tym polega życie.

– To po to tutaj jesteście? – spytał Temple, oddając manierkę.
– Żeby zacząć od nowa?

Owca na niego zerknął.

– Płozka ci nie mówiła?

– Kiedy ze mną rozmawia, zazwyczaj mówi o długu i o tym, jak wolno mi idzie jego spłacanie.

– Słyszałem, że rzeczywiście się nie śpieszysz.

– Każda marka kosztuje mnie rok życia.

Owca przysiadł nad brzegiem strumienia.

– Płozka ma brata i siostrę. Zostali... uprowadzeni. – Zanurzył manierkę, z której wyleciały bąbelki. – Grupa bandytów ich porwała, spaliła nasze gospodarstwo i zabiła naszego przyjaciela. Zabrali około dwadzieściora dzieci i powieźli je w górę rzeki w stronę Fałdy. Podążamy ich śladem.

– Co zrobicie, kiedy ich znajdziecie?

Owca zakorkował manierkę, tak mocno, że pobiełały mu pokryte bliznami knykcie potężnej prawej dłoni.

– To, co będzie konieczne. Obiecałem ich matce, że dzieci będą bezpieczne. Złamałem w życiu wiele obietnic, ale tej zamierzam dotrzymać. – Wziął głęboki wdech. – A co ciebie sprowadziło do rzeki? Nie znam się na ludziach, ale nie wyglądasz mi na człowieka, który chciałby szukać nowego życia na pustkowiu.

– Uciekałem. Muszę przyznać, że weszło mi to w krew.

– Mnie też się zdarzało. Ale odkryłem, że problemy czekają

także tam, dokąd uciekasz... – Wyciągnął do Temple'a rękę, żeby pomóc mu wstać.

Temple sięgnął po nią i znieruchomiał.

– Masz dziewięć palców.

Owca spoważniał; już nie wyglądał na powolnego i przyjacielskiego staruszka.

– Kręcą cię brakujące palce?

– Nie, ale... chyba spotkałem kogoś takiego. Powiedział, że przybył do Dalekiej Krainy, żeby znaleźć dziewięciopalcego człowieka.

– Zapewne nie tylko mnie w Dalekiej Krainie brakuje jednego palca.

Temple czuł, że powinien ostrożnie dobierać słowa.

– Mam przecucie, że tamten człowiek mógł szukać kogoś takiego jak ty. Miał metalowe oko.

Owca nie dał po sobie poznać, że wie, o kogo chodzi.

– Człowiek bez oka szuka człowieka bez palca. Pewnie można by o tym napisać pieśń. Zdradził, jak się nazywa?

– Caul Dreszcz.

Pokryta bliznami twarz Owcy wykrzywiła się, jakby ugryzł coś kwaśnego.

– Na spokój zmarłych. Przeszłość nigdy nie zostaje tam, gdzie ją pogrzebiesz.

– A więc go znasz?

– Kiedyś tak. Dawno temu. Jak to mówią, stare mleko kwaśniej, ale stare porachunki stają się słodsze.

– Mówiąc o porachunkach. – Drugi cień padł na Temple'a, który obejrzał się, mrużąc oczy. Płuszka stała nad nim z dłońmi na biodrach. – Sto pięćdziesiąt dwie marki. Plus osiem

miedziaków.

– Mój Boże! Dlaczego nie zostawiłaś mnie w rzece?

– Zadaję sobie to pytanie każdego ranka. – Ostry czubek jej buta dźgnął go w plecy. – Wstawaj. Majud chce sporządzić akt własności swojego stada koni.

– Naprawdę? – spytał, czując w piersi płomyk nadziei.

– Nie.

– Znów pojedę za stadem.

Płoszka tylko się wyszczerzyła, po czym odwróciła się i odeszła.

– Mówiłeś, że bywa miękka? – mruknął Temple.

Owca wstał, wycierając dłonie o siedzenie spodni.

– Zawsze pozostaje jutrzejszy dzień.

Przeprawa Słodkiego

- Czy przesadziłem? – spytał Słodki.
- Po raz pierwszy nie – odparła Corlin.
- Niewątpliwie jest wielki – wyszeptał Owca.
- Bez dwóch zdań – dodała Płoszka.

Nie było łatwo jej zaimponować, ale imperialny most nad Sictus robił niezwykle wrażenie, zwłaszcza na ludziach, którzy od tygodni nie widzieli niczego, co można by nazwać budynkiem. Łączył brzegi szerokiej, powolnej rzeki za sprawą pięciu okazałych przęseł, które wznosiły się tak wysoko nad powierzchnię wody, że z trudem można było ogarnąć wzrokiem potworną skalę całej budowli. Wiatr zmienił rzeźby na pobrużdżonych cokołach w bezkształtne bryły, a kamienie porosły różowymi kwiatami oraz bluszczem, a nawet rozłożystymi drzewami. Całą długość mostu oraz jego oba zatłoczone końce opanowali wędrujący ludzie. Mimo zniszczeń, które przyniósł czas, nadal była to majestatyczna i imponująca budowla, która bardziej przypominała cud natury niż dzieło ambicji człowieka, a co dopiero ludzkich rąk.

- Stoi od ponad tysiąca lat – rzekł Słodki.
- Płoszka parsknęła.
- Prawie tak długo, jak ty siedzisz w tym siodle.
 - I przez cały ten czas tylko dwa razy zmieniałem spodnie.
- Owca pokręcił głową.
- Ja bym tak nie zrobił.

– Nie zmieniałbyś spodni tak rzadko? – spytała Płoszka.

– W ogóle bym ich nie zmieniał.

– To nasza ostatnia szansa na handel przed przybyciem do Fałdy – rzekł Słodki. – Chyba że uda nam się spotkać jakąś przyjazną grupę wędrowców.

– Nie warto liczyć na szczęście – odparł Owca.

– Zwłaszcza w Dalekiej Krainie. Dlatego zaopatrzcie się we wszystko, czego potrzebujecie, i nie kupujcie niczego zbędnego. – Słodki wskazał wypolerowaną komodę porzuconą obok drogi, popękaną od wilgoci i zamieszkaną przez kolonię wielkich mrówek. Przez ostatnie kilka mil mijali wiele cennych przedmiotów rozrzuconych jak drewno po powodzi. Były to rzeczy, bez których ludzie nie wyobrażali sobie życia, gdy opuszczali cywilizowane strony. Jednakże eleganckie meble stają się znacznie mniej interesujące, gdy trzeba je dźwigać. – Nigdy nie przywiązuj się do niczego, z czym nie będziesz w stanie przepłynąć rzeki, jak mawiał stary Corley Ball.

– Co się z nim stało? – spytała Płoszka.

– Chyba utonął.

– Ludzie rzadko żyją według własnych nauk – mruknął Owca, opierając dłoń na rękojeści miecza.

– Owszem – odburknęła Płoszka, posyłając mu surowe spojrzenie. – Jedźmy już, może uda nam się przed zmrokiem znaleźć po drugiej stronie. – Odwróciła się i dała Drużynie sygnał do wymarszu.

– Szybko zaczyna się rządzić, prawda? – bąknął Słodki.

– Tylko, jeśli masz szczęście – odparł Owca.

Ludzie ciągnęli do mostu jak muchy do kupy gnoju, zwabieni z całej dzikiej, wietrznej krainy, żeby handlować i pić, walczyć i pieprzyć, śmiać się i płakać oraz robić inne rzeczy, które robi

się po kilku tygodniach lub miesiącach samotności. Byli tutaj traperzy, myśliwi i poszukiwacze przygód, różnie ubrani i uczesani, ale tak samo śmierdzący. Nie brakowało pokojowo nastawionych Duchów sprzedających futra, zebrzących o ochłapy albo zataczających się po przepiciu swojego zarobku. Pełni nadziei poszukiwacze zmierzali ku złożom złota, marząc o bogactwie, a inni wracali zgorzkniali, pragnąc zapomnieć o swoich porażkach. Kupcy, hazardziści i dziwki żerowali na obu tych grupach oraz na sobie nawzajem. Wszyscy hałasowali, jakby świat miał się skończyć następnego dnia, tłocząc się wokół dymiących ognisk pośród suszących się oraz prasowanych futer przeznaczonych na czapki dla bogatych głupców w Adui, którzy zapragną wzbudzić zazdrość sąsiadów.

– Dab Słodki! – ryknął człowiek z brodą jak dywan.

– Dab Słodki! – zawołała drobna kobieta oprawiająca zwierzęcą tuszę pięciokrotnie większą od niej samej.

– Dab Słodki! – zaskrzeczał półnagi staruszek budujący ognisko z połamanych ram od obrazów, a wiekowy zwiadowca skinął głową i pozdrowił wszystkich. Najwyraźniej znała go połowa ludzi na równinach.

Przedsiębiorczy kupcy owinęli swoje wozy cienkim materiałem i zmienili je w stragany, które stały wzdłuż popękanej brukowanej imperialnej drogi prowadzącej do mostu, tworząc bazar rozbrzmiewający wykrzykiwanymi cenami, odgłosami niezadowolonego bydła oraz grzechotaniem towarów i monet wszelkiego rodzaju. Kobieta w okularach siedziała za stołem zrobionym ze starych drzwi, na którym ustawiła rząd wysuszonych, pozszywanych głów. Szyld nad stoiskiem głosił „Skup i sprzedaż czaszek Duchów”. Jedzenie, broń, ubrania, konie, zapasowe części do wozów i wszystko

inne, co może uratować życie w Dalekiej Krainie, sprzedawano po pięciokrotnie zawyżonych cenach. Z kolei sprytni oportuniści kupowali za półdarmo przedmioty porzucone przez naiwnych kolonistów, poczynając od sztucców, a kończąc na okiennych szybach.

– Można by nieźle zarobić, przywożąc tutaj miecze i skupując meble – szepnęła Płoszka.

– Zawsze potrafisz dostrzec dobry interes – odrzekła Corlin, posyłając jej uśmiech. Trudno było o spokojniejszą osobę w chwili kryzysu, jednak przez resztę czasu kobieta miała nieprzyjemny zwyczaj pouczania wszystkich dookoła.

– One same cię nie znajdą. – Płoszka przechyliła się w siodle, unikając strugi ptasiego gówna, która zbryzgała drogę obok jej wierzchowca.

Wszędzie było pełno ptaków, od olbrzymich po malutkie, które wrzeszczały i świergotały, krążyły wysoko na niebie, siedziały w rzędach i patrzyły koralikami oczu, dziobały się nawzajem nad stertami odpadków opanowanymi przez muchy, podkradały każdy upuszczony okruch oraz znaczyły most, namioty, a nawet ludzi zasychającymi smugami szarych odchodów.

– On wam się przyda! – wrzasnął do nich jeden z kupców, podsuwając Płoszce pod nos rozdrażnionego kocura, którego trzymał za futro na grzbiecie. Wszędzie wokół stały chwiejne wieże klatek, w których siedziały inne zaniedbane osobniki o zaszczutych spojrzeniach świadczących o długotrwałym uwięzieniu. – W Fałdzie roi się od szczurów wielkości koni!

– Więc lepiej zaopatrzyć się w większe koty! – odkrzyknęła Corlin. – Gdzie poszedł twój niewolnik? – spytała Płoszkę.

– Pomaga Buckhormowi przeprowadzić bydło przez ten

chaos. Ale on nie jest niewolnikiem – dodała niepewnie. Wyglądało na to, że bezustannie broni przed innymi człowieka, którego sama atakowała.

– No dobrze, twoja męska dziwka.

– Tym także nie jest, o ile mi wiadomo. – Płoszka ze zmarszczonym czołem popatrzyła na jednego z przedstawicieli tej profesji, który stał obok utłuszczonej kłapy namiotu z koszulą rozpiętą aż do brzucha. – Chociaż często wspomina, że wykonywał wiele zawodów...

– Może powinien rozważyć, czy się tym nie zająć. Wątpię, by w jakikolwiek inny sposób zdołał spłacić swój dług.

– Zobaczymy – odparła Płoszka.

Zaczynała dochodzić do wniosku, że Temple stanowił kiepską inwestycję. Zapowiadało się na to, że będzie ją spłacał do końca świata, jeśli wcześniej nie umrze – co wydawało się bardzo możliwe – albo nie znajdzie jakiegoś innego głupca, z którym ucieknie pod osłoną nocy – co było jeszcze bardziej prawdopodobne. Tyle razy nazywała Owcę tchórzem, ale on przynajmniej nie bał się ciężkiej pracy i nigdy się nie skarżył. Tymczasem Temple przy każdej okazji narzekał na pył, pogodę, swój dług albo obolałą dupę.

– Już ja się postaram, żeby miał obolałą dupę – mruknęła. – Bezużyteczny drań...

Być może warto szukać w innych ludziach tego co najlepsze, ale jeśli nawet coś takiego kryło się w Temple'u, to bardzo dobrze to maskował. Choć, z drugiej strony, czego można się spodziewać, gdy wyławia się ludzi z rzeki? Bohaterów?

Na obu końcach mostu kiedyś wznosiły się po dwie wieże strażnicze. Po tej stronie zostały zburzone na wysokości kilku metrów, a tworzące je kamienie leżały rozsypane i porośnięte

roślinnością. Szczątki wież łączyła prowizoryczna brama – Płoszka jeszcze nigdy nie widziała gorzej skleconej budowli, choć sama wielokrotnie kaleczyła drewno – wykonana z kawałków wozów, skrzyń i beczek najeżonych gwoździami. Z przodu przytwierdzono koło. Na szczycie jednej ze świątynych kolumn siedział chłopiec, który obserwował tłum z najbardziej wojowniczą miną, jaką Płoszka kiedykolwiek miała okazję zaobserwować.

– Klienci, tatko! – zawołał, gdy Owca, Słodki i Płoszka podeszli, prowadząc kolumnę wozów kołyszących się w tłumie.

– Widzę ich, synu. Dobra robota.

Mężczyzna, który się odezwał, był potężniejszy nawet od Owcy i nosił bujną rudą brodę. Towarzyszył mu żylasty człowiek o wyjątkowo wystających kościach policzkowych, który miał na głowie hełm przeznaczony dla kogoś o normalnych rysach twarzy. Zupełnie, jakby nałożyć filiżankę na koniec buzdyganu. Kolejny mężczyzna pojawił się na szczycie jednej z wież z łukiem w rękach. Rudobrody stanął przed bramą, trzymając włócznię, której co prawda nie kierował w ich stronę, ale z pewnością nie w przeciwnym kierunku.

– To nasz most – oznajmił.

– Robi wrażenie. – Owca zdjął kapelusz i otarł czoło. – Nie podejrzewałbym was, chłopcy, o takie zdolności murarskie.

Rudobrody zmarszczył czoło, nie będąc pewnym, czy właśnie nie został obrażony.

– Nie zbudowaliśmy go.

– Ale jest nasz! – wykrzyknął Wystające Policzki, jakby krzyk mógł uczynić to stwierdzenie prawdziwym.

– Ty wielki idioto! – dodał chłopiec na kolumnie.

– Kto powiedział, że jest wasz? – spytał Słodki.

– A kto powiedział, że nie jest? – odburknął Wystające Policzki. – Prawo własności to podstawa porządku.

Płoszka obejrzała się przez ramię, ale Temple wciąż pilnował bydła.

– Ech, kiedy naprawdę przydałby się prawnik, nigdy żadnego nie ma pod ręką...

– Jeśli chcecie przejechać na drugą stronę, musicie zapłacić. Markę za każdego człowieka, dwie marki za zwierzę, trzy marki za wóz.

– Tak jest! – warknął chłopak.

– Co za czasy. – Słodki pokręcił głową, jakby ubolewał nad upadkiem wszelkich wartości. – Człowiek musi płacić za to, że jedzie, dokąd chce.

– Niektórzy chcą na wszystkim zarobić. – Temple wreszcie nadjechał na swoim mule. Zdjął szmatę z ciemnej twarzy, a żółty pasek pyłu wokół oczu nadał mu wygląd błazna. Posłał Płoszce niewyraźny uśmiech, jakby to był prezent, na który czekała.

– Sto czterdzieści cztery marki – powiedziała. Uśmiech zniknął z jego twarzy, a ona poczuła się odrobinę lepiej.

– Lepiej porozmawiajmy z Majudem – orzekł Słodki. – Może zorganizujemy zrzutkę na opłatę.

– Zaczekaj – odparła Płoszka, powstrzymując go ruchem dłoni. – Ta brama nie wygląda solidnie. Nawet ja mogłabym ją otworzyć kopnięciem.

Rudobrody oparł drzewce włóczni o ziemię i zmarszczył czoło.

– Chcesz spróbować, kobieto?

– Tylko spróbuj, suko! – krzyknął chłopiec, którego głos zaczynał działać Płoszce na nerwy.

Uniosła obie dłonie.

– Nie mamy wrogich zamiarów, ale słyszałam, że Duchy ostatnio są niespokojne... – Wzięła głęboki wdech i pozwoliła, żeby cisza działała na jej korzyść. – Sangeded znów dobył miecza.

Rudobrody poruszył się niespokojnie.

– Sangeded?

– On sam. – Temple zręcznie włączył się do rozmowy. – Groza Dalekiej Krainy! Niecały dzień drogi stąd zmasakrowano Drużynę złożoną z pięćdziesięciu osób. – Szeroko otworzył oczy i przeciągnął palcami po uszach. – Nie zostało ani jedno ucho.

– Widziałem to na własne oczy – dorzucił Słodki. – Robili z tymi trupami okropieństwa, których wolałbym nie pamiętać.

– Okropieństwa – przytaknął Owca. – O mało się nie porzygałem.

– A jemu rzadko to się zdarza – dodała Płoszka. – W takiej sytuacji wolałabym mieć solidną bramę, za którą mogłabym się schować. Ta po drugiej stronie jest równie licha?

– Nie mamy bramy po drugiej stronie – odrzekł chłopiec, zanim Rudobrody zdążył go uciszyć ostrym spojrzeniem.

Niestety, poczynionych zniszczeń nie dało się naprawić. Płoszka gwałtownie wciągnęła powietrze.

– W sumie nie powinniśmy się mieszać, skoro to wasz most, ale...

– Co? – odburknął Wystające Policzki.

– Tak się składa, że jest z nami człowiek nazwiskiem Abram Majud. Wyśmienity kowal i nie tylko.

Rudobrody parsknął.

– I pewnie ma ze sobą swoją kuźnię?

– Owszem – odparła Płoszka. – Przenośną kuźnię Curnsbicka.

– Co takiego?

– Wspaniałe dzieło, które dla współczesnych czasów jest tym, czym wasz most dla minionych wieków – odrzekł Temple.

– Wystarczy pół dnia, a zamontuje po obu stronach mostu obręcze, bolce i zawiasy, do których sforsowania potrzebna będzie armia.

Rudobrody obliział usta i popatrzył na Wystające Policzki, który również się obliział.

– No dobrze, zrobimy tak... Przepuścimy was za połowę ceny, jeśli naprawicie nasze bramy...

– Przejedziemy za darmo albo nic z tego.

– Za połowę ceny – ryknął Rudobrody.

– Suko! – dodał jego syn.

Płoszka popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Co o tym sądzisz, Słodki?

– Nie raz mnie okradano, a oni przynajmniej nie udają, że...

– Słodki? – Ton Rudobrodego zmienił się z groźnego na czarujący. – Jesteś Dab Słodki, zwiadowca?

– Ten, który zabił rudego niedźwiedzia? – spytał Wystające Policzki.

Słodki wyprostował się w siodle.

– Własnymi rękami ukręciłem temu jebanemu futrzakowi łeb.

– On?! – zawołał chłopiec. – Przecież to karzeł!

Ojciec uciszył go machnięciem ręki.

– Nieważne, jakiego jest wzrostu. Czy zgodzisz się, żebyśmy nazwali most twoim nazwiskiem? – Wykonał zamaszysty gest, jakby pokazywał gotowy szyld. – Nazwiemy go „Przeprawa Słodkiego”.

Słynny pionier wyglądał na zmieszanego.

– On tutaj stoi od tysiąca lat, przyjacielu. Nikt nie uwierzy, że go zbudowałem.

– Ale uwierzą, że z niego korzystasz. Pojawiasz się tutaj za każdym razem, gdy przekraczasz rzekę.

– Przekraczam ją tam, gdzie mi akurat pasuje. Gdyby było inaczej, kiepski byłby ze mnie przewodnik, czyż nie?

– Ale my powiemy, że zawsze przyjeżdżasz tutaj!

Słodki westchnął.

– Wydaje mi się to idiotyczne, ale w końcu to tylko nazwa.

– Zazwyczaj bierze pięćset marek za prawo do wykorzystania swojego nazwiska – wtrąciła się Płoszka.

– Co takiego?! – zawołał Rudobrody.

– Co takiego? – zdziwił się Słodki.

– Musicie wiedzieć – dodał Temple, który od razu podchwycił plan – że pewien producent ciastek w Adui płaci mu tysiąc marek rocznie za prawo do umieszczania jego twarzy na pudełkach.

– Co takiego?! – zawołał Wystające Policzki.

– Co takiego? – zdziwił się Słodki.

– Ale skoro sami korzystamy z waszego mostu... – ciągnęła Płoszka.

– Który jest cudem minionych wieków – wtrącił Temple.

– ...to możemy wam zaproponować zniżkę. W zamian za sto pięćdziesiąt marek i darmowe przejście dla naszej Drużyny będziecie mogli nadać mostowi jego imię. Co wy na to? Zarobiliście dzisiaj trzysta pięćdziesiąt marek, nawet nie ruszając się z miejsca!

Wystające Policzki wyglądał na zachwyconego swoim

zyskiem, jednak Rudobrody miał wątpliwości.

– Jeśli wam zapłacimy, to co was powstrzyma przed sprzedaniem jego imienia każdemu innemu mostowi, brodowi i promowi w Dalekiej Krainie?

– Sporządzimy porządny kontrakt i wszyscy się pod nim podpiszemy.

– Kon... trakt? – Rudobrody z trudem wymówił to nieznane słowo. – Skąd do diabła weźmiecie prawnika na tym pustkowiu?

Bywają takie dni, gdy nic się nie układa. Bywają też takie, gdy układa się wszystko. Płoszka położyła dłoń na ramieniu Temple'a i oboje się do siebie wyszczerzyli.

– Mamy szczęście podróżować z najlepszym prawnikiem na zachód od Stariklandu!

– Wygląda jak jakiś pieprzony żebrak – zakpił chłopak.

– Wygląd może kłamać – odparł Owca.

– Tak samo jak prawnicy – dodał Słodki. – U tych drani to prawie nawyk.

– On może przygotować papiery – powiedziała Płoszka. – Za jedyne dwadzieścia pięć marek. – Splunęła na prawą dłoń i wyciągnęła ją w stronę Rudobrodego.

– No dobrze. – Mężczyzna się uśmiechnął, a przynajmniej tak wyglądał grymas w gęstwinie jego brody, również splunął i ucisnął dłoń Płoszki.

– W jakim języku mam sporządzić kontrakt? – spytał Temple.

Rudobrody popatrzył na Wystające Policzki i wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Żaden z nas nie umie czytać. – Po czym zabrali się za otwieranie bramy.

– Sto dziewiętnaście marek – wyszeptał Temple Płoszce do

ucha, a kiedy nikt nie patrzył, popędził muła, stanął w strzemionach i zepchnął chłopaka z kolumny, posyłając go w błoto obok bramy. – Serdecznie przepraszam – powiedział. – Nie zauważyłem cię.

Chociaż to był drobiazg, Płoszka zauważyła, że dzięki temu Temple znacznie urósł w jej oczach.

Marzenia

Hedges nienawidził Drużyny. Tego brązowego śmierdziała Majuda, jękającego się pojecha Buckhorma i starego oszusta Słodkiego oraz ich małostkowych zasad. Zasad regulujących, kiedy należy zacząć jeść, a kiedy przestać, co można pić, gdzie można srać i jakiej wielkości psa można ze sobą zabrać. Gorzej niż w przeklętym wojsku. Dziwna sprawa z tą armią – kiedy w niej służył, nie mógł się doczekać wolności, ale gdy tylko przeszedł do cywila, zaczął tęsknić za żołnierskim życiem.

Skrzywił się, masując nogę, żeby pozbyć się bólu, ale on wciąż mu towarzyszył i się z niego śmiał. Psiakrew, Hedges miał już dosyć bycia wyśmiewanym. Gdyby wiedział, że w ranę wda się zakażenie, nigdy by się nie dźgnął. Myślał, że jest sprytny, gdy patrzył, jak reszta batalionu szarżuje w ślad za tym dupkiem Tunnym. Wolał lekką ranę na nodze niż przebite serce. Tylko że wróg poprzedniej nocy zrezygnował z obrony muru i do walki w ogóle nie doszło. Bitwa się skończyła, a on był jedynym rannym. Wyleciał z wojska z niesprawną nogą i bez perspektyw. Pech. Zawsze czuł na karku jego oddech.

Jednakże w Drużynie nie było tak źle. Obrócił się w swoim zniszczonym siodle i wypatrzył Płoszkę Południe, która jechała z tyłu obok bydła. Trudno było nazwać ją pięknnością, ale coś w sobie miała. Niczym się nie przejmowała, a jej koszula była tak przeupocona, że można było dostrzec jej kształty, którym niczego nie brakowało. Hedges zawsze lubił silne kobiety. Poza tym nie była leniwa, wciąż coś robiła. Nie wiadomo dlaczego

teraz żartowała z tym korzennym dupkiem Temple'em, bezwartościowym brązowym kutasem. Powinna przyjść do niego, a dałby jej prawdziwy powód do radości.

Ponownie pomasował nogę, poprawił się w siodle i splunął. Płoszka była w porządku, ale większość pozostałych to dranie. Odnalazł wzrokiem Saviana, który chwiał się na wozie obok tej swojej kpiąco uśmiechniętej suki, która zawsze wysoko unosiła spiczasty podbródek, jakby była lepsza od innych, a zwłaszcza od Hedgesa. Ponownie splunął. Ślina była za darmo, więc nie musiał jej żałować.

Ludzie rozmawiali obok niego, omijali go wzrokiem, a kiedy przekazywali sobie butelkę, zawsze go ignorowali, ale on miał oczy i uszy. Widział, jak po masakrze w Rostodzie Savian zaczął wydawać rozkazy, jakby był przywódcą. Towarzyszyła mu ta suka jego siostrzenica, a wśród ludzi poniosło się imię „Conthus”. Wypowiadano je cicho, a buntownicy szorowali nosami po zakrwawionej ziemi, jakby znaleźli się w obliczu samego wielkiego Euza. Hedges swoje widział i słyszał, dlatego domyślał się, że ten stary drań nie jest zwykłym wędrowcem marzącym o złocie. Jego marzenia były znacznie bardziej krwawe. Był najgorszym pośród buntowników i nikt nie znał jego planów. Tylko patrzcie, jak tam siedzi, jakby do niego należało ostatnie słowo, ale to Hedges będzie się śmiał ostatni. Spotkało go w życiu wiele niepowodzeń, teraz jednak wyczuwał swoją szansę. Musi tylko poczekać na odpowiednią chwilę, by przekuć swój sekret w złoto.

A na razie będzie czekał, uśmiechał się i rozmyślał o tym, jak bardzo nienawidzi tego jękającego się pojeba Buckhorma.

Wiedział, że w ten sposób traci siły, których mu brakuje, ale Raynault Buckhorm czasami nienawidził swojego konia. Nienawidził swojego konia, siodła, manierki, butów, kapelusza i szmaty, którą osłaniał twarz. Mimo to, wiedział, że od nich zależy jego życie, tak jak życie wspinającego się zależy od liny. W Dalekiej Krainie mógł zginąć na wiele efektownych sposobów, obdarty ze skóry przez Duchy, trafiony przez piorun albo porwany przez powódź. Jednakże większość zgonów nie jest tak spektakularna. Może cię zabić niepokorny koń, zerwany pasek siodła albo nadepnięty wąż. Wiedział, że będzie ciężko. Wszyscy to powtarzali, kręcąc głowami i cmokając z dezaprobatą, jakby był wariatem. Tyle że co innego o tym usłyszeć, a co innego doświadczyć tego na własnej skórze. Mordercza praca i zawsze dokuczliwa pogoda. Palące słońce albo ulewny deszcz oraz wiejący donikąd wiatr szalejący nad równinami.

Czasami Buckhorm patrzył na rozciągające się przed nim surowe pustkowie i zastanawiał się, czy ktoś kiedyś tutaj stał. Ta myśl przyprawiała go o zawroty głowy. Jak daleko dotarli? Ile drogi im jeszcze zostało? Co by się stało, gdyby Słodki nie wrócił z którejś ze swoich trzydniowych wypraw zwiadowczych? Czy bez niego znaleźliby drogę w tym oceanie trawy?

Musiał udawać spokojnego i wesołego, musiał być silny. Jak Owca. Zerknął na potężnego Północnego, który zsiadł z konia, żeby wypchnąć wóz Lorda Ingelstada z koleiny. Buckhorm zapewne nie zdołałby tego dokonać nawet razem ze swoimi wszystkimi synami, a Owca uwolnił wóz bez słowa. Był co najmniej dziesięć lat starszy od Buckhorma, ale wyglądał jak wyrzeźbiony z kamienia, nigdy się nie męczył, nigdy nie narzekał. Ludzie traktowali Buckhorma jak wzór do

naśladowania, więc gdyby opadł z sił, innych też by to spotkało. I co wtedy? Zawróciłiby? Obejrzał się przez ramię i chociaż w każdym kierunku widok był taki sam, za swoimi plecami ujrzał porażkę.

Zobaczył też swoją żonę, która oddaliła się od kolumny razem z kilkoma innymi kobietami, żeby się wysikać. Czuł, że nie jest szczęśliwa, i ta świadomość boleśnie mu ciążyła i odbierała pewność siebie. Przecież nie robi tego wszystkiego dla siebie, prawda? Mógłby zostać w Hormringu, ale mężczyzna powinien starać się zdobyć dla swojej żony i dzieci to, czego im brakuje, zapewnić im lepszą przyszłość, a dostrzegł ją właśnie na zachodzie. Nie wiedział, co jeszcze może zrobić, żeby ją uszczęśliwić. W końcu wypełniał swoją małżeńską powinność każdej nocy, niezależnie od bólu czy zmęczenia.

Czasami chciał ją spytać – czego pragniesz? Miał to pytanie na końcu niezdarne go języka, ale kiedy chciał je wykrztusić, od razu zaczynał się jąkać. Chciałby się z nią przespacerować, porozmawiać jak dawniej, ale kto by się wtedy zajął bydlęm? Temple? Zaśmiał się ponuro, po czym przeniósł wzrok na człowieka z rzeki. Oto przykład kogoś, kto uważa, że świat jest mu coś winien. Płynie od jednej do drugiej katastrofy, piękny jak motyl, który porzuca towarzyszy, by znaleźć nowy kwiatek do zapylania. Nawet nie wykonuje zadania, za które mu płacą, tylko wlecze się na swoim mule i wygłupia z Płószką Południe. Buckhorm pokręcił głową, patrząc na tę dziwną parę. Z ich dwojga to ona miała zdecydowanie więcej z prawdziwego mężczyzny.

Luline Buckhorm zajęła miejsce w kręgu, uważnie wpatrując

się w dal.

Jej wóz się zatrzymał, jak działo się zawsze, gdy nie było jej na miejscu, by poruszyć go siłą woli, a troje jej najstarszych dzieci biło się o lejce. Ich bezmyślne przekomarzanie niosło się ponad trawą.

Czasami nienawidziła swoich dzieci, ich marudzenia, bolesnych dolegliwości i niekończących się, uciążliwych, przytłaczających potrzeb. Kiedy się zatrzymamy? Kiedy będziemy jeść? Kiedy będziemy w Fałdzie? Jej własne zniecierpliwienie czyniło ich pytania jeszcze bardziej dokuczliwymi. Wszyscy rozpaczliwie szukali czegoś, co urozmaici nudną monotonię wędrowki. Zapewne już dawno zaczęła się jesień, ale tutaj nie dało się tego stwierdzić, chyba że na podstawie wiatru, który stał się zimniejszy. Okolica była płaska jak stół, a jednak Luline miała wrażenie, że wspinają się po górskim zboczu, które każdego dnia staje się coraz bardziej strome.

Usłyszała, jak Lady Ingelstad opuszcza spódnice, i poczuła, że kobieta wpycha się na miejsce obok niej. Daleka Kraina czyniła wszystkich równymi. Osoba, która w cywilizowanym świecie nawet by na nią nie spojrzała, której mąż zasiadał w Otwartej Radzie Unii, mimo że był głupcem, tutaj sikała razem z nią. Sisbet Peg zajęła miejsce na środku okręgu i kucnęła nad wiadrem, ukryta przed wścibskimi oczami. Miała najwyżej szesnaście lat i była świeżo upieczoną mężatką, wciąż zakochaną i zachowująca się tak, jakby jej mąż znał odpowiedź na wszystkie pytania. Biedaczka jeszcze przejrzy na oczy.

Luline zauważyła, że ta szumowina Hedges zerka w ich stronę, przejeżdżając na swoim wyliniałym mule, i posłała mu surowe spojrzenie, po czym przywarła do ramienia Lady

Ingelstad, opierając dłonie na biodrach, żeby stać się jak największą i upewnić, że podglądacz nie dostrzeże niczego poza jej pogardą. Nagle Raynault odgradził Hedgesa od kobiet i zajął go rozmową.

– Twój mąż to dobry człowiek – rzekła Lady Ingelstad z uznaniem. – Zawsze robi to, co wypada.

– Rzeczywiście – odparła Luline z dumą, jak na żonę przystało.

Czasami nienawidziła męża, jego ślepoty na jej trud i irytujących teorii na temat tego, co należy do obowiązków kobiety i mężczyzny. Zupełnie jakby stukanie młotkiem w słupek od ogrodzenia, a następnie upijanie się w knajpie było prawdziwą pracą, a opiekowanie się przez całą dobę gromadką dzieci stanowiło rozrywkę, za którą powinna być wdzięczna. Uniosła wzrok i wysoko na niebie zobaczyła duży klucz białych ptaków, które leciały nie wiadomo dokąd, i pożałowała, że nie może do nich dołączyć. Ile już kroków przeszła, wlokąc się obok tego wozu?

Podobało się jej w Hormringu, miała tam przyjaciół i dom, który latami dopieszczała. Ale nikt nigdy jej nie spytał, o czym marzy, zawsze oczekiwano od niej, że porzuci swój wygodny fotel i kominek, żeby popędzić za jego marzeniami. Patrzyła, jak jedzie kłusem na czoło kolumny i wskazuje coś Majudowi. Wielcy mężczyźni omawiający wielkie plany.

Czy nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona też pragnie usiąść w siodle, poczuć orzeźwiający podmuch wiatru, uśmiechać się do otwartych pól, prowadzić bydło, zastanawiać się nad trasą i przemawiać podczas zebrzań, podczas gdy jej mąż będzie szedł obok poskrzypującego wozu, przewijał zafajdanego niemowlaka i wrzeszczał na trójkę starszych dzieci, żeby

przestały na siebie wrzeszczeć, a także dawał sobie gryźć sutki do krwi co godzinę albo dwie, jednocześnie dbając o przyrządzenie dobrej kolacji i spełnianie małżeńskiego obowiązku każdej nocy, niezależnie od bólu czy zmęczenia?

Głupie pytanie. Oczywiście, że nigdy nie przyszło mu to do głowy. A kiedy ona o tym myślała, czyli często, zawsze coś powstrzymywało jej język, jakby zmagająca się z atakiem jąkania, tak że tylko wzruszała ramionami i dąsała się w milczeniu.

– Tylko popatrzcie – mruknęła Lady Ingelstad.

Płoszka Południe zeskoczyła z siodła niecały tuzin kroków od kolumny, przykucnęła w wysokiej trawie w cieniu swojego wierzchowca i zaczęła sikać, trzymając wodze w zębach, ze spodniami wokół kostek, pokazując wszystkim bok bladego tyłka.

– Niesamowite – szepnął ktoś.

Podciągnęła spodnie i pomachała im przyjaźnie, po czym zapięła pas, wypluła wodze na dłoń i natychmiast wskoczyła na siodło. Uwinęła się błyskawicznie, dokładnie wtedy, kiedy chciała i jak chciała. Luline Buckhorm zmarszczyła czoło i powiodła wzrokiem po kręgu kobiet, które co chwila się zmieniały, żeby jedna z dziwek mogła zająć miejsce nad wiadrem.

– Czy jest jakiś powód, dla którego my nie możemy robić tak samo? – spytała.

Lady Ingelstad posłała jej surowe spojrzenie.

– Oczywiście, że tak! – Patrzyły, jak Płoszka odjeżdża, wykrzykując do Słodkiego coś o pozamykaniu wozów. – Chociaż w tej chwili nie mam pojęcia jaki.

Od strony kolumny dobiegł głośny krzyk, który brzmiał jak głos najstarszej córki Luline, i serce kobiety niemal wyskoczyło

z piersi. Postawiła chwiejny krok, zdjeta panicznym lękiem, po czym zobaczyła, że jej dzieci tylko ponownie biją się o miejsce na wozie, śmiejąc się przy tym i wrzeszcząc.

– Nie martw się – powiedziała Lady Ingelstad, głaszcząc jej dłoń, gdy Luline wróciła do kręgu. – Wszystko jest w porządku.

– Tutaj czyha tyle niebezpieczeństw. – Luline odetchnęła, próbując uspokoić kołaczące serce. – Może się wydarzyć tyle złych rzeczy. – Czasami nienawidziła swojej rodziny, a czasami miłość, którą do niej odczuwała, sprawiała jej ból. Ta zagadka zapewne nie miała rozwiązania.

– Twoja kolej – oznajmiła Lady Ingelstad.

– No tak. – Luline podciągnęła spódnicę, gdy zamknął się wokół niej krąg kobiet. Psiakrew, czy z sikaniem zawsze było tyle kłopotu?

Słynny Iosiv Lestek stęknął, napiął się i posłał kilka kolejnych kropel do wiadra.

– Tak... tak... – Ale nagle wóz podskoczył na wybojach, patelnie oraz kufry zagrzechotały i Iosiv wypuścił fiuta, żeby chwycić lejce, a kiedy znów odzyskał równowagę, kranik szczęścia zatkał się na dobre.

– Dlaczego człowiek musi znosić przekleństwo starzenia? – mruknął, cytując ostatnią linijkę Upadku żebraka.

Och, jakaż panowała cisza, gdy wypowiadał te słowa u szczytu swoich możliwości! Och, jakież owacje po niej następowały! Burza oklasków. A teraz? Uważał, że włóczy się po pustkowiach, gdy jego trupa objeżdżała prowincje Midderlandu, ale wtedy nie miał pojęcia, jak wygląda prawdziwe pustkowia. Wyjrzał przez okno na bezkresną trawę. Dostrzegł potężne

ruiny, zapomniane pozostałości Imperium, porzucone przed wieloma laty. Powywracane kolumny, mury porośnięte trawą. Było wiele takich miejsc w tej części Dalekiej Krainy. Ich chwała wyblakła, ich historia uległa zapomnieniu, ich szczątki nie wzbudzały zainteresowania. Relikty minionych wieków. Tak jak on sam.

Z nostalgią wspominał czasy, gdy szczał całymi wiadrami. Tryskał jak ręczna pompa, nawet o tym nie myśląc, po czym wskakiwał na scenę, żeby kąpać się w blasku słodko pachnących lamp z wielorybim tranem, karmić się westchnieniami publiczności i nurzać w gorącym aplauzie. Ta paskudna para małych trolli, dramatopisarz i kierownik, zachęcała go, żeby został na kolejny sezon, żebrząc, korząc się i proponując coraz większe sumy, ale on nawet nie zaszczycił ich odpowiedzią, zajęty pudrowaniem twarzy. Zaproszono go do Agriontu, gdzie stanął na pałacowej scenie przed Jego Królewską Mością i całą Zamkniętą Radą! Odgrywał rolę Pierwszego z Magów przed obliczem prawdziwego Pierwszego z Magów – ilu aktorów może się czymś takim poszczycić? Radośnie stąpał po plecach żalonych krytyków, zrujnowanych konkurentów i rozkochanych entuzjastów, rzadko zauważając ich pod swoimi stopami. W jego świecie nie było miejsca na porażki.

Ale przyszedł czas, gdy zawiodły go kolana, potem jelita, potem pęcherz, a w końcu publiczność. Dramatopisarz zaproponował z kpiącym uśmiechem, by powierzyć główną rolę komuś młodszemu. Oczywiście, jemu nadal miała przypaść w udziale godna rola, która pozwoliłaby mu wrócić do pełni sił. Miotał się po scenie, jąkał, pocił w blasku cuchnących lamp. Wreszcie kierownik z równie kpiącym uśmiechem zaproponował, by się rozstali. Cóż to była za wspaniała

współpraca, tyle lat na scenie, co za recenzje, co za publika, ale najwyższy czas poszukać nowych sukcesów, podążać za nowymi marzeniami...

– Zdrado, oto ukazujesz swe przykre oblicze...

Wóz podskoczył i żałosne krople, które wycisnął z siebie przez ostatnią godzinę, wylały się z wiadra na jego dłoń. Prawie tego nie zauważył. Potarł spoconą szczękę. Powinien się ogolić. Musi utrzymywać pewne standardy. W końcu przynosi kulturę na pustkowie, czyż nie? Wziął do ręki list od Camlinga i ponownie go przeczytał, w milczeniu poruszając ustami. Camling używał nadmiernie ozdobnego stylu, ale był przyjemnie uniżony w swoich pochwałach i wyrazach uznania, obietnicach godnych warunków, planach zorganizowania epokowego wydarzenia w wiekowym imperialnym amfiteatrze w Fałdzie. Występ godny wieków, jak to ujął. Kulturalne święto!

Iosiv Lestek nie był skończony. Nie on! Odkupienie może nas spotkać w najmniej spodziewanych miejscach. Poza tym minęło wiele czasu od ostatniego ataku halucynacji. Zdecydowanie mu się poprawia! Odłożył list i śmiało ujął fiuta w dłoń, patrząc przez okno na powoli przesuwające się ruiny.

– Moje najlepsze przedstawienie jest jeszcze przede mną... – stęknął, zgrzytając zębami, gdy wydusił kilka kolejnych kropel do wiadra.

– Ciekawe, jak to jest – rzekła Sallit, wpatrując się tęsknie w barwny wóz, na którym widniał fioletowy napis „Sławny Iosiv Lestek”. Co prawda nie potrafiła go odczytać, ale Luline Buckhorm powiedziała jej, co tam jest napisane.

– O czym mówisz? – spytała Złotko, lekko poruszając lejcami.

– O byciu aktorem. Jak to jest stać na scenie przed widownią.
– Kiedyś widziała przedstawienie. Matka i ojciec ją zabrali. Zanim umarli. Oczywiście, że to było wcześniej. To nie byli aktorzy z wielkiego miasta, ale i tak klaskała, aż ją rozboleły dłonie.

Złotko wepchnęła luźny kosmyk włosów pod zniszczony kapelusz.

– Nie grasz za każdym razem, kiedy jesteś z klientem?

– To nie to samo.

– Mniejsza widownia, ale poza tym niewielka różnica. – Słyszały, jak z tyłu wozu jęcząca Najis zajmuje się jednym ze starych kuzynów Gentiliego. – Chyba mu się podoba, może będzie z tego napiwek. – A przynajmniej jest szansa, że wszystko szybciej się skończy. To też dobra wiadomość.

– Nigdy nie byłam dobra w udawaniu – wyszeptała Sallit. Na pewno w udawaniu, że to lubi, gdyż wtedy trudniej udawać, że cię tam nie ma.

– Nie zawsze chodzi o pieprzenie. Nie zawsze. Przynajmniej nie tylko o pieprzenie. – Złotko wiele widziała. Była piekielnie praktyczna. Sallit żałowała, że taka nie jest. Może kiedyś jej się uda. – Po prostu traktuj ich, jakby byli kimś. W końcu każdy tego pragnie, czyż nie?

– Pewnie tak.

Sallit też chciałaby być traktowana jak ktoś, a nie jak rzecz. Tymczasem ludzie patrzyli na nią i widzieli tylko kurwę. Zastanawiała się, czy ktokolwiek w Drużynie zna jej imię. Troszczyli się o nią mniej niż o bydło i niżej ją cenili. Co by powiedzieli jej rodzice, gdyby wiedzieli, że ich córka została dziwką? Stracili prawo głosu, gdy umarli, a Sallit najwyraźniej również je straciła. Podejrzewała, że mogło być gorzej.

– To tylko sposób zarabiania na życie. Tak należy na to patrzeć. Jesteś jeszcze młoda, kochanie. Masz dużo czasu na pracę. – Suka z cieczką biegła obok kolumny wozów, a kilkanaście psów różnych kształtów i rozmiarów z nadzieją mknęło jej śladem. – Tak działa ten świat – rzekła Złotko, patrząc na zwierzaki. – Jeśli się przyłożysz, możesz się wzbogacić. Przynajmniej na tyle, żeby mieć spokojną starość. Takie mamy marzenie.

– Naprawdę? – Sallit takie marzenie wydało się bardzo liche. Oby tylko nie spotkało nas najgorsze.

– To prawda, że teraz niewiele się dzieje, ale kiedy dotrzemy do Fałdy, pieniądze popłyną szerokim strumieniem. Lanklan wie, co robi, o to nie musisz się martwić.

Wszyscy chcieli się dostać do Fałdy. Budzili się i rozmawiali o trasie, wypytując Słodkiego, ile mil już przejechali, ile im pozostało, odliczając je jak dni surowego wyroku. Ale Sallit obawiała się tego miejsca. Czasami Lanklan opowiadał o tym, jak wielu tam będzie samotnych mężczyzn o błyszczących oczach, o obsługiwaniu pięćdziesięciu klientów dziennie, jakby to było coś, na co warto czekać. Dla Sallit była to wizja z piekła rodem. Nie przepadała za Lanklanem, ale Złotko twierdziła, że w porównaniu z innymi alfonsami trafił im się prawdziwy skarb.

Piski Najis zbliżały się do kulminacji i nie dało się ich zignorować.

– Daleko jeszcze? – spytała Sallit, starając się zagłuszyć hałasy rozmową.

Złotko zmarszczyła czoło i zapatrzyła się na horyzont.

– Wiele mil i niejedna rzeka.

– To samo mówiłaś kilka tygodni temu.

– Wtedy to była prawda i teraz też. Nie martw się, kochanie, Dab Słodki doprowadzi nas do celu.

Sallit miała nadzieję, że tak się nie stanie. Miała nadzieję, że stary zwiadowca poprowadzi ich po wielkim okręgu z powrotem do Nowego Keln, a jej matka i ojciec z uśmiechem powitają ją w progu starego domu. Tylko tego pragnęła. Ale rodzice zmarli na dreszcze, a na tym wielkim pustkowiu nie było miejsca na marzenia. Gwałtownie zaczerpnęła tchu i potarła obolały nos, starając się nie rozplakać. To by nie było w porządku wobec pozostałych. Przecież sama nie lubiła, kiedy one płakały, prawda?

– Stary dobry Dab Słodki. – Złotko strzebiła lejcami i cmoknęła na woły. – Słyszałam, że jeszcze nigdy nie zabłądził.

– A więc nie zabłądziłeś – odezwała się Płacząca Skala.

Słodki oderwał wzrok od zbliżającego się jeźdźca i, mrużąc oczy, popatrzył na kobietę, która przycupnęła na szczycie jednego z sypiących się murów na tle zachodzącego słońca i wymachiwała nogą. Wreszcie odwinęła starą flagę z głowy, uwalniając długie srebrzyste włosy, w których wciąż było widać kilka złotych pasemek.

– Czy słyszałaś, żebym kiedykolwiek zabłądził?

– Kiedy nie ma mnie przy tobie i nie wskazuję ci drogi?

W odpowiedzi uśmiechnął się kwaśno. Tylko dwa razy podczas tej wyprawy w bezchmurną noc oddalał się pod osłoną ciemności, żeby odczytać dokładną pozycję Drużyny za pomocą swojego astrolabium. Wygrał je w karty od byłego kapitana żeglugi i przez lata z powodzeniem wykorzystywał. Wędrówka po równinach czasami przypominała morski rejs. Wokół nie

było niczego poza niebem, horyzontem i przeklętym zawodzącym ładunkiem. Człowiek potrzebuje kilku sztuczek, żeby nadażyć za swoją legendą.

Na przykład, tamten rudy niedźwiedź. Zabił go włócznią, a nie gołymi rękami, a zwierzę było stare, powolne i wcale nie takie olbrzymie. Ale to był prawdziwy niedźwiedź, a on go zabił. Dlaczego to nie może ludziom wystarczyć? Dab Słodki zabił niedźwiedzia! Ale nie, oni musieli wzbogacać tę historię z każdym opowiedzeniem – gołymi rękami, ratując kobietę, trzy niedźwiedzie – aż w końcu prawda stała się rozczarowująca. Oparł się o pękniętą kolumnę i z założonymi rękami patrzył na jeźdźca galopującego w jego stronę, bez siodła, na modłę Duchów, czując kwaśne pieczenie w żołądku.

– Kurwa, komu zawdzięczam to, że wszyscy mnie podziwiają? – mruknął. – Na pewno nie sobie.

– He – odpowiedziała Płacząca Skała.

– Nigdy nie dokonałem niczego wybitnego.

– Aha.

Kiedyś, słysząc opowieści o Dabie Słodkim, wkładał kciuki za pas, wysoko unosił podbródek i oszukiwał sam siebie, że tak wyglądało jego życie. Jednakże mijały kolejne ciężkie lata, on stawał się coraz słabszy, a historie coraz bardziej niesamowite, aż w końcu uzmysłowił sobie, że słucha opowieści o człowieku, którego nigdy nie znał, dokonującym czynów, o jakich nawet nie marzył. Czasami powracały wtedy do niego fragmenty wspomnień o szalonych i rozpaczliwych walkach, męczących wędrówkach donikąd lub wyczerpujących zmaganiach z zimnem i głodem, a on kręcił głową i zastanawiał się, w jaki, kurwa, magiczny sposób uciążliwa konieczność zmieniła się w szlachetne przygody.

– Co oni z tego mają? – spytał. – Kilka opowieści, przy których mogą pokiwać głowami. A ja? Na pewno nic, co pozwoliłoby mi na spokojną starość. Tylko zniszczone siodło i worek pełen ich kłamstw, które muszę dźwigać.

– Aha – odrzekła Płacząca Skala, jakby to było nieuniknione.

– To niesprawiedliwe. Po prostu niesprawiedliwe.

– Dlaczego miałyby być sprawiedliwe?

Stęknął, przytakując jej słowom. Już się nie starzał. Był stary. Bolały go nogi, kiedy się budził, i klatka piersiowa, gdy się kładł, a zimno przenikało jego kości. Oglądał się na minione lata i widział, że znacznie przewyższają liczbą te, które są przed nim. Zaczął się zastanawiać, ile jeszcze nocy zdoła spędzić pod bezlitosnym niebem, ale ludzie nadal patrzyli na niego z podziwem, jakby był wielkim Juvensem, potrafił śpiewem uciszyć burzę i powalić Duchy piorunami wystrzeliwanymi z tyłka. Otóż nie potrafił. Czasami po rozmowie z Majudem, gdy już skończył odgrywać rolę wszechwiedzącego i nieustraszonego, tak skutecznie, że zawstydzilby samego Iosiva Lestka, wsiadał na konia i z trzęsącymi się rękami oraz zamglonym wzrokiem mówił Płaczącej Skale: „Straciłem zimną krew”, a ona tylko kiwała głową, jakby to było nieuniknione.

– Kiedyś byłem kimś, prawda? – wyszeptał.

– Wciąż kimś jesteś – odpowiedziała Płacząca Skala.

– Ale kim?

Jeździec wstrzymał konia w odległości kilku kroków, popatrzył surowym wzrokiem na Słodkiego, Płaczącą Skalę oraz ruiny, w których czekali, podejrzliwy jak spłoszony jeleń. Po chwili zeskoczył na ziemię.

– Dab Słodki – odezwał się Duch.

– Locway – odpowiedział Słodki. To na pewno on. Jeden

z nowej frakcji ponuraków, którzy we wszystkim widzą zło. – Dlaczego nie przyjechał Sangeed?

– Możesz rozmawiać ze mną.

– Mogę, ale po co miałbym to robić?

Locway się nastroszył, podrażniony i nadęty, jak to młodzi. Słodki zapewne też taki był w młodości. Prawdopodobnie był jeszcze gorszy, ale wieczne udawanie bardzo go zmęczyło. Machnął pojednawczo ręką.

– Dobrze, dobrze, porozmawiajmy. – Zacerpnął tchu, ale kwaśne pieczenie w żołądku nie ustawało. Planował to od dawna, rozważył wszystkie za i przeciw, po czym wybrał swoją ścieżkę, ale postawienie ostatniego kroku i tak wymagało nie lada wysiłku.

– Więc rozmawiajmy – rzekł Locway.

– Prowadzę Drużynę, jest o dzień szybkiej jazdy na południe. Mają pieniądze.

– Więc my je zabierzemy – odparł Locway.

– Zrobicie to, co wam, kurwa, każę – odburknął Słodki. – Powiedz Sangeedowi, żeby był tam, gdzie się umówiliśmy. Oni już mają zszargane nerwy. Wystarczy, że pojawicie się w bojowym szyku, kilka razy ich okrążycie, głośno pokrzyczycie i wystrzelicie strzałę albo dwie, a chętnie wam zapłacą. Nie komplikujcie niepotrzebnie sytuacji, zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – odrzekł Locway, ale Słodki miał wątpliwości, czy Duch wie, co to znaczy.

Zbliżył się do mężczyzny, a dzięki temu, że stał na zboczu, ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Zatknął kciuki za pas z mieczem i wysunął do przodu zuchwę.

– Żadnego zabijania, rozumiesz? Zróbcie to grzecznie i szybko, a wszyscy na tym zyskają. Połowa dla was, połowa dla

mnie. Przekaż to Sangedowi.

– Tak zrobię – odrzekł Locway, posyłając Słodkiemu wyzywające spojrzenie. Dab miał wielką ochotę przebić go ostrzem i posłać całą umowę do piekła. Ale zwyciężył w nim rozsądek. – Co ty na to? – Locway zwrócił się do Płaczącej Skąły.

Popatrzyła na niego z góry, nie przestając kołysać nogą, a jej włosy poruszały się na wietrze. Zachowywała się tak, jakby nic do niej nie powiedział. Słodki zachichotał.

– Śmiejesz się ze mnie, człowieczku? – odburknął Locway.

– Śmieję się, a ty tutaj jesteś – odparł Słodki. – Sam, kurwa, wyciągnij wnioski. A teraz jedź przekazać Sangedowi, co powiedziałem.

Długo patrzył w ślad za Locwayem, marszcząc czoło, obserwując, jak Duch i jego wierzchowiec zmieniają się w czarną kropkę na tle zachodzącego słońca, i rozmyślając o tym, że tego epizodu raczej zabraknie w legendzie o Dabie Słodkim. Kwaśne pieczenie przybrało na sile. Ale co mógł zrobić? Przecież nie będzie bez końca prowadził Drużyny.

– Muszę jakoś zadbać o swoją przyszłość – mruknął. – Wcale nie kieruje mną chciwość.

Mrużąc oczy, popatrzył na Płaczącą Skąłę, która ponownie związywała włosy poskręcanyimi strzępami flagi. Większość mężczyzn niczego by nie zauważyła, ale on znał ją od tak dawna, że dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy. A może to jego własne odczucia odbijały się w jej obliczu jak w nieruchomej tafli wody?

– Kurwa, nigdy nie byłem bohaterem – burknął. – Niezależnie od tego, co mówią.

Pokiwała głową, jakby to było nieuniknione.

Lud obozował pośród ruin, a wysokie lokum Sangeeda wznosiło się w zgięciu opadłej ręki potężnego posągu. Nikt nie wiedział, kogo przedstawiała rzeźba. Jakiegoś dawnego Boga, który umarł i zagubił się w przeszłości. Locway miał wrażenie, że Lud wkrótce czeka to samo.

W obozowisku panował spokój i składało się ono z niewielu zabudowań. Młodzi wyruszyli na dalekie polowanie. Na stojakach suszyły się chude strzępy mięsa. Czółenka tkaczek koców stukwały i grzechotały, siekając czas na brzydkie chwile. Oto jak nisko upadli ci, którzy kiedyś rządzą równinami. Sprzedawali tkaniny za marne pieniądze i kradli, żeby móc kupować od tych, którzy ich zniszczyli, rzeczy, które powinny należeć do nich.

W zimie przyszły czarne plamy i pośród jęków i potu zabrały połowę dzieci. Spalili swoje domostwa, narysowali na ziemi święte kręgi i wypowiedzieli właściwe słowa, ale bezskutecznie. Świat się zmieniał i dawne rytuały straciły moc. Dzieci i tak umierały, kobiety nadal kopały groby, mężczyźni płakali, a Locway wylewał najbardziej gorzkie łzy.

Wtedy Sangeed położył mu dłoń na ramieniu. „Nie boję się o siebie. Mój czas już minął. Boję się o młodych, którzy muszą przyjść po mnie i zobaczą koniec”. Locway też się bał. Czasami miał wrażenie, że całe jego życie jest strachem. Czy to przystoi wojownikowi?

Zostawił wierzchowca i ruszył przez obóz. Sangeen wyszedł ze swojego domku, podtrzymywany przez dwie silne córki. Kawałek po kawałku tracił ducha. Każdego ranka było go coraz mniej, a potężna sylwetka, przed którą drżał świat, zmieniała się w wyschniętą skorupę.

– Co powiedział Słodki? – wyszeptał.

– Że zbliża się Drużyna i nam zapłaci. Nie ufam mu.

– Jest przyjacielem Ludu. – Jedna z córek Sangeeda otarła mu ślinę z kącika obwisłych ust. – Spotkamy się z nim. – Wódz zaczynał zasypiać.

– Spotykamy się z nim – odrzekł Locway, ale bał się tego, co może się stać.

Bał się o swojego synka, który zaledwie trzy dni wcześniej po raz pierwszy się roześmiał i w ten sposób został zaliczony w poczet Ludu. To powinna być radosna chwila, ale Locway czuł tylko lęk. Czy warto przychodzić na taki świat? W jego młodości stada Ludu były silne i liczne, a teraz padły łupem przybyszów, dobre pastwiska zniszczyły przejeżdżające Drużyny, na zwierzęta polowano bez powodu, a Lud rozproszył się i oddał wstydliwym praktykom. Kiedyś przyszłość wydawała się tożsama z przeszłością. Teraz Locway wiedział, że przeszłość była lepsza, a w przyszłości czekają strach i śmierć.

Jednakże Lud nie zamierzał się poddać bez walki. Dlatego, kiedy pojawiły się gwiazdy, Locway usiadł obok swojej żony i synka, żeby marzyć o lepszym losie, który miał nigdy nie nadejść.

Gniew Boga

– Nie obchodzi mnie, jaki kształt ma ta chmura! – zawołał Leef, odgarniając włosy, które wiatr natychmiast zepchnął mu z powrotem na twarz.

– Jeśli w piekle są chmury – mruknął Temple – to właśnie tak wyglądają.

To była szaro-czarna góra na horyzoncie, mroczna wieża kipiąca w niebiosach, która zmieniała słońce w niewyraźną smugę i plamiła niebo wokół niego na dziwne, wojenne barwy. Za każdym razem, kiedy Temple na nią zerkał, była bliżej. Miała do dyspozycji całą bezkresną, odsłoniętą Daleką Krainę, na którą mogła rzucić cień; czy musiała nadciągnąć akurat nad jego głowę? Niewątpliwie charakteryzował go niezwykle magnetyzm w kwestii wszystkiego, co niebezpieczne.

– Rozpalmy ogniska i wracajmy do wozów! – zarządził, jak gdyby nieco desek i płótna mogło im zapewnić pewną ochronę przed nadchodzącą niebiańską furią.

Wiatr nie ułatwiał im zadania, podobnie jak mżawka, która pojawiła się kilka chwil później, oraz ulewa, na którą też nie musieli długo czekać, chłuszcząca ich ze wszystkich stron jednocześnie, przebijająca się przez obdarty płaszcz Temple'a, zupełnie jakby nie miał na sobie niczego. Przeklinając pod nosem, pochylił się nad niewielką stertą krowich odchodów, które szybko rozplýwały mu się w mokrych dłoniach, wracając do pierwotnej, bardziej wonnej formy, podczas gdy on niezdarnie grzebał w nich tłącym się patykiem.

– To żadna zabawa próbować podpalić mokre gówna, prawda?! – zawołał Leef.

– Wykonywałem ciekawsze zadania! – Chociaż Temple musiał przyznać, że większość z nich była podobnie obrzydliwa i bezcelowa.

Usłyszał odgłos kopyt i zobaczył, jak Płoszka zeskakuje z siodła, przytrzymując kapelusz na głowie. Musiała podejść blisko i przekrzykiwać przybierającą na sile wichurę, a Temple'a chwilowo rozproszyła jej mokra koszula, która przywarła do ciała i rozpięła się na górze, ukazując niewielki opalony trójkąt otoczony fragmentem bledszej skóry, delikatnie lśniące kości obojczyka oraz ledwie widoczny zarys...

– Pytam, gdzie jest stado?! – wrzasnęła mu prosto w twarz.

– Eee... – Temple wskazał kciukiem przez ramię. – Pewnie jakąś milę za nami!

– Zwierzęta zaczęły się niepokoić z powodu burzy. – Leef mrużył oczy pod wpływem wiatru, a może patrzył w taki sposób na Temple'a, trudno było to stwierdzić.

– Buckhorm martwił się, że się rozbiegną. Posłał nas, żebyśmy rozpalili ogniska wokół obozu. – Temple wskazał półksiężyc dziewięciu albo dziesięciu ognisk, które zdołali rozpać, zanim rozpadał się deszcz. – Może przyciągną stado, jeśli zwierzęta wpadną w panikę! – Chociaż wydawało się mało prawdopodobne, żeby ledwie się tłące kupki nawozu mogły zwrócić uwagę stada krów. Wiatr mocno dmuchał, niosąc dym ognisk ponad równiną, miotając długimi źdźbłami trawy, porywając owocostany, które falowały i wirowały w szalonym tańcu. – Gdzie Słodki?

– Nie wiadomo. Będziemy musieli sami sobie z tym poradzić. – Dźwignęła go na nogi za mokry płaszcz. – W taką pogodę nie

rozpalisz już żadnego ogniska! Musimy wracać do wozów.

We trójkę z trudem brnęli przez zacinający deszcz, kąsani i uderzani przez gwałtowne podmuchy. Płoszka ciągnęła swojego zdenerwowanego wierzchowca za uzdę. Nad równiną zapadł dziwny mrok, tak że ledwie widzieli wozy, dopóki do nich nie dotarli. Stały obok siebie, a ludzie rozpaczliwie ciągnęli woły, próbowali spętać wystraszone konie i powiązać gryzący inwentarz, a także walczyli z własnymi płaszczami przeciwdeszczowymi, które wiatr zmienił w trzepoczących wrogów.

Ashjid stał między ludźmi, z gorączkowo wytrzeszczonymi oczami, i wyciągał żyłaste ręce ku niebu, a sługa półgłówek klęczał u jego stóp. Wyglądali jak rzeźba jednego z proroków męczenników.

– Nie ma ucieczki przed niebem! – wrzeszczał Ashjid, wskazując je palcem. – Nie ma ucieczki przed Bogiem! Bóg stale patrzy!

Temple miał wrażenie, że ma do czynienia z najbardziej niebezpiecznym rodzajem kapłana – takim, który naprawdę wierzy.

– Zauważyliście, że Bóg bardzo lubi obserwować, ale niezbyt się sprawdza, kiedy przydałaby się pomoc?! – zawołał.

– Mamy poważniejsze problemy niż ten głupiec i jego sługa idiota – odburknęła Płoszka. – Musimy pozamykać wozy. Trudno powiedzieć, co się może stać, jeśli stado tutaj wpadnie!

Deszcz coraz bardziej przybierał na sile, a Temple był mokry, jakby wpadł do wanny. Po raz pierwszy od kilku tygodni. Widział Corlin, która z zaciśniętymi zębami i włosami przyklejonymi do czaszki zmagiała się z linami, usiłując zamocować powiewające płótno. Obok niej stał Owca, oparty

masywnym ramieniem o wóz, zupełnie jakby mógł go sam przesunąć. Rzeczywiście mu się udało. Po chwili dołączyli do niego dwaj przemoczeni Suljukowie i wspólnie wypchnęli pojazd z błota. Luline Buckhorm sadzała swoje dzieci na wozie, a Temple podszedł, żeby jej pomóc, odgarniając włosy z oczu.

– Żałujcie za grzechy! – wrzeszczał Ashjid. – To nie jest zwykła burza, tylko gniew Boga!

Savian przyciągnął go do siebie za podartą szatę.

– To zwykła burza, ale jeśli będziesz dalej gadał, pokażę ci gniew Boga! – Po tych słowach rzucił starca na ziemię.

– Musimy znaleźć... – Usta Płoszki się poruszały, ale wiatr porwał jej słowa. Pociągnęła Temple'a, który chwiejnie ruszył za nią.

Przeszli zaledwie kilka kroków, ale wydawało mu się, że to kilka mil. Było ciemno jak w nocy, woda ściekała mu po twarzy, a on sam drżał z zimna i strachu, kołysząc bezwładnie zwisającymi rękami. Nagle stracił orientację i obrócił się, zdjęty paniką.

Gdzie są wozy? Gdzie Płoszka?

Niedaleko tliło się jedno z jego ognisk, sypiąc iskrami w ciemność, więc ruszył chwiejnie w jego stronę. Wiatr uderzył w niego jak zatrzaskujące się drzwi, a Temple zaczął brnąć przed siebie, zmagając się z podmuchami jak podczas pijackiej bójki. Nagle wiatr go przechytrzył i uderzył z drugiej strony, przewracając go na trawę. W uszach rozbrzmiewały mu wściekłe wrzaski Ashjida, który wzywał Boga, by ten zniszczył niewiernych.

To trochę niesprawiedliwe. Przecież nie można po prostu postanowić, że będzie się wierzyło, prawda?

Pełzł na czworakach, bojąc się, że jeśli wstanie, wiatr porwie

go pod niebo i rzuci w jakieś odległe miejsce, a jego kości zbieleją na ziemi, na której nigdy nie stanęła stopa człowieka. Błysk rozdarł ciemność, sprawiając, że strumienie deszczu znieruchomiały, obrysowując na biało krawędzie wozów, malując żywy obraz pełen trujących się ludzi, po czym wszystko ponownie zatoneło w wilgotnej ciemności.

Po chwili powietrze rozdarł grzmot, który zmienił kolana Temple'a w galaretę i wstrząsnął ziemią. Tyle że grzmot powinien szybko umilknąć, tymczasem ten dźwięk rozbrzmiewał coraz głośniejsze, a ziemia rzeczywiście się trzęsła i Temple zrozumiał, że słyszy odgłos kopyt. Setki sztuk bydła przerażonego burzą, dziesiątki ton mięsa, to wszystko pędzi ku miejscu, gdzie on bezradnie klęczy. Znów błysnęło i wtedy je zobaczył, jak diabły w ciemności, jedno falujące zwierzę o setkach bodących rogów, zbliżająca się ku niemu wściekła masa kipiąca na równinie.

– O Boże – szepnął, przekonany, że tym razem, chociaż jest śliski od wody, nie wyślizgnie się z lodowatych szponów śmierci.

– O Boże.

– Rusz się, ty pieprzony idioto!

Ktoś go pociągnął, a kolejny błysk ukazał twarz Płoszki, pozbawionej kapelusza, z przylizanymi włosami i wykrzywionymi ustami, pełnej determinacji. Nigdy w życiu nie powitał wyzwiska z taką radością. Ruszył chwiejnie za nią, a wiatr rzucał nimi, jak wezbrana rzeka kawałkami drewna. Deszcz zmienił się w oberwanie chmury, jak podczas legendarnego potopu, gdy Bóg ukarał arogancję starego Sippota, a huk kopyt mieszał się z grzmieniem wściekłego nieba, tworząc przerażający zgiełk.

Podwójna błyskawica oświetliła tył jednego z wozów

z wściekle powiewającym płóciennym dachem, a pod nim twarz Leefa, który z szeroko otwartymi oczami i wyciągniętą ręką wykrzykiwał słowa zachęty unoszone wiatrem.

Nagle złapał Temple'a za rękę i wciągnął go do środka. Kolejny błysk wydobył z ciemności Luline Buckhorm i kilkoro z jej dzieci skulonych między workami i beczkami w towarzystwie dwóch dziwek i jednego z kuzynów Gentiego. Wszyscy byli mokrzy, jakby wybrali się popływać. Płoszka wślizgnęła się do wozu obok Temple'a. Leef pomógł jej, chwytając ją pod pachami, podczas gdy na zewnątrz rozlegał się huk rzeki obmywającej koła. Razem zdołali opuścić trzepoczące płótno.

Temple padł na plecy w mroku, a kolejna osoba oparła się o niego. Słyszał jej oddech. To mogła być Płoszka albo Leef, a może kuzyn Gentiego; było mu to obojętne.

– Na zęby Boga – mruknął – ależ macie tutaj pogodę.

Nikt nie odpowiedział. Nie mieli nic do dodania, a może byli zbyt wycieńczeni albo go nie usłyszeli przez bębnienie deszczu, tętent bydła lub stukot gradu tłukącego o nawoskowane płótno nad ich głową.

Nie było trudno podążać śladami stada – pasem błotnistej, zdeptanej ziemi wijącym się wokół obozu, a następnie rozszerzającym się, tam gdzie bydło się rozproszyło, pozostawiając za sobą pojedyncze martwe osobniki, lśniące w jasnym świetle mokrego poranka.

– Dobrzy ludzie z Fałdy będą musieli nieco dłużej poczekać na słowo Boga – stwierdziła Corlin.

– Na to wygląda. – Płoszka początkowo myślała, że to sterta

wilgotnych szmat. Jednakże, kiedy uklękła obok niej, dostrzegła powiewający róg czarnego materiału z białym haftem i rozpoznała szatę Ashjida. Zdjęła kapelusz. Czowała, że wymaga tego szacunek dla zmarłego. – Niewiele z niego zostało.

– Tak się dzieje, kiedy kilkaset sztuk bydlę traktuje człowieka.

– Przypomnij mi, żebym nigdy tego nie próbowała. – Wstała i ponownie wcisnęła kapelusz na głowę. – Lepiej powiedzmy pozostałym.

Obóz tętnił życiem, ludzie naprawiali to, co popsuła burza, i zbierali rozrzucone przedmioty. Niektóre ze zwierząt mogły się oddalić nawet o kilka mil, więc Leef i kilku innych mężczyzn wybrali się na poszukiwania. Owca, Savian, Majud i Temple naprawiali wóz, który wiatr zepchnął do rowu. Owca i Savian podtrzymywali pojazd, podczas gdy Majud pracował, używając obcęgow i młotka. Temple trzymał gwoździe.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy do niego podeszli.

– Ashjid nie żyje – odparła Płoszka.

– Nie żyje? – mruknął Owca, stawiając wóz i otrzepując dłonie.

– Nie da się ukryć – odrzekła Corlin. – Stado go stratowało.

– Mówiłem mu, żeby nie wychodził – warknął Savian z typową dla siebie troską.

– Kto się będzie teraz za nas modlił? – Majud wyglądał na zmartwionego.

– Potrzebujesz modlitwy? – spytała Płoszka. – Nie uważałam cię za pobożnego.

Kupiec podrapał się po spiczastym podbródku.

– Niebo znajduje się na dnie pełnej sakwy, ale... przyzwyczailem się do porannych modłów.

– Ja też – dodał Buckhorm, który dołączył do nich w towarzystwie dwóch ze swoich licznych synów.

– No proszę – mruknął Temple. – Więc jednak udało mu się nawrócić kilka osób.

– Hej, prawniku! – zawołała Płoszka. – Nie wspominałeś, że kiedyś byłeś kapłanem?

Temple się skrzywił i odpowiedział przyciszonym głosem:

– Owszem, ale ze wszystkich wstydliwych epizodów w moim życiu ten wspominam z największym zażenowaniem.

Płoszka wzruszyła ramionami.

– Jeśli wolisz, zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce za stadem.

Temple przez chwilę się zastanawiał, po czym zwrócił się do Majuda:

– Przez kilka lat otrzymywałem osobiste nauki od Kahdii, Najwyższego Haddisza z Wielkiej Świątyni w Dagosce, znanego na całym świecie oratora i teologa.

– A więc... – Buckhorm zepchnął kapelusz z czoła długim palcem. – Mo... możesz odmówić modlitwę czy nie?

Temple westchnął.

– Tak. Tak, mogę. – Po czym szepnął do Płoszki: – Modlitwa niewierzącego kapłana dla niewierzącego zgromadzenia przedstawicieli różnych narodów, w których nie wierzy się w zupełnie różne rzeczy.

Płoszka wzruszyła ramionami.

– Teraz jesteśmy w Dalekiej Krainie. Ludzie potrzebują czegoś nowego, w co będą mogli wątpić. – Potem odezwała się do pozostałych: – Odmówi najlepszą przekłętą modlitwę, jaką słyszeliście! W końcu nazywa się Temple, czyli świątynia.

Trudno o kogoś bardziej religijnego.

Majud i Buckhorm wymienili sceptyczne spojrzenia.

– Skoro Prorok może spaść z nieba, to pewnie może go też wyrzucić rzeka.

– Obawiam się, że nie możemy liczyć na grad innych możliwości.

– Grad już mieliśmy – zauważył Owca, zerkając na niebo.

– Ile będziecie mi płacić? – spytał Temple.

Majud zmarszczył czoło.

– Ashjid pracował za darmo.

– On dbał tylko o Boga. Ja muszę myśleć także o sobie.

– Nie wspominając o twoich długach – dodała Płoszka.

– No właśnie. – Temple zganił Majuda wzrokiem. – Zresztą, wyraźnie pokazałeś swoje uznanie dla dobroczynności, gdy odmówiłeś pomocy tonącemu.

– Zapewniam cię, że jestem wielkim zwolennikiem dobroczynności, jednak muszę brać pod uwagę uczucia mojego partnera Curnsbicka, który jest wyjątkowo skrupulatny.

– Często nam to powtarzasz.

– Poza tym, wcale wtedy nie tonąłeś, po prostu byłeś mokry.

– Mokrym także można okazywać dobroczynność.

– A ty tego nie zrobiłeś – dodała Płoszka.

Majud pokręcił głową.

– Wy dwoje sprzedalibyście okulary ślepemu.

– Przydałyby mu się nie mniej niż modlitwy złoczyńcom – stwierdził Temple, pobożnie trzepocząc rzęsami.

Kupiec pomasaował się po łysej głowie.

– No dobrze. Ale nie kupuję niczego w ciemno. Odmów modlitwę, a jeśli twoje słowa mnie przekonają, każdego ranka

będę ci wypłacał uczciwą stawkę. Mam nadzieję, że uda mi się to wrzucić w kosza.

– A więc ustalone. – Płoszka nachyliła się w stronę Temple’a.
– Chciałeś przerwy od jeżdżenia za stadem, a to może być stałe zatrudnienie. Okaż trochę wiary, prawniku.

– W porządku. – Temple odpowiedział szeptem. – Ale skoro mam być nowym kapłanem, to chcę dostać buty swojego poprzednika. – Wspiął się na jeden z wozów, a prowizoryczne zgromadzenie z wahaniem ustawiło się w półokrąg. Ku zaskoczeniu Płoszki, pojawiła się niemal połowa Drużyny. Nic tak nie skłania ludzi do modlitwy jak śmierć, a niedawny pokaz gniewu Boga także nie zaszkodził frekwencji. Przyszli wszyscy Suljukowie. Dumna i zaciekawiona Lady Ingelstad. Gentili ze swoją wiekową rodziną. Buckhorm ze swoją, znacznie młodszą. Także większość dziwek i ich alfons, chociaż Płoszka podejrzewała, że ten ostatni raczej pilnował towaru niż poczuł przyływ miłości Wszechmogącego.

Panowała cisza, w której rozlegało się tylko szuranie noża Hedgesa, krojącego zabite bydło na mięso, oraz szuranie łopaty Saviana, który składał do grobu szczątki poprzedniego duchowego doradcy Drużyny. Trup nie miał butów. Temple splótł dłonie i z pokorą zwrócił oblicze ku niebu. Było przepastne i bezchmurne, po niedawnej furii nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

– Boże...

– Blisko, ale niezupełnie! – W tej chwili stary Dab Słodki podjechał do nich, przytrzymując wodze dwoma palcami. – Dzień dobry, moi dzielni kompani!

– Gdzie byłeś, do diabła?! – zawołał Majud.

– Na zwiadach. Przecież za to mi płacicie, czyż nie?

– Za to i za pomoc podczas burzy.

– Nie mogę trzymać was za rękę podczas całej podróży przez Daleką Krainę. Byliśmy na północy. – Wskazał kciukiem przez ramię.

– Na północy – powtórzyła Płacząca Skała, której jakimś cudem udało się w całkowitej ciszy wjechać do obozowiska z przeciwnej strony,

– Podążaliśmy śladami Duchów, żeby uchronić was od nieprzyjemnych niespodzianek.

– Ślady Duchów? – spytał Temple, który wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.

Słodki podniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Jeszcze nie musicie srać w bryczesy. To Daleka Kraina, Duchy zawsze są w pobliżu. Pytanie brzmi, którzy z nich i jak wielu. Obawialiśmy się, że znalezione ślady mogli zostawić ludzie Sangeeda.

– I co? – spytała Corlin.

– Zanim zdążyliśmy ich sobie obejrzeć, rozpętała się burza. Musieliśmy znaleźć schronienie za jedną ze skał i przeczekać.

– Aha – mruknęła Płacząca Skała, najwyraźniej potwierdzając słowa Słodkiego.

– Powinniście być tutaj – odburknął Lord Ingelstad.

– Nawet ja nie mogę być wszędzie, Wasza Lordowska Mość. Ale, proszę, możecie narzekać. Zwiadowcy są przyzwyczajeni do pogardy. Każdy wie lepiej, dopóki nie zostanie zmuszony, by podzielić się swoją wiedzą. Zakładaliśmy, że w Drużynie znajdzie się wystarczająco wiele dzielnych serc i spokojnych głów, żeby sobie poradzić – chociaż Waszej Lordowskiej Mości nie zaliczyłbym do żadnej z tych grup – i co się okazało? – Słodki wysunął dolną wargę i kiwając głową, powiódł wzrokiem po

ociekającym wodą obozowisku i jego przemoczonych mieszkańcach. – Straciliśmy kilka sztuk bydła, ale to była solidna burza. Mogło być znacznie gorzej.

– Mam zejść? – spytał Temple.

– Na pewno nie z mojego powodu. A w ogóle, co tam robisz?

– Miał odmówić poranną modlitwę – wyjaśniła Płoszka.

– Naprawdę? Co się stało z tym drugim pobożnisiem? Jak on się nazywa?

– W nocy stratowało go stado – odpowiedziała Corlin bez zbędnych emocji.

– No tak. – Słodki sięgnął do torby przy siodle i wyjął w połowie pełną butelkę. – W takim razie nie przeszkadzaj sobie, prawniku. – Pociągnął długi łyk.

Temple westchnął i popatrzył na Płoszkę. Kobieta wzruszyła ramionami i bezgłośnie powiedziała „Dalej”. Ponownie westchnął i zwrócił oczy ku niebu.

– Boże – zaczął powtórnie. – Z powodów, które Ty znasz najlepiej, postanowiłeś umieścić na świecie mnóstwo złych ludzi. Takich, którzy chętniej kradną przedmioty niż sami je tworzą. Którzy wolą niszczyć niż hodować. Którzy lubią podpalać różne rzeczy tylko po to, by patrzeć, jak płoną. Wiem coś o tym. Spotkałem kilkoro z nich na swojej drodze. Towarzyszyłem im. – Temple na chwilę opuścił wzrok. – Można powiedzieć, że byłem jednym z nich.

– Dobry jest – szepnął Słodki, podając butelkę Płoszce. Posmakowała trunku, starając się nie pić zbyt wiele.

– Być może ci ludzie przypominają potwory. – Głos Temple’a wznosił się i opadał, dłonie na zmianę wykonywały łagodne i gwałtowne ruchy, a palce wskazywały w sposób przykuwający uwagę. – Ale prawda jest taka, że nie trzeba magii, by skłonić

człowieka do czynienia zła. Wystarczy złe towarzystwo. Złe wybory. Zły los. A także tchórzostwo, które wcale nie musi wykraczać poza normę. – Płoszka podała butelkę Owcy, ale ten był tak skupiony na kazaniu, że nawet tego nie zauważył. Zamiast niego z poczęstunku skorzystała Corlin. – Ale dzisiaj, w poszukiwaniu Twojego błogosławieństwa, zgromadzili się tutaj zupełnie inni ludzie. – Było ich całkiem sporo, a tłum stale się powiększał. – Z pewnością nie są idealni. Każdy ma jakieś wady. Niektórzy są nieskorzy do dobroczynności. – Temple posłał surowe spojrzenie Majudowi. – Inni lubią wypić. – Corlin zamarła z butelką w połowie drogi do ust. – Inni są nieco pazerni. – Jego spojrzenie spoczęło na Płoszce i nawet ona przez chwilę wyglądała na lekko zawstydzoną, co było nie lada wyczynem. – Jednak każda z tych osób przybyła tutaj, żeby coś osiągnąć! – Wśród Drużyny rozległ się zgodny pomruk, zaczęli kiwać głowami. – Każda postanowiła wybrać trudną ścieżkę! Właściwą ścieżkę! – Naprawdę był w tym dobry. Płoszka z trudem mogła uwierzyć, że oto ten sam człowiek, który dziesięć razy dziennie narzekał na pył, przemawia prosto z serca, jakby nosił w nim Boże słowa. – Pokonać trudy pustkowiec, żeby zbudować nowe życie za pomocą własnych rąk, potu i szlachetnej pracy! – Temple szeroko rozłożył ręce, jakby chciał objąć całe zgromadzenie. – To dobrzy ludzie, Boże! Twoje dzieci, ustawione przed Twym obliczem, pełne nadziei i wytrwałe! Chroń je przed burzami! Prowadź poprzez wyzwania tego i każdego dnia!

– Hura! – wykrzyknął półgłówek, podskakując i uderzając pięścią powietrze. Gładko przeniósł wiarę na nowego Proroka i teraz wiwatował, podrygiwał i pokrzykiwał. – Dobrzy ludzie! Dobrzy ludzie! – wrzeszczał dopóki Corlin nie zdołała go

pochwycić i uciszyć.

– Niezła przemowa – rzekł Owca, gdy Temple zeskoczył z wozu. – Na spokoj zmarłych, to była naprawdę niezła przemowa.

– Szczerze mówiąc, w większości zaczerpnięta od kogoś innego.

– Ale z pewnością zabrzmiało przekonująco, jakbyś w to wierzył – stwierdziła Płoszka.

– Po kilku dniach jazdy za stadem można uwierzyć we wszystko – mruknął.

Ludzie się rozpraszali, udając się do swoich porannych zajęć. Kilkoro przed odejściem podziękowało Temple'owi. W końcu został tylko Majud, który mierzył prawnika wzrokiem z zaciśniętymi ustami.

– Przekonany? – spytała Płoszka.

Kupiec sięgnął do swojej sakiewki – to samo w sobie niemal stanowiło cud – i wyjął z niej coś, co wyglądało na dwumarkową monetę.

– Powinieneś być zostać przy modlitwach – powiedział do Temple'a. – Tutaj jest na nie większe zapotrzebowanie niż na prawa. – Po czym wyrzucił w powietrze wirującą monetę lśniąca w blasku porannego słońca.

Temple się wyszczerzył i wyciągnął rękę.

Płoszka pierwsza złapała pieniądz.

– Sto dwanaście – powiedziała.

Praktyczne umysły

– Jesteś mi winien...

– Sto dwie marki – odpowiedział Temple, przewracając się na drugi bok. Już nie spał. Ostatnio zaczynał się rozbudzać przed świtem i był gotowy do działania, gdy tylko otwierał oczy.

– Zgadza się. Wstawaj. Potrzebuję cię.

– Od zawsze tak działałam na kobiety. To prawdziwe przekleństwo.

– Dla nich niewątpliwie.

Temple westchnął i zaczął zwijać koc. Był trochę obolały, ale z czasem to minie. Praca go hartowała. Stał się twardy w miejscach, które dawniej były miękkie. Musiał zacisnąć pas o dwie dziurki. A raczej dwukrotnie przesunąć wygięty gwóźdź, który spełniał rolę klamry na starej uprzęży, która spełniała rolę pasa.

– Nic nie mów. Będę jechał za stadem.

– Nie. Po tym jak poprowadziłeś modlitwę dla Drużyny, Owca postanowił użyczyć ci swojego wierzchowca. Dzisiaj pojedziesz ze mną i Słodkim na polowanie.

– Musisz mnie tak dręczyć każdego ranka? – spytał, wciągając buty. – Co ci się stało, że taka jesteś?

Patrzyła na niego z rękami opartymi na biodrach.

– Słodki znalazł niewielki las i uważa, że może tam być zwierzyna. Jeśli wolisz jechać za stadem, to nie ma sprawy. Ale myślałam, że spodoba ci się taka odmiana. – Odwróciła się

i odeszła.

– Czekał, mówisz poważnie? – Próbował jednocześnie ją gonić i włożyć drugi but.

– Czy igrałabym z twoimi uczuciami?

– Jadę na polowanie? – Sufeen sto razy namawiał go na wspólne polowanie, ale Temple zawsze odpowiadał, że nie wyobraża sobie niczego nudniejszego. Po kilku tygodniach w pyle chętnie zostałby zwierzyną i ze śmiechem popędził przez równiny.

– Uspokój się – odparła Płoszka. – Nikt nie jest na tyle głupi, żeby dać ci do ręki łuk. Ja i Słodki będziemy strzelać, a Płacząca Skala wypłoszy zwierzynę. Ty i Leef pojedziecie za nami, będziecie oprować i kroić upolowane zwierzęta i ładować je na wóz. Możecie też nazbierać drewna, żeby mieć zapas na jedno albo dwa ogniska bez gówna.

– Oprawianie, krojenie i ogniska bez gówna! Tak jest, moja królowo!

Przypomniawszy sobie kilka miesięcy, podczas których oprować było w dusznej mięsnej dzielnicy Dagoski, smród, muchy, straszliwy wysiłek i zgiełk. Wtedy czuł się jak w piekle. Teraz padł na kolana, chwycił Płoszkę za rękę i ucałował ją z wdzięcznością.

Gwałtownie uwolniła dłoń.

– Przestań się upokarzać. – Wciąż było za ciemno, żeby mógł dostrzec jej twarz, ale słysząc jej głos, miał wrażenie, że się uśmiechnęła. Wyjęła zza pasa pochwę z nożem. – Będziesz tego potrzebował.

– Mój własny nóż! I to jaki duży! – Pozostał na kolanach i wyrzucił pięści ku niebu. – Jadę na polowanie!

Jeden z wiekowych kuzynów Gentiliego, który właśnie

człapał opróżnić pęcherz, pokręcił głową i mruknął:

– Kogo to, kurwa, obchodzi?

Gdy pierwsze oznaki świtu zabarwiły niebo i koła wozów zaczęły się obracać, ruszyli w pięcioro przez niską trawę. Leef siedział na pustym wozie przeznaczonym na zdobycz, a Temple próbował przekonać wierzchowca Owcy, że są po tej samej stronie. Wspięli się na krawędź czegoś, co tutaj uchodziło za dolinę, choć wszędzie indziej byłoby tylko rowem. Na dnie zagłębienia rosła kępa niewydarzonych drzewek, zbrązowiałych i połamanych. Słodki siedział zgarbiony w siodle i uważnie przyglądał się tym mało obiecującym lasom. Bóg raczy wiedzieć, w jakim celu.

– Może być? – mruknął do Płaczącej Skały.

– Tak. – Kobieta trąciła swojego starego siwka piętami i ruszyli w dół zbocza.

Chude jelenie, które wyskakiwały spośród drzew prosto pod bełty Słodkiego i strzały Płoszki, bardzo się różniły od dużych, miękkich wołów, które wisiały na hakach w cuchnących magazynach w Dagosce, jednak Temple szybko przypomniał sobie najważniejsze zasady. Po chwili wystarczyło mu kilka szybkich cięć, żeby ściągnąć skórę w całości, podczas gdy Leef przytrzymywał zwierzę za przednie kopyta. Temple z dumą stwierdził, że wciąż potrafi sprawić, aby wnętrzości wysunęły się z brzucha zwierzyny w postaci zwartej masy parującej na porannym chłodzie. Pokazał Leefowi, jak to się robi, i wkrótce obaj byli po łokcie unurzani we krwi i jak mali chłopcy ze śmiechem rzucali w siebie kawałkami flaków.

Szybko oprawili pięć niewielkich, twardych tusz, które teraz lśniły na wozie, obdarte ze skóry i pozbawione głów. Wnętrzości leżały na stercie otoczonej przez muchy,

a czerwono-brązowa płatanina skór przypominała ubrania porzucone przez pełnych entuzjazmu pływaków.

Temple wytarł nóż Płoszki o jedną ze skór i wskazał głową szczyt wzniesienia.

– Lepiej zobaczę, co tak długo zatrzymało tamtych dwoje.

– Ja w tym czasie wypatroszę ostatnie zwierzę. – Leef uśmiechnął się do Temple'a, który wdrapał się na grzbiet wierzchowca Owcy. – Dzięki za wskazówki.

– Nauczanie to najszlachetniejsze z powołań. Tak mi mówił Haddisz Kahdia.

– Kto to jest?

Temple przez chwilę się zastanawiał.

– Dobry człowiek, który oddał za mnie życie.

– To mi wygląda na główniany interes – odparł Leef.

Temple parsknął.

– Nawet ja tak uważam. Wrócę, zanim się obejrzysz.

Ruszył w górę doliny, podążając za linią drzew, ciesząc się szybkością, jaką zapewniał mu koń Owcy, i gratulując sobie, że wreszcie osiągnął jakiś postęp w relacji z młodzieńcem. Po stu krokach zobaczył Słodkiego i Płoszkę, którzy obserwowali las z siodeł.

– Nie potraficie zabijać szybciej, lenie?! – zawołał.

– Już skończyliście? – spytała Płoszka.

– Wszystko opravione, wypatroszone i przygotowane do ugotowania.

– A niech mnie – stęknął Słodki, który trzymał na udzie kuszę o rękojeści z kości słoniowej. – Lepiej, żeby ktoś, kto się na tym zna, rzucił okiem na dzieło naszego prawnika. Musimy się upewnić, że przez pomyłkę nie oprawił Leefa.

Płoszka zawróciła konia i pojechali razem w stronę wozu.

– Nieźle – powiedziała, z uznaniem kiwając głową. Chyba po raz pierwszy go pochwaliła, a Temple zdał sobie sprawę, że mu się to podoba. – Może jeszcze zrobimy z ciebie człowieka równin.

– Albo ja zmienię was w marudnych mieszczuchów.

– Nie jesteś na to dostatecznie twardy.

– Nie da się ukryć, że jestem raczej miękkki.

– No nie wiem. – Zerkała na niego kątem oka, z uznaniem unosząc brew. – Zaczynam myśleć, że pod warstwą papieru kryje się jakiś metal.

Postukał się pięścią w pierś.

– Może cyna.

– Cóż, nie da się z niej wykuć miecza, ale można zrobić solidne wiadro.

– Albo wannę.

Zamknęła oczy.

– Na spokój zmarłych, wanna.

– Albo dach.

– Na spokój zmarłych, dach. – Wspięli się na szczyt zbocza i spojrzeli w dół w stronę drzew. – Pamiętasz, jakie to uczucie mieć dach...

Zobaczyli wóz i stertę skór, a obok nich leżącego Leefa. Temple rozpoznał go po butach. Nie widział reszty ciała, ponieważ nad chłopakiem klęczały dwie postacie. W pierwszej chwili Temple pomyślał, że Leef się przewrócił, a pozostała dwójka pomaga mu wstać.

Potem jeden z przybyszów się odwrócił. Był ubrany w tuzin pozszywanych kawałków różnych skór i trzymał czerwony nóż.

Wysunął z szeroko otwartych ust sztywny język i wydał z siebie piekielny wrzask, wysoki i śmiały jak wycie wilka do księżyca, po czym popędził w górę zbocza w ich stronę.

Temple mógł tylko siedzieć z rozdziawionymi ustami, gdy Duch coraz bardziej się zbliżał. Gdy już wyraźnie widział jego wymalowaną na czerwono twarz i wytrzeszczone oczy, nagle usłyszał tuż obok szum ciężki łuku Płoszki, a strzała zatopiła się w obnażonej piersi napastnika, zatrzymując go w miejscu niczym siarczasty policzek.

Temple przeniósł wzrok na drugiego Ducha, ubranego w płaszcz z trawy i kości. Mężczyzna właśnie zdejmował z pleców własny łuk i sięgał po strzałę do skórzanego kołczanu przywiązanego do gołej nogi. Płoszka zjechała ze zbocza, wydając z siebie krzyk równie nie ludzki jak jej poprzedni przeciwnik, wyszarpując z pochwy krótki miecz.

Duch uwolnił strzałę, po czym obrócił się i usiadł. Temple zauważył, że Słodki opuszcza kuszę.

– Pojawi się ich więcej! – krzyknął, zaczepiając haczyk na końcu kuszy o but i naciągając ciężką jedną ręką. Ruchem drugiej dłoni zawrócił wierzchowca i uważnie przyglądał się linii drzew.

Duch usiłował podnieść strzałę, ale ją upuścił. Chciał sięgnąć po kolejną, lecz nie mógł wyprostować ręki, w której tkwił bełt. Wrzasnął coś do nadjeżdżającej Płoszki, która uderzyła go w twarz mieczem, powalając na ziemię.

Temple popędził w ślad za nią i ześlizgnął się z siodła obok Leefa. Chłopak wierzgał jedną nogą, jakby próbował wstać. Płoszka pochyliła się nad nim, a on dotknął jej dłoni i otworzył usta, ale wydobyła się z nich tylko krew. Ciekła z ust, nosa, poszarpanych resztek ucha, ran po nożu na rękach oraz dziury

po strzale w piersi. Temple patrzył na Leefa, a jego odrętwiałe dłonie drżały z bezsilności.

– Wsadź go na konia! – warknęła Płoszka.

Temple ocknął się i chwycił chłopaka pod pachami. Płacząca Skała pojawiła się znikąd i okładała pałką Ducha, którego postrzeliła Płoszka. Temple słyszał chrzęst uderzeń, gdy wlekł Leefa w stronę swojego wierzchowca. Potknął się i przewrócił, ale zdołał wstać i ruszyć dalej.

– Zostaw go! – zawołał Słodki. – Już po nim, nawet głupiec to widzi!

Temple go zignorował, z zaciśniętymi zębami próbując wciągnąć Leefa na grzbiet konia za pas i zakrwawioną koszulę. Jak na takiego chudzielca chłopak był wyjątkowo ciężki.

– Nie zostawię go – syknął Temple. – Nie zostawię go... nie zostawię...

Na świecie nie było niczego poza nim, Leefem i wierzchowcem, obolałymi mięśniami, ciężarem ciała chłopca i jego bezmyślnym, bulgoczącym jękiem. Temple słyszał oddalający się tętent kopyt konia Słodkiego. Słyszał, jak ktoś krzyczy w nieznanym języku, głosem, który nie przypominał ludzkiej mowy. Leef zakołysał się i ześlizgnął z grzbietu konia, który zgubił krok. Nagle Płoszka pojawiła się tuż obok i warcząc z wysiłku, strachu oraz wściekłości pomogła mu wciągnąć chłopaka na siodło. Złamane czarne drzewce strzały sterczało w niebo.

Temple przez chwilę wpatrywał się w swoje zakrwawione dłonie.

– Jedź! – wrzasnęła Płoszka. – Jedź, ty pieprzony idioto!

Wgramolił się na konia, niezdarnie chwycił wodze lepkimi palcami i zaczął okładać wierzchowca po bokach piętami.

Niemal spadł, kiedy jego koń – koń Owcy – zbudził się do życia. Popędził, a wiatr chłostał mu twarz, porywał niewyraźne krzyki wydobywające się z ust i ścierał łzy z oczu. Płaski horyzont trząsał się i drżał, Leef podskakiwał na siodle, a Słodki i Płacząca Skala zmienili się w dwie tańczące kropki na tle nieba. Płoszka jechała przed nim, nisko pochylona, a ogon jej wierzchowca powiewał w powietrzu. Obejrzała się gwałtownie, a wtedy dostrzegł na jej twarzy lęk. Nie chciał patrzeć, ale musiał.

Deptali mu po piętach jak posłańcy z piekła rodem. Pomalowane twarze, pomalowane konie, wysmarowani jak dzieci i przystrojeni w futra, pióra, kości i zęby. Jeden miał na szyi wyschniętą i skurczoną ludzką dłoń, drugi nosił nakrycie głowy z byczych rogów, a kolejny jako napierśnika używał dużej miedzianej tacy, która lśniła i połyskiwała w popołudniowym słońcu. Mieli rozwiane czerwono-żółte włosy oraz broń pełną haków, dziobów i nierównych krawędzi. Wszyscy wściekle wrzeszczeli i koniecznie chcieli go zamordować w jakiś straszliwy sposób, a Temple był przerażony do szpiku kości.

– O Boże o Boże o kurwa o Boże...

Jego bezmyślne przekleństwa rozbrzmiewały rytmicznie jak uderzenia końskich kopyt. Nagle obok niego przemknęła strzała i wbiła się w trawę. Płoszka krzyknęła coś przez ramię, ale wiatr porwał jej słowa. Temple kurczowo przytrzymał wodze oraz koszulę Leefa, oddech rzeźił mu w piersi, a ramiona swędziały. Wiedział, że jest trupem, a nawet gorzej niż trupem, i nie mógł się opędzić od myśli, że powinien był pojechać za stadem. Zostać na wzgórzu nad Averstock. Wystąpić naprzód, gdy Gurkowie przyszli po Kahdię, zamiast stać razem z innymi w milczącym, bezradnym szeregu wstydu.

Nagle zobaczył jakiś ruch przed sobą i zrozumiał, że to

Drużyna. Poznał kształty wozów, dostrzegł bydło na płaskim horyzoncie oraz jeźdźców, którzy wyjechali im naprzeciw. Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że Duchy zostają w tyle i zawracają. Usłyszał ich wyjące nawoływania, zobaczył, jak strzała wystrzelona przez jednego z nich upada z dala od celu, i załkał z ulgą. Pozostało mu na tyle zdrowego rozsądku, żeby wyhamować, gdy zbliżył się do Drużyny, a jego koń – koń Owcy – drżał niemal tak bardzo jak jego jeździec.

Wśród wozów zapanował chaos, ludzie wpadli w panikę, jakby pojawiło się nie sześciu, a sześciuset napastników. Luline Buckhorm nawoływała zagubione dziecko, Gentili zaplątał się w zardzewiały napierśnik, jeszcze starszy niż on sam, kilka sztuk bydła uwolniło się i pędziło przez tłum, a Majud stał na siedzeniu swojego wozu i wzywał do zachowania spokoju, chociaż nikt go nie słyszał.

– Co się stało?! – ryknął Owca.

Temple mógł tylko pokręcić głową. Nie był w stanie mówić. Zmusił się do rozwarcia obolałej dłoni, którą zaciskał na koszuli Leefa, gdy Owca zdjął chłopaka z siodła i położył go na ziemi.

– Gdzie Corlin?!

Płoszka krzyczała, a Temple ześlizgnął się z konia, czując, że nogi ma odrętwiałe jak dwa suche patyki. Owca rozcinał koszulę Leefa, drąc tkaninę ostrzem, a Temple pochylił się i starł krew z drzewca strzały, ale zaraz pojawiła się nowa. Ciało Leefa było od niej śliskie.

– Daj mi nóż. – Temple pstryknął palcami, a Owca wepchnął mu nóż do ręki.

Prawnik patrzył na strzałę i zastanawiał się, co robić, co robić, wyciągnąć ją, odciąć czy przepchnąć. Próbował sobie przypomnieć, co Kahdia mówił o ranach od strzał, o tym, co daje

największą szansę przeżycia, ale nie mógł się na nic zdecydować, a Leef zezował na niego z szeroko otwartymi ustami i włosami posklejanymi od krwi.

Płoszka przysiadła tuż obok.

– Leef? Leef?

Owca delikatnie ułożył chłopaka płasko na ziemi, a Temple wbił nóż w ziemię i zakołysał się na piętach. Nagle w dziwnym przypływie wspomnień uświadomił sobie wszystko, co wiedział o młodzieńcu. Że ten zakochał się w Płoszce, że ostatnio zaczął się coraz lepiej dogadywać z Temple'em, że stracił rodziców, że próbował odnaleźć brata porwanego przez bandytów, że dobrze sobie radził z wołami i nie bał się ciężkiej pracy... ale to wszystko zostało ucięte w połowie i już nigdy nie zostanie doprowadzone do końca. Wszystkie marzenia, nadzieje i lęki zakończone na zdeptanej trawie, na zawsze wycięte ze świata.

Piekielna sprawa.

Savian ryczał, kaszłał i wodził wokoło kuszą, próbując zorganizować wozy w obronną strukturę ze stertami beczek i kufrów oraz zwojami lin, za którymi można się było schować, zapędzić bydło do środka fortu oraz ukryć kobiety i dzieci w bezpiecznym miejscu, chociaż Płoszka nie miała pojęcia, gdzie ono się znajduje. Ludzie krążyli bezładnie, jakby nigdy wcześniej nie brali pod uwagę ataku Duchów, pędząc, by zrobić to, co im kazano, albo coś wręcz przeciwnego, szarpiąc uparte zwierzęta, szukając schowanej broni, ratując swój sprzęt lub dzieci albo jedynie wytrzeszczając oczy i kurczowo obejmując się rękami, jakby już ktoś przebił ich ostrzem albo obciął im uszy.

Potężny wóz Iosiva Lestka wjechał do rowu i dwaj mężczyźni starali się go rozbujać i uwolnić.

– Zostawcie go! – zawołał Savian. – Aktorstwo nie pomoże nam się z tego wykaraskać!

A oni porzucili kolorowy wóz, by informował puste równiny o najlepszej teatralnej rozrywce.

Płoszka przepchnęła się przez rozszalały tłum do wozu Majuda. Na południu, po drugiej stronie falującej i zmieniającej kształty trawy trójka Duchów na koniach zataczała kręgi, a jeden potrzasał w stronę nieba rogatą lancą. Płoszka miała wrażenie, że słyszy ich wysoki i radosny śpiew. Słodki patrzył z naładowaną kuszą opartą o udo, masując zarośniętą szczęką. Wydawało się, że wokół niego znajduje się niewielka oaza spokoju, i Płoszka z wdzięcznością w niej przysiadła.

– Co z chłopakiem?

– Nie żyje – odpowiedziała Płoszka, czując się okropnie, że tylko tyle ma do powiedzenia.

– Psiakrew. – Słodki skrzywił się z goryczą, zamknął oczy, po czym przycisnął powieki palcem wskazującym i kciukiem. – Psiakrew. – Potem popatrzył w stronę Duchów na horyzoncie i pokręcił głową. – Lepiej skupmy się na tym, żeby nikogo więcej spośród nas nie spotkał taki los.

Savian pokrzykiwał łamiącym się głosem, a wszędzie wokół ludzie gramolili się na wozy, trzymając łuki w niewprawionych dłoniach. Nowa broń jeszcze nigdy nie była używana z rozmysłem, a stara już dawno się do tego nie nadawała.

– O czym oni śpiewają? – spytała Płoszka, wyciągając strzałę z kołczana i powoli ją obracając, dotykając szorstkiego drzewca, jakby nigdy w życiu nie trzymała w palcach drewna.

Słodki parsknął.

– O naszej brutalnej śmierci. Uważają, że jest blisko.

– A jest? – spytała wbrew sobie.

– To zależy. – Słodki poruszył zuchwą, po czym powoli i spokojnie splunął. – Od tego, czy ta trójka należy do głównej grupy wojowników Sangeeda, czy raczej podzielił swoich ludzi na kilka mniejszych oddziałów.

– A jak sądzisz?

– Policzymy ich, kiedy nadjadą, i jeśli będzie ich kilka tuzinów, to będziemy mieli szansę, a jeśli kilka setek, to najdą nas, kurwa, poważne wątpliwości.

Buckhorm wspiął się na wóz, ubrany w sięgającą kolan kolczugę, która nie tylko była za duża, ale zupełnie do niego nie pasowała.

– Dlaczego beczynnienie czekamy? – syknął. Duchy chwilowo wyleczyły go z jąkania. – Dlaczego nie ruszymy z miejsca?

Słodki powoli zwrócił na niego spojrzenie szarych oczu.

– A niby dokąd? W pobliżu nie ma żadnych zamków. – Popatrzył na puste równiny i na trójkę Duchów krążących na skraju płytkiej doliny. Ich cichy śpiew niósł się ponad trawą. – Wszystko jedno, na którym kawałku pustkowia się zginie.

– Lepiej poświęćmy czas na przygotowanie do tego, co ma nadejść, niż na ucieczkę. – Owca stanął na sąsiednim wozie. W ciągu ostatnich kilku tygodni zgromadził liczną kolekcję noży i teraz kolejno je sprawdzał, spokojny, jakby szykował się do zaorania pola w gospodarstwie, a nie do walki o życie w dzikiej krainie bezprawia.

Płoszka uznała, że jest aż nadto spokojny. Zupełnie jakby od dawna marzył o wyjściu na to pole, ale wcześniej nie miał ku temu okazji.

– Kim ty jesteś? – spytała.

Na chwilę podniósł wzrok znad ostrzy.

– Znasz mnie.

– Znam potężnego mięczaka z Północy, który bał się uderzyć batem muła. Znam zebraka, który pewnej nocy pojawił się w naszym gospodarstwie, żeby pracować w zamian za skórki chleba. Znam człowieka, który przytulał mojego braciszka i śpiewał mu, gdy ten miał gorączkę. Ty nim nie jesteś.

– Jestem. – Przekroczył szparę pomiędzy wozami i zamknął Płoszkę w miażdżącym uścisku, po czym wyszeptał jej do ucha: – Ale jestem też kimś więcej. Nie wchodź mi w drogę, Płoszko. – Potem zeskoczył z wozu. – Zaopiekuj się nią! – zawołał do Słodkiego.

– Żartujesz? – Stary zwiadowca był zajęty patrzeniem wzdłuż kuszy. – Mam nadzieję, że to ona mnie ocali!

Wtedy Płacząca Skala piskliwie krzyknęła i wskazała palcem na południe, gdzie wojownicy przelali się przez grzbiet wzniesienia niczym postacie z koszmaru, relikty dzikiej przeszłości, najeżone setką poszarpanych kradzionych ostrzy, wyszczerbionych kamiennych toporków i lśniących ostrych strzał, a razem z nimi powróciły wszystkie wyśmiewane opowieści o masakrach, które odebrały Płoszce oddech.

– Wszyscy stracimy uszy! – zajęczał ktoś.

– I tak ich nie używacie. – Słodki opuścił kuszę z ponurym uśmiechem. – To mi wygląda na kilka tuzinów.

Płoszka przyklęknęła, próbując policzyć napastników, ale niektóre konie miały wymalowane na bokach kolejne konie, inne nie miały jeźdźców albo niosły dwie osoby bądź strachy na wróble udające ludzi, a nad częścią powiewały płócienne płachty rozciągnięte na kijach, które upodabniały je do olbrzymów rozdętych niczym ciała topielców, rozmazujących

się i falujących przed jej łzawiącymi oczami, bezmyślnych, śmiercionośnych i niezgłębionych jak zaraza.

Płoszka miała wrażenie, że Temple się modli. Żałowała, że sama tego nie potrafi.

– Spokojnie! – wołał Savian. – Spokojnie!

Płoszka nie wiedziała, o co mu chodzi. Jeden z Duchów nosił kaptur wysadzany kawałkami tłuczonego szkła, które lśniły jak klejnoty, a jego usta rozciągały się w zaślinionym wrzasku.

– Zostańcie, a przeżyjecie! Ucieknijcie, a zginiecie! – krzyczał dalej Savian.

Płoszka zawsze miała talent do ucieczki i nie grzeszyła odwagą, a teraz całe ciało podpowiadało jej, że to idealna pora, żeby wziąć nogi za pas.

– Pod tą pieprzoną farbą to są zwyczajni ludzie!

Kolejny z Duchów stanął w strzemionach i potrząsnął lancą przystrojoną piórami. Był nagi, nie licząc farby i naszyjnika z uszu podskakującego i kołyszącego się wokół jego szyi.

– Stawajcie razem albo gińcie samotnie! – ryknął Savian, a jedna z dziwek, której imię Płoszka zapomniała, stanęła z łukiem w rękach i żółtymi włosami rozwianymi na wietrze, po czym skinęła głową do Płoszki, a ta jej odpowiedziała. Złotko, właśnie tak miała na imię. Stawajcie razem. Właśnie dlatego nazywali się Drużyną, prawda?

Zabrzęczała pierwsza cięciwa, zwolniona ze strachem i na oślep, a strzała spadła znacznie za blisko. Potem zaczęli strzelać pozostali, wśród nich Płoszka, nie kłopotując się wybieraniem konkretnego celu, gdyż było ich mnóstwo. Strzały opadały na falującą trawę oraz kłębiące się ciała. Kilka postaci spadło z sodeł, a kilka koni gwałtownie skręciło. Duch w kapturze osunął się do tyłu, gdy bełt z kuszy Saviana przebił jego

pomalowaną pierś, ale pozostali tłumnie opadli wątki krąg wozów i połknęli go w całości, obracając pojazdy, cofając je i wyrzucając w powietrze chmurę pyłu, aż w końcu razem ze swoimi pomalowanymi wierzchowcami upodobnili się do widm, a ich bezcielesne wrzaski, piski i zwierzęce wycia brzmiały zdradziecko jak głosy w głowie szaleńca.

Strzały ze świstem i stukiem spadały wokół Płoszki. Jedna odbiła się od skrzyni, inna utkwiała w worku tuż obok niej, trzecia wbiła się, drżąc, w siedzenie wozu. Płoszka założyła nową strzałę na cięciwę i strzeliła, a potem ponownie i jeszcze raz. Strzelała na oślep, w kogokolwiek, krzycząc ze strachu i wściekłości, zgrzytając zębami, słysząc radosne zawrozczenie i własne wypluwane przekleństwa. Zakopany w błocie wóz Lestka przypominał czerwony garb, a kłębiące się na nim postacie siekły go toporkami i dźgały włóczniami, jak myśliwi, którzy powalili potężną zwierzynę.

Przebity strzałami kucyk zatoczył się w bok i ugryzł swojego sąsiada, a gdy Płoszka na niego patrzyła, jakaś obszarpana postać przeskoczyła nad burtą wozu. Kobieta zobaczyła wytrzeszczone oko na czerwonej twarzy również pomalowanej na wzór oka i chwyciła napastnika, zaczepiając palcem o jego usta, szarpiąc policzek, aż razem spadli z wozu i potoczyli się po piasku. Silne dłonie objęły jej głowę, uniosły ją i próbowały skrócić, a Płoszka, wściekle warcząc, usiłowała zaleźć swój nóż. Nagle w jej umyśle rozbłysła eksplozja światła, świat dziwnie ucichł i wypełniły go tylko przesuujące się stopy oraz duszący pył. Po chwili Płoszka poczuła palący, rozdzierający ból pod uchem i zaczęła wrzeszczeć oraz miotać się na oślep, ale nie była w stanie się uwolnić.

Potem przygniatający ją ciężar zniknął i zobaczyła, jak

Temple siłuje się z Duchem, próbując mu wyrwać czerwony nóż. Wstała, powoli jak rosnąca kukurydza, dobyła miecza, po czym ruszyła do przodu poprzez kołyszący się świat i przebiła Ducha, by po chwili zorientować się, że omyłkowo dźgnęła Temple'a, który był splątany ze swoim przeciwnikiem. Chwyciła Ducha za gardło, przyciągnęła go do siebie i wbiła mu miecz w plecy, po czym zaczęła poruszać ostrzem, szorując o kość, dopóki nie wcisnęła go aż po rękojeść, a jej dłoń nie pokryła się śliską, gorącą krwią.

Kolejne strzały, delikatne jak motyle, spadły na stado, które parskaniem oznajmiło swoje niezadowolenie. Część zwierząt była zakrwawiona, a z ich grzbietów sterczały pierzyska. Bydło przepychało się z rozdrażnieniem, a jeden ze starych kuzynów Gentiliego klęczał na ziemi z dwiema strzałami w boku, w tym jedną złamaną.

– Tam! Tam!

Płoszka zobaczyła, że spod wozu wyslizguje się czyjaś łapczywa dłoń, i nadepnęła na nią butem, prawie się przy tym przewracając. Po chwili pojawił się obok niej jeden z poszukiwaczy i wbił w dłoń ostrze łopaty, a kilka dziwek zaczęło dźgać kogoś włóczniami, wrzeszcząc, jakby wyganiały szczura.

Przez szparę pomiędzy wozami Płoszka zobaczyła hałaśliwy tłum nadciągających pieszych Duchów. Usłyszała, jak Temple szepcze coś w swoim języku, a jedna z kobiet jęczy – a może to był jej własny głos? Straciła animusz i niepewnie cofnęła się o krok, jakby ten dodatkowy kawałek błotnistej terenu mógł ją osłonić. Myśli o walce uciekły daleko w przeszłość, gdy pojawił się pierwszy Duch z olbrzymim starym mieczem brązowym od rdzy, trzymanym w pomalowanych zaciśniętych dłoniach,

i ludzką czaszką zasłaniającą twarz jak maska.

Nagle z rykiem przypominającym śmiech wpadł między nich Owca. Jego wykrzywiona twarz była kpiną z człowieka, którego znała, i wyglądała straszniej od wszystkich masek Duchów. Mignął jego miecz i twarz osłonięta czaszką rozpadła się wśród tryskającej czerni, a ciało upadło bezwładnie jak pusty worek. Savian stał na wozie i dźgał włócznią rozwrzeszczany tłum wrogów, Płacząca Skala tłukła ich pałą, a pozostali siekli ostrzami i miotali przekleństwa we wszystkich językach znanych w Kręgu Świata, zmuszając Duchy do odwrotu. Owca ponownie się zamachnął i kolejny obszarpany przeciwnik zgiął się wpół. Olbrzym kopnięciem odrzucił trupa, po czym rozplątał komuś plecy, wyrzucając w powietrze krew i białe drzazgi. Potem podniósł wijącego się Ducha i uderzył jego głową o krawędź beczki. Płoszka wiedziała, że powinna mu pomóc, ale tylko siedziała na kole wozu i wymiotowała, a Temple na nią patrzył, leżąc na boku i przyciskając dłoń do tyłka, gdzie go dźgnęła.

Zobaczyła, że Corlin zszywa rozcięcie na nodze Majuda, trzymając nitkę w zębach, spokojna jak zawsze, chociaż jej rękawy aż po łokcie były zbryzgane krwią z ran, które opatrzyła. Savian chrapliwym głosem nakazywał zbliżyć do siebie wozy, załatać lukę, wyrzucić ciała, pokazać, że są gotowi do dalszej walki. Płoszka wcale nie czuła się gotowa. Siedziała z rękami na kolanach i krwią ściekającą po policzku oraz sklejącą włosy, próbując zwalczyć zawroty głowy, wbijając wzrok w Ducha, którego zabiła.

Byli zwykłymi ludźmi, tak jak mówił Savian. Kiedy przyjrzała się dokładniej, dostrzegła, że jej ofiara nie była starsza od Leefa. Od Leefa w chwili jego śmierci. Zginęło pięcioro członków

Drużyny. Kuzyna Gentilego przebiły strzały, dwoje dzieci Buckhorma znaleziono pod wozem z obciętymi uszami, a jedną z dziwek gdzieś zawleczono i nikt nie wiedział, jak ani kiedy to się stało.

Niewielu wędrowców nie odniosło żadnych obrażeń, a wszyscy do końca życia mieli się wzdrygać, słysząc wycie wilka. Płoszka nie mogła powstrzymać drżenia dłoni, a ucho piekło ją w miejscu, w którym Duch zaczął je odcinać, chcąc uczynić z niego swoje trofeum. Nie była pewna, czy tylko ją skaleczył, czy może ucho wisi na włosku, ale nie miała odwagi sprawdzić.

Jednak musiała wstać. Pomyślała o Pestce i Ro zagubionych na dalekim pustkowiu i to dodało jej sił, tak że zacisnęła zęby i zmusiła swoje nogi do ruchu. Powarkując pod nosem, wgramoliła się na wóz Majuda.

Niemal się spodziewała, że Duchy znikną, rozplyną się jak dym na wietrze, ale wciąż tam byli, tak samo realni, choć tym razem nawet Płoszka z trudem w to wierzyła. Kłębili się na trawiastej równinie, pogrążeni w chaosie albo wściekłości, śpiewając i zawodząc oraz błyskając stalą.

– Więc udało ci się zachować uszy? – spytał Słodki, po czym zmarszczył czoło, przyciskając kciukiem skaleczenie, aż się skrzywiła. – Ledwie.

– Oni wrócą – wyszeptała, zmuszając się do patrzenia na koszmarne sylwetki.

– Może tak, może nie. Tylko nas sprawdzają. Zastanawiają się, czy chcą nas wystawić na poważną próbę.

Savian wspiął się na wóz obok niego; jego twarz była jeszcze bardziej napięta, a oczy bardziej zmrużone niż zazwyczaj.

– Na ich miejscu bym nie odpuścił, dopóki wszyscy nie

wyzioniemy ducha.

Słodki wpatrywał się w równinę. Wydawało się, że jest do tego stworzony.

– Na szczęście dla nas, nie jesteś na ich miejscu. Być może Duchy wyglądają na dzikusów, ale mają praktyczne umysły. Szybko wpadają w gniew, ale się nie obrażają. Jeśli okaże się, że trudno nas zabić, zapewne zechcą porozmawiać. Wynegocjować tyle mięsa i pieniędzy, ile im się uda, a następnie poszukać łatwiejszej zdobyczy.

– Możemy się wykupić? – spytała Płoszka.

– Trudno o sytuację, z której nie sposób się wykupić, jeśli ma się odpowiednio dużo pieniędzy – odparł Słodki, po czym dodał szeptem: – Mam nadzieję.

– A kiedy już im zapłacimy, co ich powstrzyma przed pojechaniem naszym tropem i pozabijaniem nas w dogodnej chwili?

Słodki wzruszył ramionami.

– Jeśli pragniesz przewidywalnych sytuacji, trzeba było zostać w Stariklandzie. Teraz jesteśmy w Dalekiej Krainie.

W tej samej chwili naznaczone śladami toporków drzwi wozu Lestka otworzyły się z hukiem i wyszedł przez nie słynny aktor we własnej osobie, ubrany w nocną koszulę, z wystraszonymi zaropiałymi oczami i rozczochraną siwą czupryną.

– Przekleci krytycy! – zagrzmiał, potrząsając pustym wiadrem w stronę Duchów majaczących w oddali.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł Temple do syna Buckhorma.

Jego drugiego syna, nie jednego z tych, którzy zginęli. Oczywiście, że nie, ponieważ w ich wypadku nic nie będzie dobrze, w końcu już wszystko stracili. Jednak ta myśl nie mogła pocieszyć ich brata, więc Temple powtórzył:

– Wszystko będzie dobrze.

Próbował wypowiedzieć te słowa jak najbardziej szczerze, chociaż pod wpływem bolesnego bębnienia serca, a także rany na pośladku drżał mu głos. Ranny pośladek, to brzmi zabawnie. Ale wcale takie nie jest.

– Naprawdę będzie dobrze – powiedział, jakby ten dodatkowy nacisk mógł zmienić jego słowa w fakt. Przypomniawsobie, że Kahdia powiedział mu to samo, kiedy rozpoczęło się oblężenie, a pożary trawiły Dagoskę i stało się boleśnie jasne, że nic nie będzie dobrze. Wtedy pomogła mu świadomość, że ktoś jest na tyle silny, by tak kłamać. Dlatego Temple ścisnął drugiego syna Buckhorma za ramię i powtórzył: – Wszystko... będzie... dobrze. – Tym razem jego głos zabrzmiał pewniej, chłopiec pokiwał głową, a Temple sam poczuł się wzmocniony tym, że potrafi kogoś podnieść na duchu. Zastanawiał się, na jak długo wystarczy mu tej siły, gdy wrócą Duchy.

Buckhorm wbił łopatę w ziemię obok grobów. Nadal miał na sobie starą kolczugę, wciąż źle zapiętą, tak że skręcała się na przedzie. Otarł grzbietem dłoni spocone czoło, pozostawiając na nim brudną smugę.

– To by dla nas wiele znaczyło, gdybyś coś po... powiedział.

Temple zamrugał.

– Naprawdę? – Być może wartościowe słowa mogą paść nawet z bezwartościowych ust.

Większość członków drużyny była zajęta umacnianiem struktur obronnych albo wpatrywaniem się w horyzont

i jednoczesnym obgryzaniem paznokci do krwi bądź rozpaczaniem nad perspektywą własnej śmierci, niż troszczeniem się o kogokolwiek innego. Wokół pięciu kopczyków stali Buckhorm, jego oszołomiona i mrugająca żona oraz pozostała ósemka ich dzieci, na których twarzach malowały się rozmaite emocje, od przerażenia po nieświadomą wesołość, a także dwie dziwki i ich alfons, którego nikt nie widział podczas ataku, ale który pojawił się w odpowiedniej chwili, by pomóc kopać groby, Gentili i jego dwaj kuzyni oraz Płoszka, która wpatrywała się z surową miną w stertę ziemi na mogile Leefa, kurczowo ściskając trzonek łopaty. Temple nagle zwrócił uwagę na jej drobne dłonie i poczuł dziwny przypływ współczucia. A może po prostu było mu żal samego siebie. Zapewne tak.

– Boże – wychrypiał, po czym musiał odkaszlnąć. – Czasami... wydaje nam się... że Ciebie nie ma. – Przeważnie wydawało się tak Temple'owi, który widział tyle krwi i zniszczenia, że nie dostrzegał miejsca dla Boga. – Ale wiem, że istniejesz – skłamał. Nie płacono mu za prawdę. – Jesteś wszędzie. Wokół nas i w naszym wnętrzu, stale nad nami czuwając. – Oczywiście dosyć nieudolnie, ale taki już jest Bóg. – Proszę Cię... błagam, zaopiekuj się tymi chłopcami, pogrzebanymi w obcej ziemi, pod obcym niebem. A także tymi mężczyznami i kobietami. Wiesz, że nie są doskonali. Ale wyruszyli w drogę, by coś osiągnąć na tym pustkowiu. – Temple sam poczuł napływające łzy i musiał przygryźć usta, popatrzeć w niebo i zamrugać, żeby je powstrzymać. – Weź ich w swoje ramiona i daj im pokój. Nikt bardziej na niego nie zasługuje.

Przez chwilę stali w milczeniu, a wiatr szarpał postrzępionym skrajem płaszcza Temple'a i spychał Płoszce

włosy na twarz. W końcu Buckhorm wyciągnął dłoń, na której lśniły monety.

– Dziękuję.

Temple obiema rękami zamknął pokrytą odciskami dłoń poganiacza.

– To był dla mnie zaszczyt. – Słowa w niczym nie pomogły. Dzieci nadal nie żyły. Nie miał zamiaru przyjąć pieniędzy, niezależnie od swoich długów.

Zaczynało się robić ciemno, kiedy Słodki zeskoczył z wozu Majuda. Niebo na zachodzie poróżowiało, a znaczące je czarne smugi chmur przypominały grzywacze przecinające spokojne morze.

– Chcą rozmawiać! – zawołał. – Rozpalili ognisko w połowie drogi do swojego obozu i czekają na naszą odpowiedź! – Wyglądał na bardzo zadowolonego. Może Temple też powinien się ucieszyć, ale siedział niedaleko grobu Leefa, w niewygodny sposób obciążając tylko zdrowy pośladek, i czuł, że już nic nigdy nie sprawi mu radości.

– Teraz chcą rozmawiać – odrzekła Luline Buckhorm z goryczą. – Kiedy moi dwaj chłopcy już nie żyją.

Słodki się skrzywił.

– Lepiej teraz, niż kiedy wszystkie twoje dzieci zginą. Pójdę do nich.

– Ja też pójdę – odparł Owca, którego twarz wciąż pokrywały kropki zaschniętej krwi.

– I ja – dodał Savian. – Trzeba się upewnić, że ci dranie nie spróbują jakiegoś podstępu.

Słodki przeczesał palcami brodę.

– W porządku. Nic nie zaszkodzi pokazać im, że jesteśmy twardzi.

– Ja również się przyłączę. – Majud przykuśtykał, krzywiąc się tak bardzo, że błyskał złotym zębem. Jedna nogawka jego spodni powiewała w miejscu, w którym ją przeciął, żeby odsłonić ranę. – Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie pozwolę, żebyś negocjował w moim imieniu.

– W żadnym razie – zaprotestował Słodki. – Jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, będziemy musieli uciekać, a ty nie możesz biegać.

Majud oparł się na zranionej nodze, ponownie się skrzywił, po czym wskazał głową Płoszkę.

– Zatem ona pójdzie za mnie.

– Ja? – szepnęła Płoszka. – Mam rozmawiać z tymi skurwielami?

– Nikomu innemu nie ufam. Mój partner Curnsbick starałby się uzyskać jak najlepszą cenę.

– Można faceta znienawidzić, chociaż nigdy się go nie spotkało.

Słodki pokręcił głową.

– Sangedowi nie spodoba się obecność kobiety.

Temple miał wrażenie, że to ostatecznie przekonało Płoszkę.

– Jeśli ma praktyczny umysł, jakoś to przeboleje. Chodźmy.

Siedzieli w półokręgu wokół strzelającego ogniska, około stu kroków od prowizorycznego fortu Drużyny, którego migoczące światła majaczyły w oddali. Duchy. Straszliwa plaga równin. Legendarni dzicy z Dalekiej Krainy.

Płoszka starała się rozniecić w sobie nienawiść, którą do nich czuła, ale kiedy myślała o zimnym ciele Leefa pod ziemią, ogarniało ją tylko obrzydzenie tym bezsensownym

zniszczeniem oraz lęk o jego brata oraz swoje rodzeństwo. Czuła się zmęczona, wypruta i pusta w środku. Poza tym, kiedy patrzyła, jak siedzą spokojnie, nie wznosząc groźnych okrzyków ani nie potrząsając bronią, musiała przyznać, że rzadko miała okazję widzieć tak wymizerowanych ludzi, choć, gdy akurat nie pakowała się w tarapaty, przez większość życia towarzyszyła jej dotkliwa bieda.

Mieli na sobie na wpół wyprawione, poszarpane skóry oraz wytarte fragmenty różnych skradzionych kostiumów, spod których wyzierało gołe ciało, blade i kościste. Jeden się uśmiechał, być może na myśl o czekających ich bogactwach, pokazując samotny zepsuty ząb. Inny ponuro marszczył czoło pod hełmem zrobionym z wyklepanego miedzianego czajnika, którego dzióbek sterczał mu na czole. Płoszka uznała, że stary Duch na środku to wielki Sangeed. Był ubrany w płaszcz z piór włożony na zmatowiały napierśnik, który wyglądał, jakby tysiąc lat temu stanowił dumę jakiegoś imperialnego generała. Sangeed miał trzy naszyjniki z ludzkich uszu, które miały dowodzić jego zręczności, ale lata świetności były już za nim. Płoszka słyszała jego oddech, wilgotny i chrapliwy; połowa jego twarzy obwisła, a w opuszczonym kącie ust lśniła strużka śliny.

Czy ci absurdalni chudzielcy mogli być potworami, które rzuciły się na nich na równinach? Powinna pamiętać z własnej kariery groźnego bandyty, że nie ma wielkiej różnicy pomiędzy ludźmi strasznymi i godnymi pożałowania, a wszystko zależy od sposobu, w jaki na nich patrzymy.

W tej chwili bardziej przerażali ją starcy po jej stronie ogniska – pomarszczone twarze wyglądały obco za sprawą migoczących płomieni, oczy błyskały w zacienionych

oczodołach, grot bełtu w naładowanej kuszy Saviana lśnił lodowatym blaskiem. Twarz Owcy była wykrzywiona jak drzewo nękane wiatrem oraz naznaczona dawnymi bliznami. Nie zdradzała jego myśli, nawet Płoszce, która знаła go od lat. Może przede wszystkim jej.

Słodki skłonił głowę i odezwał się w mowie Duchów, obszernie gestykułując. Sangeed odpowiedział, powoli i chrapliwie, zakaszał, po czym wydusił jeszcze kilka słów.

– Wymieniamy uprzejmości – wyjaśnił Słodki.

– Nie mamy powodu być uprzejmymi – odburknęła Płoszka. – Załatwmy to i wracajmy.

– Potrafimy mówić w waszym języku – odezwał się jeden z Duchów dziwną odmianą wspólnej mowy, która brzmiała, jakby miał usta pełne żwiru. Był młody, siedział najbliżej Sangeeda i rzucał im surowe spojrzenia ponad ogniskiem. Może to jego syn. – Mam na imię Locway.

– No dobrze. – Słodki odchrząknął. – A więc wpierdoliliśmy się w niezłe gównno, Locway. Nie było potrzeby, by ktokolwiek umierał. Tymczasem mamy trupy po obu stronach i jesteśmy w miejscu, w którym od razu mogliśmy się znaleźć, gdybyście tylko zechcieli.

– Każdy człowiek, który wkracza na nasze ziemie, bierze odpowiedzialność za swój los – odparł Locway. Wyglądało na to, że traktuje siebie niezwykle poważnie, co było nie lada wyczynem w przypadku kogoś ubranego w podarte stare spodnie unijnego kawalerzysty z bobrową skórką zakrywającą krocze.

Słodki parsknął.

– Przemierzałem te równiny, kiedy jeszcze nie ssałeś cycka, chłopcze. A teraz chcesz mi mówić, gdzie mogę jeździć? – Zwinął

język i splunął do ogniska.

– Gówno was obchodzi, gdzie kto jeździ – odburknęła Płoszka. – I tak nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zagarnąć dla siebie takiego pustkowia.

Młody Duch zmarszczył czoło.

– Ma ostry język.

– Pierdol się.

– Dosyć! – ryknął Savian. – Skoro mamy zawrzeć układ, zróbmy to i wracajmy do siebie.

Locway posłał Płoszce surowe spojrzenie, po czym nachylił się w stronę Sangeeda. Tak zwany Imperator Równin przez chwilę słuchał jego słów, a następnie sam coś wychrypiał.

– Pięć tysięcy waszych srebrnych marek – rzekł Locway – oraz dwadzieścia sztuk bydła i dwadzieścia koni, a odjedziecie z uszami na miejscu. Tak rzecze przerażający Sangeed.

Stary Duch uniósł podbródek i stęknął.

– Możecie dostać dwa tysiące – odpowiedziała Płoszka.

– Trzy tysiące i zwierzęta. – Jego zdolności targowania się były równie żałosne jak strój.

– Moi ludzie zgodzili się na dwa tysiące. Tyle dostaniecie. Jeśli chodzi o bydło, to możecie zabrać ten tuzin, który w swojej głupocie przeszyliście strzałami. Koni wam nie oddamy.

– Więc może sami je sobie weźmiemy – odparł Locway.

– Możecie, kurwa, spróbować.

Locway skrzywił się i chciał coś powiedzieć, ale Sangeed dotknął jego ramienia i wymamrotał kilka słów, cały czas wpatrując się w Słodkiego. Stary zwiadowca pokiwał głową, a młody Duch z niezadowoleniem poruszył ustami.

– Wielki Sangeed przyjmuje waszą propozycję.

Słodki z uśmiechem potarł rękami skrzyżowane nogi.

– A więc dobrze.

– Ech. – Sanged krzywo się uśmiechnął.

– Umowa stoi – rzekł Locway z poważną miną.

– Zgoda – odparła Płoszka, chociaż nie sprawiło jej to żadnej satysfakcji. Była wykończona i marzyła tylko o tym, żeby się przespać. Duchy drgnęły, nieco się uspokajając, a mężczyzna z zepsutym zębem jeszcze bardziej się wyszczerzył.

Owca powoli wstał, z zachodzącym słońcem za plecami, a jego potężna sylwetka odmalowała się czernią na tle zakrwawionego nieba.

– Mam lepszą ofertę – powiedział.

Iskry zawirowały wokół jego obcasów, kiedy przeskoczył przez ognisko. Błysnęła pomarańczowa stal i Sanged chwycił się za szyję, padając na plecy. Brzęknęła cięciwa Saviana i Duch z czajnikiem na głowie runął na ziemię z ustami przesytytymi bełtem. Jeden z jego kompanów zerwał się na nogi, ale Owca wbił mu nóż w czubek głowy z trzaskiem przypominającym odgłos pękającego drewna.

Locway wstał w tej samej chwili co Płoszka, ale Savian skoczył, chwycił go za szyję i razem potoczyli się po ziemi. Duch miotał się i wierzgał, trzymając w dłoni toporek, był jednak przyszpilony do ziemi i mógł tylko bezradnie powarkiwac ku niebu.

– Co wy robicie?! – zawołał Słodki, ale wtedy już nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Owca trzymał ostatniego z Duchów jedną ręką, a drugą okładał go po twarzy, wybijając ostatnie zęby, bijąc tak szybko, że Płoszka nie potrafiła zliczyć uderzeń. Jego ręka ze świstem poruszała się w rękawie, potężna pięść z chrzęstem docierała do

celu, a czarny zarys twarzy Ducha stopniowo tracił kształt, aż w końcu Owca wrzucił bezwładne ciało do ogniska.

Słodki cofnął się przed fontanną iskier.

– Kurwa!

Wplótł palce w siwą czuprynę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Płoszka też nie dowierzała własnym oczom. Siedziała nieruchomo, zmrożona do szpiku kości, a każdy oddech świstał w jej krtani. Locway wciąż warczał i próbował walczyć, ale był uwięziony w uścisku Saviana jak mucha w miodzie.

Sangeed z trudem wstał, jedną ręką trzymając się za rozcięte gardło; na jego zaciśniętych palcach lśniła krew. Miał nóż, ale Owca był na to przygotowany i bez wysiłku wykręcił wodzowi nadgarstek. Duch padł na kolana, plując krwią na trawę. Owca oparł but o pachę Sangeeda, dobył miecza z cichym brzękiem stali, przez chwilę rozprostowywał szyję, po czym uniósł ostrze i opuścił je z głuchym hukiem. Potem jeszcze raz. Po kolejnym ciosie puścił bezwładną rękę Sangeeda, schylił się i podniósł za włosy odciętą głowę, pozbawioną kształtu i rozplataną na policzku w miejscu, gdzie jedno z uderzeń nie trafiło w cel.

– To dla ciebie – powiedział i rzucił głowę na kolana młodemu Duchowi.

Locway na nią patrzył, a jego pierś falowała, przyciśnięta ręką Saviana, na której widniał pasek tatuażu wystający spod podartego rękawa. W końcu przeniósł wzrok z głowy wodza na twarz Owcy, obnażył zęby i wysyczał:

– Przyjdziemy po was! Przed świtem, w ciemności, przyjdziemy po was!

– Nie. – Owca się uśmiechnął, a jego zęby, oczy i krew spływająca po twarzy zalśniły w blasku ognia. – Przed świtem...

– przykucnął przed unieruchomionym Locwayem –

...w ciemności... – delikatnie pogłaskał Ducha po twarzy, a trzy palce jego lewej dłoni pozostawiły czarne smugi na bladym policzku – ...ja przyjdę po was.

Nasłuchiwali w ciemności. Najpierw usłyszeli głosy stłumione wiatrem. Ludzie dopytywali się, jak przebiega rozmowa, a inni ich uciszali. Potem Temple usłyszał krzyk i ścisnął Corlin za ramię. Odepchnęła jego dłoń.

– Co się dzieje? – spytał Lestek.

– Skąd mamy wiedzieć? – odburknął Majud.

Zobaczyli cienie poruszające się wokół ogniska i nad Drużyną rozległo się westchnienie.

– To pułapka! – krzyknęła Lady Ingelstad, a jeden z Suljuków zaczął jazgotać w języku, którego nie potrafił zrozumieć nawet Temple. Wystarczyła iskierka lęku, a całe obozowisko wpadło w panikę, której Temple również się poddał.

– Nie powinni byli tam iść! – zaskrzeczał Hedges, jakby sprzeciwiał się temu od samego początku.

– Uspokójcie się wszyscy. – Głos Corlin był ostry, pewny i wolny od strachu.

– Ktoś nadchodzi! – Majud wskazał w mrok. Kolejna iskra lęku i nowy atak paniki, w którym Temple chętnie się pogрузzył.

– Nie strzelajcie! – Chrapliwy bas Słodkiego zabrzmiał w ciemności. – Tylko tego mi trzeba, żeby ukoronować ten pieprzony dzień! – Stary zwiadowca wszedł w krąg światła z uniesionymi rękami, a tuż za nim pojawiła się Płoszka.

Drużyna odetchnęła z ulgą, a Temple, który odetchnął najgłośniej, odtoczył dwie beczki, żeby wpuścić negocjatorów do prowizorycznego fortu.

- Co się stało?
- Zgodzili się rozmawiać?
- Jesteśmy bezpieczni?

Słodki stał z rękami na biodrach, powoli kręcąc głową. Płoszka marszczyła czoło. Po chwili pojawił się Savian, z którego spojrzenia jak zwykle niewiele dało się wyczytać.

– No i co? – spytał Majud. – Zawarliśmy układ?

– Muszą się zastanowić – rzekł Owca, który siedł na końcu grupy.

– Co zaproponowaliście? Co tam się stało, psiakrew?

– Pozabijał ich – szepnęła Płoszka.

Przez chwilę panowała cisza pełna zaskoczenia.

– Kto kogo pozabijał? – pisnął Lord Ingelstad.

– Owca pozabijał Duchy.

– Nie przesadzajmy – zaprotestował Słodki. – Jednego wypuścił. – Zepchnął kapelusz z czoła i oparł się o koło wozu.

– A Sanged? – mruknęła Płacząca Skała.

Słodki pokręcił głową.

– Och – odrzekła kobieta.

– Zabiłeś... ich? – spytał Temple.

Owca wzruszył ramionami.

– Może tutaj, kiedy ktoś próbuje cię zamordować, ty płacisz mu za tę przysługę, ale tam, skąd pochodzę, inaczej traktujemy te sprawy.

– Pozabijał ich? – spytał Buckhorm z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

– No i dobrze! – zawołała jego żona, potrząsając drobną pięścią. – Dobrze, że ktoś miał odwagę to zrobić! Dostali to, co im się należało! Za moich dwóch chłopców!

– Wciąż musimy zadbać o ośmiu, którzy pozostali! – odparł jej mąż.

– Nie wspominając o pozostałych członkach Drużyny! – dodał Lord Ingelstad.

– Dobrze zrobił! – ryknął Savian. – Ze względu na tych, którzy zginęli, i tych, którzy nadal żyją. Ufacie tym pierdolonym zwierzętom? Jeśli zapłacicie komuś za to, że was skrzywdził, na pewno zrobi to ponownie. Lepiej, żeby nauczyli się nas bać.

– To ty tak uważasz! – odburknął Hedges.

– Owszem – odparł Savian lodowatym głosem. – To ma swoje dobre strony. Być może właśnie zaoszczędziliśmy mnóstwo pieniędzy.

– Kiepska pociecha, jeśli będzie nas to ko... kosztować życie! – odparował Buckhorm.

Jednakże finansowy argument najwyraźniej przemówił do wyobraźni Majudowi.

– Powinniśmy byli podjąć tę decyzję razem.

– Wybór między zabijaniem a umieraniem nie wymaga zastanowienia – skwitował Owca, po czym przepchnął się między zgromadzonymi, jakby w ogóle ich tam nie było, i usiadł na pustym skrawku trawy obok najbliższego ogniska.

– Kurewskie ryzyko, nie uważacie?

– Położył na szali nasze życie!

– Warto było zaryzykować.

– Jesteś specjalistą w takich sprawach – rzekł Majud do Słodkiego. – Co o tym sądzisz?

Stary zwiadowca potarł dłonią kark.

– A co tu można sądzić? Stało się. Nie da się cofnąć czasu. Chyba że twoja siostrzenica tak dobrze zna się na leczeniu, że

zdoła przyszyć Sangedowi głowę?

Savian nie odpowiedział.

– Tak myślałem. – Słodki wspiał się na wóz Majuda i usiadł na swoim miejscu za podziurawioną strzałami skrzynią, wbijając wzrok w czarną równinę, która odróżniała się od nocnego nieba tylko brakiem gwiazd.

Temple'owi wielokrotnie zdarzały się nieprzespane noce. Na przykład wtedy, gdy Gurkowie w końcu przedarli się przez mury i Żercy przyszli po Kahdię. Albo kiedy Inkwizycja urządziła nalot na slumsy Dagoski, szukając zdrajców. Albo kiedy umarła jego córka, a wkrótce potem żona. Jednak jeszcze żadna noc nie dłużyła mu się tak bardzo jak ta.

Ludzie wyteżali wzrok, wpatrując się w czarną nicość, od czasu do czasu podnosząc alarm, gdy wydawało im się, że słyszą jakiś ruch. W tle rozlegały się bulgoczące krzyki jednego z poszukiwaczy, który został postrzelony z łuku w brzuch i który w ocenie Corlin nie powinien dotrzeć do świtu. Na rozkaz Saviana, który przestał zgłaszać sugestie i przejął niekwestionowane dowodzenie, Drużyna zapaliła pochodnie i powbiła je w trawę za wozami. Ich migoczące światło wydawało się gorsze od ciemności, gdyż na jego skraju zawsze czaiła się śmierć.

Temple i Płozka siedzieli razem w milczeniu, czując dotkliwą pustkę w miejscu, które kiedyś zajmował Leef, a pochrapywanie Owcy dodatkowo wydłużało bezkresny czas. W końcu Płozka przechyliła się w bok, oparła o niego i zasnęła. Zastanawiał się, czy nie wepchnąć jej ramieniem do ogniska, ale zrezygnował. Być może to jego ostatnia szansa, żeby poczuć ludzki dotyk. Jeśli nie liczyć Ducha, który go jutro zabije.

Gdy tylko zrobiło się szaro, Słodki, Płacząca Skala i Savian

wsiedli na konie i ruszyli w stronę linii drzew, a reszta Drużyny zgromadziła się na wozach, skąd patrzyła na nich, wstrzymując oddech, wytrzeszczając oczy ze strachu i niewyspania oraz ściskając swoją broń i siebie nawzajem. Troje jeźdźców wkrótce znów pojawiło się w polu widzenia, wołając, że w cieniu lasu zastali wciąż dymiące ogniska, w których Duchy spaliły swoich zmarłych.

Napastnicy odeszli. Okazało się, że rzeczywiście byli praktyczni.

Teraz już wszyscy z entuzjazmem wypowiadali się o odwadze i szybkim działaniu Owcy. Luline Buckhorm i jej mąż płakali z wdzięczności w imieniu swoich zabitych synów. Gentili twierdził, że gdyby był młodszy, zrobiłby to samo. Hedges również, gdyby nie noga, którą zranił podczas Bitwy o Osrung. Dwie dziwki zaproponowały nagrodę w naturze, którą Owca chciał przyjąć, dopóki Płoszka nie odmówiła w jego imieniu. Potem Lestek wspiął się na wóz i zaproponował drżącym głosem, by Owcę nagrodzić zaoszczędzonymi czterystoma markami, które Owca chciał odrzucić, dopóki Płoszka nie zgodziła się w jego imieniu.

Lord Ingelstad poklepał Owcę po plecach i poczęstował go łykiem ze swojej najlepszej butelki brandy, która przez dwieście lat dojrzewała w rodzinnych piwnicach w dalekim Keln, które obecnie, niestety, należały do jednego z wierzycieli.

– Przyjacielu – rzekł arystokrata – jesteś zabójczo odważnym człowiekiem!

Owca spojrzał na niego z ukosa, unosząc butelkę do ust.

– Jestem zabójczy, to racja.

Uczciwa zapłata

Na wzgórzach było zimno jak zaraza. Wyziębione i wystraszone dzieci nocami tuliły się do siebie przy ogniskach, ich policzki różowiły się, a z ust wylatywały obłoki oddechów. Ro w ciemności masowała dłonie Pestki i na nie chuchała, próbując szczelniej owinąć ich wyliniałymi futrami.

Wkrótce po tym, jak zesli z łodzi, pojawił się jakiś mężczyzna, który stwierdził, że Papa Ring wszystkich potrzebuje, a Cantliss zaklął, co zawsze przychodziło mu z łatwością, po czym odesłał siedmioro ze swoich ludzi. Pozostała tylko szóstka, wliczając tego drania Czarnego Grota, ale nikt nie wspominał o ucieczce. Dzieci prawie w ogóle się nie odzywały, jakby z każdą przepłyniętą, przejechaną albo przewędrowaną milą coraz bardziej traciły ducha, a potem także rozum, zmieniając się w zwierzęta prowadzone na ubój, bezradnie wlekące się do rzeźni, którą Cantliss dla nich wybrał.

Kobieta zwana Pszczołą także została odesłana, a przed odejściem spytała z płaczem Cantlissa, dokąd zabiera malców, ten zaś uśmiechnął się kpiąco.

– Wracaj do Fałdy i pilnuj swoich spraw, psiakrew.

Od tej pory do Ro, Evina oraz dwójki innych starszych dzieci należało zajmowanie się odciskami i lękami pozostałych.

Wspinali się coraz wyżej po wijących się, rzadko uczęszczanych ścieżkach dawno temu wyżłobionych przez wodę. Obozowali wśród potężnych głazów, które wyglądały jak powalone budynki, równie stare jak same góry. Drzewa stawały

się coraz wyższe, aż w końcu przypominały drewniane kolumny przebijające niebo, a ich najniższe gałęzie trzeszczały wysoko ponad głowami w cichym lesie pozbawionym zarośli, zwierząt i owadów.

– Dokąd nas zabieracie? – spytała Ro Cantlissa po raz setny, a on po raz setny odpowiedział:

– Dalej. – Po czym zwrócił nieogoloną twarz ku szarym zarysom szczytów. Jego eleganckie ubranie już dawno zmieniło się w szmaty.

Przeszli przez jakieś miasteczko z nieudolnie wzniesionymi drewnianymi budynkami, gdzie obszczał ich chudy pies, ale nie pojawił się ani jeden człowiek. Czarny Grot popatrzył ze zmarszczonym czołem na puste okna, oblizując szparę między zębami.

– Gdzie oni się podziali? – odezwał się w mowie Pólnocy, ale Ro go zrozumiała, gdyż Owca wystarczająco ją wyedukował. – Wcale mi się to nie podoba.

Cantliss tylko parsknął.

– Nie musi.

Ruszyli dalej, a wysokie drzewa stopniowo ustąpiły miejsca suchym brązowym sosnom, potem powykręcany drapakom, aż wreszcie drzewa całkowicie zniknęły. Lodowaty ziąb zmienił się w dziwne ciepło, słaby wiatr na zboczu był jak oddech, aż w końcu zrobiło się zbyt gorąco, a różowe twarze utrudzonych dzieci spłynęły potem, gdy wspinali się po nagich żółtych skałach przecinanych żyłami siarki, ciepłych jak ciało i niemal tak samo żywych. Para tryskała z sykiem z pęknięć przypominających usta, a wnętrza wgłębionych kamieni pokrywały kryształki soli. Woda bulgotała, uwalniając cuchnący gaz i pieniała się wielobarwnymi olejami, a Cantliss ostrzegł ich,

żeby jej nie pili, gdyż jest trująca.

– To złe miejsce – rzekł Pestka.

– Miejsce jak każde inne. – Jednak Ro widziała strach w oczach pozostałych dzieci oraz w oczach ludzi Cantlissa i sama też to czuła. To była martwa kraina.

– Czy Płoszka jeszcze za nami jedzie?

– Oczywiście, że tak. – Ale Ro wątpiła, żeby to było możliwe, nie tak daleko, nie do miejsca, które najwyraźniej nie należało do świata. Ledwie pamiętała, jak wyglądają Płoszka, Owca oraz ich gospodarstwo. Zaczynała myśleć, że to wszystko odeszło, było snem i szeptem, a istnieje tylko to, co ich otacza.

Szlak stał się zbyt stromy dla koni, a potem dla mułów, więc jeden z mężczyzn został ze zwierzętami. Wspinali się na zbocze głębokiej, nagiej doliny, w której ścianach ziały otwory zbyt kanciaste, by stanowić dzieło natury. Obok drogi piętrzyły się sterty pokruszonych skał, które skojarzyły się Ro z urobkiem z kopalni. Nie miała pojęcia, jacy dawni górnicy tutaj mieszkali i co wydobywali z tego przeklętego miejsca.

Po dniu wdychania cuchnących wyziewów, od których bolały ich nosy i gardła, dotarli do olbrzymiej odwróconej skalnej iglicy, pokrytej otworami i poplamionej za sprawą pogody i upływu czasu, ale wolnej od porostów i jakichkolwiek innych roślin. Gdy zbliżyli się niepewnie, Ro zauważyła, że na iglicy widnieją litery, i chociaż nie potrafiła ich odczytać, wiedziała, że to ostrzeżenie. Na skalistych zboczach, przez które niebo wydawało się tak bardzo dalekie, dostrzegła kolejne liczne otwory, a także wysokie skrzypiące rusztowania ze starego drewna podtrzymujące platformy, liny i wiadra, które stanowiły dowód niedawno prowadzonych wykopalisk.

Cantliss uniósł otwartą dłoń.

- Zatrzymajcie się.
- Co teraz? – spytał Czarny Grot, dotykając rękojeści miecza.
- Teraz czekamy.
- Jak długo?
- Niedługo, bracie.

Jakiś mężczyzna stał swobodnie oparty o skałę. Ro nie wiedziała, jak mogła go nie zauważyć, ponieważ wcale nie był drobny. Bardzo wysoki i ciemnoskóry, z głową ogoloną do srebrzystego meszku, ubrany w prostą szatę z nieufarbowanego sukna. W zgięciu jednej muskularnej ręki trzymał laskę, która długością dorównywała jego wzrostowi, a w drugiej dłoni małe, pomarszczone jabłko. Ugryzł je i z pełnymi ustami powiedział:

– Witajcie. – Uśmiechnął się do Cantlissa, Czarnego Grota i innych mężczyzn, a jego twarz ożywiły przyjazne zmarszczki, które nie pasowały do tego ponurego otoczenia. Uśmiechnął się także do dzieci, a Ro miała wrażenie, że zwłaszcza do niej. – Witajcie, dzieci.

– Chcę swoje pieniądze – powiedział Cantliss.

Uśmiech nie opuścił oblicza starca.

– Oczywiście. Ponieważ nosisz w sobie dziurę i wierzysz, że złoto ją wypełni.

– Ponieważ mam dług i jeśli go nie spłacę, będę trupem.

– Wszyscy jesteśmy trupami, bracie, to tylko kwestia czasu. Liczy się to, jak dotrzemy do celu. Ale ty otrzymasz uczciwą zapłatę. – Powiódł spojrzeniem po dzieciach. – Widzę tylko dwadzieścioro.

– Długa podróż – odparł Czarny Grot, opierając dłoń na rękojeści miecza. – Nie dało się uniknąć strat.

– Nic nie jest nieuniknione, bracie. Wszystko zależy od

wyborów, których dokonujemy.

– To nie ja kupuję dzieci.

– Kupuję je, ale nie zabijam. Czy krzywdzenie słabych istot wypełnia dziurę, którą ty w sobie nosisz?

– Nie noszę w sobie żadnej dziury – odparł Czarny Grot.

Stary dokończył jabłko.

– Czyżby? – Rzucił Czarnemu Grotowi ogryzek.

Północny instynktownie go złapał, po czym stęknął. Starzec pokonał dzielący ich dystans dwoma błyskawicznymi krokami i uderzył go w pierś końcem laski.

Czarny Grot zadrżał, upuścił ogryzek i sięgnął po miecz, ale zabrakło mu siły, żeby go dobyć, a Ro zauważyła, że to, co wzięła za laskę, naprawdę jest włócznią, której długi zakrwawiony grot sterczał teraz z pleców Północnego. Starzec położył Czarnego Grota na ziemi, po czym delikatnie zamknął mu oczy.

– Ciężko mi to mówić, ale mam wrażenie, że bez niego świat będzie lepszy.

Ro popatrzyła na trupa, którego ubranie poczerniało od krwi, i uświadomiła sobie, że się cieszy, chociaż nie wiedziała, co to oznacza.

– Na spokój zmarłych – westchnął jeden z ludzi Cantlissa.

Gdy Ro podniosła wzrok, zauważyła liczne postacie, które bezszelestnie wyłoniły się z kopalni i teraz obserwowały ich z rusztowań. Mężczyźni i kobiety różnych ras i w różnym wieku, ale wszyscy ubrani w takie same brązowe szaty i z ogolonymi głowami.

– Kilkoro przyjaciół – wyjaśnił starzec, wstając.

Cantliss odezwał się drżącym i piskliwym głosem:

– Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

- To smutne, że tylko na to było was stać.
- Chcę tylko dostać pieniądze.
- To smutne, że niektórzy ludzie pragną tylko pieniędzy.
- Zawarliśmy umowę.

– To także mnie smuci, ale masz rację. Oto twoje pieniądze. – Starzec wskazał drewnianą skrzynkę stojącą na kamieniu, który mijali po drodze. – Mam nadzieję, że przyniosą ci radość.

Cantliss chwycił skrzynkę, a Ro zobaczyła w środku błysk złota. Brudną twarz porywacza rozjaśnił uśmiech oraz odbity blask.

– Idziemy – rzucił, po czym wycofał się razem ze swoimi ludźmi.

Jedno z małych dzieci zaczęło płakać, ponieważ małe dzieci potrafią pokochać nawet złych ludzi, jeśli nie mają nikogo innego. Ro objęła je ramieniem, próbując zachować odwagę, gdy starzec się do nich zbliżył.

Pestka zacisnął pięści.

– Nie rób krzywdy mojej siostrze!

Mężczyzna szybko uklęknął, zrównując się z Ro łysą głową, która z bliska wydawała się olbrzymia, po czym delikatnie położył jedną dłoń na ramieniu dziewczynki, a drugą na ramieniu jej brata.

– Dzieci, mam na imię Waerdinur, trzydziesta dziewiąta Prawa Ręka Stwórcy, i nigdy nie skrzywdziłbym żadnego z was ani nie pozwoliłbym na to nikomu innemu. Złożyłem takie śluby. Przysięgłem bronić tej świętej ziemi oraz zamieszkujących ją ludzi do ostatniej kropli krwi i ostatniego oddechu, a powstrzymać mnie może tylko śmierć.

Wyjął cienki łańcuszek i zawiesił go na szyi Ro. Na łańcuszku wisiał kawałek matowego, szarego metalu w kształcie łyzy.

– Co to jest? – spytała dziewczynka.

– To smocza łuska.

– Prawdziwa?

– Tak, prawdziwa. Wszyscy je mamy. – Sięgnął pod szatę i wyjął swój wisiorek.

– Dlaczego ja też ją dostałam?

Uśmiechnął się, a w jego oczach zalśniły łzy.

– Ponieważ teraz jesteś moją córką. – Objął ją i bardzo mocno przytulił.

III

Fałda

„Miasteczko, w którym na stałe mieszkało mniej niż tysiąc osób, było tak pełne podłości, że miało się wrażenie, iż w powietrzu unosi się woń nienawiści: morderstwo było tam zabawą, pijaństwo prawem, hazard powszechną rozrywką, walka rekreacją”.

J.W. Buel

Tandetne piekło

Fałda nocą?

Wyobraźcie sobie tandetne piekło. Potem dodajcie więcej dziwek.

Największa osada nowego pogranicza, raj poszukiwaczy i długo oczekiwany cel wędrowki Drużyny, tkwiła w krętej dolinie o stromych zboczach usianych pieńkami ściętych sosen. Było to miejsce dzikiego zapamiętania, dzikich nadziei i dzikiej rozpacz, gdzie wszystko przyjmowało najwymyślniejsze formy i nie znano umiaru, gdzie stare marzenia kończyły wdeptane w błoto, a nowe wysysano z butelek, by wkrótce nimi zwymiotować i również je podeptać. Miejsce, w którym to, co dziwne, było powszechne, to zaś, co zwykłe, wydawało się dziwaczne, a śmierć mogła nadejść jutro, więc dziś należało korzystać z życia.

Błotniste obrzeża miasta składały się głównie ze zniszczonych, powiewających na wietrze namiotów, w których rozgrywały się sceny, jakich ludzkie oko nie powinno oglądać. Budynki sklecone z kawałków sośniny trzymały się na słowo honoru, podtrzymywane przez pijaków opartych o ściany, a kobiety ryzykowały życie, wychylając się z krzywych balkonów, by przywołać klientów.

– Miasto urosło – rzekła Corlin, próbując przeniknąć wzrokiem mokry tłum, który blokował główną ulicę.

– I to bardzo – mruknął Savian.

– Ale raczej nie stało się lepsze.

Płoszka próbowała sobie wyobrazić coś gorszego. Parada szalonych grymasów wirowała nad zaśmieconym błotem. Twarze rodem z koszmarnego przedstawienia. Nieustający wariacki karnawał. Poszarpaną noc przecinały fałszywe chichoty, jęki rozkoszy albo przerażenia, nawoływania właścicieli lombardów, parskanie bydła, skrzypienie nadwerężonych łóżek i piski zniszczonych skrzypiec. Wszystko to łączyło się w rozpaczliwą muzykę, w której nie powtarzał się żaden akord, wylewającą się w noc przez niedopasowane drzwi i okna, a wybuchy śmiechu towarzyszące opowiedzianym żartom lub wygrany przy kole fortuny trudno było odróżnić od ryków wściekłości wywołanych obrazą bądź złą kartą.

– Wielkie nieba – wyszeptał Majud, zasłaniając twarz rękawem przed wszechobecnym smrodem.

– To wystarczy, żeby człowiek uwierzył w Boga – rzekł Temple. – I nabrał pewności, że On jest gdzie indziej.

W wilgotnej ciemności majaczyły ruiny. Kolumny o nieludzkiej skali wznosiły się po obu stronach głównej ulicy, tak grube, że trzech mężczyzn nie zdołaloby ich opasać rękami. Niektóre się przewróciły, inne odcięto na wysokości kilku metrów, ale część wciąż stała, a ich wierzchołki ginęły w ciemności. Migoczący blask pochodni oświetlał poplamione rzeźbienia, litery i runy pochodzące z alfabetów zapomnianych przed setkami lat, pamiątki dawnych wydarzeń, zwycięzców i przegranych, którzy obrócili się w pył przed tysiącem lat.

– Jak to miejsce wyglądało kiedyś? – szepnęła Płoszka, którą bolała szyja od spoglądania w górę.

– Zgaduję, że było czystsze – odrzekł Owca.

Wokół wiekowych kolumn wyrosły drewniane budy, jak niepokorne grzyby na pniach martwych drzew. Mieszkańcy

otoczyli je chwiejnymi rusztowaniami zamontowanymi na powyginanych podporach, z ich szczytów zwiesili liny, a nawet przeciągnęli kładki, tak że niektóre budowle były całkowicie zasłonięte przez dzieła nieudolnych stolarzy, którzy zmienili je w koszarne okręty uwięzione tysiące mil w głębi lądu, upstrzone pochodniami, latarniami i jaskrawymi szyldami zachwalającymi wszystkie możliwe grzechy, a całość chwiała się niebezpiecznie, gdy tylko zrywał się silniejszy wiatr.

Dolina stopniowo otwierała się przed oczami wędrującej Drużyny, a wokół narastała atmosfera orgii, zamieszek i gorączki. Hulacy o błyszczących oczach biegali z otwartymi ustami, zdeterminowani, by przed zachodem słońca wybawić się za wszystkie czasy, jakby do następnego dnia przemoc i rozpusta miały zniknąć.

Płoszka miała wrażenie, że tak się nie stanie.

– Zupełnie jak podczas bitwy – mruknął Savian.

– Ale tutaj nie ma żadnych stron – zauważyła Corlin.

– Ani zwycięzców – dodał Owca.

– Tylko milion porażek – szepnął Temple.

Ludzie zataczali się i rzucali, kuśtykali i wirowali, chodząc w groteskowy lub komiczny sposób, kompletnie pijani, kalecy na umyśle lub ciele albo na wpół szaleni po miesiącach spędzonych na kopaniu w ziemi na wysoko położonych pustkowiach, gdzie słowa uległy zapomnieniu. Płoszka ominęła mężczyznę, który stał w błocie ze spodniami wokół kostek i obsikiwał sobie gołe nogi, jedną drżącą ręką przytrzymując fiuta, a drugą unosząc do ust butelkę, z której łapczywie pił.

– Gdzie mamy zacząć, do diabła? – spytała Złotko swojego alfonsa, który jednak nie znał odpowiedzi.

Konkurencja rzeczywiście wzbudzała respekt. Wokół

paradowały kobiety wszelkich kształtów i kolorów, w różnym wieku, w negliżu charakterystycznym dla wielu rozmaitych krajów, ukazując połacie nagiego ciała, przeważnie pokrytego gęsią skórką, ponieważ panował chłód. Niektóre mruzczały, uśmiechały się głupawo albo posyłały całusy, inne piskliwymi głosami nieprzekonująco zapewniały o jakości swoich usług w ciemności rozświetlonej pochodniami, a jeszcze inne zrezygnowały nawet z takich subtelności i poruszały biodrami, patrząc w stronę przejeżdżającej Drużyny i strojąc wojownicze miny. Jedna przełożyła obwisłe piersi pokryte niebieskimi żyłkami przez balustradę balkonu i zawołała:

– Jak wam się podobają?

Płoszka uważała, że wyglądają równie atrakcyjnie jak zgniła szynka. Jednakże nigdy nie wiadomo, co może rozpaścić pożądanie w niektórych ludziach. Jakiś mężczyzna z zachwytem spoglądał w górę, jednocześnie poruszając dłonią w spodniach, a inni obojętnie go omijali, jakby walenie konia na ulicy było czymś zwyczajnym. Płoszka wyduła policzki.

– Byłam w różnych paskudnych miejscach i robiłam w nich różne paskudne rzeczy, ale nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– Ja również – mruknął Owca, rozglądając się z surową miną i opierając dłoń na rękojeści miecza.

Płoszka miała wrażenie, że jego ręka ostatnio często tam spoczywała i było jej wygodnie. Jednak nie tylko Owca miał broń na podorędziu. Atmosfera zagrożenia była tak gęsta, że można ją było przeżuwać, a bandy brzydkich, uzbrojonych po zęby mężczyzn o wyraźnie złych zamiarach kręciły się po werandach budynków, posyłając twarde spojrzenia podobnym grupom po przeciwnej stronie ulicy.

Kiedy Drużyna czekała, aż zwolni się przejazd, jakiś zbir ze

zbyt obfitym podbródkiem i zdecydowanie za małym czołem podszedł do wozu Majuda i warknął:

– Po której stronie ulicy jesteście?

Majud, który nigdy nie postępował pochopnie, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Kupiłem działkę, na której zamierzam otworzyć interes, ale dopóki jej nie zobaczę...

– On nie mówi o działkach, głupcze – parsknął kolejny osiłek o włosach tak tłustych, jakby zanurzył je w zimnej zupie. – Wybierajcie: Burmistrz czy Papa Ring?

– Przyjechałem tutaj w interesach. – Majud strzelił lejcami i wóz ruszył z miejsca. – Nie zamierzam opowiadać się po żadnej ze stron.

– Jedyne, co nie znajduje się po żadnej ze stron ulicy, to kanał! – zawołał za nim Podbródek. – Chcesz, kurwa, trafić do kanału?

Ulica stawała się coraz szersza i bardziej zatłoczona, jak pełną morze gnoju, kolumny wznosiły się coraz wyżej, a w miejscu, w którym dolina rozdzielała się na dwoje, na zboczu stały ruiny dawnego teatru. Słodki czekał na nich obok potężnego budynku, który przypominał setkę spiętrzonych bud. Wyglądało na to, że jakiś optymista postanowił potraktować ściany wapnem, ale zrezygnował w połowie i pozostawił resztę, żeby powoli się łuszczyła, jak olbrzymia jaszczurka zrzucająca skórę.

– Oto Emporium Romansu, Pieśni i Pasmantierii Papy Ringa, wśród miejscowych znane jako Biały Dom – poinformował Słodki Płoszkę, gdy uwiązała konia. – A tam – rzekł stary zwiadowca, wskazując na drugi brzeg strumienia, który dzielił ulicę na pół i służył jednocześnie jako źródło wody pitnej oraz

kanal, przecinany kamieniami do przechodzenia, mokrymi deskami i prowizorycznymi mostkami – znajduje się Burmistrzowski Kościół Kości.

Kościół zajmował ruiny jakiejś starej świątyni – skupisko kolumn zwieńczonych omszałym frontonem – a budowlę uzupełniono chaotyczną plątaniną desek, poświęcając dawne miejsce kultu zupełnie innym idolom.

– Chociaż, szczerze mówiąc, oba przybytki proponują pieprzenie, picie i hazard, więc różnią się głównie szyldem – ciągnął Słodki. – Chodźcie, Burmistrz chętnie was pozna. – Odsunął się, żeby przepuścić grzechoczący wóz chlapiący błotem spod tylnych kół, po czym ruszył na drugą stronę ulicy.

– A co ja mam zrobić?! – zawołał Temple, który wciąż siedział na swoim mule z paniką na twarzy.

– Podziwiał widoki. Kaznodzieja znajdzie tutaj materiał na całe życie kazań. Ale jeśli najdzie cię ochota, żeby samemu spróbować, nie zapomnij, że masz długi!

Płoszka przeszła przez ulicę w ślad za Owcą, starając się stąpać po najtwardszych miejscach, podczas gdy breja próbowała wessać jej buty. Okrążyła potężny głaz, który okazał się głową powalonego posągu, z jedną połową twarzy zatopioną w błocie, a drugą wciąż naznaczoną dziurawym dumnym grymasem. Następnie wspięła się po schodach do Kościoła Kości i wkroczyła w świetliste wejście, przechodząc pomiędzy dwiema grupami ponurych zbirów.

W środku uderzyły ją gorąco i smród spoconych ciał, z taką siłą, że Płoszka – choć przywykła do braku higieny – przez chwilę miała wrażenie, że w nich utonie. W powietrzu unosił się dym z wysoko buchających ogni, palonej czaggi oraz tanich lamp krztuszących się tanią oliwą, tak że oczy Płoszki

natychmiast wypełniły się łzami. Po poplamionych ścianach, składających się w połowie z zielonego drewna, a w połowie z omszałych kamieni, spływała wilgoć rozpaczliwych oddechów. Na ścianach alków, ponad kłębiącymi się ludźmi, wisiały tuziny zakurzonych imperialnych zbroi, które zapewne należały do jakiegoś dawnego generała i jego straży. Dumna przeszłość z anonimową naganą przyglądała się żalösnej terażniejszości.

– Będzie gorzej? – mruknął Owca.

– A czy cokolwiek staje się lepsze? – spytał Słodki.

W powietrzu rozbrzmiewał grzechot rzucanych kości i wykrzykiwanych zakładów, miotanych obelg i ostrzeżeń. Kapela grała, jakby zależało od tego jej życie, a pijani poszukiwacze śpiewali do muzyki, chociaż nie znali nawet jednej czwartej słów, więc uzupełniali braki w tekście przypadkowymi przekleństwami. Jakiś mężczyzna przeszedł obok nich, trzymając się za złamany nos, i wpadł na kontuar z lśniącego drewna – które jako jedyne w tym miejscu sprawiało pozory czystości – ciągnący się bez końca i oblegany przez klientów domagających się napitków. Cofając się, Płoszka niemal przewróciła się, gdy wpadła na stolik do gry w karty. Na jednym z graczy siedziała okrakiem kobieta i wsysała się w jego usta, jakby miał w gardle bryłkę złota, a ona próbowała ją chwycić językiem.

– Dab Słodki?! – zawołał mężczyzna z brodą, która sięgała mu niemal do oczu, klepiąc zwiadowcę w rękę. – Patrzcie, Słodki wrócił!

– Tak i przyprowadziłem ze sobą Drużynę.

– Nie miałeś po drodze kłopotów z Sangeedem?

– Miałem – odparł Słodki. – Skończyło się to jego śmiercią.

– Śmiercią?

– Właśnie tak. – Wskazał kciukiem Owcę. – To ten chwata...

Brodacz już wspinał się na najbliższy stolik, z hukiem zrzucając na posadzkę kieliszki, karty i żetony.

– Słuchajcie wszyscy! Dab Słodki zabił tego skurwiela Sangeeda! Wredny stary Duch nie żyje!

– Niech żyje Dab Słodki! – ryknął ktoś.

Fala aplauzu uderzyła w zniszczone krokwie, a kapela zagrała z jeszcze większym entuzjazmem.

– Chwileczkę – zaprotestował Słodki. – To nie ja go zabiłem...

Owca poprowadził go dalej.

– Powiadają, że milczenie jest najlepszą zbroją wojownika. Zabierz nas do Burmistrza.

Przecisnęli się przez falujący tłum, mijając klatkę, w której dwaj pracownicy ważyli złoty pył oraz setki rodzajów monet i za pomocą alchemii liczydła przemieniali je w żetony i z powrotem. Kilku mężczyzn, których Owca odepchnął z drogi, nie było tym zachwyconych, ale gdy się odwracali z ostrymi słowami na końcu języka, szybko zmieniali zdanie, widząc jego twarz. Tę samą twarz, obwisłą i żalowaną, z której śmiali się chłopcy w Uczciwości. Od tamtego czasu bardzo się zmienił. A może po prostu wyszedł z ukrycia.

Dwóch zbirów o ostrych spojrzeniach blokowało wejście na schody, ale Słodki zawołał: „Burmistrz czeka na tych dwoje!”, po czym poklepał swoich towarzyszy po plecach i posłał ich na górę. Przeszli wzdłuż balkonu wychodzącego na zatłoczoną salę i dotarli do ciężkich drzwi, których pilnowały kolejne dwie surowe twarze.

– Jesteśmy – rzekł Słodki i zapukał.

Otworzyła im kobieta.

– Witajcie w Fałdzie.

Miała na sobie czarną połyskującą suknię z długimi rękawami, zapiętą pod samą szyję. Wyglądała na niecałe pięćdziesiąt lat, a włosy miała przyprószone siwizną. Kiedyś musiała być bardzo piękna, a jej czas jeszcze nie minął. Ścisnęła dłoń Płoszki obiema rękami.

– Ty pewnie jesteś Płoszka. A to Owca. – Chwyliła również zniszczoną łapę Owcy, a on podziękował jej chrapliwym głosem, po czym zdjął kapelusz, spod którego wysypały się rzadkie, od dawna niestrzyżone włosy.

Kobieta uśmiechnęła się, jakby nigdy nie spotkała się z równie wytwornym gestem. Z trzaskiem zamknęła drzwi, które odgrodziły ich od szaleństwa panującego na zewnątrz. Zapanowały spokój i rozsądek.

– Siadajcie. Panicz Słodki opowiedział mi o waszych kłopotach. O porwanych dzieciach. Straszna historia. – Na jej twarzy odmalowało się takie cierpienie, jakby zniknęły jej własne maleństwa.

– Tak – szepnęła Płoszka, nie wiedząc, co począć z taką dawką współczucia.

– Macie ochotę się czegoś napić? – Nie czekając na odpowiedź, szcudrze napełniła cztery szklaneczki trunkiem. – Wybaczcie wygląd tego miejsca. Jak się pewnie domyślacie, trudno tutaj dostarczyć dobre meble.

– Nic nie szkodzi – odparła Płoszka, chociaż miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie siedziała na tak wygodnym krześle i nie była w tak ładnym pomieszczeniu. Kantyjskie zasłony w oknach, świeczki w kloszach z kolorowego szkła, potężne biurko z blatem pokrytym czarną skórą nieznacznie naznaczoną śladami po butelkach.

Kobieta ma znakomite maniery, pomyślała Płoszka, gdy ich

gospodyni podawała napitki. Nie było w niej wyniosłości ani pogardy, które według idiotów mogą cię wynieść ponad tłum. Zamiast tego sprawiała, że czułeś się wartościowy, nawet jeśli przyszedłeś do niej zmęczony i brudny jak pies, z gołym tyłkiem wystającym z podartych spodni, oddalony o setki mil wędrówki zapyloną równiną od ostatniej kąpieli.

Płoszka upiła łyk, zauważając, że alkohol również znacznie przewyższa ją klasą, po czym odchrząknęła.

– Chcieliśmy porozmawiać z Burmistrzem.

Kobieta przysiadła na krawędzi biurka – sprawiała wrażenie, jakby potrafiła wygodnie się rozsiąść nawet na ostrzu brzytwy – po czym odrzekła:

– Właśnie rozmawiacie.

Owca z zakłopotaniem poprawił się na krześle, jakby było zbyt wygodne, by mógł się na nim wygodnie czuć.

– Jest pani kobietą? – spytała Płoszka, nieco oszołomiona piekłem na zewnątrz i spokojem panującym wewnątrz.

Burmistrz tylko się uśmiechnęła. Chociaż często to robiła, wcale nie miało się tego dosyć.

– Po drugiej stronie ulicy inaczej mnie nazywają, ale rzeczywiście. – Opróżniła szklaneczkę w sposób wskazujący, że to nie jej pierwsza i nie ostatnia, lecz nie ma to żadnego znaczenia. – Słodki powiedział, że kogoś szukacie.

– Człowieka nazwiskiem Grega Cantliss – odrzekła Płoszka.

– Znam Cantlissa. Wymuskana szumowina. Rabuje i morduje dla Papy Ringa.

– Gdzie możemy go znaleźć? – spytał Owca.

– Wyjechał z miasta. Ale myślę, że wkrótce wróci.

– Kiedy to może nastąpić? – spytała Płoszka.

– Za czterdzieści trzy dni.

Z Płoszki uszło powietrze. Przygotowywała się na dobre wieści, a przynajmniej na jakieś wieści. Dodawały jej sił myśli o uśmiechniętych twarzach Pestki i Ro oraz ich szczęśliwym ponownym spotkaniu. Powinna była mieć więcej rozsądku, ale nadzieja jest jak wilgoć – nieważne, jak bardzo starasz się przed nią zabezpieczyć, odrobina zawsze się przedostanie. Opróżniła szklaneczkę, której zawartość straciła całą słodycz.

– Zaraza – syknęła.

– Przyjechaliśmy z bardzo daleka. – Owca delikatnie odstawił swoją szklaneczkę na biurko, a Płoszka z niepokojem zauważyła, że jego knykcie pobielają. – Niewątpliwie doceniam pani gościnność, ale nie jestem w nastroju do pierdolonych gierek. Gdzie jest Cantliss?

– Ja również rzadko bywam w nastroju do pierdolonych gierek. – W eleganckich ustach pani Burmistrz ostre słowo zabrzmiało dwukrotnie wulgarniej. Popatrzyła Owcy w oczy, jakby chciała pokazać, że niezależnie od dobrych manier nie pozwoli sobą pomiatać. – Cantliss wróci za czterdzieści trzy dni.

Płoszka nigdy nie była skłonna do rozczulania się nad sobą. Przez krótką chwilę grzebała językiem w szparze pomiędzy zębami, rozmyślając o tym, jak niesprawiedliwie świat traktuje jej niewinną padlinę, po czym wróciła na ziemię.

– Dlaczego akurat za czterdzieści trzy dni?

– Wtedy w Fałdzie zrobi się ciekawie.

Płoszka wskazała głową okno, przez które przedostawały się odgłosy szaleństwa.

– Mam wrażenie, że zawsze jest.

– To co innego. – Burmistrz wstała i zaproponowała im dolewkę.

– Czemu nie? – odrzekła Płoszka, a Owca i Słodki również skorzystali. Odmawianie trunku w Fałdzie wydawało się równie nie na miejscu jak niechęć do oddychania. Zwłaszcza gdy alkohol był tak wyśmienity, a powietrze tak paskudne.

– Papa Ring i ja od ośmiu lat patrzymy na siebie z przeciwnych stron ulicy. – Burmistrz podeszła do okna i wyjrzała na gwarną rzeź w dole. Potrafiła stąpać tak cicho i elegancko, jakby poruszała się na kółkach. – Kiedy przybyliśmy, to miejsce było tylko fałdą na mapie. Dwadzieścia bud pośród ruin, gdzie traperzy mogli przeczekać zimę.

Słodki zachichotał.

– Nielicho się pani wśród nich wyróżniała.

– Szybko się do mnie przyzwyczaili. Przez osiem lat miasteczko rosło wokół nas. Przetrwaliśmy zarazę, cztery najazdy Duchów, dwie wizyty bandytów, kolejną zarazę, a po olbrzymim pożarze odbudowaliśmy wszystko z większym rozmachem, dzięki czemu byliśmy gotowi, gdy odkryto złoto i zaczęli do nas przybywać ludzie. Od ośmiu lat patrzymy i warczymy na siebie z przeciwnych stron ulicy, cały czas trwając na granicy wojny.

– Zmierza pani do jakiejś puenty? – spytała Płoszka.

– Nasz konflikt zaczął się źle odbijać na interesach. Postanowiliśmy zawrzeć układ w oparciu o prawo górnicze, jedyne, które obecnie tutaj obowiązuje. Zapewniam, że ludzie podchodzą do niego bardzo poważnie. Potraktowaliśmy miasto jak działkę, do której rości sobie prawo dwoje rywali, a zwycięzca weźmie wszystko.

– Zwycięzca czego? – spytał Owca.

– Walki. To nie mój pomysł, Papa Ring mnie w to wmanewrował. Walka, jeden na jednego, na gołe pięści, w Kręgu

wyznaczonym w starym amfiteatrze.

– Walka w Kręgu – szepnął Owca. – Zapewne na śmierć i życie?

– Z tego, co wiem, najczęściej tak to się kończy. Panicz Słodki twierdzi, że masz w tej materii trochę doświadczenia.

Owca popatrzył na Słodkiego, potem na Płoszkę, a w końcu na panią Burmistrz.

– Trochę – mruknął.

Jeszcze niedawno Płoszka pękłaby ze śmiechu na myśl o Owcy walczącym na śmierć i życie

Teraz trudno było o coś mniej zabawnego.

Słodki zachichotał, odstawiając pustą szklaneczkę.

– Chyba możemy przestać udawać, prawda?

– Udawać? – zdziwiła się Płoszka.

– Mówię o Owcy – odrzekł Słodki. – Wiesz, jak nazywam wilka w owczej skórze?

Owca odwzajemnił jego spojrzenie.

– Widzę, że nie zdołasz zachować tego dla siebie.

– Wilkiem. – Stary zwiadowca pogroził mu palcem, wyraźnie zadowolony z siebie. – Nabrałem co do ciebie podejrzeń, kiedy zobaczyłem, jak potężny dziewięciopalcy Północny rozprawia się z dwoma włóczęgami w Averstock. Gdy zobaczyłem, jak rozgniatasz Sangeeda niczym chrząszcza, byłem już pewien. Przyznaję, że kiedy zaprosiłem cię do Drużyny, przyszło mi do głowy, że możecie nawzajem sobie pomóc z panią Burmistrz...

– Spryciarz z ciebie, co? – warknął Owca z ogniem w oczach, a na jego grubej szyi nagle uwypukliły się żyły. – Ale uważaj, bo kiedy ściągniesz tę maskę, skurwielu, może ci się nie spodobać, co znajdziesz pod spodem!

Słodki zadrżał, Płoszka się wzdrygnęła, a wygodny pokój nagle zawisł na krawędzi otchłani, co nie sprzyja bezpiecznej rozmowie. W końcu Burmistrz uśmiechnęła się, jakby to wszystko było przyjacielskim żartem, delikatnie ujęła Owcę za drżącą rękę i napełniła mu szklanę, przez chwilę nie cofając dłoni.

– Papa Ring sprowadził człowieka, który ma dla niego walczyć – kontynuowała gładko. – Północnego zwanego Złotym.

– Głame Złotego? – Owca skulił się na krześle, jakby zawstydził się swojego wybuchu.

– Znam to imię – rzekła Płoszka. – Słyszałam, że tylko głupiec stawia na jego przeciwnika.

– To zależy, z kim walczy. Żaden z moich ludzi nie może się z nim równać, ale ty... – Pochyliła się, a słodka woń perfum, rzadka jak złoto pośród smrodu Fałdy, sprawiła, że nawet Płoszce zrobiło się gorąco pod kołnierzem. – Cóż, z tego, co mi mówił Słodki, ty możesz się równać z każdym.

Kiedyś Płoszka pękała ze śmiechu, słysząc te słowa. Teraz nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zachichotać.

– Najlepsze lata mam już chyba za sobą – mruknął Owca.

– Ależ daj spokój. Żadne z nas jeszcze nie ma z górki. Potrzebuję twojej pomocy i ja też mogę ci pomóc. – Burmistrz popatrzyła Owcy w oczy, a on odwzajemnił spojrzenie, zupełnie jakby byli sami w pomieszczeniu.

Wtedy Płoszka się zmartwiła. Miała wrażenie, że ta kobieta ją przelicytowała, jeszcze zanim ktokolwiek podał cenę.

– Dlaczego nie mielibyśmy znaleźć dzieci w inny sposób? – odburknęła głosem chrapliwym jak krakanie cmentarnej wrony.

– Nic nie stoi na przeszkodzie – odparła Burmistrz. – Ale jeśli chcecie Cantlissa, Papa Ring stanie wam na drodze, a tylko ja

mogę go usunąć. Czy to uczciwa propozycja, Dab?

– Na pewno szczerą – odpowiedział Słodki, który wciąż sprawiał wrażenie nieco niespokojnego. – Uczciwość niech ocenią lepsi sędziowie.

– Nie musicie decydować od razu. Przygotuję dla was pokój w „Zajeździe Camlinga”. To najbardziej neutralne miejsce, jakie tutaj mamy. Jeśli uda wam się odnaleźć dzieci bez mojej pomocy, macie moje błogosławieństwo. Ale jeśli nie... – Burmistrz ponownie się uśmiechnęła – ...będę tutaj.

– Dopóki Papa Ring nie wykopie pani z miasta.

Przeniosła na Płószkę spojrzenie pełne żarliwego gniewu, ale już po chwili wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że i tak zostanę. – Po czym naląła następną kolejkę.

Działki

– To działka – rzekł Temple.

Majud powoli pokiwał głową.

– Niewątpliwie.

– Poza tym nie wiem, co powiedzieć – dodał Temple.

Majud powoli pokręcił głową.

– Ja również. Nawet jako jej właściciel.

Wyglądało na to, że opowieści o złocie w Fałdzie były drastycznie przesadzone, jednak nikt nie mógł zaprzeczyć, że miasto posiada ogromne zasoby błota. Główną ulicę pokrywała zdradziecka breja, w której wszyscy musieli brodzić, klnąc, na czym świat stoi. Był także plamiący brud, który tryskał spod kół wozów na niesamowite wysokości, ochlapując każdy dom, kolumnę, zwierzę i człowieka. Była podstępna, rozwodniona maź, która wylaziła spod ziemi, wnikając w drewno i płótno, rozkwitając mchem i pleśnią, pozostawiając czarne ślady na wszystkich sukniach w mieście. Był niewyczerpany przypływ gnoju, gówna, nawozu i nieczystości, które pojawiały się we wszystkich możliwych kolorach i kształtach, w najmniej spodziewanych miejscach. Poza tym, oczywiście, był wszechobecny brud moralny.

Na działce Majuda nie brakowało żadnego z nich.

Niewymownie zabiedzony człowiek wytoczył się z jednego z długich i obszernych, obszarpanych namiotów, które bezładnie porzastawiano w okolicy, i splunął na usiane

śmieciami błoto. Potem zwrócił się ku Majudowi i Temple'owi z niezwykle wojowniczym wyrazem twarzy, podrapał zarobaczoną brodę, podciągnął rozpadający się podkoszulek, który od razu ponownie opadł, i wycofał się w nieprzeniknioną ciemność, skąd się wyłonił.

– Dobre miejsce – zauważył Majud.

– Znakomite – odrzekł Temple.

– Przy głównej ulicy.

Zresztą, Fałda była tak wąska, że była to jej jedyna ulica. Światło dnia ukazało inne oblicze arterii: może nie zrobiło się czystiej – wręcz przeciwnie – ale przynajmniej zniknęła atmosfera zamieszek w domu dla obłąkanych. Powódź pijanych kryminalistów płynąca między zniszczonymi kolumnami zmieniła się w niewielką strużkę, bardziej godną szacunku. Burdele, kasyna, palarnie plew i spelunki nadal przyjmowały klientów, ale już nie reklamowały się z takim zapalem, jakby zaraz miał się skończyć świat. Ujawniły się lokale o mniej spektakularnej ofercie: jadłodajnie, kantory, lombardy, kuźnie, stajnie, jatki, stajnie połączone z jatkami, siedziby szczurołapów i kapeluszników, handlarzy zwierzętami i futrami, agentów nieruchomości, konsultantów do spraw minerałów i sprzedawców kiepskiej jakości sprzętu do wykopalisk, a także urzędy pocztowe, których pracowników Temple wielokrotnie przyłapywał na wyrzucaniu listów do strumienia, czasami jeszcze przed granicą miasta. Grupy zmęczonych poszukiwaczy wlekły się ponuro na swoje działki, zapewne licząc na to, że uda im się zeskrobać wystarczająco dużo złotego pyłu z dna lodowatego strumienia, by zapłacić za kolejną noc szaleństwa. Od czasu do czasu do miasteczka przybywała kolejna zaniedbana Drużyna goniąca za swoimi zróżnicowanymi

marzeniami i zazwyczaj spoglądała na miasto z takim samym przerażeniem i zadziwieniem, jak Majud i Temple pierwszego dnia pobytu.

Oto Fałda. Miejsce, gdzie każdy jest tylko przejazdem.

– Mam szyld – rzekł Majud, poklepując czule przedmiot.

Był śnieżnobiały z pozłacanymi literami i głosił: „Artykuły metalowe u Majuda i Curnsbicka: zawiasy, gwoździe, narzędzia, części do wozów, wysokiej jakości kowalstwo”. Poniżej zapisano „Artykuły metalowe” w pięciu innych językach, co było rozsądne w Fałdzie, gdzie czasami trudno znaleźć dwie osoby używające tej samej mowy, a co dopiero potrafiące w niej czytać. Słowa w języku Północy napisano z błędem, ale szyld i tak sprawiał o niebo lepsze wrażenie od większości krzykliwych tabliczek dyndających nad główną ulicą. Na budynku naprzeciwko wisiała czerwona wywieszka z żółtymi literami, które spłynęły aż do dolnej krawędzi. Napis głosił „Pałac Jebania”.

– Przywiozłem go aż z Adui – pochwalił się Majud.

– To zacny szyld, który dowodzi tego, jak wiele osiągnąłeś, docierając tutaj. Teraz potrzebujesz tylko budynku, na którym go powieszysz.

Kupiec odchrząknął, a wyraźnie zarysowana grdyka na jego gardle podskoczyła.

– Pamiętam, że na imponującej liście twoich byłych zawodów nie zabrakło też budowniczego domów.

– Pamiętam, że wtedy nie zrobiło to na tobie wrażenia – odparł Temple. – „Tutaj ich nie potrzebujemy”, tak powiedziałaś.

– Masz dobrą pamięć do rozmów.

– Zwłaszcza do tych, od których zależy moje życie.

– Czy muszę zaczynać każde nasze spotkanie od przeprosin?

– Nie widzę żadnego ważnego powodu, by tak nie było.

– W takim razie przepraszam. Pomyliłem się. Dowiodłeś, że jesteś lojalnym towarzyszem podróży, a także świetnie sobie radzisz z prowadzeniem modlitw. – Bezpański pies przekuśtykał przez działkę, powąchał kawałek gówna, dodał kolejny od siebie, po czym odszedł. – Powiedz, jako stolarz...

– Były stolarz.

– ...jak byś się zabrał za budowanie na tej działce?

– Gdybyś przystawił mi nóż do gardła? – Temple zrobił krok do przodu i z chlupotem zapadł się znacznie powyżej kostki. Z dużym trudem uwolnił but.

– Teren nie jest najlepszy – musiał przyznać Majud.

– Teren zawsze jest odpowiedni, jeśli dotrze się odpowiednio głęboko. Zaczniemy od wbicia słupów ze świeżego twardego drewna.

– To będzie wymagało sporo siły. Sprawdzę, czy Owca poświęci nam dzień albo dwa.

– Rzeczywiście, silny z niego jegomość.

– Nie chciałbym być na miejscu tych słupów.

– Ani ja. – Temple czuł nad sobą wiszący młot od chwili porzucenia Kompanii Łaskawej Dłoni i miał nadzieję, że to się wreszcie skończy. – Drewniany szkielet oparty na słupach, a potem kantowane belki z kołkami do podparcia podłogi z sosnowych desek, żeby klientom nie przeszkadzało błoto. W przedniej części parteru sklep, z tyłu gabinet i warsztat. Murarz postawi komin i kamienną przybudówkę, w której urządzisz kuźnię. Na piętrze twoja kwatera. Widzę, że w modzie są tutaj balkony wychodzące na ulicę. Jeśli chcesz, możesz go przyozdobić półnagimi kobietami.

– Myślę, że w tym względzie zerwę z miejscową tradycją.

– Stromy dach zabezpieczy dom przez zimowymi opadami i zapewni miejsce na strych, gdzie można urządzić magazyn albo kwatery pracowników. – Budynek nabierał kształtów w wyobraźni Temple’a, a jego ręka kreśliła wstępne wymiary. Efekt tylko nieznacznie psuła banda dzikich dzieci z ludu Duchów, które baraszkowały nago w strumieniu pełnym gówna.

Majud skinął głową z uznaniem.

– Powinieneś był się przedstawić jako architekt, a nie stolarz.

– To by coś zmieniło?

– Jeśli chodzi o mnie, owszem.

– Ale założę się, że nie w przypadku Curnsbicka.

– On ma serce z żelaza...

– Mam! – Pokryty zaschniętym brudem osobnik wjechał z chlupotem do miasteczka, zmuszając swoją wyczerpaną, kuśtykającą szkapę do maksymalnego wysiłku. Uniósł jedną rękę wysoko, jakby trzymał w niej słowa Wszechmogącego. – Mam! – ryknął ponownie.

Temple zauważył w jego dłoni charakterystyczny błysk złota. Ludzie zaczęli wiwatować i gratulować bez entuzjazmu, poklepując poszukiwacza po plecach, gdy ten zeskoczył z konia, jakby mieli nadzieję, że przejdzie na nich jego szczęście.

– Jeden z farciarzy – zauważył Majud.

Patrzyli, jak poszukiwacz człapie na krzywych nogach w górę schodów prowadzących do Burmistrzowskiego Kościoła Kości, a obdarty tłum podąża za nim, chcąc choćby rzucić okiem na samorodek.

– Podejrzewam, że do obiadu będzie splukany – rzekł Temple.

– Dajesz mu aż tyle czasu?

Odsunęła się kłapa jednego z namiotów. Ze środka dobiegło stęknienie i wyleciał łuk szczyń, który obryzgał ścianę innego namiotu, potem błoto, osłabł do małej strużki i ustał. Namiot znów się zamknął.

Majud ciężko westchnął.

– W zamian za pomoc w wybudowaniu omawianej struktury, jestem gotów płacić ci markę dziennie.

Temple parsknął.

– Widzę, że Curnsbick nie pozbawił Kręgu Świata całej szczodrości.

– Drużyna uległa rozwiązaniu, ale to nie znaczy, że nie czuję się odpowiedzialny za ludzi, z którymi podróżowałem.

– Albo po prostu zamierzałeś znaleźć tutaj stolarza, ale okazało się, że dzieła miejscowych rzemieślników są... pośledniej jakości. – Temple uniósł brew, patrząc na budynek stojący obok działki, którego wszystkie drzwi oraz okna były krzywe i rozmieszczone pod różnymi kątami. Budowla przechylała się na bok, mimo że podpierał ją stary kamienny blok na wpół zatopiony w ziemi. – Może chciałbyś wybudować zakład, który przetrwa najbliższą ulewę. Jak myślisz, czy w zimie pogoda staje się tutaj dokuczliwa?

Zapadła cisza, w której zimny wiatr poruszał płótnami namiotów i niebezpiecznie kołysał skrzypiącymi budynkami.

– Jakiej zapłaty oczekujesz? – spytał Majud.

Temple poważnie się zastanawiał nad ucieczką i porzuceniem Płoszki, której wciąż był winien siedemdziesiąt sześć marek. Niestety, nie miał dokąd ani z kim uciec, a sam radził sobie jeszcze gorzej niż w towarzystwie. To oznaczało, że musiał znaleźć pieniądze.

– Trzy marki dziennie. – To jedna czwarta tego, co płacił mu

Cosca, ale dziesięć razy więcej, niż zarabiał, jadąc za bydłem.

Majud cmoknął.

– Absurd. Przemawia przez ciebie prawnik.

– Jest bliskim przyjacielem stolarza.

– Skąd mogę wiedzieć, że twoja praca będzie godna tej zapłaty?

– Zachęcam do poszukania kogokolwiek, kto nie byłby całkowicie zadowolony z jakości moich budowli.

– Przecież nie wybudowałeś tutaj żadnych domów!

– Zatem twój będzie wyjątkowy. Klienci będą walili drzwiami i oknami, żeby go zobaczyć.

– Półtorej marki dziennie. Jeśli dam więcej, Curnsbick urwie mi głowę!

– Nie chciałbym mieć twojej śmierci na sumieniu. Dwie marki plus wyżywienie i nocleg. – Temple wyciągnął dłoń.

Majud popatrzył na nią bez entuzjazmu.

– Zawdzięczamy Płoszce nieprzyjemny precedens w dziedzinie negocjacji.

– Bezwzględnością dorównuje paniczowi Curnsbickowi. Może powinni założyć wspólny interes.

– Jeśli dwa szakale potrafią się podzielić padliną.

Uścisnęli sobie dłonie. Potem ponownie przyjrzeni się działce. Podczas ich rozmowy nie stała się ani trochę atrakcyjniejsza.

– Należałoby zacząć od oczyszczenia terenu – rzekł Majud.

– Zgadzam się. W obecnym stanie woła o pomstę do Nieba. A także stanowi zagrożenie dla zdrowia.

Kolejny mieszkaniec wyłonił się z zapleśniałego namiotu, którego obwisłe ściany niemal dotykały błota. Był nagi i nosił długą siwą brodę, która jednak była zbyt krótka, by ochronić

jego godność, a przynajmniej godność innych ludzi, oraz pas z dużym nożem w pochwie. Usiadł na ziemi i zaczął żarłocznie ogryzać kość.

– W tym także może się nam przydać panicz Owca.

– Niewątpliwie. – Majud poklepał Temple'a po ramieniu. – Poszukam Północnego, a ty zabierz się za oczyszczanie.

– Ja?

– A kto?

– Jestem stolarzem, a nie szeryfem!

– Jeszcze wczoraj byłeś kapłanem i poganiaczem bydła, a chwilę wcześniej prawnikiem! Człowiek o tak rozlicznych talentach z pewnością sobie poradzi. – Majud szybkim krokiem ruszył ulicą.

Temple przeniósł wzrok z ziemskich brudów na czyste, błękitne niebo.

– Nie twierdzę, że na to nie zasłużyłem, ale bardzo lubisz wystawiać ludzi na próbę. – Podwinął nogawki i ostrożnie podszedł do nagiego żebraka z kością, lekko utykając, gdyż pośladek, w który Płoszka zraniła go na równinach, wciąż mu dokuczał porankami.

– Dzień dobry! – zawołał.

Mężczyzna popatrzył na niego, wyęzając wzrok i wysysając kawałek chrząstki.

– Nie bardzo, kurwa! Masz coś do picia?

– Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli z tym zerwę.

– Więc lepiej, żebyś miał dobry powód do zawracania mi dupy, chłopcze.

– Mam powód, ale wątpię, czy uznasz go za dobry.

– Zawsze możesz spróbować.

– Tak się składa, że wkrótce będziemy budować na tej działce.

– Jak zamierzacie to zrobić, skoro ja tu jestem?

– Miałem nadzieję, że dasz się namówić do przeprowadzki.

Żebrak dokładnie obejrzał swoją kość, a gdy nie znalazł na niej niczego nadającego się do zjedzenia, rzucił ją Temple'owi. Kość odbiła się od koszuli.

– Bez butelczyny do niczego mnie nie namówisz.

– Tylko że działka należy do mojego pracodawcy, Abrama Majuda, który...

– Kto tak powiedział?

– Jak to kto...?

– Kurwa, czy ja się jąkam? – Mężczyzna wyjął nóż, jakby potrzebował go do jakiegoś codziennego zadania, ale podtekst był jasny. To było bardzo duże ostrze, imponująco czyste, zważywszy na brud panujący w promieniu dziesięciu kroków, a jego krawędź lśniła w blasku porannego słońca. – Pytałem, kto tak powiedział?

Temple cofnął się chwiejnie i zderzył z czymś twardym. Obrócił się na pięcie, pewien, że stanie twarzą w twarz z kolejnym mieszkańcem namiotu, być może uzbrojonym w jeszcze większy nóż – w Fałdzie było tak wiele dużych noży, że trudno było odróżnić je od mieczy – i z olbrzymią ulgą stwierdził, że stoi za nim Owca.

– Ja tak powiedziałem – rzekł Owca do żebraka. – Możesz mnie zignorować. Możesz jeszcze chwilę powywijać swoim nożykiem. Ale żebyś się nie zdziwił, jeśli znajdziesz go w swojej dupie.

Mężczyzna popatrzył na ostrze, być może żalując, że nie zdecydował się na mniejsze. Potem wstydliwie je schował.

– Chyba po prostu sobie pójdę.

Owca pokiwał głową.

– Chyba tak.

– Mogę zabrać spodnie?

– Koniecznie, kurwa.

Żebrak zanurkował w namiocie, a po chwili wyszedł, zapinając najbardziej podarte ubranie, jakie Temple kiedykolwiek widział.

– Jeśli wam to nie przeszkadza, zostawię namiot. Nie jest zbyt dobrej jakości.

– Co ty nie powiesz – odparł Temple.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę obok nich stał.

– Czy byłaby jakaś szansa na tę butelczynę...?

– Idź już – warknął Owca, a żebrak ruszył z miejsca, jakby gonił go wściekły pies.

– Tutaj jesteś, paniczu Owco! – Majud zbliżył się, brodząc w błocie, przytrzymując nogawki spodni, spod których wystawały dwie szczupłe, ubrudzone łydki. – Miałem nadzieję, że uda mi się namówić cię do pracy dla mnie, tymczasem widzę, że już się tym zająłeś!

– To nic takiego – odparł Owca.

– Jednak, jeśli pomożesz nam oczyścić teren, chętnie zapłacę...

– To nie będzie konieczne.

– Naprawdę? – Rozmyte światło słońca zalśniło na złotym zębie Majuda. – Jeśli wyświadczysz mi tę przysługę, do końca życia będę cię uznawał za swojego przyjaciela!

– Muszę cię ostrzec, przyjacielu, że to może być niebezpieczne.

– Ale sędzę, że warte ryzyka.

– No i pozwoli nieco zaoszczędzić – wtrącił się Temple.

– Nie brakuje mi pieniędzy – rzekł Owca – ale zawsze miałem za mało przyjaciół. – Posłał surowe spojrzenie włóczędze w podkoszulku wyglądającemu ze swojego namiotu. – Ty tam!

Mężczyzna schował głowę w namiocie jak żółw wycofujący się do skorupy.

Majud popatrzył na Temple'a z uniesionymi brwiami.

– Gdyby każdy był tak pomocny.

– Nie każdy został zmuszony do sprzedania się w niewolę.

– Mogłeś odmówić. – Płoszka stała na chwiejącym się ganku sąsiedniego budynku, opierając się o balustradę ze skrzyżowanymi nogami i swobodnie zwisającymi palcami.

Początkowo Temple jej nie poznał. Miała na sobie nową koszulę z podwiniętymi rękawami, spod których wystawały opalone przedramiona, jedno z nich naznaczone wijącym się różowym śladem po linie. Na nią włożyła kamizelę z owczej skóry, która z pewnością była żółta, ale pośród otaczającego ich brudu sprawiała wrażenie białej jak niebiańska wizja. Zsunęła stary poplamiony kapelusz z czoła, a jej włosy, mniej tłuste i bardziej rude, poruszały się na wietrze.

Temple wpatrywał się w nią i docierało do niego, że sprawia mu to przyjemność.

– Wyglądasz...

– Czysto?

– Coś w tym rodzaju.

– A ty wyglądasz... na zaskoczonego.

– Odrobinę.

– Myślałeś, że śmierdzą, bo lubię?

– Nie, myślałem, że nie możesz nic na to poradzić.

Splunęła delikatnie przez szparę między przednimi zębami, prawie trafiając w jego buty.

– Więc właśnie odkryłeś swój błąd. Burmistrz była na tyle miła, że użyczyła mi swojej wanny.

– Kąpiel z Burmistrzem, no, no.

Mrugnęła do niego.

– Obracam się w coraz wyższych kręgach.

Temple pociągnął za brzeg swojej koszuli, którą trzymały w całości tylko najstarsze plamy.

– Myślisz, że mnie też pozwoli się wykąpać?

– Możesz spytać. Ale sądzę, że w czterech przypadkach na pięć każe cię zabić.

– Niezłe szanse. Mnóstwo ludzi gwarantuje moją przedwczesną śmierć w pięciu przypadkach na pięć.

– Może to dlatego, że jesteś prawnikiem?

– Wyobraź sobie, że od dzisiaj jestem stolarzem i architektem.

– Widzę, że wyślizgujesz się z kolejnych profesji równie szybko jak dziwka z majtek.

– Mężczyzna powinien wykorzystywać nadarżające się okazje. – Wskazał działkę. – Zostałem wynajęty do wybudowania na tym niezrównanym terenie mieszkania oraz siedziby firmy Majuda i Curnsbicka.

– Gratuluję zerwania z branżą prawniczą i zostania szanowanym członkiem społeczności.

– Jest coś takiego w Fałdzie?

– Jeszcze nie, ale myślę, że to kwestia czasu. Wystarczy umieścić razem grupę morderców, a wkrótce część z nich

zacznie kraść, potem kłamać, potem przeklinać, aż w końcu, zanim się obejrzymy, wytrzeźwieją, założą rodziny i będą uczciwie zarabiać na życie.

– Masz rację, to równia pochyła. – Temple patrzył, jak Owca wyprowadza z działki potarganego pijaka wlokącego za sobą po błocie skromny dobytek. – Czy pani Burmistrz pomoże ci znaleźć brata i siostrę?

Płoszka westchnęła.

– Być może. Ale nie za darmo.

– Wszystko ma swoją cenę.

– Wszystko. Ile dostajesz jako stolarz?

Temple się skrzywił.

– Niestety, ledwie wystarcza na przeżycie...

– Dwie marki dziennie plus wikt i opierunek! – krzyknął Majud, rozmontowując opuszczony namiot. – Znam bandytów, którzy są bardziej szczodrzy dla swoich ofiar!

– Dwie marki od tego skąpiradła? – Płoszka pokiwała głową z uznaniem. – Dobra robota. Wezmę z tego markę dziennie na poczet twojego długu.

– Markę – zdołał wykrztusić Temple. – Bardzo rozsądnie. – Jeśli istnieje Bóg, to z pewnością tylko pożyczą swoje łaski, a nigdy nie daje ich na zawsze.

– Myślałem, że Drużyna się rozwiązała! – Dab Słodki podjechał konno do działki. Nad jego ramieniem spoglądała Płacząca Skała. Najwyraźniej żadne z nich nawet nie zbliżyło się do wanny ani czystych ubrań. Temple'a to dziwnie pocieszyło. – Buckhorm wyjechał z miasta w poszukiwaniu trawy i wody, Lestek dekoruje teatr przed swoim wielkim debiutem, a większość pozostałych zabrała się za szukanie złota na własną rękę, ale widzę, że wasza czwórka jest nierozłączna. Jest mi

ciepło na sercu, że na tym pustkowiu udało mi się stworzyć warunki do rozkwitu takiej przyjaźni.

– Nie udawaj, że masz serce – odparła Płoszka.

– Coś musi pompować tę czarną truciznę przez moje żyły, prawda?

– Ach! – zakrzyknął Majud. – Czyż to nie nowy Imperator Równin, pogromca słynnego Sangeeda, Dab Słodki!

Zwiadowca posłał Owcy nerwowe spojrzenie.

– To nie ja rozpowszechniam te plotki.

– A jednak ogarnęły miasto jak pożar! Słyszałem pół tuzina wersji, z których żadna nie zgadza się z moimi wspomnieniami. Ostatnio opowiada się, że zastrzeliłeś starego Ducha z odległości mili przy silnym bocznym wietrze.

– Ja słyszałam, że nadziałeś go na rogi rozwścieczonego wołu – rzekła Płoszka.

– A według najnowszej wersji, która dotarła do moich uszu – dodał Temple – zabiłeś go w pojedynku, w obronie dobrego imienia kobiety.

Słodki parsknął.

– Skąd oni biorą te głupoty? Wszyscy wiedzą, że nie znam żadnych kobiet, które dysponowałyby dobrym imieniem. To twoja działka?

– Zgadza się – odrzekł Majud.

– Działka – rzekła uroczyście Płacząca Skala.

– Majud zlecił mi wybudowanie na niej sklepu – pochwalił się Temple.

– Jeszcze więcej budynków? – Słodki się wzdrygnął. – Przekłete dachy nad tobą wiszą. Ściany się ku tobie pochylają. Jak można tam oddychać?

Płacząca Skala pokręciła głową.

– Budynki.

– Kiedy człowiek jest w środku, myśli tylko o tym, jak się wydostać. Jestem wędrowcem. Urodziłem się, żeby żyć pod gołym niebem. – Słodki patrzył, jak Owca jedną ręką wyciąga z namiotu kolejnego wijącego się pijaka i rzuca go na ulicę. – Trzeba żyć w zgodzie ze swoją naturą, czyż nie?

Płoszka zmarszczyła czoło.

– Można próbować stać się kimś innym.

– Ale najczęściej to się nie sprawdza. Ten ciągły codzienny wysiłek doprowadza do wyczerpania. – Stary zwiadowca mrugnął do niej. – Owca przyjął propozycję pani Burmistrz?

– Jeszcze się zastanawiamy – odburknęła.

Temple popatrzył na nich oboje.

– O czymś nie wiem?

– Jak zwykle – odparła Płoszka, wciąż wpatrując się surowym wzorkiem w Słodkiego. – Jeśli wyjeżdżasz z miasta, to nie będziemy cię niepotrzebnie zatrzymywać.

– Nic z tego. – Stary zwiadowca wskazał główną ulicę, na której wraz z upływem dnia przybywało ludzi i pojazdów. Pod wpływem słabego słońca nieco pary unosiło się z mokrego błota, mokrych koni i mokrych dachów. – Poprowadzimy Drużynę poszukiwaczy, którzy wybierają się na wzgórze. Dla przewodników zawsze znajdzie się praca w Fałdzie. Tutaj każdy chce się stać kimś innym.

– Ja nie – odrzekł Majud, patrząc z uśmiechem, jak Owca kopniakiem przewraca kolejny namiot.

– Racja. – Słodki po raz ostatni zerknął na działkę, a w kąciuku jego ust zamajaczył uśmiech. – Wy jesteście tam, gdzie wasze miejsce.

Odjechał kłusem z miasta z Płaczącą Skałą u boku.

Słowa i takt

Płoszka nie lubiła pretensjonalności, a także nie przepadała za brudem, chociaż często miała okazję się w nim czołgać. Jadalnia „Zajazdu Camlinga” była nieszczęśliwym małżeństwem tych dwojga, znacznie brzydszym niż każde z nich z osobna. Błaty wypolerowano na wysoki połysk, ale posadzkę pokrywało błoto spod butów. Sztucze miały kościane rączki, ale ściany do wysokości pasa były zachłapane starym jedzeniem. Na ścianie wisiał oprawiony w pozłacaną ramę akt kpiąco uśmiechniętej kobiety, ale tynk za obrazem pokrywała pleśń spowodowana przez ciekącą wodę.

– Co za miejsce – mruknął Owca.

– Taka jest Fałda – odrzekła Płoszka. – Wszystko stoi tutaj na głowie.

Na szlaku słyszała, że dna strumieni na wzgórzach są usiane samorodkami, które tylko czekają, żeby pochwyciły je czyjeś chciwe palce. Nieliczni szczęściarze wykopali złoto z ziemi, ale Płoszka miała wrażenie, że większość ludzi w Fałdzie zdobyła je od innych. To nie poszukiwacze tłoczyli się w jadalni „Zajazdu Camlinga” i narzekali w kolejce przed wejściem, tylko alfonsi i hazardziści, kanciarze i lichwiarze, a także handlarze sprzedający towary o dwukrotnie zaniżonej jakości i czterokrotnie zawyżonej cenie.

– Dostrzegam wyraźny nadmiar krętaczy – szepnęła Płoszka, stawiając krok nad parą brudnych butów i unikając nieostrożnego łokcia. – Tak wygląda przyszłość Dalekiej Krainy?

– Każdej krainy – odparł Owca.

– Przyjaciele, proszę, siadajcie! – Camling, właściciel lokalu, był wysokim, przymilnym draniem ubranym w bluzę przecierającą się na łokciach. Miał zwyczaj kładzenia miękkich dłoni w niepożądanych miejscach, co niemal skłoniło Płoszkę do zdzielenia go pięścią w twarz. Strzepnął okruchy ze stołu ustawionego na szczycie starej kolumny, którą jakiś pomysłowy stolarz obudował podłogą. – Staramy się zachować neutralność, ale każdy przyjaciel pani Burmistrz jest także moim przyjacielem, bez dwóch zdań!

– Usiądę przodem do drzwi – rzekł Owca, obracając swoje krzesło.

Camling przysunął drugie krzesło dla Płoszki.

– Czy mogę zauważyć, jak promiennie pani wygląda dzisiaj rano?

– Owszem, ale wątpię, aby ktokolwiek uwierzył panu na słowo, skoro fakty temu przeczą. – Usiadła, co nie było łatwe, gdyż zaczepiała kolanami o rzeźbienia na kolumnie.

– Wprost przeciwnie, stanowi pani prawdziwą ozdobę mojej skromnej jadalni.

Płoszka zmarszczyła czoło. Była gotowa na cios w twarz, ale ani trochę nie ufała komplementom.

– Może niech pan przyniesie jedzenie i przestanie paplać?

Camling odchrząknął.

– Ależ oczywiście. – Po czym zniknął w tłumie.

– Czy to Corlin?

Kobieta tkwiła w ciemnym kącie, obserwując tłum z charakterystycznie zaciśniętymi ustami, które wyglądały, jakby nie dało się z nich wydobyć ani słowa bez pomocy kilofa i łomu w silnych męskich rękach.

– Skoro tak uważasz – odrzekł Owca, wyężając wzrok. – Oczy nie słuą mi juą tak jak kiedyś.

– Właśnie tak uważam. Jest teå Savian. Myślałam, że zamierzają szukać złota.

– A ja myślałem, że im nie uwierzyłaś.

– Wygląda na to, że miałam rację.

– Jak zwykle.

– Mogłabym przysiąc, że mnie zauważyła.

– I co?

– Nawet nie skinęła głową.

– Może żałuje, że cię zobaczyła.

– Teraz juą za późno. – Płoszka wstała od stolika, robiąc miejsce wielkiemu łysemu draniowi, który lubił wymachiwać widelcem podczas mówienia.

– ...dojdzie jeszcze kilkoro, ale mniej niż się spodziewaliśmy. Nie jestem pewien, ilu dokładnie. Wygląda na to, że w Mulkovej kiepsko poszło... – Savian urwał w pół zdania, gdy zobaczył zbliżającą się Płoszkę. Pomiędzy nim i Corlin, wciśnięty jeszcze głębiej w kąat pod zasłoniętym oknem, siedział jakiś nieznajomy.

– Corlin – odezwała się Płoszka.

– Płoszko – odpowiedziała Corlin.

– Savianie – rzekła Płoszka.

Męczyzna tylko skinął głową.

– Myślałam, że szukacie złota.

– Trochę to odłożyliśmy. – Corlin patrzyła Płoszce w oczy. – Być może wyruszymy za tydzień. Może później.

– Przybywa tutaj mnóstwo ludzi, którzy mają podobne plany. Jeśli chcecie znaleźć coś poza błotem, lepiej ruszajcie na wzgórz.

– Wzgórza stoją tam odkąd wielki Euz wygnał diabły ze świata – odrzekł nieznajomy. – Przewiduję, że wytrzymają do następnego tygodnia.

Był to dziwny człowiek o wyłupiastych oczach, długiej, splątanej siwej brodzie i takich samych włosach oraz niewiele krótszych brwiach. Co jeszcze dziwniejsze, na jego otwartej dłoni siedziały dwa ptaszki, oswojone jak szczeniaki, i dziobały nasiona.

– Z kim mam przyjemność? – spytała Płoszka.

– Mam na imię Zacharus.

– Jak ten mag?

– Właśnie tak.

Przyjęcie miana legendarnego czarownika wydawało się głupim pomysłem, ale to samo można powiedzieć o imieniu pochodzącym od nazwy niepożądanego towarzysko cechy.

– Płoszka Południe. – Wyciągnęła rękę, a wtedy jeszcze mniejszy ptaszek zeskoczył z jego rękawa i uszczypnął ją w palec, a ona zszokowana gwałtownie cofnęła dłoń. – A tam... eee... siedzi Owca. Razem z tą dwójką wchodziliśmy w skład Drużyny, która przyjechała z Bliskiej Krainy. Po drodze musieliśmy stawić czoło Duchom, burzom i rzekom oraz straszliwej nudzie. To były czasy, prawda?

– Niezwykłe – odparła Corlin, której oczy przypominały niebieskie szparki.

Płoszka miała nieodparte wrażenie, że jej znajomi chcieliby się znaleźć w innym miejscu, i dlatego nie zamierzała dać im spokoju.

– A co pana tutaj sprowadza, panie Zacharus?

– Mijające wieki. – Mówił z delikatnym imperialnym akcentem, który brzmiał dziwnie szeleszcząco, jak stare papiery.

– Prądy przeznaczenia. Wzrost i upadek narodów.

– Da się z tego dobrze żyć?

Uśmiechnął się jak szaleniec, ukazując nierówne żółte zęby.

– Nie można ani źle żyć, ani dobrze umierać.

– Racja. Co to za ptaki?

– Przynoszą mi wieści, dotrzymują towarzystwa, śpiewają, gdy jestem w melancholijnym nastroju, a czasami dostarczają materiały do budowy gniazda.

– Ma pan gniazdo?

– Nie, ale one uważają, że powinienem.

– Oczywiście, że tak.

Staruszek najwyraźniej był szalony, ale Płoszka wątpiła, żeby tak rozsądni ludzie jak Corlin i Savian marnowali na niego czas, gdyby w tej historii nie było drugiego dna. Było coś odpychającego w spojrzeniach ptaków, które przekrzywiały główki i wpatrywały się w nią bez mrugnięcia okiem. Jakby uznawały ją za idiotkę.

Pomyślała, że staruszek może podzielać ich opinię.

– A co panią tutaj sprowadza, Płoszko Południe?

– Szukam dwójki dzieci porwanych z naszego gospodarstwa.

– Z jakim skutkiem? – spytała Corlin.

– Od sześciu dni chodzę wzdłuż ulicy po stronie pani Burmistrz i wypytuję każdego, kogo się da, ale tutaj rzadko pojawiają się dzieci i nikt ich nie widział. Albo nikt się do tego nie przyznaje. Kiedy wspominał o Gredze Cantlissie, ludzie od razu się zamykają, jakbym rzuciła na nich zaklęcie milczenia.

– Zaklęcia milczenia to ciężka sprawa – odparł z namysłem Zacharus, wpatrując się w pusty kąt. – Jest tyle zmiennych. – Na zewnątrz rozległ się trzepot skrzydeł, a po chwili przez szparę

między zasłonami wsunął głowę gołąb i zagruchał. – Twierdzi, że są w górach.

– Kto?

– Dzieci. Ale gołębie lubią kłamać. Mówią tylko to, co chcesz usłyszeć. – Staruszek wepchnął język w nasiona na swojej dłoni i zaczął je rozgniatać poźólkłymi przednimi zębami.

Płoszka i tak właśnie miała się wycofać, gdy usłyszała wołanie Camlinga.

– Śniadanie!

– Jak myślisz, co ci dwoje knują? – spytała, siadając na swoim krześle i strącając z blatu dwa okruchy, które przegapił ich gospodarz.

– Słyszałem, że szukają złota – odrzekł Owca.

– W ogóle mnie nie słuchałeś, prawda?

– Staram się tego unikać. Jeśli będą potrzebowali naszej pomocy, to nas o nią poproszą. Tymczasem to nie nasza sprawa.

– Wyobrażasz sobie, że którekolwiek z nich miałyby nas poprosić o pomoc?

– Nie – przyznał Owca. – Dlatego sędę, że to nigdy nie będzie nasza sprawa.

– Zdecydowanie. Właśnie dlatego chcę poznać prawdę.

– Kiedyś byłem ciekawski. Bardzo dawno temu.

– I co się stało?

Owca pomachał pozbawioną palca dłonią przed twarzą naznaczoną bliznami.

Na śniadanie dostali zimną owsiankę, niedogotowane jajko i szary boczek. Owsianka nie była najświeższa, a boczek niekoniecznie pochodził od świni. Camling podał to wszystko na importowanej zastawie ze złożonymi zdobieniami w kształcie

drzew i kwiatów, z miną tak dumną, jakby w całym Kręgu Świata nie było bardziej wykwintnego jedzenia.

– To z konia? – Płoszka mruknęła do Owcy, trącając mięso i niemal spodziewając się, że to zaprotestuje.

– Ciesz się, że nie z jeźdźca.

– Na szlaku jadaliśmy gówniane żarcie, ale przynajmniej było uczciwie przyrządzone. Co to jest, do diabła?

– Nieuczciwie przyrządzone gówniane żarcie?

– Taka jest Fałda. Dostajesz eleganckie suljuckie talerze, a na nich jakieś ścierwo. Wszystko stanęło na głowie... – Nagle zauważyła, że gwar rozmów przycichł, a w jadalni rozbrzmiewa tylko skrzywienie jej widelca. Powoli się odwróciła, czując, jak włoski stają jej dęba na karku.

Sześciu mężczyzn dodawało swoje ślady na pokrytej błotem podłodze. Pięciu z nich było typowymi zbirami, jakich często widuje się w Fałdzie. Rozeszli się pośród stolików, szukając dobrych punktów obserwacyjnych, a ich lekko przygarbiona postawa świadczyła o stałej gotowości i o tym, że są lepsi od innych, ponieważ jest ich więcej i mają broń. Szósty prezentował się zupełnie inaczej. Był niski, ale niezwykle szeroki, z wielkim brzuchem, a jego elegancki strój wybrzuszał się obok guzików, jakby krawiec okazał się nadmiernym optymistą przy ustalaniu wymiarów. Miał czarną skórę i głowę porośniętą siwym meszkiem, jeden płatek ucha rozciągnięty wokół grubego złotego pierścienia z dziurą, przez którą Płoszka mogłaby niemal przecisnąć pięść.

Sprawiał wrażenie niewymownie zadowolonego z siebie, bezustannie się uśmiechał, jakby wszystko wyglądało dokładnie tak, jak lubił. Płoszka od razu poczuła do niego niechęć. Zapewne także zazdrość. W końcu nic nigdy nie wyglądało tak,

jak ona by tego chciała.

– Nie martwcie się – zagrzemiał mężczyzna głosem pełnym zadowolenia – możecie jeść dalej! Jeśli chcecie przez cały dzień srać wodą! – Wybuchnął śmiechem i poklepał jednego ze swoich ludzi po plecach, prawie przewracając go na śniadanie jakiegoś głupca. Przecisnął się pomiędzy stolikami, witając się z poszczególnymi gośćmi po imieniu, klepiąc ich po ramionach, ściskając dłonie, stukając w posadzkę długą laską o kościanej rączce.

Patrząc, jak nieznajomy się zbliża, Płoszka przesunęła się w bok na swoim krześle i odpięła dolny guzik kamizelki, dzięki czemu uzyskała łatwiejszy dostęp do sterczącej rękojeści noża. Owca nie przestawał jeść i nie odrywał wzroku od swojego talerza. Nie zrobił tego nawet wtedy, gdy grubas zatrzymał się przy ich stoliku.

– Nazywam się Papa Ring.

– Zdążyłam się domyślić – odparła Płoszka.

– Ty jesteś Płoszka Południe.

– To żadna tajemnica.

– A ty to na pewno Owca.

– Skoro jesteś tego pewien, to nie ma innej możliwości.

– Kazali mi szukać kurewsko wielkiego Północnego z gębą jak rzeźnicki pieniek. – Papa Ring zabrał krzesło od sąsiedniego stolika. – Mogę się przysiąc?

– A gdybym odmówiła? – spytała Płoszka.

Zatrzymał się w połowie ruchu, opierając się ciężko na lasce.

– Zapewne bym przeprosił, ale nie zmienił zamiaru. Przepraszam. – Opadł na krzesło. – Powiadają, że za chuja nie mam taktu. Zresztą popytajcie ludzi. Za chuja taktu.

Płoszka szybko rozejrzała się po jadalni. Savian nawet nie podniósł wzroku, ale pod jego stolikiem dostrzegła słaby błysk ostrza. To sprawiło, że poczuła się nieco lepiej. Savian nigdy nie udzielał nikomu otwartego poparcia, ale dobrze było mieć go za plecami.

Co innego Camling. Ich dumny gospodarz pośpiesznie się zbliżał, zacierając ręce tak mocno, że Płoszka słyszała ich syk.

– Witaj, Papo, zawsze jesteś tutaj mile widziany.

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– Ależ nie ma żadnego powodu. – Gdyby Camling zacierał ręce odrobinę szybciej, mógłby skrzesać ogień. – Byle tylko nie było z tego żadnych... kłopotów.

– Któż chciałby kłopotów? Przyszedłem porozmawiać.

– Zawsze zaczyna się od rozmowy.

– Wszystko się od niej zaczyna.

– Jednak obawiam się, jaki będzie koniec.

– Skąd można to wiedzieć, dopóki nie skończyło się rozmawiać? – spytał Owca, nadal nie podnosząc wzroku.

– Otóż to – odrzekł Papa Ring, uśmiechając się, jakby to był najlepszy dzień jego życia.

– No dobrze – odparł Camling niechętnie. – Coś do jedzenia?

Ring parsknął.

– Twoje żarcie to gówno, o czym właśnie dowiaduje się tych dwoje pechowców. Możesz spadać.

– Posłuchaj, Papo, to mój lokal...

– Tym lepiej. – Nagle uśmiech Ringa stał się mniej radosny. – Będziesz wiedział, gdzie się schować.

Camling przełknął ślinę, po czym z kwaśną miną odszedł od stolika. Gwar rozmów stopniowo powrócił, ale wyczuwało się

w nim nerwowość.

– Jednym z najsilniejszych argumentów za tym, że nie ma Boga, jest istnienie Lennarta Camlinga – mruknął Ring, patrząc na oddalającego się gospodarza. Krzesło nieprzyjemnie zaskrzypiało, gdy ponownie beztruosko się na nim rozparł. – Jak wam się podoba w Fałdzie?

– Brudne miejsce, w każdym znaczeniu tego słowa. – Płoszka odepchnęła swój boczek, a potem rzuciła widelec i odsunęła talerz. Chciała jak najbardziej oddalić się od tego jedzenia. Pozwoliła, żeby dłonie opadły jej na kolana, gdzie jedna z nich przypadkowo spoczęła na rękojeści noża. Cóż za niespodzianka.

– Właśnie za to je lubimy. Poznaliście panią Burmistrz?

– Nie wiem – odparła Płoszka. – Poznaliśmy?

– Wiem, że tak.

– Więc po co pytasz?

– Dbam o maniery, jakiegokolwiek one są. Chociaż nie oszukuję się, że mógłbym się z nią równać pod tym względem. Jej nie brakuje taktu, prawda? – Ring delikatnie potarł wypolerowany blat dłonią. – Jest gładka jak lustro. Kiedy mówi, człowiek ma wrażenie, że otula go miękki koc, czyż nie? Każdy, kto jest coś wart, w końcu trafia na jej orbitę. Co za maniery. Co za sposób bycia. Szlachetni ludzie to uwielbiają. Ale nie udawajmy, że wy dwoje jesteście szlachetni.

– Być może do tego aspirujemy – odparła Płoszka.

– Doceniam aspiracje – rzekł Ring. – Bóg jeden wie, że przybyłem tutaj z pustymi rękami. Ale Burmistrz nie pomoże wam stać się lepszymi.

– A ty owszem?

Ring zachichotał, niczym życzliwy wujek.

– Ależ skąd. Ale przynajmniej szczerze to przyznaję.

– Szczerze przyznajesz się do nieszczerości?

– Zawsze mówiłem, że tylko sprzedaję ludziom to, czego pragną, i nigdy nie osądzam ich za te pragnienia. Śmiem twierdzić, że Burmistrz przedstawiła mnie jako kawał drania.

– Sami możemy odnieść takie wrażenie – odparła Płoszka.

Ring się do niej wyszczerzył.

– Szybka jesteś.

– Staram się nie zostawiać cię w tyle.

– Tylko ona mówi w tym towarzystwie?

– Przeważnie – rzucił Owca półgębkiem.

– Myślę, że Owca czeka na coś godnego odpowiedzi – odparła Płoszka.

Ring nie przestawał się uśmiechać.

– Bardzo rozsądne podejście. W ogóle wyglądacie mi na rozsądnych ludzi.

Owca wzruszył ramionami.

– Jeszcze nas nie poznałeś.

– Właśnie po to tutaj przyszedłem. Chcę was lepiej poznać. No i służyć przyjacielską radą.

– Jestem za stary na rady – odrzekł Owca. – Nawet przyjacielskie.

– Robisz się także za stary na burdy, a jednak słyszałem, że zamierzasz się zaangażować w pewną walkę na pięści, która odbędzie się w Fałdzie.

Owca ponownie wzruszył ramionami.

– W młodości stoczyłem kilka pojedynków.

– Widzę – odrzekł Ring, spoglądając na pokiereszowaną twarz Owcy. – Ale chociaż jestem gorącym wielbicielem sztuki pięściarskiej, wolałbym, żeby do tej walki w ogóle nie doszło.

– Obawiasz się, że twój człowiek przegra? – spytała Płoszka.

Nie udawało się jej usunąć uśmiechu z twarzy Ringa.

– Raczej nie. Mój człowiek słynie z tego, że pokonał wielu sławnych ludzi, spuszczać im solidne lanie. Ale, prawdę mówiąc, wolałbym, żeby pani Burmistrz bez rozgłosu spakowała manatki. Nie zrozumcie mnie źle, nie przeszkadza mi rozlew krwi. To dobry sposób na pokazanie ludziom, że nam na nich zależy. Ale zbyt wiele przemocy źle wpływa na interesy. A ja mam wielkie plany wobec tego miejsca. Dobre plany... Tylko że was to nie obchodzi, prawda?

– Każdy ma jakieś plany – odrzekła Płoszka – i każdy uważa, że są dobre. Ale kiedy jeden dobry plan pokrzyżuje inny, wtedy wszystko zaczyna się sypać.

– A więc mam jedno pytanie. Jeśli odpowiecie twierdząco, to odejdę i pozwolę wam w spokoju cieszyć się swoim gównianym śniadaniem. Przystaliście na propozycję pani Burmistrz czy wciąż mogę wam złożyć lepszą ofertę? – Ring powiódł po nich wzrokiem, a gdy nie odpowiedzieli, wziął to za dobrą monetę. – Może brakuje mi taktu, ale zawsze jestem chętny do negocjacji. Tylko powiedzcie, co wam obiecała.

Owca po raz pierwszy podniósł wzrok znad talerza.

– Gregę Cantlissa.

Płoszka uważnie obserwowała Ringa i zauważyła, że gdy usłyszał to nazwisko, uśmiech na chwilę zamarł mu na twarzy.

– A więc go znasz? – spytała.

– Pracuje dla mnie. Czasami go zatrudniam.

– Czy pracował dla ciebie wtedy, gdy spalił moje gospodarstwo, zabił mojego przyjaciela i porwał dwoje dzieci? – spytał Owca.

Ring odchylił się na krześle, masując szczękę i lekko

marszcząc czoło.

– To poważne oskarżenie. Porywanie dzieci. Mogę was zapewnić, że nie brałbym w czymś takim udziału.

– A jednak wygląda na to, że tak było – odrzekła Płoszka.

– Tylko na podstawie waszych słów. Jakim byłbym człowiekiem, gdybym zostawił na lodzie swoich ludzi z powodu jednego doniesienia?

– Gównu mnie obchodzi, jakim jesteś człowiekiem – warknął Owca, zaciskając dłonie na sztuccach, aż pobieleły mu knykcie.

Ludzie Ringa poruszyli się niezadowoleni, a Savian czujnie wyprostował się na krześle, jednak Owca nie zwrócił na to uwagi.

– Dostanę Cantlissa i będziemy kwita. Ale jeśli wejdiesz mi w drogę, czekają cię kłopoty. – Zmarszczył czoło, ujrawszy, że wygiął swój nóż pod kątem prostym o blat stolika.

Ring lekko uniósł brwi.

– Jesteś bardzo pewny siebie, zważywszy na to, że nikt o tobie nie słyszał.

– Już kiedyś przez to przechodziłem. Dobrze wiem, jak to się kończy.

– Mój człowiek nie jest wygiętym nożem.

– Ale nim będzie.

– Powiedz nam, gdzie jest Cantliss, a ruszymy w swoją stronę i zejdziemy ci z drogi – rzekła Płoszka.

Papa Ring po raz pierwszy stracił cierpliwość.

– Dziewczyno, czy mogłabyś się wycofać i pozwolić mi porozmawiać z twoim ojcem?

– Nic z tego. Może to wina krwi Duchów krążącej w moich żyłach, ale jestem bardzo przekorna. Kiedy ktoś mnie przed

czymś przestrzega, zaczynam myśleć o tym, jak to zrobić. Nic na to nie poradzę.

Ring wziął głęboki wdech.

– Rozumiem. Gdyby jakiś drań porwał moje dzieci, nie byłoby takiego miejsca w Kręgu Świata, w którym bym go nie znalazł. Ale nie czyńcie ze mnie swojego wroga, gdy mogę zostać waszym przyjacielem. Nie mogę dać wam Cantlissa. Może tak postąpiłaby pani Burmistrz, ale ja tak nie robię. Jednak obiecuję, że gdy znów pojawi się w mieście, usiądziemy razem przy stole i wszystko omówimy, dotrzemy do prawdy i sprawdzimy, czy uda nam się odnaleźć waszych malców. Pomogę wam na ile będę w stanie, macie moje słowo.

– Twoje słowo? – Płoszka uniosła górną wargę i splunęła na zimny boczek. Jeśli to był boczek.

– Brakuje mi taktu, ale jestem słowny. – Ring dźgnął stół grubym palcem wskazującym. – Na tym opiera się wszystko po mojej stronie ulicy. Ludzie są wobec mnie lojalni, ponieważ ja jestem lojalny wobec nich. Jeśli zawiodę zaufanie, zostanę z niczym. – Pochylił się, jakby chciał im złożyć znakomitą ofertę. – Ale zapomnijcie o moim słowie i popatrzcie na to z tej strony. Jeśli chcecie otrzymać pomoc od pani Burmistrz, będziecie musieli o nią walczyć, a wierzcie mi, że to będzie piekielna walka. Chcecie mojej pomocy? – Wzruszył potężnymi ramionami, z takim rozmachem, jakby zastanawianie się nad innym wyjściem było szaleństwem. – Wystarczy, że powstrzymacie się od walki.

Płoszce nie podobał się ten drań, ale Burmistrz wcale nie zrobiła na niej lepszego wrażenia, a poza tym jego słowa miały sens.

Owca pokiwał głową, prostując nóż palcem wskazującym

i kciukiem, po czym rzucił go na talerz. Następnie wstał.

– A jeśli ja wolę walczyć? – Ruszył w stronę drzwi, a kolejka czekających na śniadanie rozstała się, żeby go przepuścić.

Ring zamrugął, ściągając ze zdziwieniem brwi.

– Kto woli walczyć?

Płoszka wstała bez słowa i pośpieszyła w ślad za Owcą, lawirując pomiędzy stolikami.

– Po prostu się zastanówcie, tylko o to proszę! Bądźcie rozsądni!

Wyszli na ulicę.

– Zaczekaj! Owca!

Płoszka przepchnęła się przez beczące stado małych szarych owiec i odskoczyła do tyłu, żeby przepuścić dwa wozy jadące ulicą. W górze zauważyła Temple'a siedzącego okrakiem na potężnej belce z młotkiem w dłoni. Kanciasty szkielet sklepu Majuda był już wyższy od pochyłych budynków stojących po obu stronach. Temple pozdrowił ją uniesioną dłonią.

– Siedemdziesiąt! – wrzasnęła. Nie widziała jego twarzy, ale z zadowoleniem zauważyła, że nieco się przygarbił.

– Zaczekasz czy nie? – Złapała Owcę za rękę, kiedy zbliżał się do Burmistrzowskiego Kościoła Kości. Zbiry przed drzwiami, bliźniaczo podobni do tych, którzy towarzyszyli Papie Ringowi, patrzyli na nich surowo. – Co ty wyprawiasz?

– Idę przyjąć propozycję pani Burmistrz.

– Tylko dlatego, że ten tłusty głupiec cię zdenerwował?

Owca zbliżył się i Płoszka odniosła wrażenie, że nad nią góruje.

– Także dlatego, że ten człowiek porwał twoje rodzeństwo.

– Myślisz, że mi się to podoba? – syknęła, coraz bardziej

wściekła. – Ale nie wiemy, jak dokładnie było! Mimo wszystko wydawał się sensownym człowiekiem.

Owca ze zmarszczonym czołem obejrzał się na „Zajazd Camlinga”.

– Niektórzy ludzie rozumieją tylko przemoc.

– Niektórzy ludzie tylko tak potrafią rozmawiać. Nigdy nie miałam cię za jednego z nich. Przybyliśmy tutaj w poszukiwaniu Pestki i Ro czy w poszukiwaniu krwi?

Chciała, żeby to zabrzmiało jak stwierdzenie, a nie pytanie, ale wyglądało na to, że Owca zastanawia się nad odpowiedzią.

– Myślę, że uda mi się znaleźć jedno i drugie.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

– Kurwa, kim ty jesteś? Kiedyś ludzie wsadzali twoją twarz w gówno, a ty im dziękowałeś i prosiłeś o jeszcze.

– I wiesz co? – Zdjął jej palce ze swojej ręki, ściskając je tak mocno, że niemal sprawił jej ból. – Przypomniałem sobie, że wcale mi się to nie podobało.

Ruszył po schodach prowadzących do siedziby pani Burmistrz, brudząc je błotem i pozostawiając Płószkę na ulicy.

Takie proste

Temple strącił jeszcze kilka strużyn ze złącza, po czym skinął na Owcę i razem opuścili belkę, tak że czop gładko wsunął się do gniazda.

– Ha! – Owca klepnął Temple’a w plecy. – Nic nie sprawia mi takiej przyjemności, jak patrzenie na dobrze wykonaną robotę. Masz zręczne dłonie, chłopcze. Piekielnie zręczne jak na kogoś, kogo wyrzucił strumień. Takie dłonie można wykorzystać do wszystkiego. – Popatrzył na własną potężną, zniszczoną, pozbawioną palca dłoń i zacisnął ją w pięść. – Moje zawsze nadawały się tylko do jednego. – Po czym uderzył w belkę, dociskając złączenie.

Temple spodziewał się, że stolarka będzie niemal równie męcząca jak jeżdżenie za stadem, ale musiał przyznać, że praca sprawia mu przyjemność, i z każdym dniem coraz trudniej było mu udawać, że jest inaczej. W zapachu świeżo pociętego drewna – który docierał do niego, gdy wiatr z gór wzmagął się na tyle, że w dolinie dało się wyczuć cokolwiek poza smrodem gówna – było coś, co odpędzało duszące wyrzuty sumienia i pozwalało mu odetchnąć pełną piersią. Jego dłonie odzyskały dawną biegłość w posługiwaniu się młotkiem i dłutem, a Temple szybko poznał zwyczaje miejscowego drewna, bladego, prostego i mocnego. Pracownicy Majuda uznali, że zna się na rzeczy, i wykonywali jego polecenia bez zbędnych pytań, pracując na rusztowaniu i wyciągach z niewielką biegłością, ale dużym entuzjazmem, tak że szkielet budynku powstawał dwukrotnie

szybciej i solidniej, niż Temple się spodziewał.

– Gdzie Płoszka? – rzucił mimochodem, jakby wcale nie miał zamiaru uchylać się od najnowszej płatności. Zaczynało to przypominać grę, w której on nigdy nie wygrywał.

– Wciąż wędruje po mieście i rozpytuje o Pestkę i Ro. Każdego dnia przybywają nowi ludzie. Możliwe, że teraz próbuje szczęścia po stronie ulicy należącej do Papy Ringa.

– Czy to bezpieczne?

– Wątpię.

– Nie powinieneś jej powstrzymać?

Owca parsknął, wciskając kołek w wyciągniętą dłoń Temple'a.

– Kiedy ostatnio próbowałem zabronić czegoś Płoszce, miała dziesięć lat, a i tak nie na wiele się to zdało.

Temple wcisnął kołek w otwór.

– Kiedy ona sobie coś postanowi, nigdy nie zatrzymuje się w pół drogi.

– Trzeba ją za to podziwiać – rzekł Owca z dumą w głosie, podając młotek. – To dzielna dziewczyna.

– Więc dlaczego pomagasz mnie, a nie jej?

– Ponieważ sądzę, że już odkryłem sposób na odnalezienie Pestki i Ro. Teraz tylko czekam, aż Płoszka zaakceptuje cenę.

– Czyli?

– Burmistrz domaga się przysługi. – Zapadła długa cisza odmierzana stukaniem młotka Temple'a oraz dobiegającymi z oddali odgłosami młotków na innych, mniej sprawnie zarządzanych placach budów rozsianych po miasteczku. – Ona i Papa Ring postanowili zawalczyć o Fałdę w pojedynku.

Temple się rozejrzał.

– Zastawili miasto?

– Do każdego z nich należy mniej więcej połowa. – Owca popatrzył na budowle bezmyślnie stłoczone po obu stronach krętej doliny. Miał wrażenie, że to miejsce jest jak potężne jelito, które z jednej strony przyjmuje ludzi, towary i zwierzęta, by następnie wydalić gówno, żebraków i pieniądze. – Ale im więcej się zdobywa, tym więcej się pragnie. A oni oboje najbardziej pragną tej połówki, która nie należy do nich.

Temple wydał policzki, wciskając kolejny kołek.

– Więc jedno z nich będzie bardzo rozczarowane.

– Przynajmniej jedno. Mój ojciec mawiał, że najgorsi wrogowie to ci, którzy mieszkają w sąsiedztwie. Tych dwoje od lat bezskutecznie się kłóci, więc postanowili zorganizować walkę. Zwycięzca bierze wszystko. – Grupa na wpół oswojonych Duchów wytoczyła się z jednego z ostatnich burdeli – do lepszych by ich nie wpuszczono – i teraz wymachiwała nożami, wyzywając się we wspólnej mowie. Nie znali żadnych słów poza przekleństwami i językiem przemocy, ale to wystarczyło, żeby dogadać się w Fałdzie. – Dwóch ludzi w Kręgu – mruknął Owca – zapewne przy udziale licznie zgromadzonej publiczności i wielu dodatkowych zakładów. Jeden przeżyje, drugi wręcz przeciwnie, a cała reszta dostanie nieco rozrywki.

– Zaraza – westchnął Temple.

– Papa Ring sprowadził człowieka znanego jako Glama Złoty. To Północny. Kiedyś jego imię wiele znaczyło. Słyszałem, że walczy za pieniądze w dołach i zagrodach w całej Bliskiej Krainie i często wygrywa. Tymczasem pani Burmistrz wciąż szuka kogoś, kto stanie do walki w jej imieniu... – Posłał Temple'owi przeciągłe spojrzenie, z którego łatwo było domyślić się reszty.

– Zaraza. – Co innego walczyć o życie na równinach, gdy atakujące Duchy nie pozostawiają ci innej możliwości, a co innego czekać na to całymi tygodniami i świadomie stanąć do pojedynku w obecności tłumu, by własnymi rękami pobić i zmiążyć innego człowieka na śmierć. – Masz doświadczenie w... czymś takim?

– Taki już mój los, że całkiem spore.

– Jesteś pewien, że to pani Burmistrz ma rację? – spytał Temple, przypominając sobie wszystkie sytuacje, w których stawał po niewłaściwej stronie.

Owca patrzył ze zmarszczonym czołem na Duchy, które najwyraźniej dogadały się bez rozlewu krwi i teraz hałaśliwie się obejmowały.

– Z doświadczenia wiem, że rzadko tylko jedna osoba ma rację, a kiedy już tak się zdarza, najczęściej stają po przeciwnej stronie. Jednak Grega Cantliss zabił mojego przyjaciela, spalił moje gospodarstwo i porwał dwoje dzieci, które obiecałem chronić. – Owca przeniósł wzrok na Biały Dom, a w jego głosie zabrzmiał lodowaty ton, od którego Temple dostał gęsiej skórki. – Papa Ring go broni, co czyni z niego mojego wroga. Burmistrz występuje przeciwko niemu, co czyni z niej moją przyjaciółkę.

– To naprawdę takie proste?

– Kiedy wchodzisz do Kręgu, żeby zabić człowieka, najlepiej, żeby tak właśnie było.

– Temple?

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a cień jednej z potężnych kolumn padał na ulicę, więc Temple'owi nie od razu udało się zobaczyć, kto go woła spośród kłębiącego się tłumu.

– Temple?

Po chwili dostrzegł uniesioną twarz o jasnych oczach i bujnej

żółtej brodzie.

– Jesteś tam?

W końcu udało mu się połączyć świat, w którym znał tego człowieka, ze światem, w którym żył obecnie, a wtedy olśnienie spłynęło na niego jak lodowata woda z wiadra na kogoś pogrążonego w spokojnym śnie.

– Bermi? – Westchnął.

– Twój przyjaciel? – spytał Owca.

– Znamy się – wyszeptał Temple.

Z drżącymi rękami ześlizgnął się po drabinie, chociaż cały czas miał ochotę czmychnąć jak zając. Ale dokąd? Miał niezwykle szczęście, że udało mu się przeżyć po tym, jak po raz pierwszy porzucił Kompanię Łaskawej Dłoni, i wątpił, by boska opatrzność ponownie mu to umożliwiła. Niechętnie podreptał w stronę Bermiego, skubiąc brzeg koszuli, jak dziecko, które wie, że zaraz dostanie klapsa, na którego zasłużyło.

– Nic ci nie jest? – spytał Styryjczyk. – Wyglądasz na chorego.

– Jest z tobą Cosca? – Temple tak źle się czuł, że ledwie mógł mówić. Być może Bóg pobłogosławił go zręcznymi dłońmi, ale jednocześnie przeklął słabym żołądkiem.

Jednakże Bermi szeroko się uśmiechnął.

– Na szczęście, nie, podobnie jak reszta tych drani. Myślę, że wciąż włóczy się po Bliskiej Krainie, przechwalając się swojemu przekłętemu biografowi i szukając starego złota, którego nigdy nie znajdzie. Chyba że dał za wygraną i wrócił do Stariklandu, żeby się upić.

Temple zamknął oczy i odetchnął z niewysłowioną ulgą.

– Dzięki niebiosom. – Położył dłoń na ramieniu Styryjczyka i pochylił się, niemal zginając się wpół, walcząc z zawrotami głowy.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. – Objął Bermiego i mocno go uściskał. – Nigdy nie czułem się lepiej! – Był w ekstazie! Ponownie może odetchnąć! Z głośnym cmoknięciem ucałował zarośnięty policzek Bermiego. – Co, u diabła, przywiodło cię na to zadupie?

– Pokazałeś mi drogę. Po tamtym miasteczku... Jak ono się nazywało?

– Averstock – szepnął Temple.

Bermi ze wstydem zmrużył oczy.

– Robiłem w życiu rzeczy, z których nie jestem dumny, ale to było zwykłe morderstwo. Potem Cosca posłał mnie twoim tropem.

– Naprawdę?

– Powiedział, że byłeś najważniejszym człowiekiem w całej przeklętej Kompanii. Oczywiście nie licząc jego samego. Po dwóch dniach natrafiłem na Drużynę jadącą na zachód w poszukiwaniu złota. Wyobraź sobie, że połowa z nich pochodziła z Puranti, mojego rodzinnego miasteczka! Zupełnie jakby Bóg miał dla nas jakiś plan!

– Prawie można w to uwierzyć.

– Więc porzuciłem Kompanię Pieprzonego Palucha i ruszyłem z nimi.

– Zostawiłeś Coscę. – Ponowne oszukanie śmierci sprawiło, że Temple poczuł się jak pijany. – Daleko, daleko w tyle.

– Jesteś teraz stolarzem?

– To sposób na pozbycie się długów.

– Sraj na swoje długi, bracie. Wracamy na wzgórze. Mam działkę nad brzegiem Brązowej. Ludzie wypłukują tam samorodki z błota! – Poklepał Temple'a po ramieniu. –

Powinieneś pojechać z nami! Zawsze znajdzie się miejsce dla stolarza z poczuciem humoru. Mamy tam chatkę, ale przydałaby się jej naprawa.

Temple przełknął ślinę. Jakże często marzył o takiej propozycji na szlaku, gdy krztusił się kurzem spod kopyt stada Buckhorma albo kulił pod wpływem kpin Płoszki. Otwierała się przed nim łatwa droga.

– Kiedy wyruszacie?

– Za pięć dni, może sześć.

– Co trzeba zabrać?

– Wystarczy trochę dobrych ubrań i łopata, resztę mamy.

Temple patrzył Bermiemu w oczy, szukając śladów podstępny, ale niczego takiego nie dostrzegł. Może Bóg jednak istnieje?

– To naprawdę takie proste?

Bermi się roześmiał.

– Zawsze lubiłeś wszystko komplikować. To nowe pogranicze, przyjacielu, kraina możliwości. Coś cię tutaj trzyma?

– Chyba nie. – Temple obejrzał się na Owcę i ujrzał potężny czarny kształt na szkielecie budynku Majuda. – Tylko długi.

Wczorajsze wieści

– Szukam dwojga dzieci.

Obojętne twarze.

– Mają na imię Ro i Pestka.

Smutne zaprzeczenia.

– Mają dziesięć i sześć lat. Siedem. Chłopiec już ma siedem.

Mruknięcia pełne współczucia.

– Porwał ich Grega Cantliss.

Błysk przerażonych oczu i drzwi zatrzaśnięte przed nosem.

Płószkę zaczynało to męczyć. Prawie zdarła buty, chodząc tam i z powrotem krętą główną ulicą, która każdego dnia wiła się coraz dalej, gdy kolejni ludzie przybywali z równin, rozstawiając namioty i wznosząc nędzne domki na każdym skrawku błota albo po prostu ustawiając gnijące wozy wzdłuż szlaku. Ramiona miała posiniaczone od przepychania się przez tłum, a nogi obolałe od wspinaczki, by porozmawiać z mieszkańcami chatek przytulonych do zboczy doliny. Zachrypiała od zadawania wciąż tych samych pytań w świątyniach hazardu, palarniach plew i knajpach, które przestała rozróżniać. Do kilku miejsc już jej nie wpuszczano. Podobno zniechęcała klientów. Pewnie tak było. Pewnie Owca miał rację, czekając, aż Cantliss sam do niego przyjdzie, ale Płószka nigdy nie lubiła zwlekać. „To zasługa krwi Duchów, która w tobie płynie”, mawiała jej matka. Ona też nie grzeszyła cierpliwością.

– Tylko patrzcie, to Płoszka Południe.

– Wszystko w porządku, Hedges?

Wystarczył rzut oka, żeby poznać odpowiedź. Hedges nigdy nie był człowiekiem sukcesu, ale na szlaku tliła się w nim iskierka nadziei. Niestety, tutaj najwyraźniej zgasła, a on był poszarzały i obdarty. Fałda nie była miejscem, w którym rozkwitała nadzieja. Prawdę mówiąc, nic tutaj nie kwitło.

– Myślałam, że szukasz pracy?

– Żadnej nie znalazłem. Nie ma żadnego zajęcia dla kogoś z taką nogą. Nigdy byś nie pomyślała, że dowodziłem szarżą pod Osrungiem, prawda? – Rzeczywiście, ale już o tym wspominał, więc Płoszka nie odpowiedziała. – Nadal szukasz swoich bliskich?

– Będę to robiła, dopóki ich nie znajdę. Słyszałeś jakieś wieści?

– Jesteś pierwszą osobą od tygodnia, która powiedziała do mnie więcej niż kilka słów. Nigdybyś nie pomyślała, że dowodziłem szarżą, prawda? Nigdybyś nie pomyślała. –

Stali w niezręcznej ciszy, wiedząc, co się za chwilę wydarzy. Jednak ta świadomość nie mogła temu zapobiec.

– Nie poratowałabyś mnie jakimiś drobniakami?

– Jasne. – Sięgnęła do kieszeni i wręczyła mu monety, które godzinę wcześniej dostała od Temple'a, po czym szybko ruszyła w dalszą drogę. Nikt nie lubi stać obok przegranych ludzi, na wypadek gdyby pech okazał się zaraźliwy.

– Nie powiesz mi, żebym tego nie przepił? – zawołał w ślad za nią.

– Nie mam w zwyczaju prawić kazań. Każdy ma prawo wybrać, co go zniszczy.

– Racja. Nie jesteś taka zła, Płoszko. Porządny z ciebie

człowiek!

– Nie mogę się zgodzić – mruknęła.

Hedges ruszył, powłócząc nogami, w stronę najbliższej knajpy, do której w Fałdzie nigdy nie było daleko, nawet dla człowieka, który chodził tak źle jak on.

– Szukam dwójki dzieci.

– W tym ci nie mogę pomóc, ale mam inne wieści! – To była dziwnie wyglądająca kobieta, ubrana w strój, który kiedyś z pewnością był elegancki, lecz czas jego świetności już dawno minął, a miesiące, które upłynęły od tamtej pory, były pełne błota i chlapiącego jedzenia. Z namaszczaniem odchyliła połę obwisłego płaszcza i wyjęła plik zmiętych papierów.

– Co to jest? Obwieszczenia? – Płoszka już żałowała, że dała się wciągnąć w rozmowę, ale w tym miejscu ścieżka miała postać wąskiego pasa błota wiodącego pomiędzy kanałem a przegniłymi werandami. Wystający brzuch kobiety nie pozwalał jej ominąć.

– Masz dobre oko. Chciałabyś dokonać zakupu?

– Nieszczególnie.

– Nie interesują cię wydarzenia z życia polityków i władców dalekich krain?

– Nigdy nie mają wpływu na mój los.

– Być może szkodzi ci właśnie twoja niewiedza dotycząca bieżących wydarzeń?

– Zawsze myślałam, że winne są chciwość, lenistwo i złośliwość innych oraz solidna dawka pecha, ale pewnie ty masz swoje zdanie.

– Jak każdy. – Kobieta ani drgnęła.

Płoszka westchnęła. Zważywszy na jej talent do

denerwowania ludzi, postanowiła sobie dogodzić.

– No dobrze, uwolnij mnie od ignorancji.

Kobieta pokazała pierwsze z brzegu obwieszczenie i powiedziała uroczystym głosem:

– Buntownicy pokonani w Mulkovej; pogrom z rąk Unionistów pod wodzą generała Brinta! Co ty na to?

– Jeśli nie przegrali po raz drugi, to ta bitwa odbyła się jeszcze zanim opuściłam Bliską Krainę. Każdy o tym wie.

– Dama prosi o świeższe wieści – mruknęła staruszka, przeglądając pogniecioną stertę. – Konflikt w Styrii dobiega końca! Sipasi otwiera wrota przed Wężem Talinsu!

– To się wydarzyło co najmniej dwa lata temu. – Płoszka zaczynała podejrzewać, że rozmawia z wariatką, jeśli to było coś nietypowego w miejscu, gdzie większość ludzi oszalała ze szczęścia, rozpaczy albo z innego, nieopisanego powodu.

– Cóż za wyzwanie. – Kobieta polizała brudny palec, żeby szybciej przeglądać swoją kolekcję, i w końcu natrafiła na obwieszczenie, które wyglądało na wyjątkowo stare. – Legat Sarmis zagraża granicy Bliskiej Krainy? Groźba imperialnego najazdu?

– Sarmis jest groźny od dziesięcioleci. To najbardziej niebezpieczny legat, o jakim słyszano.

– A zatem to wciąż prawda!

– Wiadomości szybko się psują, moja droga, tak jak mleko.

– Ja uważam, że stają się wartościowsze, jeśli starannie się je przechowuje, tak jak wino.

– Cieszę się, że lubisz klasykę, ale nie zapłacę za wczorajsze wieści.

Kobieta zgarnęła papiery, jak matka chowająca dziecko

przed atakiem ptaka, a gdy się pochyliła, okazało się, że jej kapelusz jest pozbawiony denka. Przez otwór było widać niewyobrażalnie strupowatą głowę, której zgniły smród niemal przewrócił Płoszkę.

– Nie są gorsze od jutrzejszych, prawda? – Kobieta odepchnęła ją z drogi i odeszła, wymachując starymi obwieszczeniami nad głową. – Wieści! Mam wieści!

Płoszka głęboko odetchnęła, po czym ruszyła w dalszą drogę. Psiakrew, ależ była zmęczona. W Fałdzie nie sposób było odpocząć.

– Szukam dwójki dzieci.

Ten w środku posłał jej obleśny uśmiech.

– Mogę ci je zrobić, dziewczyno.

Ten po lewej parsknął śmiechem. Ten po prawej się wyszczerzył, a odrobina soku z czaggi wyciekła mu z ust na brodę. Sądząc po jej wyglądzie, nie był to pierwszy raz. Cała trójka prezentowała się mało obiecująco, ale gdyby Płoszce to przeszkadzało, wyjechałaby z Fałdy jeszcze pierwszego dnia.

– Porwano je z naszego gospodarstwa.

– Pewnie nie było tam nic innego wartego zabrania.

– Prawdę mówiąc, masz rację. Zabrał je Grega Cantliss.

Nastrój mężczyzn natychmiast uległ zmianie. Ten po prawej wstał i zmarszczył czoło. Ten po lewej splunął sokiem przez balustradę. Obleśny jeszcze bardziej obleśnie się uśmiechnął.

– Masz tupet, dziewczyno, skoro wypytujesz tutaj o takie rzeczy. Wielki, kurwa, tupet.

– Nie ty pierwszy mi to mówisz. Najlepiej będzie, jeśli zabiorę swój tupet i sobie pójdę.

Chciała odejść, ale mężczyzna zszedł z werandy, stanął jej na

drodze i wycelował palec w jej twarz.

– Wiesz co, wyglądasz mi na Ducha.

– Może jest mieszańcem – mruknął jeden z jego przyjaciół.

Płoszka zacisnęła zęby.

– Owszem, w jednej czwartej.

Uśmiech Obłeśnego przypominał skurcz twarzy.

– Cóż, po tej stronie ulicy nie przepadamy za takimi jak ty.

– Lepiej być w jednej czwartej Duchem niż w całości dupkiem.

Znów odezwał się w niej talent do denerwowania ludzi. Mężczyzna ściągnął brwi i zbliżył się o krok.

– Ty przekłeta...

Niewiele myśląc, oparła dłoń na rękojeści noża.

– Lepiej nie podchodź.

Zmrużył oczy. Był poirytowany. Jakby nie spodziewał się otwartego sprzeciwu, ale nie mógł się wycofać na oczach swoich towarzyszy.

– A ty lepiej nie łap za ten nóż, dziewczyno, jeśli nie masz zamiaru go użyć.

– To, czy go użyję, zależy od tego, czy się zatrzymasz. Nie mam złudzeń, ale może jesteś mądrzejszy niż wyglądasz.

– Zostawcie ją. – W drzwiach stanął potężny mężczyzna, chociaż to określenie nie oddawało mu sprawiedliwości. Jego pięść, którą oparł na framudze, miała wielkość głowy Płoszki.

– Nie musisz się wtrącać – odrzekł Obłeśny.

– Nie muszę, ale chcę. Mówisz, że szukasz Cantlissa? – spytał olbrzym, przenosząc wzrok na Płoszkę.

– Zgadza się.

– Niczego jej nie mów! – burknął Zmrużone Oczy.

Mężczyzna na niego popatrzył.

– Możesz sam się zamknąć... – Musiał się schylić, żeby wyjść z budynku – ...albo mogę ci pomóc.

Pozostali dwaj mężczyźni cofnęli się, żeby zrobić mu miejsce, a potrzebował go sporo. Gdy wyłonił się z cienia, wyglądał na jeszcze potężniejszego. Był wyższy nawet od Owcy, być może miał także potężniejsze ramiona i klatkę piersiową. Prawdziwy potwór, ale mówił cicho, z wyraźnym północnym akcentem.

– Nie zwracaj uwagi na tych idiotów. Są odważni, kiedy mają pewność wygranej, w przeciwnym razie podkulają ogon. – Deski zaskrzypiały pod jego potężnymi butami, gdy schodził na ulicę. Tam się zatrzymał, górując nad Obleśnym. – Cantliss jest ulepiony z tej samej gliny. To nadęty głupiec przepełniony jadem. – Mężczyzna miał smutną, obwisłą twarz, oklapnięte jasne wąsy i siwiejący krótki zarost. – Tak się składa, że kiedyś byłem taki sam. Słyszałem, że jest winien Papie Ringowi mnóstwo pieniędzy. Ale od dawna go tutaj nie widziano. Więcej nie wiem.

– Dziękuję chociaż za to.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Olbrzym zwrócił wyblakłe niebieskie oczy na Obleśnego. – Zejdź jej z drogi.

Obleśny posłał Płoszce wyjątkowo obleśny uśmiech, ale ona przez lata zdążyła przywyknąć do nieprzyjemnych spojrzeń. Chciał cofnąć się na schody, ale olbrzym mu nie pozwolił.

– Odsuń się tam – rzekł, wskazując strumyk.

– Mam stanąć w kanale? – zdziwił się Obleśny.

– Masz stanąć w kanale. Albo cię w nim położę.

Obleśny zaklął pod nosem, schodząc po śliskich kamieniach, po czym stanął po kolana w wodzie pełnej gówna. Olbrzym położył sobie jedną dłoń na piersi, a drugą wskazał Płoszce

wolne przejście.

– Serdecznie dziękuję – powiedziała, przechodząc obok niego.

– Cieszę się, że spotkałam kogoś porządnego po tej stronie ulicy.

Mężczyzna prychnął.

– Nie daj się zwieść drobnym miłym gestom. Mówiłaś, że szukasz dzieci?

– Brata i siostry. Dlaczego pytasz?

– Może będę mógł ci pomóc.

Płoszka nauczyła się, że propozycje pomocy, podobnie jak wszystkie inne, należy traktować ze zdrową podejrzliwością.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Ponieważ wiem, jakie to uczucie stracić rodzinę. To jak stracić część siebie, czyż nie?

Płoszka zastanowiła się nad tym i uznała, że jest w tym wiele racji.

– Musiałem zostawić swoich bliskich na Północy. Wiem, że tak było dla nich najlepiej. Nie było innej możliwości. Ale wciąż sprawia mi to ból, chociaż nigdy się tego po sobie nie spodziewałem. Nie doceniałem ich, gdy byli blisko, a teraz cierpię.

Wyglądał na tak przytłoczonego smutkiem, że Płoszce zrobiło się go żal.

– Cóż, jeśli chcesz, możesz do mnie dołączyć. Zauważyłam, że ludzie traktują mnie poważniej, kiedy stoi za mną jakiś wielki drań.

– Niestety, to uniwersalna zasada – odrzekł, dostosowując się do jej tempa marszu. Dwa jego kroki równały się jej trzem. – Jesteś tutaj sama?

– Przyjechałam z ojcem. W pewnym sensie.

– Jak ktoś może być w pewnym sensie ojcem?

– Jakoś mu się udaje.

– Jest ojcem tej dwójki, której szukacie?

– Również w pewnym sensie – odrzekła Płoszka.

– Nie powinien pomagać w poszukiwaniach?

– Pomaga, na swój sposób. Buduje dom po drugiej stronie ulicy.

– Tamten nowy?

– Artykuły metalowe u Majuda i Curnsbicka.

– Solidna budowla. To tutaj rzadkość. Ale nie wiem, w jaki sposób to pomoże w odnalezieniu waszych malców.

– Powierzył to zadanie komuś innemu.

– Komu?

Płoszka nie miała w zwyczaju odkrywać wszystkich kart, ale coś w jego zachowaniu ją ośmieliło.

– Pani Burmistrz.

Mężczyzna wziął głęboki wdech.

– Prędzej powierzyłbym swoje klejnoty wężowi niż zaufałbym w czymkolwiek tej kobiecie.

– Rzeczywiście jest nieco zbyt grzeczna.

– Zawsze mi powtarzano, żeby nie ufał nikomu, kto nie posługuje się swoim prawdziwym nazwiskiem.

– Ale sam jeszcze się nie przedstawiłeś.

Olbrzym westchnął ze znużeniem.

– Miałem nadzieję, że uda mi się tego uniknąć. Ludzie zaczynają inaczej na mnie patrzeć, gdy dowiadują się, jak się nazywam.

– Pewnie masz jedno z tych zabawnych imion? Może Dupeck?

– To byłoby błogosławieństwo. Niestety, moje imię nikogo nie rozbawi. Nie uwierzysz, jak ciężko pracowałem nad tym, żeby stało się znane. Poświęciłem na to lata. A teraz nie mogę się wydostać z jego cienia. Sam wykułem ogniwa swojego łańcucha.

– Chyba wszyscy mamy do tego skłonności.

– Zapewne. – Zatrzymał się i wyciągnął olbrzymią dłoń, a Płoszka ją przyjęła. Jej własna dłoń zamknięta w ciepłym uścisku wyglądała jak rączka dziecka. – Nazywam się...

– Głama Złoty!

Olbrzym się wzdrygnął, przygarbił i powoli odwrócił. Na ulicy za jego plecami stał rosły młody mężczyzna z blizną przecinającą usta, ubrany w podarty płaszcz. Chwiał się na nogach i Płoszka podejrzewała, że dużo wypił. Może chciał sobie dodać odwagi, chociaż w Fałdzie ludzie rzadko potrzebowali powodu do picia. Wycelował w ich stronę niepewny palec, a jego druga dłoń zbłądziła do rękojeści dużego noża wiszącego przy pasie.

– To ty zabiłeś Stocklinga Niedźwiedzia? – spytał kpiąco. – Ty wygrałeś te wszystkie walki? – Splunął na błoto tuż obok ich stóp. – Nie wyglądasz na kogoś, kto byłby wiele wart!

– Bo nie jestem – odparł olbrzym cicho.

Chłopak zamrugał, nie wiedząc, jak na to zareagować.

– No więc... kurwa, wyzywam cię, draniu!

– A jeśli nie posłucham?

Młodzieniec posłał surowe spojrzenie ludziom na werandach, którzy oderwali się od swoich zajęć, żeby na niego popatrzeć. Przesunął językiem wewnątrz ust, wyraźnie niepewny siebie. Potem spojrział na Płoszkę i postanowił jeszcze raz zaatakować.

– Co to za suka? Twoja pierdolona...

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, chłopcze. – W ustach Złotego to nie zabrzmiało jak groźba, ale raczej jak błaganie. Oczy olbrzyma jeszcze bardziej posmutniały.

Chłopak się wzdrygnął i poblądł, a jego wyciągnięty palec zadrżał. Butelka to kiepski bankier – może ci pożyczyć nieco odwagi, ale potem niespodziewanie wzywa do spłaty długu. Młodzieniec cofnął się o krok i ponownie splunął.

– Kurwa, szkoda zachodu – rzucił.

– Masz rację. – Złoty patrzył, jak chłopak powoli się wycofuje, a następnie odwraca się i przyśpiesza kroku.

Rozległo się kilka westchnień ulgi, kilka osób wzruszyło ramionami, po czym na nowo rozgorzały rozmowy.

Płoszka przełknęła ślinę, czując w ustach nagłą suchość i lepkość.

– Jesteś Glama Złoty?

Powoli pokiwał głową.

– Chociaż dobrze wiem, że nie ma już we mnie zbyt wiele złota. – Patrząc, jak młodzieniec znika w tłumie, Glama zatarł potężne dłonie, a Płoszka zauważyła, że trzęsą mu się ręce. – Sława to piekło. Piekło.

– To ty staniesz do walki w imieniu Papy Ringa?

– Zgadza się. Chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Słyszałem, że Burmistrz nie znalazła żadnego kandydata. – Popatrzył na Płoszkę, mrużąc oczy. – A co? Czyżbyś o czymś słyszała?

– Nie – odparła, bezskutecznie próbując się uśmiechnąć. – O niczym nie wiem.

Rychły rozlew krwi

Zbliżał się świt, powietrze było czyste i zimne, błoto pokrywał szron. Większość lamp w oknach wygaszono, pochodnie oświetlające szyldy już się wypaliły, a na niebie było jasno od gwiazd. Lśniły ich całe setki, ostrych jak klejnoty, ułożonych w spirale, ławice i migoczące konstelacje. Temple otworzył usta, czując, jak zimne powietrze szczypie go w policzki, i obracał się, podziwiając piękno niebios, aż zakręciło mu się w głowie. Dziwne, że nigdy wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Może zawsze wbijał wzrok w ziemię.

– Sądzisz, że tam w górze znajduje się odpowiedź? – spytał Bermi, a jego oddech i oddech jego wierzchowca kłębiły się w porannym chłodzie.

– Nie wiem, gdzie ona się znajduje – odparł Temple.

– Jesteś gotowy?

Obejrzał się na dom. Główne belki znajdowały się na swoim miejscu, podobnie jak większość krokwi, okien oraz ościeżnic. Szkielet budynku pysznił się czarną sylwetką na tle usianego gwiazdami nieba. Jeszcze tego ranka Majud mówił mu, jaką wspaniałą pracę wykonał, i że nawet Curnsbick uznałby jego honorarium za dobrze wydane pieniądze. Temple czuł przypływ dumy i zastanawiał się, kiedy ostatnio mu się to przytrafiło. Ale w jego naturze leżało pozostawianie wszystkiego na wpół dokończonym. Tak było od zawsze.

– Możesz pojechać na koniu jucznym. To tylko dzień albo dwa drogi w głąb wzgórz.

– Dlaczego nie? – Po kilkuset milach na grzbiecie muła miał tyłek jak z drewna.

Stolarze bez entuzjazmu zaczęli pracować w amfiteatrze. Stawiali nowy rząd siedzeń po otwartej stronie, żeby wtłoczyć kilkudziesięciu dodatkowych widzów. Na tle ciemnego zbocza było widać podpory i zastrzały, powyginane i nieudolnie pozbijane. Z niektórych kawałków drewna wciąż sterczały niestarannie przycięte gałęzie.

– Już za dwa tygodnie wielka walka.

– Szkoda, że ją przegapimy – rzekł Bermi. – Lepiej już ruszajmy, reszta chłopców na pewno jest już daleko przed nami.

Temple wsunął nową łopatę za jeden z pasków na grzbiecie jucznego konia. Poruszał się coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie znieruchomiał. Minął dzień albo dwa odkąd widział się z Płoszką, ale pod jej nieobecność stale przypominał sobie o swoim długu. Zastanawiał się, czy ona gdzieś tam jest, wciąż pogrążona w niestrudzonych poszukiwaniach. Nie mógł nie podziwiać kogoś, kto podejmował taki wysiłek, niezależnie od kosztów i okoliczności. Zwłaszcza że sam nie potrafił przy niczym wytrwać. Nawet jeśli tego chciał.

Przez chwilę o tym rozmyślał, stojąc nieruchomo, zanurzony po kostki w na wpół zamrożonym błocie. Potem podszedł do Bermiego i poklepał Styryjczyka po ramieniu.

– Ja zostaję. Serdecznie ci dziękuję za propozycję, ale muszę dokończyć budowę. A także spłacić dług.

– Od kiedy spłacasz swoje długi?

– Zapewne od teraz.

Bermi popatrzył na niego ze zdziwieniem, jakby starał się zrozumieć, na czym polega dowcip.

– Mogę cię jakoś przekonać?

– Nie.

– Zawsze zmieniałeś zdanie przy najlżejszym podmuchu wiatru.

– Wygląda na to, że każdy może dorosnąć.

– A co z twoją łopata?

– Potraktuj ją jako prezent.

Bermi zmrużył oczy.

– Chodzi o kobietę, prawda?

– Owszem, ale to nie tak, jak ci się wydaje.

– A co ona o tym myśli?

Temple parsknął.

– Coś innego.

– Przekonamy się. – Bermi wskoczył na siodło. – Pewnie będziesz żałował, kiedy wrócimy z samorodkami wielkimi jak kawałki gówna.

– Pewnie pożałuję znacznie wcześniej. Takie jest życie.

– Masz rację. – Styryjczyk zdjął kapelusz i uniósł go wysoko nad głowę w geście pozdrowienia. – Do tego drania nic nie przemawia! – Odjechał główną ulicą, chlapiąc błotem spod kopyt konia, rozpędzając grupkę pijanych górników.

Temple westchnął. Miał wrażenie, że już żałuje swojej decyzji. Potem zmarszczył czoło. Jeden z zataczających się górników wyglądał znajomo: starszy mężczyzna z butelką w dłoni i śladami łez na policzkach.

– Iosiv Lestek? – Temple podwinął spodnie i wyszedł na ulicę.
– Co się stało?

– Hańba! – zaskrzeczał aktor, tłukąc się w pierś. – Publiczność... parszywa. Mój występ... żałosny. Kulturalne święto... katastrofalne! – Chwycił Temple'a za koszulę. –

Zostałem przepędzony ze sceny. Ja, Iosiv Lestek! Ten sam, który niepodzielnie rządził teatrami Midderlandu niczym swoim lennem! – Chwycił się za poplamioną koszulę. – Obrzucony łajnem! Zastąpiony przez trio dziewcząt z obnażonymi cyckami. Co więcej, przy wtórze żywiołowego aplauzu. Czy dzisiaj publiczności zależy tylko na tym? Na cyckach?

– Myślę, że zawsze cieszyły się popularnością...

– Wszystko skończone! – Lestek zawył ku niebu.

– Przymknij się, kurwa! – ryknął ktoś z okna na piętrze.

Temple chwycił aktora za rękę.

– Odprowadzę cię do Zajazdu Camlinga...

– Camling! – Lestek się wyrwał, wymachując butelką. – Ten przeklęty robak! Zdradziecka kukułka! Wyrzucił mnie ze swojego zajazdu! Mnie! Lestka! Ale ja się na nim zemszczę!

– Niewątpliwie.

– Jeszcze zobaczy! Wszyscy mnie popamiętają! Mój najlepszy występ wciąż jest przede mną!

– Na pewno im pokażesz, ale może dopiero rano. Są tutaj inne zajazdy...

– Jestem bankrutem! Sprzedałem wóz, spieniężyłem rekwizyty, zastawiłem kostiumy! – Lestek padł na kolana w błoto. – Nie mam niczego poza łachmanami, które noszę na grzbiecie!

Temple westchnął, wydmuchując kłęby pary, po czym ponownie zerknął na usiane gwiazdami niebios. Najwyraźniej znalazł się na trudnej ścieżce. O dziwo, ta myśl sprawiła mu przyjemność. Podniósł staruszkę z kolan.

– W moim namiocie wystarczy miejsca dla nas dwóch, jeśli zniesiesz moje chrapanie.

Lestek przez chwilę chwiał się w miejscu.

– Nie zasługuję na taką serdeczność.

Temple wzruszył ramionami.

– Ja też nie zasługiwałem.

– Mój chłopcze – wyszeptał aktor, szeroko rozpościerając ręce. W jego oczach zalśniły łzy.

Potem zwymiotował Temple'owi na koszulę.

Płoszka zmarszczyła czoło. Była pewna, że Temple wsiądzie na jucznego konia i wyjedzie z miasta, tratując jej dziecinne zaufanie i na zawsze znikając jej z oczu. Ale on tylko podarował swojemu znajomemu łopatę i pomachał mu na pożegnanie. Potem zaciągnął jakiegoś oblepionego gównem pijaka do szkieletu budynku Majuda. Ludzie stanowią zagadkę nie do rozwiązania.

Ostatnio źle sypiała. Nocami obserwowowała ulicę. Może spodziewała się, że nadjedzie Cantliss, chociaż nie miała pojęcia, jak on wygląda. Jednak przeważnie tylko rozmyślała o tym, co ją trapiło. O swoim rodzeństwie, Owcy i zbliżającej się walce. O rzeczach, miejscach oraz twarzach, które wolałaby zapomnieć.

O Jegu, który z kapeluszem naciągniętym na oczy prosił o papierosa, i Doddzie, zaskoczonym, że go zastrzeliła, a także tamtym bankierze, który grzecznie informował, że nie może jej pomóc, uśmiechając się z zakłopotaniem, jakby była damą pytającą o pożyczkę, a nie złodziejką, która ostatecznie zamordowała go bez powodu. O dziewczynie, którą powiesili zamiast niej, a której imienia Płoszka nie pamiętała. Kołysała się z tabliczką na skręconej szyi, a jej martwe oczy pytały: „Dlaczego

ja, a nie ty?”, Płoszka zaś nadal nie znalazła odpowiedzi.

Podczas tych powolnych, mrocznych godzin jej głowa wypełniała się wątpliwościami jak przeciekająca łódź i Płoszka szła na dno pomimo rozpaczliwego wylewania wody, wyobrażając sobie martwego Owcę oraz Pestkę i Ro gnijących gdzieś na pustkowiu. Czuła się przez to jak zdrajczynie, ale jak można powstrzymać myśl, która już się pojawiła?

Śmierć jest jedyną pewną rzeczą. Jedynym faktem pośród licznych szans, możliwości, przypadków i perspektyw. Leef i synowie Buckhorma, a także Duchy na równinie. Uczestnicy bójek w Fałdzie, ludzie wieszani bez wyroku, umierający z powodu gorączki albo ginący w głupich wypadkach, jak tamten poganiacz bydła, którego wczoraj kopnął w głowę wierzchowiec jego brata, albo sprzedawca butów, który utopił się w kanale. Śmierć spaceruje między nami każdego dnia i w końcu upomni się o każdego.

Na ulicy rozległ się tętent kopyt i Płoszka wyciągnęła szyję. Zobaczyła migoczące pochodnie i ludzi wycofujących się na werandy przed błotem bryzgającym spod kopyt tuzina koni. Obejrzała się na Owcę, potężny kształt leżący pod kocem, cień zanurzony w jego fałdach. Po jednej stronie zobaczyła ucho z dużym ubytkiem. Usłyszała cichy, powolny oddech.

– Śpisz?

Głębiej zaczerpnął powietrza.

– Już nie.

Mężczyźni zatrzymali się przed Burmistrzowskim Kościołem Kości. Blask pochodni tańczył na ich zniszczonych, zaciętych obliczach, a Płoszka się cofnęła. To nie był Pestka ani Ro ani Cantliss.

– Kolejne zbiry przyjechały do pani Burmistrz.

– Dużo się ich tutaj kręci – mruknął Owca. – Nie trzeba wróżbity, żeby przewidzieć rychły rozlew krwi.

Kopyta zastukały na ulicy, po czym rozległ się głośny śmiech i wołanie kobiety, a następnie zapadła cisza przerywana tylko szybkim stukaniem młotka dobiegającym z okolic amfiteatru, które przypominało im o zbliżającym się wielkim przedstawieniu.

– Co się stanie, jeśli Cantliss nie przyjedzie? – Płoszka odezwała się w ciemności. – Jak wtedy znajdziemy Pestkę i Ro?

Owca powoli usiadł, przeczesując palcami siwe włosy.

– Po prostu będziemy musieli dalej szukać.

– A co, jeśli... – Chociaż często o tym rozmyślała, jeszcze nigdy nie odważyła się ubrać tych obaw w słowa. – A co, jeśli oni nie żyją?

– Będziemy szukali, dopóki się nie upewnimy.

– A jeśli zginęli gdzieś na równinach i nigdy nie będziemy mieć pewności? Z każdym mijającym miesiącem nasze szanse na poznanie prawdy będą malały, czyż nie? Możemy nigdy ich nie znaleźć. – Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy i głośny, ale nie mogła tego powstrzymać. – W tej chwili mogą być wszędzie, żywi albo martwi. Jak mamy odnaleźć dwoje dzieci na tym nieopisanym pustkowiu? Kiedy przerwać poszukiwania? Kiedy wolno nam to zrobić?

Odepchnął koc, podszedł do jej posłania i krzywiąc się z bólu, przykucnął, żeby popatrzeć jej w oczy.

– Możesz przestać, kiedy będziesz chciała, Płoszko. Dotarłaś już bardzo daleko. Na swojej drodze pokonałaś wiele trudności, a zapewne wiele jest ich jeszcze przed tobą. Ja złożyłem obietnicę twojej matce, więc nie zrezygnuję. Będę ich szukał do skutku. Zresztą nie mam żadnego lepszego zajęcia. Ale ty jesteś

młoda. Masz przed sobą całe życie. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli się wycofasz.

– Ja będę je miała. – Roześmiała się i grzbietem dłoni otarła pierwszą łzę. – Zresztą, też nie wiodę ciekawego życia.

– Masz to po mnie – odrzekł, odsuwając pościel na jej posłaniu. – Nawet jeśli nie jesteś moją córką.

– Chyba jestem zmęczona.

– Któż by nie był na twoim miejscu.

– Po prostu chciałabym ich odzyskać – dodała, wślizgując się pod koc.

– Odzyskamy ich – zapewnił, nakrywając ją i kładąc ciężką dłoń na jej ramieniu. Prawie mu uwierzyła. – A teraz się prześpij, Płoszko.

Nie licząc pierwszego porannego światła wpełzającego między zasłony i kładącego się szarą linią na pościeli Owcy, w pomieszczeniu panowała ciemność.

– Naprawdę zamierzasz walczyć z tym Złotym? – spytała po chwili. – Wydał mi się porządnym człowiekiem.

Owca milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zasnął.

– Przykro mi to mówić – odrzekł w końcu – ale zabijałem lepszych ludzi z gorszych powodów.

Uśpiony partner

Temple musiał przyznać, że nigdy nie spełniał własnych wysokich standardów. Zresztą nie spełniał nawet tych niskich. Podejmował się mnóstwa projektów. Wielu z nich powstydzilby się każdy porządny człowiek. Spośród pozostałych, na skutek połączenia pecha, niecierpliwości oraz obsesyjnej pogoni za nowymi wyzwaniami, wszystkie zakończyły się rozczarowaniem, porażką albo wręcz katastrofą.

Dlatego sklep Majuda, którego budowa zbliżała się do końca, był przyjemną niespodzianką.

Okazało się, że jeden z Suljuków, którzy towarzyszyli Drużynie podczas wędrówki przez równiny, jest wybitnym dekarzem. Owca zaprzął swoje dziewięć palców do sztuki murarskiej i znakomicie się w tym sprawdzał. Ostatnio na placu budowy pojawili się Buckhormowie, żeby pomóc w piłowaniu i przybijaniu desek, którymi pokryto zewnętrzne ściany. Nawet Lord Ingelstad oderwał się na chwilę od tracenia pieniędzy na rzecz lokalnych hazardzistów, żeby udzielić kilku rad dotyczących wyboru farby. Co prawda, były to złe rady, ale mniejsza z tym.

Temple cofnął się na ulicę, podnosząc wzrok na niemal gotową fasadę, której brakowało tylko balustrad na balkonie oraz szyb, i na jego twarzy po raz pierwszy od dawna zagościł szeroki uśmiech satysfakcji. Potem prawie upadł na twarz, gdy ktoś solidnie klepnął go w plecy.

Odwrócił się, oczekując, że to Płoszka postanowiła

przypomnieć mu o powoli topniejącym długi, i przeżył kolejne zaskoczenie.

Za jego plecami stał mężczyzna. Nie był wysoki, ale miał szerokie barki oraz bujne rude bokobrody. Grube okulary sprawiały, że jego oczy wyglądały na malutkie, a uśmiech przez porównanie robił imponujące wrażenie. Miał na sobie strój szyty na miarę, ale grzbiety jego masywnych dłoni były poznaczone bliznami powstałymi na skutek ciężkiej pracy.

– Myślałem, że nie znajdę tutaj dobrego stolarza! – Unosząc brew, zerknął na nową trybunę chaotycznie wznoszoną wokół starego amfiteatru. – Ale cóż się okazało, gdy już straciłem nadzieję? – Chwycił Temple'a za ramiona i odwrócił go w stronę sklepu Majuda. – Odkryłem ten pobudzający do życia przykład konstrukcyjnej biegłości! Odważny projekt, skrupulatne wykonanie oraz oszałamiająca mieszanka stylów zręcznie odzwierciedlająca wielokulturowy charakter tej dziewiczej krainy zdobywanej przez dzielnych poszukiwaczy przygód. A to wszystko dla mnie! Jestem wzruszony!

– Dla... pana?

– Właśnie tak! – Mężczyzna wskazał szyld wiszący nad frontowymi drzwiami. – Jestem Honrig Curnsbick, lepsza połowa spółki Majud i Curnsbick! – Objął Temple'a i ucałował go w oba policzki, a następnie pogrzebał w kieszeni kamizelki i wydobyl monetę. – Dodatkowe wynagrodzenie za pański wysiłek. Zawsze powtarzałem, że szczodrość się opłaca!

Temple zamrugał, patrząc na monetę. To było srebrne pięć marek.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Nie zawsze jest to zysk finansowy i nie zawsze natychmiastowy, ale dobra wola i przyjaźń nie mają ceny!

– Nie mają? To znaczy... tak pan uważa?

– Zgadza się! Gdzie mój partner, Majud? Gdzie się podziało to stare skąpiradło o kamiennym sercu?

– Chyba się pana nie spodziewa...

– Ja również nie planowałem tej podróży, ale jak mogłem zostać w Adui, podczas gdy... to wszystko – rozłożył ręce, wskazując tłumne, hałaśliwe i cuchnące miasteczko – to wszystko działo się tutaj beze mnie? Poza tym mam fascynujący nowy pomysł, który chciałbym z nim omówić. Para wodna, oto przyszłość.

– Tak?

– W środowisku inżynierów aż huczy po tym, jak Scibgard pokazał swoje nowe urządzenie tłokowe napędzane węglem!

– Kto pokazał co?

Curnsbick zsunął okulary na szerokie czoło i mrużąc oczy, popatrzył na wzgórze za miastem.

– Wyniki pierwszych badań minerałów są fascynujące. Podejrzewam, że złoto w tych górach ma czarny kolor, chłopcze! Czarny jak... – Umilkł, patrząc na schody prowadzące do domu. – Nie... to niemożliwe... – Opuścił okulary i szeroko otworzył usta. – Słynny Iosiv Lestek?

Aktor, owinięty kocem, z szarą twarzą pokrytą kilkudniowym siwym zarostem, zamrugał, stojąc w progu.

– Cóż, zgadza się...

– Szanowny panie! – Curnsbick wbiegł po schodach, rzucając markę jednemu z synów Buckhorma, przez co ten upuścił młotek, chwycił aktora za rękę i zaczął nią potrząsać z większą energią niż jakiegokolwiek urządzenie tłokowe. – To zaszczyt pana poznać, prawdziwy zaszczyt! Zachwycił mnie pan w roli Bayaza podczas jednego z przedstawień, które widziałem w Adui.

Szczerze zachwycił!

– To bardzo miło z pana strony – wyszeptał Lestek, gdy bezlitośnie sympatyczny partner Majuda wprowadził go do budynku. – Chociaż jestem pewien, że mój najlepszy występ jest nadal przede mną...

Temple zamrugał, patrząc w ślad za odchodzącymi mężczyznami. Curnsbick bardzo go zaskoczył. Ale czy cokolwiek w życiu spełnia nasze oczekiwania? Ponownie wyszedł na ulicę i oddał się radosnej kontemplacji swojego budynku, po czym o mało nie upadł na twarz, gdy kolejna osoba klepnęła go w ramię. Odwrócił się w stronę Płoszki, tym razem wyraźnie poirytowany.

– Dostaniesz swoje pieniądze, ty pijawko...

Za jego plecami stał potężny jegomość o olbrzymiej łysej głowie i drobnej twarzy.

– Pani Burmistrz... chce się z tobą... zobaczyć – rzekł z trudem, jakby zapomniał tekstu do swojej epizodycznej roli.

Temple zaczął się zastanawiać, z jakiego powodu ktoś ważny może chcieć jego śmierci.

– Na pewno chodzi o mnie? – Mężczyzna pokiwał głową. Temple przełknął ślinę. – Powiedziała, po co mnie wzywa?

– Nie mówiła. Nie pytałem.

– A jeśli wolę zostać tutaj?

Niewielka twarz zmarszczyła się i jeszcze bardziej zmniejszyła pod wpływem umysłowego wysiłku.

– Nie wspominała... o takiej możliwości.

Temple szybko się rozejrzał, ale w pobliżu nie zauważył nikogo, kto mógłby mu pomóc. Zresztą wiedział, że pani Burmistrz nie da się unikać w nieskończoność. Skoro chce się z nim zobaczyć, to w końcu dopnie swego. Wzruszył ramionami,

ponownie czując się bezsilny jak liść niesiony wiatrem przeznaczenia, po czym powierzył się Bogu. Z Jemu tylko znanych powodów ostatnio Temple mógł na Niego liczyć.

Burmistrz bardzo długo milczała, wpatrując się w niego z namysłem zza swojego biurka.

Ludzie, którzy mają duże mniemanie o sobie, niewątpliwie uwielbiają, gdy się tak na nich patrzy, i w myślach wymieniają liczne cudowne cechy, które zachwycony patrzący zapewne w nich widzi. Dla Temple'a to była tortura. W tym pełnym oceny spojrzeniu dostrzegał własne rozczarowanie swoją osobą i wiercił się na krześle, czekając, aż ta ciężka próba dobiegnie końca.

– Jestem niezwykle zaszczycony tym uprzejmym zaproszeniem, pani Burmistrz... – rzekł, nie mogąc dłużej wytrzymać – ...ale co my właściwie tutaj robimy?

Staruszek przy oknie, który jak dotąd pozostawał anonimowy, chrapliwie zachichotał.

– Jovens i jego brat Bedesz debatowali nad tym pytaniem przez siedem lat, a im dłużej to robili, tym dalej byli od odpowiedzi. Mam na imię Zacharus. – Pochylił się, wyciągając dłoń o sterczących knykciach i paznokciach naznaczonych czarnymi półksiężycami brudu.

– Tak jak ten mag? – spytał Temple, niepewnie podając mężczyźnie rękę.

– Właśnie tak. – Starzec ścisnął jego dłoń, po czym ją odwrócił i dotknął odcisku na środkowym palcu, który wciąż był wyraźnie wyczuwalny, mimo że Temple od tygodni nie trzymał w ręku pióra. – Pisarz – zauważył, a kilka gołębi siedzących na

parapecie jednocześnie podskoczyło i zatrzepotało skrzydłami.

– Wykonywałem... wiele zawodów. – Temple zdołał wyrwać dłoń z zaskakująco silnego uścisku. – Uczyłem się historii, teologii i prawa w Wielkiej Świątyni w Dagosce u Haddisza Kahdii...

Burmistrz posłała mu ostre spojrzenie, słysząc to imię.

– Znała go pani?

– Dawno temu. Bardzo go podziwiałem. Zawsze wcielał w życie swoje nauki. Robił to, co uważał za słuszne, niezależnie od trudności.

– Moje lustrzane odbicie – mruknął Temple.

– Różne zadania wymagają różnych talentów – zauważyła Burmistrz. – Masz doświadczenie z traktatami?

– Tak się składa, że podczas ostatniej wizyty w Styrii negocjowałem traktat pokojowy i pomogłem ustalić przebieg kilku granic. – Posłużył jako narzędzie w bezwstydnym i całkowicie nielegalnym procederze zagarnięcia ziemi, ale szczerłość przydaje się stolarzom i kapłanom, a nie prawnikom.

– Chcę, żebyś przygotował dla mnie traktat – powiedziała Burmistrz. – Taki, który wprowadzi Fałdę i otaczający ją wycinek Dalekiej Krainy do Imperium i zapewni im jego ochronę.

– Do Starego Imperium? Zdecydowana większość osadników pochodzi z Unii. Czy to nie byłby naturalny...

– W żadnym wypadku nie Unia.

– Rozumiem. Nie chciałbym swoim gadaniem przysporzyć sobie kłopotów... zbyt często mi się to zdarza... ale tutejsi ludzie respektują tylko prawo miecza.

– Być może teraz tak jest. – Burmistrz podeszła do okna i popatrzyła na zatłoczoną ulicę. – Ale w końcu skończy się złoto

i odejdą poszukiwacze, skończą się futra i odejdą traperzy, a po nich hazardziści, bandyci i dziwki. Kto pozostanie? Ludzie tacy jak twój przyjaciel Buckhorm, który buduje dom i hoduje bydło o dzień jazdy konno od miasta. Albo twój przyjaciel Majud, któremu przez ostatnie tygodnie z takim wysiłkiem budujesz sklep i kuźnię. Ludzie, którzy coś uprawiają, sprzedają, wytwarzają. – Wracając od okna, eleganckim ruchem wzięła szklaneczkę i butelkę. – Tacy ludzie lubią prawa. Nie przepadają za prawnikami, ale uznają ich za zło konieczne. Podobnie jak ja.

Napełniła szklaneczkę, ale Temple odmówił.

– Przeprowadziłem z trunkami kilka długich i bolesnych rozmów i doszliśmy do wniosku, że nie potrafimy się porozumieć.

– Ja również się z nimi nie dogaduję. – Wzruszyła ramionami i sama opróżniła szklaneczkę. – Ale wciąż prowadzę dyskusję.

– Mam tutaj wstępną wersję... – Zacharus zaczął grzebać pod płaszczem, co zaowocowało wonią spleśniałej cebuli oraz plikiem brudnych papierów różnej wielkości, na których nabazgrano coś odręcznie najbardziej nieczytelnym charakterem pisma, jaki można sobie wyobrazić. – Zawarłem w niej najważniejsze punkty. Ideałem byłby status na wpół niezależnej enklawy znajdującej się pod ochroną imperialnego rządu i płacącej mu podatki. Istnieje precedens. Miasto Calcis cieszy się podobnym statusem. Jest też kwestia... tego... no, jak to się nazywa? – Zmrużył oczy i uderzył się dłonią w bok głowy, jakby w ten sposób mógł wytrząsnąć z niej odpowiedź.

– Widzę, że zna się pan trochę na prawie – rzekł Temple, przeglądając dokument.

Staruszek lekceważąco machnął dłonią poplamioną sosem.

– Dawno temu studiowałem imperialne prawo. Ten traktat

musi także być wiążący w świetle prawa Unii oraz górniczych tradycji.

– Zrobię, co będę mógł. Oczywiście, dokument nie będzie nic znaczył, dopóki nie zostanie podpisany przez przedstawiciela lokalnych mieszkańców, a także, jak sądzę, przez Imperatora.

– W imieniu Imperatora występuje Imperialny Legat.

– Jest jakiś na podorędziu?

Zacharus i pani Burmistrz wymienili spojrzenia.

– Podobno legiony Legara Sarmisa znajdują się w odległości czterech tygodni marszu.

– Rozumiem, że Sarmis... nie jest osobą, którą ktokolwiek zaprosiłby tutaj z własnej woli. A tym bardziej jego legiony.

Burmistrz wzruszyła ramionami.

– Wola nie ma tutaj znaczenia. Papa Ring chce, żeby Fałda trafiła pod skrzydła Unii. Z tego, co mi wiadomo, prowadzi w tym kierunku zaawansowane negocjacje. Na to nie możemy pozwolić.

– No tak – rzekł Temple.

Zatem ich przybierająca na sile sprzeczka zyskała międzynarodowy wymiar i może jeszcze bardziej eskalować. Jednak nabrzmiewające konflikty to pożywka dla prawników. Co prawda, z pewnymi obawami wracał do dawnej profesji, ale musiał przyznać, że było to najłatwiejsze wyjście.

– Ile czasu potrzebujesz na przygotowanie dokumentu? – spytała pani Burmistrz.

– Kilka dni. Muszę dokończyć sklep Majuda...

– Od tej pory to będzie twój priorytet. Twoje honorarium wyniesie dwieście marek.

– Dwieście... marek?

– Czy to wystarczy?

Zdecydowanie najłatwiejsze wyjście. Temple odchrząknął, po czym odezwał się nieco zachrypniętym głosem:

– To odpowiednia suma, ale... najpierw muszę dokończyć budowę. – Jego własna deklaracja zaskoczyła go bardziej niż pieniądze zaproponowane przez panią Burmistrz.

Zacharus z uznaniem pokiwał głową.

– Jest pan człowiekiem, który zawsze doprowadza swoją pracę do końca.

Temple tylko się uśmiechnął.

– Wręcz przeciwnie... ale zawsze chciałem kimś takim zostać.

Zabawa

Prawie wszyscy byli obecni. Drużyna ponownie się zebrała. Oczywiście bez Leefa i pozostałych, którzy spoczęli w ziemi na płaskim pustkowiu. Ale reszta stawiała się w komplecie. Śmiali się, klepali po plecach i opowiadali kłamstwa o tym, jak dobrze im się powodzi. Niektórzy ze łzami w oczach przywoływali zafalszowane wspomnienia wspaniałych czasów na szlaku. Inni podziwiali budynek, w którym miała się mieścić siedziba firmy Majuda i Curnsbicka. Płoszka zapewne powinna się przyłączyć do zabawy. W końcu już od dawna nie miała żadnych rozrywek. Jednak od zawsze była zdania, że łatwiej rozmawiać o dobrej zabawie i na nią czekać niż rzeczywiście jej doświadczać.

Dab Słodki narzekał na brak zaufania ze strony poszukiwaczy, których zaprowadził w góry i którzy porzucili go bez płacenia, zanim to on zdążył ich porzucić. Płacząca Skała kiwała głową i pomrukiwała potakująco w niewłaściwych momentach. Iosiv Lestek starał się zaimponować jednej z dziwek opowieściami o swoich scenicznych sukcesach. Dziwka pytała, czy miało to miejsce jeszcze przed wybudowaniem amfiteatru, co według większości szacunków wydarzyło się ponad tysiąc lat wcześniej. Savian i Owca szeptali o czymś w kącie, jakby znali się od dzieciństwa. Hedges siedział w innym kącie z butelczyną. Buckhorm i jego żona, chociaż stracili dwóch synów na pustkowiu, wciąż musieli się opiekować czeredą dzieciaków płaczących się wszystkim pod nogami.

Płoszka westchnęła i wypłała kolejny milczący toast za Leefa

i pozostałych, którzy nie mogli być z nimi. Miała wrażenie, że towarzystwo zmarłych bardziej jej odpowiada.

– Pomyśleć, że kiedyś jechałem za stadem prowadzonym przez taką drużynę!

Odwróciła się w stronę drzwi i przeżyła szok. W progu stał bardziej elegancki brat bliźniak Temple'a, ubrany w czarny garnitur, schludny jak księżniczka, z krótko ostrzyżoną zakurzoną czupryną i brodą. Miał nowy kapelusz, a także nowy sposób bycia, gdyż wkroczył do środka jak właściciel, a nie budowniczy.

Kiedy minęło pierwsze rozczarowanie jego obcym wyglądem, Płoszka zdała sobie sprawę, że czekała na ich kolejne spotkanie.

– Temple! – rozległy się wesole głosy i ludzie otoczyli go, wyrażając uznanie.

– Kto by pomyślał, że można wyłowić z rzeki takiego stolarza? – pytał Curnsbick, obejmując Temple'a ramieniem, jakby znał go całe życie.

– Rzeczywiście szczęśliwe znalezisko! – dodał Majud, jakby to on go dokonał, a potem założył za Temple'a pieniądze, Płoszka zaś znajdowała się wtedy w odległości wielu mil.

Poruszyła językiem w ustach, dochodząc do wniosku, że rzadko ktoś docenia nasze zasługi, i pochyliła się, żeby splunąć przez zęby, ale wtedy zobaczyła, że Luline Buckhorm obserwuje ją z ostrzegawczo uniesioną brwią, i przełknęła ślinę.

Zapewne powinno jej wystarczyć, że ocaliła człowieka przed utonięciem i pokierowała go ku lepszemu życiu, a los udowodnił, że jej wiara była uzasadniona, pomimo przeciwnych opinii. Zabijcie w dzwony! Jednakże czuła się tak, jakby tajemnica, którą tylko ona знаła, nagle stała się dostępna dla

wszystkich. Wbrew sobie zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby mu popsuć humor, a potem jeszcze bardziej się zirytowała, gdy zrozumiała, że myśli jak wredny bachor, po czym odwróciła się plecami do wszystkich i z kwaśną miną pociągnęła kolejny łyk z butelki. Ona nigdy nie zmieniała się w nieoczekiwany sposób. Zawsze okazywała się tak samo rozczarowująca.

– Płoszko?

Upewniła się, że wygląda na odpowiednio zaskoczoną, jakby nie miała pojęcia, że pojawił się w pomieszczeniu.

– No proszę, czyż to nie nasz ulubiony kawałek dryfującego drewna, wielki architekt we własnej osobie!

– Ten sam – odrzekł Temple, uchylając nowego kapelusza.

– Napijesz się? – spytała, podając mu butelkę.

– Nie powinienem.

– Jesteś za dobry, żeby ze mną pić?

– Niedostatecznie dobry. Nigdy nie potrafię przestać w połowie drogi.

– W połowie drogi dokąd?

– Zazwyczaj kończyłem z twarzą w gównie.

– Pociągnij łyk, a ja cię złapię, jeśli się przewrócisz. Co ty na to?

– Nie byłby to pierwszy raz. – Wziął butelkę, napił się i skrzywił, jakby Płoszka kopnęła go w klejnoty. – Boże! Z czego to jest zrobione?

– Uznałam, że to jedno z tych pytań, które powinny pozostać bez odpowiedzi. Podobnie jak to, ile kosztował twój elegancki strój.

– Ostro się targowałem – odrzekł, uderzając pięścią w pięść. – Byłabyś ze mnie dumna.

Płoszka parsknęła.

– Rzadko zdarza mi się być dumną. Ale z pewnością był to duży wydatek jak na człowieka, który ma długi.

– Długi, powiadasz?

Wreszcie znalazła się na znajomym gruncie.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłeś mi winny...

– Czterdzieści trzy marki? – Z triumfalnym błyskiem w oku wyciągnął przed siebie palec, na którym lekko kołysała się sakiewka.

Popatrzyła na nią, mrugając, po czym zerwała mu ją z palca i szybko otworzyła. W środku znajdowała się mieszanina różnych monet używanych w Fałdzie, głównie srebrnych, których wartość na pierwszy rzut oka wynosiła około sześćdziesięciu marek.

– Zaczęłeś kraść?

– Gorzej. Wróciłem do prawa. Dodałem dziesięć marek w podziękowaniu za przysługę. W końcu uratowałaś mi życie.

Wiedziała, że powinna się uśmiechnąć, ale z jakiegoś powodu robiła coś wręcz przeciwnego.

– Jesteś pewien, że twoje życie jest tyle warte?

– Tylko dla mnie. Myślałaś, że nigdy ci nie zapłacę?

– Myślałam, że wykorzystasz pierwszą okazję, żeby się wykrecić i uciec pod osłoną ciemności. Albo wcześniej umrzesz.

Temple uniósł brwi.

– Też tak sądziłem. Wygląda na to, że zaskoczyłem nas oboje. Ale mam nadzieję, że było to przyjemne zaskoczenie.

– Oczywiście – skłamała, chowając sakiewkę do kieszeni.

– Nie przeliczysz?

– Ufam ci.

– Naprawdę?

Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego, a Płoszka z równie dużym zdziwieniem doszła do wniosku, że to prawda. To samo dotyczyło wielu innych osób zgromadzonych w tym pomieszczeniu.

– Jeśli coś się nie zgadza, zawsze mogę cię wytropić i zabić.

– Miło wiedzieć, że istnieje taka możliwość.

Stali obok siebie w milczeniu, oparci plecami o ścianę, obserwując pokój pełen znajomych pogrążonych w rozmowie. Płoszka zerknęła na niego, a on powoli się obejrzał, jakby sprawdzał, czy na niego patrzy. Wtedy ona udąła, że patrzyła na Hedgesa. Nagle poczuła się spięta jego bliskością. Zupełnie jakby bez łączącego ich długu taka poufałość była nie na miejscu.

– Świetnie sobie poradziłeś z budową. – Tylko tyle zdołała wykrztusić po długim zastanowieniu.

– Udany projekt i spłacone długi. Kilkoro znajomych by mnie nie poznało.

– Ja też nie jestem pewna, czy cię poznaję.

– To dobrze czy źle?

– Nie wiem.

Długo milczeli, a w pomieszczeniu robiło się coraz bardziej gorąco od paplającego tłumu. Płoszka czuła to zwłaszcza na twarzy. Podała Temple'owi butelkę, a on wzruszył ramionami, napił się, po czym oddał jej trunek. Pociągnęła jeszcze większy łyk.

– O czym będziemy rozmawiać, skoro już nie jesteś mi winien pieniędzy?

– Pewnie o tym samym co inni.

– A o czym oni rozmawiają?

Rozejrzał się ze zmarszczonym czołem.

– Widzę, że dość popularnym tematem jest jakość mojego rzemiosła...

– Jeśli twoja głowa jeszcze bardziej spuchnie, nie będziesz mógł ustać na nogach.

– Wielu ludzi rozmawia o zbliżającej się walce...

– Słyszałam o niej więcej niżbym chciała.

– Zawsze pozostaje pogoda.

– Główna ulica ostatnio bywa błotnista.

– Słyszałem, że pojawi się jeszcze więcej błota. – Wyszczerył się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem i nagle poczuli, że dzielący ich dystans zmałał.

– Powiesz kilka słów, nim zacznie się zabawa? – Kiedy Curnsbick pojawił się znikąd, Płoszka zrozumiała, że jest bardziej niż trochę pijana.

– Ale o czym? – spytała.

– Wybacz, moja droga, ale mówiłem do tego dżentelmena. Wyglądasz na zaskoczoną.

– Nie wiem, co mnie bardziej zdziwiło: że jestem dla ciebie droga, czy że on jest dżentelmenem.

– Będę wytrwale bronił obu tych opinii – odrzekł wynalazca, chociaż Płoszka nie była pewna, co, u diabła, przez to rozumiał.

– A któż lepiej się nadaje, żeby przemówić do naszego niewielkiego zgromadzenia, niż były duchowy doradca Drużyny, a zarazem architekt i główny wykonawca tej wyjątkowej budowli?

Temple bezsilnie uniósł dłonie, gdy Curnsbick poprowadził go ze sobą, a Płoszka pociągnęła kolejny łyk. Butelka stawała się coraz lżejsza, a ona była coraz mniej rozdrażniona.

Zapewne istniał jakiś związek pomiędzy tymi dwoma faktami.

– Mój dawny nauczyciel mawiał, że wartość człowieka można poznać po jego przyjaciółach! – zawołał Temple do ludzi zgromadzonych w pomieszczeniu. – Z tego wynika, że nie mogę być takim gnojkiem, jak mi się wydawało!

Kilka osób się roześmiało, a inni zawołali:

– Nieprawda! Nieprawda!

– Jeszcze niedawno nie znałem ani jednej osoby, którą mógłbym nazwać porządną. Teraz mogę takimi ludźmi wypełnić pomieszczenie, które zbudowałem. Kiedyś zastanawiałem się, po co ktokolwiek miałby z własnej woli przyjeżdżać na to zapomniane przez Boga zadupie. Teraz już wiem. Przybywacie, żeby stać się częścią czegoś nowego. Żeby żyć w nowym kraju. Stać się nowym narodem. Niemal zginąłem na równinach i podejrzewam, że niewiele osób by wtedy po mnie płakało. Ale Drużyna przyjęła mnie w swoje szeregi i dała mi szansę, na którą nie zasługiwałem. Przyznaję, że początkowo mało kto był przekonany do tego pomysłu, ale... znalazła się jedna taka osoba i to wystarczyło. Mój dawny nauczyciel mawiał, że prawych ludzi można poznać po tym, co dają ludziom, którzy nie mogą się im odwdzięczyć. Wątpię, by przyznał mi rację ktokolwiek, kto miał pecha się z nią targować, ale zawsze będę zaliczać Płózkę Południe do grona prawych ludzi.

Rozległ się pomruk uznania, kilka osób uniosło szklaneczki, a Corlin poklepała po plecach Płózkę, która miała niewiarygodnie kwaśną minę.

– Mój dawny nauczyciel mawiał, że nie ma szlachetniejszego

dzieła niż wzniesienie dobrego budynku. Jest to dar dla tych, którzy w nim zamieszkają, dla odwiedzających, a nawet dla tych, którzy codziennie będą go mijali. Nie przykładałem się solidnie do zbyt wielu rzeczy w życiu, ale tym razem starałem się stworzyć jak najlepszy budynek. Mam nadzieję, że postoi dłużej niż niektóre z innych tutejszych budowli. Niech Bóg go pobłogosławi, tak jak błogosławi mnie od chwili, gdy wpadłem do rzeki, a także zapewni schronienie i dobrobyt wszystkim jego mieszkańcom.

– A napitki są na koszt firmy! – zawołał Curnsbick.

Przerazone protesty Majuda utonęły w tupocie gości pędzących w stronę stolika z butelkami.

– Zwłaszcza dla głównego stolarza. – Wynalazca wcisnął Temple'owi szklaneczkę do ręki i szczerze ją napełnił, uśmiechając się tak szeroko, że Temple nie potrafił odmówić.

To prawda, że źle się dogaduje z trunkami, ale skoro butelka zawsze jest skłonna do przebaczenia, to niby dlaczego nie miałby spróbować? Czyż przebaczenie nie jest bliskie świętości? Zresztą, jak bardzo może się upić jedną szklaneczką?

Okazało się, że wystarczająco, by sięgnąć po kolejną.

– Świetny budynek, chłopcze, zawsze wiedziałem, że kryje się w tobie wiele talentów – bełkotał Słodki, nalewając Temple'owi trzecią porcję trunku. – Bardzo skutecznie się kryje, ale po co komu ukryty talent, który widać na pierwszy rzut oka?

– To prawda – zgodził się Temple, połykając czwartą porcję. Smak jeszcze nie wydawał mu się przyjemny, ale już nie miał wrażenia, że połyka rozpalony druciak. Zresztą, jak bardzo może się upić czterema szklaneczkami?

Buckhorm wyciągnął skrzypce i wygrywał na nich skoczną melodię, podczas gdy w tle Płacząca Skała krzywdziła bęben.

Ludzie tańczyli. A przynajmniej człapali przy muzyce, nie zawsze zgodnie z rytmem. Przy odrobinie dobrej woli można było nazwać to tańcem, a Temple czuł, że z każdą kolejną szklaneczką – stracił dokładną rachubę – przybywa mu dobrej woli, więc gdy Luline Buckhorm położyła na nim drobne, ale silne dłonie, nie sprzeciwił się, lecz z entuzjazmem zabrał się za testowanie posadzki, którą dwa dni wcześniej ułożył.

W pomieszczeniu robiło się coraz goręcej, głośniejsze i ciemniej, lśniące od potu, roześmiane twarze przepływały wokół niego, a Temple nie pamiętał, kiedy ostatnio tak dobrze się bawił. Może tamtego wieczoru, gdy dołączył do Kompanii Łaskawej Dłoni, i wydawało mu się, że życie najemnika polega na wspólnym podejmowaniu ryzyka przez dobrych ludzi i kpinach ze świata, a nie na kradzieżach, gwałtach i morderstwach na masową skalę. Lestek próbował wzbogacić muzykę dźwiękiem swojej fujarki, ale dostał ataku kaszlu i trzeba go było wyprowadzić na świeże powietrze. Temple miał wrażenie, że widzi, jak pani Burmistrz cicho rozmawia z Owcą pod czujnym okiem kilku swoich zbirów. Tańczył z jedną z dziwek i chwalił jej ubiór, który był odrażająco krzykliwy, a ona i tak go nie słyszała, tylko cały czas powtarzała „Co?”. Potem tańczył z jednym z kuzynów Gentiliego i również chwalił jego ubiór, pokryty smugami błota po pracach poszukiwawczych i cuchnący jak świeżo otwarta mogiła, jednak mężczyzna i tak z uśmiechem przyjął komplement. Minęła ich Corlin, dostojnie krocząca w parze z Płaczącą Skałą. Obie były poważne jak sędziowie i próbowały prowadzić, a Temple niemal zakrztusił się swoim językiem, widząc tak nietypowe zestawienie. Potem niespodziewanie zaczął tańczyć z Płoszką i uznał, że całkiem dobrze im idzie, co było nie lada osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że trzymał

w dłoni do połowy napełnioną szklaneczkę, a ona na wpół opróżnioną butelkę.

– Nie spodziewałem się, że umiesz tańczyć – zawołał jej do ucha. – Jesteś na to za twarda.

– Nie spodziewałam się, że ty to umiesz – odrzekła, a Temple poczuł na policzku jej gorący oddech. – Jesteś za miękkki.

– Masz rację. Żona mnie nauczyła.

Płoszka na chwilę zeszywniała.

– Masz żonę?

– Miałem. A także córkę. Obie umarły dawno temu. Chociaż czasami wydaje mi się, że to było wczoraj.

Napiła się, zerkając na niego ponad szyjką butelki, a w jej spojrzeniu było coś, co pozbawiło go tchu. Nachylił się, żeby coś powiedzieć, a wtedy ona chwyciła go za głowę i namiętnie pocałowała. Gdyby miał trochę czasu, wywnioskowałby, że Płoszka nie jest typem kobiety lubiącej delikatne pocałunki, ale nie miał czasu ani na zastanowienie, ani na odwzajemnienie pocałunku, ani na odepchnięcie jej, ani nawet na postanowienie, czego najbardziej by chciał, ponieważ natychmiast odsunęła jego głowę i zaczęła tańczyć z Majudem, pozostawiając Temple'a w zdecydowanych rękach Corlin.

– Jeśli myślisz, że ze mną też ci się uda, to się grubo mylisz – warknęła.

Oparł się o ścianę. Kręciło mu się w głowie, miał spoconą twarz, a serce tłukło mu się w piersi, jakby dostał ataku gorączki. Dziwne, jakie działanie może mieć drobna wymiana śliny. No cóż, w połączeniu z kilkoma porcjami wysokoprocentowego alkoholu wypitymi przez człowieka, który od dziesięciu lat zachowywał trzeźwość. Popatrzył na swoją szklanekę i uznał, że powinien chlusnąć jej zawartością na

ścianę, ale po chwili postanowił, że ściana jest bardziej wartościowa od niego, i dopił trunek.

– Wszystko w porządku?

– Pocałowała mnie – wyszeptał.

– Płoszka?

Temple pokiwał głową, po czym zdał sobie sprawę, że rozmawia z Owcą i być może nie było to najmądrzejsze wyznanie.

Jednak potężny Północny tylko się wyszczerzył.

– Cóż, to chyba najmniej zaskakująca wieść, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Wszyscy w Drużynie się tego spodziewali. Te docinki, kłótnie i handryczenie się o dług. Klasyczny przypadek.

– Dlaczego nikt nic nie mówił?

– Kilka osób nie rozmawiało o niczym innym.

– Ale dlaczego mnie nikt nie powiedział?

– Jeśli o mnie chodzi, to założyłem się z Savianem o to, kiedy do tego dojdzie. Obaj zakładaliśmy, że znacznie wcześniej, ale to ja wygrałem. Zabawny drań z tego Saviana.

– Co takiego...? – Temple nie wiedział, czy bardziej zaszokował go pocałunek Płoszki, czy to, że Savian może zostać uznany za zabawnego. – Przepraszam, że okazałem się tak przewidywalny.

– Ludzie zazwyczaj lubią oczywiste rozwiązania. Zawiedzenie oczekiwań wymaga odwagi.

– Czyli mnie jej brakuje.

Owca tylko wzruszył ramionami, jakby to pytanie nie wymagało odpowiedzi. Potem podniósł swój zniszczony kapelusz.

– Dokąd idziesz? – spytał Temple.

– Czyżbym nie miał prawa do odrobiny zabawy? – Położył dłoń na ramieniu Temple'a. Był to przyjacielski, ojcowski gest, ale jednocześnie przerażająco stanowczy. – Bądź ostrożny. Ona nie jest taka twarda, na jaką wygląda.

– A co ze mną? Ja nawet nie wyglądam na twardego.

– To prawda. Ale jeśli Płoszka cię skrzywdzi, nie połamię jej nóg.

Zanim Temple rozgryzł jego słowa, Owca się oddalił. Dab Słodki przejął skrzypce i teraz stał na stole, tupiąc z takim zapalem, że podskakiwały talerze. Piłował smyczkiem struny, jakby zaciskały się na szyi jego ukochanej, a on miał tylko kilka chwil, żeby ją ocalić.

– Myślałam, że tańczysz?

Płoszka miała rumiane policzki, a jej ciemne oczy lśniły. Z jakiegoś powodu, nad którym się nie zastanawiał, choć pewnie nie był on zbyt skomplikowany, sprawiała niebezpiecznie piękne wrażenie. Dlatego stwierdził, że ma wszystko w dupie, i stanowczym ruchem dłoni wychylił kolejną szklaneczkę, a kiedy zauważył, że jest pusta, odrzucił ją i chwycił butelkę, którą trzymała Płoszka, ona zaś złapała go za drugą rękę i pociągnęli się nawzajem w zataczający się tłum.

Płoszka już dawno solidnie się nie upiła, ale odkryła, że tej umiejętności się nie zapomina. Co prawda, stawianie kolejnych kroków przychodziło jej z trudnością, ale jeśli wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w ziemię i zachowywała skupienie, nie przewracała się zbyt często. W zajeździe było zdecydowanie za jasno, a Camling zaczął coś wspominać o regulaminie

obowiązującym gości, ale Płoszka roześmiała mu się w twarz i odparła, że w tej pierdolonej budzie mieszka więcej kurew niż gości, a Temple także parsknął śmiechem i obsmarkał sobie brodę. Potem pobiegł za nią po schodach z dłonią na jej tyłku, co początkowo było zabawne, ale szybko stało się irytujące. Dostał po łapach i przez zaskoczenie niemal spadł ze schodów, lecz Płoszka szybko złapała go za koszulę, pociągnęła za sobą i przeprosiła, że go uderzyła, a on odparł, że nie wie, o co jej chodzi, po czym zaczął ją całować na półpiętrze. Smakował alkoholem, co stawiało go dosyć wysoko w jej prywatnym rankingu.

– Owca tutaj jest?

– Mieszka u pani Burmistrz.

Psiakrew, ależ kręciło im się w głowie. Płoszka ze śmiechem grzebała w kieszeniach, szukając klucza, a po chwili zaczęła grzebać także w jego spodniach, gdy oparli się o ścianę i znów zaczęli się całować. W ustach czuła jego oddech i język oraz swoje włosy. Potem drzwi otworzyły się z hukiem i wpadli do pokoju, przewracając się na słabo oświetloną drewnianą podłogę. Płoszka wczołgała się na niego i oboje zaczęli stękać, a pokój wirował. Poczwała w gardle piekące wymiociny, ale je przełknęła, wcale się tym nie przejmując, gdyż nie smakowały gorzej niż za pierwszym razem, a Temple najwyraźniej nie miał nic przeciwko albo niczego nie zauważył, gdyż był zbyt zajęty walką z guzikami od jej koszuli, które nastreczały mu takich problemów, jakby miały wielkość główki od szpilki.

Płoszka zauważyła, że drzwi wciąż są otwarte i wierzgnęła w ich stronę nogą, ale źle wymierzyła odległość i zrobiła dziurę w tynku obok ościeżnicy, po czym znów zaczęła się śmiać. Zatrzasnęła drzwi kolejnym kopniakiem, a Temple już rozpiął

jej koszulę i całował jej piersi, co nieco ją łaskotało. Jej własne ciało wydało się jej blade i dziwaczne. Zastanowiła się, kiedy ostatnio robiła coś takiego, i doszła do wniosku, że zbyt dawno. Nagle Temple przerwał i zapatrzył się na nią w ciemności lśnącymi oczami.

– Czy powinniśmy to robić? – spytał z tak zabawną powagą, że znów zachciało się jej śmiać.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Zdejmuj spodnie.

Próbowała wyslizgnąć się ze swoich, ale wciąż miała na nogach buty i tylko coraz bardziej się zaplątywała. Wiedziała, że najpierw powinna zdjąć obuwie, ale teraz już było za późno, więc stękała i wierzgała, a jej pasek miotał się wokoło jak wąż przecięty na pół. Z jego końca spadła pochwa z nożem i z trzaskiem uderzyła o ścianę. W końcu Płoszka zdjęła jeden but i jedną nogawkę spodni, co wydawało się wystarczające dla jej potrzeb.

Jakoś dotarli do łóżka, spleceni ze sobą nawzajem, bardziej nadzy niż ubrani, ogarnięci ciepłem i przyjemnym mrowieniem. Temple trzymał dłoń między jej nogami, a ona ocierała się o nią ruchami bioder; oboje mniej się śmiali, a więcej stękali, powoli i gardłowo. Po wewnętrznej stronie powiek Płoszki tańczyły jaskrawe plamki, tak że musiała otworzyć oczy, żeby pozbyć się wrażenia, że zaraz spadnie z łóżka i uderzy w sufit. Z otwartymi oczami było jeszcze gorzej, gdyż pokój obracał się i rozbrzmiewał jej oddechem, łomotem serca, odgłosem ciepłego ocierania się skóry o skórę oraz żałośnie jęczących sprężyn materaca, których skargi wszyscy mieli w dupie.

Dręczyły ją myśli o jej bracie i siostrze, wiszącym Gullym i pojedynku Owcy, ale pozwalała im przepływać jak obłokom dymu i ulatywać razem z wirującym sufitem.

Jak dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio dobrze się bawiła?

– Och – stęknął Temple. – O nie.

Wydał z siebie żalony jęk niczym przekłęci zmarli w piekle, którzy stają w obliczu wiecznego cierpienia i gorzko żałują życia zmarnowanego w grzechu.

– Boże, pomóż mi.

Jednak Bóg musiał pomóc szlachetnym ludziom, a Temple nie mógł udawać, że się do nich zalicza. Nie po zesłonocej zabawie.

Wszystko go bolało. Gołe nogi miał przykryte kocem. Mucha słabo bzyczała pod sufitem. Słońce wślizgiwało się do pokoju przy krawędziach zasłon. Za nimi rozbrzmiewały odgłosy życia i śmierci Fałdy. Teraz pamiętał, dlaczego przestał pić. Jednak zapomniał, dlaczego uznał, że warto ponownie zacząć.

Skrzywił się, słysząc uporczywy bulgoczący odgłos, który go obudził. Uniósł głowę o kilka stopni i zobaczył Płoszkę klęczącą nad nocnikiem. Była naga, jeśli nie liczyć jednego buta i spodni zaplątanych wokół kostki, a jej żebra ostro rysowały się pod skórą, gdy targały nią torsje. Pasek jaskrawego światła padającego od okna przecinał jej jedną łopatkę, odnajdując dużą bliznę po oparzeniu w kształcie odwróconej litery.

Odchyliła się do tyłu, zwróciła ku niemu zapadnięte oczy i otarła strużkę śliny z kącika ust.

– Jeszcze jeden pocałunek?

Temple wydał z siebie nieopisany dźwięk. Było to połączenie śmiechu z beknięciem i jękiem. Nie potrafiłby go powtórzyć, choćby próbował przez cały rok. Ale po co miałyby to robić?

– Muszę się przewietrzyć. – Płoszka podciągnęła spodnie, ale

zostawiła dyndający pasek i ubranie zwisało jej z tyłka, gdy chwiejnie szła w stronę okna.

– Nie rób tego – jęknął Temple, ale nie mógł jej powstrzymać. Musiałby się poruszyć, a to było nie do pomyślenia.

Odsunęła zasłony i otworzyła okno na oścież, podczas gdy on bezradnie usiłował osłonić oczy przed bezlitosnym blaskiem.

Płoszka, przeklinając, szukała czegoś pod drugim łóżkiem. Temple nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy wyciągnęła butelkę napełnioną w jednej czwartej, wyszarpnęła korek zębami i usiadła, zbierając się na odwagę, jak pływak wpatrujący się w lodowaty staw.

– Chyba nie masz zamiaru...

Przechyliła butelkę i pociągnęła łyk, po czym zasłoniła usta grzbietem dłoni, gdy mięśnie jej brzucha zadrżały. Beknęła, skrzywiła się, zadrżała, po czym wyciągnęła butelkę w jego stronę.

– Chcesz? – spytała głosem wilgotnym od cofającego się alkoholu.

Temple miał ochotę zwymiotować od samego patrzenia.

– Mój Boże, nie.

– Tylko to ci pomoże.

– Czy lekarstwem na ranę naprawdę jest kolejne dźgnięcie ostrzem?

– Kiedy już się zaczniesz dźgać, może być trudno przestać.

Zasłoniła bliznę koszulą, ale po zapięciu kilku guzików zorientowała się, że nie trafiła we właściwe dziurki i cały przód ubrania jest skręcony, więc zrezygnowała i opadła na drugie łóżko. Temple miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie widział kogoś tak zmęczonego i pogiębionego, nawet w lustrze.

Zastanawiał się, czy powinien się ubrać. Kilka z ubłoconych szmat rozrzuconych po podłodze nieco przypominało jego nowy elegancki strój, ale nie był tego pewien. Niczego nie był pewien. Zmusił się, żeby usiąść, zwlekając z łóżka nogi ciężkie jak z ołowiu. Kiedy już się upewnił, że jego żołądek gwałtownie się nie zbuntuje, popatrzył na Płoszkę.

– Znajdziesz ich.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na uśmiech losu.

– Nie wiesz, na co zasługuję. – Opadła na łokcie, chowając głowę w kościstych ramionach. – Nie masz pojęcia, co zrobiłam.

– Na pewno nic gorszego niż ze mną w nocy.

Nie roześmiała się. Wpatrywała się w dal za jego plecami.

– Kiedy miałam siedemnaście lat, zabiłam chłopca.

Temple przełknął ślinę.

– No tak, to coś gorszego.

– Uciekłam z gospodarstwa. Nienawidziłam takiego życia. Nienawidziłam tej suki swojej matki. Nienawidziłam tego drania swojego ojczyma.

– Owcy?

– Nie, pierwszego. Matka często ich zmieniała. Przyszła mi do głowy głupia myśl, że otworzę sklep. Wszystko od razu się popsulo. Nie zamierzałam zabić tego chłopca, ale się wystraszyłam i cięłam go nożem. – Z namysłem podrapała się palcem pod brodą. – Wykrwawił się.

– Zasłużył sobie?

– Pewnie tak, w przeciwnym razie by go to nie spotkało. Ale miał rodzinę, która zaczęła mnie ścigać, więc musiałam uciekać,

a kiedy zgłodniałam, zaczęłam kraść. – Opowiadała to wszystko monotonnym głosem pozbawionym emocji. – Wkrótce doszłam do wniosku, że w życiu nie można liczyć na uczciwą szansę, a zabieranie rzeczy jest łatwiejsze niż ich tworzenie. Wpadłam w podłe towarzystwo i pociągnęłam je jeszcze głębiej w bagno. Kolejne rabunki i zabójstwa. Niektórym się należało, innym nie. Zresztą, kto na tym świecie dostaje to, na co zasłużył?

Temple pomyślał o Kahdii.

– Przyznaję, że Bóg bywa gnojkiem w tej materii.

– Próbowali mnie aresztować, obwiesili pół Bliskiej Krainy listami gończymi. Nazywali mnie Dym, jakbym była kimś przerażającym, i wyznaczyli nagrodę za moją głowę. Tylko wtedy ktokolwiek uważał, że jestem coś warta. – Skrzywiła się, odsłaniając zęby. – Złapali jakąś kobietę i powiesili ją zamiast mnie. Nawet nie była do mnie podobna, ale zginęła, a mnie się upiekło, sama nie wiem dlaczego.

Zapadła męcząca cisza. Płoszka uniosła butelkę i z wysiłkiem pociągnęła kilka długich łyków, a kiedy skończyła, przez chwilę gwałtownie chwyciła powietrze z załzawionymi oczami. To był doskonały moment dla Temple'a, żeby wymamrotać przeprosiny i uciec. Kilka miesięcy wcześniej właśnie zamykałyby się za nim drzwi. W końcu spłacił wszystkie długi, co stanowiło chlubny wyjątek. Jednak tym razem nie miał ochoty odejść.

– Jeśli zależy ci na tym, żebym miał o tobie równie złe zdanie jak ty o sobie, to obawiam się, że nic z tego. Po prostu popełniłaś kilka błędów.

– Nazywasz to wszystko błędami?

– Bardzo głupimi, ale owszem. Nie wybrałaś zła świadomie.

– A kto wybiera zło?

– Na przykład ja tak zrobiłem. Daj się napić.

– Co to ma być? – spytała, rzucając mu butelkę. – Konkurs na najbardziej gównianą przeszłość?

– Tak. I ja w nim zwyciężę. – Zamknął oczy i krztusząc się, zmusił się do wypicia łyka piekącego alkoholu. – Po śmierci żony przez rok byłem najbardziej żalonym pijaczną, jakiego widziałas.

– No nie wiem, kurwa, widziałam kilku naprawdę żalonych.

– Więc wyobraź sobie kogoś gorszego. Myślałem, że niżej już nie upadnę, więc dołączyłem jako prawnik do drużyny najemników, i tam przekonałem się, że to jednak możliwe. – Uniósł butelkę, jakby wznosił toast. – Kompania Łaskawej Dłoni pod wodzą generała Nicomo Coski! Ech, cóż za szlachetne bractwo! – Ponownie się napił. – To było przyjemne na swój obrzydliwy sposób, jak drapanie strupa.

– Elegancka nazwa.

– Też tak myślałem.

– Było inaczej?

– Najgorsza zbieranina ludzkich szumowin, jakie widziałas.

– No nie wiem, kurwa, widziałam kilka naprawdę paskudnych.

– Więc wyobraź sobie gorszą. Początkowo szczerze wierzyłem, że mają powody, żeby robić to, co robili. Co razem robiliśmy. Potem musiałem się do tego przekonywać. W końcu zrozumiałem, że nie mają nawet dobrych wymówek, ale dalej w tym tkwiłem, ponieważ nie miałem odwagi zrezygnować. Posłano nas do Bliskiej Krainy w celu wyłapania buntowników. Mój przyjaciel próbował ocalić niewinnych ludzi. Zginął. Oni też. Pozabijali się nawzajem. A ja jak zwykle się wywinąłem, uciekłem jak tchórz i wpadłem do rzeki, a Bóg z siebie tylko

znanych powodów zesłał szlachetną kobietę, która wyłowila moją bezwartościową padlinę.

– Bóg zesłał wyjętą spod prawa morderczynię.

– No cóż, niezbadane są Jego wyroki. Przyznaję, że nie od razu wzbudziłaś moją sympatię, ale zaczynam dochodzić do wniosku, że Bóg zesłał mi to, czego najbardziej potrzebowałem.

– Temple wstał. Nie przyszło mu to z łatwością, ale jakoś sobie poradził. – Mam wrażenie, że przez całe życie uciekałem. Może przyszedł czas, żeby zostać gdzieś na dłużej, a przynajmniej spróbować. – Usiadł obok niej, a skrzywienie sprężyn w łóżku przeszło go na wylot. – Nie dbam o to, co zrobiłaś. Wciąż jestem ci coś winien. Teraz tylko swoje życie, ale mimo wszystko. Pozwól mi zostać. – Odrzucił pustą butelkę, wziął głęboki wdech, polizał palec wskazujący i kciuk, po czym wygładził brodę. – Niech Bóg ma mnie w opiece, ale jednak skuszę się na ten pocałunek.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy. Wszystkie kolory na jej twarzy były pomieszane – skóra żółtawa, oczy różowawe, usta niebieskawe.

– Mówisz poważnie?

– Może jestem głupcem, ale nie mam zamiaru pozwolić, żeby kobieta, która potrafi zwymiotować do nocnika i nie uronić ani kropli, przeszła mi koło nosa. Otrzyj usta i chodź tutaj.

Przysunął się do niej, słysząc, jak ktoś hałasuje na korytarzu, a jej usta drgnęły i pojawił się na nich uśmiech. Nachyliła się ku niemu, łaskocząc go włosami w ramię. Jej cuchnący oddech wcale mu nie przeszkadzał. Gałka w drzwiach przekreśliła się i zagrzechotała, a wrzask Płoszki był jak cios toporkiem, który rozplątał Temple'owi czoło.

– Kurwa, pomyliłeś pokoje, idioto!

Wbrew wszelkim oczekiwaniom drzwi i tak się otworzyły, a do środka wszedł mężczyzna. Był wysoki, miał krótko ostrzyżone włosy i eleganckie ubranie. Z surową miną nieśpiesznie rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby był w swoim pokoju i właśnie z rozdrażnieniem, a zarazem rozbawieniem odkrył, że ktoś inny się w nim pieprzył.

– Widzę, że jednak nie – rzekł, a za nim pojawili się dwaj kolejni mężczyźni, z gatunku tych, których lepiej nigdzie nie spotkać, a już na pewno nie w swoim pokoju hotelowym. – Słyszałem, że mnie szukacie.

– A kim ty, kurwa, jesteś? – warknęła Płoszka, zerkając w kąt pokoju, gdzie leżała pochwa z jej nożem.

Przybysz uśmiechnął się jak iluzjonista, który ma zamiar zrobić niewiarygodną sztuczkę.

– Nazywam się Grega Cantliss.

Kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Płoszka cisnęła butelkę w stronę drzwi i skoczyła po swój nóż. Cantliss skoczył w jej kierunku, a jego dwaj towarzysze wpadli na siebie w drzwiach.

Natomiast Temple rzucił się do okna.

Zapomniał o chęci pozostania i zanim zdążył się zorientować, znalazł się na zewnątrz, gdzie z przerażonym piskiem wylądował i przetoczył się po zimnym błocie, po czym niezdarnie wstał i pomknął nago na drugą stronę głównej ulicy, co w większości miast byłoby nietaktem, jednak w Fałdzie wcale nie stanowiło rzadkiego widoku. Usłyszał czyjś wrzask i przyśpieszył, ślizgając się i tracąc równowagę. Jego serce tak głośno łomotało, jakby chciało rozsadzić czaszkę. Kościół Kości był coraz bliżej.

Kiedy strażnicy przy drzwiach go zobaczyli, uśmiechnęli się,

a następnie spowaźnieli i pochwycili go, gdy próbował wgramolić się po schodach.

– U pani Burmistrz obowiązują zasady dotyczące spodni...

– Muszę porozmawiać z Owcą. Owca!

Jeden z mężczyzn uderzył go w twarz, rzucając na framugę. Temple wiedział, że na to zasłużył, ale cios pięścią zawsze stanowi niespodziankę.

– Owca! – zaskrzeczał ponownie, zasłaniając głowę. – Ow... uff!

Druga pięść trafiła go w brzuch. Zgiął się wpół, tracąc oddech, i upadł na kolana, wydmuchując bąbelki krwawej śliny. Kiedy w milczeniu przyglądał się kamieniom, na których leżał twarzą, jeden ze strażników chwycił go za włosy i zaczął podnosić, jednocześnie zamierzając się pięścią.

– Zostaw go. – Temple z olbrzymią ulgą zauważył, że Savian złapał strażnika gruzłową dłońią za uniesioną rękę, zanim ten zdążył zadać cios. – On jest ze mną. – Ujął Temple'a pod rękę i wciągnął go do budynku, jednocześnie okrywając go płaszczem, który zrzucił z ramion. – Co się stało, do diabła?

– Cantliss – zaskrzeczał Temple, kuśtykając do sali gier, wyciągając słabą rękę w stronę zajazdu, nie mogąc wydusić z siebie więcej niż jedno chrapliwe słowo na raz. – Płoszka...

– Co się stało?

Owca hałaśliwie schodził po stopniach prowadzących do pokoju pani Burmistrz, bosy i ubrany w do połowy rozpiętą koszulę. Przez chwilę Temple zastanawiał się, dlaczego olbrzym jest w takim stanie, ale wtedy zauważył w jego dłoni miecz i bardzo się wystraszył, a kiedy ujrzał twarz Owcy, wystraszył się jeszcze bardziej.

– Cantliss... u Camlinga... – zdołał wykrztusić.

Owca przez chwilę stał z szeroko otwartymi oczami, po czym ruszył do drzwi, odsuwając strażników z drogi, a Savian podążył za nim.

– Wszystko w porządku? – Burmistrz stała na balkonie przed swoimi pokojami, ubrana w gurkijski szlafrok, a w zagłębieniu między jej obojczykami widniała blada blizna.

Temple zamrugał, zastanawiając się, czy Owca tam z nią był, po czym szczerzej owinął się pożyczonym płaszczem i bez słowa pośpieszył za pozostałymi.

– Włóż jakieś spodnie! – zawołała za nim.

Kiedy Temple z trudem wspiął się po schodach do zajazdu, Owca trzymał Camlinga jedną ręką za kołnierz ponad kontuarem, a w drugiej dzierżył miecz.

– Wywlekli ją! – jęczał rozpaczliwie właściciel. – Może do Białego Domu, nie mam pojęcia, to nie moja sprawa!

Owca odepchnął Camlinga i wyprostował się, a z jego krtani wydobyło się warczenie. Ostrożnie położył miecz na kontuarze i oparł na nim rozcapierzone dłonie. Drewno lśniło w miejscu, w którym powinien się znajdować środkowy palec. Savian okrążył kontuar, odepchnął Camlinga, wziął szklankę i butelkę z najwyższej półki, po czym dmuchnął w pierwszą i odkorkował drugą.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, możesz na mnie liczyć – mruknął, nalewając trunek.

Owca pokiwał głową.

– Powinieneś wiedzieć, że pomaganie mi może zaszkodzić twojemu zdrowiu.

Savian zakaszłał i popchnął szklankę w stronę Owcy.

– I tak jest z nim nie najlepiej.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Temple.

– Napić się. – Owca wychylił szklaneczkę, a biały zarost na jego gardle zafalował.

Savian przechylił butelkę, szykując się do dolewki.

– Owca! – Lord Ingelstad wszedł niepewnym krokiem, z bladą twarzą i w poplamionej kamizelce. – Powiedział mi, że tutaj cię znajdę!

– Kto?

Ingelstad bezradnie zachichotał, rzucając kapelusz na kontuar, odsłaniając kilka pionowo sterczących kosmyków.

– Dziwna sprawa. Po zabawie w domu Majuda grałem w karty u Papy Ringa. Całkowicie straciłem poczucie czasu i przyznaję, że zdążyłem co nieco przegrać, gdy pewien dżentelmen przyszedł, żeby coś oznajmić Papie Ringowi, a ten stwierdził, że daruje mi dług, jeśli przekażę ci wiadomość.

– Jaką wiadomość? – Owca ponownie się napił, a Savian po raz kolejny napełnił jego szklaneczkę.

Ingelstad popatrzył na ścianę, mrużąc oczy.

– Powiedział, że gości twoją przyjaciółkę... i bardzo chciałby sprawdzić się jako gospodarz... ale w tym celu jutro wieczorem będziesz musiał pocałować błoto. Powiedział, że i tak byś padł, więc równie dobrze możesz to zrobić z własnej woli, a oboje odejdziecie z Fałdy jako wolni ludzie. Masz na to jego słowo. Położył na to duży nacisk. Masz jego słowo.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz – odrzekł Owca.

Lord Ingelstad popatrzył na Temple'a, jakby dopiero teraz zauważył jego niezwykły strój.

– Wygląda na to, że niektórzy mieli cięższą noc niż ja.

– Możesz zanieść mu wiadomość ode mnie?

– Sądzę, że te kilka minut nie zmieni nastroju Lady Ingelstad.

I tak jestem zgubiony.

– Zatem powiedz Papie Ringowi, że jego słowo jest u mnie bezpieczne. I mam nadzieję, że to samo dotyczy jego gościa.

Arystokrata ziewnął, nasadzając kapelusz na głowę.

– Same zagadki. Zrobię to i idę spać! – rzucił i wyszedł na ulicę.

– Co zamierzasz? – wyszeptał Temple.

– Kiedyś wparowałam tam, nie dbając o skutki, i zgotowałam im krwawą łaźnię. – Owca uniósł szklaneczkę i przez chwilę się jej przyglądał. – Jednak mój ojciec zawsze powtarzał, że cierpliwość to królowa cnót. Człowiek powinien być realistą. Nie ma innego wyjścia.

– Co zatem zrobisz?

– Zaczekam. Pomyślę. Przygotuję się. – Owca przełknął ostatnią porcję alkoholu i wyszczerzył się do szklaneczki. – Dopiero potem zgotuję im krwawą łaźnię.

Wysoka stawka

– Lekko przycinamy? – spytał Faukin, kierując do lustra pusty, pozbawiony emocji uśmiech zawodowca. – A może coś odważniejszego?

– Zgól wszystko, włosy i brodę, przy samej czaszce.

Faukin pokiwał głową, jakby był to także jego wybór. W końcu klient zawsze ma rację.

– Golimy głowę na mokro?

– Nie chcę, żeby ten drugi drań miał mnie za co chwycić. Poza tym już chyba za późno, żeby martwić się, że zaszkodzi to mojemu wyglądowi, prawda?

Z ust Faukina wydobył się pusty, pozbawiony emocji chichot zawodowca, po czym golibroda zaczął rozczesywać gęste, splątane włosy Owcy, a szcęk nożyc ciął ciszę na równe kawałki. Gwar tłumu za oknem przybierał na sile i stawał się coraz bardziej podekscytowany, a napięcie w pomieszczeniu również rosło. Szare włosy spadały po prześcieradle na podłogę, tworząc zwodnicze wzory, które wyglądały, jakby kryło się za nimi jakieś nieuchwytnie znaczenie.

Owca trącił je stopą.

– Dokąd to wszystko zmierza?

– Mówi pan o naszym życiu czy o włosach?

– O jednym i drugim.

– Jeśli chodzi o życie, to lepiej spytać filozofa niż golibrodę. Natomiast włosy zamiatam i wyrzucam. Chyba że ktoś ma

przyjaciółkę, której chce powierzyć kosmyk...

Owca zerknął na panią Burmistrz. Stała w oknie, skąd obserwowała jego przygotowania oraz główną ulicę, a jej smukła sylwetka odznaczała się na tle zachodzącego słońca. Odpędził tę myśl z głośnym parsknięciem.

– W jednej chwili są częścią ciebie, a za moment trafiają na śmietnik.

– Traktujemy całych ludzi jak śmieci, więc dlaczego mielibyśmy mieć opory, gdy chodzi o ich włosy?

Owca westchnął.

– Chyba trafiłeś w sedno.

Faukin przesunął brzytwą po pasku. Klienci zazwyczaj doceniali rozmach, błysk lampy na stali, odrobinę teatralności w działaniu.

– Ostrożnie – powiedziała pani Burmistrz, która najwyraźniej tego dnia nie potrzebowała dodatkowej porcji wrażeń.

Faukin musiał przyznać, że boi się jej znacznie bardziej niż Owcy. Północnego znał jako bezlitosnego zabójcę, ale podejrzewał, że ma on jakieś zasady. W wypadku pani Burmistrz nie miał takich złudzeń. Dlatego wykonał pusty, pozbawiony emocji ukłon zawodowca, przerwał ostrzenie brzytwy, rozrobił pianę i pokrył nią włosy oraz brodę Owcy, po czym zaczął go golić cierpliwymi, ostrożnymi, syczącymi pociągnięciami.

– Czyż to nie irytujące, że one zawsze odrastają? – spytał Owca. – Nie da się ich pokonać, prawda?

– To samo można powiedzieć o każdym zawodzie. Kupiec sprzedaje jedną rzecz, żeby nabyć kolejną. Rolnik zbiera plony, by znów obsadzić pole. Kowal...

– Jeśli zabije się człowieka, on pozostaje martwy – wtrącił

Owca.

– Ale... jeśli wolno mi zauważyć... zabójcy rzadko poprzestają na jednym trupie. Gdy już się zaczną, wciąż pojawia się ktoś nowy, kogo trzeba uśmiercić.

Owca odnalazł w lustrze oczy Faukina.

– A jednak jesteś filozofem.

– Tylko amatorem. – Faukin zamasyście wytarł twarz Owcy ciepłym ręcznikiem, odsłaniając prawdziwie odstrasżającą kolekcję blizn. W ciągu całej swojej kariery fryzjera, wliczając trzy lata w służbie kompanii najemników, nigdy nie napotkał głowy tak potłuczonej, powgniatanej i sponiewieranej na wszelkie możliwe sposoby.

– Ha. – Owca przybliżył się do lustra, poruszając krzywą szczęką i marszcząc wygięty nos, jakby chciał się przekonać, czy naprawdę patrzy na swoje odbicie. – Twarz prawdziwie wrednego drania, co?

– Zaryzykuję twierdzenie, że twarz nie świadczy o wredocie bardziej niż płaszcz. Liczy się człowiek, który kryje się pod spodem, i jego czyny.

– Niewątpliwie. – Owca przez chwilę patrzył na Faukina, po czym ponownie przeniósł wzrok na swoje oblicze. – Dlatego to twarz prawdziwie wrednego drania. Jednak zrobiłeś z nią wszystko co w ludzkiej mocy. Nie odpowiadasz za materiał, na którym przychodzi ci pracować.

– Po prostu staram się obsługiwać innych dokładnie tak, jak sam chciałbym być obsługiwany.

– Daleko zajdziemy, traktując ludzi tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani, mawiał mój ojciec. Wygląda na to, że nasze zawody jednak się różnią. Mój polega na tym, by czynić innym to, co dla mnie byłoby najmniej miłe.

– Gotowy? – Burmistrz zbliżyła się w ciszy i teraz patrzyła na obu mężczyzn w lustrze.

Owca wzruszył ramionami.

– Człowiek albo stale jest na coś takiego gotowy, albo nigdy nie będzie.

– Dobrze. – Podeszła i ujęła Faukina za rękę.

Miał ochotę się wycofać, ale jeszcze przez chwilę pozostawał pustym, pozbawionym emocji zawodowcem.

– Masz jeszcze dzisiaj innych klientów?

Golibroda przełknął ślinę.

– Tylko jednego.

– Po drugiej stronie ulicy?

Przytaknął.

Burmistrz wsunęła mu monetę do ręki i pochyliła się.

– Już niedługo każdy w Fałdzie będzie musiał opowiedzieć się po którejś ze stron. Mam nadzieję, że wybierzesz mądrze.

Zachodzące słońce wprowadziło w mieście atmosferę karnawału. Tłumy pijanych i chciwych ludzi płynęły tylko w jednym kierunku, ku amfiteatrowi. Na jego środku przechodzący Faukin zauważył Krąg wyznaczony na starych kamieniach, szeroki na sześć kroków, okolony pochodniami osadzonymi na ciasno ustawionych słupkach, wyznaczających granicę i oświetlających pole walki. Na wiekowych kamiennych siedzeniach oraz na nowych, chwiejnych trybunach skleconych z desek zasiadły tłumy, jakich amfiteatr nie widział od wieków. Bukmacherzy nawoływali klientów i zapisywali zakłady kredą na wysokich tablicach. Handlarze sprzedawali trunki i gorące chrząstki po cenach, które wydawały się absurdalne nawet tutaj, w ojczyźnie absurdalnych cen.

Faukin patrzył na kłębiących się ludzi, z których większość zapewne nawet nie wiedziała, kim jest golibroda, a z pewnością nie myślała o skorzystaniu z jego usług, i po raz setny tego dnia, po raz tysięczny w tym tygodniu i po raz milionowy od przybycia do Fałdy stwierdził, że nigdy nie powinien tutaj przyjechać. Potem mocniej ścisnął swoją torbę i pośpiesznie ruszył dalej.

Papa Ring należał do ludzi, którzy tym mniej lubią wydawać pieniądze, im więcej ich mają. Jego mieszkanie było skromne w porównaniu z kwaterą pani Burmistrz, meble stanowiły przypadkową zbieraninę pełną drzazg, a niski sufit był nierówny jak stara narzuta. Glama Złoty siedział przed popękany lustrem oświetlonym dymiącymi świecami. Było coś absurdalnego w tym potężnym ciełe siedzącym na małym stołku i owiniętym prześcieradłem. Jego głowa przypominała wisienkę na szczycie kremowego ciastka.

Ring stał przy oknie, podobnie jak pani Burmistrz, krzyżując potężne pięści za plecami.

– Zgól wszystko.

– Poza wąsami. – Złoty podciągnął prześcieradło i pogłaskał się po górnej wardze masywnym kciukiem i palcem wskazującym. – Mam je od zawsze i się z nimi nie rozstanę.

– Imponujący okaz – odrzekł Faukin, mimo że nawet w słabym świetle dostrzegł niejedną siwy włos. – Żal byłoby je usuwać.

Pomimo roli niekwestionowanego faworyta w nadchodzącym pojedynku, Złoty miał dziwnie wilgotne i niespokojne oczy.

– Żałujesz czegoś?

Faukina na chwilę opuścił pusty, pozbawiony emocji

uśmiech zawodowca.

– Jak chyba wszyscy. – Rozpoczął strzyżenie. – Ale myślę, że dzięki temu możemy przynajmniej unikać popełniania tych samych błędów.

Złoty zmarszczył czoło, patrząc na swoje odbicie w popękany lustrze.

– Mam wrażenie, że niezależnie od tego, jak bardzo czegoś żałuję, wciąż popełniam te same błędy.

Faukin nie wiedział, co odpowiedzieć, jednak w takich sytuacjach golibroda ma przewagę, gdyż może wypełnić ciszę odgłosem nożyczek. Ciach, ciach, żółte włosy spadały na podłogę, tworząc zwodnicze wzory, które wyglądały, jakby kryło się za nimi jakieś nieuchwytnie znaczenie.

– Byłeś u pani Burmistrz? – spytał Papa Ring.

– Tak, proszę pana.

– Jakie zrobiła na tobie wrażenie?

Faukin zastanowił się nad wyglądem pani Burmistrz, a przede wszystkim nad tym, co Papa Ring chce usłyszeć. Dobry golibroda nigdy nie przedkłada prawdy nad oczekiwania klienta.

– Wyglądała na bardzo spiętą.

Ring znów wyjrzał przez okno, nerwowo poruszając za plecami grubym kciukiem i palcem wskazującym.

– Nic dziwnego.

– A ten drugi człowiek? – spytał Złoty. – Ten, z którym mam walczyć?

Faukin na chwilę przerwał strzyżenie.

– Sprawiał wrażenie zamysłonego, jakby czegoś żałował, ale jednocześnie był skupiony na swoim celu. Szczerze mówiąc...

bardzo przypominał pana. – Faukin nie podzielił się swoją najnowszą refleksją, że jeden z nich prawdopodobnie właśnie ostrzygł się po raz ostatni.

Pszczola właśnie zamiatała, kiedy przeszedł obok drzwi. Nie musiała go widzieć, poznała jego kroki.

– Grega? – Wypadła na korytarz, a jej serce boleśnie tłukło się w piersi. – Grega?

Odwrócił się i skrzywił, jakby od dźwięku jego imienia robiło mu się niedobrze. Wyglądał na zmęczonego, solidnie pijanego i obolałego. Zawsze potrafiła odczytać jego nastrój.

– Co?

Wyobrażała sobie różne scenariusze ich ponownego spotkania. Według jednego z nich, Grega chwycił ją w ramiona i mówił, że już mogą się pobrać. Według innego, był ranny, a ona opiekowała się nim, dopóki nie wrócił do zdrowia. Według jeszcze innych, kłócili się, śmiali albo on z płaczem przeproszał za to, jak ją traktował.

Jednak żaden ze scenariuszy nie zakładał, że zostanie zignorowana.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– A co jeszcze mam powiedzieć? – Nawet nie spojrzał jej w oczy. – Muszę porozmawiać z Papą Ringiem. – Ruszył korytarzem.

Złapała go za rękę.

– Gdzie są dzieci? – spytała przenikliwym, rozczarowanym głosem.

– Pilnuj własnego nosa.

– Właśnie tak robię. Zmusiłeś mnie do pomocy, prawda?

Zmusiłeś mnie, żebym je sprowadziła!

– Mogłaś odmówić.

Wiedziała, że to prawda. Tak bardzo chciała go zadowolić, że na jedno jego słowo wskoczyłaby w ogień.

Grega uśmiechnął się, jakby przypomniawszy sobie coś zabawnego.

– Ale skoro musisz wiedzieć, to je sprzedałem.

Poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

– Komu?

– Duchom na wzgórzach. Pierdolonym Smokom.

Jej gardło się zacisnęło, tak że niemal straciła głos.

– Co oni z nimi robią?

– Nie wiem. Przelecą je? Zjedzą? Co mnie to obchodzi? Myślałaś, że otworzę sierociniec? – Twarz piekła ją, jakby została spoliczkowana. – Głupia krowa z ciebie. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś głupszego. Jesteś głupsza niż...

Rzuciła się na niego i zaczęła drapać paznokciami po twarzy. Zapewne by go pogryzła, gdyby wcześniej jej nie uderzył, tuż ponad okiem, tak że zatoczyła się w kąt i upadła na twarz.

– Ty zwariowana suko!

Zaczęła wstawać, oszołomiona, czując znajome pulsowanie na twarzy, a on z niedowierzaniem dotknął podrapanego policzka.

– Po co to zrobiłaś? – Potrząsnął palcami. – Przez ciebie boli mnie ręka!

Zbliżył się do niej i zanim zdołała wstać, kopnął ją w zębra, a Pszczoła głośno westchnęła i owinęła się wokół jego buta.

– Nienawidzę cię – wyszeptwała, kiedy już skończyła kaszleć.

– I co z tego? – Popatrzył na nią tak, jakby była robakiem.

Przypomniała sobie dzień, gdy wybrał ją z całej sali i poprosił do tańca, a ona poczuła się szczęśliwa jak nigdy. Teraz miała wrażenie, że patrzy na niego świeżym okiem, a on wydaje się nieznośnie brzydki, małostkowy, próżny i samolubny. Wykorzystuje ludzi, po czym ich wyrzuca, pozostawiając za sobą szlak zniszczenia. Jak to możliwe, że kiedyś go kochała? Tylko z powodu kilku chwil, gdy dzięki niemu czuła, że nie jest główną wartą. Przez resztę czasu traktował ją jeszcze gorzej.

– Jesteś taki nędzny – wyszeptała. – Jak mogłam tego nie widzieć?

Podrażniła jego próżność i ponownie się do niej zbliżył, ale wtedy znalazła i wyciągnęła nóż. Zobaczył ostrze i przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego, potem wściekłego, aż w końcu zaczął się śmiać, jakby jej zachowanie było świetnym żartem.

– Nie wystarczy ci odwagi, żeby go użyć! – Przeszedł obok niej, dając jej mnóstwo czasu na zadanie ciosu, gdyby rzeczywiście chciała to zrobić.

Ale ona tylko klęczała z rozbitym nosem, z którego krew kapiała na jej sukienkę. Najlepszą sukienkę, którą nosiła od trzech dni, ponieważ wiedziała, że Grega lada chwila wróci.

Kiedy przestało jej się kręcić w głowie, wstała i poszła do kuchni. Była cała roztrzęsiona, ale zdarzały się jej już gorsze pobicia i gorsze rozczarowania. Nikogo nie zdziwił jej zakrwawiony nos. Tak już było w Białym Domu.

– Papa Ring powiedział, że mam nakarmić tamtą kobietę.

– Zupa jest w garnku – mruknął kuchcik. Siedział na skrzynce i wyglądał przez okienko, przez które widział tylko przesuwane się obute nogi.

Postawiła na tacy miskę i kubek z wodą, po czym zniosła je po cuchnących wilgocią schodach do piwnicy, mijając stojące

w ciemności potężne beczki oraz półki z butelkami lśniącymi w blasku pochodni.

Kobieta w klatce rozplotła nogi i wstała, przesuając ciasno związane dłonie w górę pręta, który miała za plecami. Jedno z jej oczu lśniło zza splątanych włosów opadających na twarz, gdy patrzyła na zbliżającą się Pszczołą. Warp siedział przed klatką przy swoim stoliku, na którym leżał pęk kluczy, i udawał, że czyta książkę. Uwielbiał udawać, myślał bowiem, że dzięki temu wygląda na kogoś wyjątkowego, ale nawet Pszczoła, która niezbyt dobrze radziła sobie z literami, zauważyła, że mężczyzna trzyma książkę odwrotnie.

– Czego chcesz? – Popatrzył na nią kpiąco, jakby była ślimakiem w jego śniadaniu.

– Papa Ring kazał ją nakarmić.

Niemal widziała, jak jego mózg grzechocze w wielkiej, tłustej głowie.

– Po co? Raczej nie zabawi tutaj długo.

– Myślisz, że mówi mi takie rzeczy? – odburknęła. – Ale jeśli chcesz, mogę wrócić i powiedzieć mu, że nie pozwoliłeś mi jej nakarmić...

– No dobrze, bierz się do roboty. Ale mam na ciebie oko. – Nachylił się i chuchnął na nią cuchnącym oddechem. – Oboje oczu.

Otworzył zamek i uchylił pischzące drzwi, a Pszczoła wślizgnęła się do środka razem z tacą. Kobieta ją obserwowała. Nie mogła zbyt oddalić się od drażka, ale i tak starała się jak najbardziej do niego przywrzeć. W klatce śmierdziało potem, szczykami i strachem, za sprawą uwięzionej w niej kobiety, a także wszystkich, których trzymano tutaj wcześniej, a którzy nie skończyli dobrze. W tym miejscu nikt nie kończył dobrze.

Pszczola postawiła tacę i wzięła kubek z wodą. Kobieta przyssała się do niego łapczywie, jakby nie pozostało w niej ani odrobiny godności, jeśli w ogóle ją miała. Godność nie cieszy się długim żywotem w Białym Domu, zwłaszcza w jego piwnicach. Pszczola nachyliła się.

– Wcześniej pytałaś mnie o Cantlissa – wyszeptała. – O Cantlissa i dzieci.

Kobieta przerwała picie i popatrzyła na Pszczolę błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami.

– Sprzedał dzieci Smoczemu Ludowi. Przynajmniej tak powiedział. – Pszczola obejrzała się przez ramię, ale Warp już siedział przy swoim stoliku i pociągał z dzbana, wcale na nią nie patrząc.

Uważał, że Pszczola jest niezdolna do zrobienia czegokolwiek godnego uwagi. W tej chwili to działało na jej korzyść. Zbliżyła się, wyjęła nóż i przecięła sznury wokół jednego z obtartych nadgarstków kobiety.

– Dlaczego? – wyszeptała uwięziona.

– Ponieważ Cantliss zasłużył na to, żeby stała mu się krzywda. – Nawet teraz nie potrafiła się zmusić do powiedzenia, że zasłużył na śmierć, ale obie rozumiały, co ma na myśli. – Ja nie mogę tego zrobić. – Pszczola wcisnęła rękojeść noża w wolną dłoń kobiety, a ta ukryła go za plecami. – Ale sądzę, że tobie się uda.

Papa Ring bawił się kółkiem w uchu, co stanowiło stary nawyk sięgający czasów, gdy jako bandyta grasował w Złych Krainach, a przybierający na sile hałas coraz bardziej go denerwował, wywołując bolesną gulę pod żuchwą. Rozegrał

w życiu wiele rozdań, rzucił wiele kości i zakręcił wieloma kołami, ale chociaż wszystkie atuty były po jego stronie, jeszcze nigdy nie grał o tak wysoką stawkę. Zastanawiał się, czy pani Burmistrz też się denerwuje. Nie dawała tego po sobie poznać, gdy stała wyprostowana na swoim balkonie, na tle światła, nawet z tej odległości promieniując sztywną dumą. Ale przecież na pewno się bała. Nie mogło być inaczej.

Jakże często tak stali, patrząc na siebie ponad otchłanią, planując upadek rywala za sprawą zarówno uczciwych, jak i niegodnych metod. Liczba ludzi, którym płacili, by za nich walczyli, stale się podwajała, a stawka ciągle rosła. Setka morderstw, forteli, manewrów oraz krótkotrwałych sojuszy i oto wszystko sprowadza się do czegoś takiego.

Zaczął rozważać jedną ze swoich ulubionych kwestii, czyli co powinien zrobić z panią Burmistrz, kiedy wygra. Powiesić ją jako przestrożę dla innych? Kazać ją rozebrać i przegonić batami przez miasteczko jak świnie? Zatrzymać jako swoją dziwkę? Udostępnić każdemu chętnemu? Wiedział jednak, że to tylko fantazje. Dał słowo, że puści ją wolno, i zamierzał go dotrzymać. Może ludzie po jej stronie uważają go za nędznego drania i może mają rację, ale on zawsze dotrzymywał słowa.

Ta cecha może poważnie utrudnić życie. Sprawić, że znajdziemy się gdzieś, gdzie nie chcemy być, wpędzić w tarapaty, z których trudno znaleźć właściwą drogę wyjścia. Ale droga ma być właściwa, a nie łatwa. Zbyt wielu ludzi zawsze idzie na łatwiznę.

Na przykład, Grega Cantliss.

Papa Ring zerknął w bok z kwaśną miną. Oto i on, jak zwykle spóźniony o trzy dni, siedzi oklapnięty na balkonie Ringa, zupełnie jakby w jego ciele nie było kości, i dłubie w zębach

drzazgą. Pomimo nowego stroju wygląda na chorego i starego, na twarzy ma świeże zadrapania i cuchnie stęchlizną. Niektórzy ludzie szybko się zużywają. Ale spłacił dług i dołączył dodatek za przysługę. Dlatego wciąż oddycha. W końcu Ring dał mu słowo.

Wojownicy właśnie wychodzili przy wtórze gwaru podekscytowanej gawiedzi. Duża ogolona głowa Złotego wystawała ponad tłum, a otaczający go wianuszek ludzi Ringa torował Glamie drogę do amfiteatru, gdzie stare kamienie lśniły pomarańczowym blaskiem w słabnącym świetle. Ring nie wspomniał Złotemu o kobiecie. Północny był prawdziwym czarodziejem w walce na pięści, ale łatwo się rozpraszał. Dlatego Ring jedynie polecił mu, by zachował staruszkę przy życiu, jeśli to będzie możliwe, i uznał, że to wystarczy. Należy dotrzymywać słowa, jednak bez odrobiny elastyczności niczego się nie załatwi.

Teraz zobaczył Owcę, który schodził po stopniach domu pani Burmistrz pomiędzy wiekowymi kolumnami, otoczony własną kompanią zbirów. Ring ponownie zaczął się bawić kółkiem w ucho. Martwił się, że stary Północny jest jednym z tych drani, którzy nie mają w zwyczaju postępować rozsądnie. Prawdziwym dzokerem w talii, a Papa Ring lubił wiedzieć, jakie karty trzyma w ręku. Zwłaszcza podczas gry o tak wysoką stawkę.

– Nie podoba mi się ten stary łobuz – rzekł Cantliss.

Papa Ring zmarszczył czoło.

– Wiesz co? Mnie też.

– Jesteś pewien, że Złoty go załatwi?

– Załatwił wszystkich innych, prawda?

– Niby tak. Ale wygląda dosyć ponuro jak na zwycięzcę.

Ring wolałby, żeby ten głupiec dodatkowo go nie dręczył.

– Właśnie dlatego kazałem ci porwać kobietę. Na wszelki

wypadek.

Cantliss pomasował się po zarośniętej szczęce.

– To i tak piekielne ryzyko.

– Nie musiałbym go podejmować, gdybyś nie porwał dzieci tego starego drania i nie sprzedał ich dzikusom.

Cantliss obejrzał się z zaskoczeniem.

– Potrafię dodać dwa do dwóch! – ryknął Ring i poczuł dreszcz, jakby był brudny i nie mógł się domyć. – Czy można upaść niżej? Sprzedawałeś dzieci?

Cantliss sprawiał wrażenie głęboko urażonego.

– Kurwa, to niesprawiedliwe! Powiedziałaś, żebym zdobył pieniądze przed zimą, w przeciwnym razie będę trupem. Nie przejmowałaś się, skąd je wezmę. Może teraz mi je oddasz, żeby uwolnić się od ich haniebnego pochodzenia?

Ring popatrzył na starą skrzynkę stojącą na stole, pomyślał o zamkniętym w środku lśniącem złocie i ponownie popatrzył na ulicę, marszcząc czoło. Nie osiągnął swojej obecnej pozycji, oddając otrzymane pieniądze.

– Tak myślałem. – Cantliss pokręcił głową, zupełnie jakby porywanie dzieci było świetnym pomysłem na robienie interesów, za który należały mu się gorące gratulacje. – Skąd miałem wiedzieć, że ten stary drań wywinie się z wysokiej trawy?

– Ponieważ – odrzekł Ring powolnym, lodowatym głosem – powinienes już się, kurwa, nauczyć, że wszystko, co robisz, przynosi jakieś konsekwencje, a mężczyzna nie może iść przez życie, nie widząc niczego poza czubkiem swojego fiuta!

Cantliss poruszył szczęką.

– Kurwa, to niesprawiedliwe – mruknął.

Ring zastanowił się, kiedy ostatnio uderzył kogoś w twarz. Teraz miał na to ogromną ochotę, jednak wiedział, że w ten sposób niczego nie rozwiąże. Właśnie dlatego już dawno przestał to robić samodzielnie i zaczął za to płacić innym.

– Czyżbyś sam był dzieckiem, skoro marudzisz o sprawiedliwości? – spytał. – Czy to sprawiedliwe, że muszę występować w obronie człowieka, który nie potrafi odróżnić dobrych kart od złych, a jednak stawia górę cudzych pieniędzy? Czy to sprawiedliwe, że muszę grozić śmiercią jakiejś dziewczynie, żeby zapewnić sobie pomyślne rozstrzygnięcie walki? W jakim to mnie stawia świetle? Czy tak ma wyglądać początek mojej nowej ery? Czy to sprawiedliwe, że muszę dotrzymać słowa ludziom, którzy sami o to nie dbają? Co? Co w tym wszystkim sprawiedliwego, do kurwy nędzy? Idź po kobietę.

– Ja?

– Próbuję posprzątać bałagan, którego narobiłeś. Przyrowadź ją, żeby nasz przyjaciel Owca zobaczył, że Papa Ring dotrzymuje słowa.

– Przegapię początek walki – odrzekł Cantliss, jakby nie mógł uwierzyć, że może go spotkać taka niedogodność z powodu dwóch niemal pewnych zgonów.

– Jeśli będziesz dalej gadał, przegapisz dalszy ciąg swojego pieprzonego życia, chłopcze. Przyrowadź kobietę.

Cantliss począłapał do drzwi, a Ring miał wrażenie, że usłyszał z jego ust szept „To niesprawiedliwe”.

Zazgrzytał zębami i odwrócił się w stronę amfiteatru. Ten drań sprawia kłopoty gdziekolwiek się pojawi i w końcu źle się to dla niego skończy. Ring miał nadzieję, że nie będzie musiał długo na to czekać. Wyprostował mankiety i pocieszył się myślą,

że kiedy Burmistrz zostanie pokonana, rynek najemników się wzbogaci i on będzie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie lepszych zbirów. Tłum zaczynał milknąć i Ring ponownie sięgnął do swojego ucha, ale się powstrzymał, tłumiąc kolejny atak nerwowości. Chociaż zadbał o to, by wszystkie atuty były po jego stronie, jeszcze nigdy nie grał o tak wysoką stawkę.

– Witajcie wszyscy! – wrzasnął Camling, ciesząc się tym, że jego głos wznosił się pod same niebiosa. – Witajcie w historycznym teatrze w Fałdzie! Przez liczne stulecia, które upłynęły od jego powstania, nie było wydarzenia równie doniosłego jak to, które wkrótce rozegra się przed waszymi szczęśliwymi oczami!

Czy oczy mogą być szczęśliwe niezależnie od swoich właścicieli? Camling przez chwilę to rozważał, ale w końcu dał spokój. Nie mógł się rozpraszać. To była jego wielka chwila, w obecności widzów, którzy wypełniali rozświetloną pochodniami nieckę, wspinali się na palce na ulicy i dzielnie trzymali się gałęzi drzew porastających zbocze doliny, chłonąc każde jego słowo. Co prawda, był uznanym hotelarzem, ale nie miał wątpliwości, że wniósłby także nieoceniony wkład do branży rozrywkowej.

– Będzie to walka, moi przyjaciele i sąsiedzi, i to nie byle jaka! Próba siły i zręczności, w której zmierzą się dwaj godni siebie czempioni, sędziowana przeze mnie, skromnego Lennarta Camlinga, osobę neutralną i wieloletniego uznanego członka naszej społeczności!

Miał wrażenie, że ktoś zawołał „Bufon!”, ale to zignorował.

– Pojedynek, który rozstrzygnie spór o prawo własności,

zgodnie z prawem górniczym...

– Szybciej, kurwa! – krzyknął ktoś.

Rozległy się śmiechy, buczenie i gwizdy. Camling przez dłuższą chwilę milczał z wysoko uniesioną brodą, dając dzikusom lekcję kultury i powagi. Wcześniej miał nadzieję, że takiej lekcji może udzielić Iosiv Lestek, ale jego występ zmienił się w farsę.

– W imieniu Papy Ringa wystąpi człowiek, którego nie trzeba przedstawiać...

– Więc po co to robisz? – Znów śmiechy.

– ...siejący postrach w dołach, klatkach i Kręgach w całej Bliskiej i Dalekiej Krainie, odkąd opuścił swoją rodzinną Północ. Niepokonany w dwudziestu dwóch walkach. Glama... Złoty!

Złoty przepchnął się do wnętrza Kręgu. Był obnażony do pasa, a potężne ciało wysmarował tłuszczem, żeby przeciwnik nie mógł go chwycić. Masywne mięśnie lśniły białą w blasku pochodni, przypominając Camlingowi wielkie ślimaki albinosy, które czasami pojawiały się w jego piwnicy i budziły jego irracjonalny lęk. Za sprawą ogolonej czaszki bujne wąsy Północnego wyglądały jeszcze bardziej absurdalnie, jednak wrzaski tłumu tylko przybrały na sile. Ludzi ogarnęła gorączka i niewątpliwie wiwatowaliby nawet na cześć ślimaka albinosa, gdyby mógł krwawić dla ich rozrywki.

– A w imieniu pani Burmistrz, jego przeciwnik... Owca.

Przy wtórze znacznie mniej entuzjastycznego aplauzu i ostatnich pośpiesznych zakładów drugi wojownik wszedł do Kręgu. Również był ogolony i nasmarowany tłuszczem, a jego ciało pokrywało tak wiele blizn, że chociaż nie był znany jako uczestnik pojedynków, nikt nie wątpił w jego obeznanie z przemocą.

Camling się nachylił.

– To twoje całe imię? – wyszeptał.

– Dobrze jak każde inne – odparł stary Północny, nie spuszczać wzroku z przeciwnika.

Mało kto wierzył w jego szanse i Camling aż do tej chwili również spisywał go na straty. Owca był starszy, mniejszy, szczuplejszy, przegrywał w zakładach, jednak sędzia dostrzegł w jego oczach coś, co go zastanowiło. Niezwykły apetyt, jakby Owca był przeraźliwie głodny, a Złoty był jego posiłkiem.

Gdy Camling wezwał obu przeciwników na środek ringu, na twarzy potężniejszego z mężczyzn pojawiła się niepewność.

– Czy ja cię skądś nie znam?! – zawołał, przekrzykując gwar publiczności. – Jak się naprawdę nazywasz?

Owca rozciągnął mięśnie szyi, pochylając głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

– Może sobie przypomnisz.

Camling uniósł jedną rękę.

– Niech wygra lepszy! – wrzasnął.

Ponad rykiem tłumu usłyszał słowa Owcy.

– W takich pojedynkach zazwyczaj wygrywa gorszy.

To miała być ostatnia walka Złotego. Tego był pewien.

Krążyli wokół siebie – praca nóg, praca nóg, kroki i posunięcia – wyczuwając się nawzajem, spychając na bok dziką wrzawę tłumu, ich zaciśnięte pięści i wykrzywione twarze. Ludzie nie mogli się doczekać początku walki, ale nie zdawali sobie sprawy, że zwycięstwo często rozstrzyga się w tych spokojnych chwilach, zanim przeciwnicy się dotkną.

Na spokój zmarłych, Złoty był zmęczony. Porażki i wyrzuty sumienia wlekły się za nim jak łańcuchy za pływakiem, coraz bardziej mu ciężąc z każdym dniem i każdym oddechem. To musi być jego ostatnia walka. Słyszał, że Daleka Kraina to miejsce, w którym ludzie odnajdują swoje marzenia, więc przybył w poszukiwaniu wszystkiego, co utracił, ale oto, co na niego czekało. Glama Złoty, potężny Wódz Wojny, bohater Ollensandu, opiewany w pieśniach i dumnie stojący na polach bitew, wzbudzając podziw i lęk, tarzał się w błocie ku uciesze kretynów.

Skręt bioder i pochylenie ramienia, dwa leniwe machnięcia rękami, by ocenić odległość i oszacować przeciwnika. Ten Owca dobrze się poruszał pomimo swojego wieku. Widać, że się na tym znał – był szybki i stabilny, a także niepotrzebnie nie tracił sił. Złoty zastanawiał się, jakie porażki i wyrzuty sumienia dręczyły jego przeciwnika. W pogoni za jakim marzeniem zawędrował do tego Kręgu?

„Pozostaw go przy życiu, jeśli to będzie możliwe”, powiedział Ring, co dowodziło, jak niewiele rozumiał, pomimo ciągłych przechwałek na temat swojej słowności. W takiej walce nie było swobody wyboru, życie i śmierć spoczywały na szalach wagi Wielkiego Rozjemcy. Nie było miejsca na litość ani wątpliwości. Widział w oczach Owcy, że ten także to wie. Kiedy dwaj mężczyźni wchodzi do Kręgu, nie liczy się nic, co pozostawiają poza jego granicami, ani przeszłość, ani przyszłość. Wydarzenia toczą się własnym biegiem.

Złoty już dosyć się napatrzył.

Zacisnął zęby i rzucił się w poprzek Kręgu. Stary zrobił zręczny unik, ale Złoty i tak trafił go w ucho, po czym poprawił mocnym lewym w żebra, czując siłę uderzenia rozgrzewającą

każdy staw. Owca odwzajemnił cios, ale Złoty bez trudu go odbił i już po chwili się rozdzielili i ponownie zaczęli krążyć, uważnie się obserwując, a wiatr wirował wewnątrz amfiteatru, wydłużając płomienie pochodni.

Stary potrafił przyjąć cios, gdyż wciąż poruszał się spokojnie i stabilnie, nie okazując bólu. Możliwe, że Złoty będzie musiał go rozbić stopniowo, wykorzystując większy zasięg rąk, ale to mu nie przeszkadzało. Miał w sobie coraz więcej entuzjazmu. Oddychał szybciej i powarkiwał, a na jego twarzy pojawił się bojowy grymas. Zbierał siły i odpychał od siebie wątpliwości, a wstyd oraz rozczarowanie podsycaly jego gniew.

Złoty mocno klasnął w dłonie, zamarkował ruch w prawo, po czym z sykiem rzucił się naprzód, szybciej i mocniej niż poprzednio, trafiając starego kolejnymi dwoma ciosami, rozkrwawiając jego wygięty nos i odrzucając go do tyłu, po czym sam zręcznie się usunął, zanim przeciwnik zdążył pomyśleć o kontrze, a w kamiennej niecce rozległy się okrzyki zachęty, wyzwiska oraz nowe zakłady w tuzinie różnych języków.

Złoty zabrał się do pracy. Przeważał zasięgiem, wagą i młodością, ale nie brał niczego za pewnik. Zamierzał być ostrożny. Upewnić się.

W końcu to jego ostatnia walka.

– Już idę, draniu, idę! – zawołał Pane, kuśtykając korytarzem na chorej nodze.

Znajdował się na samym dole hierarchii, ale uważał, że każda hierarchia potrzebuje kogoś takiego, a on zapewne nie zasłużył na to, żeby znaleźć się wyżej. Drzwi drżały pod naporem uderzeń. Powinni postarać się o wizjer. Wspominał

o tym, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Pewnie go nie słyszeli przez tę stertę ludzi, którzy znajdowali się ponad nim. Tak czy inaczej, musiał odsunąć rygiel i uchylić drzwi, żeby zobaczyć, kto go woła.

Na zewnątrz stał jakiś stary pijaczyna. Wysoki i kościsty, z siwymi włosami przyklejonymi do połowy głowy i z dużymi dłońmi, ubrany w podarty płaszcz z jednej strony pobrudzony zapewne starymi wymiocinami, a z drugiej całkiem świeżymi.

– Chcę się jebać – powiedział głosem przypominającym dźwięk pękającego przegniłego drewna.

– To się jeb. – Pane zatrzasnął drzwi.

Starzec wcisnął but w szparę i drzwi odskoczyły.

– Mówię, że chcę się jebać!

– Już zamknięte.

– Że co? – Stary wyciągnął szyję; najwyraźniej był nie tylko pijany, ale i głuchy.

Pane szerzej uchylił drzwi, żeby móc przez nie krzyczeć.

– Jeśli nie zauważyłeś, jest walka. Lokal zamknięty!

– Zauważyłem i gównu mnie to obchodzi. Chcę się jebać, i to natychmiast. Mam złoty pył i słyszałem, że Biały Dom nigdy nie jest zamknięty dla klientów. Nigdy.

– Zaraza – syknął Pane.

To była prawda. Papa Ring zawsze im powtarzał, żeby nigdy nie zamykali interesu. Ale z drugiej strony mieli być czujni, a dzisiaj polecono im potroić środki ostrożności. „Bądźcie dzisiaj trzykrotnie czujniejsi”, powiedział Papa. „Nie znoszę nieostrożnych ludzi”. Co brzmiało dziwnie, ponieważ tutaj nikt nigdy nie był ani trochę ostrożny.

– Chcę się jebać – stęknął stary, który był tak pijany, że ledwie

trzymał się na nogach.

Szkoda dziewczyny, którą dostanie, gdyż cuchnął jak całe gówno w Fałdzie. Zazwyczaj przy drzwiach stało trzech strażników, ale dzisiaj wszyscy wymknęli się na walkę, a Pane został sam, jak przystało na kogoś na samym dole hierarchii.

Westchnął z niezadowoleniem i odwrócił się, żeby zawołać kogoś ważniejszego, a wtedy spotkała go niemiła niespodzianka, gdy ktoś mocno otoczył ręką jego szyję i przycisnął mu do gardła zimny czubek ostrza. Pane usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi.

– Gdzie jest kobieta, którą porwaliście? – Oddech starego cuchnął jak stodoła, ale jego ręce były mocne jak pnącza. – Płoszka Południe, chudzielec z niewyparzoną gębą. Gdzie ona jest?

– Nie wiem nic o żadnej kobiecie – zdołał wycharczeć Pane, próbując odezwać się na tyle głośno, by ktoś go usłyszał, ale zakrztusił się swoimi słowami.

– Więc chyba mogę cię rozciąć. – Pane poczuł, jak ostrze noża zagłębia się w jego szczękę.

– Kurwa! No dobrze! Jest w piwnicy!

– Prowadź. – Stary zaczął go popychać.

Jeden krok, drugi i nagle do Pane'a dotarło, jak bardzo go to poniża, więc, nie namyślając się wiele, zaczął się wić, rzucać i uderzać łokciami, jakby to była chwila, w której może wydostać się z samego dna i wreszcie stać się kimś wartym przynajmniej własnego szacunku.

Jednakże stary był jak ze stali. Żyłasta dłoń zacisnęła się na tchawicy Pane'a, który zabulgotał i poczuł palące ostrze na twarzy, tuż pod okiem.

– Jeśli będziesz się dalej rzucał, stracisz oko. – W głosie

mężczyzny był straszliwy chłód, który pozbawił Pane'a ochoty do walki. – Jesteś tylko głupcem, który otwiera drzwi, więc domyślam się, że nie zawdzięczasz za wiele Papie Ringowi. Zresztą, on już jest skończony. Zaprowadź mnie do kobiety i nie rób głupstw, a przeżyjesz i dalej będziesz mógł otwierać drzwi innym ludziom. Mówię z sensem?

Uścisk zelżał na tyle, że Pane mógł zakaszleć.

– Tak, mówisz z sensem. – Rzeczywiście. Pane walczył jak nigdy i co mu to dało? Był tylko głupcem, który otwiera drzwi.

Na samym dole hierarchii.

Złoty solidnie rozkrwawił twarz starego. W świetle ponad pochodniami widział padającą mżawkę, która chłodziła mu czoło, ale wewnątrz płonął, wolny od wszelkich wątpliwości. Oszacował siły Owcy i nawet krew w jego ustach miała smak zwycięstwa.

To jego ostatnia walka. Potem wróci na Północ z pieniędzmi od Ringa, odzyska honor i swoje zaginione dzieci oraz krwawo zemści się na Cairmie Żelaznogłowym i Czarnym Calderze. Samo wspomnienie tych znienawidzonych imion i twarzy rozpałiło w nim gwałtowny płomień furii.

Ryknął, a tłum mu zawtórował, niosąc go poprzez Krąg jak fala. Stary zablokował jedno uderzenie i prześlizgnął się pod kolejnym, złapał rękę Złotego i przeciwnicy zderzyli się, po czym zaczęli się wić, szukając uchwytu dłońmi śliskimi od tłuszczu i mżawki, szurając nogami w poszukiwaniu oparcia. Złoty napinał się i pchał, aż w końcu z rykiem zdołał dźwignąć Owcę, jednak stary, padając, zaczepił go nogą i obaj runęli na kamienie, a tłum podskoczył z radości.

Złoty był na wierzchu. Usiłował otoczyć ręką gardło starego, natrafił na jego wystrzępione ucho i chciał je szarpnąć, ale okazało się zbyt śliskie, próbował stopniowo przesunąć dłoń na twarz Owcy, żeby wbić mu kciuk w oko, tak samo jak wiosną zrobił w walce z tamtym potężnym górnikiem, ale nagle coś szarpnęło jego głowę w dół, a usta przeszył palący ból. Złoty wrzasnął i zaczął się wić, drapiąc paznokciami nadgarstek Owcy, aż w końcu, czując rozdzierające kłucie w ustach i dziąsłach, zdołał się uwolnić i oddalić, miotając się po ziemi.

Owca się odturlał, a Złoty zauważył w jego zaciśniętej pięści garść żółtych włosów i zrozumiał, że stary wyrwał mu połowę wąsów. W tłumie rozległy się śmiechy, ale Złoty słyszał tylko śmiech sprzed lat, gdy ciężkim krokiem wyszedł z Sali Skarlinga i udał się na wygnanie.

Ogarnęła go ślepa furia i zaszarżował z wrzaskiem, myśląc tylko o tym, żeby roznieść Owcę na strzępy pięściami. Trafił go w twarz i wyrzucił z Kręgu, a widzowie z pierwszego rzędu kamiennych ławek rozproszyli się jak szpaki. Złoty poszedł za ciosem, miotając wyzwiska, zasypując Owcę uderzeniami, okładając go z lewej i prawej strony jak szmacianą lalkę. Stary bezwładnie opuścił ręce, jego twarz obwisła, oczy zaszyły mgłą i Złoty wiedział, że to ta chwila. Zamachnął się z całej siły i zadał potężny cios prosto w podbródek przeciwnika.

Zobaczył, jak stary zatacza się z opuszczonymi rękami, i czekał, aż pod Owcą ugną się kolana, żeby móc na niego wskoczyć i zakończyć walkę.

Tyle że Owca nie upadł. Chwiejnym krokiem wrócił do Kręgu i teraz kołysał się na nogach z twarzą skrytą w cieniu, a krew wypływała mu z otwartych ust. Nagle ponad rykiem tłumu Złoty usłyszał cichy dźwięk, którego nie sposób było nie rozpoznać.

Stary się śmiał.

Złoty stał z falującą piersią, czując słabość w nogach i ciężar w zmęczonych rękach. Ogarnęła go lodowata fala wątpliwości, wiedział bowiem, że nie jest w stanie uderzyć kogoś mocniej.

– Kim ty jesteś?! – ryknął. Pięści miał obolałe, jakby okładał drzewo.

Na twarzy Owcy pojawił się uśmiech jak otwarty grób. Stary wystawił czerwony język i długimi pociągnięciami rozsmarował sobie krew po policzku. Potem podniósł lewą pięść i delikatnie ją otworzył. Szeroko otwartymi wilgotnymi oczami przypominającymi czarne doły ze smołą popatrzył na Złotego przez lukę, w której kiedyś znajdował się jego środkowy palec.

Wśród tłumu zapanowała niepokojąca cisza, a wątpliwości Złotego zmieniły się w trwogę, gdy wreszcie domyślił się imienia starego.

– Na spokój zmarłych – wyszeptał. – Niemożliwe.

Wiedział, że to prawda. Nieważne, jak jesteś szybki, silny i groźny, zawsze znajdzie się ktoś szybszy, silniejszy i groźniejszy, a im częściej walczysz, tym szybciej go spotkasz. Nikt nie może wiecznie oszukiwać Wielkiego Rozjemcy. Glama Złoty poczuł, że pot na jego ciele staje się lodowato zimny, a ogień w jego wnętrzu zgasł, pozostawiając tylko popioły.

Zrozumiał, że to rzeczywiście jego ostatnia walka.

– Kurwa, to takie niesprawiedliwe – mruknął Cantliss.

Tak się namęczył, wlekąc te jęczące bachory przez Daleką Krainę, narażał życie, sprowadzając je do Smoków, spłacił cały dług razem z odsetkami i jakie spotyka go podziękowanie? Niekończące się marudzenie Papy Ringa oraz kolejne gówniane

zadanie. Niezależnie od tego, jak ciężko pracuje, nic nigdy nie idzie po jego myśli.

– Nie ma co liczyć na sprawiedliwość – rzucił w pustkę, a kiedy to powiedział, poczuł ból na twarzy i delikatnie dotknął pokrywających ją zadrapań, a wtedy zaboląła go ręka. Z goryczą pomyślał o głupocie kobiecego rodu.

– Po tym wszystkim, co zrobiłem dla tej dziwki...

Kiedy Cantliss wyszedł z za rogu, idiota Warp udawał, że czyta.

– Wstawaj, kretynie!

Kobieta wciąż siedziała w klatce, związana i bezsilna, ale patrzyła na niego w sposób, który jeszcze bardziej go zdenerwował, spokojnie i bez emocji, jakby w jej umyśle kryło się coś poza strachem. Jakby miała plan, a on stanowił jego część.

– Na co się gapisz, suko? – syknął.

– Na pieprzonego tchórza – odpowiedziała wyraźnym, lodowatym głosem.

Znieruchomiał i zamrugał, początkowo nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Nawet ten chudzielec go nie szanuje? Nawet ona, chociaż powinna zebrać o łaskę? Skoro nie można sobie zapewnić szacunku kobiety, związując ją i bijąc, to niby jak, do kurwy nędzy?

– Co takiego? – szepnął, czując lodowate dreszcze na całym ciele.

Pochyliła się, nie spuszczać z niego kpiącego spojrzenia, po czym uniosła górną wargę, przycisnęła język do szpary pomiędzy zębami i, szarpiąc głową, splunęła między prętami na nową koszulę Cantlissa.

– Tchórzliwa cipa – powiedziała.

Krytyka ze strony Papy Ringa to jedno, ale na coś takiego Cantliss nie mógł pozwolić.

– Otwórz klatkę! – warknął, niemal krztusząc się z wściekłości.

– Proszę bardzo. – Warp grzebał przy kółku do kluczy, próbując znaleźć właściwy. Miał tylko trzy do wyboru.

Cantliss wyrwał mu je z dłoni, wcisnął klucz do zamka, po czym otworzył drzwi z takim impetem, że uderzyły o ścianę i zrobiły w niej dziurę.

– Kurwa, zaraz dam ci lekcję! – wrzasnął, ale kobieta wciąż go obserwowała z obnażonymi zębami, dysząc tak ciężko, że widział kropelki śliny na jej ustach. Chwycił ją za koszulę i niemal podniósł z ziemi, rozrywając szwy, a drugą dłoń zacisnął na jej szczęce, ściskając jej usta palcami, jakby chciał zmiażdżyć jej twarz i...

Przenikliwy ból przeszył jego udo i Cantliss donośnie wrzasnął. Coś ponownie wstrząsnęło jego ciałem, a wtedy ugięła się pod nim noga i zatoczył się na ścianę.

– Co ty...? – zaczął Warp.

Cantliss usłyszał jakąś szamotaninę oraz postękiwanie i szybko się obrócił, ledwie utrzymując się na nogach, gdy ból dotarł aż do pachwiny.

Warp opierał się o klatkę, z głupkowatym zaskoczeniem na twarzy, a kobieta przytrzymywała go jedną ręką, drugą zaś uderzała w żołądek. Przy każdym kolejnym ciosie mężczyzna parsknął i pluł, aż w końcu zabalgotał i zrobił zęza, a Cantliss zobaczył, że kobieta trzyma nóż ociekający krwią skapującą na posadzkę. Zrozumiał, że jego także dźgnęła, i jęknął z oburzeniem, nie mogąc uwierzyć w taką krzywdę i niesprawiedliwość. Pokuśtykał do przodu, chwycił ją za plecy

i razem wypadli przez drzwi klatki, po czym runęli na klepisko, a nóż potoczył się w dal.

Kobieta okazała się śliska jak pstrąg i zanim Cantliss zdążył się zorientować, znalazła się na wierzchu i dwukrotnie mocno uderzyła go pięścią w usta, aż jego czaszka trzasnęła o ziemię. Rzuciła się w stronę noża, ale zdążył przytrzymać ją za koszulę i pociągnąć do tyłu, tak że zniszczone ubranie rozdarło się na pół. Wili się na ziemistej podłodze, próbując dotrzeć do stolika, stękając i plując. Kobieta ponownie uderzyła Cantlissa pięścią, ale trafiła go tylko w czubek czaszki, a on wplótł palce w jej włosy i odciągnął jej głowę w bok. Zapiszczała i zaczęła się miotać, ale nie miał zamiaru jej puścić i dwukrotnie trzasnął jej głową o nogę stołu, a kiedy na chwilę stała się bezwładna, wczołgał się na nią, ze stękaniem próbując wesprzeć się na rannej nodze, mokrej i cieplej od krwi.

Słyszał oddech świszczący jej w gardle, gdy się siłowali. Uderzyła go kolanem, ale wciąż ją przygniatał, aż w końcu zdołał oprzeć się przedramieniem na jej szyi i zaczął naciskać, jednocześnie zmieniając ułożenie ciała i wyciągając palce po nóż. Kiedy go dosięgnął, zachichotał, bo już wiedział, że wygrał.

– Teraz, kurfa, zobaszmy – syknął przez rozbite i opuchnięte usta, po czym uniósł ostrze, żeby mogła mu się dobrze przyjrzeć.

Twarz miała zaróżowioną od braku powietrza i oblepioną zakrwawionymi włosami. Wodziła wytrzeszczonymi oczami za czubkiem ostrza, próbując odepchnąć jego rękę, ale była coraz słabsza, a on wysoko podniósł nóż, po czym zamarkował kilka pchnięć, żeby się z nią drażnić, z zadowoleniem patrząc na grymas, który za każdym razem wykrzywiał jej twarz.

– Teraz zobaszmy! – Wziął jeszcze większy zamach, żeby dokończyć dzieła.

Nagle ktoś wykręcił mu nadgarstek i pociągnął go do tyłu. Cantliss otworzył usta, ale wtedy coś go w nie uderzyło i cały świat zawirował. Potrząsnął głową, słysząc kaszel kobiety dobiegający jakby z oddali. Zobaczył nóż leżący na ziemi i po niego sięgnął.

Potężny but przygwoździł jego dłoń do ziemi, a po chwili drugi odtrącił ostrze. Cantliss stęknął i spróbował poruszyć ręką, ale nie był w stanie.

– Chcesz, żebym go zabił? – spytał jakiś starzec, spoglądając na niego z góry.

– Nie – wychrypiała dziewczyna, schylając się po nóż. – Sama chcę to zrobić. – Zbliżyła się do Cantlissa, plując mu krwią w twarz przez szparę między zębami.

– Nie! – jęknął, próbując się cofnąć, odpychając się bezużyteczną nogą, mimo że jego bezużyteczna dłoń tkwiła pod butem starego. – Potrzebujesz mnie! Chcesz odzyskać dzieci, prawda? Prawda? – Zobaczył jej twarz i wiedział, że ma szansę. – Niełatwo tam dotrzeć! Mogę pokazać ci szlak! Potrzebujesz mnie! Pomogę ci! Wszystko naprawię! To nie była moja wina, tylko Ringa. Groził, że mnie zabije! Nie miałem wyboru! Potrzebujesz mnie! – Bełkotał, szlochał i błagał, ale nie czuł wstydu, ponieważ, kiedy nie ma innego wyjścia, każdy rozsądny człowiek żebrze jak pies.

– Co to ma być? – mruknął staruszek, pogardliwie krzywiąc usta.

Dziewczyna przyniosła z klatki linę, którą była związana.

– Lepiej nie zamykajmy sobie żadnej z dróg.

– Bierzemy go ze sobą?

Przykucnęła i posłała Cantlissowi czerwony uśmiech.

– Zawsze możemy go zabić później.

Abram Majud poważnie się martwił. Nie wynikiem, ponieważ ten wydawał się przesądzony, ale tym, co się wydarzy później.

Z każdą wymianą ciosów Złoty coraz bardziej opadał z sił. Jego twarz zmieniła się w maskę strachu, w stopniu, w jakim dało się to stwierdzić pod krwią i opuchlizną. Tymczasem, poprzez straszliwy kontrast, uśmiech Owcy stawał się szerszy po każdym zadanim albo otrzymanym ciosie. Przypominał szalony grymas pijaka, wariata albo demona. Nie pozostał nawet najmniejszy ślad po człowieku, z którym Majud żartował na równinach, a oblicze Owcy było tak potworne, że widzowie z pierwszych rzędów cofali się na ławki za swoimi plecami, gdy ten się zbliżał.

Publiczność zaczynała zachowywać się równie paskudnie jak walczący. Majud ze strachem myślał o całkowitej wartości zakładów i dostrzegał pierwsze bójkę na trybunach. To poczucie zbiorowego szaleństwa przypominało mu bitwę – miał nadzieję, że już w żadnej nie będzie musiał uczestniczyć – a wiedział, że podczas bitwy nie da się uniknąć ofiar.

Owca odrzucił Złotego do tyłu potężnym uderzeniem prawej pięści, a zanim ten upadł, zaczął palcem o jego policzek i go rozdarł, ochlapując krwią najbliższych widzów.

– Ojej! – zawołał Curnsbick, patrząc na walkę zza rozłożonych palców.

– Powinniśmy stąd pójść.

Mimo to, Majud nie widział łatwego wyjścia z tego zamieszania. Owca chwycił Złotego za rękę i owinął ją swoją, zmuszając przeciwnika do padnięcia na kolana i bezładnego wymachiwania przyszpiloną dłonią. Majud usłyszał bulgoczący

wrzask Glamy, a potem ostry trzask, gdy Owca wyłamał mu łokieć, a skóra wokół stawu obrzydliwie się rozděła.

Owca spadł na Złotego, jak wilk na zdobycz, z chichotem chwycił go za gardło, odchylił się, a następnie uderzył go czołem w twarz, a potem jeszcze raz i ponownie, wywołując wśród publiczności okrzyki radości i trwogi.

Majud usłyszał skowyt i zobaczył na trybunach falujące ciała dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej walczyli na noże. Nagle niebo rozświetlił pomarańczowy płomień, tak jasny, że niemal poczuli jego ciepło. Po chwili potężny huk wstrząsnął areną, przerażeni widzowie rzucili się na ziemię, zakrywając dłońmi głowy, a krwiożercze wrzaski zmieniły się w wystraszone wycie.

Jakiś człowiek wszedł chwiejnie do Kręgu, trzymając się za brzuch, po czym przewrócił się niedaleko miejsca, w którym Owca zamierzał roztrzaskać Złotemu głowę gołymi rękami. Płomienie wzbijały się w niebo i wiły na deszczu po stronie ulicy należącej do Papy Ringa. Dwa kroki dalej ktoś dostał w głowę kawałkiem gruzu, który zwałił go z nóg.

– Wybuchający proszek – mruknął Curnsbick, w którego okularach tańczyły odbicia ognia.

Majud chwycił go za rękę i pociągnął wzdłuż ławki. Pomiedzy falującymi ciałami widział szeroki uśmiech Owcy oświetlony przez skwierczącą pochodnię. Czyjaś głowa uderzała z miarowym chrzęstem o jedną z kolumn, pokrywając kamień czarnymi smugami. Majud podejrzewał, że ofiarą jest Camling. Najwyraźniej czas sędziów dawno minął.

– Ojej – szepnął Curnsbick. – Ojej.

Majud dobył miecza. Tego samego, który generał Malzagurt podarował mu w podzięce za uratowanie życia. Nienawidził tego żelastwa, ale teraz cieszył się, że je ma. Ludzki geniusz

nadal nie wymyślił lepszego narzędzia do usuwania ludzi z drogi niż kawałek zaostrej stali.

Podniecenie zmieniło się w panikę z szybkością błotnej lawiny. Po drugiej stronie Kręgu nowo wybudowana trybuna zaczynała się niebezpiecznie chwiać, gdy ludzie kłębili się między siedzeniami, tratując się nawzajem, usiłując jak najszybciej uciec. W końcu, z bolesnym trzaskiem cała budowla gwałtownie przechyliła się, drzewca pękły jak zapalki, skrzyły się i runęły, a ludzie wypadali za liche balustrady i znikali w ciemności.

Majud ciągnął za sobą Curnsbicka, ignorując walki, rannych, kobietę podpartą na łokciach, która wpatrywała się w kość sterczącą jej z nogi. Każdy dbał o siebie albo, jeśli miał szczęście, o swoich najbliższych, pozostawiając resztę w rękach Boga.

– Ojej – zabalgotał Curnsbick.

Sytuacja na ulicy już nie przypominała bitwy, tylko się w nią zmieniła. Ludzie bełkotali i szaleńczo się miotali, oświetleni przez rozszerzający się pożar po stronie Papy Ringa. Błyskały ostrza, mężczyźni ścierali się, padali i toczyli po ziemi, rozpaczliwie wymachiwali rękami w strumieniu, a nikt nie wiedział, kto z kim walczy. Majud zobaczył, jak ktoś rzuca płonąca butelkę na jeden z dachów. Po chwili zakrzywione linie ognia rozbiegły się po strzesze, łapczywie ją pochłaniając pomimo wilgoci.

Zerknął na panią Burmistrz, która ze swojego balkonu wciąż patrzyła na ogarniętą szaleństwem ulicę. Coś wskazywała i przemawiała do stojącego obok niej mężczyzny, spokojnie wydając mu polecenia. Majud miał wrażenie, że od początku nie miała zamiaru beczynnie czekać na wynik walki.

Strzały świstały w ciemności. Jedna z nich, o płonącym

drzewcu, wbiła się w błoto tuż obok Majuda. W jego uszach rozbrzmiewały słowa wyrzaskiwane w językach, których nie znał. Rozległ się kolejny donośny huk i Majud skulił się na ziemi, gdy wirujące kawałki drewna wzleciały w górę, a kłęby dymu buchnęły w mokre niebo.

Ktoś wlekl wierzgającą kobietę za włosy po błocie.

– Ojej – bezustannie powtarzał Curnsbick.

Czyjaś dłoń zacisnęła się Majudowi na kostce, a on uderzył w nią płazem miecza, wyrwał się i ruszył dalej, nie patrząc za siebie, trzymając się ganków domów po stronie ulicy należącej do pani Burmistrz. Wysoko w górze, na szczycie najbliższej kolumny, zobaczył sylwetki trzech mężczyzn, z których dwaj trzymali łuki, a trzeci zapalał zanurzone w smole strzały, które spokojnie posyłali na dachy domów naprzeciwko.

Budynek oznaczony szyldem „Pałac Jebania” całkowicie ogarnęły płomienie. Jakaś kobieta skoczyła z balkonu i teraz jęczała skulona na błocie. Obok leżały dwa trupy. Czterej mężczyźni patrzyli na to, trzymając obnażone miecze. Jeden palił fajkę. Majud miał wrażenie, że to krupier z Burmistrzowskiego Kościoła Kości.

Curnsbick próbował się wyrwać.

– Powinniśmy...

– Nie! – odburknął Majud, ciągnąc go dalej. – Nie powinniśmy.

Litość, podobnie jak inne przywileje cywilizowanego zachowania, była luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić. Majud wyciągnął klucz do ich sklepu i wcisnął go w drżącą dłoń Curnsbicka, odwracając się ku ulicy z uniesionym mieczem.

– Ojej – wołał wynalazca, walcząc z zamkiem. – Ojej.

Wpadli do środka, do bezpiecznego, mrocznego wnętrza

przecinanego pomarańczowymi, żółtymi i czerwonymi błyskami. Majud zatrzasnął ramieniem drzwi, odetchnął z ulgą, gdy opadł skobel, po czym okręcił się na pięcie, czując na ramieniu czyjś dotyk, i omal nie ściał głowy Temple'owi.

– Co się dzieje, do diabła? – Pasek światła przesunął się po połowie zaszokowanej twarzy Temple'a. – Kto wygrał walkę?

Majud oparł czubek miecza o podłogę i oparł się na głowicy, ciężko dysząc.

– Owca rozszarpał Złotego na strzępy. Dosłownie.

– Ojej – jęknął Curnsbick, osuwając się po ścianie, aż tyłkiem wylądował na posadzce.

– A co z Płószką? – spytał Temple.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się dzieje. – Majud uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Ale podejrzewam, że pani Burmistrz urządziła porządkę.

Płomienie po stronie ulicy należącej do Papy Ringa rozświetlały całe miasto jaskrawymi kolorami. Biały Dom płonął aż po ostatnie piętro, ogień bił w niebo, łapczywy i morderczy, płonęły drzewa na zboczach doliny, popiół i rozpalone węgle kłębiły się w deszczu.

– Może powinniśmy pomóc? – wyszeptał Temple.

– Dobry biznesmen zawsze pozostaje neutralny.

– Ale z pewnością przychodzi taka chwila, gdy należy przestać być dobrym biznesmenem i próbować postępować jak dobry człowiek.

– Być może. – Majud ponownie zatrzasnął drzwi. – Ale to nie jest taka chwila.

Starzy przyjaciele

– No tak! – zawołał Papa Ring, po czym przełknął ślinę i zamrugał, unosząc wzrok w stronę słońca. – To chyba koniec! – Pot pokrywał jego czoło, ale Temple nie mógł go za to winić. – Nie zawsze postępowałem właściwie! – Ktoś wyrwał mu kółko z ucha i zniekształcony płatek zakołysał się, kiedy mężczyzna odwrócił głowę. – Śmiem twierdzić, że większość z was w ogóle za mną nie zatęskni! Ale przynajmniej zawsze starałem się dotrzymać słowa! Musicie przyznać, że zawsze dotrzymywałem...

Temple usłyszał, jak Burmistrz pstryknęła palcami, a wtedy jej człowiek kopnął Ringa w plecy i zepchnął go z szubienicy. Pętla mocno się zacisnęła, a Ring zaczął się wić i wierzgać, tańcząc taniec wisielca, a szczyny pociekły z jednej nogawki jego brudnych spodni. Ludzie mali i wielcy, odważni i tchórze, potężni i przeciętni, wszyscy wiszą tak samo. Teraz dyndało już jedenaścioro. Ring, dziewięciu jego pomocników oraz kobieta, która opiekowała się jego dziewczkami. W tłumie rozległy się wymuszone wiwaty, wywołane raczej przyzwyczajeniem niż entuzjazmem. Wydarzenia poprzedniego wieczoru nasyciły apetyt na śmierć nawet wśród mieszkańców Fałdy.

– Koniec z nim – cicho skwitowała pani Burmistrz.

– Koniec z wieloma rzeczami – odrzekł Temple.

Jedna z kolumn, pomiędzy którymi stał Biały Dom, przewróciła się podczas pożaru. Druga sterczała dziwnie naga, popękana i ubrudzona sadzą. Zwęglone ruiny teraźniejszości

splatały się z ruinami przeszłości. Ponad połowę budynków po stronie ulicy należącej do Ringa spotkał taki sam los. W płataninie drewnianych bud i chatk ziały wypalone dziury, a złodzieje plądrowali zgliszcza.

– Odbudujemy je – zapewniła pani Burmistrz. – Właśnie tak robimy. Czy traktat już jest gotowy?

– Prawie – wykrztusił Temple.

– To dobrze. Ten kawałek papieru może ocalić wiele istnień.

– Właśnie widzę, że ratowanie ludzi jest naszym głównym celem. – Wszedł po schodach, nie czekając na odpowiedź. Nie zamierzał płakać po Papie Ringu, ale nie miał już ochoty obserwować jego wierzgania.

Jako że spora część mieszkańców zginęła w wyniku walk, pożaru lub powieszenia, jeszcze większa grupa uciekła, największa właśnie przygotowywała się do odejścia, zaś większość pozostałych na ulicy przyglądała się zakończeniu wielkiego konfliktu, Kościół Kości świecił pustkami. Kroki Temple'a odbijały się echem od osmalonych krokwi. Dab Słodki, Płacząca Skała i Corlin siedzieli przy jednym ze stolików i grali w karty pod nieobecnym spojrzeniem wiekowych zbroi porozwieszanych na ścianach.

– Nie oglądacie wieszania? – spytał Temple.

Corlin zerknęła na niego kątem oka i syknęła pogardliwie. Zapewne słyszała o jego biegu nago w poprzek ulicy.

– Kiedyś o mało sam nie zawisłem, niedaleko Nadziei – odrzekł Słodki. – Okazało się, że to nieporozumienie, ale było blisko. – Stary zwiadowca poluzował palcem kołnierzyk. – To zdusiło mój entuzjizm do egzekucji.

– Pech – stwierdziła Płacząca Skała, wbijając wzrok w swoje karty, z których połowa była odwrócona koszulkami do

wewnątrz. Nie wyjaśniła, czy odnosi się do końca entuzjazmu Słodkiego, jego niedosłego powieszenia, czy wieszania jako takiego. Nie była kobietą skłoną do wyjaśnień.

– Zresztą, tylko wtedy, gdy na zewnątrz ktoś umiera, można znaleźć tutaj trochę wolnego miejsca. – Słodki zakołysał się na krześle i oparł brudny but na stole. – Myślę, że to miejsce się zepsuło. Wkrótce będzie można lepiej zarobić na wywożeniu stąd ludzi niż na ich sprowadzaniu. Muszę jeszcze zgarnąć kilkoro przegranych biedaków, którzy rozpaczliwie pragną ponownie ujrzeć cywilizację, i wyruszymy z powrotem do Bliskiej Krainy.

– Może do was dołączę – odrzekł Temple. Miał wrażenie, że tłum przegranych ludzi będzie dla niego idealnym towarzystwem.

– Zawsze jesteś mile widziany.

Płacząca Skała upuściła kartę na stół i zaczęła zgarniać wygraną, tak obojętnie, jakby przegrała. Słodki odrzucił z obrzydzeniem karty.

– Od dwudziestu lat przegrywam z tym przeklętym oszukańczym Duchem, a ona nadal udaje, że nie potrafi w to grać!

Savian i Owca stali przy kontuarze i ogrzewali się zawartością butelki. Z ogoloną głową i brodą Północny wyglądał na młodszego, a także większego i o wiele bardziej wrednego. Sprawiał także wrażenie, jakby z całych sił próbował powalić drzewo uderzeniami twarzy, która zmieniła się w bezkształtną masę strupów i sińców. Jeden z jego policzków przecinało nierówno zszyte poszarpane skaleczenie, a obie dłonie były owinięte poplamionymi bandażami.

– Tak czy inaczej – mruknął przez opuchnięte usta – wiele ci

zawdzięczam.

– Bez obaw, znajdę jakiś sposób, żebyś mógł się zrewanżować

– odparł Savian. – Co myślisz o polityce?

– Obecnie staram się trzymać od niej jak najdalej...

Umilkli, kiedy zobaczyli Temple'a.

– Gdzie Płoszka? – spytał.

Owca na niego popatrzył. Jedno oko miał prawie zamknięte przez opuchliznę, a drugie bardzo zmęczone.

– Na górze, w komnatach pani Burmistrz.

– Porozmawia ze mną?

– To już od niej zależy.

Temple pokiwał głową.

– Ja także jestem ci wdzięczny – powiedział do Saviana. – Jeśli to cokolwiek znaczy.

– Każdy z nas robi to, na co go stać.

Temple nie był pewien, czy to miało go zabołec. Była to jedna z tych chwil, w których wszystko sprawia ból. Zostawił dwóch staruszków i ruszył w stronę schodów. Za sobą usłyszał szept Saviana.

– Chodzi mi o rebelię w Stariklandzie.

– Tę, która właśnie się skończyła?

– Oraz kolejną...

Uniósł zaciśniętą dłoń przed drzwiami i znieruchomiał. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby zrezygnował i wyjechał z miasta na działkę Bermiego albo nawet do jakiegoś innego miejsca, gdzie nikt by nie wiedział, jaki z niego rozczarowujący kutas. Jeżeli istnieje jeszcze takie miejsce w Kręgu Świata. Jednakże, zanim zwyciężyło w nim pragnienie obrania łatwej ścieżki, zmusił się do zapukania.

Płoszka wyglądała niewiele lepiej niż Owca, miała podrapaną i opuchniętą twarz, skaleczony grzbiet nosa, szyję pokrytą sińcami. Ten widok sprawił mu ból. Oczywiście cierpiałby bardziej, gdyby to jego pobito. Płoszka nie sprawiała wrażenia niezadowolonej z jego wizyty. Nie wyglądała także na zbyt zainteresowaną. Zostawiła otwarte drzwi i wróciła do pokoju, lekko utykając, po czym z zaciśniętymi zębami opadła na ławkę pod oknem, a jej bose stopy bieleły na tle klepek.

– Jak było na wieszaniu? – spytała.

Wszedł i delikatnie zamknął drzwi.

– Jak zwykle.

– Nigdy nie rozumiałam, co się w nich ludziom podoba.

– Może czują się zwycięzcami, gdy widzą czyjąś ostateczną porażkę.

– Wiem coś o porażkach.

– Jak się czujesz?

Uniosła wzrok, a on z trudem wytrzymał jej spojrzenie.

– Jestem nieco obolała.

– Gniewasz się na mnie. – Zabrzmiał jak nadąsane dziecko.

– Nie. Po prostu jestem obolała.

– Co mógłbym działać, gdybym został?

Oblizła rozbite usta.

– Myślę, że byś zginął.

– Właśnie. Zamiast tego pobiegłem po pomoc.

– O tak, pobiegłeś co sił w nogach, to fakt.

– Sprowadziłem Saviana.

– A on mnie wyciągnął. W ostatniej chwili.

– Zgadza się.

– Zgadza się. – Chwyliła się za bok, powoli podnosząc jeden

but, po czym zaczęła go wciągać na nogę. – Więc wygląda na to, że zawdzięczam ci życie. Dziękuję, Temple, jesteś, kurwa, bohaterem. Kiedy następnym razem zobaczę gołą dupę znikającą za moim oknem, będę wiedziała, że powinnam się położyć i czekać na wybawienie.

Patrzyli na siebie w milczeniu, podczas gdy na zewnątrz tłum uczestniczący w egzekucji zaczął się rozchodzić. W końcu Temple usiadł na krześle naprzeciwko Płoszki.

– Jest mi kurewsko wstyd.

– To duża pociecha. Użyję twojego wstydu jako maści na stłuczenia.

– Nie mam nic na swoją obronę.

– A jednak mam wrażenie, że spróbujesz coś wymyślić.

Teraz to on się skrzywił.

– Jestem tchórzem, po prostu. Uciekam od tak dawna, że weszło mi to w krew. Nie jest łatwo zmienić stare nawyki. Niezależnie od tego, jak bardzo...

– Daruj sobie. – Przeciągle i boleśnie westchnęła. – Mam niewielkie oczekiwania. Prawdę mówiąc, i tak mnie pozytywnie zaskoczyłeś, gdy spłaciłeś dług. A więc masz skłonności do tchórzostwa. Któż ich nie ma? Nie jesteś bohaterskim rycerzem, a ja nie jestem mdlejącą dziewczicą i nie żyjemy w bajce, to jedno jest pewne. Wybaczam ci. Możesz odejść w swoją stronę. – Machnęła pokrytą strupami dłonią w stronę drzwi.

Nie spodziewał się, że tak bardzo zbliży się do przebaczenia, a jednak nie ruszył się z miejsca.

– Nie chcę odchodzić.

– Nie oczekuję, że znów wyskoczysz oknem, możesz skorzystać ze schodów.

– Pozwól, że ci wszystko wynagrodzę.

Popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Ruszamy w góry, Temple. Ten drań Cantliss pokaże nam, gdzie mieszka Smoczy Lud, a wtedy spróbujemy odzyskać mojego brata i siostrę. Nie mogę obiecać szczęśliwego zakończenia, ale kilka obietnic mogę złożyć: będzie ciężko, zimno, niebezpiecznie i nie znajdzie się żadne okno, przez które można by wyskoczyć. Będziesz dla nas użyteczny jak spalona zapalka i niech żadne z nas nie udaje, że jest inaczej.

– Proszę. – Podszedł do niej. – Proszę, daj mi jeszcze jedną...

– Zostaw mnie – odparła, mrużąc oczy. – Chcę tylko siedzieć i cierpieć w spokoju.

A więc to koniec. Może powinien mocniej walczyć, tyle że Temple nigdy nie był wojownikiem. Dlatego pokiwał opuszczoną głową i cicho zamknął za sobą drzwi, po czym wrócił na dół.

– Dostałeś to, czego chciałeś? – spytał Owca.

– Nie – odrzekł Temple, rzucając garść monet na drewniany kontuar. – To, na co zasłużyłem. – Po czym zaczął pić.

Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę z głuchego dudnienia kopyt na ulicy, pokrzykiwań i brzęczenia uprzęży. Jakaś nowa Drużyna wjeżdżała do miasteczka. Nowa grupa przyszłych rozczarowanych. Jednakże był zbyt zajęty własną porażką, by chociaż podnieść wzrok. Poleciał barmanowi zostawić butelkę.

Tym razem nie mógł winić nikogo innego, ani Boga, ani Coski, a z całą pewnością nie mógł mieć pretensji do Płoszki. Owca miał rację. Można uciekać, ale nie da się uciec od siebie. Problemem Temple'a od zawsze był Temple. Usłyszał ciężkie kroki, dzwonienie ostróg, wykrzykiwane prośby o trunki i kobiety, ale je zignorował, wlał w gardło kolejną porcję palącego alkoholu, po czym z hukiem odstawił szklaneczkę i z łzawiącymi oczami sięgnął po butelkę.

Ktoś go uprzedził.

– Lepiej to zostaw – warknął Temple.

– Więc jak mam ją wypić?

Gdy usłyszał ten głos, po plecach przebiegł mu dreszcz przerażenia. Powiódł wzrokiem do dłoni trzymającej butelkę – starej, pokrytej plamami wątrobowymi, z brudnymi, popękanyimi paznokciami i krzykliwym pierścieniem na palcu wskazującym. Jego spojrzenie minęło brudny koronkowy mankiet i przesunęło się wzdłuż ubłoconego materiału, na napierśnik, z którego łuszczyły się złocenia, a następnie po chudej szyi pokrytej wysypką, aż do twarzy. Do znajomego, wymizerowanego oblicza: ostrego nosa, lśniących oczu, siwiejących wąsów, nawoskowanych i uformowanych w zawinięte szpice.

– O Boże – westchnął Temple.

– Blisko – odrzekł Nicomo Cosca, po czym posłał mu promienny uśmiech, do którego tylko on był zdolny, a z jego pomarszczonej twarzy były dobry nastrój i dobre zamiary. – Popatrzcie, kogo tu mamy, chłopcy!

Co najmniej dwa tuziny dobrze znanych i znienawidzonych postaci weszły do lokalu w ślad za Starym.

– Co za przypadek – odezwał się Brachio, pokazując żółte zęby. W jego bandolierze tkwiło o kilka noży mniej niż wtedy, gdy Temple opuszczał Kompanię, ale poza tym się nie zmienił.

– Radujcie się, nie tracący wiary – zagrzmiął Jubair, cytując pismo po kantyjsku – gdyż oto zagubiony powrócił.

– Byłeś na zwiadach? – zakpił Dimbik, przyglądając włosy polizanym palcem i poprawiając torbę, która zmieniła się w utłuszczone strzępy nieokreślonego koloru. – Szukałeś dla nas ścieżki do chwały?

– Ach, picie, picie, picie... – Cosca zamaszycie pociągnął z butelki Temple’a. – Czyż wam nie mówiłem? Wystarczy poczekać, a wszystko wróci na właściwe miejsce. Po utracie swojej Kompanii przez kilka lat byłem ubogim włóczęgą, miotanym przez wiatry przeznaczenia, brutalnie miotanym, Sworbreck, odnotuj to.

Pisarz, teraz wyraźnie bardziej potargany i obdarty, z zaróżowionymi krawędziami nozdrzy i drżącymi dłońmi, zaczął szukać ołówka.

– Ale oto jestem, ponownie na czele grupy szlachetnych wojowników! Trudno w to uwierzyć, ale sierżant Przyjazny kiedyś został zmuszony do zbratania się z przestępcami.

Pozbawiony szyi sierżant lekko uniósł brew.

– Jednak teraz wiernie stoi przy moim boku, jakby w tym celu się urodził. A ty, Temple? Jaka rola bardziej pasuje do twojego talentu oraz podłego charakteru niż stanowisko mojego doradcy prawnego?

Temple bezsilnie wzruszył ramionami.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Więc uczcijmy nasze nieuniknione spotkanie! Trochę dla mnie. – Stary pociągnął kolejny solidny łyk, po czym się wyszczerzył i wlał kilka kropel trunku do szklaneczki Temple’a. – I trochę dla ciebie. Myślałem, że rzuciłeś picie?

– Poczulem, że to idealna chwila, żeby znów zacząć – wychrypiał Temple. Spodziewał się, że Cosca każe go zabić, ale, co było niemal gorsze, wyglądało na to, że Kompania Łaskawej Dłoni po prostu przyjmie go z powrotem, jakby nic się nie stało. Jeśli istnieje Bóg, to w ciągu ostatnich kilku lat z pewnością znienawidził Temple’a. Jednakże trudno mieć do Niego pretensje. Temple zaczynał dzielić Jego zdanie.

– Panowie, witajcie w Fałdzie! – Burmistrz weszła do pomieszczenia. – Wybaczcie bałagan, ale mamy... – Zobaczyła Starego i pobladła. Po raz pierwszy Temple zobaczył na jej twarzy chociaż cień zaskoczenia. – Nicomo Cosca. – Westchnęła.

– Nikt inny. Zapewne pani Burmistrz? – Ukłonił się sztywno, po czym posłał jej chytre spojrzenie. – Przynajmniej dzisiaj. Najwyraźniej to poranek ponownych spotkań.

– Znacie się? – spytał Temple.

– No cóż – mruknęła Burmistrz. – Co za... oszałamiające szczęście.

– Powiadają, że szczęście jest kobietą. – Stary dźgnął szyjką butelki w żebra Temple'a, a ten stęknął. – Pociągają ją ci, którzy najmniej na nią zasługują!

Temple kątem oka zobaczył Płoszkę kuśtykającą w dół schodów ku Owcy, który wspólnie z Savianem obserwował nowo przybyłych. Tymczasem Cosca podszedł do okna, pobrzękując ostrogami. Wziął głęboki wdech, najwyraźniej napawając się smrodem spalonego drewna, po czym zaczął delikatnie kołysać głową w rytm skrzypienia szubienic.

– Podoba mi się, jak urządziłaś to miejsce! – zawołał do pani Burmistrz. – Jest bardzo... apokaliptyczne. Weszło ci w nawyk zmienianie miast, którymi władasz, w dymiące ruiny.

Zatem mają ze sobą coś wspólnego, pomyślał Temple. Zdał sobie sprawę, że skubie szwy przytrzymujące guziki na jego ubraniu, i zmusił się, żeby przestać.

– Czy ci panowie to twój cały oddział? – spytała Burmistrz, zerkając na brudnych, mrużących oczy, drapiących się i plujących najemników, którzy porozsiadali się w sali gier.

– Ależ nie! Co prawda, straciliśmy kilku ludzi podczas podróży przez Daleką Krainę przez nieuniknione dezercje, atak

gorączki i drobne kłopoty z Duchami, ale te zuchy to tylko reprezentacyjna próbka. Resztę zostawiłem poza granicami miasteczka, ponieważ gdybym sprowadził około trzystu...

– Dwustu sześćdziesięciu – wtrącił się Przyjazny.

Burmistrz jeszcze bardziej pobladła.

– Wliczając Inkwizytora Lorsena i jego Praktyków?

– Dwustu sześćdziesięciu ośmiu.

Na wzmiankę o Inkwizycji twarz pani Burmistrz zbieleła jak u trupa.

– Gdybym sprowadził dwustu sześćdziesięciu zmęczonych podróżą wojowników w takie miejsce, niewątpliwie doszłoby do rzezi.

– I to najgorszego rodzaju – dodał Brachio, ocierając załzawione oko.

– A jest jakiś dobry rodzaj? – mruknęła pani Burmistrz.

Cosca z namysłem podkręcił wąsa palcem wskazującym i kciukiem.

– Na pewno rzeź można... stopniować. A oto i on!

Jego czarny płaszcz był wyraźnie znoszony, a wychudzone policzki porastała nierówna żółto-siwa broda, jednakże spojrzenie Inkwizytora Lorsena było równie zdeterminowane jak wtedy, gdy Kompania opuściła Mulkovą. Może nawet bardziej.

– To Inkwizytor Lorsen. – Cosca podrapał z namysłem szyję pokrytą wysypką. – Mój aktualny pracodawca.

– Jestem zaszczycona. – Temple wyczuł lekką nerwowość w głosie pani Burmistrz. – Jeśli wolno mi spytać, co sprowadza Inkwizycję Jego Królewskiej Mości do Fałdy?

– Ścigamy zbiegłych buntowników! – zawołał Lorsen, tak że

usłyszała go cała sala. – Zdrajców Unii!

– Jesteśmy daleko od jej granic.

Wydawało się, że uśmiech Inkwizytora zmroził wszystkich w pomieszczeniu.

– Każdego roku wpływy Jego Eminencji sięgają dalej. Za schwytanie pewnych osób oferuje się wysokie nagrody. Wkrótce w miasteczku rozwiesimy listę, na której szczycie widnieje nazwisko zdrajcy, mordercy i głównego mąciciela, Conthusa!

Savian stłumił atak kaszlu, a Owca poklepał go po plecach, jednak Lorsen był zbyt zajęty surowym wpatrywaniem się w Temple'a, żeby to zauważyć.

– Widzę, że ponownie związałeś się z tym podstępnym kłamcą.

– Nie przesadzajmy. – Cosca po ojcowsku uściśnął ramię Temple'a. – Podstępność, a nawet lekka skłonność do kłamstwa to pożądane cechy u notariusza. Jednak pod tym wszystkim kryje się człowiek o szlachetnym sumieniu i moralnej odwadze. Powierzyłbym mu swoje życie. A przynajmniej swój kapelusz. – Po czym zdjął go z głowy i zawiesił na szklance Temple'a.

– Bylebyś nie powierzał mu żadnej z moich spraw. – Lorsen skinął ręką na swoich Praktyków. – Chodźcie, musimy zadać kilka pytań.

– Sprawia czarujące wrażenie – rzekła Burmistrz, patrząc, jak Inkwizytor wychodzi.

Cosca ponownie podrapał się po szyi, po czym uważnie obejrzał paznokcie.

– Inkwizycja zatrudnia wyłącznie najlepiej wychowanych fanatycznych oprawców.

– A także, jak widzę, najgorzej wychowanych starych najemników.

– Taka praca. Ale miałem także osobiste powody, żeby tutaj przybyć. Szukam człowieka zwanego Grega Cantliss.

Zapadła długa cisza, gdy wypowiedziane imię opadło na wnętrze sali jak warstwa zimnego śniegu.

– Kurwa – westchnęła Płoszka.

Cosca rozejrzał się z wyczekiwaniem.

– A więc to nazwisko coś tutaj znaczy?

– Cantliss czasami pojawiał się tutaj przejazdem. – Burmistrz bardzo ostrożnie dobierała słowa. – A co się stanie, jeśli go znajdziesz?

– Wtedy ja i mój notariusz – nie wspominając o moim pracodawcy, szlachetnym Inkwizytorze Lorsenie – z pewnością zejdziemy ci z drogi. Zdaję sobie sprawę, że najemnicy nie cieszą się dobrą reputacją, ale możesz mi wierzyć, że nie przyjechaliśmy tutaj, żeby szukać kłopotów. – Zamieszał resztkę trunku na dnie butelki. – Czyżbyś wiedziała coś o miejscu pobytu Cantlissa?

Zapadła pełna napięcia cisza, a ludzie wymieniali powłóczyste spojrzenia. W końcu Owca powoli uniósł podbródek, a twarz Płoszki stężała. Pani Burmistrz obdarzyła ich drobnym przeproszającym wzruszeniem ramion.

– Leży skuty w mojej piwnicy.

– Suka – syknęła Płoszka.

– Cantliss jest nasz. – Owca stanął przed kontuarem, prostując się na całą wysokość, swobodnie opierając zabandażowaną lewą dłoń na rękojeści miecza.

Kilku z najemników nastroszyło się, każdy na swój sposób, i przyjęło wyzywające pozy, jak kocury szykujące się do potyczki w uliczce oświetlonej blaskiem księżyca. Przyjazny tylko patrzył pustymi oczami, lekko obracając w dłoni postukujące kości.

– Wasz? – spytał Cosca.

– Spalił nasze gospodarstwo, porwał moje dzieci, po czym sprzedał ich jakimś dzikusom. Podążaliśmy jego śladem aż z Bliskiej Krainy. Zaprowadzi nas w góry i pokaże, gdzie mieszka Smoczy Lud.

Ciało Starego zeszywniało przez lata, ale jego brwi wciąż należały do najbardziej zwinnych na świecie, a teraz wzniosły się na nowe wyżyny.

– Smoczy Lud, powiadasz? Może będziemy w stanie wzajemnie sobie pomóc?

Owca powiódł wzrokiem po brudnych, naznaczonych bliznami brodatych obliczach.

– Sojuszników nigdy dosyć.

– Otóż to! Człowiek zagubiony na pustyni musi przyjąć taką wodę, jaką go poczęstują, prawda, Temple?

– Chyba wolałabym cierpieć pragnienie – mruknęła Płoszka.

– Jestem Owca. A to jest Płoszka. – Północny uniósł szklanę, a kikut jego środkowego palca był wyraźnie widoczny pomimo bandaży.

– Dziewięciopalcy Północny – zdziwił się generał. – Tak się składa, że niejaki Dreszcz szukał cię w Bliskiej Krainie.

– Nie spotkałem go.

– Aha. – Cosca wskazał butelką obrażenia Owcy. – Myślałem, że może to jego dzieło.

– Nie.

– Wygląda na to, że masz wielu wrogów, paniczu Owco.

– Czasami mam wrażenie, że nie mogę się wysrać, żeby nie pojawili się nowi.

– To chyba zależy od tego, na kogo się sra. Ten Caul Dreszcz

to groźny jegomość, a upływ lat raczej nie złagodził jego obyczajów. Poznaliśmy się w Styrii. Czasami mam wrażenie, że spotkałem już wszystkich ludzi na świecie, a w każdym miejscu spotykam znajome twarze. – Jego zamysłone spojrzenie spoczęło na Savianie. – Chociaż tego pana nie poznaję.

– Mam na imię Savian. – Zakaszłał w zaciśniętą dłoń.

– A co cię sprowadza do Dalekiej Krainy? Zdrowie?

Savian znieruchomiał z lekko uchylonymi ustami. Niezręczna cisza się przedłużała, a kilku najemników wciąż trzymało ręce blisko broni.

– Cantliss porwał także jedno z jego dzieci – odezwała się Płoszka. – Tropił go razem z nami. Chłopak ma na imię Collem.

Jeszcze przez chwilę milczeli, po czym Savian odezwał się niemal z niechęcią.

– Mój chłopak, Collem. – Ponownie zakaszłał i chrapliwie odchrząknął. – Miałem nadzieję, że Cantliss nas do niego doprowadzi.

Prawie poczuli ulgę, patrząc, jak dwóch ludzi pani Burmistrz wlecze bandytę przez salę gier. Miał nadgarstki skute kajdanami, jego niegdyś elegancki strój zmienił się w poplamione łachmany, twarz była równie posiniaczona jak u Owcy, jedna ręka zwisała bezwładnie, a jedna noga wlekła się po podłodze.

– Nieuchwytny Grega Cantliss! – wykrzyknął Cosca, gdy ludzie pani Burmistrz rzucili skulonego mężczyznę na ziemię. – Nie lękaj się. Jestem Nicomo Cosca, niesławny najemnik i tak dalej, i tak dalej. Mam do ciebie kilka pytań. Radzę, żebyś dobrze się zastanowił nad odpowiedziami, bo od nich może zależeć twoje życie.

Cantliss zauważył Płoszkę, Saviana, Owcę oraz co najmniej

dwudziestu najemników i wiedziony instynktem tchórze, który Temple od razu rozpoznał, zrozumiał, że układ sił uległ zmianie. Szybko pokiwał głową.

– Kilka miesięcy temu kupiłeś konie w miasteczku Greyer. Zapłaciłeś takimi monetami. – Cosca ruchem iluzjonisty wyciągnął malutką złotą monetę. – Tak się składa, że to dawne imperialne pieniądze.

Cantliss zerknął na twarz Coski, jakby próbował odczytać pismo.

– Zgadza się, tak zrobiłem.

– Kupiłeś te konie od buntowników, którzy walczyli o wyzwolenie Stariklandu spod władzy Unii.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– A więc tak!

Cosca się nachylił.

– Skąd pochodziły te monety?

– Smoczy Lud mi nimi zapłacił – odrzekł Cantliss. – To dzicy mieszkający w górach za Sygnałem.

– Za co ci zapłacili?

Cantliss oblizał usta pokryte strupami.

– Za dzieci.

– Brudny interes – mruknął Sworbreck.

– Większość interesów jest brudna – odparł Cosca, jeszcze bardziej się nachylając. – Mają więcej takich monet?

– Powiedział, że tyle, ile tylko zapragnę.

– Kto tak powiedział?

– Waerdinur. To ich przywódca.

– Ile tylko zapragnę. – Oczy Coski zaśniły jasno jak jego

wymarzone złoto. – Zatem twierdzisz, że Smoki są w zмовie z buntownikami?

– Co?

– Że ci dzicy pomagają finansowo, a może także dają schronienie przywódcy buntowników, samemu Conthusowi?

Zapadła cisza, w której Cantliss tylko mrugał.

– Eee... tak?

Cosca szeroko się uśmiechnął.

– Tak. A kiedy mój pracodawca Inkwizytor Lorsen zada ci to samo pytanie, jakiej udzielisz odpowiedzi?

Teraz Cantliss także się uśmiechnął, czując, że jego szanse być może znacznie wzrosły.

– Tak! Mają tam tego Conthusa, nie mam co do tego wątpliwości! Psiakrew, na pewno użyje ich pieniędzy, żeby rozpętać nową wojnę!

– Wiedziałem! – Cosca nalał porcję alkoholu do pustej szklanki Owcy. – Musimy towarzyszyć wam w wyprawie w góry i wyrwać korzeń buntu! Ten łotr zostanie naszym przewodnikiem i w ten sposób zasłuży na wolność.

– Tak jest! – zawołał Cantliss, szczerząc się do Płoszki, Owcy i Saviana. Wrzasnął, kiedy Brachio dźwignął go na nogi i brutalnie pociągnął w stronę drzwi, wlekąc po podłodze jego ranną nogę.

– Skurwiele – szepnęła Płoszka.

– Bądź realistką – syknął Owca, kładąc dłoń na jej łokciu.

– Cóż za szczęście dla nas wszystkich – wykrzyknął Cosca – że przybyłem akurat w chwili, gdy zbieracie się do odejścia!

– Zawsze mam takie szczęście – mruknął Temple.

– Podobnie jak ja – szepnęła Płoszka.

– Bądź realistką – syknął Owca.

– Łatwo pozbyć się czteroosobowej grupki – oznajmił Cosca. – Gorzej z trzystoma osobami!

– Dwustoma siedemdziesięcioma dwoma – rzekł Przyjazny.

– Czy mogę coś powiedzieć? – Dab Słodki podszedł do kontuaru. – Jeśli zamierzacie wyruszyć w góry, będziecie potrzebować lepszego zwiadowcy niż ten ledwie żywy zabójca. Jestem gotów zaproponować swoje usługi.

– To bardzo szlachetnie. A z kim mam przyjemność?

– Dab Słodki. – Słynny zwiadowca zdjął kapelusz, odsłaniając przerzedzające się włosy. Najwyraźniej zwietrzył bardziej zyskowne zlecenie niż odprowadzanie zdesperowanych poszukiwaczy do Stariklandu.

– Ten znamienity pionier? – spytał Sworbreck, unosząc wzrok znad papierów. – Myślałem, że jesteś młodszy.

Słodki westchnął.

– Kiedyś byłem.

– Znasz go? – spytał Cosca.

Biograf skierował nos ku sufitowi.

– Człowiek nazwiskiem Martin Glanhorm – w odniesieniu do niego wzdragam się przed użyciem określenia pisarz – napisał kilka żalonych i naciąganych dzieł opowiadających o jego rzekomych dokonaniach.

– Były nieautoryzowane – odrzekł Słodki. – Ale rzeczywiście, kilku rzeczy dokonałem. Wędrowałem po wszystkich zakątkach Dalekiej Krainy na tyle dużych, by dało się tam postawić but, wliczając góry. – Przywołał Coscę bliżej i odezwał się cichym głosem: – Dotarłem niemal do Ashranc, gdzie mieszka Smoczy Lud. To ich święta ziemia. Moja partnerka, Płacząca Skala, była jeszcze dalej... – Zamilkł dla lepszego efektu, jakby występował

na scenie. – Kiedyś była jedną z nich.

– Prawda – stęknęła Płacząca Skała, która wciąż siedziała przy stoliku, chociaż Corlin zniknęła, zostawiając po sobie tylko swoje karty.

– Wychowała się tam i mieszkała – dodał Słodki.

– Oraz przysłała tam na świat? – spytał Cosca.

Płacząca Skała uroczyście pokręciła głową.

– Nikt nie przychodzi na świat w Ashranc. – Wetknęła między zęby wygaszoną fajeczkę do czaggi, jakby nie miała zamiaru powiedzieć już ani słowa na ten temat.

– Zna tajemne drogi, bez których sobie nie poradzicie, ponieważ Smoki na pewno nie zgotują wam serdecznego powitania, kiedy pojawicie się na ich ziemi. To dziwne, siarkowe tereny, ale bronią ich jak wściekłe niedźwiedzie.

– Zatem wasza dwójka będzie stanowiła nieoceniony dodatek do naszej ekspedycji – orzekł Cosca. – Jakie macie wymagania?

– Wystarczy nam jedna dwudziesta wszelkich odnalezionych kosztowności.

– Naszym celem jest wykorzenie buntu, a nie zdobywanie łupów.

Słodki się uśmiechnął.

– Każde przedsięwzięcie jest narażone na porażkę.

– A więc witajcie na pokładzie! Mój notariusz przygotowuje kontrakt!

– Dwieście siedemdziesiąty cztery – rzekł Przyjazny, po czym przeniósł beznamiętne spojrzenie na Temple'a. – No i ty.

Cosca zaczął rozlewać trunki do szklaneczek.

– Jak to się dzieje, że wszyscy najciekawszy ludzie zawsze są wiekowi? – Trącił Temple'a w żebra. – Twoje pokolenie nie

wydaje z siebie nic wartościowego.

– Kulimy się w cieniu gigantów i boleśnie odczuwamy swoje braki.

– Och, brakowało nam ciebie, Temple! Jeśli te czterdzieści lat wojny czegoś mnie nauczyły, to na pewno tego, że warto podchodzić do życia z humorem. Ależ ten człowiek ma giętki język! Oczywiście w rozmowie, a nie w łóżku, za to drugie nie mogę ręczyć. Nie zapisuj tego, Sworbreck! – Biograf wykreślił coś z nadąsaną miną. – Wyruszmy, kiedy tylko ludzie wypoczną i zgromadzimy zapasy!

– Byłoby najlepiej przeczekać zimę – zauważył Słodki.

Cosca pochylił się.

– Masz chociaż cień pojęcia, co się stanie, jeśli pozwolę swojej Kompanii kwaterować tutaj przez cztery miesiące? Obecny stan miasteczka to tylko przedsmak tego, co się stanie.

– A ty masz chociaż cień pojęcia, co się stanie, jeśli trzystu ludzi utknie w burzy śnieżnej? – stęknął Słodki, przeczesując palcami brodę.

– Nie mam – odparł Cosca – ale chętnie się przekonam. Musimy korzystać z chwili! Tak zawsze brzmiało moje motto. Zapisz to, Sworbreck.

Słodki uniósł brwi.

– Już wkrótce twoje motto może brzmieć: „Kurwa, nie czuję stóp”.

Jednakże generał jak zwykle nie słuchał.

– Mam przecucie, że wszyscy znajdziemy w tych górach to, czego szukamy! – Jedną ręką objął Saviana, a drugą Owcę. – Lorsen buntowników, ja złoto, a ci szlachetni ludzie swoje zaginione dzieci. Wypijmy za nasz sojusz! – Uniósł wysoko niemal pustą butelkę Temple’a.

– Srać na to – rzuciła Płoszka przez zaciśnięte zęby.

Temple nie mógł się z nią nie zgodzić. Ale nic więcej nie miał w tej sprawie do powiedzenia.

Bez celu

Ro zdjęła łańcuszek ze smoczą łuską i ostrożnie ułożyła go na futrach. Płoszka kiedyś jej powiedziała, że można zmarnować życie, czekając na właściwy moment. Ta chwila była równie dobra jak każda.

Gdy w ciemności dotknęła policzka Pestki, ten drgnął, a na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Chłopiec był tutaj szczęśliwy. Może był na tyle mały, że mógł zapomnieć. Będzie bezpieczny, przynajmniej w stopniu, w jakim to możliwe. Na tym świecie nie ma niczego pewnego. Ro żałowała, że nie może się pożegnać, ale bała się, że się rozpłacze. Dlatego zabrała swój tobolek i wymknęła się pod osłoną ciemności.

Powietrze było mroźne, z nieba łagodnie padał śnieg, który roztapiał się od razu po zetknięciu z ziemią i już po chwili wysychał. Z niektórych domów światło wylewało się przez okna, które nie potrzebowały szyb ani okiennic, gdyż wycięto je w zboczu bądź w murach tak starych i zniszczonych, że Ro nie potrafiła ich odróżnić od górskiej ściany. Trzymając się w cieniu, bezszelestnie stawiając stopy owinięte szmatami na wiekowym bruku, minęła wielką czarną płytę do gotowania, której powierzchnię przez lata wypolerowano do połysku. Opadający na nią śnieg zmieniał się w szepczącą parę.

Drzwi Długiego Domu zaskrzypiały, kiedy go mijała, więc przywarła do podziurawionej ściany i czekała. Przez okno słyszała głosy starszyny rozmawiającej podczas Zgromadzenia. Spędziła tutaj zaledwie trzy miesiące, ale już znała ich język.

– Szankowie mnożą się w głębszych tunelach. – Głos Uto, która zawsze doradzała rozwagę.

– Więc musimy ich wykurzyć. – Akosh, która zawsze była odważna.

– Jeśli wyślemy odpowiednio duże siły, zbyt mało zostanie nas na miejscu. Pewnego dnia przybędą ludzie z zewnątrz.

– Zniechęciliśmy ich w miejscu, które zwą Sygnałem.

– Albo zachęciliśmy.

– Kiedy obudzimy Smoka, to nie będzie miało znaczenia.

– Dano mi przywilej dokonania wyboru. – Głęboki głos Waerdinura. – Stwórca nie pozostawił tutaj naszych przodków po to, by ich dzieła popadły w ruinę. Musimy być dzielni. Akosh, poprowadzisz trzystu ludzi na północ do głębokich korytarzy i wykurzysz Szanków, żeby wykopaliska mogły trwać w zimie. Wróćcie po odwilży.

– Niepokoję się – rzekła Uto. – Pojawiły się wizje.

– Ty zawsze się niepokoisz...

Ich słowa rozplynęły się w nocy, gdy Ro minęła dom, stąpając po olbrzymich płytach z matowego brązu, na których wyryto imiona złożone z malutkich znaków, ciągnące się całymi tysiącami i niknące w mgle wieków. Wiedziała, że tej nocy na straży stoi Icaray, i podejrzewała, że jak zwykle jest pijany. Siedział pod łukowatym przejściem z kiwającą się głową, włócznią opartą o ścianę i pustą butelką między stopami. Członkowie Smoczego Ludu byli tylko ludźmi i jak każdy mieli swoje słabości.

Ro się obejrzała i pomyślała, jak piękne miejsce opuszcza. Rozświetlone na żółto okna lśniące na czarnym urwisku, mroczne rzeźbienia na stromych dachach odznaczające się na tle rozgwieżdżonego nieba. Ale to nie był jej dom. Nie pozwoliła

na to. Szybko ominęła Icaraya i zeszła po schodach, przesuając dłońią po ciepłej skale po swojej prawej stronie, ponieważ wiedziała, że po lewej znajduje się przepaść o głębokości stu kroków.

Dotarła do iglicy i znalazła sekretne stopnie stromo schodzące w dół zbocza. Nie wyglądały na ukryte, ale Waerdinur powiedział jej, że są zaczarowane i nikt nie może ich znaleźć, dopóki mu się ich nie pokaże. Płoszka zawsze jej powtarzała, że magowie i demony istnieją tylko w opowieściach, ale w tym odległym, wysoko położonym zakątku świata wszystko przepełniała magia. Zaprzeczanie temu wydawało się równie niemądre jak zaprzeczanie istnieniu nieba.

Schodziła po krętych stopniach, zakręcając tam i z powrotem, oddalając się od Ashranc, a kamienie stawały się coraz zimniejsze pod jej stopami. Zanurzyła się w lesie, między potężnymi drzewami porastającymi gołe zbocza, a korzenie zaczepiały się o jej palce u nóg i oplątywały kostki. Pobieгла wzdłuż siarkowego strumienia bulgoczącego między skałami pokrytymi zaschniętą solą. Zatrzymała się, kiedy z jej ust zaczęła się wydobywać para, a lodowate powietrze zakłuło ją w płucach. Szczelniej owinęła stopy, okryła ramiona futrem, posiliła się i napiła, zawiązała tobolek i pośpiesznie ruszyła w dalszą drogę. Myślała o Owcy bez końca wędrującym za swoim pługiem i o Płoszce, która ze spoconym czołem wymachiwała kosą i powtarzała przez zaciśnięte zęby: „Nie zatrzymuj się. Nie myśl o tym, żeby przestać. Po prostu się nie zatrzymuj”, i parła naprzód.

Połacie śniegu powoli się topiły, woda kapiała z gałęzi, a Rożałowała, że nie ma solidnych butów. W oddali usłyszała smutne nawoływania wilków i przyśpieszyła. Z mokrymi stopami

i obolałymi nogami pędziła w dół zbocza, gramoląc się po poszarpanych skałach i ślizgając na piargach, sprawdzając swoje położenie według gwiazd, czego kiedyś nauczył ją Gully, gdy podczas którejś bezsennej nocy siedzieli przed stodołą.

Śnieg przestał padać, ale wciąż pokrywał ziemię grubą powłoką, która lśniła w blasku świtu po omacku wędrującym przez las i chrzęściła dziewczynce pod stopami. Mróz szczypał ją w twarz. Przed nią drzewa zaczynały się przeredzać i Ro przyśpieszyła, być może mając nadzieję, że za chwilę ujrzy pola, doliny pełne kwiatów albo radosne miasteczko usadowione pośród wzgórz.

Stała na krawędzi wysokiego urwiska i popatrzyła na jałową krainę, na czarny surowy las i czarne gołe skały poprzecinane i poprzebijane białym śniegiem, przechodzące w szare pustkowie pozbawione ludzi i koloru. Ani śladu świata, który znała, żadnej nadziei na ocalenie, żadnego ciepła spod ziemi, tylko ziąb wewnątrz i na zewnątrz. Pochuchała w drżące dłonie, zastanawiając się, czy znalazła się na końcu świata.

– Brawo, córko. – Waerdinur siedział za nią ze skrzyżowanymi nogami, oparty plecami o pień, trzymając swoją laskę albo włócznię – Ro nadal nie była pewna, czym ona jest – w zgięciu ręki. – Masz mięso w tobołku? Nie byłem gotowy do podróży, a wyprowadziłaś mnie bardzo daleko.

W milczeniu podała mu pasek mięsa i usiadła obok niego. Posilili się wspólnie, a Ro zrozumiała, że bardzo ją ucieszyło jego przybycie.

– Czasami nie jest łatwo zerwać z przeszłością, ale musisz zrozumieć, że ona już minęła. – Wyjął smoczą łuskę, którą zostawiła, i założył jej łańcuszek na szyję, a Ro nie próbowała go powstrzymać.

– Płoszka po nas przyjedzie... – zaczęła, ale jej głos zabrzmiał cienko, osłabiony przez zimno, zduszony przez śnieg, zagubiony w olbrzymiej pustce.

– Możliwe. Czy wiesz, jak wiele dzieci przybyło tutaj za mojego życia?

Ro nie odpowiedziała.

– Setki. A czy wiesz, ile rodzin się po nie zgłosiło?

Ro przełknęła ślinę, wciąż się nie odzywając.

– Ani jedna. – Waerdinur objął ją potężnym ramieniem i ogrzał w mocnym uścisku. – Jesteś teraz jedną z nas. Czasami ludzie postanawiają nas opuścić. Czasami są do tego zmuszani. Tak jak moja siostra. Jeśli naprawdę chcesz odejść, nikt cię nie powstrzyma. Czeka cię długa i ciężka droga. A co jest na jej końcu? Świat to czerwona kraina, pozbawiona sprawiedliwości i znaczenia.

Ro pokiwała głową. Zdążyła się o tym przekonać.

– Tutaj życie ma sens. Tutaj jesteś nam potrzebna. – Wstał i wyciągnął rękę. – Mogę ci pokazać coś cudownego?

– Co?

– Powód, dla którego Stwórca nas tutaj pozostawił. Powód, dla którego tutaj trwamy.

Wzięła go za rękę, a on bez wysiłku posadził ją sobie na ramionach. Oparła dłoń na jego gładkiej czaszce pokrytej meshkiem.

– Mogę jutro ogolić głowę?

– Kiedy tylko będziesz gotowa. – Ruszył z powrotem w górę zbocza, idąc po jej śladach na śniegu.

IV

Smoki

*„Na świecie jest wiele zabawnych rzeczy,
a wśród nich przekonanie białego człowieka,
że jest mniej dziki od innych dzikusów”.*

Mark Twain

Trójkami

– Kurwa, ale zimno – szepnęła Płoszka.

Znaleźli skromne schronienie w zagłębieniu pomiędzy zmrożonymi korzeniami drzewa, ale każdy podmuch wiatru nadal był jak siarczysty policzek, a pomimo owinięcia głowy podwójną warstwą koca, tak że wyglądały spod niego tylko jej oczy, zaczerwieniona twarz Płoszki piekła, jakby rzeczywiście ktoś solidnie ją obił. Leżała na boku i chciało jej się sikać, ale obawiała się, że jeśli opuści spodnie, skończy z żółtym sopłem przyczepionym do tyłka, co dodatkowo zwiększy jej niewygodę. Szczelnie owinęła się płaszczem, a następnie oszronioną wilczą skórą, którą podarował jej Słodki, poruszyła odrętwiałymi palcami w lodowatych butach i przycisnęła nieczułe opuszki palców do ust, żeby jak najlepiej wykorzystała swój oddech, póki jeszcze go miała.

– Kurwa, ale zimno.

– To jeszcze nic – stęknął Słodki. – Kiedyś w górach niedaleko Wysokiej Wieży na dwa miesiące utknąłem w zaspach. Było tak zimno, że gorzałka zamarzała w butelkach. Musieliśmy rozbić butelkę i dzielić się kawałkami trunku.

– Ciii – syknęła Płacząca Skala, wydmuchując spomiędzy posiniałych ust drobny obłok pary.

Do tej chwili Płoszka zastanawiała się, czy kobieta nie zamarzyła na śmierć z fajką w zębach już kilka godzin wcześniej. Przez cały ranek nawet nie mrugnęła, wbijając wzrok w krzaki, które poprzedniego wieczoru ustawili, żeby zamaskować swoją

kryjówkę, i patrząc w dół w stronę Sygnału.

Niewiele widziała. Obozowisko wyglądało na opuszczone. Śnieg w jedynej uliczce piętrzył się pod drzwiami, grubą warstwą pokrywał dachy szczerzące się lśniącymi soplami, nienaruszony, poza tropami jednego ciekawskiego wilka. Żadnego dymu z kominów, żadnego światła zza zamrzniętych klap na wpół zasypanych namiotów. Stare taczki zmieniły się w białe kopczyki. Uszkodzoną wieżę, na której w zapomnianej przeszłości zapewne znajdowało się światło sygnalizacyjne, któremu osada zawdzięczała nazwę, teraz wypełniał tylko śnieg. Nie licząc wiatru smutno zawodzącego w koronach nędznych sosen i stukającego okiennicą, w Sygnale było cicho jak w grobie Juvensa.

Płoszka nigdy nie lubiła czekać, ale leżenie w tych zaroślach za bardzo przypominało jej czasy, gdy była wyjęta spod prawa. Kiedy leżała na brzuchu w piachu, Jeg żuł, spluwał i znów żuł jej nad uchem, a Neary pocił się niehumanitarną ilością słonej wody w oczekiwaniu na pechowych wędrowców podróżujących obserwowaną drogą. Udawała, że jest banitką zwaną Dymem, na wpół oszalałą z okrucieństwa, gdy tak naprawdę czuła się jak boleśnie doświadczona przez los mała dziewczynka, na wpół oszalała ze strachu. Bała się tych, którzy ją ścigali, swoich towarzyszy, a przede wszystkim samej siebie. Nie miała pojęcia, do czego jeszcze się posunie. Zupełnie jakby jakiś nienawistny szaleniec w każdej chwili mógł przejąć kontrolę nad jej rękami i ustami, żeby pokierować nią jak marionetką. Na samą myśl o tym miała ochotę zrzucić swoją obolałą skórę.

– Nie ruszaj się – wyszeptał Owca, sam nieruchomy jak powalone drzewo.

– Dlaczego? Nikogo tutaj nie ma, psiakrew, pusto jak w...

Płacząca Skała uniosła jeden pokrzywiony palec, zatrzymała go przed twarzą Płoszki, po czym wskazała linię drzew po drugiej stronie obozowiska.

– Widzisz tamte dwie duże sosny? – szepnął Słodki. – A także tamte trzy skały przypominające palce, które stoją pomiędzy drzewami? Tam jest kryjówka.

Płoszka patrzyła na pozbawioną kolorów płataninę kamieni, śniegu i drewna, aż rozbolały ją oczy. W końcu dostrzegła drobny ruch.

– To jeden z nich? – westchnęła.

Płacząca Skała uniosła dwa palce.

– Zawsze chodzą dwójkami – wyjaśnił Słodki.

– Dobra jest – wyszeptała Płoszka, czując się jak amatorka w tym towarzystwie.

– Najlepsza.

– Jak ich wykurzymy?

– Sami się wykurzą. Jeśli tylko ten zapijaczony szaleniec Cosca wykona swoją część planu.

– Tego nie możemy być pewni – mruknęła Płoszka.

Pomimo zapewnień Coski o pośpiechu, jego Kompania krążyła po Fałdzie jak muchy nad gównem przez całe dwa tygodnie, gromadząc zapasy, a jednocześnie wywołując nieopisany chaos i za sprawą dezercji stale uszczuplając swoje szeregi. Jeszcze dłużej pokonywali kilkadziesiąt mil równinnego terenu pomiędzy Fałdą a Sygnałem, przy coraz zimniejszej pogodzie, a tłum najbardziej ambitnych dziwek, hazardzistów i kupców z Fałdy wlekł się za Kompanią, mając nadzieję na wyciągnięcie od najemników resztek pieniędzy. Przez cały czas Stary z uśmiechem spoglądał na tę leniwą bandę, zupełnie jakby szczegółowo realizowała ustalony plan, jednocześnie snując

naciągane opowieści o swej chwalebnej przeszłości dla potrzeb swojego skretyniałego biografą.

– Mam wrażenie, że u tego drania słowa i czyny całkowicie się rozdzieliły...

– Ciii – syknął Owca.

Płoszka przywarła do ziemi, gdy pod nimi stado rozwścieczonych wron wzbiło się z trzepotem skrzydeł w zmrożone niebo. Wiatr przyniósł stłumione okrzyki i grzechotanie sprzętu, aż w końcu ich oczom ukazali się jeźdźcy. Było ich co najmniej dwudziestu; z olbrzymim wysiłkiem brnęli w górę zbocza doliny po nagromadzonym śniegu, zapadając się i kołysząc, klepiąc wierzchowce po parujących bokach, żeby zmusić je do marszu.

– Zapijaczony szaleniec dotrzymał słowa – mruknął Owca.

– Tym razem. – Płoszka miała wrażenie, że Cosca nie ma tego w zwyczaju.

Najemnicy zsiadli z koni i rozproszyli się po obozowisku, wyważając drzwi i okna, rozdierając namioty, które pod wpływem mrozu zeszywniały jak drewno, podnosząc krzyk i zgiełk, które w zimowej ciszy brzmiały donośnie jak odgłosy bitwy na końcu czasu. To, że takie szumowiny znalazły się po tej samej stronie co Płoszka, zmusiło ją do zastanowienia, czy wybrała właściwą drogę, ale było już za późno. Od zawsze specjalizowała się w jak najlepszym radzeniu sobie w głównianych sytuacjach.

Owca dotknął jej ramienia, a ona popatrzyła wzdłuż jego palca na kryjówkę i tuż za nią dostrzegła ciemny kształt, który przemknął między drzewami, trzymając się blisko ziemi, po czym zniknął pośród plątaniny gałęzi i cieni.

– Tam poszedł jeden – stęknął Słodki, już nie próbując mówić

cicho, skoro najemnicy podnosili taki harmider. – Przy odrobinie szczęścia pobiegnie do ich sekretnych kryjówek. Do Ashranc, żeby powiedzieć Smoczemu Ludowi, że w Sygnale pojawiło się dwudziestu jeźdźców.

– Silni wydają się słabi, a słabi wydają się silni – mruknął Owca.

– A co z drugim? – spytała Płoszka.

Płacząca Skała schowała fajkę i wyjęła ostro zakończoną pałkę, co stanowiło wystarczająco elokwentną odpowiedź, po czym prześlizgnęła się zwinnie jak wąż wokół drzewa, o które się opierała, i zniknęła.

– Do roboty – rzekł Słodki i poczołgał się w ślad za kobietą.

Płoszka nigdy nie widziała, by poruszał się tak szybko. Patrzyła, jak dwoje zwiadowców pełźnie pomiędzy czarnymi pniami, po śniegu i opadłych sosnowych igłach, kierując się w stronę kryjówki.

Płoszka została na zamarznętej ziemi obok Owcy, dygocząc i czekając na więcej.

Od opuszczenia Fałdy Owca regularnie golił głowę i wydawało się, że razem z włosami usuwał wszystkie sentymenty, odsłaniając zmarszczki, kości i przeszłość. Savian wyciągnął szwy nożem i ślady po walce z Głumą Złotym szybko znikały, by wkrótce zagubić się wśród pozostałych. Życie pełne przemocy było tak wyraźnie wypisane na tym obliczu poobijanym jak kowadło, że Płoszka nie wiedziała, jak mogła go wcześniej nie odczytać.

Trudno uwierzyć, jak łatwo było z nim kiedyś rozmawiać. A przynajmniej mówić do niego. Stary dobry tchórzliwy Owca, on cię nigdy nie zaskoczy. Rozmowa z nim jest bezpieczna i wygodna jak mówienie do siebie. Teraz każdego dnia dzieliła

ich coraz większa i groźniejsza przepaść. Tak wiele pytań krążyło w jej głowie, ale gdy w końcu otworzyła usta, wydobyło się z nich to, na które odpowiedź najmniej ją interesowała.

– Różnałeś się z panią Burmistrzem?

Owca długo nie odpowiadał i spodziewała się, że w ogóle tego nie zrobi.

– Na wszystkie możliwe sposoby i nie żałuję ani chwili.

– Myślę, że różnice może być wspaniałe także między ludźmi w podeszłym wieku.

– Niewątpliwie. Zwłaszcza jeśli wcześniej nie mieli zbyt wielu okazji.

– Ale to jej nie przeszkodziło wbić ci noża w plecy, gdy tylko było jej tak wygodnie.

– A Temple wiele ci obiecał, zanim wyskoczył przez okno?

Teraz to Płoszka musiała na chwilę umilknąć.

– Raczej nie.

– Ha. Czyli nawet jeśli z kimś się różniesz, on i tak może cię orznać.

Westchnęła przeciągle, wydmuchując obłok pary.

– W przypadku niektórych z nas ryzyko jest wtedy jeszcze większe...

Słodki wyłonił się spomiędzy sosen niedaleko kryjówki, niezgrabny w swoim pękatym futrzanym płaszczu, i pomachał do nich. Za nim pojawiła się Płacząca Skała, która pochyliła się i zaczęła wycierać pałkę o śnieg, pozostawiając delikatną różową smugę na nieskazitelnej bieli.

– Chyba już po wszystkim – rzekł Owca i skrzywił się, dźwigając się do kucek.

– Chyba tak. – Płoszka mocno objęła się rękami, zbyt

zmarznięta, by czuć cokolwiek poza zimnem. Odwróciła się i spojrzała na niego po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać. – Mogę ci zadać pytanie?

Owca napiął mięśnie zuchwy.

– Czasami ignorancja jest najśłodszy lekarstwem. – Skierował na nią dziwne, chore, zawstydzone spojrzenie, niczym człowiek, który dał się przyłapać na morderstwie i wie, że gra dobiegła końca. – Ale nie potrafię cię powstrzymać.

Płoszka poczuła przeszywający niepokój, który nie pozwalał jej się odezwać, jednak nie mogła też znieść milczenia.

– Kim jesteś? – wyszeptała. – To znaczy... kim byłeś? To znaczy... zaraza.

Zauważyła jakiś ruch – postać przemykającą między drzewami w stronę Słodkiego i Płaczącej Skały.

– Zaraza! – Puściła się biegiem. Potykając się i gubiąc krok, zaczepiła odrętwiałą stopą o krawędź zagłębienia i runęła w zarośla, po czym wstała i pomknęła po nagim zboczu. Zapadała się w dziewiczym śniegu, tak że miała wrażenie, że ciągnie za sobą dwa olbrzymie kamienne buty.

– Słodki! – wyrzęziła.

Postać wypadła z lasu i pobiegła po nienaruszonej bieli ku staremu zwiadowcy. Płoszka dostrzegła wściekle wykrzywioną twarz i błysk ostrza. Nie miała szansy zdążyć. Nie mogła nic poradzić.

– Słodki! – zajęczała ponownie.

Słodki podniósł wzrok, uśmiechnął się, po czym zerknął w bok i wytrzeszczył oczy, kuląc się, gdy mroczny kształt skoczył w jego stronę. Nagle napastnik skręcił się w powietrzu, upadł przed Słodkim i potoczył się po śniegu. Płacząca Skała podbiegła do niego i uderzyła go w głowę pałką. Płoszka usłyszała ostry

trzask.

Savian odepchnął z drogi kilka gałęzi i z trudem ruszył do nich poprzez śnieg, ze zmarszczonym czołem zerkając na drzewa i spokojnie naciągając kuszę.

– Ładny strzał! – zawołała Płacząca Skała, wsuwając pałkę za pas i wkładając fajkę między zęby.

Słodki zepchnął kapelusz z czoła.

– Ładny strzał, nie ma co! Prawie się zesrałem.

Płoszka stała z rękami na biodrach, usiłując złapać oddech, wydmuchując kłęby pary i czując w piersi lodowate pieczenie.

Owca podszedł do niej, chowając miecz.

– Wygląda na to, że czasem chodzą trójkami.

Wśród barbarzyńców

– Wcale nie przypominają demonów. – Cosca trącił stopą policzek kobiety-Smoka, patrząc, jak jej ogolona na łyso głowa bezwładnie się odwraca. – Nie ma łusek. Nie ma rozwidlonego języka. Nie ziejie ogniem. Czuję się trochę zawiedziony.

– Zwykli barbarzyńcy – stęknął Jubair.

– Jak tamci na równinach. – Brachio pociągnął łyk wina i uważnie przyjrzał się szklaneczce. – O jeden drobny szczebel wyżej od zwierząt.

Temple odchrząknął, odblokowując obolałe gardło.

– Nie wygląda mi to na barbarzyński miecz. – Przykucnął i obrócił ostrze w dłoniach. Było proste, idealnie wyważone i starannie naostrzone.

– To nie są zwykłe Duchy – rzekł Słodki. – Tak naprawdę wcale nie należą do tego ludu. Mają mordercze zamiary i potrafią zabijać. Niczego się nie boją i znają tutaj każdy kamień. Bez trudu rozprawili się ze wszystkimi górnikami w Sygnale.

– Ale, jak widać, krwawią. – Cosca wetknął palec w otwór po bełcie z kuszy Saviana, po czym wyciągnął go z rany i popatrzył na czerwono lśniąca opuszkę. – No i umierają.

Brachio wzruszył ramionami.

– Każdy krwawi. Każdy umiera.

– To jedyna pewna rzecz w życiu – zagrzmiał Jubair, wznosząc oczy ku niebu. A przynajmniej ku zapleśniałemu

sufitowi.

– Co to za metal? – Sworbreck zdjął amulet z kołnierza kobiety-Smoka, szary liść matowo lśniący w blasku lampy. – Jest bardzo cienki, ale... – Przez chwilę mocował się z nim, zaciskając zęby. – Nie mogę go zgiąć. Ani trochę. Niesamowite rzemiosło.

Cosca się odwrócił.

– Stal i złoto to jedyne metale, które mnie interesują. Pogrzebcie ciała z dala od obozowiska. Jeśli czterdzieści lat wojaczki czegoś mnie nauczyło, Sworbreck, to tego, że ciała należy zakopywać poza obozem. – Mocniej owinął się peleryną, chroniąc się przed lodowatym podmuchem, gdy otwarto drzwi. – Przeklęty ziąb. – Kuląc się przy ogniu, wyglądał jak stara wiedźma nad kotłem, z wiszącymi prostymi i rzadkimi włosami oraz dłońmi jak czarne pazury wyciągniętymi w stronę płomieni. – Przypomina mi Północ, a to nie może być nic dobrego, prawda, Temple?

– Nie, generale.

Dla Temple'a wspomnianie ostatnich dziesięciu lat nie było niczym dobrym, gdyż ten czas był pustynią przemocy, ruiny i wyrzutów sumienia. Może poza chwilami, gdy patrzył ze swojego siodła na dające wolność równiny. Albo zerkał w dół na Fałdę ze szkieletu sklepu Majuda. Albo kłócił się z Płoszką o ich dług. Tańczył, mocno do niej przywierając. Nachylał się, żeby ją pocałować, a ona odwzajemniała pocałunek... Otrząsnął się. Wszystko dokładnie i nieodwracalnie spieprzył. To prawda, że nigdy nie docenia się tego, co się ma, dopóki nie ucieknie się od tego przez okno.

– Psiakrew, co to był za odwrót. – Cosca był zajęty zmaganiem z własnymi porażkami. Było ich dostatecznie wiele. – Przeklęty śnieg. Zdradziecki drań Czarny Calder. Straciliśmy

tylu dobrych ludzi, prawda, Temple? Na przykład... no... zapomniałem ich imiona, ale to nie zmienia postaci rzeczy. – Odwrócił się i zawołał wściekle przez ramię: – Kiedy mówiliście o „forcie”, spodziewałem się czegoś bardziej... solidnego!

Główny budynek w Sygnale był dużą chatą z bali, wysoką na półtorej piętra, której wnętrza podzielono na osobne pomieszczenia za pomocą porozwieszanych zwierzęcych skór. Budynek miał masywne drzwi, wąskie okna, dostęp do zawalonej wieży wznoszącej się nad jednym z rogów i szalały w nim straszliwe przeciągi.

Słodki wzruszył ramionami.

– W Dalekiej Krainie obowiązują niskie standardy, generale. Tutaj nawet trzy złożone patyki uznaje się za fort.

– Powinniśmy się cieszyć, że mamy jakieś schronienie. Jeszcze jedna noc pod gołym niebem i musielibyśmy czekać na wiosnę, żeby odtajać. Jakże tęsknię za wieżami pięknego Visserine! Za łagodnymi letnimi nocami nad rzeką! Czy wiesz, Sworbreck, że to miasto kiedyś należało do mnie?

Pisarz się skrzywił.

– Chyba już pan o tym wspominał.

– Nicomo Cosca, Wielki Książę Visserine! – Stary przerwał, żeby po raz kolejny pociągnąć z butelki. – Kiedyś znów będzie moje. Moje wieże, mój pałac i mój szacunek. To prawda, że często spotykały mnie rozczarowania. Na moich plecach jest pełno metaforycznych blizn. Ale wciąż mam trochę czasu, prawda?

– Oczywiście – odrzekł Sworbreck z fałszywym chichotem. – Jestem pewien, że czeka pana wiele lat sukcesów!

– Jeszcze zdążę wszystko naprawić... – Cosca wpatrywał się w pomarszczony grzbiet swojej dłoni i krzywił się, poruszając

gruzłowatymi palcami. – Czy wiesz, Sworbreck, że kiedyś po mistrzowsku rzucałem nożem. Potrafiłem strącić muchę z dwudziestu kroków. A teraz? – Prychnął. – Ledwie widzę na dwadzieścia kroków, i to przy dobrej pogodzie. Oto najbardziej bolesna zdrada. Ta, którą funduje ci własne ciało. Gdy żyjesz dostatecznie długo, widzisz, jak wszystko obraca się w ruinę...

Kolejny podmuch wirującego powietrza zapowiedział pojawienie się sierżanta Przyjaznego, którego tępy nos i spłaszczone uszy były nieco zaróżowione, lecz wydawało się, że to jedyny skutek mrozu. Słońce, deszcz czy burza, dla Przyjaznego nie miało to większego znaczenia.

– Ostatni maruderzy dotarli do obozu razem z bagażami Kompanii – oznajmił.

Brachio nalał sobie kolejną szklaneczkę.

– Pieczeniarze pchają się do nas jak robaki do trupa.

– Nie wiem, czy podoba mi się porównanie naszego szlachetnego bractwa do ropiejących zwłok – odrzekł Cosca.

– Nawet jeśli jest trafne – mruknął Temple.

– Kto tutaj dotarł?

Przyjazny zaczął odliczać.

– Dziewiętnaście dziwek i czterech alfonsów...

– Będą mieli co robić – stwierdził Cosca.

– ...dwudziestu dwóch woźniców i tragarzy, wliczając tego kalekę Hedgesa, który domaga się rozmowy z generałem...

– Każdy chce kawałek mnie! Zupełnie jakbym był porzeczkowym ciastem!

– ...trzynastu kupców, handlarzy i majstrów, z których sześciu skarży się, że okradli ich członkowie Kompanii...

– Zadaję się z przestępcami! A kiedyś byłem Wielkim

Księciem. Tak wiele rozczarowań.

– ...dwaj kowale, handlarz końmi, sprzedawca futer, grabarz, golibroda, który twierdzi, że jest także chirurgiem, dwie praczki, winiarz pozbawiony swoich zapasów, a także siedemnaście osób o nieustalonej profesji.

– Włóczędzy i obiboki, którzy chcieliby się utuczyć na odpadkach z mojego stołu! Czy w ludziach nie pozostała już ani krztyna honoru, Temple?

– Bardzo mało – oparł Temple. Z pewnością jego zapasy zostały haniebnie uszczuplone.

– A czy... – Cosca nachylił się w stronę Przyjaznego, pociągnął kolejny łyk i wyraźnie wyszeptał: – Sekretny wóz Superiora Pike'a znajduje się w obozie?

– Owszem – odrzekł Przyjazny.

– Rozstaw wokół niego strażę.

– Co w nim jest? – spytał Brachio, usuwając paznokciem odrobinę wilgoci z załzawionego oka.

– Gdybym podzielił się tą wiedzą, sekretny wóz stałby się... zwykłym wozem. Chyba wszyscy zgodzimy się, że aura tajemniczości bardzo by na tym ucierpiała.

– Gdzie znajdzie schronienie ta cała czereda? – spytał Jubair.

– Ledwie wystarcza miejsca dla wojowników.

– A co z kurhanami? – spytał Stary.

– Puste – odrzekł Słodki. – Obrabowane wieki temu.

– Myślę, że tam się ogrzeją. Cóż za ironia, prawda, Temple? Wczorajsi bohaterowie wyrzuceni ze swoich mogił przez dzisiejsze dziwki!

– Rzeczywiście, to szokująco głębokie – mruknął Temple, drżąc na samą myśl o spędzeniu nocy w wiekowych

grobowcach, a co dopiero o pieprzeniu się w ich wilgotnych wnętrzach.

– Nie chciałbym pokrzyżować waszych przygotowań, generale – odezwał się Słodki – ale muszę już ruszać.

– Ależ oczywiście! Chwała jest jak chleb, z czasem czerstwieje! Kto to powiedział, Farans czy Stolicus? Jaki jest plan?

– Mam nadzieję, że tamten zwiadowca wróci prosto do siedziby Smoków i powie swoim przyjaciołom, że jest nas tutaj najwyżej dwadzieścioro.

– Najlepiej walczyć z zaskoczonym i przerażonym przeciwnikiem! To słowa Faransa? A może Bialovelda? – Cosca posłał pogardliwe spojrzenie Sworbreckowi, który uwijał się przy swoich notatnikach. – Każdy pisarz jest taki sam. Co dalej?

– Podejrzewam, że będą się zastanawiali, czy zostać w Ashranc i nas zignorować, czy zejść z gór i nas powybić.

– Czeka ich nie lada szok, jeśli tego spróbują – rzekł Brachio i zachichotał, aż zatrzęsł mu się podbródek.

– Właśnie na to liczymy – stwierdził Słodki. – Ale nie zejdą tutaj bez dobrego powodu. Drobne naruszenie ich granic powinno wystarczyć. Są piekielnie czuli na punkcie obrony swojego terytorium. Płacząca Skała nas poprowadzi. Zna tajemne wejścia do Ashranc, tyle że to piekielnie niebezpieczne. Dlatego po prostu się tam podkradniemy i zostawimy jakiś znak, którego nie będą mogli przegapić. Wypalone ognisko i trochę wyraźnych śladów na ich drodze...

– Gównno – rzekł Jubair, wymawiając to słowo uroczyście jak imię proroka.

Cosca uniósł butelkę.

– Cudownie! Zwabimy ich gównem! Jestem pewien, że nawet

Stolicus tego nie zalecał, prawda, Temple?

Brachio ścisnął z namysłem grubą górną wargę palcem wskazującym i kciukiem.

– Jesteście pewni, że wpadną w tę pułapkę?

– Od dawna są niepodzielnymi władcami na tych terenach – odparł Słodki. – Przywykli do zabijania Duchów i odstraszenia poszukiwaczy. Od ciągłych zwycięstw stali się arogancy. Przywiązali się do dawnych metod. Ale i tak pozostają niebezpieczni. Musicie być przygotowani. Nie ciągnijcie za linkę, dopóki nie połkną haczyka.

Cosca pokiwał głową.

– Zapewniam, że miałem okazję znaleźć się po obu stronach zasadzki, więc w pełni rozumiem te zasady. A co pan o tym sądzi, paniczu Cantliss?

Nędzny bandyta, ubrany w rozłazący się w szwach strój wypchany słomą dla ochrony przed zimnem, do tej pory siedział w kącie pomieszczenia, trzymając się za złamaną rękę i cicho pociągając nosem. Wyprostował się, słysząc swoje imię, i żywiłowo pokiwał głową, jakby jego wsparcie mogło komukolwiek pomóc.

– Brzmi dobrze. Rzeczywiście myślą, że te wzgórza należą do nich. A ten Waerdinur zabił mojego przyjaciela Czarnego Grota. Załatwił go bez chwili wahania. Czy mógłbym...? – Obliznął wyschnięte usta i wyciągnął rękę w stronę manierki Coski.

– Oczywiście. – Cosca dopił alkohol i odwrócił manierkę, by pokazać, że jest pusta, po czym wzruszył ramionami. – Kapitan Jubair wybrał swoich ośmiu najbardziej kompetentnych ludzi, którzy będą ci towarzyszyć.

Słodki zerknął bez przekonania na potężnego Kantyjczyka.

– Wolałbym pozostać przy ludziach, których znam i na

których mogę polegać.

– Jak my wszyscy, ale czy ktoś taki w ogóle istnieje. Jak myślisz, Temple?

– Jest ich bardzo niewiele. – Temple z pewnością nie zaliczał siebie do tego grona, podobnie jak pozostałych osób zgromadzonych w pomieszczeniu.

Mina Słodkiego zdradzała urażoną niewinność.

– Nie ufasz nam?

– Ludzka natura często bywała dla mnie powodem rozczarowań – odrzekł Cosca. – Odkąd Wielka Księżna Sefeline zwróciła się przeciwko mnie i otruła moją ulubioną kochankę, nigdy nie pozwalałam sobie na brzemień zaufania w kontaktach zawodowych.

Brachio przeciągle beknął.

– Lepiej uważnie patrzeć sobie na ręce, trzymać broń w pogotowiu i wzajemnie się podejrzewać, skupiając się przede wszystkim na własnych interesach.

– Szlachetnie powiedziane! – Cosca klepnął się w udo. – A potem, w wyjątkowych sytuacjach, możemy uczynić zaufanie naszą tajną bronią, jak nóż schowany w skarpecie.

– Próbowałem nosić nóż w skarpecie – mruknął Brachio, głaszcząc kilka ostrzy tkwiących w jego bandolierze. – Strasznie obciera skórę.

– Ruszamy? – zagrzemiał Jubair. – Marnujemy czas, a czeka nas Boża praca do wykonania.

– Owszem, czeka nas praca – odrzekł Słodki, stawiając kołnierz potężnego futrzanego płaszcza, sięgający mu aż do uszu, po czym zniknął w ciemności.

Cosca przechylił manierkę, przypomniał sobie, że jest pusta, po czym uniósł ją nad głowę, prosząc o dolewkę.

– Przynieście mi więcej gorzały! Chodź, Temple, porozmawiamy jak za dawnych czasów! Pociesz mnie, Temple, posłuż mi radą.

Temple wziął głęboki wdech.

– Nie jestem pewien, jaką radą mogę służyć. Jesteśmy daleko poza zasięgiem prawa.

– Nie chodzi mi o prawo, człowieku, ale o właściwą ścieżkę! Dziękuję. – Sierżant Przyjazny zaczął z mistrzowską precyzją przelewać zawartość świeżo otwartej butelki do chwiejącej się manierki Coski. – Czuję, że dryfuję po nieznanym morzu, a mój moralny kompas odmówił posłuszeństwa! Znajdź mi etyczną gwiazdę, którą mógłbym się kierować, Temple! Co z Bogiem, człowieku, co z Bogiem?

– Obawiam się, że jesteśmy daleko poza Jego zasięgiem – mruknął Temple, kierując się w stronę drzwi.

Gdy je otworzył, do środka wszedł, kuśtykając, Hedges. Ścisnął kurczowo swój zniszczony kapelusz. Wyglądał na bardziej chorego niż kiedykolwiek, jeśli to możliwe.

– A to kto znowu? – spytał ostro Cosca, wbijając wzrok w cienie.

– Nazywam się Hedges, panie generale, jestem jednym z poganiaczy bydła z Fałdy. Zostałem ranny w Osrungu, gdzie dowodziłem szarżą.

– Właśnie dlatego najlepiej pozostawić prowadzenie szarż w rękach innych ludzi.

Hedges wślizgnął się do pomieszczenia, nerwowo się rozglądając.

– Trudno się z tym nie zgodzić, panie generale. Czy mógłbym zająć panu chwilę?

Wdzięczny za to odwrócenie uwagi, Temple wymknął się

w lodowatą ciemność.

Na jedynej ulicy przecinającej obozowisko nikt nie przejmował się dyskrecją. Ludzie włączyli się ubrani w płaszcze i futra, owinięci podartymi kocami, w niedopasowanych elementach zbroi, klnąc, zmieniając śnieg w czarną maź, wysoko trzymając strzelające pochodnie, ciągnąc za sobą niechętnie konie, rozładowując skrzynie i beczki z przechylających się wozów, wydmuchując obłoki oddechów spod szmat, którymi owijali twarze.

– Mogę do ciebie dołączyć? – spytał Sworbreck, idąc za Temple'em przez chaotyczny tłum.

– Jeśli nie boisz się, że cię zarazę pechem.

– Nie może być gorszy niż mój – odrzekł płacząco biograf.

Minęli grupkę ludzi, którzy grali w kości na pieniądze, skuleni w chatce pozbawionej jednej ściany, mężczyznę hałaśliwie ostrzającego broń na osełce, posyłającego w noc snopy iskier, a także trzy kobiety kłócące się o to, jak najlepiej rozpalic ognisko, żeby coś ugotować. Żadna nie знаła odpowiedzi.

– Czy kiedykolwiek masz wrażenie... – zaczął Sworbreck, chroniąc twarz przed zimnem w obdartym kołnierzu płaszcza – ...że wplątałeś się w sytuację, w jakiej nigdy nie chciałeś się znaleźć, ale już nie widzisz prostego wyjścia?

Temple zerknął na pisarza.

– Ostatnio w każdej chwili każdego dnia.

– Zupełnie jakby ktoś cię karał, ale nie wiesz za co.

– Ja wiem – mruknął Temple.

– Nie pasuję tutaj – rzekł Sworbreck.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo, ale obawiam się, że bym skłamał.

Z jednego z kurhanów odgarnięto śnieg i zatknięto migoczące pochodnie obok omszałego łuku nad wejściem. W drzwiach drugiego jeden z alfonsów wieszał wytartą skórę, a na zewnątrz już ustawiała się chaotyczna kolejka. Pomimo ciemności jakiś drżący kupiec rozstawił się ze swoim straganem pomiędzy oboma kurhanami, oferując paski i pastę do butów. Handel nigdy nie śpi.

Temple usłyszał chrapliwy głos Inkwizytora Lorsena dobiegający zza uchylonych drzwi chaty:

– Naprawdę wierzysz, że w tych górach są buntownicy, Dimbik?

– Wiara to luksus, na który od dawna nie mogę sobie pozwolić, Inkwizytorze. Po prostu robię to, co mi każą.

– Pytanie brzmi: „Kto to robi?”, kapitanie. Ja sam mogę liczyć na wysłuchanie przez Superiora Pike’a, a on przez samego Arcylektora, którego rekomendacja... – Jego intrygi utonęły w bełkocie.

W ciemności na skraju obozu dawni kompani Temple’a dosiadali wierzchowców. Znow zaczął padać śnieg i białe płatki delikatnie osiadały na grzywach koni, na siwych włosach Płaczącej Skały i starej fladze, którą je związywała, na ramionach Płoszki, zgarbionych, gdyż uparcie nie chciała spojrzeć w jego stronę, oraz na paczkach, które Owca umieszczał na grzbiecie swojego konia.

– Jedziesz z nami? – spytał Savian, patrząc na zbliżającego się Temple’a.

– Moje serce bardzo by chciało, ale reszta jest na tyle rozsądna, by grzecznie odmówić.

– Płacząca Skała! – Sworbreck zamasyżył wyjął notatnik. – Cóż za intrygujące imię!

Zmierzyła go wzrokiem.

– Tak.

– Podejrzewam, że kryje się za nim równie intrygująca opowieść.

– Tak.

– Czy zechciałaby się pani nią podzielić?

Płacząca Skala powoli odjechała w gęstniejącą ciemność.

– To chyba znaczyło, że nie – odezwała się Płoszka.

Sworbreck westchnął.

– Pisarz musi się nauczyć karmić pogardą. Żaden tekst, zdanie ani nawet słowo nie spodobają się wszystkim czytelnikom. Panie Owco, czy kiedykolwiek jakiś pisarz przeprowadził z panem wywiad?

– Spotkaliśmy już na swojej drodze każdy rodzaj kłamcy – rzekła Płoszka.

Biograf się nie zniechęcał.

– Słyszałem, że ma pan więcej doświadczenia w walce jeden na jednego niż jakikolwiek żyjący człowiek.

Owca mocno zaciągnął ostatni pasek.

– Wierzysz we wszystko, co słyszysz?

– Zatem pan zaprzecza?

Owca nie odpowiedział.

– Czy miałyby pan jakieś rady dla moich czytelników dotyczące tego śmiercionośnego zajęcia?

– Nie róbcie tego.

Sworbreck podszedł bliżej.

– Ale czy to prawda, co mówi generał Cosca?

– Z tego, co widziałem, nie sprawia on wrażenia wzoru szczerości.

– Powiedział mi, że kiedyś był pan królem.

Temple uniósł brew. Słodki odchrząknął. Płoszka parsknęła, ale kiedy popatrzyła na Owcę, śmiech uwiązał jej w gardle.

– Powiedział mi, że był pan czempionem Króla Północnych – ciągnął Sworbreck – i że w jego imieniu wygrał pan dziesięć pojedynków w Kręgu. Potem został przez niego zdradzony, ale zdołał przeżyć, by w końcu go zabić i zająć jego miejsce.

Owca powoli wsiadł na konia i ze zmarszczonym czołem popatrzył w ciemność.

– Ludzie na jakiś czas zawiesili mi na szyi złoty łańcuch i klękali, ponieważ tak było im wygodnie. W brutalnych czasach lubimy klękać przed brutalnymi władcami. W czasach pokoju przypominamy sobie, że wolimy stać.

– Czy można kogoś za to winić?

– Już dawno nikogo nie obwiniam. Ludzie po prostu tacy są. – Owca popatrzył na Temple'a. – Myślisz, że możemy polegać na tym twoim Cosce?

– Zdecydowanie nie – odparł Temple.

– Podejrzywałem, że tak odpowiesz. – Owca popędził wierzchowca i ruszył w górę zbocza, znikając w ciemności.

– A mówią, że to o mnie opowiada się niestworzone historie – mruknął Słodki, podążając w ślad za Północnym.

Sworbreck przez chwilę patrzył za nimi, po czym wyjął ołówek i zaczął coś gorączkowo zapisywać.

Temple skrzyżował spojrzenia z Płoszką, gdy ta zawracała wierzchowca.

– Mam nadzieję, że je znajdziecie! – zawołał. – Mam na myśli dzieci.

– Znajdziemy. Mam nadzieję, że ty też znajdziesz... to, czego

szukasz.

– Chyba już znalazłem – odrzekł cicho. – A potem to straciłem.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, jakby się zastanawiała, co powiedzieć, po czym cmoknęła, a jej koń ruszył z miejsca.

– Powodzenia! – zawołał w ślad za nią Temple. – Uważaj na siebie wśród barbarzyńców!

Obejrzała się w stronę fortu, z którego dobiegały pierwsze fałszywe śpiewy, i uniosła brew.

– Ty także.

Przynęta

Pierwszego dnia jechali przez najwyższy las, jaki Płoszka kiedykolwiek widziała. Kolejne warstwy gałęzi zasłaniały słońce, więc mieli wrażenie, że skradają się przez kryptę jakiegoś olbrzyma, ponurą i świętą. Śnieg i tak znajdował drogę przez korony drzew i pokrywał warstwą grubą na jeden krok ziemię pomiędzy oszronionymi pniami. Miał postać lśniącego pyłu, który ranił koniom nogi, tak że musieli się zmieniać przy wytyczaniu szlaku. W niektórych miejscach gromadziła się zamarzająca mgła, wijąc się wokół ludzi i wierzchowców, jak duchy zazdrosne o ich ciepło, którego i tak nie mieli w nadmiarze. Płacząca Skała syczała ostrzegawczo za każdym razem, gdy ktoś zaczynał rozmawiać, więc tylko kiwali głowami w niemym cierpieniu, przy wtórze chrzęstu śniegu, zmęczonych oddechów trudzących się koni, kaszlu Saviana oraz cichego mamrotania Jubaira, który, jak podejrzewała Płoszka, zapewne się modlił. Musiała przyznać, że z tego wielkiego Kantyjczyka był prawdziwie bogobojny drań, ale szczerze wątpiła, żeby ta pobożność czyniła go godnym zaufania. Znani jej ludzie, którzy przywiązywali dużą wagę do religii, zazwyczaj używali jej jako wymówki dla czynienia zła niż powodu, by się od niego powstrzymać.

Dopiero gdy zapadł lśniący półmrok, Słodki wprowadził ich do płytkiej jaskini pod skalnym nawisem i pozwolił im się zatrzymać. Wtedy ich wierzchowce oraz zapasowe konie już drżały z wyczerpania, a Płoszka była w niewiele lepszym stanie.

Jej całe ciało stanowiło zeszywniałą, obolałą, odrętwiałą, kłującą i poobcieraną listę dolegliwości.

Nie zezwolono im rozpalic ognia, więc jedli zimne mięso i twarde suchary, przekazując sobie butelkę. Savian udawał, że nie przejmuje się swoim kaszlem, podobnie jak czynił ze wszystkim, ale Płoszka widziała, że jest zaniepokojony, a po każdym kolejnym ataku, który zginał go wpół, szczelniej zaciskał płaszcz wokół szyi bladymi dłońmi.

Jeden z najemników, Styryjczyk z wystającą szczęką zwany Sacri, który sprawiał wrażenie człowieka radującego się wyłącznie niepowodzeniami innych, wyszczerzył się i rzekł:

– Kaszlesz, staruszk. Chcesz wrócić?

– Zamknij się – rzuciła Płoszka, wkładając w te słowa tyle ognia, ile zdołała z siebie wykrzesać, czyli niewiele.

– A co mi zrobisz? – zakpił. – Uderzysz mnie?

To jeszcze bardziej rozpaliło jej gniew.

– Zgadza się. Pieprzonym toporem. A teraz się zamknij.

Tym razem rzeczywiście zamilkł, ale w blasku księżycy było widać, że rozmyśla, jak wyrównać rachunki, więc Płoszka postanowiła, że od tej pory musi jeszcze bardziej mieć się na baczności.

Stali na straży dwójkami, zawsze najemnik razem z członkiem Drużyny, i pilnowali siebie nawzajem z taką samą czujnością, z jaką wyglądali Smoków. Płoszka odmierzała czas chrapaniem Słodkiego, a kiedy nadeszła właściwa chwila, potrząsnęła Owcą i szepnęła mu do ucha:

– Obudź się, Wasza Królewska Mość.

Westchnął boleśnie.

– Zastanawiałem się, ile czasu upłynie, zanim ten temat powróci.

– Wybacz głupotę prostej chłopce. Po prostu onieśmiela mnie myśl o tym, że Król Północnych chrapie pod moim kocem.

– Dziesięć razy dłużej żyłem jako nędzarz pozbawiony przyjaciół. Dlaczego o tym nikt nie chce porozmawiać?

– W moim wypadku dlatego, że doskonale wiem, jak takie życie wygląda. Natomiast niezbyt często miałam okazję nosić koronę.

– Ja również – odparł, sztywno wygrzebując się z posłania. – Nosilem łańcuch.

– Złoty?

– Z takim brylantem. – Złożył kciuk i palec wskazujący w okrąg o średnicy kurzego jaja, po czym przez niego popatrzył.

Płoszka nadal nie była pewna, czy to nie żart.

– Ty.

– Ja.

– Ten sam człowiek, który przez całą zimę chodził w tych samych spodniach.

Wzruszył ramionami.

– Wtedy już straciłem łańcuch.

– Czy powinnam zachowywać się w jakiś szczególny sposób w obecności króla?

– Od czasu do czasu mogłabyś dygnąć.

Parsknęła.

– Pierdol się.

– Pierdol się, Wasza Królewska Mość.

– Król Owca – mruknęła, wczołgując się pod koc, żeby jak najwięcej skorzystać z ulatniającego się ciepła. – Król Owca.

– Nosilem wtedy inne imię.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Jakie?

Siedział w szerokim wejściu do jaskini, zgarbiona czarna sylwetka na tle rozgwieżdżonego nieba, a Płoszka mogła tylko zgadywać, co kryje jego oblicze.

– To bez znaczenia – odparł. – Nic dobrego nigdy z niego nie wynikło.

Następnego ranka śnieg wirował niesiony wiatrem wiejącym ze wszystkich stron równocześnie, przejmującym jak los bankruta. Dosiedli koni z radością ludzi jadących na własną egzekucję i ponownie ruszyli w górę zbocza. Las się przerzedził, drzewa stały się mniejsze, uschnięte i powykręcane jak cierpiący ludzie. Lawirowali między nagimi skałami, a szlak stawał się coraz bardziej kręty – być może wiódł dnem wyschniętego strumienia, chociaż czasami bardziej przypominał wykute przez człowieka schody, które wygładziły upływ czasu oraz pogoda. Jubair posłał z powrotem jednego ze swoich ludzi, każąc mu zabrać konie, a Płoszka niemal żałowała, że nie może mu towarzyszyć. Pozostali brnęli dalej pieszo.

– A tak w ogóle, to co, u diabła, robią tutaj te Smoki? – mruknęła do Słodkiego. Miała wrażenie, że nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby odwiedzić takiego miejsca, a co dopiero w nim żyć.

– Nie jestem pewien... dlaczego tutaj mieszkają. – Stary zwiadowca musiał mówić zrywami pomiędzy ciężkimi oddechami. – Ale są tutaj już od dawna.

– Nie powiedziała ci? – spytała Płoszka, wskazując głową Płaczącą Skałę, która jechała przed nimi.

– To pewnie dlatego... że niechętnie zadaję takie pytania... ona wytrzymała ze mną tyle lat.

– Na pewno nie ze względu na twoją urodę.

– W życiu liczy się coś więcej niż wygląd. – Zerknął na nią z ukosa. – Na szczęście dla nas obojga.

– Czego mogą chcieć od dzieci?

Słodki zatrzymał się, żeby łyknąć wody, po czym podał jej manierkę, podczas gdy obok nich przejechali najemnicy dźwigający brzemię swojej licznej broni.

– Z tego, co słyszałem, nie rodzą się tutaj żadne dzieci. To wpływ tej ziemi, ona czyni ludzi bezpłodnymi. Wszyscy członkowie Smoczego Ludu kiedyś zostali sprowadzeni z innych miejsc. Dawniej były wśród nich głównie Duchy, czasami ludzie z Imperium, rzadziej Północni, którzy zabłąkali się tutaj znad Morza Zębów. Ale wygląda na to, że odkąd poszukiwacze przepędzili Duchy, Smoki zaczęły zarzucać swoją sieć dalej. Kupują dzieci od takich ludzi jak Cantliss.

– Mniej gadać! – syknęła Płacząca Skała. – Więcej iść!

Śnieg padał obficie niż kiedykolwiek, ale już nie tworzył tak głębokich zasp, a gdy Płoszka odwinęła szmaty z twarzy, odkryła, że wiatr osłabł mniej więcej o połowę. Godzinę później śnieg zmienił się w śliską maź pokrywającą mokrą skałę, a kobieta zdjęła przemoczone rękawice i nadal miała czucie w opuszkach palców. Po kolejnej godzinie śnieg nadal padał, ale ziemia była goła, Płoszka zaś tak bardzo się pocila, że musiała zdjąć płaszcz i upchnąć go w swojej torbie. Pozostali robili to samo. Pochyliła się i przycisnęła dłoń do ziemi, a wtedy poczuła dziwne ciepło, jakby dotknęła ściany zakładu piekarza, za którą stoi piec.

– Pod spodem płonie ogień – wyjaśniła Płacząca Skała.

– Naprawdę? – Płoszka szybko cofnęła rękę, jakby spod ziemi w każdej chwili mogły wyskoczyć płomienie. – Nie powiem, żeby napawało mnie to optymizmem.

– Wolę to niż odmrozić sobie dupę – stwierdził Słodki, po czym zdjął koszulę, odsłaniając kolejny podkoszulek. Płoszka zastanawiała się, ile ich nosi. A może będzie je kolejno zdejmował, aż w końcu zniknie?

– Czy to dlatego Smoki tutaj mieszkają? – Savian również przycisnął dłonie do ciepłej ziemi. – Z powodu ognia?

– Albo ogień płonie dlatego, że tutaj mieszkają. – Płacząca Skała popatrzyła w górę zbocza, pokrytego nagimi skałami i gruzem, a gdzieniegdzie naznaczonego plamami żółtej siarki, nad którym wznosiła się potężna skalna ściana. – Ta droga może być obserwowana.

– Z pewnością – odrzekł Jubair. – Bóg widzi wszystko.

– To nie Bóg wpakuje ci strzałę w tyłek, jeśli będziemy się trzymać tego szlaku – odparł Słodki.

Jubair wzruszył ramionami.

– Bóg umieszcza wszystko na właściwym miejscu.

– I co teraz? – spytał Savian.

Płacząca Skała zaczęła rozwijać linę, którą wyjęła ze swojego bagażu.

– Teraz będziemy się wspinać.

Płoszka pomasowała skronie.

– Bałam się, że ona to powie.

Wspinaczka okazała się trudniejsza i znacznie straszniejsza niż marsz. Płacząca Skała popędziła w górę zwinnie jak pająk, a Owca był od niej niewiele wolniejszy; wyraźnie czuł się w górach jak w domu. Ta dwójka przygotowała liny dla pozostałych. Płoszka i Savian wspinali się jako ostatni. Kobieta klęła i ślizgała się na skale, czując ból w zmęczonych rękach i pieczenie dłoni podrażnionych przez konopny sznur.

– Nie miałam okazji ci podziękować – powiedziała, gdy pojawił się za nią na krawędzi urwiska.

Savian nic nie odpowiedział, a wciągana lina zasyczała mu w pokrzywionych dłoniach.

– Za to, co zrobiłeś w Fałdzie.

Cisza.

– Nieczęsto ktoś ratuje mi życie, więc nie zapomniałam.

Cisza.

– A ty pamiętasz?

Wydawało się jej, że lekko wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że unikasz tego tematu.

Cisza. Unikał każdego tematu, gdy tylko było to możliwe.

– Pewnie nie lubisz przyjmować wyrazów wdzięczności.

Znów cisza.

– Natomiast ja pewnie niezbyt dobrze sobie radzę z ich przekazywaniem.

– Niewątpliwie się nie śpieszysz.

– A więc dziękuję. Gdyby nie ty, byłabym martwa.

Savian jeszcze mocniej zacisnął wąskie usta i chrapliwie stęknął.

– Ty lub twój ojciec zrobilibyście to samo dla mnie.

– On nie jest moim ojcem.

– To sprawa między wami. Ale moim zdaniem mogłabyś gorzej trafić.

Płoszka parsknęła.

– Kiedyś też tak sądziłam.

– Wiesz, że on tego nie chciał. A przynajmniej nie chciał, żeby to tak wyglądało.

– Tak też sądziłam. Ale już nie jestem pewna. Rodzina, co?

– Rodzina.

– Gdzie się podziewa Corlin?

– Potrafi o siebie zadbać.

– Och, nie wątpię. – Płoszka ściszyła głos. – Posłuchaj, Savian, wiem, kim jesteś.

Podniósł na nią surowe spojrzenie.

– Czyżby?

– Wiem, co tam masz. – Wskazała wzrokiem jego przedramiona, które pod płaszczem były niebieskie od tatuaży.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparł, ale lekko opuścił jeden z rękawów.

Nachyliła się.

– Więc udawaj, że rozumiesz – wyszeptała. – Kiedy Cosca zaczął mówić o buntownikach, cóż, jak zwykle rozpuściłam swój pieprzony niewyparzony jęzor. Jak zwykle miałam dobre zamiary i chciałam pomóc... ale nie pomogłam, prawda?

– Niezbyt.

– To moja wina, że się w to wpakowałeś. Jeśli ten drań Lorscheidzie się, co tutaj masz... moim zdaniem powinieneś odejść. To nie jest twoja walka. Nikt cię nie powstrzyma, jeśli zechcesz się oddalić, a na pewno nie zabraknie miejsc, w których mógłbyś zniknąć.

– A ty co byś wtedy powiedziała? Że zapomniałem o swoim zaginionym chłopcu? To by tylko wzbudziło ich podejrzenia. Narobiłabyś sobie kłopotów. A ostatecznie także mnie. Zrobię lepiej, jeśli będę się trzymał ciebie, nie podnosząc za wysoko głowy i nie podwijając rękawów. Wszyscy na tym zyskamy.

– Kurwa, wszystko przez moją niewyparzoną gębę – syknęła.

Savian się wyszczerzył. Chyba pierwszy raz zobaczyła jego

uśmiech, który był jak nagle odkryta latarenka zmieniająca położenie zmarszczek na jego zniszczonej twarzy i rozświetlająca oczy.

– Wiesz co? Nie każdy lubi twoją niewyparzoną gębę, ale ja mam do niej słabość. – Uścisnął jej ramię. – Ale lepiej uważaj na tego dupka Sacriego. On chyba ma na ten temat inne zdanie.

Musiała się z nim zgodzić. Wkrótce potem z góry spadł stukoczący kamień i minął jej głowę o włos. Zobaczyła nad sobą uśmiechniętą twarz Sacriego i była pewna, że to on go rozmyślnie strącił. Powiedziała mu to przy pierwszej okazji oraz poinformowała, gdzie wsadzi swój nóż, jeśli pojawi się kolejny kamień. Jej język rozbawił pozostałych najemników.

– Powiniennem nauczyć cię manier, dziewczyno – odburknął Sacri, jeszcze bardziej wysuwając do przodu wystającą żuchwę, starając się chociaż trochę uratować twarz.

– Musiałbyś najpierw, kurwa, coś o nich wiedzieć.

Oparł dłoń na rękojeści miecza, bardziej dla efektu niż z chęci jego użycia, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, między nimi stanął Jubair.

– Dobędziecie broni, Sacri – rzekł – ale dopiero wtedy, kiedy wam powiem, i przeciwko temu, kogo wam wskażę. To nasi sojusznicy. Potrzebujemy ich, żeby wskazali nam drogę. Zostaw tę kobietę w spokoju, albo będziesz miał ze mną do czynienia, a konflikt ze mną to ciężkie brzemię do udźwignięcia.

– Przepraszam, kapitanie – odrzekł Sacri i się skrzywił.

Jubair wskazał mu drogę otwartą dłonią.

– Żal jest bramą do zbawienia.

Owca nawet nie patrzył w ich stronę, gdy się kłócili, a kiedy skończyli, odszedł, jakby go to w ogóle nie dotyczyło.

– Dziękuję za pomoc – burknęła, kiedy się z nim zrównała.

- Otrzymałabyś ją, gdybyś jej potrzebowała, przecież wiesz.
- Kilka słów wsparcia by nie zaszkodziło.

Pochylił się.

– Moim zdaniem mamy dwa wyjścia. Spróbować wykorzystać tych drani albo ich pozabijać. Ostre słowa nie wygrywają bitew, ale kilka już przegrały. Jeśli chcesz kogoś zabić, mówienie mu o tym nic ci nie da.

Owca powędrował dalej, pozwalając jej się nad tym zastanowić.

Rozbili obóz nad parującym strumieniem, z którego Słodki zabronił im pić. Nie mieli takiego zamiaru, gdyż woda cuchnęła jak pierdnięcia podczas uczyty. Przez całą noc strumień szumiał w uszach Płoszki, a ona śniła o spadaniu. Obudziła się spocona, z gardłem bolącym od ciepłego smrodu i zobaczyła Sacriego, który stał na warcie i ją obserwował, a coś lśniło mu w dłoni. Od tamtej pory już nie spała, trzymając w zaciśniętej pięści nóż. Tak samo jak w czasach, gdy uciekała przed prawem. Miała nadzieję, że to się już nie powtórzy. Żałowała, że nie ma przy niej Temple'a. Z pewnością nie był bohaterem, ale z jakiegoś powodu czuła się przy nim odważniejsza.

Rankiem wznosiły się nad nimi szare cienie grani, które za ruchomym całunem śniegu wyglądały jak ruiny murów, wież i fortec. W skale ziały otwory, zbyt kanciaste na dzieło natury, a obok nich piętrzyły się sterty urobku.

– Poszukiwacze docierają tak daleko? – zdziwił się jeden z najemników.

Słodki pokręcił głową.

- W żadnym wypadku. To starsze wykopaliska.
- O ile starsze?
- Znacznie starsze – odparła Płacząca Skała.

– Wygląda na to, że im bliżej jesteśmy celu, tym bardziej się martwię – szepnęła Płoszka do Owcy, gdy ruszyli w dalszą drogę, pochyleni i obolali.

Pokiwał głową.

– Zaczynasz myśleć o tysiącu rzeczy, które mogą się nie udać.

– Boję się, że ich nie znajdziemy.

– Albo że nam się to uda.

– Albo po prostu się boję – wyszeptała.

– Strach jest dobry – odparł Owca. – Tylko zmarli niczego się nie lękają, a ja nie chcę, żeby któreś z nas do nich dołączyło.

Zatrzymali się nad głębokim wąwozem, na którego dnie płynęła woda. Wokół unosiła się para i wszystko cuchnęło siarką. Nad kanionem rozciągał się czarny łuk z mokrej skały obwieszanej ociekającymi wapiennymi soplami. Z jego środka zwisał potężny łańcuch z ogniwami o średnicy jednego kroku. Przeżarty rdzą metal cicho skrzypiał, kołysany wiatrem. Savian usiadł z głową odchyloną do tyłu, ciężko dysząc. Najemnicy przysiedli w pobliżu i zaczęli sobie przekazywać manierkę.

– A oto i ona! – Sacri zachichotał. – Łowczyni dzieci!

Płoszka popatrzyła na niego, a potem na przepaść i pomyślała, jak bardzo chciałaby ich sobie przedstawić.

– Jakim trzeba być głupcem, żeby liczyć na odnalezienie żywych dzieci w takim miejscu?

– Dlaczego długi jęzor tak często idzie w parze z krótkim umysłem? – mruknęła, ale przypomniała sobie słowa Owcy i zrozumiała, że to pytanie równie dobrze można odnieść do niej, więc od razu się pohamowała.

– Nie masz nic do powiedzenia? – Sacri wyszczerzył się, pociągając z manierki. – Przynajmniej nauczyłaś się nieco...

Jubair wyciągnął potężną rękę i zepchnął Sacriego z urwiska. Styryjczyk wydał z siebie zduszony wrzask, wypuścił manierkę z ręki i zniknął. Rozległ się głuchy łoskot, któremu towarzyszył stukot kamieni, potem kolejny i jeszcze jeden, aż w końcu w wąwozie zapadła cisza.

Najemnicy zamarli, jeden z nich z kawałkiem suszonego mięsa w połowie drogi do ust. Płoszka czuła mrowienie na całym ciele, gdy patrzyła, jak Jubair podchodzi do krawędzi i spogląda w dół z zaciśniętymi ustami.

– Świat jest pełen niegodziwości i marnotrawstwa – stwierdził. – To wystarczy, żeby zachwiać wiarą człowieka.

– Zabiłeś go – odezwał się jeden z najemników, który najwyraźniej dysponował talentem do mówienia rzeczy oczywistych, jakim mogą się pochwalić niektórzy ludzie.

– Bóg go zabił. Ja byłem tylko Jego instrumentem.

– Drażliwy z Niego drań, prawda? – wychrypiął Savian.

Jubair pokiwał głową.

– Jest straszliwym i bezlitosnym Bogiem, a wszystko musi nagiąć się do Jego planu.

– Jego plan sprawił, że straciliśmy jednego człowieka – zauważył Słodki.

Jubair wzruszył ramionami.

– To lepsze od niezgody. Musimy się trzymać razem. Jeśli będziemy się kłócić, jak Bóg może wesprzeć nas wszystkich?

Przepuścił przodem Płaczącą Skałę, a po niej swoich pozostałych ludzi, wyraźnie zdenerwowanych. Jeden z nich przełknął ślinę, zerkając w głąb wąwozu.

Jubair podniósł manierkę Sacriego leżącą na krawędzi.

– W mieście Ul-Nahb w Gurkhulu, gdzie przyszedłem na

świat, dzięki Wszechmogącemu, śmierć jest czymś wspaniałym. Starannie oporządza się ciało, rodzina oplakuje zmarłego, a procesja żałobników podąża za szlakiem z kwiatów do miejsca pochówku. Tutaj śmierć niewiele znaczy. Każdy, kto oczekuje więcej niż jednej szansy, jest głupcem. – Zmarszczył czoło, patrząc na potężny łuk i zerwany łańcuch, po czym z namysłem pociągnął z manierki. – Im dalej zagłębiam się w niezbadane rejony tej krainy, tym bardziej się upewniam, że żyjemy w czasach ostatecznych.

Owca wyjął manierkę z dłoni Jubaira, opróżnił ją, a następnie cisnął w ślad za właścicielem.

– Każda chwila dla kogoś jest ostatecznym czasem.

Przysiedli pośród zrujnowanych murów, pomiędzy kamieniami pokrytymi smugami soli oraz kryształkami, i obserwowali dolinę. Wydawało im się, że robią to od wieków, wpatrując się w lepką mgłę, podczas gdy Płacząca Skala nakazywała im trzymać się nisko, nie wychylać się z ukrycia i zamknąć gęby. Płoszka miała już dosyć jej syczenia. Wszystkiego miała dosyć. Była zmęczona i obolała, a nerwy miała zszargane od strachu, zmartwień i nadziei. Nadzieja była najgorsza.

Od czasu do czasu Savian zaczynał kaszleć, a Płoszka nie mogła mieć mu tego za złe. Wydawało się, że cała dolina oddycha. Gryząca para wydobywała się z ukrytych pęknięć, zmieniając popękane głązy w upiory i zasnuwając zbiornik na dnie doliny mgłą, która na zmianę rozwiewała się i ponownie zbierała.

Jubair siedział ze skrzyżowanymi nogami, zamkniętymi

oczami i złożonymi rękami, potężny i cierpliwy, w milczeniu poruszając ustami, z czołem pokrytym warstwą potu. Wszyscy się pocili. Koszula Płoszki przywarła jej do pleców, a włosy oblepiły twarz. Z trudem mogła uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma dniami była bliska śmierci z zimna. Oddałaby swoje zęby za możliwość zanurkowania nago w zaspie śniegu. Podczołgała się do Płaczącej Skały, czując pod dłońmi mokre i lepkie kamienie.

– Są blisko?

Kobieta-Duch lekko poruszyła zmarszczonymi brwiami.

– Gdzie?

– Gdybym wiedziała, nie musiałabym obserwować.

– Niedługo zostawimy przynętę?

– Niedługo.

– Mam nadzieję, że tak naprawdę nie chodziło wam o gówno – mruknął Słodki, który z pewnością rozebrał się już do ostatniej koszuli. – Nie uśmiecha mi się ściąganie tutaj spodni.

– Zamknij się – syknęła Płacząca Skała, gwałtownie unosząc dłoń za plecami.

W mroku na zboczu doliny poruszył się jakiś cień, który przeskakiwał z głazu na głaz. Z powodu odległości oraz mgły trudno było to stwierdzić, ale wyglądał na człowieka, wysokiego i masywnie zbudowanego, o ciemnej skórze i łysej głowie, niosącego w jednym ręku laskę.

– Czy on pogwizduje? – szepnęła Płoszka.

– Ciii – syknęła Płacząca Skała.

Starzec zostawił laskę obok płaskiej skały nad krawędzią wody, zrzucił szatę, starannie ją złożył i umieścił na wierzchu, po czym zatańczył, wirując nago wśród strzaskanych kolumn stojących na brzegu.

– Nie wygląda zbyt groźnie – zauważyła Płoszka.

– Jest bardzo niebezpieczny – odparła Płacząca Skała. – To Waerdinur. Mój brat.

Płoszka popatrzyła na kobietę, bladą jak świeże mleko, po czym ponownie zwróciła wzrok na ciemnoskórego mężczyznę, który, pogwizdując, wszedł do stawu.

– Nie widzę podobieństwa.

– Pochodzimy z różnych łon.

– Dobrze wiedzieć.

– Dlaczego?

– Miałam wrażenie, że wyklułaś się z jaja, taka jesteś nieczuła.

– Ja również cierpię – odparła Płacząca Skała. – Ale ból musi mi służyć, a nie odwrotnie. – Włożyła do ust poplamiony cybuch fajki i mocno zacisnęła na nim zęby.

– Co robi Owca? – rozległ się głos Jubaira.

Płoszka się odwróciła. Owca zbiegał po gładkich w stronę wody, oddalwszy się od nich już na jakieś dwadzieścia kroków.

– Psiakrew – mruknął Słodki.

– Zaraza! – Płoszka zmusiła swoje sztywne kolana do działania i przeskoczyła sypiący się mur.

Słodki próbował ją chwycić, ale odtrąciła jego dłoń i popędziła w ślad za Owcą, jednym okiem zerkając na staruszkę, który wciąż wesoło pluskał się na dole. Jego pogwizdywanie niosło się poprzez mgłę. Kobieta krzywiła się, tracąc równowagę na śliskich kamieniach, poruszając się niemal na czworakach, z obolałymi kostkami, gdyż jej stopy skręcały się we wszystkie strony. Chciała zawołać Owcę, ale wiedziała, że nie może nawet pisnąć.

Był za daleko, by mogła go dogonić, już prawie dotarł do krawędzi wody. Mogła tylko patrzeć, jak przysiadł na płaskiej skale, używając złożonej szaty jako poduszki, ułożył sobie obnażony miecz na kolanach, po czym wyjął osełkę i ją polizał. Płoszka wzdrygnęła się, gdy z chrzęstem przesunął kamieniem po ostrzu.

Zauważyła, że ramiona zaskoczonego Waerdinura napięły się, ale mężczyzna nie od razu się poruszył. Odwrócił się powoli, dopiero gdy ciszę przeciął drugi chrzęst osełki. Miał miłą twarz, ale Płoszka już widziała, jak sympatycznie wyglądający ludzie dopuszczają się najgorszych podłości.

– A to niespodzianka. – Staruszek sprawiał wrażenie raczej zdziwionego niż zaszokowanego, gdy przeniósł wzrok z Owcy na Płoszkę i z powrotem. – Skąd wy dwoje się wzięliście?

– Aż z Bliskiej Krainy – odparł Owca.

– Ta nazwa nic mi nie mówi. – Waerdinur posługiwał się wspólną mową niemal bez akcentu. Zapewne znał ją lepiej niż Płoszka. – Istnieją tylko tutaj i nie tutaj. Jak się tutaj dostaliście?

– Trochę jechaliśmy konno, potem szliśmy – mruknął Owca. – A może chodzi ci o to, jak się tutaj dostaliśmy bez twojej wiedzy? – Ponownie przeciągnął osełką po ostrzu miecza. – Może po prostu nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje.

Waerdinur wzruszył szerokimi ramionami.

– Tylko głupiec uważa, że wie wszystko.

Owca podniósł miecz i obejrzał go z obu stron, błyskając ostrzem.

– W Sygnale czekają moi przyjaciele.

– Słyszałem.

– To zabójcy i złodzieje pozbawieni charakteru. Przyszli po wasze złoto.

– Kto powiedział, że je mamy?

– Niejaki Cantliss.

– Aha. – Waerdinur ochlapał sobie wodą ręce, kontynuując mycie. – To nieważny człowiek. Wystarczyłyby bile podmuch, żeby go usunąć. Ale podejrzewam, że ty jesteś inny. – Przeniósł spojrzenie na Płoszkę, mierząc ją wzrokiem bez cienia strachu. – Oboje jesteście inni. Raczej nie przybyłście w poszukiwaniu złota.

– Przyjechaliśmy po moje rodzeństwo – wychrypiała Płoszka głosem przypominającym odgłos oselki na ostrzu.

– Aha. – Uśmiech powoli zniknął z twarzy Waerdinura, gdy przyglądał się Płoszce, po czym zwiesił ogoloną głowę, po której spływała woda. – Pewnie jesteś Płoszka. Powiedziała, że po nią przyjdiesz, a ja jej nie wierzyłem.

– Ro tak powiedziała? – Jej krtań niemal zacisnęła się wokół tych słów. – Ona żyje?

– Jest cała i zdrowa, bezpieczna i zadbana. Tak samo jak jej brat.

Pod Płoszką ugięły się kolana i musiała oprzeć się o skałę obok Owcy.

– Odbyliście długą i trudną podróż – rzekł Waerdinur. – Gratuluję wam odwagi.

– Nie przyszliśmy, żeby wysłuchiwać twoich pierdolonych gratulacji! – rzuciła. – Przyszliśmy po dzieci.

– Wiem, ale z nami jest im lepiej.

– Gównu mnie to obchodzi. – Na twarzy Owcy pojawił się wściekły grymas, jak u starego walczącego psa, a Płoszce zrobiło się zimno, gdy go zobaczyła. – Nie chodzi o dzieci. Okradłeś mnie, skurwielu. Mnie! – Ślina pryskała z jego obnażonych zębów, gdy dźgał się palcem w pierś. – Odzyskam to, co do mnie

należy, albo poleje się krew.

Waerdinur zmrużył oczy.

– O tobie nie wspominała.

– Moja twarz łatwo wypada ludziom z głowy. Przyrowadź dzieci do Sygnału, a ty także będziesz mógł ją zapomnieć.

– Przykro mi, ale nie mogę. Teraz to moje dzieci. Należą do Smoczego Ludu, a ja obiecałem chronić tę świętą ziemię i zamieszkujących ją ludzi do ostatniego tchu i kropli krwi. Tylko śmierć może mnie powstrzymać.

– Mnie nie powstrzyma. – Owca ponownie z chrzęstem przesunął osełką po mieczu. – Miała tysiąc okazji, ale z żadnej nie skorzystała.

– Myślisz, że śmierć się ciebie obawia?

– Ona mnie kocha. – Owca się uśmiechnął, błyskając czarnymi, wilgotnymi oczami, a jego uśmiech był jeszcze gorszy od wcześniejszego grymasu. – Wykonałem dla niej tak wiele pracy. Posłałem ku niej całe tłumy. Dobrze wie, że nie znajdzie lepszego przyjaciela.

Przywódca Smoków posłał Owcy smutne spojrzenie.

– Byłoby szkoda... gdyby okazało się, że musimy walczyć.

– Tak jest z wieloma rzeczami – odparł Owca. – Już dawno przestałem się starać coś z tym zrobić. – Wstał i z szorstkim szeptem wsunął miecz do pochwy. – Masz trzy dni na przyrowadzenie dzieci do Sygnału. Potem wrócę na waszą świętą ziemię. – Zwinął język i splunął do wody. – I przyrowadzę ze sobą śmierć. – Zaczął się wspinać w stronę ruin na zboczu doliny.

Płoszka i Waerdinur jeszcze przez chwilę na siebie patrzyli.

– Przepraszam – powiedział staruszek. – Za to, co się stało, i za to, co musi się teraz wydarzyć.

Odwróciła się i dogoniła Owcę. Co innego mogła zrobić?

– Chyba nie mówiłeś poważnie? – syknęła do niego, ślizgając się na popękanych skałach. – Tego o dzieciach? Że to nie o nie chodzi? Że chodzi o krew? – Potknęła się i obtarła sobie piszczel, zaklęła i pokuśtykała dalej. – Powiedz mi, że nie mówiłeś poważnie!

– Zrozumiał, o co mi chodziło – odburknął Owca. – Zaufaj mi.

Niestety, każdego dnia Płoszce przychodziło to z coraz większym trudem.

– Czy nie mówiłeś mi niedawno, że jeśli zamierzasz kogoś zabić, nie ma sensu mu o tym mówić?

Owca wzruszył ramionami.

– Każdą zasadę czasem trzeba złamać.

– Coś ty zrobił, do diabła? – syknął Słodki, kiedy ponownie wgramolili się między ruiny. Drapał się po mokrych włosach, a pozostali również nie wydawali się zachwyceni ich nieplanowaną wyprawą.

– Podrzuciłem mu przynętę, na którą będzie musiał się złapać – odrzekł Owca.

Płoszka zerknęła na staw przez jedną ze szpar w skałach. Waerdinur dopiero teraz brodził w stronę brzegu, strząsając z siebie wodę, nieśpiesznie wkładając szatę. Podniósł swoją laskę, przez chwilę patrzył w stronę ruin, po czym odwrócił się i oddalił między skały.

– Skomplikowałeś sprawy. – Płacząca Skała już schowała fajkę i poprawiała paski przed powrotną podróżą. – Pojawią się, i to wkrótce. Musimy wracać do Sygnału.

– Ja nie wracam – odparł Owca.

– Co takiego? – spytała Płoszka.

– Taka była umowa – rzekł Jubair. – Mieliśmy ich wywabić.

– Wy ich wywabcie. Zwłoka rodzi katastrofę. Nie mam zamiaru czekać, aż Cosca wparuje tutaj pijany i sprowadzi śmierć na moje dzieci.

– Co się dzieje, do diabła? – Płoszka miała dosyć tego, że nie potrafi przewidzieć kolejnego kroku Owcy. – Jaki teraz mamy plan?

– Plany mają to do siebie, że się rozpadają, gdy zbyt na nich polegamy – rzekł Owca. – Będziemy musieli wymyślić kolejny.

Kantyczyk groźnie zmarszczył czoło.

– Nie lubię, kiedy ktoś nie dotrzymuje umowy.

– Więc spróbuj mnie zepchnąć z urwiska – odparł Owca, posyłając Jubairowi obojętne spojrzenie. – Przekonamy się, kogo woli Bóg.

Jubair przycisnął palec do ust i długo się nad tym zastanawiał w ciszy. W końcu wzruszył ramionami.

– Nie mam zwyczaju kłopotać Boga każdym drobiazgiem.

Dzicy

– Skończyłem włócznię! – zawołał Pestka, starając się wymówić nowe słowa tak, jak nauczyła go Ro, po czym pokazał ojcu swoje dzieło.

To była dobra włócznia. Shebat, który pomógł mu z wiązaniami, uznał ją za znakomitą, a każdy mógł potwierdzić, że o broni więcej od niego wiedział tylko sam Stwórca, który oczywiście wiedział więcej od każdego o wszystkim. W każdym razie Shebat znał się na rzeczy, a skoro stwierdził, że włócznia jest dobra, to taka była w istocie.

– Świetnie – rzekł ojciec Pestki, ale tak naprawdę wcale nie patrzył.

Szedł pośpiesznie z surowo zmarszczonym czołem, uderzając bosymi stopami o wiekowy brąz. Pestka nie był pewien, czy kiedykolwiek widział go tak poważnego. Zastanawiał się, czy w czymś zawinił. Może ojciec wyczuwał, że jego nowe imię wciąż brzmi obco w jego uszach. Czuł się niewdzięcznikiem i martwił, że niechcący zrobił coś bardzo złego.

– Co takiego zrobiłem? – spytał, z trudem nadążając za ojcem, po czym zdał sobie sprawę, że bezmyślnie odezwał się w swojej dawnej mowie.

Ojciec posłał mu groźne spojrzenie, ale wydawało się, że myślami jest bardzo daleko.

– Kim jest Owca?

Pestka zamrugał. Było to ostatnie pytanie, jakiego się

spodziewał ze strony ojca.

– Owca jest moim ojcem – odpowiedział bez namysłu, po czym się poprawił: – Był moim ojcem, być może... chociaż Płoszka zawsze powtarzała, że nim nie jest. – Może żaden z nich nie jest jego ojcem, a może obaj nim są. Kiedy pomyślał o Płoszce, przypomniał sobie gospodarstwo i wszystkie straszne rzeczy, wołanie Gully’ego, żeby uciekali, a potem podróż przez równiny do gór i śmiech Cantlissa. Nie wiedział, co złego zrobił, więc zaczął płakać, a wtedy się zawstydził i rozplakał jeszcze mocniej, aż w końcu poprosił: – Nie odsyłaj mnie.

– Nie! – odparł ojciec Pestki. – Nigdy! – Ponieważ to on był ojcem chłopca, można to było dostrzec w bólu wypisanym na jego twarzy. – Tylko śmierć może nas rozłączyć, rozumiesz?

Pestka nie rozumiał, ale i tak pokiwał głową, a gorzkie łzy zmieniły się w łzy ulgi, gdyż poczuł, że wszystko będzie dobrze. Ojciec uśmiechnął się, uklęknął obok malca i położył dłoń na jego głowie.

– Przykro mi. – Waerdinurowi rzeczywiście było przykro. Odezwał się w mowie Obcych, ponieważ wiedział, że chłopiec lepiej ją rozumie. – To znakomita włócznia, a ty jesteś dobrym synem. – Poglaskał go po ogolonej głowie. – Wkrótce wybierzemy się na polowanie, ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę, ponieważ wszystkie Smoki są moją rodziną. Pobawisz się z siostrą, dopóki po ciebie nie poślę?

Chłopiec pokiwał głową, powstrzymując łzy. Łatwo było doprowadzić go do płaczu, co stanowiło zaletę, gdyż Stwórca nauczał, że bliskość z własnymi uczuciami oznacza bliskość z bóstwem.

– Dobrze. Ale... nie rozmawiaj z nią o tym.

Waerdinur powędrował do Długiego Domu, a jego oblicze

znów się zasępiło. Sześcioro członków Zgromadzenia siedziało nago w kłębach gorącej pary na wypolerowanych kamieniach wokół paleniska, słuchając, jak Uto wyśpiewuje lekcje, słowa ojca Stwórcy, wszechmocnego Euza, który rozdzielił światy i wypowiedział Pierwsze Prawo. Jej głos urwał się, gdy Waerdinur wszedł do pomieszczenia.

– Nad Stawem Poszukiwań pojawili się obcy – warknął, zrzucając szatę, świadomie ignorując przyjęty ceremoniał.

Pozostali popatrzyli na niego zaszokowani.

– Jesteś pewien? – Skrzekliwy głos Ulstala zabrzmiał jeszcze bardziej skrzekliwie pod wpływem wdychanej Pary Widzenia.

– Rozmawiałem z nimi! Scarlaerze?

Młody myśliwy wstał, wysoki i silny, z gorącym spojrzeniem zdradzającym chęć działania. Czasami przypominał Waerdinurowi jego samego w młodości, zupełnie jakby przywódca spoglądał w lustro Juvensa, w którym podobno można było ujrzeć własną przeszłość.

– Zabierz najlepszych tropicieli i pójdz ich śladem. Byli w ruinach po północnej stronie doliny.

– Wytropię ich – zapewnił Scarlaer.

– To byli starzec i młoda kobieta, ale możliwe, że nie są sami. Zabierzcie broń i bądźcie ostrożni. Ci ludzie są niebezpieczni. – Przypomniawsobie martwy uśmiech mężczyzny oraz jego czarne oczy, w które spoglądało się jak w wielką otchłań, i poważnie się zmartwił. – Bardzo niebezpieczni.

– Złapię ich – rzekł myśliwy. – Możesz na mnie polegać.

– Wiem. Ruszaj.

Opuścił salę, a Waerdinur zajął jego miejsce przy palenisku, którego żar niemal sprawiał mu ból. Siedział na zaokrąglonym kamieniu, na którym nie sposób było zająć wygodnej pozycji,

gdyż Stwórca rzekł, że ci, którzy rozważają istotne sprawy, nie mogą zaznać wygody. Wziął chochlę i wylał odrobinę wody na węgle, a w sali zrobiło się jeszcze bardziej gęsto od pary bogatej w aromaty mięty, sosny i błogosławionych ziół. Szybko spłynął potem i w ciszy poprosił Stwórcę, by ten pozwolił mu wypocić całe zło i dumę oraz dokonać czystych wyborów.

– Obcy przy Stawie Poszukiwań? – Na pomarszczonej twarzy Hirfac malowało się niedowierzanie. – Jak znaleźli się na świętej ziemi?

– Przybyli do kurhanów razem z dwudziestką towarzyszy – odparł Waerdinur. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób dotarli dalej.

– Bardziej pilną sprawą jest, co mamy zrobić z tą dwudziestką. – Akarin zmrużył niewidzące oczy.

Wszyscy wiedzieli, jakie działanie będzie zalecał. Akarin skłaniał się ku krwawym rozwiązaniom, coraz bardziej krwawym z każdą mijającą zimą. Wiek czasami umacnia cechy człowieka – czyni spokojnych spokojniejszymi, a brutalnych brutalniejszymi.

– Po co przybyli? – Uto pochyliła się w stronę światła, a cienie wypełniły zagłębienia w jej czaszce. – Czego chcą?

Waerdinur popatrzył na stare spocone oblicza i oblizał usta. Gdyby dowiedzieli się, że mężczyzna i kobieta przyszli po jego dzieci, mogliby zażądać, aby je wydał. To mało prawdopodobne, ale możliwe, a on nie zamierzał oddać ich nikomu poza samą śmiercią. Kłamstwo podczas Zgromadzeń było zabronione, ale Stwórca nie zakazał półprawd.

– Tego, czego chcą wszyscy Obcy – odparł Waerdinur. – Złota. Hirfac rozcapierzyła pokrzywione palce.

– Może powinniśmy im je dać. Mamy go dosyć.

– Wciąż pragnęliby więcej – odrzekł Shebat cichym, smutnym głosem. – Ich głodu nie da się zaspokoić.

Przez chwilę rozważali to w ciszy. Węgle w palenisku poruszały się i syczały, iskry wirowały i świeciły w mroku, a słodka woń Pary Widzenia obmywała zgromadzonych.

Kolorowe refleksy ognia zatańczyły na twarzy Akarina, gdy pokiwał głową.

– Musimy posłać wszystkich, którzy potrafią utrzymać ostrze. Osiemdziesięciu spośród nas nie wyruszyło na północ, by walczyć z Szankami.

– Mam w zbrojowni osiemdziesiąt mieczy. – Shebat pokręcił głową, jakby tego żałował.

– Nie podoba mi się pomysł pozostawienia Ashranc pod opieką starców i młodzików – odparła Hirfac. – Zostało nas tak niewiele...

– Wkrótce zbudzimy Smoka. – Ulstal uśmiechnął się, gdy o tym pomyślał.

– Wkrótce.

– Wkrótce.

– Następnego lata – rzekł Waerdinur – a może jeszcze kolejnego. Ale na razie sami musimy się bronić.

– Musimy ich przepędzić! – Akarin uderzył gruzłowatą pięścią w otwartą dłoń. – Musimy wyruszyć do kurhanów i przepędzić dzikich.

– Przepędzić? – parsknęła Uto. – Nazywaj rzeczy po imieniu, skoro to nie ty będziesz dzierzył ostrze.

– Swego czasu dzierżyłem je wystarczająco często. A więc musimy ich zabić, jeśli wolisz tak to nazywać. Pozabijając wszystkich.

– Już ich pozabijaliśmy, a oto przybyli kolejni.

– Więc co mamy zrobić? – spytał kpiąco. – Powitać ich z szeroko otwartymi ramionami w naszych świętych miejscach?

– Być może najwyższy czas się nad tym zastanowić.

Akarin parsknął z obrzydzeniem, Ulstal skrzywił się, jakby usłyszał bluźnierstwo, Hirfac pokręciła głową, ale Uto kontynuowała:

– Czyż nie wszyscy przyszlismy na świat jako ludzie dzicy? Czy to nie Stwórca nauczył nas pokoju?

– Tak zrobił – zgodził się Shebat.

– Nie będę tego słuchał! – Ulstal dźwignął się na nogi, rżąc z wysiłku.

– Będiesz. – Waerdinur nakazał mu gestem usiąść. – Będziesz tutaj siedział, pocił się i słuchał, tak jak wszyscy. Uto zasłużyła na prawo do mówienia. – Waerdinur popatrzył jej w oczy. – Ale się myli. Dzicy nad Stawem Poszukiwań? Buty Obcych deptające naszą świętą ziemię? Stąpające po kamieniach, na których stawał stopy sam Stwórca? – Pozostali jękiem witali kolejne oburzające wizje, a Waerdinur wiedział, że ich przekonał. – Co powinniśmy zrobić, Uto?

– Nie podoba mi się, że decyzję ma podjąć tylko sześcioro z nas...

– Sześcioro wystarczy – odrzekł Akarin.

Uto dostrzegła, że wszyscy są zdecydowani na wejście na drogę stali, i westchnęła, niechętnie kiwając głową.

– Zabijemy ich wszystkich.

– Zatem Zgromadzenie przemówiło. – Waerdinur wstał, podniósł błogosławioną sakiewkę z ołtarza, uklęknął i zebrał z ziemi garść piachu, świętego piachu z Ashranc, ciepłego i wilgotnego od kryjącego się w nim życia, po czym wsypał go do

sakiewki i podał Uto. – Byłaś przeciwna, zatem musisz dowodzić.

Wstała ze swojego kamienia i wzięła sakiewkę.

– Nie cieszy mnie to – powiedziała.

– Nie musimy się cieszyć. Ważne, żebyśmy to zrobili. Przygotujcie broń. – Waerdinur położył dłoń na ramieniu Shebata.

Shebat powoli pokiwał głową, powoli wstał i powoli włożył szatę. Nie był już młodzieńcem, więc zajęło mu to nieco czasu, zwłaszcza że ostatnio w jego sercu nie gościł entuzjazm, nawet gdy było to konieczne. Wiedział, że śmierć jest niedaleko, zbyt blisko, by cieszyło go sprowadzanie jej na innych.

Wyłonił się z obłoku pary i stanął w łukowato sklepionym wejściu w chwili, gdy rozległ się dźwięk rogu, przenikliwy i szorstki, wzywający do broni. Młodzi porzucali swoje zajęcia i wychodzili na wieczorne powietrze, przygotowując się do podróży, całując bliskich na pożegnanie. Na miejscu miało pozostać nie więcej niż sześćdziesiąt osób, samych dzieci i starców. Starych, bezużytecznych, siedzących blisko śmierci, tak jak on.

Minął Drzewa Serc i z uczuciem poklepał swoje. Wiedziony potrzebą, wyjął nóż i po chwili namysłu odciął drobną strużynę. To będzie dzisiejsza zmiana. Jutrzejszy dzień może przynieść kolejną. Zastanawiał się, ilu członków jego ludu pracowało nad Drzewem przed jego urodzeniem. Ilu będzie to robiło po jego śmierci.

Zanurzył się w kamiennej ciemności, czując nad sobą ciężar gór. Migoczące olejne lampy rzucały blask na wzory Stwórcy, sporządzone z trzykrotnie błogosławionego metalu

i wpuszczone w kamienną posadzkę. Kroki Shebata odbijały się echem w ciszy, gdy wędrował przez pierwszą salę do zbrojowni, wlekąc za sobą chorą nogę. Dawna rana, która nigdy się nie zagoiła. Chwała zwycięstwa trwa tylko chwilę, rany pozostają na zawsze. Chociaż kochał tę broń, gdyż Stwórca nauczył go miłości do metalu oraz sprawnego rzemiosła, zawsze rozdawał ją z żalem.

– Gdyż Stwórca nauczył mnie także, że każdy zadany cios jest porażką – zaśpiewał cicho, kolejno opróżniając stojaki z bronią, czując pod palcami drewno wypolerowane dotykiem swoich poprzedników. – Zwycięstwo kryje się tylko w uściśniętej dłoni, cicho wypowiedzianym słowie, ofiarowanym darze.

Patrzył na twarze młodzieńców, którzy z zapalem brali od niego narzędzia śmierci, i obawiał się, że chociaż słyszą jego słowa, pozwalają, by ich znaczenie się ulotniło. Ostatnio Zgromadzenie zbyt często przemawiało stają.

Uto przyszła na końcu, jak przystało na dowódcę. Shebat nadal uważał, że powinna zostać Prawą Ręką, ale w tych brutalnych czasach łagodne słowa rzadko spotykały się z zainteresowaniem. Shebat wręczył jej ostatnie ostrze.

– Zachowałem je dla ciebie. Wykułem je własnymi rękami, gdy byłem młody, silny i nie miałem wątpliwości. To moje najlepsze dzieło. Czasami metal... – potarł suchymi opuszkami palców o kciuk, szukając odpowiednich słów – ...po prostu się udaje.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, przyjmując miecz.

– Myślisz, że nam też się uda?

– Miejmy nadzieję.

– Obawiam się, że zgubiliśmy drogę. Dawniej byłem pewna swojej ścieżki, wystarczyło iść naprzód, by z niej nie zboczyć.

Teraz ogarniają mnie wątpliwości i nie wiem, w którą stronę powinnam się zwrócić.

– Waerdinur chce dla nas tego co najlepsze. – Mimo to, Shebat zastanawiał się, czy nie próbuje przekonać samego siebie.

– Jak my wszyscy. Ale mamy różne zdanie na temat tego, co jest najlepsze, i jak powinniśmy to osiągnąć. Waerdinur to dobry człowiek, silny i kochający, godny podziwu z wielu powodów.

– Mówisz tak, jakby to było coś złego.

– Przez to łatwiej mu przytakujemy, gdy powinniśmy się zastanowić. Ciche głosy gubią się w bełkocie. Ponieważ Waerdinur jest pełen ognia. Pragnie zbudzić Smoka. Uczynić świat takim, jakim był kiedyś.

– Czy to by było takie złe?

– Nie. Ale świata nie da się cofnąć. – Uniosła ostrze, które jej wręczył, i popatrzyła na nie, a migoczące refleksy światła zatańczyły na jej twarzy. – Boję się.

– Ty? Niemożliwe!

– Bezustannie. Nie naszych wrogów, ale nas samych.

– Stwórca nauczył nas, że nie liczy się strach, ale to, jak stawiamy mu czoło. Bądź zdrowa, moja przyjaciółko. – Objął Uto, marząc o tym, by znów stać się młodym.

Szybko i pewnie pomaszerowali przez Wysoką Bramę, gdyż kiedy Zgromadzenie już podejmie i oznajmi swoją decyzję, dalsza zwłoka nie ma sensu. Maszerowali z naostrzonymi mieczami i tarczami, które były stare już w czasach, gdy żył pradziadek pradiadka Uto. Maszerowali po wyrytych w brązie imionach swoich przodków, a Uto zadawała sobie pytanie, czy

Smoki z dawnych lat stanęłyby z nimi ramię w ramię i wsparły ich sprawę. Czy dawne Zgromadzenia wysłałyby ich z morderczą misją? Być może. Czasy nie zmieniają się aż tak, jak nam się wydaje.

Pozostawili za sobą Ashranc, ale nieśli go ze sobą, gdyż Uto trzymała w swojej sakiewce święty piasek zebrany w domu. Maszerowali szybko i pewnie, i wkrótce dotarli do doliny Stawu Poszukiwań, w którego lustrzanej powierzchni wciąż odbijał się kawałek nieba. Scarlaer czekał w ruinach.

– Złapałeś ich? – spytała Uto.

– Nie. – Młody myśliwy zmarszczył czoło, jakby uciezka Obcych była dla niego osobistą obrazą. Niektórzy mężczyźni, zwłaszcza młodzi, lubią się obrażać na wszystko, od deszczu po powalone drzewo. Ta obraza może się następnie dla nich stać usprawiedliwieniem dla najgorszego zła i przemocy. Trzeba będzie mieć na niego oko. – Ale znaleźliśmy ich ślady.

– Ilu ich jest?

Maslingal przykucnął, mocno zaciskając usta.

– Ślady są dziwne. Czasami ma się wrażenie, że dwie osoby starają się udawać tuzin, a czasami, że tuzin udaje dwoje. Czasami zdradzają nieostrożność, a za chwilę wskazują na to, że ktoś chce, by za nim podążać.

– Zatem ich życzenie się spełni, i to bardziej niż mogli sobie wymarzyć – warknął Scarlaer.

– Nie należy dawać wrogowi tego, czego najbardziej pragnie. – Jednakże Uto wiedziała, że nie ma wyboru. Zresztą, kto go tak naprawdę ma? – Ruszamy za nimi, ale miejmy się na baczności.

Dopiero kiedy rozpadał się śnieg i przesłonił księżyc, Uto dała sygnał do postoju. Leżała rozbudzona pod brzemieniem dowództwa, pozwalając, by czas przemijał, czując ciepło ziemi

i bojąc się tego, co ich czeka.

Rano poczuli pierwszy chłód i Uto nakazała wojownikom narzucić futra. Opuścili świętą ziemię i wkroczyli do lasu, biegnąc tłumnie przy wtórze głośnego szelestu. Scarlaer prowadził ich szybko i bezlitośnie po znalezionych śladach, cały czas trzymając się na czele i poganiając grupę, a Uto walczyła z bólem, drżała i ciężko dyszała, zastanawiając się, ile jeszcze lat zdoła tak biegać.

Zatrzymali się na posiłek niedaleko miejsca, w którym nie było drzew, tylko nienaruszony śnieg, pole białej niewinności, Uto jednak wiedziała, co się kryje pod spodem. Powłoka zamrożonego piachu, a niżej ciała. Gnijące szczątki Obcych, którzy przybyli, żeby kłuć ziemię, grzebać w strumieniach, ścinać drzewa i stawiać swoje przegniłe chatki pośród kurhanów, w których spoczywali szlachetni zmarli, zużywając świat i siebie nawzajem, roznosząc zarazę chciwości po świętych miejscach.

Uto przykucnęła i popatrzyła na nieskazitelną biel. Kiedy Zgromadzenie już rozpatrzy wszystkie argumenty i wyda osąd, nie ma miejsca na żal, a jednak ona nie mogła się pozbyć wyrzutów sumienia, bez końca roztrząsanych i wygładzanych, strzeżonych zazdrośnie jak skarb skąpca. Może była to jedyna rzecz należąca tylko do niej.

Smoczy Lud zawsze walczył. Zawsze zwyciężał. Walczyli w obronie świętej ziemi. W obronie miejsc, z których wydobywali pokarm dla Smoka. Żeby zdobyć dzieci, dzięki czemu nauki i dzieło Stwórcy mogły być przekazywane i nie ginęły jak dym rozwiewany wiatrem czasu. Brązowe płyty przypominały im o tych, którzy walczyli i polegli, o tym, co zdobyto i stracono w minionych bitwach, aż po Dawne Czasy

i wcześniej. Uto podejrzewała, że Smoki jeszcze nigdy nie zabiły tak wielu ludzi z tak błahego powodu, jak tutaj.

W obozie górników znaleźli niemowlę, małą dziewczynkę, która zmarła, a także dwóch chłopców, którym teraz dobrze się wiodło pod opieką Ashoda. Była także dziewczyna o kręconych włosach i błagalnym spojrzeniu, która znajdowała się na progu kobiecości. Uto zaproponowała, że się nią zajmie, ale dziewczyna miała trzynaście lat, a nawet w wieku dziesięciu zim pojawiała się ryzyko. Pamiętała siostrę Waerdinura, którą zbyt późno odebrano Duchom, przez co nie potrafiła się zmienić i nosiła w sobie wściekle pragnienie zemsty, dopóki nie została wypędzona. Dlatego Uto poderżnęła dziewczynie gardło i delikatnie złożyła ją w dole, ponownie zastanawiając się nad tym, czego nie śmiała wypowiedzieć – czy nauki, które ich do tego doprowadziły, mogą być słuszne?

Zapadał wieczór, gdy zobaczyli Sygnał. Przestało padać, ale niebo wciąż zasnuwały chmury zwiastujące śnieg. Płomień migotał na szczycie zawalonej wieży, a Uto dostrzegła kolejne cztery światła w oknach, ale poza tym osada była pogrążona w mroku. Zobaczyła sylwetki wozów, w tym jednego wielkiego jak dom na kołach. Kilka koni tłoczyło się przy balustradzie. Właśnie tego można się było spodziewać po dwudziestoosobowym oddziale nieświadomym niebezpieczeństwa, tylko że...

Małe dołeczki śladów migotały blado w półmroku, wypełnione świeżym śniegiem, ale kiedy ujrzała ich jedno skupisko, nagle poczuła się jak ktoś, kto dostrzega pojedynczego owada, a po chwili uzmysławia sobie, że roją się one na całej ziemi. Ślady przecinały dolinę od lasu do lasu i z powrotem. Okrężały kurhany, od których wejść odgarnięto śnieg. Uto

zobaczyła, że uliczka prowadząca pomiędzy chatkami jest zdeptana i poryta koleinami, podobnie jak stara droga prowadząca do obozu. Śnieg na dachach topniał od ciepła bijącego z wnętrza budynków. Wszystkich.

Zbyt wiele śladów jak na dwudziestu ludzi. Zdecydowanie zbyt wiele, nawet jak na nieostrożnych Obcych. Coś było nie w porządku. Uniosła dłoń, zatrzymując oddział, i obserwowała.

Nagle poczuła, że Scarlaer przechodzi obok niej, i zobaczyła, że myśliwy prześlizguje się przez zarośla bez rozkazu.

– Zaczekaj! – syknęła.

Posłał jej kpiący uśmiech.

– Zgromadzenie podjęło decyzję.

– I przekazało mi dowodzenie! Mówię ci: zaczekaj!

Parsknął pogardliwie i odwrócił się w stronę obozowiska, a ona skoczyła mu do nóg.

Chwyciła go, ale była słaba i powolna, więc Scarlaer odepchnął jej niezdarną rękę. Być może kiedyś była groźna, ale jej czas już dawno minął, a jego właśnie nastał. Ruszył w dół zbocza, szybko i cicho, niemal nie zostawiając śladów na śniegu, aż dotarł do rogu najbliższej chatki.

Czuł siłę swojego ciała, siłę swojego bijącego serca, siłę stali trzymanej w dłoni. Powinni go wysłać na północ, żeby walczył z Szankami. Był gotowy. Zamierzał to udowodnić, niezależnie od słów Uto, tej pomarszczonej staruchy. Zapisze swoje imię krwią Obcych i sprawi, że pożałują, że wkroczyli na świętą ziemię. Pożałują tego na chwilę przed śmiercią.

Żaden dźwięk nie dobiegał z wnętrza chatki, tak nieudolnie sklecone z sosnowych desek i pękającej gliny, że patrzenie na

nią niemal sprawiało mu ból. Trzymając się nisko na nogach, prześlizgnął się wzdłuż ściany pod ociekającymi krokwiami do rogu budynku, skąd mógł wyrzeć na ulicę. Cienka warstwa świeżego śniegu, kilka nowych śladów butów oraz bardzo dużo starszych śladów. Na oddech Stwórcy, ależ ci Obcy są nieostrożni i brudni, skoro wszędzie pozostawiają rozrzucony gnoj. Tak dużo gnoju od tak niewielu zwierząt. Może ludzie też srali na ulicy.

– Dzicy – szepnął, marszcząc nos pod wpływem smrodu ich ognisk, przypalonego jedzenia, niemytych ciał.

Jednakże nigdzie nie było śladu ludzi. Pewnie spali pijani, nieprzygotowani w swojej arogancji, za szczelnie zamkniętymi drzwiami i okiennicami, zza których światło wylewało się szparami na błękitny świt.

– Ty przeklęty głupcze! – Uto dopadła do niego, ciężko dysząc po szybkim biegu, a obłoki oddechu kłębiły się jej przed twarzą. Jednak w żyłach Scarlaera płynęła zbyt gorąca krew, by przejmował się jej marudzeniem. – Zaczekaj!

Tym razem uniknął jej dłoni i przebiegł na drugą stronę ulicy, chowając się w cieniu kolejnej chaty. Zerknął przez ramię i zobaczył, że Uto przyzywa pozostałych, którzy rozproszyli się po całym obozie jak bezgłośne cienie.

Scarlaer uśmiechnął się, rozgrzany podnieceniem. Obcy zaraz za wszystko zapłacą.

– To nie jest gra! – warknęła Uto.

On tylko znów się uśmiechnął, po czym pobiegł w stronę okutych żelazem drzwi największego budynku, czując za plecami swoich ludzi, silnych swoją liczbą oraz determinacją...

Drzwi się otworzyły, a Scarlaer na chwilę zamarł w świetle lampy, które wylało się ze środka.

– Dzień dobry! – O futrynę opierał się staruszek o rzadkich włosach, ubrany w zabrudzone futro oraz złożony napierśnik pokryty plamkami rdzy. Przy boku miał miecz, ale w dłoni trzymał tylko butelkę. Uniósł ją w stronę wojowników, a trunek zachlupotał w środku. – Witajcie w Sygnale!

Scarlaer podniósł ostrze i otworzył usta, żeby wydać bojowy okrzyk, ale wtedy coś błysnęło na szczycie wieży, a młodzieniec usłyszał trzask w uszach, po czym runął na plecy, mocno pchnięty w pierś.

Stęknął, ale tego nie usłyszał. Usiadł, oszołomiony, i popatrzył na tłusty dym.

Isarult pomagała w gotowaniu przy płycie i uśmiechała się do niego, kiedy zakrwawiony przynosił zdobycz do obozu, a czasami, gdy był w szczodrym nastroju, on również odpowiadał jej uśmiechem. Teraz została rozerwana na kawałki. Rozpoznawał jej zwłoki po tarczy na ramieniu, ale nie miała głowy, drugiej ręki oraz jednej nogi, tak że nie wyglądała jak człowiek, tylko jak bezkształtna bryła. Śnieg dookoła był zbryzgany, zachlapany i zasypany krwią, włosami oraz kawałkami drewna i metalu, a inni przyjaciele, kochanki i rywale leżeli dookoła, poszarpani i dymiący.

Tofric, który słynął jako najlepszy skórnik, zatoczył się na sztywnych nogach i padł na kolana. Tuzin ran zabarwił na ciemno futro, które miał na sobie, a pod jednym okiem odmalowała się cieknąca czarna linia. Nie wyglądał na cierpiącego, tylko na zasmuconego i zdziwionego tym, że świat tak nagle się zmienił i pogrzyżył w ciszy.

Co to za czary? – pomyślał Scarlaer.

Uto leżała obok niego. Podłożył jej dłoń pod głowę i ją uniósł. Zadygotała i zagrzechotała zębami, a na jej usta wystąpiła

czerwona piana. Próbowwała przekazać mu błogosławioną sakiewkę, ale ta została rozerwana i święty pył z Ashranc rozsypał się na zakrwawiony śnieg.

– Uto? Uto? – Nie słyszał własnego głosu.

Zobaczył przyjaciół, którzy biegli im na pomoc ulicą. Na czele pędził Canto, odważny człowiek, jakiego warto mieć obok siebie podczas walki. Scarlaer pomyślał o tym, jakim jest głupcem. Jakim szczęściarzem, że ma takich przyjaciół. Kiedy mijali jeden z kurhanów, z jego wejścia buchnął dym i Canto został odrzucony ponad dach sąsiedniej chaty. Pozostali zatoczyli się w bok i zaczęli się obracać, mrugając we mgle albo stąpając z trudem, jakby zmagali się z wiatrem, zakrywając twarze dłońmi.

Scarlaer zobaczył, jak otwierają się okiennice, i dostrzegł błysk metalu. Strzały przeleciały nad ulicą, wbijając się w drewniane ściany, niegroźnie upadając na śnieg, trafiając zataczające się cele, powalając ofiary na kolana i twarze, na ziemię, gdzie wiły się, nawoływały i bezgłośnie wrzeszczały.

Z trudem wstał, patrząc na obozowisko kołyszące mu się przed oczami. Starzec wciąż stał w drzwiach, wyciągając w jego stronę dłoń z butelką i coś mówiąc. Scarlaer uniósł miecz, ale ten wydał mu się dziwnie lekki, a gdy popatrzył na swoją rękę, zakrwawiona dłoń była pusta. Próbował poszukać broni i zobaczył, że w jego nodze tkwi krótka strzała. Nie czuł bólu, ale świadomość tego, że może zawieść, była jak kubeł zimnej wody wylany na jego głowę. Podobnie jak świadomość tego, że może umrzeć. Nagle strach przytłoczył go jak ogromny ciężar.

Chwiejnym krokiem dotarł do najbliższej ściany i zobaczył, jak kolejna strzała mija go i wpada w śnieg. Brnął naprzód, z rozdzierającym bólem w piersi wspinając się po zboczu.

Zerknął przez ramię. Dym spowijał obozowisko, jak Para Widzenia otaczająca Zgromadzenie, a w nim poruszały się olbrzymie cienie. Niektórzy z jego ludzi rozpaczliwie uciekali w stronę drzew, potykając się i upadając. Potem z wirującej mgły wyłoniły się kształty przypominające potężne demony – ludzie i konie stopieni w straszliwą całość. Scarlaer słyszał opowieści o takich obrzydliwych stworzeniach i zawsze je wyśmiewał, ale teraz sparaliżowało go przerażenie. Błyskały włócznie i miecze, lśniły zbroje, górując nad uciekinierami i powalając ich na ziemię.

Scarlaer szedł dalej, ale z trudem mógł poruszać przebitą nogą. Pozostawiał za sobą na zboczu ślad krwi, za którym podążał człowiek-koń, miażdżąc śnieg kopytami, wymachując ostrzem.

Młodzieniec powinien się odwrócić i przynajmniej spróbować stawić opór, jak przystało na dumnego myśliwego ze Smoczego Ludu. Gdzie podziała się jego odwaga? Kiedyś wydawała się niewyczerpana. Teraz pozostało tylko pragnienie ucieczki, rozpaczliwe jak potrzeba zaczerpnięcia tchu u tonącego. Nie słyszał jeźdźca za swoimi plecami, ale poczuł potężne uderzenie w plecy i lodowaty śnieg na twarzy, gdy upadł.

Wokół niego załomotały kopyta, okrążając go i zasypując białym pyłem. Próbował wstać, ale udało mu się tylko dźwignąć na dłonie i kolana. Drżał z wysiłku i nie mógł wyprostować pleców, w których czuł palący ból. Załkał z wściekłości i bezsilności, a jego łyzy wytopiły małe otwory w śniegu pod jego twarzą. Ktoś chwycił go za włosy.

Brachio oparł kolano na plecach chłopaka i wepchnął go z powrotem w śnieg, po czym wyjął nóż i uważając, żeby za bardzo nie nabrudzić, co nie było proste, gdyż młody wciąż się rzucał i bulgotał, odciął mu uszy. Potem wytarł ostrze o śnieg i wsunął je z powrotem do swojego bandolieru, dochodząc do wniosku, że taki pas z nożami to niezwykle użyteczna rzecz w jego branży, i ponownie dziwiąc się, że nie cieszy się większą popularnością. Możliwe, że chłopak jeszcze żył, gdy Brachio skrzywił się, stęknął i wciągnął swoje cielsko na grzbiet konia, ale na pewno nigdzie się nie wybierał. Nie z taką raną od miecza.

Brachio zachichotał, patrząc na swoje trofea, a zjeżdżając do obozu, pomyślał, że idealnie by się nadawały do straszenia jego córek, gdy wreszcie się wzbogaci przy boku Coski i będzie mógł wrócić do rodzinnego Puranti. Prawdziwe uszy Ducha, co wy na to? Wyobraził sobie śmiech dziewczynek, gdy będzie je gonił po salonie, chociaż w jego myślach one wciąż były malutkie, a Brachia ogarniał smutek, gdy zdawał sobie sprawę, że kiedy znów je zobaczy, będą już prawie dorosłymi kobietami.

– Dokąd ucieka czas? – mruknął.

Sworbreck stał na skraju obozu i patrzył z szeroko otwartymi ustami na jeźdźców, którzy ścigali nielicznych dzikich uciekających w stronę lasu. Był to dziwny jegomość, ale Brachio go polubił.

– Jesteś uczonym człowiekiem! – zawołał, trzymając odcięte uszy w wysoko uniesionej dłoni. – Jak myślisz, co powinienem z nimi zrobić? Ususzyć je? A może zamarynować?

Sworbreck nie odpowiedział, tylko stał nieruchomo, wyglądając, jakby zbierało mu się na wymioty. Brachio zeskoczył z siodła. Czekala ich dalsza jazda, ale on był zmęczony

i nie zamierzał się nigdzie śpieszyć. Nikt nie jest już tak młody jak kiedyś, stwierdził.

– Rozchmurz się, przecież wygraliśmy, prawda? – Poklepał pisarza po kościstych plecach.

Sworbreck potknął się, wysunął przed siebie rękę, żeby się podeprzeć, poczuł ciepło i zobaczył, że zatopił palce w parujących wnętrznościach dzikusa, nieco oddalonych od zmasakrowanego ciała.

Cosca pociągnął kolejny porządny łyk z butelki – gdyby Sworbreck przeczytał na piśmie, jakie ilości trunków Stary wypija każdego dnia, uznałby te dane za absurdalne kłamstwo – po czym przetoczył zwłoki nogą i, marszcząc zaróżowiony nos, wytarł but o ścianę najbliższej stodoły.

– Walczyłem z Północnymi, Imperialistami, Unionistami, Gurkijczykami, wszystkimi rodzajami Styryjczyków oraz całą masą innych ludzi, o których pochodzenie nawet się nie dowiadywałem. – Cosca westchnął. – Jestem zmuszony stwierdzić, że walory bojowe ludu Smoków są wyraźnie przeceniane. Możesz mnie zacytować.

Sworbreck z trudem powstrzymał kolejną falę mdłości, podczas gdy Stary bełkotał dalej.

– Jak widać odwaga często może się obrócić przeciwko człowiekowi w obliczu starannie zaplanowanej zasadzki. Męstwo, jak mawiał Verturio, to cnota martwych... Ach, widzę, że jesteś... zakłopotany. Czasami zapominam, że nie każdy przywykł do takich scen. Ale przecież przybyłeś, aby być świadkiem bitwy, prawda? Bitwa... nie zawsze ma chwalebny przebieg. Generał musi być realistą. Przede wszystkim liczy się

zwycięstwo, rozumiesz?

– Oczywiście – wymamrotał Sworbreck. Był gotów instynktownie zgodzić się z Coscą, niezależnie od tego, jak paskudne, absurdalne czy oburzające były jego słowa. Patrząc na starego najemnika, zastanawiał się, czy kiedykolwiek był tak blisko znienawidzenia kogoś. Albo tak blisko całkowitego polegania na kimś. Niewątpliwie oba uczucia były powiązane. – Przede wszystkim zwycięstwo.

– Przegrani zawsze są złoczyńcami, Sworbreck. Tylko zwycięzcy mogą zostać bohaterami.

– Oczywiście ma pan rację. Tylko zwycięzcy.

– Właściwym sposobem walki jest taki, który pozwala zabić przeciwnika i pozostawia ci tyle sił, abyś mógł się roześmiać...

Sworbreck przyjechał, żeby zobaczyć oblicze heroizmu, a zamiast tego ujrzał zło. Widział je, rozmawiał z nim, był tuż obok. Okazało się, że zło wcale nie jest czymś wzniosłym. Nie są to kpiąco uśmiechnięci Imperatorzy z planami podboju świata ani chichoczące demony knujące w ciemności poza światem. To mali ludzie z ich małymi czynami i małymi motywami. To egoizm, obojętność i marnotrawstwo. To pech, niekompetencja i głupota. To przemoc oddzielona od sumienia i konsekwencji. To wzniosłe ideały i niskie metody.

Patrzył, jak Inkwizytor Lorsen z entuzjazmem spaceruje wśród ciał, odwracając je, żeby zobaczyć twarze, odpędzając dłonią coraz rzadszy cuchnący dym, szarpiąc ofiary za rękawy w poszukiwaniu tatuaży.

– Nie widzę tutaj ani śladu buntowników! – wychrypiął do Coski. – Tylko dzikusów!

Stary zdołał na tak długo odsunąć butelkę od ust, żeby odpowiedzieć.

– Nasz przyjaciel Cantliss powiedział nam, że są w górach! W ich tak zwanych świętych miejscach! W miasteczku, które nazywają Ashranc! Natychmiast rozpoczniemy pościg!

Słodki oderwał wzrok od ciał i pokiwał głową.

– Płacząca Skala i pozostali będą na nas czekać.

– Więc niegrzecznie byłoby dalej zwlekać! Zwłaszcza w wypadku tak osłabionego wroga. Ilu zabiliśmy, Przyjazny?

Sierżant pomachał grubym palcem wskazującym, usiłując porachować trupy.

– Trudno powiedzieć, które kawałki do kogo pasują.

– To niemożliwe. Przynajmniej możemy przekazać Superiorowi Pike’owi, że jego nowa broń okazała się niezwykle skuteczna. Co prawda, rezultat nie może się równać z wcześniejszym wysadzeniem kopalni pod fortecą Fontezarmo, ale tym razem walka nie wymagała od nas takiego wysiłku. Posłuchaj, Sworbreck, ta broń wykorzystuje wybuchowy proszek napędzający pustą kulę, która rozpada się po wybuchu i posyła na wszystkie strony ostre kawałki... bum! – Cosca zademonstrował to zamaszystym ruchem obu dłoni. Całkowicie niepotrzebnie, gdyż dowody na skuteczność broni leżały na całej szerokości ulicy: zakrwawione mięso, w którym w kilku wypadkach trudno było rozpoznać ludzi.

– A więc to tak wygląda sukces. – Sworbreck usłyszał szept Temple’a. – Często się nad tym zastanawiałem.

Zatem prawnik też rozumiał. Wystarczyło zwrócić uwagę na to, jak patrzy na skutki potyczki szeroko otwartymi czarnymi oczami, z mocno zaciśniętymi zębami i lekko wykrzywionymi ustami. Było odrobinę pocieszające, że w tej bandzie znajduje się chociaż jeden człowiek, który w lepszym towarzystwie mógłby zbliżyć się do przyzwoitości, był jednak równie bezsilny jak

Sworbreck. Mogli tylko patrzeć i, nie robiąc nic ponad to, uczestniczyć w rzezi. Bo niby jak mogliby ją powstrzymać? Sworbreck skulił się, kiedy obok z hukiem kopyt przemknął koń, zasypując go zakrwawionym śniegiem. Był pojedynczym człowiekiem, nawet nie wojownikiem. Jego jedyną bronią było pióro, a niezależnie od tego, jak duże mniemanie pisarze mają o swojej mocy, podczas pojedynku nie mogło się ono równać z toporem i zbroją. To była jedna z najważniejszych rzeczy, jakich nauczył się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– Dimbik! – wrzasnął Cosca i pociągnął kolejny łyk z butelki. Porzucił manierkę jako nieodpowiednią dla swoich potrzeb, a wkrótce zapewne miał zamiar przerzucić się na ciągnięcie trunku prosto z beczki. – Dimbik? Tutaj jesteś! Chcę, żebyś stanął na czele pościgu i wybił resztę tych zwierząt chowających się w lesie. Brachio, przygotuj swoich ludzi do jazdy! Panicz Słodki wskaże nam drogę! Jubair i pozostali czekają, żeby otworzyć bramy! Mamy złoto do zdobycia, chłopcy, i ani chwili do stracenia! No i buntowników! – dodał pośpiesznie. – Oczywiście buntowników też. Temple, za mną, chcę mieć pewność co do zapisów w kontrakcie dotyczących plądrowania. Sworbreck, może lepiej zostać tutaj. Jeśli nie potrafisz tego znieść, to trudno...

– Oczywiście – odrzekł Sworbreck.

Czuł się bardzo zmęczony. Był tak daleko od domu. Od Adui i swojego eleganckiego gabinetu o czystych ścianach, gdzie stała nowa prasa drukarska Rimaldiego, z której był wyjątkowo dumny. Wszystko tak daleko, po drugiej stronie niewyobrażalnej otchłani czasu, przestrzeni i myśli. W miejscu, gdzie prostowanie kołnierzyka wydawało się ważne, a zła recenzja była tragedią. Jak to możliwe, że taka bajkowa kraina

istnieje w tym samym świecie co ta rzeźnia? Popatrzył na swoje dłonie, pokryte odciskami i zakrwawione. Czy to te same, które tak starannie układały czcionkę, brudząc opuszki tuszem? Czy kiedyś jeszcze będą potrafiły to robić?

Pozwolił rękom opaść, zbyt zmęczony, by jechać konno, a co dopiero pisać. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak wyczerpujący jest akt tworzenia. Ból towarzyszący wyciąganiu słów z udreżonego umysłu. Zresztą, kto tutaj czytuje książki? Może powinien się położyć. Ruszył w stronę fortu.

– Uważaj na siebie, pisarzu – rzekł Temple, spoglądając na niego ponuro z grzbietu wierzchowca.

– Ty także, prawniku – odparł Sworbreck i przechodząc, poklepał go po nodze.

Leże Smoka

– Kiedy wyruszamy? – szepnęła Płoszka.

– Kiedy Savian da sygnał – rozległ się głos Owcy. Był na tyle blisko, że niemal czuła jego oddech, ale w ciemnym tunelu widziała jedynie delikatny zarys jego ogolonej czaszki. – Gdy tylko zobaczy, jak Słodki wprowadza ludzi Coski do doliny.

– A te przekłete Smoki ich nie zauważą?

– Pewnie tak.

Po raz setny otarła czoło, usuwając wilgoć z brwi. Psiakrew, ale gorąco, zupełnie, jakby siedzieli w piecu. Łaskotał ją spływający pot, dłoń ślizgała się na drewnie łuku, a w ustach zaschło od skwaru i zmartwienia.

– Cierpliwości, Płoszko. Nie da się przekroczyć gór w jeden dzień.

– Łatwo powiedzieć – syknęła. Od jak dawna już tutaj są? Może od godziny, a może od tygodnia. Już dwukrotnie musieli głębiej chować się w tunelu, gdy Smoki podeszły za blisko, panicznie ściśnięci, Płoszka z sercem bijącym tak mocno, że aż grzechotały jej zęby. Tyle setek tysięcy rzeczy mogło pójść nie tak, że ich ciężar nie pozwalał jej oddychać.

– Co zrobimy, kiedy Savian da sygnał? – spytała.

– Otworzymy bramę. Utrzymamy ją.

– A potem? – Zakładając, że wciąż będą żywi, na co wołała nie stawiać dużych pieniędzy.

– Znajdziemy dzieci – odrzekł Owca.

Długa przerwa.

– To coraz mniej przypomina plan, prawda?

– Więc zrób tyle, ile się da w tych okolicznościach.

Wydęła policzki.

– Jak zawsze w moim życiu.

Czekała na odpowiedź, ale na próżno. Doszła do wniosku, że pod wpływem niebezpieczeństwa niektórzy ludzie paplają, a inni trzymają gębę na kłódkę. Niestety, należała do tej pierwszej grupy, a otaczali ją przedstawiciele drugiej. Przesunęła się do przodu na czworakach, kładąc dłonie na gorącym kamieniu. Zatrzymała się przy Płaczącej Skale, ponownie zastanawiając się, jaki interes kobieta z ludu Duchów ma w tej całej eskapadzie. Nie wyglądała na osobę zainteresowaną poszukiwaniem złota, buntowników ani dzieci. Jednakże nie dało się odgadnąć, co kryje się za tą pomarszczoną maską, a sama staruszka nie zdradzała swoich myśli.

– Jak wygląda ten Ashranc? – spytała Płoszka.

– To miasto wyrzeźbione w górskim zboczu.

– Ilu ich tam mieszka?

– Kiedyś całe tysiące. Teraz niewielu. Sądząc po tych, którzy wyruszyli, zaledwie garstka, i to głównie dzieci i starcy. Żadnych dobrych wojowników.

– Jeśli kiepski wojownik przebije cię włócznią, także wyzioniesz ducha.

– Więc nie daj się przebić.

– Jesteś kopalnią dobrych rad, prawda?

– Nie lękajcie się – rozległ się głos Jubaira. W mrocznym tunelu widziała tylko błysk jego oczu oraz obnażonego miecza, ale wiedziała, że się uśmiecha. – Jeśli Bóg jest z nami, będzie

naszą tarczą.

– A jeśli jest przeciwko nam? – spytała Płoszka.

– Wtedy żadna tarcza nas nie ochroni.

Zanim Płoszka zdążyła mu powiedzieć, jak bardzo ją pocieszył, za ich plecami rozległ się szelest, a następnie łamiący się głos Saviana:

– Już czas. Chłopcy Coski są w dolinie.

– Wszyscy? – spytał Jubair.

– Wystarczająco wielu.

– Jesteś pewien? – Płoszka niemal się dusiła z nerwów. Od miesięcy robiła wszystko co w jej mocy, żeby odnaleźć Pestkę i Ro. Kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, dałaby wszystko, żeby ją odwlec.

– Oczywiście, że jestem pewien! Ruszamy!

Czyjaś dłoń pchnęła ją w plecy, tak że wpadła na poprzedzającą ją osobę i prawie się przewróciła, zataczając się i ocierając palcami o kamienie, żeby odzyskać równowagę. Tunel skręcił i nagle Płoszka poczuła chłodniejsze powietrze na twarzy, po czym, mrugając, wyłoniła się na światło.

Ashranc miał postać rozległych ust w górskim zboczach, jaskini przeciętej na pół, na której podłodze stały kamienne budynki, a potężny skalny nawis rzucał cień na wszystko, co było powyżej. Przed nimi, za onieśmielającą przepaścią, otwierała się ogromna połać nieba i gór. Urwisko było usiane otworami – drzwi, okna, schody, mostki, wielopoziomowa plątanina murów i kładek, domy częściowo wbudowane w skałę, miasto zatopione w kamieniu.

Patrzył na nich staruszek z ogoloną głową, z rogiem zatrzymanym w połowie drogi do ust. Wymamrotał coś, cofnął się oszołomiony, po czym miecz Jubaira rozplątał mu głowę,

powalając go w powodzi krwi, a róg potoczył się po ziemi.

Płacząca Skala skoczyła w prawo, a Płoszka podążyła za nią, słysząc, jak ktoś szepcze jej do ucha: „Zaraza, zaraza, zaraza”, po czym zrozumiała, że to ona sama. Trzymając się nisko nad ziemią, pobiegła wzdłuż sypiącego się muru, ciężko dysząc, czując w każdej cząstce swojego ciała nieznośny strach, panikę i wściekłość, tak dziką i silną, jakby miała od niej pęknąć, wyrzygać ją albo wysikać. Wołanie dobiegające gdzieś z wysoka. Wołanie wszędzie wokół. Wypolerowane metalowe płyty pokryte pismem brzęczały pod jej butami, grzechoczące kamyki wyskakiwały spod obcasów. Wysoki łuk w skalnej szczelinie, podskakujący i drżący przed jej oczami, gdy biegła. Ciężkie podwójne drzwi z zamkniętym jednym skrzydłem i dwie postacie próbujące jak najszybciej zamknąć drugą połowę. Trzecia postać na murze powyżej, wskazująca ich z łukiem w dłoni. Płoszka przyklęknęła i również napięła cięciwę. Wroga strzała poszybowała w dół, minęła jednego z biegnących najemników i z trzaskiem upadła na brązową płytę. Płoszka z brzękiem zwolniła cięciwę i patrzyła, jak jej strzała pokonuje dystans, zawieszona w nieruchomym powietrzu. Trafiła łucznika w bok, rozległ się wrzask – głos kobiety, a może dziecka – i postać zatoczyła się w bok, po czym spadła z murku i znieruchomiała, zwinięta obok bramy.

Dwaj przedstawiciele Smoczego Ludu, którzy zamykali drzwi, chwycili za broń. Płoszka zobaczyła, że to starcy. Jubair ciął jednego z nich, rzucając go na skalną ścianę. Dwaj najemnicy dopadli drugiego i przy wtórze przekleństw powalili go ciosami mieczy, siekąc i depcząc ofiarę.

Płoszka patrzyła na dziewczynę, którą zastrzeliła. Nie była dużo starsza od Ro. Być może płynęła w niej krew Duchów;

wskazywały na to biała skóra i kształt oczu. Tak samo w Płoszce. To wszystko wina krwi Duchów. Dziewczyna odwzajemniła jej spojrzenie, dysząc szybko i płytko, ale nic nie powiedziała. Miała ciemne i wilgotne oczy oraz krew na policzku. Płoszka zamknęła i otworzyła bezużyteczną dłoń.

– Tutaj! – ryknął Jubair, unosząc rękę.

Płoszka usłyszała cichy odzew i po drugiej stronie bramy zobaczyła ludzi wspinających się po zboczu. To byli chłopcy Coski z wyciągniętą bronią. Miała wrażenie, że dostrzega Słodkiego, który gramolił się razem z nimi pieszo. Pozostali najemnicy otworzyli drzwi na oścież, żeby ich przepuścić. Metalowe drzwi grube na cztery palce, ale poruszały się gładko jak wieczko pudełka.

– Bóg jest z nami – rzekł Jubair, szczerząc zęby zbryzgane krwią.

Bóg może tak, ale nigdzie nie było widać Owcy.

– Gdzie Owca? – spytała, wodząc wkoło wzrokiem.

– Nie wiem. – Savian z trudem wydusił z siebie odpowiedź. Ciężko dyszał, zgięty w pół. – Poszedł w drugą stronę.

Ponownie ruszyła.

– Zaczekaj! – Savian wychrypiał za nią, ale sam nigdzie się nie wybierał.

Płoszka pobiegła do najbliższego domu. Miała na tyle rozsądku w pulsującej bólem głowie, że zawiesiła łuk na ramieniu i dobytego miecza. Nie pamiętała, by kiedykolwiek używała go w złości. Może wtedy, gdy zabiła Ducha, który uśmiercił Leefa. Nie była pewna, dlaczego teraz o tym rozmyśla. Wzięła potężny wdech, gwałtownie odsunęła skórę wiszącą w wejściu i wskoczyła do środka, trzymając ostrze przed sobą.

Może spodziewała się Pestki i Ro, patrzących na nią oczami pełnymi łez wdzięczności. Zamiast tego zobaczyła pusty pokój, w którym nie było niczego poza paskami światła na zakurzonej podłodze.

Wpadła do kolejnego domu, równie opustoszałego jak pierwszy.

Wbiegła po schodkach pod skalnym łukiem. W tym pomieszczeniu zastała meble wygładzone przez czas i równo poustawiane miski, ale ponownie ani śladu życia.

Jakiś staruszek wypadł prosto na nią przez następne drzwi, poślizgnął się i upadł, upuszczając duży garnek, który roztrzaskał się na ziemi. Odczołgał się, unosząc drżącą rękę, mamrocząc coś pod nosem, przeklinając Płoszkę, błagając o życie albo wzywając jakieś zapomniane bóstwo, a ona stanęła nad nim, unosząc broń. Z trudem powstrzymała się przed zabiciem go. Jej ciało płonęło od żądy krwi, ale wiedziała, że musi znaleźć dzieci. Zanim ludzie Coski wpadną do miasta i ogarnie ich mordercza gorączka. Musi znaleźć dzieci. Jeśli są tutaj. Pozwoliła starcowi wyczołgać się z pokoju.

– Pestka! – wrzasnęła łamiącym się głosem.

Wróciła na dół i wpadła do kolejnego ciemnego, gorącego, pustego pomieszczenia. Łukowo sklepiony korytarz w głębi prowadził do następnej komnaty. To miejsce było jak labirynt. Miasto zbudowane dla tysięcy, jak mówiła Płacząca Skała. Jak, u diabła, można tutaj znaleźć dwoje dzieci? Nagle skądś dobiegło echo dziwnego ryku.

– Owca? – Odgarnęła spocone włosy z twarzy.

Ktoś panicznie wrzasnął. Ludzie zaczęli wybiegać z niskich domów, niektórzy mieli w rękach broń, inni narzędzia, jakaś siwowłosa kobieta trzymała niemowlę. Część się rozglądała,

czując, że dzieje się coś złego, ale nie wiedząc co. Inni uciekali od bramy i od Płoszki, kierując się ku wysokiemu korytarzowi w głębi otwartej jaskini.

Obok wlotu korytarza stał czarnoskóry mężczyzna z laską w dłoni i kierował ludzi w ciemność. Waerdinur. Tuż obok niego stała znacznie drobniejsza postać, chuda i blada, z ogoloną głową. Mimo to, Płoszka ją rozpoznała.

– Ro! – krzyknęła, ale jej głos zagubił się w hałasie.

Odgłosy walki odbijały się echem od skalnego sufitu i budynków, dobiegając zewsząd i znikąd. Płoszka przeskoczyła murek, potem jednym susem pokonała kanał z płynącą wodą, wzdrygnęła się, widząc nad sobą jakąś potężną sylwetkę, by po chwili zrozumieć, że to pień drzewa, z którego wyrzeźbiono powyginaną ludzką postać, wybiegła na otwarty teren obok długiego, niskiego budynku i tam wyhamowała.

Przed nią zgromadziła się grupa Smoków. Trzej starcy, dwie staruszki oraz chłopiec, wszyscy z ogolonymi głowami i uzbrojeni. Nie sprawiali wrażenia, że zechcą ją przepuścić.

Machnęła mieczem i wrzasnęła:

– Zejdźcie mi z drogi, kurwa!

Wiedziała, że nie robi imponującego wrażenia, więc przeżyła szok, gdy zaczęli się wycofywać. Nagle bełt z kuszy trafił jednego ze starców w brzuch. Mężczyzna chwycił drzewce strzały, upuszczając swoją włócznię. Pozostali odwrócili się i uciekli. Płoszka usłyszała za sobą tupot stóp i po chwili minęli ją najemnicy, piejąc i pokrzykując. Jeden z nich ciał staruszkę w plecy, gdy ta próbowała pokuśtykać w bok.

Płoszka popatrzyła w stronę łukowatego wlotu zaciemionego korytarza, obok którego stały dwie czarne kolumny. Waerdinur zdążył zniknąć w środku. Podobnie Ro, jeśli to rzeczywiście była

ona. Na pewno.

Płoszka puściła się biegiem.

Jeśli Cosca w ogóle miał swoje najlepsze oblicze, to ukazywał je pod wpływem niebezpieczeństwa. Temple kulił się i przywierał do ścian, o które od czasu do czasu drapał sobie twarz. Paznokcie miał tak zajęte krawędzią koszuli, że omal jej nie spruł. Brachio biegł zgięty wpool. Nawet Przyjazny miał podejrzliwie zgarbione ramiona. Jednak Stary się nie lękał. A przynajmniej nie śmierci. Szedł przez wiekową osadę, ignorując spadające strzały, z wysoko uniesionym podbródkiem i lśnącymi oczami, tylko odrobinę chwiejąc się od trunków, wykrzykując rozkazy, które tym razem miały sens.

– Zestrzelcie tamtą łuczniczkę! – Wskazał mieczem staruszkę na szczycie budynku.

– Oczyszćcie tunele! – Pomachał w stronę mrocznych otworów.

– W miarę możliwości nie zabijajcie żadnych dzieci, umowa to umowa! – Pogroził palcem grupie Kantyjczyków unurzanych we krwi.

Trudno powiedzieć, czy ktoś zwracał na niego uwagę. Kompania Łaskawej Dłoni nawet w najlepszych czasach nie słynęła z posłuszeństwa, a obecnych czasów z pewnością nie można było za takie uznać.

Niebezpieczeństwo nie wydobywało z Temple'a tego co najlepsze. Czuł się podobnie jak w Dagosce podczas oblężenia. Kiedy pocił się w cuchnącym szpitalu, przeklinając i niezdarnie bandażując rany, drąc ubrania trupów na opatrunki. Przez całą noc podając wiadra, w blasku pożarów, słysząc chlupot wody,

wiedząc, że to wszystko na próżno, gdyż miasto i tak spłonęło. Płacząc nad każdą śmiercią. Płacząc ze smutku. Płacząc z wdzięczności, że to nie on. Płacząc ze strachu, że będzie następny. Miesiące wypełnione bezustannym lękiem. Od tamtej pory strach zawsze mu towarzyszył.

Grupa najemników otoczyła starca, który przez zaciśnięte zęby wywarkiwał niezrozumiałe obelgi w języku nieco podobnym do staroimperialnego; wymachiwał przy tym wściekle trzymaną oburącz włócznią. Temple szybko zorientował się, że mężczyzna jest ślepy. Najemnicy doskakiwali do niego na zmianę. Za każdym razem, gdy się obracał, kolejny napastnik dźgał go ostrzem w plecy. Szata starca była już ciemna od krwi.

– Powinniśmy ich powstrzymać? – szepnął Temple.

– Oczywiście – odrzekł Cosca. – Przyjazny?

Sierżant jedną potężną dłonią chwycił włócznię ślepeca tuż pod grotem, a drugą wyszarpnął tasak spod płaszcza i rozplątał głowę staruszka jednym skutecznym ruchem, pozwalając ciału osunąć się na ziemię i odrzucając włócznię.

– O Boże – szepnął Temple.

– Mamy zadanie do wykonania! – burknął Stary do rozczarowanych najemników. – Znajdźcie złoto!

Temple oderwał dłonie od koszuli i zaczął się drapać w głowę, szorować po niej palcami, szarpać paznokciami. Po Averstock obiecał sobie, że już nigdy nie będzie patrzył obojętnie na coś takiego. Taką samą obietnicę złożył w Kadit, a wcześniej w Styrii. Tymczasem teraz stał i nic nie mówił. Obserwował. W końcu nigdy nie potrafił dotrzymać słowa.

Swędział go nos, z którego bez przerwy ciekło. Zaczął go trzeć dłonią, aż popłynęła krew. Próbował patrzeć tylko na ziemię, ale

docierające do niego dźwięki zmuszały go do zwracania wilgotnych oczu na boki. W stronę trzasków, krzyków, śmiechów i ryków, jęków, bulgotów, łkań i pisków. Za oknami i drzwiami dostrzegał obrazy, o których wiedział, że będą mu towarzyszyły przez całe życie, więc ponownie wbijał spojrzenie załzawionych oczu w ziemię i szeptał sam do siebie: „O Boże”.

Jak często szeptał te słowa podczas oblężenia? Raz za razem, pędząc przez spalone ruiny Niższego Miasta, gdy basowy grzmot wybuchowego proszku wstrząsał ziemią, a on przetaczał się po zwłokach, szukając ocalałych, nie wiedząc, jak może im pomóc, gdy już ich znajdował, poparzonych, poranionych i konających. Zrozumiał, że nie jest cudotwórcą. O Boże, o Boże. Wtedy nie otrzymał pomocy. Teraz także.

– Mamy je spalić? – spytał Styryjczyk o wygiętych nogach, podskakując jak dziecko, które nie może się doczekać wyjścia na podwórko. Wskazywał jakieś rzeźbione dłutem stare pnie, wypolerowane do połysku, dziwne i piękne.

Cosca wzruszył ramionami.

– Skoro musisz. W końcu, po co jest drewno, jeśli nie do palenia? – Patrzył, jak najemnik polewa najbliższy pień olejem i wyjmuje hubkę. – Prawdziwie smutne jest to, że już mnie to nie obchodzi. Jestem znudzony.

Temple wzdrygnął się, gdy nagie ciało runęło na ziemię obok pni. Nie wiedział, czy ofiara jeszcze żyła, gdy spadała.

– O Boże – szepnął.

– Ostrożnie! – wrzasnął Przyjazny, zerkając ze zmarszczonym czołem na budynki po ich lewej stronie.

Cosca patrzył na krew wypływającą z rozbitej czaszki trupa, ani na chwilę nie gubiąc wątku.

– Patrzę na coś takiego i czuję tylko... lekkie znużenie.

Zaczynam się zastanawiać, co będzie na kolację, rozmyślam o powracającym świądnie na podeszwie albo zastanawiam się, kiedy i gdzie znów ktoś mi possie fiuta. – Z nieobecną miną zaczął się drapać po suspensorium, ale po chwili przestał. – Czyż to nie koszmar, że nudzą mnie takie rzeczy? – Płomienie wesoło migotały na najbliższej rzeźbie, a styryjski piroman z radością doskoczył do kolejnego pnia. – Widziałem tak wiele przemocy, zdrady i zniszczenia, że pozbawiły mnie one entuzjazmu. Jestem nieczuły. Dlatego potrzebuję ciebie, Temple. Musisz być moim sumieniem. Chcę w coś wierzyć!

Temple drgnął, gdy Cosca klepnął go w ramię. Potem usłyszał pisk, a kiedy się odwrócił, zdążył zobaczyć, jak najemnicy strącają jakąś staruszkę kopniakiem w przepaść.

– O Boże.

– Właśnie o to mi chodzi! – Cosca ponownie klepnął go w ramię. – Ale jeśli istnieje Bóg, to dlaczego przez te wszystkie lata nie ruszył palcem, żeby mnie powstrzymać?

– Być może jesteśmy Jego ręką – zagrzemiał Jubair, który wyszedł z jednego z budynków, ścierając szmatką krew z miecza. – Jego drogi są tajemnicze.

Cosca parsknął.

– Tajemnicza jest kurwa w woalce. Drogi Boga wydają się... szalone.

Temple'a kręciło w nosie od słodkiego dymu palonego drewna. Tak samo śmierdziało w Dagosce, gdy Gurkijczycy wreszcie dostali się do miasta. Płomienie ogarnęły budynki biedoty razem z mieszkańcami, ludzie płonęli, skacząc do morza ze zrujnowanego nabrzeża. Odgłosy walki się zbliżały. Twarz Kahdii, oświetlona migotliwym pomarańczowym blaskiem, cichy pomruk pozostałych pogrążonych w modlitwie oraz

Temple, który szarpał go za rękaw i powtarzał: „Musisz uciekać, zaraz tutaj przyjdą”. Jednakże stary kapłan pokręcił głową i z uśmiechem ścisnął ramię Temple’a, mówiąc: „Właśnie dlatego muszę zostać”.

Co mógł wtedy zrobić? Co może zrobić teraz?

Kątem oka zauważył ruch, drobny kształt przemykający między dwoma niskimi kamiennymi budynkami.

– Czy to było dziecko? – wyszeptał, zostawiając pozostałych w tyle.

– Dlaczego wszyscy tak się rozczulają nad dziećmi?! – zawołał za nim Cosca. – Wyrosną na takich samych rozczarowujących starców jak cała reszta!

Temple go nie słuchał. Zawiódł Sufeena, zawiódł Kahdię, zawiódł swoją żonę i córkę, poprzysiągł sobie zawsze wybierać łatwą drogę, ale może tym razem... Okrążył róg budynku.

Stał tam chłopiec z ogoloną głową. Miał bladą skórę i czerwono-brązowe brwi, tak samo jak Płoszka. Wiek też się zgadzał, może to...

Temple zauważył, że malec trzyma w rękach włócznię. Była krótka, ale dzierzył ją z zaskakującą wprawą. Martwiąc się o innych, Temple po raz pierwszy zapomniał zatroszczyć się o siebie. Być może świadczyło to o jego osobistym rozwoju. Jednak musiał zczekać z gratulacjami.

– Boję się – powiedział, nie musząc udawać. – Ty też się boisz?

Żadnej odpowiedzi. Temple łagodnie uniósł ręce skierowane dłońmi do góry.

– Jesteś Pestka?

Skurcz szoku na twarzy chłopca. Temple powoli ukląkł, próbując sięgnąć do pokładów szczerości, co nie było łatwe,

skoro zewsząd sączyły się odgłosy zniszczenia.

– Nazywam się Temple. Jestem przyjacielem Płoszki. – To wywołało kolejny skurcz. – Dobrym przyjacielem. – Obecnie spora przesada, ale wybaczalna. Grot włóczy zadrzał. – A także Owcy. Przybyli cię odszukać. A ja przyjechałem z nimi.

– Są tutaj? – Dziwnie było usłyszeć, jak chłopiec odzywa się we wspólnej mowie z akcentem z Bliskiej Krainy.

– Są tutaj – odrzekł. – Przyszli po ciebie.

– Leci ci krew z nosa.

– Wiem. – Temple ponownie otarł nos nadgarstkiem. – Nie musisz się niczym martwić.

Pestka odłożył włóczy, podszedł do Temple'a i mocno go przytulił.

Temple zamrugął, po czym z wahaniem objął chłopca.

– Już jesteś bezpieczny – powiedział. – Jesteś bezpieczny.

To z pewnością nie było jego pierwsze kłamstwo.

Płoszka pędziła korytarzem, rozpaczliwie pragnąc biec naprzód, a jednocześnie niemal srając po nogach ze strachu, ściskając śliską rękojeść miecza. Wnętrze oświetlały tylko migoczące lampki, których blask odbijał się od metalowych wzorów na posadzce – kręgów wewnątrz kręgów, liter i linii – oraz pokrywających je krwawych smug. Przenosiła wzrok z jednego zwodniczego cienia na drugi, z ciała na ciało – Smoczy Lud i najemnicy, posiekani i podziurawieni, wciąż krwawiący.

– Owca? – szepnęła, ale tak cicho, że nawet sama ledwie siebie słyszała.

Dźwięki odbijały się od ciepłej skały i wylewały z otworów po obu stronach – krzyki i trzaski, szmer pary, płacz i śmiech

przesączaające się przez ściany. Najgorszy był śmiech.

– Owca?

Ostrożnie zbliżyła się do łukowato sklepionego przejścia na końcu korytarza i przywarła do ściany, czując mijający ją gorący podmuch. Ponownie odgarnęła mokre włosy ze szczypiących oczu, strząsnęła pot z palców i zebrała resztki swej nadszarpniętej odwagi. Dla Pestki i Ro. Teraz już nie ma odwrotu.

Prześlizgnęła się przez przejście i wtedy opadła jej szczęka. Otwierała się przed nią rozległa pustka, wielka rozpadlina, otchłań wewnątrz góry. Na skalnej półce przed sobą zobaczyła ławki, kowadła, narzędzia kowalskie. Dalej ziała czarna przepaść, nad którą zawieszono pozbawiony poręczy mostek o szerokości niecałych dwóch kroków, łuk przecinający ciemność, sięgający do kolejnej półki i kolejnego przejścia, odległych o jakieś pięćdziesiąt kroków. Skwar był przytłaczający, a mostek od spodu oświetlały ognie huczące daleko w dole, poza zasięgiem wzroku. Na ścianach lśniły żyły kryształów, a wszystkie metalowe przedmioty, od młotów, kowadeł i bloków, po jej własny miecz, świeciły blaskiem typowym dla kuźni. Płoszka przełknęła ślinę i podeszła do krawędzi, widząc, że przeciwległa ściana opada daleko, daleko w głąb ziemi. Miała wrażenie, że dotarła do górnych rubieży piekła, na które żyjący nie powinni mieć wstępu.

– Kurwa, jakby nie mogli zamontować poręczy – mruknęła.

Waerdinur stał na moście, zagradzając przejście, chowając się za dużą kwadratową tarczą ozdobioną podobizną smoka i trzymając włócznię o lśniącym grocie. Przed nim leżał martwy najemnik, kolejny usiłował wycofać się w bezpieczne miejsce, wściekle dźgając halabardą. Trzeci klęczał niedaleko Płoszki

i naciągał kuszę. Waerdinur skoczył, zręcznie przebił halabardnika włócznią, po czym zrobił krok do przodu i strącił go z mostu. Mężczyzna spadł bezgłośnie. Nie było słyhać, żeby dosięgnął dna przepaści.

Waerdinur ponownie schował się za tarczą, z brzękiem stawiając jej dolną krawędź na moście, po czym krzyknął coś przez ramię w języku, którego Płoszka nie rozumiała. W ciemności za jego plecami poruszyły się sylwetki ludzi – starców, dzieci, a na końcu także biegnącej dziewczynki.

– Ro! – Krzyk Płoszki zgasł w pulsującym skwarze, a dziewczynka biegła dalej, aż w końcu połknęły ją cienie na końcu mostu.

Waerdinur został na miejscu. przyczajony za tarczą, obserwując kobietę ponad krawędzią. Płoszka zazgrzytała zębami i syknęła z wściekłej frustracji. Była tak blisko, ale nie mogła się przedostać.

– Nażryj się tym, dupku! – Ostatni najemnik wycelował z kuszy, a bełt z grzechotem odbił się od tarczy ze smokiem, po czym zniknął w mroku, jak malutka wirująca pomarańczowa drzazga. – Nigdzie nie pójdzie. – Kusznik wyciągnął kolejny bełt z kołczanu i zaczął naciągać cięciwę. – Jeszcze ze dwa strzały i go dopadniemy. Wcześniej czy później. Nie musisz się, kurwa, martwić...

Płoszka dostrzegła kątem oka jakiś błysk i najemnik uderzył o ścianę, przebity włócznią Waerdinura. Zdołał powiedzieć „Och”, po czym osunął się na ziemię, ostrożnie odkładając kuszę. Płoszka właśnie do niego podchodziła, kiedy poczuła na ramieniu delikatne dotknięcie.

Stał za nią Owca, ale jego widok wcale jej nie pocieszył. Stracił płaszcz i miał na sobie tylko skórzaną kamizelkę, spod

której wyzierały blizny i poskręcane ścięgna. Jego miecz złamał się w połowie, a rozszczepione ostrze pokrywała krew, którą był ubrudzony aż po łokieć.

– Owca? – szepnęła.

Nawet na nią nie spojrział, tylko odsunął ją z drogi przedramieniem, kierując ogniste spojrzenie czarnych oczu na most, napinając mięśnie szyi i przechylając głowę. Jego bladą skórę pokrywały kropelki potu i plamki krwi, a wyszczerzone zęby lśniły jak u czaszki. Płoszka odskoczyła, jakby sama śmierć postukała ją w ramię. Może właśnie tak się stało.

Jakby od dawna przygotowywał się do tego spotkania, Waerdinur wyciągnął miecz, prosty i matowy, ze lśniącym srebrnym znaczkiem obok rękojeści.

– Też kiedyś taki miałem. – Owca odrzucił własne złamane ostrze, które zsunęło się z krawędzi przepaści i spadło w pustkę.

– Dzieło samego Stwórcy – rzekł Waerdinur. – Trzeba było je zachować.

– Ukradł mi go przyjaciel. – Palce Owcy zbieleły, gdy zacisnął je na potężnym żelaznym pręcie opartym o jedno z kowadeł, który długością dorównywał wzrostowi Płoszki. – Podobnie jak wszystko inne. – Metal zazgrzytał, gdy powlekł go za sobą w stronę mostu. – Ale zasługiwałem na jeszcze gorszy los.

Płoszka chciała go powstrzymać, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Zupełnie jakby brakowało jej powietrza do mówienia. Zresztą nie widziała innego wyjścia, a przecież nie miała zamiaru zawrócić. Dlatego schowała miecz do pochwy i chwyciła łuk. Waerdinur to zobaczył i ostrożnie cofnął się o kilka kroków, balansując na przedniej części stóp, spokojny, jakby stąpał po parkiecie, a nie po kamiennej kładce zbyt wąskiej, by przejechał po niej nawet najmniejszy wóz.

– Mówiłem ci, że wrócę – powiedział Owca, wchodząc na most, a czubek metalowego pręta brzęczał mu za plecami.

– I oto jesteś – odparł Waerdinur.

Owca odepchnął nogą zwłoki najemnika, które runęły w otchłań.

– Obiecałem, że przyprowadzę ze sobą śmierć.

– Tak też się stało. Pewnie jesteś z siebie zadowolony.

– Będę zadowolony, kiedy usunę cię z drogi. – Owca zatrzymał się o kilka kroków przed Waerdinurem, pozostawiając za sobą lśniąca ślady butów. Dwaj starcy stanęli naprzeciwko siebie pośród olbrzymiej pustki.

– Naprawdę uważasz, że jesteś po stronie dobra? – spytał przywódca Smoczego Ludu.

– A kogo to obchodzi?

Owca skoczył do przodu, unosząc nad głowę długi pręt, po czym spuścił go na tarczę przeciwnika z hukiem, od którego Płoszka aż się skrzywiła, pozostawiając potężne wgłębienie w wizerunku smoka i zaginając jeden z narożników tarczy. Waerdinur rozpląszczył się na moście, po czym, wierzgając nogami, oddalił się od krawędzi. Zanim przebrzmiało echo uderzenia, Owca ryknął i ponownie się zamachnął.

Tym razem Waerdinur był przygotowany. Pochylił tarczę w taki sposób, że pręt się po niej ześlizgnął, po czym odpowiedział ciosem miecza. Owca odskoczył do tyłu ze zwinnością węża, dzięki czemu ostrze minęło go o włos, a następnie rzucił się naprzód i trafił przeciwnika od dołu w szczękę, tak że ten zatoczył się, plując krwią. Jednakże szybko odzyskał równowagę i zaczął siec mieczem z lewej i prawej strony, posyłając w powietrze iskry i kawałki metalu, gdy Owca blokował jego ciosy prętem.

Płoszka napięła łuk, ale chociaż znajdowała się blisko walczących mężczyzn, poruszali się oni zbyt szybko – morderczo szybko, tak że każdy krok lub drgnięcie mogły być ich ostatnimi – żeby mogła mieć pewność, kogo trafi, jeśli wypuści strzałę. Ostrożnie weszła na most, gwałtownie poruszając dłonią, próbując dobrze wycelować, ale wciąż była spóźniona o kilka sekund. Pot łaskotał ją w mrugające powieki, gdy przenosiła wzrok z walki na pustkę pod stopami.

Waerdinur przewidział kolejny cios i go uniknął, poruszając się niezwykle zręcznie jak na człowieka o jego posturze. Pręt uderzył w most z jazgotliwym trzaskiem, krzesząc iskry, a Owca na chwilę stracił równowagę, dając przeciwnikowi okazję do zadania ciosu. Odchylił głowę do tyłu i jasny czubek miecza nie rozplątał mu czaszki, a jedynie pozostawił czerwoną linię na twarzy. Kropelki krwi prysnęły w otchłań. Owca postawił trzy chwiejne kroki, zatrzymując się obcasem na samej krawędzi mostu. Między mężczyznami otworzyła się wolna przestrzeń, lecz tylko na moment, gdyż Waerdinur natychmiast spróbował wykonać pchnięcie.

Płoszka nigdy nie lubiła beczynn timer czekać, a gdy nadchodziła odpowiednia chwila, zawsze rzucała się w wir wydarzeń. Nawet nie myślała o zwolnieniu cięciwy. Strzała pomknęła przez mrok, musnęła krawędź tarczy i wbiła się Waerdinurowi w rękę, w której trzymał miecz. Starzec stęknął, a czubek jego ostrza opadł i niegroźnie zachrząścił na moście. Płoszka opuściła łuk, nie wierząc, że udało jej się strzelić, a co dopiero trafić w cel.

Owca ryknął jak wściekły byk i zaczął uderzać metalowym prętem z taką łatwością, jakby trzymał wierzbową witkę, miotając Waerdinurem na wszystkie strony, odrzucając go

wzdłuż mostu, nie dając mu szansy na zadanie ciosu, co i tak uniemożliwiła mu strzała tkwiąca w ręce, ani na zrobienie czegokolwiek poza walką o utrzymanie się na nogach. Kroczył za nim, niestrudzony, bezlitosny, spychając go z mostu na przeciwną skalną półkę. Ostatni cios wytrącił Waerdinurowi tarczę z ręki i zrzucił ją w ciemność. Przywódca Smoczego Ludu zatoczył się na ścianę i wypuścił miecz z bezwładnej dłoni zalanej krwią ciekącą z rany.

Z cieni w łukowato sklepionym przejściu wyskoczył jakiś kształt i z błyskiem noża skoczył na Owcę, który zatoczył się do tyłu ku krawędzi, ale po krótkiej walce zrzucił napastnika, ciskając go na ścianę. Dziewczynka o ogolonej głowie upadła na ziemię, zwinięta w kłębek. Bardzo się zmieniła, ale Płoszka i tak ją poznała.

Odrzuciła łuk i puściła się biegiem, nie myśląc o przepaści po obu stronach, nie myśląc o niczym, poza dzielącą je odległością.

Owca wyrwał sobie nóż z ramienia, bryzgając krwią, po czym wyrzucił go jak zużytą wykałaczkę, a na jego twarzy wciąż malował się taki sam czerwony uśmiech, krwawy jak świeża rana. Niczego nie widział i o nic nie dbał. To nie był ten sam człowiek, który siedział obok niej na kołyszącym się wozie podczas długich podróży, cierpliwie orał pole, śpiewał dzieciom albo pouczał ją, żeby była realistką. To był ktoś zupełnie inny, być może całkowicie pozbawiony człowieczeństwa. Ten sam, który zamordował tamtych dwóch bandytów w Averstock, ściał Sangedowi głowę na równinach, własnymi rękami zabił Glamę Żółtego w Kręgu. Najlepszy przyjaciel śmierci.

Odchylił się do tyłu z metalowym prętem w zaciśniętych dłoniach, lśniąc skaleczeniami zadanymi przez miecz Stwórcy,

Płoszka próbowała krzyczeć, lecz nadaremnie. Był również

bezlitosny jak zima. Pokonała tyle mil, przebrnęła przez tak rozległe tereny, a gdy pozostało jej zaledwie kilka kroków, on z sykiem opuścił pręt.

Waerdinur rzucił się na Ro, żeby ją zasłonić, a metal uderzył go w potężne przedramię i złamał je jak gałązkę, po czym trafił w ramię, a następnie rozbił głowę, pozbawiając starca przytomności. Owca zamierzył się do kolejnego ciosu, wrzeszcząc z pianą na wykrzywionych ustach, ale wtedy Płoszka chwyciła drugi koniec pręta i skoczyła z mostu. Została wyrzucona w powietrze, poczuła gwałtowny podmuch i zobaczyła, jak lśniąca jaskinia odwraca się przed jej oczami, po czym, zwrócona głową w dół, uderzyła o skałę.

Potem zapadła cisza.

Tylko słabe dzwonienie.

Szuranie butów.

„Wstawaj, Płoszko”.

„Nie możesz cały dzień leżeć”.

„Jest dużo roboty w gospodarstwie”.

Jednakże oddychanie stanowiło nie lada problem.

Odepchnęła się od ściany, posadzki albo sufitu, a wtedy cały świat zawirował jak liść niesiony wodami powodzi.

Stoi? Nie. Leży na plecach. Z bezwładnie zwieszoną ręką. Zwieszoną z krawędzi przepaści, ponad czernią i ogniem, który wydawał się malutki w oddali. Uznała, że to niekorzystna sytuacja, więc odtoczyła się w drugą stronę. Zdołała dźwignąć się na kolana, a gdy wszystko zakołysało się jej przed oczami, potrząsnęła głową, próbując pozbyć się otępienia.

Słyszała krzyki, niewyraźne i stłumione głosy. Coś się z nią zderzyło, tak że niemal ponownie upadła.

Dostrzegła kłębowisko ludzi, zataczających się i zmagających,

a w jego środku Owcę, z twarzą jak pysk dzikiej bestii, czerwoną i mokrą od przecinającego ją długiego skaleczenia. Wydawał piskliwe i bulgoczące odgłosy, które nawet nie przypominały wyzwisk.

Potężny sierżant Coski, Przyjazny, stał za Owcą i obejmował go jedną ręką za szyję, pocąc się z wysiłku i tylko nieznacznie marszcząc czoło, jakby zmagał się z kłopotliwym sumem.

Słodki próbował przytrzymać lewą rękę Owcy, ale ten miotał nim na wszystkie strony jak narowisty koń złapany na linę. Savian trzymał prawą rękę olbrzyma i skrzeczał:

– Przestań! Przestań, ty szalony skurwielu!

Płoszka zauważyła, że dobył noża, i przypuszczała, że nie zdoła go powstrzymać przed jego użyciem. Nawet nie wiedziała, czy tego chce.

Owca próbował zabić Ro. Tak wiele razem przeszli, żeby ją odnaleźć, a on próbował ją zabić. Zabiłby także Płoszkę, niezależnie od tego, co obiecał jej matce. Zabiłby ich wszystkich. Nie potrafiła tego zrozumieć. Nie chciała.

W końcu Owca zeszywniał, niemal ściągając Słodkiego z krawędzi urwiska, błysnął białkami oczu spod trzepoczących powiek i sflaczał. Sapiąc i jęcząc, zakrył twarz zakrwawioną dłonią pozbawioną palca. Nagle stracił cały zapał do walki.

Savian poklepał go po piersi, wciąż trzymając za plecami nóż.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział.

Płoszka chwiejnie wstała. Świat wreszcie przestał tańczyć jej przed oczami, ale jej głowa wciąż pulsowała bólem, a spływająca krew łaskotała ją z tyłu czaszki.

– Spokojnie, spokojnie.

Z trudem poruszała prawą ręką, a żebra bolały ją przy każdym oddechu, ale zaczęła sunąć w stronę przejścia. Za sobą

słyszała szlochanie Owcy.

– Spokojnie... spokojnie...

Wąski korytarz, rozpalony jak kuźnia, czarny, jeśli nie liczyć blasku gdzieś z przodu i migoczących punkcików na posadzce. Krew Waerdinura. Płoszka pokuśtykała dalej. Przypomniała sobie o swoim mieczu, zdołała go wyciągnąć, ale nie potrafiła zacisnąć odrętwiałej prawej dłoni na rękojeści, więc niezdarnie przełożyła go do lewej. Szła coraz pewniej, zbliżając się do truchtu, a tunel stawał się coraz jaśniejszy i bardziej gorący. Przed sobą zobaczyła otwór, przez który złote światło wylewało się na kamienie. Wypadła z korytarza i nagle wyhamowała, po czym upadła na pośladki i znieruchomiała podparta na łokciach z szeroko otwartymi ustami.

– O kurwa – westchnęła.

Wiedziała, że nazywają się Smoczym Ludem, ale nigdy by nie pomyślała, że naprawdę mają smoka.

Leżał na środku rozległej kopulasto sklepionej komnaty, jak olbrzymia ilustracja z książki z bajkami – piękny, straszliwy, dziwaczny, z tysiącami tysięcy metalowych łusek lśniących matowo w blasku płomieni.

Trudno było oszacować jego wielkość, gdyż cielsko miał wielokrotnie zwinięte, ale jego zwężająca się ku pyskowi głowa dorównywała długością wzrostowi dorosłego mężczyzny. Zęby miał jak ostrza sztyletów. Nie miał pazurów. Każda z licznych nóg kończyła się dłonią o eleganckich metalowych palcach zdobionych złotymi pierścieniami. Pod jego złożonymi papierowymi skrzydłami cicho stukały i pobrzękiwały koła zębate oraz powoli obracały się kółka, z nozdrzy wydobywały się małe obłoczki pary, czubek języka przypominającego rozwidlony łańcuch delikatnie grzechotał, a spod każdej

z czterech metalowych powiek wyzierała cieniutka kreska szmaragdowego oka.

– O kurwa – ponownie wyszeptała Płoszka, opuszczając wzrok na leże smoka, które również wyglądało jak żywcem wyjęte z dziecięcych fantazji.

Góra pieniędzy. Stare złoto i srebro. Łańcuchy i kielichy, monety i korony, pozłacana broń i zbroje. Różności wysadzone klejnotami. Srebrny sztandar jakiegoś dawno zaginionego legionu sterczący pod zawadiackim kątem. Wywrócony tron z rzadkich gatunków drewna ozdobiony złotymi listkami. Było tego absurdalnie dużo. Bezcenne kosztowności zmienione w krzykliwe śmieci przez samą ich liczbę.

– O kurwa – wymamrotała po raz ostatni, czekając, aż metalowa bestia się zbudzi i rzuci z ognistą furią na małego intruza.

Jednakże smok się nie poruszał, a Płoszka popatrzyła na ziemię. Krwawe kropki zmieniły się w smugę, potem w strużkę, aż w końcu zobaczyła Waerdinura, który leżał oparty o przednią łapę smoka, a obok niego siedziała Ro z buzią umazaną krwią wypływającą ze skaleczenia na głowie.

Płoszka z trudem wstała i powlekła się w głąb komnaty. Kamienna posadzka miała kształt niecki i była pokryta pismem. Kobieta mocno ścisnęła miecz, zupełnie jakby ten okruch stali mógł ją obronić.

Gdy podeszła bliżej, dostrzegła także inne przedmioty na górze skarbów. Papiery z masywnymi pieczęciami. Prawa własności do górniczych działek. Bankowe dokumenty. Akty notarialne od dawno nieistniejących budynków. Testamenty dotyczące dawno podzielonych posiadłości. Udziały w Drużynach, spółkach i dawno upadłych przedsięwzięciach.

Klucze do zapomnianych zamków. A także czaszki. Całe tuziny. Setki. Monety i kamienie szlachetne, oszlifowane oraz surowe, wysypujące się z pustych oczodołów. Cóż jest cenniejszego od zmarłych?

Waerdinur płytko oddychał, szatę miał nasączoną krwią, jedna ręka spoczywała, strzaskana i bezwładna, u jego boku, drugą obejmował Ro, a złamana strzała Płoszki wciąż tkwiła w okolicach jego ramienia.

– To ja – szepnęła Płoszka, bojąc się podnieść głos, powoli posuwając się naprzód z wyciągniętą ręką. – Ro, to ja.

Dziewczynka nie chciała puścić ręki starca. Musiał sam delikatnie otworzyć jej dłoń. Popchnął ją w stronę Płoszki, wypowiedział cicho kilka słów w swoim języku, po czym pchnął małą ponownie, tym razem bardziej stanowczo. Znow wyszeptał kilka słów, a Ro zwiesiła ogoloną głowę i zaczęła się od niego odsuwać ze łzami w oczach.

Waerdinur popatrzył na Płoszkę oczami ożywionymi bólem.

– Chcieliśmy dla nich tylko tego, co najlepsze.

Płoszka uklękła i przytuliła dziewczynkę. Mała sprawiała wrażenie wychudzonej, sztywnej i niechętnej, nie pozostało w niej nic z siostrzyczki, którą była kiedyś. Nie było to spotkanie, o jakim Płoszka marzyła.

– O kurwa! – Nicomo Cosca stał w wejściu do komnaty i wpatrywał się w smoka na górze skarbów.

Sierżant Przyjazny podszedł do bestii, wysuwając spod płaszcza ciężki tasak, postawił jeden krok na podłożu ze złota, kości i papierów, wzbudzając obcasem niewielką lawinę monet, po czym wyciągnął rękę i postukał smoka po pysku.

Jego tasak zabrzączał, jakby zetknął się z kowadłem.

– To maszyna – rzekł Przyjazny, marszcząc czoło.

– Najbardziej święte dzieło Stwórcy – wychrypiał Waerdinur.
– Cudowne, pełne mocy i...

– Niewątpliwie. – Uśmiechnięty Cosca wszedł do komnaty, wachlując się kapeluszem. Jednakże to nie smok zwrócił jego uwagę, tylko leże. – Z jak dużą sumą mamy do czynienia, jak myślisz, Przyjazny?

Sierżant uniósł brwi i głęboko wciągnął powietrze przez nos.

– Ogromną. Mam policzyć?

– Może później.

Przyjazny wyglądał na lekko rozczarowanego.

– Posłuchajcie mnie... – Waerdinur spróbował usiąść, a krew mocniej trysnęła z rany na ramieniu, brudząc jasne złoto za jego plecami. – Jesteśmy blisko obudzenia smoka. Tak blisko! To dzieło całych wieków. W tym roku... być może w przyszłym. Nie wyobrażacie sobie jego mocy. Moglibyśmy... moglibyśmy się nim podzielić!

Cosca się skrzywił.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że nie potrafię się dzielić.

– Wypędzimy Obcych z gór, a wtedy świat znów stanie się dobry, tak jak w Dawnych Czasach. A wy... dostaniecie wszystko, czegokolwiek zapagniecie!

Cosca z uśmiechem podniósł wzrok na smoka, opierając dłonie na biodrach.

– To z pewnością niezwykła ciekawostka. Cudowny relikw. Ale czy nie wiecie, kto nadciąga poprzez równiny? Legion prostaczków. Kupcy, rolnicy, drobni rzemieślnicy i biurokraci. Nieskończona powódź chciwców. – Pomachał kapeluszem w stronę smoka. – Takie rzeczy są bezużyteczne, jak krowa przeciwko rojowi mrówek. Na świecie nie pozostanie żadne miejsce, do którego będzie można przybyć w poszukiwaniu

magii, tajemnicy i tego, co dziwne. Oni przybędą do waszych świętych miejsc i wybudują... zakłady krawieckie. Centra pasmanteryjne. Biura prawników. Zmieniają je w mdłe kopie innych miejsc. – Stary najemnik z namysłem podrapał się po szyi pokrytej wysypką. – Możecie karmić się nadzieją, że będzie inaczej. Sam bym tego chciał. Ale to na nic. Mam dosyć walki w straconych sprawach. Czas takich ludzi jak ja przemija. A czas ludzi takich jak ty? – Wydłubał odrobinę krwi z za paznokci. – Minął tak dawno, jakby nigdy nie miał miejsca.

Waerdinur próbował wyciągnąć dłoń, która zwisała ze złamanego przedramienia, napinając skórę wokół strzaskanych kości.

– Nie rozumiesz, co wam proponuję!

– Ależ rozumiem. – Cosca postawił jeden but na złożonym hełmie tkwiącym w górze skarbów, uśmiechając się do Prawej Ręki Stwórcy. – Może cię to zdziwi, ale składano mi wiele ekscentrycznych propozycji. Ukryte fortuny, honorowe miejsca, lukratywne prawa handlowe na wybrzeżu Kadiri, kiedyś nawet całe miasto, chociaż przyznaję, że w kiepskim stanie. Z czasem dotarło do mnie... – zerknął z uwagą na parujący pysk smoka – ...a było to bolesne odkrycie, gdyż ja również lubię fantastyczne marzenia... – wyłowił ze sterty pojedynczą złotą monetę i podniósł ją do światła – ...że jedna marka jest warta więcej niż tysiąc obietnic.

Waerdinur powoli opuścił złamaną rękę.

– Próbowałem zrobić... to, co najlepsze.

– Oczywiście. – Cosca pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym rzucił monetę z powrotem na stertę. – Możesz wierzyć albo nie, ale to samo dotyczy nas wszystkich. Przyjazny?

Sierżant pochylił się i zręcznie rozplatał Waerdinurowi

głowę tasakiem.

– Nie! – wrzasnęła Ro, a Płoszka z trudem mogła utrzymać jej miotające się ciało.

Cosca sprawiał wrażenie lekko poirytowanego.

– Najlepiej będzie, jeśli ją stąd zabierzesz. To naprawdę nie jest miejsce dla dziecka.

Chciwość

Wyruszyli wesołym tłumem, uśmiechając się, śmiejąc, gratulując sobie nawzajem wykonanej pracy, porównując trofea ze złota i ciała, które ukradli zabitym. Ro nigdy nie myślała, że kiedykolwiek w życiu spotka człowieka gorszego niż Grega Cantliss. Teraz tacy ludzie otaczali ją ze wszystkich stron. Jeden miał piszczalkę Akarina i wygrywał na niej bezmyślną skoczną melodię złożoną z trzech nut, a niektórzy tańczyli i płąsali w dolinie, w strojach jaskrawych od krwi jej rodziny.

Pozostawili Ashranc w ruinach, rozbili rzeźby, obrócili Drzewa Serc w popiół, wyrwali brązowe płyty, spalili Długi Dom za pomocą błogosławionych węgli z paleniska, wszystko na zawsze splamili śmiercią. Sprofanowali nawet najświętsze z jaskiń i wywrócili Smoka, żeby ukraść monety, na których spoczywał, po czym zapieczętowali jego siedzibę i zburzyli most płonącym proszkiem, a ziemia aż zadrżała, przerażona tą herezją.

– Lepiej się zabezpieczyć – rzekł morderca Cosca, po czym nachylił się w stronę starca zwanego Savianem i spytał: – Znalazłeś swojego synka? Mój notariusz uratował kilkoro dzieci. Okazało się, że ma do tego talent.

Savian pokręcił głową.

– Szkoda. Będziesz szukał dalej?

– Powiedziałem sobie, że to będzie ostatnia próba.

– Cóż, każdy człowiek ma granice wytrzymałości. – Cosca po przyjacielsku poklepał go po ramieniu, po czym połaskotał Ro

pod brodą. – Rozchmurz się, włosy szybko ci odrosną!

Ro patrzyła, jak odchodzi, żałując, że nie ma w sobie na tyle odwagi, przytomności umysłu lub wściekłości, żeby znaleźć nóż i go zadźgać albo rozszarpać paznokciami, albo wgryźć mu się w twarz.

Wyruszyli szybko, ale wkrótce zwolnili, zmęczeni, obolali i nasyceni zniszczeniem. Uginali się i pocili pod ciężarem łupów, a ich torby i kieszenie były wypchane monetami. Nie trzeba było długo czekać, by zaczęli się przepychać i wyzywać, kłócąc się o błyskotki, które spadły na ziemię. Jeden z mężczyzn chwycił piszczałkę i rozbił ją o kamień, człowiek, który na niej grał, uderzył go, a rozdzielił ich dopiero czarnoskóry olbrzym, który mówił o Bogu, zupełnie jakby On na to patrzył. Ro pomyślała, że skoro Bóg może zobaczyć wszystko, to po co miałyby patrzeć na coś takiego.

Płoszka cały czas mówiła, ale była inna niż kiedyś. Skurczona, blada i zmęczona, jak ogarek świecy, jak zbity pies, tak że Ro z trudem ją rozpoznawała. Przypominała kobietę, którą kiedyś widziała we śnie. W koszmarze. Bełkotała, nerwowo i głupio, z przyklejoną maską uśmiechu. Spytała dziewiątkę dzieci, jak mają na imię. Część z nich podała swoje dawne, a część nowe imiona, gdyż już nie wiedziały, kim tak naprawdę są.

Płoszka przykucnęła przed Evinem, gdy ten się jej przedstawił.

– Przez jakiś czas był z nami twój brat Leef. – Przyłożyła grzbiet drżącej dłoni do ust. – Zginął na równinach. Pochowaliśmy go w godnym miejscu. Najlepszym, jakie mogliśmy znaleźć. – Potem położyła dłoń na ramieniu Ro. – Chciałam ci przywieźć książkę albo jakiś inny prezent, ale...

jakoś się nie udało.

Ro prawie zapomniała świat, w którym były książki, za to doskonale pamiętała twarze zabitych, dlatego nie zrozumiała siostry.

– Przepraszam... że to tak długo trwało. – Płoszka popatrzyła na nią wilgotnymi, zaróżowionymi oczami. – No, powiedz coś.

– Nienawidzę cię – odrzekła Ro w mowie Smoczego Ludu, żeby Płoszka jej nie zrozumiała.

Ciemnoskóry mężczyzna zwany Temple popatrzył na nią ze smutkiem, po czym odezwał się w tym samym języku.

– Twoja siostra przebyła bardzo daleką drogę, żeby cię odnaleźć. Przez wiele miesięcy myślała tylko o tobie.

– Nie mam siostry. Powiedz jej to.

Temple pokręcił głową.

– Sama jej powiedz.

Przez cały ten czas obserwował ich stary Północny. Miał szeroko otwarte oczy, ale Ro miała wrażenie, że przenika ją wzrokiem i patrzy na coś strasznego w oddali. Przypominała sobie, jak stanął nad nią z diabelskim uśmiechem, a jej ojciec oddał życie w jej obronie, i zastanawiała się, kim jest ten milczący zabójca, który tak bardzo przypomina Owcę. Kiedy jego pokaleczona twarz zaczęła krwawić, Savian przyklęknął przy nim, żeby zszyć ranę.

– Okazało się, że ten Smoczy Lud wcale nie przypominał demonów – rzekł.

Mężczyzna, który wyglądał jak Owca, nawet nie drgnął, gdy igła przebijała jego skórę.

– Prawdziwe demony nosi się w sobie.

Kiedy Ro leżała w ciemności, nawet przy zatkanych uszach

wciąż słyszała wrzaski Hirfac, którą spalili na płycie do gotowania, aż w powietrzu rozniósł się słodki zapach mięsa. Nawet gdy zasłaniała oczy, wciąż widziała twarz Ulstala, smutną i pełną godności, gdy zepchnęli go włóczniami z urwiska, a on spadł, nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku. Widziała roztrzaskane ciała dobrych ludzi, z którymi się śmiała, pełnych mądrości, a teraz zmienionych w bezużyteczne kawałki mięsa, i nie rozumiała tego zniszczenia. Czuła, że powinna bezgranicznie nienawidzić tych Obcych, a jednak była otępiąła i pusta w środku, martwa jak jej rodzina, którą zrzuciono w przepaść, jak jej ojciec, któremu rozplątano głowę, jak Gully, którego powieszono na drzewie.

Następnego ranka okazało się, że zniknęła część ludzi, a razem z nimi ich złoto i jedzenie. Niektórzy podejrzewali dezercję, inni twierdzili, że zwabiły ich nocne duchy, a jeszcze inni sugerowali, że podąża za nimi żądny zemsty Smoczy Lud. Gdy się kłócili, Ro obejrzała się w stronę Ashranc, zobaczyła bladoniebieski całun dymu wciąż zakrywający zbocze góry i poczuła, że oto ponownie porwano ją z jej domu. Sięgnęła pod szatę i ścisnęła smoczą łuskę, którą dostała od ojca. Metal chłodził jej skórę. Na pobliskim kamieniu stała staruszka z ludu Duchów i surowo marszczyła czoło.

– Zbyt długie spoglądanie wstecz przynosi pecha, dziewczyno – powiedział białobrody mężczyzna zwany Słodkim, chociaż kobieta miała co najmniej pięćdziesiąt lat i pozostało jej już tylko kilka żółtych włosów na siwej głowie obwiązanej szmatą.

– Myślałam, że to będzie przyjemniejsze.

– Kiedy czeka się na coś przez pół życia, rzeczywistość rzadko jest w stanie sprostać marzeniom.

Ro zobaczyła, że Płoszka zerka na nią, po czym wbija wzrok

w ziemię, marszczy usta i spluwa przez szparę między zębami. Nagle przypomniała sobie, jak Płoszka i Gully urządzili zawody w pluciu do garnka. Ro i Pestka się z tego zaśmiewali, a Owca przyglądał się im z uśmiechem. Poczula ból w piersi i odwróciła wzrok, choć sama nie wiedziała dlaczego.

– Może pieniądze sprawią, że poczujesz się lepiej – rzekł Słodki.

Staruszka pokręciła głową.

– Bogaty głupiec nadal jest głupcem. Przekonasz się.

Mężczyźni nie mieli ochoty dłużej czekać na swoich zaginionych kompanów, więc wyruszyli w dalszą drogę. Wkrótce otworzyli butelki, upili się i zwolnili, przytłoczeni ciężarem łupów, zmagając się z upałem i nierównym skalistym terenem, przeklinając, ale brnąc naprzód, jakby złoto było warte więcej niż ich ciało i oddech. Mimo to, wciąż pozostawiali za sobą porzucone błyskotki, lśniące jak ślad ślimaka. Niektóre podnosili ich towarzysze idący z tyłu, ale wkrótce oni także je upuszczali. W nocy znów zniknęła część jedzenia i wody, a ludzie zaczęli się kłócić o to, co pozostało. Wkrótce kromka chleba była na wagę złota, i z czasem dziesięciokrotnie zwiększyła wartość, a za pół butelki trunku płacono klejnotami. Jeden z najemników zabił drugiego za jabłko, a Cosca kazał go powiesić. Zostawili go dyndającego ze srebrnymi łańcuchami wokół szyi.

– Należy utrzymać dyscyplinę! – powtarzał wszystkim pijany Cosca, trzęsąc się w siodle swojego pechowego wierzchowca.

Pestka uśmiechał się, siedząc na ramionach Owcy, a Ro uświadomiła sobie, że już dawno nie widziała go uśmiechniętego.

Gdy zostawili za sobą święte miejsca i wjechali do lasu,

zaczął padać śnieg. Wkrótce wędrowali pośród zasp, a dotkliwy ziąb zastąpił smocze ciepło rozgrzewające ziemię, więc Temple i Płoszka rozdali dzieciom futra. Otaczały ich coraz wyższe drzewa. Najemnicy, którzy wyrzucili płaszcze, żeby móc dźwigać więcej złota, teraz drżeli i miotali przekleństwa wśród kłębow pary, a zimna mgła podążała ich śladem.

Dwóch mężczyzn znaleziono martwych między drzewami. Kiedy srali, ktoś strzelił im w plecy, używając strzał, które najemnicy porzucili w Ashranc, żeby wypchać kołczany łupami.

Kolejni najemnicy udali się na poszukiwanie napastników, a gdy nie wrócili, pozostali po pewnym czasie ruszyli w dalszą drogę, ogarnięci paniką, z bronią w ręku, wpatrując się w drzewa, drżąc na widok każdego cienia. Ludzie nie przestawali znikać, jeden po drugim, aż w końcu ktoś wziął swojego zabląkanego kompana za wroga i go postrzelił, a Cosca rozłożył ręce i oznajmił, że na wojnie nie ma wyraźnej granicy między przyjaciółmi a wrogami. Zaczęli się spierać, jak będą nieśli rannego, a niektórzy proponowali, żeby go zostawić, lecz zanim podjęli decyzję, on i tak umarł, więc zabrali jego rzeczy i rzucili ciało do rozpadliny.

Część dzieci posyłała sobie uśmiechy, wiedząc, że podążają za nimi członkowie ich rodziny, a pozostawiane ciała stanowią wiadomość.

– W nocy uciekniemy – oznajmił w języku Smoczego Ludu Evin, który szedł niedaleko za Ro, a dziewczynka pokiwała głową.

Zapadła ciemność pozbawiona blasku gwiazd i księżyca, padał gęsty, miękki śnieg, a Ro czekała, drżąc z pragnienia ucieczki, a zarazem z lęku przed schwyтaniem, odmierzając powoli mijający czas oddechami śpiących Obcych. Płoszka

oddychała szybko i równo, z ust Saviana wydobywało się głośne chrypienie, a kobieta z ludu Duchów mamrotała coś pod nosem, gdy przewracała się na drugi bok – była bardziej rozmowna podczas snu niż za dnia. Ro czekała, aż starzec Słodki, którego uznawała za najpowolniejszego spośród całej kompanii, obudzi się i przy wtórze narzekania obejmie wartę po drugiej stronie obozu. Wtedy postukała Eviną w ramię, a on skinął głową i zbudził innych. W ciszy zaczęli się wykradać w ciemność.

Potrząsnęła Pestką, a on obudził się i usiadł.

– Czas iść – oznajmiła, jednak chłopiec tylko zamrugnął. – Czas iść! – syknęła, ściskając go za rękę.

Pokręcił głową.

– Nie.

Dźwignęła go na nogi, ale on zaczął się bronić.

– Nie pójdę! – krzyknął. – Płoszko!

Ktoś odrzucił koc, zabręczała puszcza, powstało ogólne zamieszanie, a Ro puściła rękę Pestki i pobiegła poprzez śnieg w stronę drzew. Potknęła się o korzeń, potoczyła, po czym wstała i pomknęła dalej. Brnęła naprzód, walcząc, by wreszcie odzyskać wolność. Nagle jakiś potworny ciężar przytrzymał ją za kolana i runęła na śnieg.

Wrzeszczała, wierzgała i biła piąstkami, ale równie dobrze mogłaby walczyć z kamieniem, drzewem albo samą ziemią. Ciężar przygniótł jej biodra, a potem pierś, czyniąc ją bezsilną. Wydawało jej się, że poprzez wirujący śnieg widzi, jak Evin się na nią ogląda, i wyciągnęła w jego stronę dłoń, krzycząc:

– Pomóż mi!

Potem połknęła go ciemność. Albo ją.

– Niech cię piekło pochłonie! – warknęła przez łyzy, na próżno próbując się uwolnić.

Wtedy usłyszała głos Owcy, który szeptał jej do ucha.

– Na pewno tak się stanie, ale nie zamierzam ponownie wypuścić cię z rąk. – Objął ją tak mocno, że ledwie mogła się ruszać i oddychać.

I tak to się skończyło.

V

Kłopoty

*„W każdej krainie na świecie rodzą się źli ludzie –
a także, z czasem, kolejni źli ludzie, którzy ich
zabijają
dla powszechnego dobra”.*

Emerson Hough

Rozliczenia

Wyczuli Sygnał na długo, zanim go zobaczyli. Woń smażonego mięsa sprawiła, że wygłodniała kolumna popędziła na oślep w dół zbocza pomiędzy drzewami. Ślizgali się, przepychając i wywracając nawzajem, wyrzucając w górę fontanny śniegu. Wysoko ponad obozowiskiem przedsiębiorcza handlarka smażyła kawałki mięsa na patykach. Na nieszczęście dla niej, najemnicy nie mieli najmniejszego zamiaru płacić i, ignorując jej protesty, zjedli wszystko do ostatniej chrząstki, niczym rój szarańczy. Walczono nawet o surowe mięso i łapczywie je pożerano. W zamieszaniu jeden z ludzi oparł się o rozpalony ruszt i z jękiem uklęknął na śniegu, ściskając dłoń naznaczoną czarnymi paskami. Tymczasem Temple brnął dalej, obejmując się rękami dla ochrony przed zimnem.

– Co za banda – mruknęła Płoszka. – Bogatsi niż Hermon, a i tak wolą kraść.

– Czynienie zła wchodzi w nawyk – odrzekł Temple, szczękając zębami.

Zapach zysku musiał dotrzeć aż do Fałdy, ponieważ obóz tętnił życiem. Rozkopano kilka kolejnych kurhanów i postawiono nowe chatki, których kominy pracowicie dymiły. Handlarze rozstawili stragany, a dziwki rozłożyły materace, radośnie oferując swe usługi dzielnym zdobywcom. Sprzedawcy ukradkowo zmieniali ceny, gdy dostrzegli, z chciwym zdumieniem, jak wiele złota i srebra dźwigają przybysze.

Cosca jako jedyne podróżował w siodle, prowadząc procesję

na grzbiecie wyczerpanego muła.

– Witajcie! – Sięgnął do torby przy siodle i beztróskim ruchem nadgarstka wyrzucił w powietrze deszcz dawnych monet. – I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Ludzie wywrócili stragan z garnkami i patelniami, rzucając się na brzęczące monety, kłębiąc się wokół kopyt wierzchowca Starego, przepychając się jak gołębie walczące o garstkę nasion. Wychudzony skrzypek, którego nie zrażał brak kilku strun, zaczął grać skoczną melodię i krążył wśród najemników z bezzębnym uśmiechem.

Pod znajomym szyldem „Artykuły metalowe u Majuda i Curnsbicka”, do którego starannie dodano dopisek „Broń i zbroje – wytwarzanie oraz naprawa”, stał Abram Majud, a na wąskim terenie za jego plecami dwóch pracowników podtrzymywało ogień w opatentowanej przenośnej kuźni.

– Znalazłeś nową działkę – rzekł Temple.

– Niewielką. Wybudujesz mi na niej dom?

– Może później. – Temple uściśnął dłoń kupca i z nostalgią wspomniał, kiedy ostatnio uczciwie pracował dla choćby w połowie uczciwego pracodawcy. Nostalgia stawała się jego drugą naturą. Dziwne, że najlepsze chwile naszego życia zauważamy dopiero we wspomnieniach.

– Czy to te dzieci? – spytał Majud, kucając przed Pestką i Ro.

– Znaleźliśmy je – odparła Płoszka bez triumfu w głosie.

– Cieszę się. – Majud wyciągnął dłoń w stronę chłopca. – Ty pewnie jesteś Pestka.

– Tak jest – odrzekł malec, poważnie kiwając głową.

– A ty jesteś Ro.

Dziewczynka zmarszczyła czoło i nie odpowiedziała.

– To jest Ro – przytaknęła Płoszka. – A przynajmniej... była.
Majud klepnął się w kolana.

– I na pewno znów nią będzie. Ludzie się zmieniają.

– Jesteś pewien? – spytał Temple.

Kupiec położył mu dłoń na ramieniu.

– Czyż nie stoi przede mną żywy dowód?

Temple zastanawiał się, czy to był żart, czy komplement, gdy w uszach zabrzmiał mu znajomy chrapliwy wrzask Coski.

– Temple!

– Głos twojego pana – zauważyła Płoszka.

Czy miało sens dyskusowanie o tym? Temple przepaszająco skinął głową, po czym powlekł się w stronę fortu jak zbity pies. Minął mężczyznę, który z twarzą lśniąca od tłuszczu rozrywał rękami gotowanego kurczaka. Kolejni dwaj walczyli o butelkę piwa, a gdy niechący wyciągnęli korek, trzeci zanurkował pomiędzy nich z otwartymi ustami, na próżno próbując pochwycić rozlany trunek. Rozległy się wiwaty, gdy trzech najemnicy podnieśli na ramionach jedną z dziwek przystrojoną w złoto, z przekrzywioną koroną na głowie.

– Jestem królową Unii, kurwa! – wrzeszczała dziwka. – Jestem, kurwa, królową Unii!

– Cieszę się, że wszystko u ciebie w porządku. – Sworbrek poklepał Temple'a po ramieniu ze szczerą serdecznością.

– Owszem, udało mi się nie zginąć. – W jego życiu już od dawna nic nie było w porządku.

– Jak tam było?

Temple przez chwilę się zastanawiał.

– Obawiam się, że nie mam dla ciebie żadnych opowieści o bohaterstwie.

– Porzuciłem już nadzieję, że jakieś znajdę.

– Z doświadczenia wiem, że warto ją porzucić jak najprędzej

– mruknął Temple.

Stary wezwał swoich trzech kapitanów i razem naradzali się w cieniu potężnego opancerzonego wozu Superiora Pike'a, roztaczając wokół siebie aurę spisku oraz nieprzyjemny zapach.

– Moi zaufani przyjaciele – rzekł Cosca, zaczynając od kłamstwa, żeby nie tracić czasu. – Oto szczyt naszych dotychczasowych osiągnięć. Jednak, jako człowiek, który wielokrotnie był w tej sytuacji, zapewniam was, że nie ma bardziej zdradzieckiego miejsca, a tych, którzy stracą grunt pod nogami, czeka długi upadek. Sukces stanowi znacznie poważniejszą próbę dla przyjaźni niż porażka. Od tej chwili musimy wykazywać się dwukrotnie większą czujnością w kontaktach z naszymi ludźmi i trzykrotnie większą ostrożnością wobec wszystkich obcych.

– To prawda – przytaknął Brachio, potrząsając podbródkiem.

– Zaiste. – Dimbik zaśmiał się kpiąco. Jego nos zaróżowił się od zimna.

– Bóg to wie – zagrzmiał Jubair, wznosząc oczy ku niebu.

– Jak mógłbym upaść, skoro podtrzymują mnie takie trzy filary? Pierwszym zadaniem musi być zebranie łupów. Jeśli zostawimy je w rękach ludzi, do świtu roztrwonią większość na rzecz tych sępów.

Gdy otwarto wielką beczkę wina, plamiąc na czerwono śnieg pod szpuntem, ludzie zaczęli wiwatować. Z radością płacili dziesięciokrotność ceny całej beczki za każdy kubek.

– Myślę, że do tego czasu będą już poważnie zadłużeni – zauważył Dimbik, przyglądając luźny kosmyk włosów wilgotnym palcem.

– Zatem proponuję bezzwłocznie zebrać wszystkie kosztowności. My dopilnujemy zbiórki, sierżant Przyjazny policzy wartość zatrzymanego mienia, panicz Temple sporządzi dokument uwierzytelniający, po czym umieścimy skarb w tym wozie i zabezpieczymy go potrójnym zamkiem. – Cosca postukał w twarde drewno, z którego wykonano wóz, jakby chciał w ten sposób potwierdzić, jak rozsądna i bezpieczna jest jego propozycja. – Dimbik, postawisz na straży swoich najbardziej lojalnych ludzi.

Brachio patrzył, jak jeden z najemników wymachuje nad głową złotym łańcuchem lśniącym klejnotami.

– Ludzie niechętnie rozstaną się z łupami.

– To zrozumiałe, ale jeśli będziemy stanowczy, a jednocześnie w wystarczającym stopniu odwrócimy ich uwagę, to ulegną. Ilu obecnie mamy ludzi, Przyjazny?

– Stu czterdziestu trzech – odrzekł sierżant.

Jubair pokręcił masywną głową, rozmyślając nad niewiernością ludzkiej rasy.

– Kompania niepokojąco się kurczy.

– Nie możemy sobie pozwolić na kolejne dezercje – rzekł Cosca. – Proponuję zgromadzić wszystkie wierzchowce w stajni pod okiem zaufanych strażników.

– To ryzykowne. – Zatroškany Brachio podrapał się po fałdzie między podbródkami. – Niektóre z nich są bardzo niespokojne...

– Jak to konie. Zajmij się tym, Jubair. Przygotuj tuzin swoich najlepszych ludzi, żeby nasza niespodzianka przebiegła zgodnie z planem.

– Już czekają na rozkazy.

– Jaka niespodzianka? – spytał Temple. Nie był pewien, czy zdoła wytrzymać kolejne emocje.

General się wyszczerzył.

– Gdybym powiedział, to już nie byłaby niespodzianka. Nie przejmuj się! Jestem pewien, że ci się spodoba.

Temple wcale nie poczuł się uspokojony. Jego wizja tego, co właściwe, z każdym kolejnym dniem była coraz bardziej rozbieżna z wizją Coski.

– A więc wracajcie do swoich zajęć, a ja przemówię do ludzi.

Patrząc na oddalających się trzech kapitanów, Cosca stopniowo przestał się uśmiechać i podejrzliwie zmrużył oczy.

– Choćbym się zesrał, nie zaufam tym draniom.

– Racja – odrzekł Przyjazny.

– Racja – dodał Temple. Rzeczywiście, jedyny człowiek, któremu ufał mniej, stał teraz obok niego.

– Wy dwaj zajmijcie się skarbami. Każdy drobiazg dokładnie oszacujecie, odnotujecie jego wartość i umieścicie go w wozie.

– Mamy wszystko policzyć? – spytał Przyjazny.

– Właśnie tak, stary druhu. Zadbajcie także o to, żeby w wozie znalazły się zapasy jedzenia i wody, oraz zaprzęgnijcie konie. Jeśli sytuacja... wymknie się spod kontroli, być może będziemy zmuszeni do szybkiego odwrotu.

– Osiem koni – rzekł Przyjazny. – Cztery pary.

– A teraz mnie podsadź. Muszę wygłosić przemowę.

Krzywiąc się i stękając, Stary wgramolił się na siedzenie, a następnie na dach wozu, wsparł się pięściami o drewnianą balustradę, zwracając się w stronę obozowiska. Najemnicy, którzy akurat nie byli bardzo zajęci, zaczęli wiwatować na jego cześć, wznosząc broń, butelki i na wpół pożarte kawałki jedzenia ku wieczornemu niebu. Zmęczeni swym brzemieniem, przy wtórze głośnego wrzasku bezceremonialnie zrzucili nowo

koronowaną królową Unii w błoto, po czym odebrali jej pożyczone kosztowności.

– Cosca! Cosca! Cosca! – ryczeli, gdy generał zdjął kapelusz, wygładził białe kosmyki na głowie, po czym szeroko rozłożył ręce, przyjmując ich uwielbienie. Ktoś wyrwał żebrakowi jego skrzypce i roztrzaskał je na kawałki, po czym zdzielił go pięścią w twarz, żeby się nie awanturował.

– Moi szlachetni kompani! – zawołał Stary. Być może upływ lat stępił niektóre z jego talentów, ale głos wciąż miał niezwykle donośny. – Wykonaliśmy dobrą robotę!

Głośnie wiwaty. Ktoś wyrzucił w powietrze garść monet, wywołując bójkę.

– Dziś świętujemy! Dziś pijemy, śpiewamy i radujemy się, jak przystało po triumfie godnym dawnych bohaterów!

Nastąpiła nowa fala wiwatów, braterskich uścisków i poklepywania po plecach. Temple zastanawiał się, czy dawni bohaterowie byliby dumni ze zrzucenia kilku tuzinów starców z urwiska. Pewnie tak. Tacy już są bohaterowie.

Cosca uniósł pokrzywioną dłoń, uciszając tłum, aż w końcu ponad obozem było słycać tylko mlaskanie pary, która postanowiła nie czekać ze świętowaniem.

– Jednak, niestety, zanim zaczniemy się bawić, musimy dokonać rozliczenia. – Natychmiastowa zmiana nastroju. – Każdy odda swój łup... – Gniewne szmery. – Cały łup! – Coraz gwałtowniejszy gniew. – Żadnego połykania klejnotów, żadnego chowania monet w tyłkach! Nikt nie ma ochoty ich tam szukać. – Buczenie kilku osób. – Wszystko po to, żeby nasza olbrzymia zdobycz mogła zostać właściwie wyceniona, zarejestrowana i bezpiecznie przechowana za potrójnym zamkiem w tym oto wozie, w celu sprawiedliwego podziału, gdy już dotrzemy do

cywilizacji!

Tłum wpadł w paskudny nastrój. Temple zauważył, że część ludzi Jubaira czujnie manewruje między najemnikami.

– Zaczniemy jutro rano! – ryknął Cosca. – A dziś wieczorem każdy otrzyma dodatek w wysokości stu marek, który będzie mógł wydać wedle życzenia! – To nieco złagodziło niezadowolenie. – Nie popsujmy swojego triumfu niezgodą! Pozostańmy zjednoczeni, a opuścimy tę ciemną krainę bogatsi, niż moglibyśmy przypuszczać w najbardziej chciwych marzeniach. Ale jeśli zwrócimy się przeciwko sobie, spotkają nas zasłużone porażka, wstyd i śmierć. – Cosca uderzył się pięścią w napierśnik. – Jak zwykle zależy mi wyłącznie na bezpieczeństwie naszego szlachetnego bractwa! Im szybciej podliczymy wasze łupy, tym szybciej zacznie się zabawa!

– A co z buntownikami? – rozległ się przenikliwy głos. Inkwizytor Lorsen przepychał się przez tłum w stronę wozu, a wyraz jego chudej twarzy nie zwiastował rychłej zabawy. – Gdzie są buntownicy, generale Cosca?

– Buntownicy? Ach tak. Coś niezwykłego. Przeszukaliśmy każdy zakątek w Ashranc. Czy można powiedzieć, że „przetrzęsaliśmy” to miejsce, jak myślisz, Temple?

– Zdecydowanie – odrzekł Temple. Rozbili w pył wszystko, co mogło skrywać choćby pojedynczą monetę, więc na pewno nie przegapiliby buntownika.

– I nie było tam po nich śladu?! – ryknął Lorsen.

– Zostaliśmy oszukani! – Cosca z frustracją uderzył pięścią w balustradę. – Psiakrew, ale ci buntownicy są cwani! Sojusz ze Smoczym Ludem okazał się fortelem.

– Ich fortelem czy waszym?

– Inkwizytorze, to niesprawiedliwe! Jestem równie

rozczarowany jak pan...

– Śmiej się! – odburknął Lorsen. – W końcu wraca pan z wypchanymi kieszeniami.

Cosca bezradnie rozłożył ręce w przeproszającym geście.

– Taka już natura najemników.

Rozległy się śmiechy członków Kompanii, ale ich pracodawca nie był w nastroju do żartów.

– Uczyniliście mnie współnikiem w rabunku! Morderstwie! Masakrze!

– Nie trzymałem panu sztyletu na gardle. O ile dobrze pamiętam, Superior Pike domagał się chaosu...

– Ale celowego! A wy urządziliście bezmyślną rzeź!

– Umyślna rzeź z pewnością byłaby jeszcze gorsza. – Cosca zachichotał, ale zasłonięci czarnymi maskami Praktycy Lorsena, którzy kryli się w cieniach, w ogóle nie mieli poczucia humoru.

Inkwizytor zaczekał na ciszę.

– Czy pan w ogóle w coś wierzy?

– Staram się tego unikać. Wiara nie jest powodem do dumy, Inkwizytorze. Wiara niepoparta dowodami to domena ludzi dzikich.

Zadziwiony Lorsen pokręcił głową.

– Rzeczywiście jest pan odrażający.

– Nie mam zamiaru zaprzeczać, jednak pan nie dostrzega, że jest jeszcze gorszy. Nikt nie jest skłonny do takiego zła jak człowiek, który uważa, że postępuje słusznie. Nie ma gorszego celu niż wyższy cel. Otwarcie przyznaję, że jestem złoczyńcą. Zresztą, właśnie dlatego mnie pan zatrudnił. Ale nie jestem hipokrytą. – Cosca wskazał obszarpane resztki swojej Kompanii, które w milczeniu obserwowały ich konfrontację. – Mam ludzi

do wykarmienia. Pan może po prostu wrócić do domu. Jeśli koniecznie chce pan czynić dobro, niech pan robi coś, z czego rzeczywiście można być dumnym. Na przykład otworzy piekarnię. Świeże pieczywo każdego ranka, oto szlachetne powołanie!

Inkwizytor Lorsen wykrzywił wąskie usta.

– Zaiste nie ma w panu niczego, co odróżnia człowieka od zwierzęcia. Jest pan wyzuty z sumienia. Nie ma w panu ani krztyny moralności. Żadnych zasad poza egoizmem.

Cosca nachylił się, a jego oblicze stężało.

– Może kiedy przeżyje pan tyle rozczarowań, co ja, i doświadczy tylu zdrad, Inkwizytorze, wreszcie pan zrozumie, że nie ma żadnych zasad poza egoizmem, a ludzie są zwierzętami. Sumienie jest brzemieniem, które świadomie na siebie nakładamy. Moralność jest kłamstwem, które powtarzamy, żeby łatwiej dźwigać to brzemię. Wiele razy w życiu marzyłem, żeby było inaczej, lecz, niestety, to prawda.

Lorsen powoli pokiwał głową, skupiając na Cosce spojrzenie jasnych oczu.

– Spotka pana za to zapłata.

– Liczę na to. Chociaż w tej chwili wydaje się to śmieszne, Superior Pike obiecał mi pięćdziesiąt tysięcy marek.

– Za schwytanie przywódcy buntowników, Conthusa!

– Zgadza się. Oto i on.

Ze zgrzytem stali, stuknięciami spustów i grzechotem zbroi tuzin ludzi Jubaira ruszył naprzód. Krąg obnażonych mieczy, naciągniętych kusz i halabard nagle otoczył Owcę, Słodkiego, Płoszkę i Saviana. Majud delikatnie przyciągnął do siebie dzieci, które patrzyły na to wszystko z szeroko otwartymi oczami.

– Paniczu Savian! – zawołał Cosca. – Z ogromną przykrością

muszę prosić, żebyś odłożył broń. Każdą, jaką posiadasz!

Nie zdradzając żadnych emocji, Savian powoli odpiął kłamrę pasa przecinającego mu pierś i kusza razem z bełtami upadła z trzaskiem w błoto. Owca obserwował go, spokojnie gryząc udko kurczaka. Tak jest najłatwiej, tylko stać i patrzeć. Temple sam często wybierał tę drogę. Może zbyt często...

Wdrapał się na wóz i syknął Cosce do ucha:

– Nie musi pan tego robić!

– Oczywiście, że nie muszę.

– Proszę! Co to panu da?

– Co mi to da? – Stary uniósł brew, gdy Savian rozpiął płaszcz i zaczął się pozbywać pozostałej broni. – Nic a nic. Oto esencja bezinteresowności i szczodrości.

Temple tylko zamrugął.

– Czy to nie ty mi ciągle powtarzasz, żebym postępował właściwie? – spytał Cosca. – Czyż nie podpisaliśmy umowy? Czyż nie zobowiązaliśmy się działać w szlachetnej sprawie Inkwizytora Lorsena? Czyż nie wlekliśmy go ze sobą przez to nieskończone pustkowie? Zamilcz, Temple. Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale stoisz na drodze mojego moralnego rozwoju. – Odwrócił się w stronę tłumu. – Czy mógłbyś podwinąć rękawy, paniczu Savian?

Savian odchrząknął, czemu zawtórował grzechot metalu, gdy najemnicy nerwowo się poruszyli, rozpiął kołnierzyk, potem kolejne guziki, a handlarze i dziwki w milczeniu patrzyli na rozgrywający się dramat. Temple zauważył, że Hedges również z uwagą obserwuje Saviana, jednak na jego twarzy malował się gorączkowy zachwyty. W końcu Savian zrzucił koszulę i stanął obnażony od pasa w górę. Całe ciało, od bladej szyi aż po blade dłonie, miał pokryte pismem, dużymi i małymi literami,

hasłami w tuzinie języków: *Śmierć Unii, Śmierć Królowi. Jedyny dobry Midderlandczyk to martwy Midderlandczyk. Nigdy nie kłękajcie. Nigdy się nie poddawajcie. Żadnej litości. Żadnego pokoju. Wolność. Sprawiedliwość. Krew.* Był od nich niebieski.

– Prosiłem tylko o podwinięcie rękawów – rzekł Cosca – ale chyba już wszystko jasne.

Savian nieznacznie się uśmiechnął.

– A gdybym powiedział, że to nie ja jestem Conthusem?

– Chyba byśmy nie uwierzyli. – Stary popatrzył na Lorsena, który wpatrywał się w Saviana z żarłoczną intensywnością. – A raczej na pewno byśmy nie uwierzyli. Masz jakieś obiekcje, paniczu Słodki?

Słodki popatrzył na otaczające go ostrza i wybrał łatwe wyjście.

– Ależ nie. Również jestem zaszokowany tym zaskakującym obrotem wydarzeń.

– Zapewne czujesz się zakłopotany świadomością, że przez cały czas podróżowałeś u boku masowego mordercy. – Cosca się wyszczerzył. – A raczej dwóch, prawda, Owco? – Północny nadal ogryzał udko, jakby nie otaczały go ostrza. – Chciałbyś coś powiedzieć w obronie swojego przyjaciela?

– Zabiłem większość swoich przyjaciół – odparł z pełnymi ustami Owca. – Moim celem było odnalezienie dzieci. Reszta może iść do ziemi.

Cosca ze smutkiem przycisnął dłoń do napierśnika.

– Stałem na twoim miejscu, paniczu Savian, więc w pełni cię rozumiem. Na końcu każdy z nas jest sam.

– Taki to już kurewski świat – odrzekł Savian, patrząc przed siebie.

– Brać go! – ryknął Lorsen, a jego Praktycy rzucili się do

ataku, jak psy spuszczone ze smyczy.

Przez chwilę wydawało się, że dłoń Płoszki przesuwa się w kierunku rękojeści noża, ale Owca przytrzymał jej rękę, wpatrując się w ziemię, gdy Praktycy prowadzili Saviana do fortu. Inkwizytor Lorsen wszedł za nimi do budynku, posłał ponury uśmiech w stronę obozu, po czym z głośnym hukem zatrzęsął drzwiami.

Cosca pokręcił głową.

– Ani słowa podziękowania. Właściwe postępowanie prowadzi donikąd, Temple, wiele razy ci to mówiłem. Ustawiajcie się, chłopcy, czas się rozliczyć!

Brachio i Dimbik zaczęli krążyć pośród tłumu, ustawiając gderających najemników w kolejkę. Podniecenie zatrzymaniem Saviana zaczynało opadać. Temple popatrzył na Płoszkę, a ona odwzajemniła jego spojrzenie. Cóż mogli zrobić?

– Będziemy potrzebowali worków i skrzyń! – wołał Cosca. – Otwórzcie wóz i znajdźcie jakiś stół do liczenia pieniędzy. Dobrze, mogą być drzwi oparte na kozłach! Sworbreck? Przynieś pióro, atrament i księgę rachunkową. Nie po to do nas dołączyłeś, ale takie pisarstwo wcale nie jest mniej honorowe!

– Jestem zaszczycony – zachrypiał pisarz, który wyglądał, jakby miał się pochorować.

– My już lepiej pojedziemy. – Dab Słodki przepchnął się do wozu i podniósł na nich wzrok. – Musimy odwieźć dzieciaki do Fałdy.

– Oczywiście, przyjacielu – odrzekł Cosca, szczerząc zęby. – Będzie nam was bardzo brakowało. Bez waszych umiejętności – a zwłaszcza wzbudzających grozę talentów panicza Owcy – nasze zadanie okazałoby się niemal niewykonalne. W waszym wypadku barwne opowieści nie są przesadzone, prawda,

Sworbreck?

– To żywe legendy, generale – szepnął pisarz.

– Będziemy musieli poświęcić im osobny rozdział. Może nawet dwa! Życzę powodzenia całej waszej kompanii. Będę was polecał, gdziekolwiek się udam! – Cosca się odwrócił, jakby to kończyło temat.

Słodki popatrzył na Temple'a, który tylko wzruszył ramionami. W tej sprawie też nie mógł nic zrobić.

Stary zwiadowca odchrząknął.

– Pozostała tylko kwestia naszego udziału w zyskach. O ile pamiętam, wspominaliśmy o jednej dwudziestej...

– A co z moją zapłatą? – Cantliss przepchnął się obok Słodkiego. – To ja wam powiedziałem, że tam nie będzie buntowników! To ja znalazłem tych drani!

– Ależ oczywiście! – zawołał Cosca. – Jesteś najlepszym prorokiem wśród wszystkich porywaczy dzieci i zawdzięczamy ci swój sukces!

W przekrwionych oczach Cantlissa zapłonęła chciwość.

– Więc... co mi się należy?

Przyjazny podszedł do niego od tyłu i beztróskim ruchem zarzucił mu pętlę na szyję, a gdy Cantliss się obejrzał, Jubair zawisł całym swym znacznym ciężarem na sznurze, który przerzucono przez belkę wystającą ze ściany zawałonej wieży. Konopna lina zachrzęściła, gdy bandyta oderwał się od ziemi. Jedną wierzgającą stopą przewrócił kałamarz, zachlapując czarnym atramentem księgę rachunkową Sworbrecka. Pobladły pisarz chwiejnie wstał od stołu, patrząc, jak Cantliss z wytrzeszczonymi oczami bezsilnie szarpie pętlę złamaną dłonią.

– Zapłata dokonana w całości! – zawołał Cosca.

Część najemników zaczęła wiwatować bez entuzjazmu. Dwóch się roześmiało. Jeden rzucił ogryzkiem i spudłował. Większość ledwie uniosła brew.

– O Boże – szepnął Temple, skubiąc guziki przy koszuli i wbijając wzrok w smołowane deski pod nogami. Nawet tam widział wijący się cień Cantlissa. – O Boże.

Przyjazny przywiązał koniec liny do pniaka. Hedges, który przepychał się w stronę wozu, odchrząknął i ostrożnie się wycofał, a uśmiech znikł z jego twarzy. Płoszka splunęła przez szparę między przednimi zębami, po czym się odwróciła. Owca nie spuszczał wzroku z Cantlissa, dopóki ten nie znieruchomiał, cały czas opierając dłoń na rękojeści miecza zabranego Smoczemu Ludowi. Potem ze zmarszczonym czołem popatrzył w stronę drzwi, za którymi zniknął Savian, i rzucił ogryzioną kość w błoto.

– Siedemnaście razy – rzekł Przyjazny, ponosząc surowy wzrok.

– Co siedemnaście razy? – spytał Cosca.

– Wierzgnął. Nie liczyłem ostatniego razu.

– To ostatnie to było tylko drgnięcie – dodał Jubair.

– To dużo? – spytał Stary.

Przyjazny wzruszył ramionami.

– W miarę przeciętnie.

Cosca opuścił wzrok na Słodkiego, wysoko unosząc siwe brwi.

– Mówiłeś coś o udziale w zyskach?

Stary zwiadowca popatrzył na kołyszącego się Cantlissa, delikatnie poluzował kołnierzyk zagiętym palcem, po czym ponownie wybrał łatwe wyjście.

– Musiało mi się coś pomylić. Chyba już wyruszamy do Fałdy, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Jak sobie życzycie.

Pod nimi pierwszy mężczyzna w kolejce odwrócił swoją torbę i wysypał na stół stertę lśniącego złota i srebra. Generał wcisnął kapelusz na głowę i poprawił piórko.

– Szczęśliwej podróży!

Powrót

– Stary pieprzony gównojeb! – warknął Słodki, uderzając kijem w gałąź zwieszającą się nad drogą i zasypując się śniegiem. – Nicomo Kuśka, psia jego mać! Dziadowski ryj jebany w dupę!

– To już mówiłeś, o ile dobrze pamiętam – mruknęła Płoszka.

– Mówił „Dziadowski dupek jebany w ryj” – odrzekła Płacząca Skała.

– A to przepraszam – odparła Płoszka. – To coś zupełnie innego.

– Czyżbyś się, kurwa, za mną nie zgadzała? – burknął Słodki.

– Ależ zgadzam się – odrzekła Płoszka. – To straszny skurwiel, bez dwóch zdań.

– Psiakrew... kurwa... psiakrew... kurwa... – Słodki kopał w furii swojego konia i chłostał pnie mijanych drzew. – Wyrównam rachunki z tym zgniłkiem, mogę wam to obiecać!

– Daj spokój – stęknął Owca. – Niektórych rzeczy nie da się zmienić. Trzeba być realistą.

– Ukradł moje pieniądze na starość!

– Ale wciąż oddychasz.

– Łatwo ci mówić! Nie straciłeś fortuny!

Owca zmierzył go wzrokiem.

– Wiele straciłem.

Słodki przez chwilę poruszał ustami.

– Kurwa! – wrzasnął po raz ostatni i cisnął kij między

drzewa.

Zapadła lodowata i przytłaczająca cisza. Żelazne okucia kół wozu Majuda zgrzytały na ziemi, jakiś luźny element kuźni Curnsbicka pobrzękiwał pod płóciennym przykryciem, kopyta koni chrzęściły na śniegu. Koła wozów jadących od strony Fałdy poryły drogę koleinami. Pestka i Ro leżeli z tyłu pod kocem, przyciśnięci do siebie buziami, spokojni we śnie. Płoszka patrzyła, jak delikatnie się kołyszą w rytm ruchów wozu.

– Chyba nam się udało – powiedziała.

– Tak – odrzekł Owca, ale nie wyglądał, jakby miał zacząć świętować. – Chyba się udało.

Pokonali kolejny długi zakręt, gdy droga po raz ostatni zmieniła kierunek, wiodąc w dół stromego zbocza wzdłuż na wpół zamarzniętego strumienia. Z obu jego brzegów sterczały tafle poszarpanego lodu, niemal stykając się na środku.

Płoszka nie miała ochoty niczego mówić, ale nigdy nie potrafiła zachować dla siebie myśli, gdy ta już pojawiła się w jej głowie, a ta myśl nie dawała jej spokoju, odkąd opuścili Sygnał.

– Będą go kroili, prawda? Zadawali pytania.

– Mówisz o Savianie?

– A niby o kim?

Pokryty bliznami policzek Owcy lekko drgnął.

– To fakt.

– Niezbyt przyjemna perspektywa.

– Fakty rzadko bywają przyjemne.

– On mnie uratował.

– Tak.

– Ciebie też.

– Zgadza się.

– No i co, kurwa, naprawdę go zostawimy?

Twarz Owcy ponownie drgnęła, a mięśnie szczęki napięły się, gdy wpatrywał się surowym wzrokiem w dal. Drzewa zaczęły się przeredzać, gdy zjechali z gór, a na przyprószonym gwiazdami bezchmurnym niebie wisiał tłusty księżyc w pełni, zalewając płaskowyż blaskiem. Rozległa połać wysuszonego piachu i kolczastych krzewów, teraz przykryta dywanem mieniącego się śniegu, wyglądała, jakby nigdy nic na niej nie żyło. Środkiem wiódł prosty jak strzała biały pas starej Imperialnej Drogi, blizna na obliczu krainy, która prowadziła do Fałdy, kryjącej się gdzieś pośród czarnych wzgórz na horyzoncie.

Wierzchowiec Owcy zwolnił, po czym się zatrzymał.

– Urządzamy postój? – spytał Majud.

– Mówiłeś, że jesteś mi winien dozgonną przyjaźń – rzekł Owca.

Kupiec zamrugał.

– Nie żartowałem.

– Więc jedź dalej. – Owca się obejrzał. Za nimi, gdzieś wysoko na pofałdowanych, zalesionych grzbietach gór lśniło światło. Olbrzymie ognisko rozpalone na samym środku Sygnału, przy którym świętowali najemnicy. – Macie dobrą drogę i jasny księżyc, więc nie zgubicie szlaku. Jedźcie szybkim i równym tempem przez całą noc, a jutro przed zmierzchem powinniście dotrzeć do Fałdy.

– Po co ten pośpiech?

Owca głęboko zaczerpnął tchu, popatrzył na rozgwieżdżone niebo i ze stęknieniem wypuścił z ust kłęby pary.

– Będą kłopoty.

– Wracamy? – spytała Płoszka.

– Ty nie. – Gdy na nią popatrzył, cień kapelusza przesłonił mu twarz, tak że widziała tylko błysk jego oczu. – Tylko ja.

– Co takiego?

– Ty zabierasz dzieci. Ja wracam.

– Od początku miałeś taki zamiar, prawda?

Pokiwał głową.

– Tylko czekałeś, aż się oddalimy.

– Miałem w życiu tylko kilkoro przyjaciół, Płoszko. Nie wszystkich z nich traktowałem uczciwie. Takich mógłbym policzyć na palcach jednej ręki. – Obrócił lewą dłoń, patrząc na kikut. – Nawet tej. Tak musi być.

– Nic nie musi być. Nie puszczę cię samego.

– Owszem, puścisz. – Podjechał bliżej i popatrzył jej w oczy. – Wiesz, co czułem, kiedy wyłoniliśmy się z za wzgórze i zobaczyliśmy spalone gospodarstwo? Jakie było pierwsze uczucie, które mnie ogarnęło, zanim pojawiły się strach i gniew?

Przełknęła ślinę, czując suchość w ustach, nie chcąc odpowiadać ani poznać odpowiedzi.

– Radość – szepnął Owca. – Radość i ulga. Ponieważ od razu wiedziałem, co będę musiał zrobić. Kim będę się musiał stać. Od razu wiedziałem, że mogę położyć kres dziesięciu latom życia w kłamstwie. Człowiek musi żyć w zgodzie ze swoją naturą, Płoszko. – Znów popatrzył na swoją okaleczoną dłoń i zacisnął ją w pięść. – Nie czuję się... zły. Ale te wszystkie rzeczy, które zrobiłem. Jak inaczej można je nazwać?

– Nie jesteś zły – wyszeptała. – Po prostu jesteś...

– Gdyby nie Savian, zabiłbym was w jaskiniach. Ciebie i Ro.

Płoszka ponownie przełknęła ślinę. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Gdyby nie ty, nie odzyskalibyśmy dzieci.

Owca popatrzył na malców. Ro obejmowała Pestkę. Na jej głowie pojawił się ciemny meszek, który już prawie zakrył zadrapanie przecinające czaszkę. Oboje bardzo się zmienili.

– Na pewno je odzyskaliśmy? – spytał szorstko. – Czasami mam wrażenie, że tylko sami się zagubiliśmy.

– Ja jestem tym, kim byłam.

Owca pokiwał głową. Płoszka miała wrażenie, że w jego oczach załśniły łzy.

– Może i jesteś. Ale dla mnie już nie ma powrotu. – Wychylił się z siodła i mocno ją uściskał. – Kocham cię. Dzieciaki też. Ale moja miłość jest brzemieniem, którego nikt nie powinien dźwigać. Powodzenia, Płoszko.

Puścił ją, zawrócił konia i odjechał, wracając po śladach w stronę lasu, wzgórz i niewyrównanych rachunków czekających po drugiej stronie.

– Myślałam, że człowiek powinien być realistą! – zawołała w ślad za nim.

Przystanął na chwilę, samotna postać na tle bieli zalanej blaskiem księżyca.

– Od zawsze sądziłem, że to dobry pomysł, ale, prawdę mówiąc, w moim przypadku się nie sprawdził.

Odrętwiała Płoszka powoli się od niego odwróciła, po czym ruszyła poprzez płaskowyż w ślad za wozem i ludźmi Majuda, za Słodkim i Płaczącą Skałą, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w białą drogę przed sobą, grzebiąc językiem w szparze między zębami, z każdym oddechem czując w piersi lodowate nocne powietrze. Była zimna i pusta. Myślała o tym, co jej powiedział Owca. O tym, co ona powiedziała Savianowi. O dalekiej drodze, którą pokonała w ciągu ostatnich miesięcy,

niebezpieczeństwach, jakim stawiała czoło, i chwilach, gdy nie wiedziała, co robić. Tak musiało być.

Tylko że kiedy ludzie mówili Płoszce, jak musi być, ona zawsze zaczynała myśleć, co zrobić, żeby było inaczej.

Wóz podskoczył na nierówności, a hałas i wstrząs obudziły Pestkę. Chłopiec usiadł, mrugając.

– Gdzie Owca? – spytał.

Płoszka opuściła dłonie, w których trzymała wodze. Jej koń zwolnił, aż w końcu się zatrzymał, a ona siedziała w siodle z poważną miną.

Majud obejrzał się przez ramię.

– Owca kazał nam się nie zatrzymywać!

– Musisz robić, co ci każe? Chyba nie jest twoim ojcem?

– Chyba nie – odrzekł kupiec, wstrzymując konie.

– A moim tak – szepnęła Płoszka. A więc jednak. Może nie takiego ojca sobie wymarzyła, ale nie miała innego. Cała ich trójka nie miała innego. Przeżyła już dosyć rozczarowań.

– Muszę wrócić – powiedziała.

– To szaleństwo! – odburknął Słodki, zatrzymując swojego wierzchowca. – Przeklęte szaleństwo!

– Niewątpliwie. A ty pojedziesz ze mną.

Cisza.

– Zdajesz sobie sprawę, że tam jest ponad setka najemników, prawda? Samych zabójców?

– Dab Słodki, jakiego znam z opowieści, nie przeląkłby się kilku najemników.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale Dab Słodki z opowieści nie przypomina człowieka, który nosi mój płaszcz.

– Słyszałam, że kiedyś przypominał. – Podjechała do niego. –

Podobno kiedyś byłeś kimś wyjątkowym.

Płacząca Skała powoli pokiwała głową.

– To prawda.

Słodki posłał surowe spojrzenie najpierw staruszce, potem Płoszce, aż w końcu wbił wzrok w ziemię, drapiąc się po brodzie i stopniowo coraz bardziej garbiąc się w siodle.

– Dawne dzieje. Jesteś młoda i wciąż masz przed sobą marzenia. Nie wiesz, jak to jest. Jednego dnia jesteś kimś, świetnie się zapowiadasz, tryskasz śmiałością, a świat wydaje się za mały, żeby cię pomieścić. Potem, zanim się zorientujesz, jesteś stary i widzisz, jak wielu rzeczy, o których myślałeś, już nigdy nie zrobisz. Wszystkie drzwi, które wcześniej wydawały ci się za małe, teraz są szczelnie zamknięte. Pozostały tylko jedne, które prowadzą w nicość. – Zdjął kapelusz i przeczesał białe włosy brudnymi paznokciami. – Tracisz zimną krew, a jej już nie da się odzyskać. Zacząłem się bać, Płoszko. A kiedy zaczynasz się bać, nie ma powrotu, po prostu nie ma...

Chwyciła go za futrzany płaszcz i przyciągnęła do siebie.

– Nie mam zamiaru się poddać, słyszysz? Nie chcę o tym słyszeć, kurwa! Potrzebuję tamtego drania, który gołymi rękami zabił rudego niedźwiedzia u źródeł Sokwayi, nieważne, czy to się wydarzyło naprawdę. Rozumiesz, stary gnoju?

Przez chwilę patrzył na nią, mrugając.

– Rozumiem.

– To jak będzie? Chcesz wyrównać rachunki z Coscą czy tylko będziesz go wyzywał?

Płacząca Skała podjechała bliżej.

– Może zrobisz to dla Leefa – powiedziała. – Oraz pozostałych pochowanych na równinach.

Słodki długą chwilę wbijał wzrok w jej ogorzałą twarz

z dziwnie udręczoną miną. Potem jego usta drgnęły i wykrzywiły się w uśmiechu.

– Jak to się dzieje, że po tylu latach wciąż jesteś taka piękna?
– spytał.

Płacząca Skała tylko wzruszyła ramionami, jakby nie było sensu dyskutować o faktach, po czym zacisnęła zęby na swojej fajce.

Słodki odepchnął rękę Płoszki i wygładził futro. Potem pochylił się w siodle i splunął. Popatrzył spod przymrużonych powiek w stronę Sygnału i napiął mięśnie szczęki.

– Jeśli zginę, będę cię dręczył zza grobu, chudzielcu.

– Jeśli zginiesz, ja też długo nie pociągnę. – Płoszka ześlizgnęła się z siodła, po czym na sztywnych nogach podeszła do wozu, depcząc chrzęszczący śnieg. Popatrzyła na swoje rodzeństwo. – Muszę się czymś zająć – powiedziała, delikatnie dotykając ich obojga. – Pojedźcie z Majudem. Bywa nieco uszczypliwy, ale to dobry człowiek.

– Dokąd jedziesz? – spytał Pestka.

– Coś zostawiłam.

– Długo cię nie będzie?

Udało jej się uśmiechnąć.

– Niedługo. Przepraszam, Ro. Przepraszam za wszystko.

– Je też – odrzekła Ro.

Może to coś znaczyło. Płoszka na pewno nie mogła liczyć na więcej.

Dotknęła policzka Pestki. Tylko musnęła go opuszkami.

– Zobaczymy się w Fałdzie. Nawet nie zauważycie, że mnie nie było.

Ro pociągała nosem, senna i nadąsana, nie patrząc jej w oczy,

z kolei Pestka wpatrywał się w nią z twarzą poznaczoną śladami łez. Płoszka zastanawiała się, czy naprawdę spotka się z nimi w Fałdzie. Słodki miał rację, że to szaleństwo, dotrzeć tak daleko, by teraz znów ich opuścić. Ale długie pożegnania nie miały sensu. Czasami lepiej jest zrobić coś groźnego, niż przez całe życie się tego obawiać. Tak mawiał Owca.

– Jedź! – krzyknęła do Majuda, zanim miała szansę się rozmyślić

On pokiwał głową, strzelił lejcami i wóz ruszył.

– Lepiej to zrobić – wyszeptała w stronę nocnego nieba, po czym wgramoliła się z powrotem na siodło, zawróciła wierzchowca i dźgnęła go obcasami.

Wysłuchane modlitwy

Temple pił. Tak samo jak po śmierci żony. Zupełnie jakby na dnie butelki było coś, czego rozpaczliwie potrzebował. Jakby uczestniczył w wyścigu, od którego zależało jego życie. Jakby picie było zawodem, w którym chciał osiągnąć biegłość. W końcu próbował ze wszystkimi innymi.

– Powinieneś przestać – rzekł Sworbreck, najwyraźniej zmartwiony.

– Powinieneś zacząć – odparł Temple i się roześmiał, chociaż nigdy nie był mniej wesoły. Potem beknął i splukał smak wymiocin kolejnym łykiem z butelki.

– Musisz się nieco hamować – wtrącił się Cosca, który sam nie stosował się do tej zasady. – Picie jest sztuką, a nie nauką. Trzeba pieścić butelkę. Droczyć się z nią. Uwodzić. Łyk... łyk... łyk... – Z każdym powtórzeniem posyłał pocałunki w powietrze, trzepocząc powiekami. – Picie jest jak... miłość.

– Co pan, kurwa, wie o miłości?

– Więcej niżbym chciał – odpowiedział Stary z nieobecny spojrzeniem poślizgniętych oczu, po czym gorzko się roześmiał. – Podli ludzie też kochają, Temple. Czują ból, odnoszą rany. Może nawet częściej niż inni. – Poklepał Temple'a po plecach, a ten zaniósł się kaszlem, gdy uderzenie cofnęło łyk palącego alkoholu. – Ale nie traćmy czasu! Jesteśmy bogaci, chłopcze! Wszyscy. A bogaci ludzie nie przepraszają. Wyruszam do Visserine, żeby odebrać to, co straciłem. Co mi odebrano.

– Co sam odrzuciłeś – szepnął Temple, na tyle cicho, żeby nikt

go nie usłyszał w panującym hałasie.

– Tak. – Cosca się zamyślił. – Wkrótce pojawi się miejsce dla nowego generała. – Wskazał obszernym gestem gwarne, zatłoczone, gorące pomieszczenie. – To wszystko będzie twoje.

Trudno było zmieścić taką scenę rozpusty w jednoizbowej chałupie oświetlonej pojedynczą dogasającą lampą, pełnej dymu z czaggi, rozbrzmiewającej ogłuszającymi śmiechami i rozmowami w kilku językach. Dwaj potężni Północni toczyli zapaśniczą walkę, być może dla zabawy, być może na śmierć i życie, w każdym razie ludzie uskakiwali im z drogi. Dwaj Unioniści oraz jeden Imperialista zaczęli gorzko narzekać, gdy ktoś potrącił ich stolik w środku karcianej rozgrywki i wywróciły się butelki. Trzej Styryjczycy wypalili wspólnie fajeczkę plew i teraz błogo spoczywali na rozprutym materacu leżącym w kącie, zawieszeni między snem a jawą. Przyjazny siedział ze skrzyżowanymi nogami i raz za razem rzucał kośćmi, wpatrując się w nie z wściekłym skupieniem, jakby na ich ściankach wkrótce miały się pojawić odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Chwileczkę – mruknął Temple, dopiero teraz zrozumiał, co powiedział Cosca. – Moje?

– A kto ma lepsze kwalifikacje? Uczyłeś się od najlepszych, mój chłopcze! Bardzo mnie przypominasz, Temple, zawsze to powtarzałem. Wielcy ludzie często maszerują w tym samym kierunku. Czy to słowa Stolicusa?

– Przypominam pana? – wyszeptał Temple.

Cosca postukał się w głowę pokrytą tłustymi siwymi włosami.

– Masz głowę na karku, chłopcze. Czasami przeszkadzają ci sztywne zasady moralne, ale one zmiękną, gdy tylko zaczniesz podejmować trudne decyzje. Potrafisz dobrze przemawiać,

dostrzegasz słabości ludzi, a przede wszystkim rozumiesz prawo. Rządy silnej ręki to przeszłość. Oczywiście, zawsze znajdzie się na nie miejsce, ale prawdziwe pieniądze będą tam, gdzie prawo, Temple.

– A co z Brachiem?

– Ma rodzinę w Puranti.

– Naprawdę? – Temple popatrzył na Brachia, który właśnie obłapiał potężną Kantyjkę. – Nigdy o niej nie wspominał.

– Żonę i dwie córki. Kto by rozmawiał o swojej rodzinie z takimi szumowinami jak my?

– A Dimbik?

– Też coś! Zero poczucia humoru.

– Jubair?

– Nierówno pod sufitem.

– Ale ja nie jestem żołnierzem, tylko pierdolonym tchórzem!

– To godna podziwu cecha u najemnika. – Cosca wysunął podbródek i podrapał się wierzchnią stroną pożółkłych paznokci po szyi pokrytej wysypką. – Poradziłbym sobie znacznie lepiej, gdybym traktował niebezpieczeństwa ze zdrowym szacunkiem. Przecież nie będziesz własnoręcznie wymachiwał stalą. Ta robota polega na gadaniu. Bła, bła, bła i duże kapelusze. No i trzeba wiedzieć, kiedy nie dotrzymywać słowa. – Pomachał guzowatym palcem. – Zawsze podchodziłem do wszystkiego zbyt emocjonalnie. Byłem zbyt lojalny. Ale ty? Jesteś zdradzieckim draniem, Temple.

– Naprawdę?

– Porzuciłeś mnie, kiedy było ci wygodnie, i znalazłeś nowych przyjaciół, a potem ich także porzuciłeś, bez pożegnania, żeby wrócić do mnie!

Temple zamrugał.

– Miałem wrażenie, że w przeciwnym razie by mnie pan zabił.

Cosca lekceważąco machnął ręką.

– Detale! Już od dawna widzę w tobie swojego następcę.

– Przecież... nikt mnie nie szanuje.

– Ponieważ sam się nie szanujesz. Wątpliwości, Temple. Niezdecydowanie. Po prostu za dużo się przejmujesz. Wcześniej czy później będziesz musiał coś zrobić, w przeciwnym razie nigdy niczego nie zrobisz. Jeśli pokonasz tę przeszkodę, będziesz znakomitym generałem. Jednym z największych. Lepszym ode mnie. Lepszym niż Sazine. Nawet lepszym niż Murcatto. Tylko trochę ogranicz picie. – Cosca odrzucił pustą butelkę, odkorkował kolejną zębami i splunął korkiem przez całe pomieszczenie. – To paskudny nałóg.

– Ale ja już nie chcę tego robić – wyszeptał Temple.

Cosca ponownie zbył go machnięciem ręki.

– Cały czas to powtarzasz, a jednak tutaj jesteś.

Temple zerwał się na nogi.

– Muszę się odlać.

Lodowate powietrze uderzyło w niego z taką siłą, że prawie przewrócił się na jednego ze strażników, skwaszonego, gdyż nie wolno mu było się upić. Zatoczył się wzdłuż drewnianego boku potwornego wozu Superiora Pike'a, myśląc o tym, jak blisko skarbu znajduje się jego dłoń. Minął niespokojne konie, które wydmuchiwały obłoki pary z worków z obrokiem, zagłębił się na kilka chrzęszczących kroków w las, słysząc za plecami przytłumione odgłosy zabawy, po czym wetknął butelkę w zmrożony śnieg i rozwiązał spodnie pijanymi palcami. Psiakrew, ależ zimno. Odchylił się do tyłu, spoglądając w niebo,

na jaskrawe gwiazdy wirujące i tańczące za czarnymi gałęziami.

General Temple. Zastanawiał się, co by o tym pomyślał Haddisz Kahdia. Co by o tym pomyślał Bóg. Jak do tego doszło? Przecież zawsze miał dobre intencje. Zawsze starał się postępować jak najlepiej.

Tylko że to, co u niego najlepsze, zawsze było gównem warte.

– Boże?! – ryknął ku niebu. – Jesteś tam, draniu? – Może rzeczywiście jest takim wrednym oprawcą, za jakiego uważa go Jubair. – Po prostu... daj mi znak, dobrze? Wystarczy jeden. Pokieruj moimi krokami. Tylko mnie... popchnij we właściwym kierunku.

– Już ja cię popchnę.

Na chwilę znieruchomiał, nie przestając sikać.

– Boże? To ty?

– Nie, głupcze. – Ktoś z chrzestem wyciągnął butelkę ze śniegu, a Temple się obrócił.

– Myślałem, że odeszłaś.

– Wróciłam. – Płozka przechyliła butelkę i pociągnęła łyk. Połowa jej twarzy kryła się w ciemności, a na drugiej migotały płomienie obozowego ogniska. – Myślałam już, że nigdy nie wyjdiesz – powiedziała, ocierając usta.

– Czekając?

– Jakiś czas. Jesteś pijany?

– Trochę.

– To lepiej dla nas.

– Na pewno dla mnie.

– Właśnie widzę – powiedziała, zerkając w dół.

Zdał sobie sprawę, że nie zawiązał spodni, i zaczął się za to niezdarnie zabierać.

– Jeśli tak bardzo chciałaś zobaczyć mojego fiuta, mogłaś poprosić.

– Niewątpliwie jest zniewalający, ale przyszedł w innym celu.

– Masz okno, przez które trzeba wyskoczyć?

– Nie. Mogę potrzebować twojej pomocy.

– Możesz?

– Jeśli wszystko pójdzie gładko, będziesz mógł wrócić do topienia smutków.

– Jak często coś idzie gładko w twoim życiu?

– Nierzęsto.

– Czy to będzie niebezpieczne?

– Trochę.

– Naprawdę tylko trochę?

Znów się napiła.

– Nie. Bardzo.

– Chodzi o Saviana?

– Trochę.

– O Boże – szepnął, pocierając grzbiet nosa i marząc o tym, żeby pogrążony w mroku świat znieruchomiał.

Wątpliwości, oto jego problem. Niezdecydowanie. Za dużo się martwi. Chciałby być mniej pijany. Po chwili uznał, że jednak za mało wypił. W końcu prosił o znak, czyż nie? Po co o niego prosił? Nigdy się nie spodziewał, że go otrzyma.

– Czego potrzebujesz? – szepnął bardzo cicho.

Ostre zakończenia

Praktyk Wile wsunął palec pod maskę, żeby podrapać niewielkie otarcia. To nie była najgorsza część tej pracy, ale prawie.

– No i tak to jest – powiedział, przekładając trzymane karty, jakby dzięki temu mogły się stać mniej fatalne. – Pewnie już sobie kogoś znalazła.

– Jeśli ma głowę na karku, to tak – mruknął Pauth.

Wile miał ochotę grzmotnąć pięścią w stół, ale zmartwił się, że zrobi sobie krzywdę, i w ostatniej chwili się powstrzymał.

– To jest właśnie kopanie leżącego! Mamy się nawzajem wspierać, ale ty zawsze mi dogadujesz!

– Nie pamiętam, żeby w naszym ślubowaniu była mowa o tym, że nie mogę ci dogadywać – odparł Pauth, odrzucając dwie karty i biorąc kolejne dwie z talii.

– Ślubowaliśmy lojalność wobec Jego Królewskiej Mości – rzucił Bolder – posłuszeństwo wobec Jego Eminencji, a także bezlitosną walkę ze zdradą, ale nie było tam wzmianki o wspieraniu kogokolwiek.

– Co nie znaczy, że to zły pomysł – mruknął urażony Wile, ponownie przekładając karty w rękę.

– Pomyliła ci się twoja wymarzona wizja świata z tym, jak on naprawdę wygląda – rzekł Bolder. – Zresztą nie pierwszy raz.

– Proszę jedynie o odrobinę solidarności. Wszyscy siedzimy na tej samej dziurawej łodzi.

– Więc przestań jęczeć i zacznij wylewać wodę. – Pauth podrapał się pod swoją maską. – Odkąd tutaj przyjechaliśmy, wszystko ci przeszkadza. Jedzenie. Zimno. Drapiąca maska. Twoja ukochana. Moje chrapanie. Nawyki Boldera. Nerwowy charakter Lorsena. Naprawdę można stracić cierpliwość.

– Jak gdyby życie nie było wystarczająco irytujące – dodał Ferring, który wypadł z gry i od niemal godziny siedział z nogami opartymi na stole. Był niezwykle cierpliwy w swej beczynności.

Pauth zmierzył go wzrokiem.

– Twoje buty też są irytujące.

Ferring odwzajemnił spojrzenie. Miał przenikliwe niebieskie oczy.

– Buty to buty.

– Buty to buty? Co to w ogóle znaczy? Buty to buty?

– Jeśli wy dwaj nie macie nic wartościowego do powiedzenia, to może się nie odzywajcie. – Bolder skinął obłą głową w stronę więźnia. – Weźcie przykład z niego.

Staruszek nie odpowiedział ani słowem na pytania Lorsena. Tylko lekko stęknął, kiedy go przypalali. Patrzył spod przymrużonych powiek, a świeże ciało lśniło pomiędzy jego tatuażami.

Ferring przeniósł spojrzenie na Wile'a.

– Myślisz, że ty byś tak dobrze zniósł przypalenie?

Wile nie odpowiedział. Nie miał ochoty o tym myśleć. Nie podobało mu się, że musi tak kogoś traktować, niezależnie od złożonych ślubów, a także zrad, morderstw czy masakr, za które ten człowiek miał być odpowiedzialny. Co innego rozprawiać o sprawiedliwości w odległości tysiąca mil, a co innego przycisnąć rozgrzany metal do ciała. Po prostu nie lubił

się nad tym wszystkim zastanawiać.

„Służba Inkwizycji to stała praca”, mówił mu ojciec. „W końcu lepiej zadawać pytania niż udzielać odpowiedzi, prawda?”. Razem się z tego śmiali, chociaż Wile wcale nie uważał tych słów za zabawne. Wtedy śmiał się z wielu mało śmiesznych rzeczy, które mówił jego ojciec. Dziś już by tego nie zrobił. A może miał o sobie zbyt wysokie mniemanie. Słyszał z tej wady.

Czasami Wile zastanawiał się, czy może być godną sprawą, która wymaga przypalania ludzi, ich krojenia i masakrowania na inne sposoby. Jeśli spojrzeć na to z dystansu, trudno to uznać za metody ludzi sprawiedliwych. Zresztą, rzadko przynosiły one zadowalający skutek. Chyba że chodziło im o bezcelowe kalectwo, ból, strach i nienawiść. Może tak było w istocie.

Czasami Wile zastanawiał się, czy same tortury mogą prowokować nielojalność, z którą Inkwizycja stara się walczyć. Zachował to pytanie dla siebie. Prowadzenie szarży wymaga odwagi, ale ma się za sobą ludzi. Trzeba wykazać się znacznie większą dzielnością, by stanąć samotnie i oznajmić: „Nie podoba mi się sposób, w jaki działamy”. Zwłaszcza grupie oprawców. Wile nie był aż tak dzielny. Dlatego tylko wykonywał polecenia i starał się tego nie roztrząsać, jedynie rozmyślając, jak to by było mieć pracę, w którą się wierzy.

Ferring nie miał tego problemu. Lubił swój zawód. Było to widać w jego niebieskich oczach. Wyszczерzył się, patrząc na wytatuowanego staruszka.

– Wątpię, żeby tak dobrze znosił przypalanie, kiedy wróci do Stariklandu.

Więzień tylko siedział i patrzył, a jego wymalowane na

niebiesko żebra poruszały się w rytm chrapliwego oddechu.

– Czekaj go wiele nocy, zanim tam dotrze. Wiele przypalania. Właśnie tak. Pewnie będzie greczny i rozmowny, kiedy już...

– Już ci proponowałem, żebyś się zamknął – przerwał mu Bolder. – Teraz zastanawiam się, czy nie wydać ci takiego polecenia. Co ty...

Rozległo się pukanie do drzwi. Trzy szybkie stuknięcia. Praktycy wymienili spojrzenia, unosząc brwi. Lorsen wrócił, żeby zadać kolejne pytania. Kiedy chciał się czegoś dowiedzieć, nie lubił czekać na odpowiedź.

– Otworzysz? – spytał Pauth Ferringa.

– Niby dlaczego miałbym to robić?

– Jesteś najbliżej.

– A ty jesteś najniższy.

– Co to ma, kurwa, do rzeczy?

– Nie wiem, ale mnie to bawi.

– Może mnie rozbawi, jeśli wbiję ci nóż w dupę! – Pauth wysunął nóż z rękawa, a ostrze pojawiło się jak za sprawą magii. Uwielbiał się tak popisywać.

– Czy możecie się przymknąć, dzieciaki? – Bolder rzucił karty, dźwignął masywne cielsko z krzesła i odtrącił nóż Pautha na bok. – Przyjechałem tutaj, żeby odsapnąć od swoich przeklętych bachorów, a nie, żeby niańczyć kolejną trójkę.

Wile ponownie poprzekładał karty w dłoni, zastanawiając się, czy może jakoś wygrać. Wystarczy jedno zwycięstwo, czy to tak dużo? Ale znów ma fatalne karty. Jego ojciec zawsze powtarzał, że „nie ma kiepskich kart, są tylko kiepscy gracze”, jednak Wile się z tym nie zgadzał.

Znów rozległo się uporczywe pukanie.

– Dobrze już, idę! – warknął Bolder, odsuwając skobel. – Przecież się nie...

Rozległ się łoskot. Gdy Wile podniósł wzrok, zobaczył, jak ogłuszony Bolder uderza o ścianę, a ktoś wparowuje do pomieszczenia. Zaskakująco mocne wejście, nawet jeśli zwlekali z otwarciem drzwi. Bolder oczywiście się z tym zgadzał, ponieważ otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nagle z zaskoczeniem stwierdził, że z jego ust zamiast głosu wydobywa się krew. Wtedy Wile zauważył rękojeść noża tkwiącą w tłustym gardle kompana.

Upuścił karty.

– Co? – zdziwił się Ferring i spróbował wstać, ale zaczepił butami o stół.

To nie Lorsen pukał, tylko tamten potężny Północny cały w bliznach. Wkroczył do pokoju z obnażonymi zębami i chrup! Wbił nóż w twarz Ferringa aż po rękojeść, rozplaszczając ofierze nos i wywołując powódź krwi, a Ferring zarzęził, wygiął się do tyłu i kopnięciem przewrócił stół, wyrzucając karty i monety w powietrze.

Wile niezdarnie wstał, a Północny obrócił się w jego stronę z obliczem zbryzganym krwią, po czym wyciągnął spod płaszcza kolejny nóż i...

– Zatrzymaj się! – syknął Pauth. – Albo go zabiję!

Jakoś udało mu się przedostać do więźnia i ukląkł przy krześle, do którego ten był przywiązany, po czym przycisnął mu ostrze noża do szyi. Pauth zawsze szybko myślał. Dobrze, że znalazł się ktoś taki.

Bolder ześlizgnął się na podłogę, gdzie pokrzykiwał i toczył z ust krew, rozlewającą się w coraz większą kałużę.

Wile zauważył, że wstrzymuje oddech, i gwałtownie

zaczerpnął tchu.

Pokryty bliznami Północny przeniósł wzrok z Wile'a na Pautha i z powrotem, po czym lekko uniósł podbródek i spokojnie opuścił ostrze.

– Wezwij pomoc! – rzucił Pauth, wplatając palce w siwe włosy więźnia, a następnie odchylił mu głowę do tyłu i połaskotał go czubkiem noża po zarośniętej szyi. – Ja się tym zajmę.

Wile okrążył Północnego na trzęsących się kolanach, starając się trzymać od niego jak najdalej, po czym odsunął jedną ze skórzanych zasłon dzielących parter fortu. Poślizgnął się na krwi Boldera i omal się nie przewrócił, po czym wypadł przez otwarte drzwi i puścił się biegiem.

– Pomocy! – wrzeszczał. – Pomocy!

Jeden z najemników opuścił butelkę i posłał mu zezowate spojrzenie.

– Co?

Ludzie wciąż leniwie świętowali, kobiety się śmiały, mężczyźni śpiewali, wznosili okrzyki i zataczali się otepiali. Nikt już się dobrze nie bawił, ale każdy i tak powtarzał te same ruchy, jak trupy, które nie przestają drgać, jaskrawo oświetlone blaskiem skwierczącego ogniska. Wile poślizgnął się na błocie, wstał, po czym ściągnął maskę, żeby lepiej go usłyszano.

– Pomocy! Północny! Więzień!

Ktoś ze śmiechem wskazywał go palcem, ktoś inny kazał mu się zamknąć, a ktoś wymiotował na ścianę namiotu. Gdy Wile szukał wzrokiem kogokolwiek, kto mógłby zapanować nad tym chaosem, nagle poczuł, jak ktoś mocno chwyta go za ramię.

– Co ty bełkoczesz? – To był generał Cosca we własnej osobie. Jego wilgotne oczy lśniły w blasku ognia, na pokrytym wysypką

policzku widniała smuga białego kobiecego pudru.

– Północny! – zakwiczął Wile, chwytając generała za poplamioną koszulę. – Owca! Zabił Boldera! I Ferringa! – Drżącym palcem wskazał w stronę fortu. – Tam!

Trzeba było przyznać Cosce, że nie wymagał długiego przekonywania.

– Wrogowie w obozie! – ryknął, odrzucając pustą butelkę. – Otoczyć fort! Ty, zabezpiecz drzwi, upewnij się, że nikt nie wyjdzie! Dimbik, ustaw ludzi na tyłach! Ty, odstaw tę kobietę! Do broni, łajdacy!

Niektórzy natychmiast zabrali się za wykonywanie rozkazów. Dwaj najemnicy znaleźli kusze i niepewnie wycelowali w drzwi. Jeden przypadkowo strzelił w ognisko. Inni przypatrywali się zmieszani, kontynuowali zabawę albo stali wyszczerzeni, uważając, że to jakiś wymyślny żart.

– Co się stało, do diabła?! – zawołał rozczochrany Lorsen. Na nocną koszulę włożył czarny płaszcz.

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel Owca próbuje uratować pańskiego jeńca – odparł Cosca. – Odsuńcie się od drzwi, idioci... myślicie, że to żart?

– Uratować? – wymamrotał Sworbreck, unosząc brwi. Miał przekrzywione okulary, zapewne przed chwilą wygramolił się z łóżka.

– Uratować? – warknął Lorsen, chwytając Wile'a za kołnierz.

– Pauth wziął więźnia jako zakładnika. Zadba o to, żeby...

Jakaś postać wypadła przez otwarte drzwi fortu, postawiła kilka leniwych kroków, wytrzeszczając oczy ponad maską i przyciskając dłonie do piersi. Pauth. Upadł na twarz, a śnieg wokół niego poróżowił od krwi.

– Co mówiłeś? – odburknął Cosca.

Jakaś kobieta wrzasnęła i zatoczyła się do tyłu, zasłaniając usta dłonią. Mężczyźni zaczęli wychodzić z namiotów i chatek, z zamglonymi oczami wkładając ubrania i elementy zbroi, po omacku szukając broni, a ich oddechy kłębiły się w zimnym powietrzu.

– Więcej kusz! – ryknął Cosca, drapiąc się po parchatej szyi. – Podziurawcie jak sito każdego, kto się pojawi! Zabierzcie stąd cywilów!

– Czy Conthus wciąż żyje? – syknął Lorsen prosto w twarz Wile’a.

– Chyba tak... żył kiedy ja... kiedy...

– Tchórzliwie uciekłeś? Załóż maskę, psiakrew, przynosisz nam hańbę!

Inkwizytor zapewne miał rację, a Wile hańbił profesję Praktyka. Był z tego dziwnie dumny.

– Słyszysz mnie, paniczu Owco?! – zawołał Cosca, podczas gdy sierżant Przyjazny pomagał mu wkładać pozłacany, rdzewiejący napierśnik, który stanowił połączenie blichtru i rozkładu doskonale podsumowujące naturę właściciela.

– Tak – dobiegł głos Północnego zza czarnego wejścia do fortu.

W obozie zapadła cisza, po raz pierwszy od czasu triumfalnego powrotu najemników.

– Jakże się cieszę, że ponownie zaszczyciłeś nas swoją wizytą! – Generał gestem polecił na wpół ubranym kusznikom schować się w cieniach wokół chatek. – Tylko szkoda, że się nie zapowiedziałeś, moglibyśmy przygotować bardziej godne przyjęcie!

– Postanowiłem zrobić niespodziankę.

– Doceniamy ten gest! Ale tak się składa, że mam tutaj około

stu pięćdziesięciu ludzi! – Cosca popatrzył na chwiejące się kusze, wilgotne oczy i schorowane twarze swojej Kompanii. – Część z nich jest bardzo pijana, ale to nic. Chociaż od dawna podziwiam ludzi walczących w straconej sprawie, nie widzę tutaj szansy na szczęśliwe zakończenie!

– Nigdy ich nie lubiłem – warknął Owca.

Wile nie miał pojęcia, jak Północny może być tak spokojny w tych okolicznościach.

– Ja również, ale być może uda nam się jakieś wspólnie wypracować! – Za pomocą kolejnych kilku gestów Cosca posłał następnych ludzi wzdłuż obu stron fortu oraz zamówił nową butelkę. – Może obaj odłożycie broń i wyjdziecie, a wtedy porozmawiamy jak cywilizowani ludzie!

– Za cywilizacją także nigdy nie przepadałem – zawołał Owca. – Chyba będziesz musiał przyjść do mnie.

– Przeklęty Północny – mruknął Cosca, wyciągając i odrzucając korek. – Dimbik, masz jakichś trzeźwych ludzi?

– Chciał pan, żeby jak najbardziej się spili – odparł kapitan, który zaplątał się w swoją zabrudzoną szarfę, gdy próbował ją włożyć.

– A teraz potrzebuję ich trzeźwych.

– Może tych kilku, którzy stali na straży...

– Poślij ich do środka.

– Chcemy Conthusa żywego! – burknął Lorsen.

Dimbik się uklonił.

– Zrobimy co w naszej mocy, Inkwizytorze.

– Ale niczego nie możemy obiecać. – Cosca pociągnął długi łyk, nie odrywając wzroku od domu. – Ten drań pożałuje, że wrócił.

– Nie trzeba było wracać – stęknął Savian, ładując kuszę.

Owca uchylił drzwi i wyrzwał przez szparę.

– Już tego żałuję. – Głuchy huk, deszcz drzazg i jasny grot bełtu sterczący spomiędzy desek. Owca gwałtownie cofnął głowę i kopnięciem zamknął drzwi. – Trochę inaczej to sobie wyobrażałem.

– To dotyczy większości spraw w życiu.

– W moim na pewno. – Owca wyrwał nóż tkwiący w gardle Praktyka, wytarł ostrze o czarną kamizelę trupa, po czym rzucił je Savianowi, który złapał nóż w powietrzu i wsunął go za pasek.

– Noży nigdy za dużo – rzekł Owca.

– Dobre motto na życie.

– Albo na śmierć – odparł Owca, rzucając Savianowi kolejne ostrze. – Potrzebujesz koszuli?

Savian wyprostował ręce, patrząc na swoje poruszające się tatuaże. Słowa, którymi starał się kierować.

– Po co miałbym je robić, gdybym nie chciał ich pokazywać? Zbyt długo je zakrywałem.

– Człowiek musi żyć w zgodzie ze sobą.

Savian pokiwał głową.

– Żałuję, że nie spotkałem cię trzydzieści lat temu.

– Niepotrzebnie. Byłem wtedy szalonym skurwielem.

– A teraz?

Owca wbił sztylet w blat stołu.

– Myślałem, że czegoś się nauczyłem. – Wbił kolejne ostrze we framugę. – Ale oto rozdaję noże.

– Człowiek wybiera jakąś ścieżkę i myśli, że to tylko na chwilę. – Savian zaczął naciągać cięciwę drugiej kuszy. – A po

trzydziestu latach odwraca się i widzi, że kroczył nią przez całe życie. Gdybyś wtedy o tym wiedział, może lepiej byś się zastanowił.

– Może. Ale, szczerze mówiąc, nigdy nie lubiłem się zastanawiać.

Savian w końcu napiął kuszę, zerkając na słowo „wolność”, które nosił wytatuowane wokół nadgarstka, jak bransoletkę.

– Zawsze myślałem, że zginę za ideę.

– I tak się stanie – odrzekł Owca, cały czas rozmieszczając broń w różnych kątach pomieszczenia. – Tą ideą będzie mój tłusty tyłek.

– Szlachetne powołanie. – Savian wsunął bełt na miejsce. – Chyba już pójdę na górę.

– Chyba tak. – Owca dobył miecza, który zabrał Waerdinurowi. Było to długie matowe ostrze z lśniąco srebrzystą literą. – Nie mamy całej nocy.

– Poradzisz sobie na dole?

– Najlepiej nie schodź. Tamten szalony skurwiel sprzed trzydziestu lat... czasami wpada w odwiedziny.

– Więc zostawię was samych. Nie powinienesz być wracać. – Savian wyciągnął rękę. – Ale cieszę się, że to zrobiłeś.

– Nie mogłem sobie darować.

Owca uściśnął dłoń Saviana i popatrzyli sobie w oczy. Wydawało się, że w tej chwili rozumieli się tak dobrze, jakby rzeczywiście poznali się przed trzydziestu laty. Jednakże czas przyjaźni minął. Savian zawsze więcej czasu poświęcał swoim wrogom, a na zewnątrz ich nie brakowało. Odwrócił się, po czym wbiegł na poddasze, przeskakując po trzy stopnie, niosąc kusze w obu dłoniach i kołczan z bełtami na ramieniu.

Cztery okna, dwa z przodu i dwa z tyłu. Słomiane posłania

pod ścianami i niski stół z zapaloną lampą, a w jej migoczącym świetle myśliwski łuk, kołczan ze strzałami oraz lśniąco metalicznie kolczasty buzdygan. Najemnicy mają jedną zaletę; gdziekolwiek przebywają, wokół leży mnóstwo broni. Savian przykucnął od frontu, ostrożnie oparł jedną kuszę o ścianę pod lewym oknem, a z drugą podszedł do prawego, otworzył okiennice i wyjrzał.

Na zewnątrz panował chaos oświetlany przez potężne ognisko. Iskry wirowały w powietrzu, a ludzie biegali we wszystkich kierunkach. Wyglądało na to, że część ludzi, którzy przyszli wzbogacić się dzięki ochłapom rzucanym przez Kompanię, nie liczyła się z tym, że trafią w sam środek walki. Zwłoki jednego z Praktyków leżały rozciągnięte niedaleko drzwi, ale Savian nie miał zamiaru po nim płakać. Kiedyś ronił łzy przy byle okazji, jednak z czasem jego oczy wyschły. Nie miały innego wyjścia. Po tym, co widział i zrobił, na świecie zabrakłoby słonej wody.

Zobaczył kuszników przykucniętych obok chatek, celujących w stronę fortu, i szybko odnotował w myślach ich pozycje, kąty oraz odległości. Potem dostrzegł ludzi nacierających z toporami w rękach. Chwycił lampę ze stołu i cisnął ją w mrok, a ta, wirując, spadła na strzechę jednej z chat, plując na wszystkie strony żarłocznymi płomieniami.

– Biegną do drzwi! – zawołał.

– Ilu? – dobiegł z dołu głos Owcy.

– Może pięciu! – Omiótł wzrokiem cienie wokół ogniska. – Sześciu!

Oparł kuszę o ramię, czując jej ciepły, znajomy dotyk, jak wygięcie na plecach kochanki. Pożałował, że nie spędził więcej czasu z kobietą zamiast z kuszą, ale cóż, wybrał swoją drogę

i musiał dalej nią kroczyć. Pociągnął za spust i poczuł szarpnięcie bełtu, a jeden z najemników z toporem zatoczył się w bok i usiadł.

– Pięciu! – zawołał Savian.

Przemknął do drugiego okna, odstawił pustą kuszę i podniósł naładowaną. Usłyszał, jak strzały grzechoczą o ramę okna za jego plecami, a jedna wpada do ciemnego wnętrza. Uniósł kuszę, wycelował w jeden z czarnych kształtów widocznych na tle ogniska i wystrzelił. Najemnik zachwiał się, potknął i runął w płomień. Nawet pomimo panującego gwaru Savian usłyszał jego wrzask.

Ześlizgnął się na podłogę pod oknem. Zobaczył, jak nad nim przelatuje strzała i wbija się w jedną z krokwi. Na chwilę złapał go atak kaszlu, ale zdołał go uspokoić, chrapliwie dysząc, czując dotkliwe klucie poparzeń w okolicach żeber. Słyszał łomotanie toporów w drzwi. Musiał to zostawić Owcy. Jedyńemu człowiekowi, któremu mógł powierzyć takie zadanie. Na tyłach budynku rozległy się głosy, były ciche, ale je usłyszał. Wstał i przemknął do tylnej ściany, podnosząc myśliwski łuk. Nie miał czasu przypiąć kołczana, więc tylko zatknął go sobie za pas.

Wziął długi, chrapliwy oddech, stłumił kaszel, założył strzałę, napiął cięciwę, po czym jednym ruchem zaczepił końcem łuku o okiennice, otworzył je, wstał, wychylił się i wydmuchnął powietrze spomiędzy zaciśniętych warg.

Najemnicy siedzieli przykucnięci pod tylną ścianą. Jeden podniósł wzrok i wytrzeszczył oczy osadzone w okrągłej twarzy, a Savian strzelił mu prosto w otwarte usta z odległości najwyżej dwóch kroków. Sięgnął do kołczana. Wtedy obok niego przemknęła strzała, ocierając mu się o włosy. Savian spokojnie napiął cięciwę. Widział błysk grotu strzały wroga, który zrobił to

samo. Strzelił najemnikowi w pierś. Sięgnął po kolejną strzałę. Zobaczył biegnącego mężczyznę. Strzelił w niego, powalając go na śnieg. Usłyszał oddalające się kroki ostatniego przeciwnika. Wycelował i strzelił mu w plecy, a gdy ten zaczął pełznąć, jęcząc i pokaszując, dobił go następną strzałą, łokciem zatrzasnął okiennice i ponownie odetchnął.

Dostał ataku kaszlu i stanął, drżąc, oparty o ścianę. Na dole usłyszał ryk, szcęk stali, przekleństwa, trzask, odgłosy walki.

Ponownie zatoczył się w stronę frontowego okna, zakładając strzałę na cięciwę, zobaczył dwóch mężczyzn pędzących w stronę drzwi i trafił jednego w twarz, tak że ten stracił grunt pod nogami. Drugi wyhamował i uskoczył w bok. Lecące strzały znieruchomiały w blasku ognia, po czym zagrzechotały o ścianę budynku, a Savian okręcił się, uciekając od okna.

Rozległ się huk i okiennice z tyłu domu otworzyły się na oścież, ukazując kwadrat nocnego nieba. Savian zobaczył dłoń na parapecie, odłożył łuk, po czym chwycił buzdygan i zadał szybki, niski cios, żeby nie zahaczyć o krokwie. Trafił w osłoniętą hełmem głowę, zrzucając napastnika w ciemność.

Okręcił się, czarna sylwetka na tle okna, i zobaczył człowieka, który wślizgnął się na poddasze z nożem w zębach. Skoczył na niego, ale trzonek buzdyganu odbił się od ramienia przeciwnika i obaj mężczyźni zwarli się, powarkując na siebie nawzajem. Savian poczuł pieczenie w brzuchu, oparł się o ścianę, przygnieciony przez swojego wroga, i sięgnął po nóż, który miał przy pasie. Zobaczył połowę wykrzywionej twarzy najemnika oświetloną przez płomień i uderzył w nią ostrzem, rozdierając ją na strzępy i zmieniając w czarną miazgę. Mężczyzna zatoczył się i zaczął miotać na oślep po poddaszu. Savian zdołał wstać i przygniótł przeciwnika, pociągając go na

ziemię, gdzie raz za razem dźgał go nożem, nie przestając kaszleć, aż najemnik znieruchomiał. Wtedy uklęknął na nim, czując, że każde kasznięcie szarpie mu ranę w brzuchu.

Na dole zabrzmiał bulgoczący wrzask, po czym Savian usłyszał, jak ktoś rozpaczliwie i łzawo kwili: „Nie! Nie! Nie!”, po czym Owca warknął: „Tak, ty skurwielu!”. Rozległy się dwa głośne uderzenia i zapadła długa cisza.

Owca stęknął, po czym rozległ się kolejny trzask, jakby przewrócił coś kopnięciem.

– W porządku?! – zawołał Savian, dziwnie napiętym głosem.

– Wciąż oddycham! – odpowiedział Owca, który zabrzmiał jeszcze bardziej osobliwie. – A ty?

– Złapałem małe draśnięcie. – Savian odsunął dłoń od pokrytego tatuażami brzucha i zobaczył czarno lśniąca krew. Dużo krwi.

Chciałby jeszcze raz porozmawiać z Corlin. Powiedzieć jej te wszystkie rzeczy, o których zazwyczaj się myśli, ale zachowuje dla siebie, ponieważ są zbyt trudne do powiedzenia, a my myślimy, że jeszcze będzie na to czas. Powiedzieć, jaki jest dumny z tego, kim się stała. Jak dumna byłaby jej matka. Polecieć kontynuowanie walki. Skrzywił się. Albo raczej kazać jej przestać, ponieważ mamy tylko jedno życie i gdy kiedyś popatrzymy na nie wstecz, możemy zobaczyć tylko krew na swoich rękach.

Niestety, było już za późno, żeby jej cokolwiek powiedzieć. Wybrał swoją ścieżkę i oto dotarł do jej kresu. Ogólnie rzecz biorąc, nie była to nieudana podróż. Nieco zła i nieco dobra, trochę dumy i trochę wstydu, jak u większości ludzi. Pokaszłując, doczołgał się do okna od frontu, podniósł jedną z kusz i zaczął naciągać cięciwę lepkiemi rękami. Przeklęte dłonie. Już nie mają

tyle siły co kiedyś.

Stanął obok okna, wciąż słysząc ludzi poruszających się w dole. Chatka, na którą rzucił lampę, płonęła w najlepsze.

– Tylko na tyle was stać?! – krzyknął w mrok.

– Na nieszczęście dla ciebie – odpowiedział Cosca – nie!

Coś zaiskrzyło i zaskwierczało w ciemności, po czym oślepił go błysk silny jak blask słońca.

Dźwięk przypominał głos Boga, który, jak głoszą pisma, za pomocą szeptu zrównał z ziemią aroganckie miasto Nemaï. Jubair oderwał dłonie od uszu, w których i tak słyszał dzwonięcie, po czym, mrużąc oczy, popatrzył w stronę fortu przez rozwiewający się duszący dym.

Budynek bardzo ucierpiał. W ścianach na dolnym poziomie ziały otwory wielkości palców, pięści i głowy. Połowa górnego piętra zniknęła, w kilku miejscach tliły się połamane deski, trzy pęknięte belki wciąż trzymały się razem w jednym kącie, przypominając o kształcie tego, co było tu kiedyś. Rozległo się skrzypienie i połowa dachu się zawaliła, a strzaskane dachówki posypały się na ziemię.

– Imponujące – rzekł Brachio.

– Oswojona błyskawica – szepnął Jubair, surowo spoglądając na mosiężną rurę. Niemal zeskoczyła z wozu pod wpływem siły strzału i teraz stała przekrzywiona, lekko dymiąc z poczerńiałego otworu. – Taka moc powinna należeć tylko do Boga.

Poczuł na ramieniu dłoń Coski.

– A jednak udziela jej nam, żebyśmy mogli wykonywać Jego pracę. Zabierz tam kilku ludzi i znajdźcie tych dwóch drani.

– Weźcie Conthusa żywcem! – warknął Lorsen.

– Jeśli to będzie możliwe. – Stary nachylił się. – Ale martwy też może być – szepnął.

Jubair pokiwał głową. Już wiele lat temu doszedł do wniosku, że Bóg czasami przemawia za pośrednictwem Nicomo Coski. Ktoś mógłby stwierdzić, że to niewłaściwy materiał na proroka – zdradziecki, samowolny, zaróżowiony pijaczyna, który nigdy w życiu nie wypowiedział ani jednego słowa modlitwy – ale już pierwszego dnia, gdy Jubair zobaczył go w walce i zrozumiał, że generał nie zna strachu, wyczuł w nim okrucuch boskości. Cosca z pewnością kroczył w cieniu Boga, tak jak prorok Khalul, który przeszedł nago przez deszcz strzał, chroniony tylko przez swoją wiarę, i nie odniósł żadnych ran, czym zmusił Imperatora Gurkhulu do dotrzymania słowa i ponizenia się przed Wszchemogącym.

– Wy trzej – rzucił, wskazując grupkę swoich ludzi. – Na mój znak wejdziecie do budynku. Chodźcie ze mną.

Jeden z najemników, Północny, pokręcił głową z wytrzeszczonymi oczami jak księżyc w pełni.

– To... on – wyszeptał.

– On?

– To... to... – Zaniemówił i zagiął środkowy palec lewej dłoni, pozostawiając lukę.

Jubair parsknął.

– Więc zostań, głupcze.

Pobiegł wzdłuż ściany fortu, zagłębiając się w coraz głębsze cienie, co było mu obojętne, gdyż niósł w sobie światło Boga. Jego ludzie ze strachem podnosili wzrok na budynek, ciężko dysząc. Uważali, że świat jest skomplikowanym miejscem pełnym zagrożeń. Jubairowi było ich szkoda. Świat jest prosty.

Jedynie niebezpieczeństwo to sprzeciwianie się woli Boga.

Kawałki drewna, śmieci i pył pokrywały śnieg za budynkiem. Oprócz tego leżało tam kilku ludzi przeszytych strzałami, a jeden siedział pod ścianą i cicho bulgotał, obejmując dłonią drzewce sterczące mu z ust. Jubair go zignorował i cicho wspiął się na tylną ścianę fortu. Zajrzał na zrujnowane poddasze i zobaczył porozbijane meble oraz materac, z którego sypała się słoma, ale nie dostrzegł ani śladu życia. Odgarnął kilka rozpalonych węgli i wciągnął się do środka, po czym dobył miecza, który zaśnił w ciemności, nieustraszony, szlachetny, boski. Ruszył przed siebie, obserwując schody czarne od cieni. Z dołu dobiegał miarowy głuchy łoskot.

Wychylił się przez frontowe okno i zobaczył swoich trzech ludzi stłoczonych przed budynkiem. Syknął na nich, a wtedy jeden z najemników kopnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka. Jubair skierował kolejną dwójkę na schody. Kiedy się odwracał, poczuł coś miękkiego pod butem. Dłoń. Pochylił się i odsunął kilka kawałków drewna.

– Conthus tutaj jest! – zawołał.

– Żywy?! – rozległ się przenikliwy wrzask Lorsena.

– Martwy.

– Psiakrew!

Jubair zebrał szczątki buntownika i zrzucił je ponad poszarpaną krawędzią rozbitej ściany na śnieg, który zgromadził się pod ścianą budynku. Leżały tam zmasakrowane i zakrwawione, z tatuażami rozerwanymi przez liczne rany. Jubair przypomniał sobie przypowieść o pysznym człowieku. Boży sąd, nieunikniony i nieodwracalny, spotyka zarówno wielkich, jak i małych, którzy są równie bezsilni w obliczu Wszechmogącego. Pozostał tylko Północny, i choćby był nie

wiadomo jak groźny, Bóg już wydał na niego wyrok...

Wrzask rozdarł noc, z dołu dobiegł trzask, potem ryki, jęknięcia, zgrzyt metalu, a w końcu dziwny chrapliwy śmiech i kolejny wrzask. Jubair podszedł do schodów. Na dole ktoś zaczął zawodzić, straszliwie jak grzesznik w piekle, po czym zabulgotał i umilkł. Czubek miecza Jubaira wskazywał mu drogę. Nieustraszony, szlachetny... Zawahał się, oblizując usta. Strach oznacza brak wiary. Człowiek nie może pojąć Bożych planów. Może tylko zaakceptować swoją rolę.

Dlatego mocno zacisnął zęby i ruszył w dół schodów.

Na dole było ciemno jak w piekle, światło w postaci migoczących czerwonych, pomarańczowych i żółtych promieni wpadało do środka przez otwory we frontowej ścianie, rzucając dziwaczne cienie. Ciemno jak w piekle i, tak jak w piekle, w powietrzu unosił się gęsty smród śmierci. Jubair wstrzymał oddech, schodząc po skrzypiących stopniach i przyzwyczajając oczy do mroku.

Co mu się ukazało?

Skórzane zasłony dzielące wnętrze wisiąły w strzępach, zachlapane czernią, lekko się kołysząc, jakby poruszał nimi wiatr, chociaż nie było czuć żadnych podmuchów. Jubair zaczepił butem o coś na dolnym stopniu i opuścił wzrok. To była odcięta ręka. Zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem za lśniącym śladem do czarnej sterty mięsa, spiętrzonej i nieludzko zmasakrowanej, posiekanej i splątanej w bluźnierczych objęciach, z wywleczonymi wnętrznościami spoczywającymi w połyskujących splotach.

Na środku stał stół, a na nim leżała sterta głów, które w tańczącym blasku płomieni spoglądały na Jubaira pustym wzrokiem, szaleńczo podejrzliwie, dziwacznie pytająco,

gniewnie oskarżycielsko.

– Boże... – szepnął Jubair.

Zdarzało mu się urządzać rzeź w imię Wszechmogącego, ale nigdy nie widział czegoś takiego. Nie wspomiano o tym w żadnym piśmie, może poza zakazanym ostatnim tomem siedmioksięgu, który trzymano w tabernakulum Wielkiej Świątyni w Shaffie i w którym zapisano to, co Glustrod widział w piekle.

– Boże...

Z cieni dobiegł bulgoczący śmiech, a skóry się poruszyły, grzechocząc kółkami, na których wisiały. Jubair skoczył naprzód, dźgając, tnąc, siekąc w ciemności, ale trafił tylko wiszącą skórę i zaplątał w niej ostrze. Poślizgnął się na krwi i upadł, po czym zerwał się na nogi i zaczął obracać, wszędzie dookoła słysząc śmiech.

– Boże? – szepnął Jubair.

Z trudem wypowiadał to święte słowo, gdyż ogarnęło go dziwne uczucie. Zrodziło się w jego brzuchu, po czym popęzło wzdłuż kręgosłupa, łaskocząc go w skórę głowy i wprawiając kolana w drżenie. Niejasno pamiętał to doznanie z dzieciństwa, co czyniło je jeszcze bardziej straszliwym. Jak mawiał Prorok, człowiek, który zna strach, każdego dnia coraz swobodniej czuje się w jego obecności. Tymczasem człowiek nieznający strachu nie potrafi stawić czoła temu potwornemu obcemu.

– Boże... – Jubair zatoczył się tyłem w stronę schodów.

Nagle poczuł na sobie czyjeś ręce.

– On odszedł – szepnął mu ktoś do ucha. – Ale ja tu jestem.

– Psiakrew! – ponownie warknął Lorsen.

Jego plan zaprezentowania niesławnego Conthusa Otwartej Radzie, skutego i upokorzonego, pokrytego tatuażami, które równie dobrze mogłyby głosić „Dajcie Inkwizytorowi Lorsenowi awans, na który od dawna zasługuje”, właśnie poszedł z dymem. Albo spłynął z krwią. Trzynaście lat kierowania kolonią karną w Anglandzie. Lata włóczęgi, poświęceń i upokorzeń. Pomimo jego wysiłków cała wyprawa zmieniała się w farsę, a on nie miał wątpliwości, na czyją niewinną głowę spadnie wino. Wściekle klepnął się w nogę.

– Mieliście go wziąć żywcem!

– Podejrzewam, że on także chciał przeżyć. – Cosca popatrzył spod przymrużonych powiek na zburzony fort spowity dymem.

– Ale los nie zawsze nam sprzyja.

– Łatwo powiedzieć – odburknął Lorsen.

Jakby tego było mało, w ciągu jednej nocy stracił połowę swoich Praktyków, i to tę lepszą połowę. Posłał surowe spojrzenie Wile'owi, który wciąż zmagał się ze swoją maską. Jak to możliwe, żeby Praktyk wyglądał tak żałośnie niegroźnie? Ten człowiek wręcz promieniował niepewnością, zaszczepiając ją we wszystkich, którzy go otaczali. Lorsen także miewał wątpliwości, ale zawsze chował je głęboko w swoim wnętrzu, zamknięte w szczelnej paczuszce, z której nie mogły wyciec i zatruć jego pracy, po czym robił to, co do niego należało.

Drzwi powoli otworzyły się ze skrzypnięciem, a kusznicy Dimbika nerwowo się poruszyli, celując w prostokąt ciemności.

– Jubair? – warknął Cosca. – Jubair, masz go? Odpowiadaj, do diabła!

Coś wyleciało z budynku, odbiło się od ziemi z głuchym stuknięciem, potoczyło po śniegu i znieruchomiało obok ogniska.

– Co to jest? – spytał Lorsen.

Cosca poruszył ustami.

– Głowa Jubaira.

– Los nie zawsze nam sprzyja.

Kolejna głowa nakreśliła łuk w powietrzu i wpadła do ognia. Trzecia wylądowała na dachu jednej z chat, stoczyła się z niego i utknęła w rynnie. Czwarta spadła między kuszników, a jeden z nich odskoczył do tyłu, rzucając broń, która wystrzeliła i przebiła bełtem pobliską beczkę. Kolejne głowy, z łopoczącymi włosami, powiewającymi językami, wirujące, tańczące, chlapiące krwią.

Ostatnia głowa wzbiła się wysoko w niebo, zatoczyła elipsę ponad ogniskiem i znieruchomiała na śniegu obok Coski. Lorsen nie należał do ludzi, których peszy odrobina krwi, ale nawet on poczuł się nieswojo w obliczu takiego pokazu brutalności.

Generał, który miał mniej skrupułów, wściekle kopnął głowę w płomienie.

– Ilu ludzi zabili ci dwaj starzy dranie? – spytał, chociaż sam niewątpliwie był od nich dużo starszy.

– Około dwudziestu – odrzekł Brachio.

– Kurwa, w tym tempie zabraknie nam żołnierzy! – Cosca z wściekłością obejrzał się na Sworbrecka, który z zapalem skrobał coś w notatniku. – Po co piszesz, do diabła?

Pisarz podniósł wzrok, a na jego okularach zatańczyły płomienie.

– Cóż, to dosyć... dramatyczne wydarzenia.

– Tak sądzisz?

Sworbreck bez przekonania wskazał zrujnowany fort.

– Przybył na pomoc swojemu przyjacielowi, stając

naprzeciwko przeważających sił...

– I sprowadził na niego śmierć. Czy człowieka, który podejmuje się niewykonalnych zadań, zazwyczaj nie uznaje się za niepoprawnego idiotę, a nie za bohatera?

– Ta granica zawsze była niewyraźna... – mruknął Brachio.

Sworbreck uniósł dłoń.

– Przybyłem tutaj w poszukiwaniu opowieści, od której krew szybciej krąży w żyłach...

– A ja nie zdołałem ci jej zapewnić, czy tak? – odburknął Cosca. – Nawet mój przeklęty biograf mnie opuszcza! Zapewne zostanę złoczyńcą na kartach książki, którą sam zamówiłem, a ten ścinający głowy szaleniec będzie wychwalany pod niebiosa! Co ty na to, Temple? Temple? Dokąd poszedł ten przeklęty prawnik? Co ty o tym sądzisz, Brachio?

Styryjczyk wytarł załzawione oko.

– Sądzę, że przyszedł czas położyć kres balladzie o dziewięciopalcym Północnym.

– Wreszcie jakiś rozsądny głos! Przeprowadźcie drugą rurę. Zrównajcie z ziemią tę żalostną namiastkę fortu. Chcę, żeby z tego uciążliwego głupca została miazga, zrozumiano? Niech ktoś przyniesie mi kolejną butelkę. Mam dosyć tego lekceważenia, do kurwy nędzy! – Cosca wytrącił Sworbreckowi notatnik z rąk. – Odrobina szacunku, czy o zbyt wiele proszę? – Uderzył biografa w twarz, a ten usiadł na śniegu, z zaskoczeniem trzymając się za policzek.

– Co to za hałas? – odezwał się Lorsen, uciszając wszystkich uniesioną dłonią.

W ciemności rozbrzmiewały przybierające na sile głuche uderzenia i dudnienie. Inkwizytor nerwowo zbliżył się do jednej z chatek.

– Zaraza – rzucił Dimbik.

Z mroku wyłonił się pędzący koń o oszalałym spojrzeniu, a po chwili dziesiątki kolejnych, które pędziły w dół zbocza ku obozowi, wyrzucając w powietrze śnieg – kłębiąca się masa zwierząt, powódź galopującego końskiego mięsa.

Ludzie upuszczali broń i uciekali, rzucali się na ziemię, szukając jakiegokolwiek schronienia. Lorsen potknął się o powiewającą połę swojego płaszcza i runął w błoto. Usłyszał wesoły okrzyk i zauważył Daba Słodkiego jadącego na końcu stada, szczerzącego się jak szaleniec, okrążającego obóz z kapeluszem wzniesionym w salucie. Po chwili konie znalazły się pomiędzy budynkami i rozpętało się piekło, z depczącymi, wierzgającymi, tratującymi kopytami oraz rżącymi, miotającymi się, stającymi dęba zwierzętami, a Lorsen bezradnie przywarł do najbliższego budynku, wbijając paznokcie w szorstkie drewno.

Coś uderzyło go w głowę i niemal przewróciło, ale trzymał się dalej, otoczony takim zgiełkiem, jakby rozpętał się koniec świata. Ziemia drżała pod naporem rozszalałych zwierząt. Lorsen wzdychał, stękał i zaciskał zęby oraz powieki tak mocno, że czuł ból, a drzazgi, pył i kamienie drapały go w policzek.

Nagle zapadła cisza. Pulsująca i pełna napięcia. Inkwizytor odkleił się od ściany i chwiejnie ruszył poprzez błoto zdeptane kopytami, próbując przeniknąć wzrokiem kłęby dymu i opadającego pyłu.

– Popędzili spanikowane konie przez obóz – szepnął.

– Co ty, kurwa, nie powiesz! – wrzasnął Cosca, wytaczając się z najbliższej chaty.

Obóz był zrujnowany. Kilka namiotów przestało istnieć, a ich ściany oraz zawartość – zarówno przedmioty, jak i ludzie –

została wdeptana w śnieg. Zburzony fort nadal się tlił. Dwie chatki były całkowicie ogarnięte ogniem, a płonąca słoma sfruwała z dachów i wzniecała wszędzie niewielkie pożary. Między budynkami piętrzyły się sterty ciał, stratowani mężczyźni i kobiety w różnych stadiach roznegliżowania. Ranni wyli albo krążyli wokół, oszołomieni i zakrwawieni. Kilka koni leżało na ziemi, słabo wierzgając.

Lorsen przytknął dłoń do głowy. Miał włosy lepkie od krwi. Czerwona strużka laskotała go w brew.

– Jebany Dab Słodki! – warknął Cosca.

– Mówiłem, że ma nie lada reputację – mruknął Sworbreck, wyławiając swój porwany notatnik z błota.

– Może trzeba było mu zapłacić? – zadumał się Przyjazny.

– Jeśli chcesz, możesz to zrobić teraz! – Cosca wyciągnął zakrzywiony palec. – Zapłata jest... w wozie... – zachrypiął, po czym zamilkł z niedowierzaniem.

Opancerzony wóz, który otrzymali w darze od Superiora Pike'a, w którym jechały ogniste rury, w którym bezpiecznie spoczywał ogromny skarb Smoczego Ludu...

Zniknął. Przed fortem znajdowała się tylko podejrzanie pusta ciemność.

– Gdzie on jest? – Cosca odepchnął Sworbrecka z drogi i pobiegł do miejsca, w którym powinien stać wóz.

Na błotnistym śniegu pośród odcisków kopyt wyraźnie widniały dwie głębokie koleiny prowadzące w dół zbocza ku Imperialnej Drodze.

– Brachio. – Głos Coski stawał się coraz wyższy, aż w końcu zmienił się w szaleńczy wrzask. – Znajdź jakieś jebane konie i jedź za nimi!

Styryjczyk tylko na niego popatrzył.

– Kazał pan zamknąć wszystkie konie razem. Uciekły!

– Niektóre na pewno odłączyły się od stada! Znajdź pół tuzina i goń tych drani! Już! Już! Już! – Wściekle kopnął w stronę Brachia śniegiem, omal się przy tym nie przewracając. – Gdzie, u diabła, jest Temple?

Przyjazny oderwał wzrok od śladów wozu i uniósł brew.

Cosca zacisnął dłonie w drżące pięści.

– Niech każdy, kto może, przygotuje się do wymarszu!

Dimbik i Lorsen wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Pieszko? Aż do Fałdy?

– Znajdziemy konie po drodze!

– A co z rannymi?

– Ci, którzy trzymają się na nogach, mogą pójść z nami. Każda osoba, która zostanie, oznacza większy zysk dla pozostałych. A teraz przygotuj ludzi, ty przekłety idioto!

– Tak jest, generale – mruknął Dimbik, po czym się oddalił, odrzucając swoją szarfę, która, już wcześniej zniszczona, całkowicie pokryła się gnojem, gdy rzucił się na ziemię.

Przyjazny skinął głową w stronę fortu.

– A co z Północnym?

– Pieprzyć Północnego – syknął Cosca. – Oblać budynek olejem i podpalić. Oni ukradli nasze złoto! Ukradli moje marzenia, rozumiesz? – Posłał surowe spojrzenie w stronę Imperialnej Drogi i śladów wozu znikających w ciemności. – Nie dopuszczę do kolejnego rozczarowania.

Lorsen powstrzymał pokusę powtórzenia zdania Coski, że los nie zawsze bywa łaskawy. Kiedy najemnicy zaczęli gorączkowo przygotowywać się do wymarszu, stanął nad zapomnianymi zwłokami Conthususa, które leżały obok fortu.

– Cóż za marnotrawstwo – szepnął. – W każdym możliwym sensie.

Jednakże Inkwizytor Lorsen był praktycznym człowiekiem. Nie zniechęcały go trudy i ciężka praca. Zgniółł swoje rozczarowanie w malutką paczuszkę i schował ją razem z wątpliwościami, po czym skupił myśli na tym, co można ocalić.

– Jeszcze za to zapłacisz, Cosca – mruknął, patrząc na plecy generała. – Jeszcze zapłacisz.

Donikąd

Wszystkie sworznie, łożyska, deski i dodatki w tym potwornym wozie brzęczały lub stukotały, tworząc tak ogłuszającą szaloną kakofonię, że Temple ledwie słyszał własne piski przerażenia. Siedzenie boleśnie okładało mu tyłek i podrzucało go jak stertę szmat, tak że obawiał się, że straci wszystkie zęby. Gałęzie atakowały z ciemności, uderzając w boki wozu i siekąc go po twarzy. Jedna zerwała Płoszce kapelusz i teraz włosy chłostały ją po wytrzeszczonych oczach, gdy wbijała wzrok w drogę, jednocześnie obnażając zęby i wywrzaskując mrozące krew w żyłach obelgi pod adresem koni.

Temple bał się myśleć o tym, że gna w dół górskiego zbocza, siedząc na potężnej stercie drewna, metalu, a przede wszystkim złota. W każdej chwili całość, poddawana próbie, o jakiej zapewne nie pomyślał żaden z budowniczych, mogła się rozpaść na kawałki, przy okazji zabijając ich oboje. Jednakże przerażenie było stałym elementem życia Temple'a, a zresztą cóż innego mógł zrobić, jak tylko trzymać się kurczowo tej podskakującej maszyny śmierci, czując, jak jego mięśnie płoną od opuszków palców aż po pachy, a żołądek wywraca się pod wpływem wypitego alkoholu oraz przerażenia. Sam nie wiedział, czy bardziej się boi z zamkniętymi, czy z otwartymi oczami.

- Trzymaj się! – wrzasnęła Płoszka.
- A myślisz, kurwa, że co...

Zaciągnęła dźwignię hamulca, zapierając się butami o deski i ramionami o oparcie, czując, jak napinają się mięśnie jej całego ciała, poczynając od szyi. Osłony kół rozkrzyczały się jak zmarli w piekle, syjąc iskrami przypominającymi fajerwerki w urodziny Imperatora. Płoszka szarpnęła drugą ręką lejce, a wtedy cały świat zaczął się obracać, po czym przechylił się, gdy dwa potężne koła oderwały się od podłoża.

Czas zwolnił. Temple wrzasnął. Płoszka wrzasnęła. Wóz także. Drzewa po zewnętrznej stronie zakrętu gwałtownie się przybliżyły, niosąc śmierć. Potem koła opadły, a Temple prawie runął pod kopyta koni, ugryzł się w język i zakrztusił własnym krzykiem. Po chwili ponownie poleciał na siedzenie.

Płoszka zwolniła hamulec i szarpnęła wodzami.

– Może rzeczywiście ten ostatni pokonałam za szybko! – zawołała mu do ucha.

Granica pomiędzy przerażeniem a entuzjazmem nie jest wyraźnie zarysowana, a Temple nagle odkrył, że ją przekroczył. Machnął pięścią w powietrzu.

– Pierdol się, Coscaaaaaaa! – zawył w ciemności, aż zabrakło mu tchu.

– Czujesz się lepiej? – spytała Płoszka.

– Żyję! Jestem wolny! Jestem bogaty!

Bóg z pewnością istnieje. Szczodry, wyrozumiały, serdeczny dziadek, który spogląda na niego z łaskawym uśmiechem. „Wcześniej czy później będziesz musiał coś zrobić, w przeciwnym razie nigdy niczego nie zrobisz”, powiedział Cosca. Temple zastanawiał się, czy Stary właśnie to miał na myśli. Raczej nie. Objął Płoszkę i zawołał jej do ucha:

– Udało nam się!

– Jesteś pewien? – stęknęła, ponownie strzelając lejcami.

– A nie?

– To dopiero najłatwiejsza część.

– Jak to?

– Przecież nie puszczą nam tego płazem, prawda?! – zawołała, przekrzykując szum powietrza, gdy nabrali prędkości.

– Nie podarują nam pieniędzy ani obrazy!

– Będą nas ścigać – wymamrotał Temple.

– Właśnie o to w tym wszystkim chodziło!

Temple ostrożnie wstał, żeby się obejrzeć, żałując, że jest taki pijany. Zobaczył tylko śnieg i błoto tryskające spod grzechoczących tylnych kół oraz drzewa znikające w ciemności po obu stronach drogi.

– Nie mają koni, prawda? – Jego głos zmienił się w pełen nadziei jęk.

– Słodki ich spowolnił, ale i tak po nas przyjdą! A ten pojazd nie należy do najszybszych!

Temple ponownie się obejrzał, żałując, że nie jest bardziej pijany. Granica między entuzjazmem a przerażeniem nie jest wyraźnie zarysowana, a on właśnie ponownie ją przekraczał.

– Może powinniśmy zatrzymać wóz! Zabrać dwa konie! Zostawić pieniądze! Przynajmniej większość pieniędzy...

– Musimy dać czas Owcy i Savianowi, pamiętasz?

– A tak, rzeczywiście.

W bohaterskiej ofiarności problemem jest ofiarność. Ona nigdy nie przychodziła mu naturalnie. Kolejne szarpnięcie sprawiło, że Temple poczuł w ustach falę palących wymiocin, spróbował je połknąć, ale zakrztusił się i zadrzał, gdy podeszły mu aż do nosa. Podniósł wzrok na pozbawione gwiazd niebo, które zmieniało kolor z czarnego na szary wraz

z nadchodzącym świtem.

– Ojej! – Kolejny zakręt wyłonił się w ciemności, a Płoszka ponownie zaciągnęła zgrzytające hamulce.

Temple słyszał, jak ładunek przesuwają się i pogrząskują za ich plecami, gdy wóz pokonał łuk, mimo że potężna masa pragnęła pomknąć przed siebie i spaść ze zbocza, ciągnąc ich ku zgubie.

Gdy ponownie wyjechali na prostą, rozległ się głośny trzask, a Płoszka z wrzaskiem przechyliła się na siedzeniu i, wierzgając jedną nogą, zaczęła zsuwać się z wozu. Temple chwycił ją za pas i wciągnął z powrotem, a końcówka jej łuku zarzuconego na ramię omal nie wybiła mu oka, gdy kobieta wpadła na niego, powiewając lejcami.

Coś podniosła. Dźwignię hamulca. Zdecydowanie oddzieloną od reszty mechanizmu.

– No to koniec z hamowaniem!

– Co zrobimy?

Rzuciła drewnianą dźwignię przez ramię, a ta potoczyła się po drodze.

– Nie będziemy się zatrzymywać?

Wóz wyskoczył spomiędzy drzew na płaskowyż. Pierwszy blask świtu wypływał na wschodzie. Jasny pasek słońca ukazał się ponad wzgórzami, powoli zmieniając błotniste niebo w rozmyty błękit, a obłoki w rozmyty róż, sprawiając, że zmarznięty śnieg pokrywający płaską krainę zamigotał.

Płoszka mocno pracowała lejcami i ponownie wyzywała konie, co Temple uznał za nieco niesprawiedliwe, dopóki nie przypomniał sobie, że obelgi zawsze motywowały go znacznie skuteczniej niż zachęty. Ich głowy kołysały się, a włosy powiewały, gdy wóz nabierał prędkości. Koła coraz szybciej kręciły się na płaskim podłożu, zaśnieżone zarośla

błyskawicznie przemykały obok, a wiatr chłostał twarz Temple'a, szarpiąc go za policzki i wdzierając mu się do zmarzniętego nosa.

Daleko przed sobą widzieli konie rozproszone po płaskowyżu. Słodki i Płacząca Skąła zapewne byli jeszcze dalej z większością stada. Nie zdobyli smoczego skarbu, ale zgarnęli niezły zysk ze sprzedaży dwustu wierzchowców. Tutejszych ludzi bardziej obchodzi cena zwierząt niż ich pochodzenie.

– Ktoś za nami jedzie?! – zawołała Płoszka, nie odrywając wzroku od drogi.

Temple zdołał oderwać dłoń od siedzenia, wstać i zerknąć do tyłu. Dostrzegł tylko poszarpane czarne sylwetki drzew oraz gwałtownie zwiększający się obszar płaskiej bieli oddzielający wóz od lasu.

– Nie! – zawołał, powoli odzyskując pewność siebie. – Nikt... Zaczekaj! – Zobaczył jakiś ruch. Jeździec. – O Boże – szepnął, w jednej chwili tracąc pewność siebie. Zobaczył kolejnych jeźdźców. – O Boże!

– Ilu?

– Trzech! Nie! Pięciu! Siedmiu! – Wciąż byli oddaleni o kilkaset kroków, ale szybko się zbliżali. – O Boże – powtórzył Temple, opadając na dygoczące siedzenie. – Jaki teraz mamy plan?

– Już wyczerpaliśmy plany!

– Obawiałem się, że to powiesz.

– Przejmij lejce! – zawołała, po czym mu je rzuciła.

Gwałtownie cofnął dłonie.

– I co niby mam robić?

– Nie umiesz powozić?

– Kiepsko!

– Myślałam, że robiłeś wszystko?

– Kiepsko!

– To może się, kurwa, zatrzymamy i poćwiczymy? Jedź! – Wyszarpnęła nóż zza paska i podała mu go, zwrócony rękojeścią do przodu. – Albo możesz walczyć.

Temple przełknął ślinę. Potem chwycił lejce.

– Poprowadzę wóz. – Z pewnością istnieje Bóg. Wredny mały oszust zaśmiewający się do rozpuku z porażek Temple’a. Nie pierwszy raz.

Płoszka zastanawiała się, jak często w życiu żałowała swojej ostatniej decyzji. Na pewno zbyt często. Wyglądało na to, że tym razem nie będzie inaczej.

Wciągnęła się ponad drewnianą poręczą na wysmołowany dach wozu, który miotał się pod nią jak wściekły byk próbujący rzucić jeźdźca. Szybko przeszła na tył, zdjęła łuk z ramienia, odgarnęła powiewające włosy i zmrużyła oczy, obserwując płaskowyż.

– Zaraza – mruknęła.

Siedmiu jeźdźców, tak jak powiedział Temple, szybko zmniejszających dystans. Wystarczy, że wyprzedzą wóz, powalą jednego albo dwa konie i będzie po wszystkim. Wciąż byli poza zasięgiem, zwłaszcza kogoś, kto równie dobrze mógłby strzelać z tratwy miotanej nurtem. Płoszka sprawnie posługiwała się łukiem, ale nie potrafiła działać cudów. Zauważyła właz w dachu i, odłożywszy łuk, zbliżyła się do niego na czworakach, po czym dobyła miecza i wcisnęła ostrze we wrzeciądz, na którym znajdowała się kłódka. Zamknięcie okazało się

zdecydowanie zbyt mocne, jednak dach wokół zawiasów niestarannie nasmołowano i drewno było przegniłe. Płoszka wbiła w nie czubek miecza i zaczęła nim obracać, starając się osłabić mocowanie zawiasów.

– Wciąż za nami jadą?! – wrzasnął Temple.

– Nie! – rzuciła przez zaciśnięte zęby, próbując podważyć właz mieczem. – Wszystkich pozabijałam!

– Naprawdę?

– Nie, kurwa, nie naprawdę!

Upadła na tyłek, kiedy kłapa oderwała się razem z zawiasami. Odrzuciła wygięty miecz i otworzyła właz opuszkami palców, po czym zaczęła schodzić w ciemność. Nagle wóz w coś uderzył i gwałtownie podskoczył, a Płoszka wypuściła drabinę z rąk i runęła na twarz.

Z góry sączyło się światło, przez szpary wokół okiennic na wąskich oknach. Po obu stronach znajdowały się ciężkie kraty zabezpieczone kłódkami, a za nimi sterty skrzyń, pudeł i toreb, które podskakiwały, łomotały i pobrzękiwały. Skarby się rozsypywały, złoto lśniło, klejnoty migotały, monety przesuwaly się po drewnianej podłodze. Pięć królewskich okupów oraz drobne na dwa pałace. Pod nią także leżały dwa worki, w których chrzęściły pieniądze. Wstała, odbijając się od krat, gdy wóz kołysał się w lewo i w prawo na pojękujących sprężynach, po czym zaczęła ciągnąć jeden z worków w stronę jasnej linii pomiędzy tylnymi drzwiami. Był ciężki jak zaraza, ale Płoszka przenosiła w swoim życiu wiele worków, więc nie miała zamiaru pozwolić, żeby ten stanął jej na drodze. Doznała wielu porażek, ale nigdy ich nie lubiła.

Odrygłowała drzwi, przeklinając, z czołem zalany potem, a następnie, mocno przytrzymując się kraty, otworzyła je

kopniakiem. Do środka wdarły się wiatr i blask, jej oczom ukazała się biała pustka płaskowyżu, a także rozmazane, grzechoczące koła i wylatujące spod nich fontanny śniegu oraz czarne sylwetki jeźdźców. Byli już znacznie bliżej.

Wyszarpnęła nóż i rozcięła worek, po czym sięgnęła do środka i wyrzuciła z wozu garść monet, potem kolejną i następne dwie, rozsypując złoto, zupełnie jakby siała ziarno. Dotarło do niej, jak ciężko walczyła jako wyjęta spod prawa, jak harowała w gospodarstwie i jak ostro targowała się jako kupiec za ułamek tego, co teraz wyrzucała z każdym ruchem. Wepchnęła kolejną garść monet do kieszeni, bo niby czemu nie miałyby umrzeć bogata? Potem wybrała jeszcze trochę pieniędzy obiema rękami, wyrzuciła pusty worek i sięgnęła po kolejny.

Koło wpadło w koleinę i Płoszka wyleciała w powietrze, uderzyła głową o niski sufit, po czym runęła na podłogę. Przez chwilę wszystko się kołysało, potem zdołała wstać i dociągnąć drugi worek do bujających się drzwi uderzających o burty wozu, wywarkując obelgi pod adresem pojazdu, sufitu i własnej krwawiącej głowy. Zapała się o kratę i wypchnęła worek nogą, a on otworzył się na śniegu, rozsypując złoto po pustej równinie.

Dwaj jeźdźcy się zatrzymali, jeden zsiadł z konia i na kolanach zbierał monety. Jednakże pozostali nadal za nimi podążali, zdeterminowani bardziej niż Płoszka się spodziewała. Tak to już jest z oczekiwaniami. Niemal widziała twarz najbliższego najemnika, który pochylał się nad podskakującą głową swojego wierzchowca. Płoszka zostawiła otwarte drzwi i wgramoliła się po drabinie z powrotem na dach.

– Wciąż za nami jadą?! – wrzasnął Temple.

– Tak.

– Co robisz?

– Odpoczywam sobie, kurwa, i czekam, aż nas dogonią!

Wóz pędził po coraz bardziej nierównym płaskowyzu poprzecinanym strumykami i usianym głazami oraz poskręcanyimi skalnymi kolumnami. Droga opadała w głąb płytkiej doliny, której strome zbocza rozmazywały się w pędzie, a koła grzechotały głośniej niż kiedykolwiek. Płoszka otarła grzbietem dłoni krew z czoła, po czym przesunęła się na tył drżącego dachu, gdzie podniosła łuk i wyciągnęła strzałę z kołczana. Przez chwilę siedziała, ciężko dysząc.

Lepiej zrobić to, co nas przeraża, niż żyć w strachu. Lepiej to zrobić.

Wstała. Najbliższy jeździec był oddalony o niecałe pięć kroków od otwartych drzwi. Zobaczył ją i szeroko otworzył oczy. Miał żółte włosy, szeroki podbródek i policzki zaróżowione od wiatru. Płoszce wydawało się, że widziała go w Sygnale, kiedy ze łzami w oczach pisał list. Trafiła jego konia w pierś. Zwierzę odrzuciło głowę do tyłu i zaczepiło jednym kopytem o drugie. Wierzchowiec razem z jeźdźcem runęli na ziemię, tocząc się i powiewając splątanymi paskami uprzęży. Kolejni najemnicy ich ominęli, a Płoszka sięgnęła po następną strzałę, słysząc, że Temple coś mamrocze.

– Modlisz się?

– Nie!

– Lepiej zacznij!

Ponownie wstała, a wtedy w drewno tuż obok niej wbiła się strzała. Zrównywał się z nimi jeździec, którego sylwetka odznaczała się czernią na tle nieba ponad krawędzią doliny. Rozpędzone kopyta jego konia rozmazywały się Płoszce przed oczami, a on sam z mistrzowską zręcznością stał

w strzemionach i ponownie naciągał cięciwę.

– Zaraza!

Przypadła do dachu, a strzała przeleciała tuż nad jej głową i wbiła się w barierkę po przeciwnej stronie. Słyszała pozostałych jeźdźców nawołujących się tuż za wozem. Uniosła głowę, żeby popatrzeć, a wtedy strzała wbiła się pomiędzy dwie deski o niecałą szerokość dłoni od jej twarzy, więc ponownie się schowała. Widziała Duchy znakomicie strzelające z łuku z końskiego grzbietu, ale nigdy nie spotkała kogoś tak dobrego. Uznała, że to niesprawiedliwe. Ale na sprawiedliwości nigdy nie warto polegać podczas walki na śmierć i życie.

Założyła strzałę, nabrała powietrza, po czym wystawiła łuk ponad barierkę. Natychmiast między łukiem a cięciwą świsnęła strzała, a wtedy Płoszka wstała. Wiedziała, że nie obchodzi się aż tak sprawnie z łukiem, ale to nie było konieczne. Koń stanowi duży cel.

Jej strzała wbiła się aż po pierzysko między żebra wierzchowca, który stracił równowagę i przewrócił się na bok, wyrzucając z siodła wyjącego jeźdźca. Łuk najemnika zawirował w powietrzu, po czym człowiek i zwierzę razem potoczyli się ze zbocza doliny.

– Ha! – zawołała Płoszka, po czym odwróciła się i zobaczyła mężczyznę wskakującego na dach wozu.

Omiotła go wzrokiem. Kantyjczyk o zmrużonych oczach i wyszczerzonych zębach widocznych pośród czarnej brody. W obu dłoniach trzymał zakrzywione ostrza, które zapewne wykorzystał do wspinaczki po burcie pędzącego wozu, co wprawiłoby Płoszkę w zachwyt, gdyby mężczyzna nie zamierzał jej zabić. Groźba śmierci potrafi skutecznie osłabić podziw dla czyichś umiejętności.

Rzuciła w niego łukiem, a on odtrącił go jedną ręką, drugą zaś machnął w jej kierunku. Skręciła się w bok i ostrze wbiło się w barierkę. Chwyciła go za drugą rękę, gdy ta pomknęła w jej stronę, po czym prześlizgnęła się obok niego, po drodze uderzając go pięścią w żebra. Wóz podskoczył i upadła na bok. Kantyjczyk szarpał zakrzywione ostrze, ale nie mógł go uwolnić z drewna, więc szybko wyciągnął nadgarstek z paska przymocowanego do rękojeści. Wtedy Płoszka już siedziała przykucnięta na dachu z nożem w dłoni, kreśląc jego czubkiem niewielkie kręgi w powietrzu. Obserwowali się nawzajem z szeroko rozstawionymi stopami i zgiętymi kolanami, broniąc się przed utratą równowagi na drgającym dachu, a porywisty wiatr groził wywróceniem całego wozu.

– Co za miejsce na walkę na noże – mruknęła Płoszka.

Wóz podskoczył i mężczyzna lekko się zatoczył, na chwilę spuszczać ją z oka. To wystarczyło. Skoczyła na niego, unosząc nóż, jakby chciała dźgnąć go od góry, po czym obniżyła ostrze i ominęła przeciwnika, po drodze tnąc go w nogę. Obróciła się, próbując wbić mu nóż w plecy, jednak wóz się zachwiał i Płoszka wpadła na barierkę.

Kiedy się odwróciła, ruszył w jej stronę z rykiem, przecinając ostrzem powietrze. Uskoczyła przed pierwszym ciosem, potem zręcznie uniknęła drugiego, mając wrażenie, że stąpa po zdradzieckich ruchomych piaskach. Nie spuszczała wzroku z rozmazanego metalu. Sparowała trzecie cięcie przy wtórze głośnego zgrzytu, ale nóż Kantyjczyka ześlizgnął się po jej ostrzu i rozciął jej lewe przedramię, pozostawiając łopoczący rozdarty rękaw.

Ponownie stanęli naprzeciwko siebie, ciężko dysząc, oboje lekko ranni. Płoszka czuła ból, gdy zaciskała zakrwawione palce,

ale jej dłoń wciąż działała. Zamarkowała cios, potem drugi, próbując zmusić przeciwnika do błędu, on jednak cały czas bacznie ją obserwował i wymachiwał przed sobą zakrzywionym nożem, jakby próbował złapać rybę, a nierówna dolina wciąż z hukiem przemykała po obu stronach.

Wóz wysoko podskoczył, a Płoszka na chwilę straciła grunt pod nogami i z piskiem przewróciła się na bok. Kantyjczyk próbował ją ciąć, ale spudłował; ona go dźgnęła, lecz ostrze tylko otarło się o jego policzek. Kolejne szarpnięcie rzuciło ich ku sobie, a on wolną ręką chwycił ją za nadgarstek i próbował przebić nożem, ten jednak zaplątał się w jej płaszcz. Płoszka złapała go za rękę i wykręciła, nie dlatego, że chciała, ale, kurwa mać, teraz już nie miała wyjścia. Ich noże bezradnie się kołysały, skierowane ku niebu, ubrudzone krwią przeciwników, gdy zataczali się na podskakującym dachu.

Kopnęła go w kolano, a on się zachwiał, miał jednak tyle sił, że krok po chwiejnym kroku przyparł Płoszkę do barierki i zaczął ją za nią wychylać, przygniatając swoim ciężarem. Wykręcił dłoń z nożem, uwalniając się z jej uścisku. Oboje warczeli i pluli na siebie, drewniana barierka wbijała się Płoszce w plecy, a koła wozu tłukły ziemię niedaleko jej głowy. Kropelki błota kłuły ją w policzek, a jego wykrzywiona twarz była coraz bliżej i bliżej, i bliżej...

Płoszka rzuciła się naprzód i zatopiła zęby w jego nosie. Poczwała w ustach słoną krew, a on ryknął, po czym zaczął się wić i cofać. Nagle poleciała do tyłu, gwałtownie wciągając powietrze do płuc, spadła za barierkę i uderzyła o burtę wozu. Stęknęła i upuściła nóż na drogę, ale udało się jej utrzymać jedną kurczowo zaciśniętą ręką, chociaż wszystkie mięśnie w jej ramieniu napięły się do granicy zerwania.

Kołysała się i miotła, widząc pod sobą przemykającą drogę, wydawała wściekle odgłosy przez zaciśnięte zęby i młóciła powietrze nogami, próbując chwycić barierkę drugą dłonią. Wyrzuciła rękę w górę, ale spudłowała i zakołysała się w stronę wirującego koła, które trąciło jej but i prawie ją porwało. Spróbowała ponownie i zaczepiła się opuszkami palców, po czym poprawiła chwyt, a następnie, stękając i pojękując, prawie mdlejąc z wysiłku, walcząc z odrętwieniem, ale nie zamierzając się poddać, wciągnęła się z powrotem na dach.

Najemnik zataczał się z czyjąś ręką wokół szyi. Obok jego twarzy było widać twarz Temple'a, a obaj mężczyźni postękiwali i szczerzyli zęby. Płoszka skoczyła na Kantyńczyka, prawie się przy tym przewracając, chwyciła go obiema rękami za dłoń, w której trzymał nóż, i wykręciła ją w dół. Podbródek mężczyzny drżał, krew ciekła z rozdartego nosa, oczy wpatrywały się w czubek noża, który Płoszka przybliżała do jego ciała. Powiedział coś w swojej mowie i pokręcił głową; powtarzał wciąż to samo słowo, ale ona nie była w nastroju na słuchanie, nawet gdyby go rozumiała. Zarządził, gdy ostrze przecięło jego koszulę i wbiło mu się w pierś, po czym szeroko otworzył usta, gdy nóż wniknął głębiej, aż po rękojeść. Płoszka upadła na niego, ślizgając się na krwi pokrywającej dach wozu.

Miała coś w ustach. Czubek jego nosa. Wypluła go i szepnęła do Temple'a:

– Kto powozi?

Wóz się przechylił, coś zachrząściło i szarpnęło, a Płoszka wyleciała w powietrze.

Temple stęknął, przetaczając się na plecy i zerkając w niebo

z szeroko rozłożonymi rękami, czując na obnażonej szyi przyjemny chłód śniegu...

– Uch! – Usiadł, krzywiąc się pod wpływem kilku źródeł kłującego bólu, po czym rozejrzał się dzikim wzrokiem.

Płytki kanion o ścianach z prążkowanego kamienia i piasku, pokrytych plamami śniegu, droga biegnąca środkiem, reszta usiana głazami i zarośnięta kolczastymi krzewami. Wóz leżał na boku w odległości tuzina kroków. Jedne drzwi miał wyrwane, drugie szeroko otwarte, jedno z kół z wierzchniej strony zniknęło, drugie wciąż się powoli obracało. Dyszel pękł i konie uciekły drogą, niewątpliwie zachwycone niespodziewaną wolnością. Ich sylwetki już znikwały w oddali.

Słońce właśnie przedostawało się do dna kanionu, rozświetlając złoto, szlak skarbów rozsypanych z tyłu wywróconego wozu na odcinku około trzydziestu kroków. W samym środku kosztowności siedziała Płoszka.

Temple zerwał się do biegu, ale od razu upadł i najadł się śniegu. Wypluł małą złotą monetę i dojrzał do Płoszki. Próbowła wstać, ale jej podarty płaszcz zaplątał się w kolczasty krzew i ponownie opadła na śnieg.

– Mam zjebaną nogę – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. Miała posklejane włosy i zakrwawioną twarz.

– Możesz na niej chodzić?

– Nie. Dlatego mówię, że jest zjebana.

Objął ją ramieniem i z trudem stanęli, ona na jednej zdrowej nodze, a on na dwóch drżących.

– Masz już jakiś plan?

– Zabić cię i ukryć się w twoim ciele?

– To lepszy pomysł niż którykolwiek z moich.

Rozejrzał się po ścianach kanionu, szukając dróg ucieczki, po

czym chwiejnie ruszył w stronę najbardziej obiecującego miejsca, a Płoszka pokuśtykała obok niego. Oboje rządzili z bólu i wysiłku. Mogło to sprawiać niemal komiczne wrażenie, gdyby Temple nie wiedział, że w pobliżu czają się ich niedawni kompani. On jednak wiedział, więc nie było mu do śmiechu.

– Przepraszam, że cię w to wpakowałam – powiedziała Płoszka.

– Sam to zrobiłem, już dawno temu. – Próbował się podciągnąć na krzaku rosnącym powyżej, ale wyrwał go z podłoża i posłał w dół zbocza, zasypując się ziemią, z której większość wpadła mu prosto do ust.

– Zostaw mnie i uciekaj – rzekła Płoszka.

– Kuszące... – Rozejrzał się w poszukiwaniu innej drogi na górę. – Ale już tego próbowałem i źle na tym wyszedłem. – Przytrzymał się kilku korzeni i zrzucił z góry trochę żwiru. Zbocze było równie niepewne jak on sam. – Ostatnio staram się nie popełniać wciąż tych samych błędów...

– I jak ci idzie? – mruknęła.

– W tej chwili mogłoby mi iść nieco lepiej. – Krawędź znajdowała się zaledwie kilka kroków ponad nim, ale równie dobrze mogłaby być oddalona o milę, gdyż nie miał żadnego...

– Hej, hej, Temple!

Drogą pomiędzy koleinami wyżłobionymi przez koła wozu powoli nadjechał samotny jeździec. Wszyscy schudli od czasu opuszczenia Stariklandu, ale z jakiegoś powodu nie dotyczyło to Brachia. Zatrzymał się w pobliżu, oparł o łęk siodła i odezwał po styryjsku.

– Co za pogoń. Nie sądziłem, że stać cię na coś takiego.

– Kapitanie Brachio! Cóż za przyjemność! – Temple obrócił się, stając pomiędzy Płoszką a najemnikiem. Żaloszny pokaz

męstwa, który niemal go zażenował. Poczuł, jak kobieta chwytła go za rękę palcami lepkiemi od krwi i ucieszył się, nawet jeśli zrobiła to tylko po to, żeby utrzymać równowagę.

Za nimi ze zbocza zsunęła się kolejna porcja ziemi, a gdy Temple się obejrzał, zobaczył drugiego jeźdźca z naładowaną kuszą swobodnie trzymaną w dłoniach. Zdał sobie sprawę, że trzęsą mu się kolana. Boże, gdyby tylko był odważnym człowiekiem. Chociaż w swoich ostatnich chwilach.

Brachio leniwie popędził konia.

– Mówiłem Staremu, że nie można ci ufać, ale on zawsze miał do ciebie słabość.

– Trudno znaleźć dobrego prawnika. – Temple rozejrzał się, jakby ktoś mógł niespodziewanie przyjść im z pomocą. Tak się nie stało. Postarał się nadać swojemu łamiącemu się głosowi pozory pewności siebie. – Zabierz nas z powrotem do Coski, a może uda mi się to wyprostować...

– Nie tym razem. – Z metalicznym szczękiem Brachio dobył ciężkiego miecza, a palce Płoszki zacisnęły się na dłoni Temple'a. Nie rozumiała, o czym rozmawiają, ale obnażone ostrze nie wymaga tłumaczenia. – Cosca już tutaj jedzie i chyba chciałby, żeby wszystko było posprzątane, gdy dotrze na miejsce. Jeśli masz jakieś wątpliwości, dotyczy to także twojej śmieci.

– Domyśliłem się – zaskrzeczał Temple. – Kiedy dobyłeś miecza. Ale dziękuję za wyjaśnienie.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Lubię cię, Temple. Zawsze cię lubiłem. Łatwo zjednujesz sobie sympatię.

– Ale i tak mnie zabijesz.

– Mówisz tak, jakbym miał jakiś wybór.

– Jak zwykle mam pretensje tylko do siebie, ale... – Temple obliznął usta, uwolnił dłoń z uścisku Płoszki i popatrzył

Brachiowi prosto w zmęczone oczy, próbując przywołać swoją słynną szczerłość. – Może mógłbyś puścić wolno dziewczynę? To chyba wykonalne.

Brachio przez chwilę przypatrywał się z surową miną Płoszce, która w milczeniu usiadła pod ścianą kanionu.

– Chciałbym. Możesz mi wierzyć, że zabijanie kobiet nie sprawia mi przyjemności.

– Oczywiście, że nie. Nie chciałbyś wrócić po czymś takim do swoich córek.

Brachio niepewnie poruszył ramionami, noże przemieściły się na jego brzuchu, a Temple wyczuł słaby punkt. Uklęknął na śniegu, złożył dłonie i w ciszy zaczął się modlić. Nie za siebie, ale za Płoszkę. Ona naprawdę zasłużyła na ocalenie.

– To był mój pomysł. Tylko mój. Namówiłem ją do tego. Przecież wiesz, jaki potrafię być przekonujący, a to biedactwo jest naiwne jak dziecko. Wypuść ją. Poczujesz się dzięki temu lepiej. Wypuść ją, błagam.

Brachio uniósł brwi.

– Muszę przyznać, że mnie wzruszyłeś. Spodziewałem się, że zrzucisz na nią całą winę.

– Ja również jestem wzruszony – zgodził się mężczyzna z kuszą.

– Nie jesteśmy potworami. – Brachio otarł załzawione oko. Jednak drugie pozostało suche. – Tyle że ona próbowała nas okraść, niezależnie od tego, czyj to był pomysł, a jej ojciec sprawił nam mnóstwo kłopotów... Nie, Cosca by nie zrozumiał. Zresztą nie mógłbyś nam się odwdzięczyć za tę przysługę, prawda?

– Nie – mruknął Temple. – Raczej nie mógłbym. – Zastanawiał się, co jeszcze może powiedzieć, żeby przynajmniej opóźnić

nieuniknione. Żeby zdobyć kilka dodatkowych chwil. Jeszcze jeden oddech. Dziwne. Przecież wcale nie czuł się dobrze. – Czy to by coś dało, gdybym powiedział, że byłem pijany?

Brachio pokręcił głową.

– Wszyscy byliśmy.

– Miałem gówniane dzieciństwo?

– Mamusia zamykała mnie w kredensie.

– Gównianą dorosłość?

– Jak wszyscy. – Brachio ponownie popędził konia, którego potężny cień padł na Temple'a. – No, wstawaj. Wolałbym to załatwić szybko. – Poruszył ręką z mieczem. – Obaj byśmy nie chcieli, żebym zbyt długo cię siekł.

Temple obejrzał się na Płoszkę, zakrwawioną i wyczerpaną.

– Co powiedział? – spytała.

Znużony wzruszył ramionami. Ona pokiwała głową. Wyglądało na to, że nawet z niej uszło powietrze. Popatrzył w niebo i wstał. Cóż za nieciekawe, szare niebo. Jeśli istnieje Bóg, to jest pozbawionym humoru bankierem. Obojętnym pedantem, który wykreśla długi z kosmicznej księgi rachunkowej. Każdy zaciąga pożyczkę, którą na końcu musi spłacić.

– To nic osobistego – rzekł Brachio.

Temple zamknął oczy. Różowy blask słońca przeświecał mu przez powieki.

– Trudno nie brać tego do siebie.

– Pewnie masz rację.

Rozległ się grzechoczący odgłos. Temple się skrzywił. Zawsze marzył o tym, że stanie w obliczu śmierci z godnością, tak jak Kahdia. Jednakże godność wymaga praktyki, a tej Temple'owi

brakowało. Skulił się wbrew sobie. Zastanawiał się, jak bardzo boli odcięcie głowy. Czy cokolwiek się czuje? Usłyszał dwa trzaski oraz stęknienie i jeszcze bardziej się skulił. Na pewno coś się czuje. Koń Brachia parsknął, deptając ziemię, po czym rozległ się metaliczny łoskot upadającego miecza.

Temple uchylił jedno oko. Brachio spoglądał w dół z zaskoczoną miną. W jego szyi tkwiła strzała, a dwie kolejne sterczały mu z piersi. Otworzył usta i wypluł krew na przód koszuli, po czym powoli przechylił się w siodle i runął na twarz obok butów Temple'a, z jedną nogą wciąż uwięzioną w strzemieniu.

Temple się rozejrzał. Mężczyzna z kuszą zniknął. Jego wierzchowiec stał na szczycie ściany kanionu.

– Cóż za niespodzianka – wychrypiała Płoszka.

Zbliżał się koń. W siodle, z dłońmi skrzyżowanymi na łuku, ostrą, surową twarzą i krótkimi włosami poruszonymi wiatrem, siedziała Corlin.

– Mam nadzieję, że przyjemna.

– Nieco spóźniona. – Płoszka chwyciła bezwładną dłoń Temple'a i podciągnęła się na niej, wstając z bolesnym grymasem. – Ale chyba będziemy musieli jakoś to przeżyć.

Kolejne konie pojawiły się po obu stronach doliny. Wszyscy jeźdźcy byli uzbrojeni, niektórzy mieli na sobie zbroje. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, niektórych Temple pamiętał z Fałdy, innych nigdy wcześniej nie widział. Troje albo czworo trzymało częściowo naciągnięte łuki. Nie celowali w Temple'a, ale również nie w przeciwną stronę. Kilka osób miało odsłonięte przedramiona, na których widniały tatuaże. *Zagłada na Unię. Śmierć królowi. Powstańcie.*

– Buntownicy – szepnął Temple.

– Zawsze miałeś talent do komentowania tego, co oczywiste. – Corlin ześlizgnęła się z siodła, kopnięciem wytrąciła stopę Brachia ze strzemienia i przetoczyła jego zwłoki, tak że obrócił się tłustą, ubrudzoną twarzą ku niebu, wpatrując się w nie wytrzeszczonymi oczami. – Wszystko w porządku z ręką?

Płoszka podciągnęła zębami rozdarty rękaw, odsłaniając długie rozcięcie, z którego wciąż sączyła się krew spływająca aż do opuszków palców. Temple’owi zrobiło się słabo. Dziwił się, że wciąż trzyma się na nogach.

– Trochę boli – odrzekła Płoszka.

Corlin wyjęła z kieszeni rolkę bandaża.

– Mam wrażenie, że już kiedyś to robiłyśmy.

Zacząła opatrywać ranę, spoglądając na Temple’a. Wydawało się, że nigdy nie mruga. Temple pewnie uznałby to za denerwujące, gdyby z jego nerwów nie pozostały strzępy.

– Gdzie mój wujek? – zapytała.

– W Sygnale – wychrypiał, a buntownicy zsiadli z koni i zaczęli je prowadzić w dół stromych zboczy kanionu, rozrzucając piach.

– Żyje?

– Nie wiemy – odparła Płoszka. – Dowiedzieli się, że jest Conthusem.

– Naprawdę? – Corlin wzięła Temple’a za rękę i zacisnęła jego dłoń na nadgarstku Płoszki. – Przytrzymaj. – Zacząła odpinać płaszcz.

– Owca po niego wrócił, ale wpadli w tarapaty. Wtedy ukradliśmy wóz. Słodki popędził konie przez obozowisko, żeby dać im trochę... czasu...

Corlin zdjęła płaszcz i zarzuciła go na szyję konia. Jej żyłaste ręce były niebieskie od liter, słów i haseł, od ramion po

nadgarstki.

– To ja jestem Conthus – powiedziała, wyciągając nóż zza paska.

Zapadła cisza.

– O – odezwał się Temple.

– Aha – dodała Płoszka.

Corlin, a raczej Conthus, ucięła bandaż jednym szybkim ruchem i spięła go szpilką. Zwróciła zmrużone oczy w stronę rozbitego wozu, spokojnie przyglądając się złotu, które lśniło na śniegu.

– Widzę, że zdobyliście nieco pieniędzy.

Temple odchrząknął.

– Trochę. Honoraria prawników ostatnio poszły w górę...

– Przydałyby się nam dwa konie. – Płoszka uwolniła zabandażowane przedramię z uścisku Temple'a i poruszyła palcami. – Nicomo Cosca depcze nam po piętach.

– Nie potraficie trzymać się z daleka od kłopotów, prawda? – Corlin poklepała po szyi wierzchowca Brachia. – Mamy dwa zapasowe wierzchowce. Ale to będzie kosztować.

– Pewnie nie masz ochoty się targować?

– Z tobą? Nic z tego. Uznajmy to za hojny dar dla sprawy wyzwolenia Stariklandu. – Machnęła głową w kierunku swoich kompanów, a oni ruszyli naprzód z przygotowanymi workami i torbami.

Jakiś potężny młodzieniec w pośpiechu potracił Temple'a ramieniem. Niektórzy padli na kolana i zaczęli zbierać złoto rozrzucone wokół wraku. Inni wślizgnęli się do środka i po chwili z hukiem wyłamali kraty i roztrzaskali skrzynie, żeby po raz trzeci w tym tygodniu ukraść smoczy skarb.

Jeszcze niedawno Temple był bogatszy, niż mógł sobie wyobrazić w najbardziej chciwych marzeniach, ale skoro kilka chwil później miał stracić głowę, czuł, że nie ma prawa narzekać.

– To szlachetna sprawa – wyszeptał. – Nie żałujcie sobie.

Czasy się zmieniają

Burmistrz stała na balkonie w swojej zwyczajowej pozie, z dłońmi opartymi na wypolerowanej balustradzie, i patrzyła, jak ludzie Curnsbricka ciężko pracują na budowie jego nowej fabryki. Olbrzymi szkielet górował nad amfiteatrem – nowe nad starym – wypełniając pajęczyną rusztowań miejsce, które kiedyś zajmował Biały Dom Papy Ringa. Pod każdym względem był to obrzydliwy budynek, w którego stronę przez lata kierowała całą swoją nienawiść, spryt oraz wściekłość. A teraz za nim tęskniła.

Co tam stanowisko burmistrza. Gdy Ring przestał się kołysać na sznurze, została królową Dalekiej Krainy, jednak triumfalny wieniec szybko usechł. Przemoc i pożary wypędziły połowę mieszkańców. Coraz częściej szeptano, że złoto jest na wyczerpaniu. Potem gruchnęła wieść o odkryciu nowych złóż na południu niedaleko Nadziei i ludzie nagle zaczęli całymi setkami opuszczać Fałdę. Z braku wrogów zwolniła większość swoich ludzi. Niezadowoleni, na odchodnym podpalili dużą część pozostałych budynków. Zresztą, opustoszałe domy nie przynosiły żadnych zysków z czynszu. Działki w mieście i na wzgórzach, za które ludzie się zabijali, w ciągu jednej nocy straciły całą wartość. Sale hazardu i domy uciech w większości pozabijano deskami. Ostatni wąły strumyczek klientów sączył się przez Kościół Kości, skąd kiedyś płynęła do niej prawdziwa rzeka pieniędzy, zupełnie jakby miała własną mennicę.

Niepodzielnie panowała w Fałdzie, która była niemal bezwartościowa.

Czasami burmistrz miała wrażenie, że poświęciła życie na budowanie w bólu, pocie, krwi i znoju, tylko po to, by potem patrzeć, jak jej dzieło obraca się w ruinę. Za sprawą jej własnej pychy, mściwości innych, a także chaotycznych kaprysów tego ślepego łobuza przeznaczenia. Uciekała od jednej porażki do kolejnej. Ostatecznie porzuciła nawet swoje imię. Także teraz miała pod ręką spakowaną torbę. Opróżniła szklaneczkę i nalała sobie kolejną porcję.

Właśnie na tym polega odwaga. Na zatapianiu w przeszłości wszystkich rozczarowań i porażek, poczucia winy i wstydu, otrzymanych i zadanych ran, by zacząć od nowa. Na przekleciu dnia wczorajszego i stanięciu z wysoko uniesioną głową w obliczu jutra. Czasy się zmieniają. Ludzie, którzy potrafią to przewidywać, planować i odpowiednio się zmieniać, osiągają sukces. Dlatego zawarła układ z Curnsbickiem i bez żalu ponownie podzieliła swoje ciężko wywalczone imperium.

Wtedy jego niewielka fabryka, która sprawiała wrażenie olbrzymiej, gdy przekształcił w nią opustoszały burdel, już pluła czarnym dymem z dwóch blaszanych kominów, do których wkrótce dołączyły kolejne trzy ceglane. W bezwietrzne dni fabryka zasnuwała dymem całą dolinę, przepędzając z balkonów nieliczne dziwki, które wciąż prowadziły swój rozneglizowany interes.

Wydawało się, że nowa fabryka będzie miała dwukrotnie większe kominy. Zapowiadała się na największy budynek w promieniu stu mil. Burmistrz nawet nie wiedziała, do czego będzie służył nowy zakład, jedynie słyszała, że ma to coś wspólnego z węglem. Ostatecznie okazało się, że wzgórza kryją niewiele złota, ale za to można z nich czerpać niesamowite ilości tego czarnego surowca. Gdy cienie fabryki się wydłużyły,

Burmistrz zaczęła się zastanawiać, czy nie było jej lepiej, gdy po przeciwnej stronie ulicy rezydował Ring. Jego przynajmniej rozumiała. Ale Ring odszedł, a razem z nim świat, o który walczyli, a który rozwiął się jak dym na wietrze. Curnsbick sprowadził własnych pracowników, którzy budowali, kopali w ziemi i palili w piecach. Byli bardziej czyści, spokojni i trzeźwiejsi niż ludzie, którzy zazwyczaj przybywali do Fałdy, ale oni także potrzebowali rozrywek.

– Czasy się zmieniają, co?

Uniosła szklaneczkę, wznosząc toast za nikogo konkretnego. Może za Papę Ringa. A może za siebie z czasów, gdy wciąż miała imię. Zauważyła coś przez zniekształcające obraz szkło szklaneczki i ją opuściła. Główną ulicą nadjeżdżało dwoje jeźdźców, którzy wyglądali, jakby mieli za sobą męczącą podróż. Kobieta przytrzymała zranioną rękę. To była Płoszka Południe. Towarzyszył jej prawnik Temple.

Burmistrz zmarszczyła czoło. Po dwudziestu latach unikania katastrof potrafiła wyczuć niebezpieczeństwo z tysiąca kroków, a gdy ta dwójka zatrzymała się przed jej drzwiami, nos wyraźnie ją ostrzegł. Temple ześlizgnął się z siodła, upadł w błoto, z trudem wstał, po czym pomógł zejść z konia Płoszce, która mocno kulą.

Burmistrz opróżniła szklaneczkę i wessała resztki trunku, które osiadły jej na zębach. Przechodząc przez swoje komnaty, ciasno zapinając kołnierzyk, zerknęła na kredens, w którym trzymała spakowaną torbę. Zastanawiała się, czy właśnie nadszedł jej dzień.

Niektórzy ludzie przynoszą kłopoty. Jedną z takich osób jest Cosca. Kolejną Owca. Są także ludzie, którzy, choć sami nie sprawiają problemów, zawsze wpuszczają je do twojego domu,

gdy otwierają drzwi. Zawsze podejrzewała, że należy do nich Temple. Gdy teraz patrzyła ze schodów, jak opiera się o kontuar w żałości opustoszałej sali gier, nabrała co do tego pewności. Miał podarte i zakrwawione ubranie pokryte pyłem, dzikie spojrzenie i ciężko dyszał.

– Wyglądasz, jakby bardzo ci się tutaj śpieszyło – powiedziała.

Zerknął na nią z lekkim poczuciem winy.

– Można tak powiedzieć.

– A po drodze wpadłeś w tarapaty.

– Tak też można powiedzieć. Mógłbym poprosić o coś do picia?

– Masz czym zapłacić?

– Nie.

– Nie jestem instytucją dobroczynną. Co tutaj robisz?

Przez chwilę się zastanawiał, po czym, niczym magik wykonujący sztukę, przywołał na swoje oblicze wyraz intensywnej szczerości. Burmistrz od razu stała się czujna.

– Nie mam dokąd pójść.

– Na pewno wystarczająco starannie szukałeś? – Zmrużyła oczy. – Gdzie Cosca?

Przełknął ślinę.

– Zabawne, że pani o to pyta.

– Wcale się nie śmieję.

– Nie.

– Zatem to nie jest zabawne?

– Nie. – Porzucił szczerość i ograniczył się do prostego strachu. – Zgaduję, że jest najwyżej kilka godzin za nami.

– Zmierza tutaj?

- Raczej tak.
- Ze wszystkimi swoimi ludźmi?
- Z tymi, którzy mu pozostali.
- Ilu ich jest?
- Niektórzy zginęli w górach, wielu zdezerterowało...
- Ilu?
- Myślę, że nadal co najmniej setka.

Burmistrz zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

- A inkwizytor?
- Z tego, co mi wiadomo, również jest obecny.

– Czego chcą?

– Inkwizytor chce torturami przetrzeć szlak dla lepszego jutra.

– A Cosca?

– Cosca pragnie fortuny w starym złocie, którą ukradł Smoczemu Ludowi, a którą potem... – Temple zaczął nerwowo skubać swój postrzępiony kołnierz – ...ja mu ukradłem.

– A gdzie znajduje się ta dwukrotnie skradziona fortuna?

Temple się skrzywił.

– Ponownie została skradziona. Zabrała ją Corlin. Okazało się, że to ona jest Conthusem, przywódcą buntowników. To dzień pełen niespodzianek – zakończył Temple bez przekonania.

– Na... to... wygląda – wyszeptała pani Burmistrz. – Gdzie jest Corlin?

Temple bezradnie wzruszył ramionami. Bardzo to lubił.

– Rozpłynęła się na wietrze.

Burmistrz darzyła ten gest zdecydowanie mniejszą sympatią.

– Nie mam ludzi, którzy mogliby się im przeciwstawić – odparła. – Nie mam pieniędzy, żeby się wykupić. Nie mam

dawnego skarbu dla przeklętego Nicomo Coski i z pewnością nie mam lepszego jutra dla jebanego Inkwizytora Lorsena! Czy jest szansa, że twoja głowa ich udobrucha?

Temple przełknął ślinę.

– Obawiam się, że nie.

– Ja również. Ale z braku innych możliwości, złożę taką propozycję.

– Tak się składa... – Temple oblizał usta – ...że mam pewną sugestię.

Burmistrz chwyciła go za koszulę i przyciągnęła do siebie.

– Dobrą? Czy to najlepsza sugestia, jaką słyszałam w życiu?

– Szczerze wątpię, ale w tych okolicznościach... Czy ma pani tamten traktat?

– Jestem zmęczony – rzekł kapral Bright, zerkając bez entuzjazmu na spiętrzone chałupy tworzące Fałdę.

– Właśnie – stęknął Stare Koło. Musiał zmuszać swoje powieki, żeby się nie zamknęły, były tak ciężkie po nocnej zabawie, przerażającej ucieczce przed końmi tratującymi obóz, a następnie długiej pieszej wędrówce i męczącej jeździe.

– No i brudny – dodał Bright.

– Właśnie. – Od dymu nocnych ognisk, przedzierania się przez zarośla podczas ucieczki przed końmi, a następnie błota bezustannie chlapiącego spod kopyt galopujących przed nim wierzchowców.

– A także obolały – rzucił Bright.

– Niewątpliwie. – To także skutek nocnej zabawy oraz długiej jazdy. Oprócz tego Stare Koło wciąż odczuwał skutki upadku w górach oraz dokuczała mu dawna rana na tyłku. Nikt by się

nie spodziewał, że trafienie strzałą w tyłek będzie cię prześladowało do końca twoich dni, ale prawda okazała się inna. Pancierz na dupę. Oto klucz do życia najemnika.

– To była wymagająca kampania – rzekł Koło.

– Jeśli można tym słowem określić pół roku galopowania, chlania, zabijania i rabowania.

– A co innego chciałbyś nim określić?

Bright przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Masz rację. Ale czy kiedykolwiek widziałeś gorszą? Jesteś z Coscą od lat.

– Na Północy było zimniej. W Kadirze było więcej pyłu. Podczas ostatniego zamieszania w Styrii było więcej krwi. W pewnej chwili Kompania zbuntowała się na całego. – Poprawił kajdany przy pasie. – Przestaliśmy zakuwać ludzi w łańcuchy i zaczęliśmy ich wieszać za każde naruszenie zasad. Muszę jednak przyznać, że rzeczywiście nie widziałem gorszej kampanii. – Koło wciągnął gluta, z namysłem obrócił go w ustach, badając jego konsystencję, po czym odchylił się do tyłu i splunął przez otwarte okno jednej z chat.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś potrafił pluć tak jak ty – zauważył Bright.

– To kwestia praktyki – odparł Koło. – Tak jak wszystko inne.

– Ruszajcie się! – ryknął przez ramię Cosca ze swojego miejsca na czele kolumny.

Jeśli można nazwać kolumną osiemnastu ludzi. Nie da się jednak ukryć, że byli szczęściarzami. Reszta Kompanii zapewne wciąż brnęła pieszo przez płaskowyż. Przynajmniej ci, którzy nadal żyli.

Myśli Brighta najwyraźniej maszerowały w tym samym kierunku.

– Straciliśmy wielu dobrych ludzi przez ostatnie tygodnie.
– „Dobrych” to lekka przesada.
– Wiesz, co mam na myśli. Nie mogę uwierzyć, że odszedł Brachio.

– To rzeczywiście duża strata.

– No i Jubair.

– Nie będę udawał żalu, że głowa tego czarnego drania już nie spoczywa na jego karku.

– To prawda, że był dziwakiem, ale w trudnych chwilach można było na nim polegać.

– Wolałbym już nie przeżywać takich trudnych chwil.

Bright zerknął na niego z ukosa, po czym lekko zwolnił, żeby najemnicy jadący przed nim go nie usłyszeli.

– Trudno się nie zgodzić. Chciałbym po prostu wrócić do domu.

– Gdzie tacy ludzie jak my mają dom?

– A więc chciałbym udać się w jakieś inne miejsce, byle dalej stąd.

Koło rozejrzał się po kłębówisku drewna i ruin tworzącym Fałdę. To miasteczko nigdy nie stanowiło atrakcji dla kulturalnego człowieka, a teraz sytuacja najwyraźniej jeszcze się pogorszyła. Niektóre budynki spłonęły, a duża część pozostałych była opuszczona. Wydawało się, że ludzie, którzy zostali, po prostu nie potrafili znaleźć sposobu na ucieczkę albo byli zbyt przybici, żeby jej próbować. Przez chwilę człapał za nimi wyjątkowo wynędzniały żebrak z wyciągniętą dłonią, po czym przewrócił się do rynsztoka. Po drugiej stronie ulicy bezzębna staruszka zaśmiewała się z czegoś do rozpuku. Była szalona albo usłyszała coś bardzo zabawnego. To pierwsze wydawało się bardziej prawdopodobne.

– Rozumiem cię – odparł Koło. – Ale musimy znaleźć pieniądze.

Prawdę mówiąc, wcale nie był pewien, czy tego chce. Przez całe życie pieczołowicie odkładał każdego miedziaka, który wpadł mu w pokryte kurzajkami dłonie. Nagle znalazł się w posiadaniu takiej ilości złota, że jego dotychczasowy majątek przestał mieć znaczenie. W obliczu takiego bogactwa cały świat tracił sens.

– Nic sobie nie zostawiłeś?

– Oczywiście, odrobinę. – A tak naprawdę to więcej niż odrobinę. Sakiewka, którą trzymał pod pachą, była ciężka od monet. Nie zatrzymał tyle, żeby się bać, ale i tak był to znaczny łup.

– Jak my wszyscy – mruknął Bright. – Czyli szukamy złota Coski?

Koło zmarszczył brwi.

– Liczą się jeszcze zasady i tak dalej.

– Zasady? Czyżby?

– Nie możemy pozwolić, żeby ktoś tak po prostu nas okradł.

– Przecież sami to wszystko ukradliśmy – odrzekł Bright, czemu Koło nijak nie mógł zaprzeczyć. – Mówię ci, ten skarb jest przeklęty. Odkąd położyliśmy na nim ręce, wszystko jeszcze bardziej się spieprzyło.

– Nie ma czegoś takiego jak klątwy.

– Powiedz to Brachiowi i Jubairowi. Ilu nas wyruszyło ze Stariklandu?

– Według Przyjaznego, ponad czterystu, a Przyjazny nie myli się w rachunkach.

– A ilu nas zostało?

Koło otworzył, po czym zamknął usta. Ten argument był oczywisty dla wszystkich.

– No właśnie – rzekł Bright. – Jeszcze trochę się tutaj powłóczymy, a nikt nie ocaleje.

Koło pociągnął nosem, stęknął, po czym ponownie splunął, tym razem przez okno na pierwszym piętrze. Artysta powinien sobie wyznaczać nowe wyzwania.

– Towarzyszę Cosce od dawna.

– Czasy się zmieniają. Popatrz na to miejsce. – Bright wskazał głową opuszczone chaty, które jeszcze miesiąc albo dwa wcześniej tętniły życiem. – Co tak śmierdzi?

Koło zmarszczył nos. Oczywiście, w Fałdzie zawsze cuchnęło, ale był to zdrowy, dodający otuchy smród gówna i biednego życia, który kojarzył mu się z domem. Teraz w powietrzu unosiła się dziwna ostra woń, a wszystko zasnuwał całun brązowego dymu.

– Nie wiem. Ale nieszczególnie mnie to obchodzi.

– Chcę wrócić do domu – żałośnie rzekł Bright.

Kolumna zbliżała się do środka miasteczka, jeśli ono w ogóle go miało. Po jednej stronie błotnistej ulicy powstawała jakaś drewniana budowla otoczona chwiejnym rusztowaniem. Naprzeciwko wciąż wznosił się Kościół Kości, w którym Koło miesiąc albo dwa wcześniej spędził kilka przyjemnych wieczorów. Cosca uniósł pięść, zarządzając postój przed budynkiem, po czym z pomocą sierżanta Przyjaznego wyplątał się z siodła i sztywno stanął na ziemi.

Burmistrz czekała na schodach, ubrana w czarną sukienkę zapiętą pod szyję. Co za kobieta. Prawdziwa dama, mógłby rzec Koło, wydobywając to zakurzone słowo z najgłębszych otchłani pamięci.

– Generale Cosca – odezwała się z serdecznym uśmiechem. – Nie spodziewałam się...

– Nie udawaj zaskoczenia! – odburknął.

– Ależ jestem zaskoczona. Przybywasz w dosyć niefortunnej chwili, właśnie doświadczamy...

– Gdzie moje złoto?

– Słucham?

– Oczywiście możesz udawać niewiniątko. Ale oboje znamy prawdę. W takim razie, gdzie jest mój przeklęty notariusz?

– W środku, ale...

Stary przepchnął się obok niej i mamrocząc coś pod nosem, pokuśtykał w górę schodów. Przyjazny, Sworbreck i kapitan Dimbik podążyli za nim.

Burmistrz delikatnie chwyciła Lorsena za rękę.

– Inkwizytorze Lorsen, muszę zaprotestować.

Posłał jej surowe spojrzenie.

– Droga pani Burmistrz, ja protestuję od miesiący, ale bezskutecznie.

Wydawało się, że Cosca nie zwraca uwagi na pół tuzina srogich oprychów pilnujących drzwi. Koło od razu ich zauważył, gdy wspiał się po schodach śladem pozostałych, a zmartwione oblicze Brighta świadczyło o tym, że on również nie pozostał na nich obojętny. Możliwe, że Kompania miała przewagę liczebną, a kolejne posiłki przemierzały płaskowyz, tak szybko, jak mogły ich nieść własne nogi, jednak w tej chwili Koło nie miał ochoty na walkę.

W ogóle mu się to nie uśmiechało.

Kapitan Dimbik wygładził mundur. Mimo że front był pokryty zaschniętym błotem. Mimo że bluza rozłaziła się w szwach. Mimo że on sam już nie służył w żadnym wojsku, nie przynależał do żadnego narodu ani nie walczył w sprawie, którą mógłby poprzeć jakikolwiek zdrowy na umyśle człowiek. Mimo że był całkowicie zagubiony i rozpaczliwie skrywał bezdenną nienawiść i współczucie wobec własnej osoby.

Jednakże gładki mundur zawsze jest lepszy od wygniecionego.

To miejsce zmieniło się od czasu jego ostatniej wizyty. Sale gier w większości opróżniono, pozostawiając połać skrzypiących desek. Stoły do gry w kości i karty zepchnięto pod ściany, kobiety odesłano, klienci zniknęli. Pozostało tylko około dziesięciu zbirów pani Burmistrz, czujnych i uzbrojonych, którzy stali obok pustych nisz w ścianach, a także mężczyzna wycierający szklanki za długim kontuarem. Na środku stał pojedynczy stolik, niedawno wypolerowany, lecz wciąż noszący ślady intensywnego użytkowania. Siedział przy nim Temple, który skupiał się na leżących przed nim papierach i z dziwną beztróską zerkał na otaczających go ludzi Dimbika.

Czy w ogóle można ich nazwać ludźmi? Byli obdarci i niewiarygodnie wymizerowani, a morale nawet najszlachetniejszych z nich zapadło się w najgłębszą otchłań. Zresztą, nigdy nie byli zbyt obiecującymi przedstawicielami ludzkiej rasy. Dimbik kiedyś próbował narzucić im dyscyplinę. Po tym, jak został zwolniony z wojska. Po swojej wielkiej hańbie. Pamiętał jak przez mgłę pierwszy dzień w mundurze. Tak przystojnie prezentował się w lustrze, napompowany opowieściami o bohaterskich czynach, czuł błyskotliwą karierę na wyciągnięcie ręki. Ponownie z żalem wygładził zatłuszczone

resztki swojego stroju. Jak to możliwe, że upadł tak nisko? Nawet nie może się nazwać szumowiną. Jest pachółkiem szumowin.

Patrzył, jak niesławny Nicomo Cosca kroczy po pustej posadzce, pobrzękując wygiętymi ostrogami, wpatrując się w Temple'a z mściwą nienawiścią na szczurzej twarzy. Oczywiście udał się do kontuaru, gdzieżby indziej? Wziął butelkę, wyszarpnął korek zębami i wychylił jedną czwartą zawartości.

– A więc oto jest! – wychrypiął Stary. – Jak kukułka w naszym gnieździe! Jak zmija na naszym łonie! Jak... jak...

– Robak w waszym gównie? – zaproponował Temple.

– Czemu nie, skoro tak mówisz. Co powiedział Verturio? Nigdy nie lękaj się swoich wrogów, ale przyjaciół – zawsze. Niewątpliwie był mądrzejszym człowiekiem ode mnie! Wybaczylem ci! Wybaczylem, a ty jak mi się odpłaciłeś? Mam nadzieję, że to zapisujesz, Sworbreck! Może uda ci się sklecić zgrabną przypowieść traktującą o micie odkupienia i cenie zdrady.

Pisarz zaczął szukać ołówka, podczas gdy groźny uśmiech Coski ulotnił się z jego oblicza, pozostawiając tylko groźbę.

– Gdzie moje złoto, Temple?

– Nie mam go. – Notariusz podniósł plik papierów. – Ale mam to.

– Lepiej, żeby to miało jakąś wartość – odburknął Cosca i pociągnął kolejny łyk.

Sierżant Przyjazny podszedł do jednego ze stołów do gry w kości i zaczął układać wieże z kostek, najwyraźniej nie zwracając uwagi na rosnące napięcie. Inkwizytor Lorsen wszedł do pomieszczenia i przywitał Dimbika zdawkowym ukłonem.

Dimbik z szacunkiem odwzajemnił gest, po czym polizał palec i poprawił włosy z przodu głowy, zastanawiając się, czy inkwizytor rzeczywiście może załatwić mu stanowisko w królewskiej gwardii przybocznej, gdy wrócą do Adui. Zapewne nie, ale każdy potrzebuje pięknych marzeń. Nadziei na drugą szansę, nawet jeśli sama szansa jest nieosiągalna...

– To traktat. – Temple odezwał się na tyle głośno, żeby usłyszano go w całej sali. – Na jego mocy Fałda i cała okoliczna kraina zostaje włączona do Imperium. Podejrzewam, że Jego Promienista Mość Imperator nie będzie zachwycony, gdy się dowie, że zbrojny oddział finansowany przez Unię wkroczył na jego terytorium.

– Zaraz ja wkroczę na twoje terytorium. – Cosca oparł lewą dłoń na rękojeści miecza. – Gdzie, do diabła, jest moje złoto?

Atmosfera nieuchronnie i pośpiesznie zmierzała w kierunku rozlewu krwi. Ludzie rozchylali poły płaszczy, świerzbujące palce pełzły w kierunku rękojeści, ostrza wysuwały się z pochew, powieki się przymykały. Dwaj ludzie Dimbika odbezpieczyli spusty naładowanych kusz. Mężczyzna wycierający szklanki ukradkiem położył dłoń na czymś, co trzymał pod blatem, a Dimbik nie miał wątpliwości, że to coś ma ostry koniec. Patrzył na to wszystko z bezsilnym rosnącym przerażeniem. Nienawidził przemocy. Został żołnierzem ze względu na mundury. Epolety, marsze i wojskowe kapele...

– Chwileczkę! – burknął Lorsen, przemierzając pomieszczenie.

Dimbik z ulgą powitał fakt, że któryś z ludzi dysponujących władzą nie stracił rozsądku.

– Superior Pike wyraźnie przestrzegł, żeby nie wchodzić w konflikt z siłami Imperium! – Wyrwał Temple'owi traktat. – Ta

wyprawa i tak jest katastrofą, nie potrzebujemy jeszcze wojny!

– Chyba pan nie zamierza potwierdzać tego oszustwa – zakpił Cosca. – Ten człowiek żyje z kłamstwa!

– Nie tym razem. – Burmistrz wsunęła się do pomieszczenia w towarzystwie dwójki swoich ludzi, z których jeden stracił oko, ale tym samym zyskał groźny wygląd. – Ten dokument został przyjęty przez wybranych przedstawicieli społeczności Fałdy i jako taki jest w pełni wiążący.

– Uznaję go za swoje największe osiągnięcie. – Jeśli Temple kłamał, to robił to z jeszcze większym samozadowoleniem niż zazwyczaj. – Opiera się on na nienaruszalnym prawie własności, które zagwarantowano przy tworzeniu Unii, odwołuje się do najwcześniejszych imperialnych roszczeń wobec tych terenów i jest w pełni wiążący nawet w ramach prawa górniczego. Jestem pewien, że nie da się go podważyć przed żadnym sądem.

– Niestety, mój prawnik zrezygnował z pracy dla mnie w dosyć nieprzyjemnych okolicznościach – wykrztusił Cosca przez zaciśnięte zęby. – Jeśli zakwestionujemy twój traktat, uczynimy to przed sądem ostrzy.

Lorsen parsknął.

– On nawet nie jest podpisany – zauważył i rzucił dokument na stół.

Cosca zmrużył przekrwione oczy.

– A gdyby był? Ty powinieneś wiedzieć najlepiej, Temple, że jedyne prawa, które coś znaczą, to te poparte siłą. Najbliższe oddziały imperialne są oddalone o kilka tygodni drogi.

Temple uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Och, są nieco bliżej.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i na oczach niedowierzającego, ciężko uzbrojonego zgromadzenia do

Kościół Kości wkroczyli żołnierze. Imperialne wojsko w pozłacanych nagolennikach i napierśnikach, z włóczniami o szerokich grotach w garści, krótkimi mieczami przy pasie oraz okrągłymi tarczami oznaczonymi dłonią Juwensa, pięcioma piorunami i kłosem jęczmienia. Wyglądali, jakby przywędrowali prosto z dawnych czasów.

– Co, u diabła...? – mruknął Cosca.

W środku tej dziwacznej gwardii honorowej siedł starzec z krótką brodą białą jak śnieg, w pozłacanym hełmie ozdobionym wysokim pióropuszem. Szedł powoli, ostrożnie, jakby sprawiało mu to ból, a jednak był idealnie wyprostowany. Nie rozglądał się na boki, jakby Cosca i jego ludzie, pani Burmistrz i jej ludzie, Temple, Lorsen i wszyscy pozostali byli robakami niegodnymi jego uwagi. Jakby był bogiem zmuszonym do tymczasowego przebywania wśród brudnej ludzkości. Najemnicy nerwowo się cofnęli, czując respekt nie tyle przed imperialnymi legionami, ile przed aurą niepodważalnej władzy, którą roztaczał starzec.

Burmistrz padła na twarz u jego stóp, szeleszcząc suknią.

– Legacie Sarmis – westchnęła. – Wasza Wielmożność, jesteśmy niewymownie zaszczytzeni waszą obecnością...

Dimbik szeroko otworzył usta. Legat Sarmis, który zmiażdżył wrogów Imperatora podczas Trzeciej Bitwy pod Darmium i skazał wszystkich jeńców na śmierć. Który słynął w całym Kręgu Świata z militarnego geniuszu oraz bezwzględności. Który, jak wszyscy przypuszczali, przebywał na południu, w odległości wielu setek mil, a jednak oto stał przed nimi we własnej osobie. Dimbik miał wrażenie, że już kiedyś widział tę dostojną twarz. Pewnie na monecie.

– Rzeczywiście jesteście zaszczytzeni – odezwał się starzec –

ponieważ moja obecność jest obecnością Jego Promienistej Mości, Imperatora Goltusa Pierwszego. – Ciało Legata co prawda osłabło z wiekiem, ale jego głos, okraszony lekkim imperialnym akcentem, był budzącym lęk głosem olbrzyma, odbijającym się od wysokich krokwi jak grzmot burzy.

Kolana Dimbika, które zawsze słabły w obliczu władzy, koniecznie pragnęły się zgiąć.

– Gdzie jest dokument? – spytał Legat.

Burmistrz wstała i pokornie wskazała stół, na którym Temple umieścił pióro i traktat. Sarmis stęknął, sztywno pochylając się nad blatem.

– Podpisuję imieniem Goltusa, ta dłoń jest bowiem dłonią Imperatora. – Złożył podpis zamaszystym gestem, który wydałby się absurdalny w każdych innych okolicznościach. – Gotowe. Stoicie teraz na imperialnej ziemi i jesteście poddanymi Imperatora chronionymi przez Jego Promienistą Mość! Ogrzewanymi przez jego szczodrość. Podlegającymi jego prawu. – Gdy echa jego głosu ucichły, zmarszczył czoło, jakby dopiero teraz zauważył najemników. Omiótł ich bezlitosnym spojrzeniem, które zmroziło Dimbika do szpiku kości.

Sarmis dobierał słowa z przerażającą precyzją.

– Kim są ci... ludzie?

Nawet Cosca milczał pod wpływem wzniosłości chwili, lecz teraz, ku niezadowoleniu wszystkich, odzyskał głos. Choć ten był słaby i brzmiał niemal absurdalnie w porównaniu z głosem Legata, generał odezwał się niezrażony, dla większego efektu wymachując na wpeł opróżnioną butelką.

– Jestem Nicomo Cosca, generał Kompanii Łaskawej Dłoni i...

– I właśnie wychodziliśmy! – wszedł mu w słowo Lorsen, chwytając Coscę za łokieć.

Jednakże Stary nie pozwolił się ruszyć.

– Bez mojego złota? Nic z tego!

Dimbikowi nie podobało się, dokąd to wszystko zmierza. Zapewne nikt nie był zachwycony. Przyjazny rzucił z cichym grzechotem kości. Jednooki zbir pani Burmistrz nagle wyciągnął nóż. To nie wróżyło niczego dobrego.

– Dosyć! – syknął Lorsen, który był bliski powleczenia Starego za sobą. – Kiedy dotrzemy do Stariklandu, każdy otrzyma dodatek! Każdy!

Sworbreck przykucnął obok kontuaru, najwyraźniej próbując zapaść się pod podłogę i jednocześnie szaleńczo pisząc coś w swoim notesie. Sierżant Koło, który przesuwiał się w stronę drzwi, dobrze wiedział, co robi. Sytuacja się zmieniła, i to nie na lepsze. Dimbik błagał Coscę, by ten zaczekał na posiłki, ale równie dobrze mógłby próbować uprosić falę przypływu. Teraz wystarczył jeden przypadkowy strzał, by rozpętała się rzeź.

Dimbik gestem powstrzymywał kuszników, jakby zwracał się do płochliwego konia.

– Spokojnie...

– Sram na pański dodatek! – warknął Cosca, bez powodzenia próbując odepchnąć Lorsena i zachować godność. – Gdzie moje złoto, kurwa?

Burmistrz wycofywała się, trzymając bladą dłoń przy piersi, a Sarmis ściągnął białe brwi. Wydawało się, że jeszcze urósł.

– Cóż to za impertynent?

– Bardzo pana przepraszam – wydukał Temple. – Po prostu...

Sarmis uderzył go w twarz grzbietem dłoni, przewracając na podłogę.

– Klęknij, kiedy się do mnie zwracasz!

Dimbik czuł suchość w ustach, a w głowie słyszał łomot serca. To potwornie niesprawiedliwe, że zginie z powodu absurdalnej ambicji Coski. Jego szarfa już oddała życie w tej wątpliwej sprawie i miał wrażenie, że to wystarczająca ofiara. Kiedyś powiedziano mu, że najlepsi żołnierze rzadko bywają odważni. Wtedy nabrał pewności, że to kariera stworzona dla niego. Zaczął przesuwać dłoń w kierunku miecza, chociaż nie miał pojęcia, co z nim zrobi, gdy dosięgnie rękojeści.

– Nie pozwolę, żeby znów spotkało mnie rozczarowanie! – wrzasnął Stary, próbując dosięgnąć swojej broni i wymachując przy tym na wpół opróżnioną butelką, a Lorsen starał się go przytrzymać. – Członkowie Łaskawej Dłoni! Dobądźcie...

– Nie! – Głos Lorsena zagrzemiał jak zatrzaskiwane drzwi. – Generale Dimbik, proszę aresztować zdrajcę Nicomo Coscę!

Ludzie umilkli.

Trwało to tylko krótką chwilę, ale wszyscy mieli wrażenie, że cisza przedłuża się znacznie bardziej. Szacowali szanse i skutki. Oceniali, kto ma przewagę. Dimbik, a także pozostali usiłowali zrozumieć, co się stało. Wystarczył moment, żeby wszystko się zmieniło.

– Oczywiście, Inkwizytorze – odrzekł Dimbik.

Dwaj kusznicy wycelowali w Coscę. Byli tym nieco zaskoczeni, ale i tak to zrobili.

Przyjazny podniósł wzrok znad kości i lekko zmarszczył czoło.

– Dwa – powiedział.

Cosca popatrzył na Dimbika z szeroko otwartymi ustami.

– A więc to tak? – Butelka wypadła mu z bezwładnych palców i potoczyła się po posadzce, rozchlapując trunek. – A więc to tak, co?

– A jak inaczej miałyby być? – odparł Dimbik. – Sierzancie Koło?

Czcigodny żołnierz wystąpił naprzód, imponująco strzelając obcasami.

– Tak, panie generale?

– Proszę rozbroić panów Coscę, Przyjaznego i Sworbrecka.

– Zakujcie ich na czas podróży – dodał Lorsen. – Gdy wrócimy, staną przed sądem.

– Dlaczego mnie? – pisnął Sworbreck, spoglądając oczami wielkimi jak spodki.

– A dlaczego nie? – Kapral Bright przeszukał pisarza, a nie znalazłszy przy nim żadnej broni, wyrwał mu ołówek, rzucił go na podłogę i z wielkim namaszczeniem zmiażdżył obcasem.

– Więzień? – szepnął Przyjazny. Z jakiegoś powodu uśmiechał się, gdy zatrzaśnięto mu kajdany na nadgarstkach.

– Jeszcze tutaj wróć! – warknął Stary, plując przez ramię, miotając się i postukując pustą pochwą, gdy Koło wywlekał go z sali. – Śmieście się, póki możecie, ponieważ to Nicomo Cosca zawsze śmieje się ostatni! Zemszczę się na całej waszej bandzie! Nie spotka mnie kolejne rozczarowanie! Nie... – Zatrzasnęły się za nim drzwi.

– Kim był ten pijaczyna? – spytał Sarmis.

– To Nicomo Cosca, Wasza Ekscelencjo – wyszeptał Temple, który wciąż klęczał z dłonią przyciśniętą do zakrwawionych ust.
– Niesławny najemnik.

Legat stęknął.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Lorsen położył jedną dłoń na piersi i nisko się uklonił.

– Wasza Ekscelencjo, błagam o wybaczenie za wszelkie

niedogodności, nadużycia i...

– Macie osiem tygodni na opuszczenie terytorium Imperium
– odparł Sarmis. – Każdego, kto po tym czasie zostanie
odnaleziony w obrębie naszych granic, pogrzebiemy żywcem. –
Strzepnął pyłek z napierśnika. – Czy macie tutaj taką rzecz jak
wanna?

– Oczywiście, Wasza Ekscelencjo – wymamrotała pani
Burmistrz uniżonym głosem. – Zrobimy co w naszej mocy. –
Prowadząc legata w stronę schodów, spojrzała na Dimbika. –
Wynoście się – syknęła.

Nowo mianowany generał nie miał zamiaru się sprzeciwić.
Z olbrzymią ulgą on i jego ludzie wylegli na ulicę i zaczęli
przygotowywać swoje zmęczone wierzchowce do wyjazdu.
Cosca, którego siłą posadzono w siodle, spoglądał na Dimbika
z rozwianymi włosami i oburzeniem wymalowanym na twarzy.

– Pamiętam, jak cię przyjąłem – mruknął. – Zapijaczzonego,
wzgardzonego i bezwartościowego. Łaskawie podałem ci rękę. –
Próbował powtórzyć ten gest, ale uniemożliwiły mu to kajdany.

Dimbik przygładził włosy.

– Czasy się zmieniają.

– Oto sprawiedliwość, co, Sworbreck? Oto lojalność!
Przyjrzyjcie się wszyscy uważnie, do tego prowadzi szczodrość!
Takie są owoce uprzejmości i troski o bliźniego!

– Na litość boską, niech ktoś go uciszy – burknął Lorsen,
a Koło wychylił się z siodła i wepchnął Cosce do ust parę
skarpet.

Dimbik zbliżył się do inkwizytora.

– Może powinniśmy ich zabić? Cosca wciąż ma przyjaciół
wśród pozostałych członków Kompanii i...

– Rozsądny argument, ale nie. Popatrz na niego.

Niesławny najemnik rzeczywiście prezentował się żałośnie, przygarbiony na grzbiecie wierzchowca, z rękami skutymi za plecami, w podartej i zabłoconej pelerynie, z napierśnikiem obłożonym ze złotej farby, spod której wyzierała rdza, z pomarszczoną skórą pokrytą wysypką i jedną ze skarpetek Koła wystającą z ust.

– Ten człowiek to przeszłość. A poza tym, drogi generale...

Dimbik wyprostował się i wygładził mundur, słysząc ten tytuł. Podobało mu się jego brzmienie.

– Potrzebujemy kozła ofiarnego.

Pomimo silnego bólu brzucha i nóg oraz potu bezustannie zalewającego ciało pod zbroją, stał niewzruszony na balkonie, sztywny jak potężny dąb, jeszcze długo po tym, jak najemnicy rozplynęli się we mgle. Czy wielki Legat Sarmis, bezwzględny dowódca, niepokonany generał, prawa ręka Imperatora, postrach całego Kręgu Świata, w końcu okaże chociaż odrobinę słabości?

Miał wrażenie, że minął cały wiek wypełniony cierpieniem, zanim Burmistrz wyszła na balkon w towarzystwie Temple'a i wypowiedziała długo oczekiwane słowa:

– Odjechali.

Każda część jego ciała zwiotczała i Sarmis wydał z siebie stęknienie wydobywające się z samego dna jego jestestwa. Zdjął absurdalny hełm i otarł pot z czoła drżącą dłonią. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek nosił równie idiotyczny kostium przez wszystkie lata spędzone na scenie. Co prawda, zabrakło girland kwiatów rzuconych przez zachwyconą publiczność na szeroką scenę Domu Teatralnego w Adui po

każdym jego występie w roli Pierwszego z Magów, ale i tak odczuwał olbrzymią satysfakcję.

– Mówiłem wam, że jestem zdolny do jeszcze jednego wybitnego występu! – rzekł Lestek.

– Rzeczywiście – odpowiedziała pani Burmistrz.

– Całkiem umiejętnie mnie wspieraliście jak na amatorów. Myślę, że macie przyszłość w teatrze.

– Musiałeś mnie uderzyć? – spytał Temple, dotykając rozbitej wargi.

– Ktoś musiał – mruknęła pani Burmistrz.

– Lepiej zapytaj, czy straszliwy Legat Sarmis by cię uderzył, i to jego obwiniaj za swój ból – odparł Lestek. – Istota występu tkwi w szczegółach, chłopcze! Aktor musi całkowicie wcielić się w rolę. Co mi przypomina, że powinienem podziękować swojemu legionowi, zanim się rozejdą. Znakomicie się spisali.

– Jak na pięciu stolarzy, trzech zubożałych poszukiwaczy złota, fryzjera i pijaka znakomicie wypadli jako gwardia honorowa – przyznał Temple.

– Zwłaszcza pijak zaskakująco sprawnie dał się doprowadzić do porządku – rzekł Lestek.

– Okazał się cennym nabytkiem – zgodziła się pani Burmistrz.

– To naprawdę podziałało? – Płoszka dokuśtykała do framugi.

– Mówiłem ci, że tak będzie – rzekł Temple.

– Ale z pewnością w to nie wierzyłeś.

– Nie – przyznał, spoglądając na niebo. – Naprawdę musi istnieć jakiś Bóg.

– Jesteście pewni, że oni w to uwierzą? – spytała pani Burmistrz. – Nawet kiedy dołączą do reszty Kompanii i dokładnie to sobie przemyślą?

– Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć – odparł Temple. – Cosca jest skończony. A ci dranie chcą wrócić do domu.

– Zwycięstwo kultury nad barbarzyństwem! – zawołał Lestek, trącając pióropusz na swoim hełmie.

– Zwycięstwo prawa nad chaosem – rzekł Temple, wachlując się swoim bezwartościowym traktatem.

– Zwycięstwo kłamstwa – dodała pani Burmistrz – i to tylko o włos.

Płoszka wzruszyła ramionami.

– Zwycięstwo to zwycięstwo – odparła z wrodzoną prostotą.

– To prawda! – Lestek wciągnął powietrze nosem, po czym, pomimo bólu, pomimo świadomości, że nie pozostało mu wiele życia, a może właśnie dlatego, odetchnął z satysfakcją. – Jako młodzieniec uważałem szczęśliwe zakończenia za nudne, ale, choć może uznacie mnie za mięczaka, muszę przyznać, że z wiekiem coraz bardziej je doceniam.

Cena

Płoszka nabrała nieco wody na dłonie i ochlapała nią twarz, stękając pod wpływem zimna, gdyż wodzie niewiele brakowało do lodu. Potarła opuszkami palców podrażnione powieki, obolałe policzki i stłuczone usta. Stała pochylona nad miską, a opadające krople rozбивały jej niewyraźne odbicie. Woda była różowa od krwi. Trudno powiedzieć, która rana krwawiła. Przez ostatnie kilka miesięcy Płoszka była obijana jak wojownik biorący udział w pojedynkach. Tyle że nie mogła liczyć na żaden zysk z wygranej.

Na jednym z jej przedramion wił się długi ślad po linie; drugie przecinało nowe skaleczenie osłonięte zakrwawionym bandażem. Obie dłonie były pokaleczone, paznokcie popękały, a knykcie pokryły się strupami. Dotknęła blizny pod uchem, pamiątki po Duchu, z którym walczyła na równinach. Prawie odciął jej małżowinę jako pamiątkę. Przesunęła dłonią po guzach i strupach na głowie oraz rozcięciach na twarzy, z których części w ogóle nie pamiętała. Zgarbiła się i przez chwilę wyginała kręgosłup, a niezliczone stłuczenia, otarcia i siniaki odezwały się jak chór paskudnych głosików.

Wyjrzała na ulicę i przez chwilę obserwowała dzieci. Majud znalazł dla nich nowe ubrania – ciemną bluzę i koszulę dla Pestki, zieloną sukienkę z koronkowymi rękawami dla Ro. Płoszka nigdy nie mogła sobie pozwolić na to, żeby podarować im takie stroje. Teraz mogły uchodzić za dzieci jakiegoś bogacza, gdyby nie ogolone głowy, na których zaczynał się pojawiać

ciemny meszek. Curnsbick wskazywał swój olbrzymi nowy budynek i coś opowiadał, obszernie i entuzjastycznie gestykulując. Ro słuchała ze skupieniem, chłonąc jego słowa, a Pestka kopał kamyk w błocie.

Płoszka pociągnęła nosem, przełknęła ślinę i ponownie ochlapała twarz. Przecież nie może płakać, skoro jej oczy już są mokre, prawda? Powinna skakać z radości. Pomimo przeciwności losu, trudów i niebezpieczeństw, zdołała ich odzyskać.

Ale potrafiła myśleć tylko o cenie.

O zabitych ludziach. O killkorgu, których będzie żałować, i wielu, za którymi nie zatęskni. Niektórych z nich mogła nazwać złymi, ale przecież nikt nie jest zły wobec samego siebie, prawda? Teraz byli trupami i nie mogli zrobić niczego dobrego ani naprawić żadnych krzywd. To byli ludzie, którzy rozwijali się przez całe życie, a których wyrwano z tego świata i posłano do ziemi. Sangeed i jego Duchy. Papa Ring i jego zbiry. Waerdinur i jego Smoczy Lud. Leef pozostawiony pod ziemią na równinach, Grega Cantliss tańczący na sznurze, Brachio przeszyty strzałami i...

Zakryła twarz rękawnikiem i zaczęła ją mocno wycierać, jakby mogła ich wszystkich zetrzeć, jednak mocno się jej trzymali. Wytatuowani na jej skórze jak hasła buntowników na rękach Corlin.

Czy to była jej wina? Czy zapoczątkowała to wszystko, gdy tutaj przybyła, tak jak kopnięty kamyk wywołuje lawinę? A może to wina Cantlissa, Waerdinura albo Owcy? Każdego z nich? Bolała ją głowa od prób rozwikłania splotu wydarzeń. Chciała podążyć za własną paskudną nitką, przesiewając ziarna winy, jak rozgorączkowany poszukiwacz złota trudzący się na

dnie strumienia. Zajmowanie się tym było równie bezsensowne jak drapanie strupa. Ale teraz, gdy wszystko znalazło się za jej plecami, nie mogła przestać się oglądać.

Pokuśtykała do łóżka i usiadła przy wtórze skrzywienia starych sprężyn, obejmując się rękami, krzywiąc się i drgając, gdy w jej głowie pojawiały się wspomnienia przeszłych wydarzeń, rzeczywiste, jakby rozgrywały się w tej chwili.

Cantliss uderzający jej głową o nogę stołu. Jej nóż wślizgujący się w mięso. Stęknienia tuż przed jej twarzą. Rzeczy, które musiała zrobić. Zapasy z rozszalałym Duchem. Leef pozbawiony uszu. Spadająca głowa Sangeeda, łup! To były potyczki na śmierć i życie. Dziewczynka, którą zastrzeliła, niewiele starsza od Ro. Strzała tkwiąca w ciele konia i spadający jeździec. Nie miała żadnego wyboru. Owca rzucający ją na ścianę, rozplątana czaszka Waerdinura, trzask, jej upadek z wozu i toczenie się, toczenie, toczenie...

Obejrzała się gwałtownie, słysząc pukanie, i otarła oczy bandażem.

– Kto tam? – Starła się udawać, że to poranek jak każdy inny.

– Twój prawnik. – Temple otworzył drzwi ze szczerym wyrazem twarzy, co do którego nigdy nie miała pewności, czy jest szczerzy. – Nic ci nie jest?

– Miewałam łatwiejsze lata.

– Mogę jakoś pomóc?

– Chyba trochę za późno, żeby poprosić cię o utrzymanie wozu na drodze?

– Odrobinę. – Wszedł i usiadł obok niej na łóżku. Nie czuł się niezręcznie. Może kiedy dwoje ludzi przejdzie wspólnie tak wiele jak oni, na dobre przestają się krępować. – Pani Burmistrz

chce, żebyśmy odeszli. Mówi, że przynosimy pecha.

– Trudno się z nią nie zgodzić. Dziwi mnie, że cię nie zabiła.

– Chyba nadal może to zrobić.

– Muszę jeszcze chwilę poczekać. – Płoszka stęknęła, wsuwając stopę do buta, starając się sprawdzić, jak bardzo boli ją kostka. Na tyle mocno, że zrezygnowała. – Dopóki nie wróci Owca.

Zapadła cisza. Cisza, w której Temple nie powiedział: „Naprawdę myślisz, że on wróci?”, a jedynie pokiwał głową, jakby powrót Owcy był równie pewny, jak nastanie nowego dnia. Płoszka była mu za to wdzięczna.

– Dokąd potem się udasz?

– Oto jest pytanie. – Nowe życie na zachodzie nie różniło się zbyt od starego. Nie było żadnych skrótów do bogactwa, a przynajmniej takich, z których chciałyby skorzystać kobieta w pełni rozumu. Nie było to także dobre miejsce dla dzieci. Nigdy nie myślała, że rolnictwo może stanowić atrakcyjną możliwość, ale teraz tylko wzruszyła ramionami. – Pewnie do Bliskiej Krainy. To nie jest łatwe życie, ale nie znalazłam niczego łatwiejszego.

– Słyszałem, że Dab Słodki i Płacząca Skala zbierają Drużynę do powrotnej podróży. Majud do nich dołączy, gdyż chce załatwić jakieś interesy w Adui. Lord Ingelstad także.

– Jeśli pojawią się jakieś Duchy, jego żona zabije ich surowym spojrzeniem.

– Ona zostaje. Podobno kupiła za bezcen „Zajazd Camlinga”.

– Niech jej się wiedzie.

– Pozostali wyruszą na wschód w ciągu tygodnia.

– Teraz? Zanim się ociepli?

– Słodki twierdzi, że to najlepszy moment. Później rzeki przybiorą za sprawą roztopów, a Duchy znów staną się drażliwe.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Miała ochotę spędzić rok albo dwa w łóżku, ale życie rzadko dawało jej to, czego potrzebowała.

– Niewykluczone, że się zapiszę.

Temple zerknął na nią spod zmarszczonych brwi. Niemal wyglądał na zdenerwowanego.

– Może... mógłbym się przyłączyć?

– Przecież nie mogę ci zabronić.

– A chciałabyś to zrobić?

Zastanowiła się nad tym.

– Nie. Może mi się przydać ktoś, kto pojedzie za stadem. Albo wyskoczy przez okno. Albo zjedzie z drogi wozem pełnym złota.

Wyprostował się z dumą.

– Tak się składa, że jestem specjalistą w tych trzech dziedzinach. Porozmawiam ze Słodkim i dam mu znać, że się przyłączymy. Chociaż liczę się z tym, że on nie doceni moich umiejętności tak bardzo jak ty... Może będę musiał się wkupić.

Przez chwilę na siebie spoglądali.

– Trochę ci brakuje?

– Nie dałaś mi się nawet spakować. Zabrałem tylko ubranie, które mam na grzbiecie.

– Masz szczęście, że zawsze chętnie ci pomagam. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kilka starych monet, które zabrała, gdy wóz pędził po płaskowyżu. – Tyle wystarczy?

– Tak sędzę. – Chwycił monety palcem wskazującym i kciukiem, ale ona ich nie wypuściła.

– Szacuję, że będziesz mi winny około dwustu marek.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Próbujesz popsuć mi nastrój?

– To nie jest trudne. – Puściła monety.

– Uważam, że każdy człowiek powinien się trzymać tego, w czym jest dobry. – Uśmiechnął się, po czym wyrzucił jedną wirującą monetę w powietrze i ją złapał. – Wygląda na to, że ja najlepiej sobie radzę z zaciąganiem długów.

– Mam propozycję. – Zabrała butelkę ze stolika obok łóżka i wepchnęła ją do kieszeni koszuli. – Zapłacę ci markę, jeśli pomożesz mi na dole.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz ze śniegiem. Brązowe smugi otaczały plujące dymem kominy fabryki Curnsbicka, a jego robotnicy trudzili się w błocie po przeciwnej stronie ulicy. Temple pomógł Płoszce podejść do balustrady, a ona oparła się o nią i wyjrzała. Dziwna sprawa. Wcale nie chciała się z nim rozstać.

– Nudzę się – rzekł Pestka.

– Pewnego dnia, młody człowieku, nauczysz się, jakim luksusem jest nuda. – Temple podał mu dłoń. – Pomożesz mi poszukać słynnego zwiadowcy i pioniera Daba Słodkiego? Kto wie, być może dostaniesz za to kawałek piernika. Ostatnio zdobyłem trochę pieniędzy.

– W porządku.

Temple posadził sobie chłopca na ramionach i ruszyli powolnym truchtem wzdłuż grzechoczących werand. Pestka podskakiwał ze śmiechem.

Temple miał rękę do dzieci. Radził sobie z nimi lepiej niż Płoszka. Dokuśtykała do ławki stojącej przed domem i na nią opadła, opierając się i rozprostowując zranioną nogę. Stęknęła, stopniowo rozluźniając mięśnie, a w końcu wyciągnęła korek

z butelki z tym głośnym pyknięciem, od którego ślina napływa do ust. Ach, prosta radość nicnierobienia. Niemyślenia o niczym. Uznała, że może sobie pozwolić na odpoczynek.

Przez ostatnie kilka miesięcy ciężko się napracowała.

Opuściła butelkę i popatrzyła na ulicę, czując, jak alkohol wypala skaleczenia w jej ustach, co wcale nie było nieprzyjemne. Poprzez dym i mżawkę zbliżał się jeździec. Mocno się garbił i jechał nieśpiesznie. Stopniowo nabierał kształtu – był potężny, stary i poharatany. Miał na sobie podarty płaszcz ubrudzony błotem i popiołem. Zgubił kapelusz, krótkie siwe włosy miał posklejane od krwi i deszczu, a jego twarz znaczyły smugi błota, siniaki, strupy, otarcia i opuchlizna.

Płoszka pociągnęła kolejny łyk z butelki.

– Zastanawiałam się, kiedy się pojawisz.

– Więc już nie musisz – odburknął Owca, zatrzymując się. Jego stary wierzchowiec wyglądał, jakby nie potrafił pokonać już ani jednego kroku. – U dzieci wszystko w porządku?

– Tak samo jak wcześniej.

– A u ciebie?

– Nie wiem, kiedy ostatnio dobrze się czułam, ale wciąż jakoś się trzymam. A ty?

– Też jakoś. – Zgramolił się z konia z zaciśniętymi zębami, nawet nie kłopotząc się, żeby go przywiązać. – Jedno można o mnie powiedzieć... potrafię się wykaraskać z najgorszych tarapatów. – Przycisnął dłoń do żeber i, kulejąc, wspiął się po schodkach na werandę.

Popatrzył na ławkę, potem na swój miecz i zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie z nim usiąść, więc zaczął się szarpać ze sprzączką pasa. Knykcie miał zdarte do krwi, a dwa palce usztywnione i zabandażowane razem.

– Niech... to... kurwa...

– Proszę.

Pochyliła się i odpięła sprzączkę, a Owca zdjął miecz razem z dyndającym pasem, rozejrzał się za jakimś miejscem, w którym mógłby go położyć, po czym poddał się i upuścił broń na deski werandy. Opadł na ławkę obok Płoszki i bardzo powoli wyprostował nogi.

– Co z Savianem? – spytała.

Owca lekko pokręcił głową. Zupełnie jakby gwałtowniejszy ruch mógł mu sprawić ból.

– Gdzie Cosca?

– Odszedł. – Podała mu butelkę. – Temple go załatwił po prawniczemu.

– Po prawniczemu?

– Z niewielką pomocą pani Burmistrz oraz dzięki wybitnemu ostatniemu aktorskiemu występowi.

– A niech mnie. – Owca pociągnął solidny łyk, po czym otarł pokryte strupami usta, spoglądając na fabrykę Curnsbicka. Kawalek dalej, ponad dawnym salonem karcianym, robotnicy wieszali szyld „Valint i Balk, bankierzy”. Owca ponownie się napił. – Czasy rzeczywiście się zmieniają.

– Czujesz, że za nimi nie nadążasz?

Zwrócił ku niej jedno oko, przymknięte od opuchlizny i przekrwione, po czym oddał jej butelkę.

– Już od dawna.

Siedzieli, przyglądając się sobie nawzajem, jak dwoje ludzi ocalałych z lawiny.

– Co się stało, Owco?

Otworzył usta, jakby się zastanawiał, od czego ma zacząć, ale

w końcu tylko wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego i obolałego niż Płoszka.

– Czy to ważne?

Jeśli nie pozostało już nic więcej do powiedzenia, to po co się zmuszać? Uniosła butelkę.

– Nie. Chyba nie.

Ostatnie słowa

– Jak za dawnych czasów, prawda? – rzekł Słodki, z uśmiechem spoglądając na krajobraz upstrzony plamami śniegu.

– Tylko zimniej – odparła Płoszka, okrywając się swoim nowym płaszczem.

– Mamy kilka nowych blizn – dodał Owca, krzywiąc się i delikatnie pocierając zaróżowione ciało wokół jednego z najnowszych nabytków na twarzy.

– Jeszcze większe długi – zauważył Temple, poklepując się po pustych kieszeniach.

Słodki zachichotał.

– Ależ biadolicie. Przecież żyjecie, znaleźliście swoje dzieci i rozciąga się przed wami Daleka Kraina. To chyba niezły wynik.

Owca popatrzył ze zmarszczonym czołem w stronę horyzontu. Płoszka przytaknęła z nadąsanym mruknięciem. Temple uśmiechnął się pod nosem, zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, tak że słońce przeświecało różowo przez jego powieki. Ocalał. Był wolny. Co prawda, wpadł w większe długi niż kiedykolwiek, ale rzeczywiście nie miał prawa narzekać. Jeśli istnieje Bóg, to jest hojnym ojcem, który zawsze przebacza swoim dzieciom, niezależnie od tego, jak bardzo zblądzą.

– Wygląda na to, że naszemu przyjacielowi Buckhormowi nieźle się powodzi – rzekł Owca, gdy wjechali na szczyt wzgórza i popatrzyli w dół na jego gospodarstwo.

Umiejscowiono je nad brzegiem strumienia. Kilka solidnych budynków rozstawionych na planie kwadratu, wąskie okna skierowane na zewnątrz, płot z zaostrzonych palików zamykający wszystkie luki, a przy bramie drewniana wieża dwukrotnie wyższa od człowieka. Bezpieczne, cywilizowane i wygodne miejsce, nad którym unosiły się smugi dymu delikatnie wyślizgujące się z komina. W dolinie otaczającej zabudowania, jak okiem sięgnąć porośniętej wysoką zieloną trawą, z białymi plamami śniegu zalegającego w zagłębieniach, pasły się brązowe krowy.

– Chyba ma być na handel – zauważyła Płoszka.

Słodki stanął w strzemionach, żeby przyjrzeć się najbliższej krowie.

– I to dobrej jakości. Chętnie je zjem.

Krowa podejrzliwie na niego zerknęła, najwyraźniej mniej zachwycona tym pomysłem.

– Może powinniśmy kupić więcej sztuk – stwierdziła Płoszka.

– Zebrać stado i poprowadzić je z powrotem do Bliskiej Krainy.

– Zawsze dostrzeżesz szansę na zysk, prawda? – odrzekł Słodki.

– Dlaczego miałabym udawać, że jej nie widzę? Zwłaszcza że marnuje się przy nas beczynnym jeden z największych specjalistów od jeżdżenia za stadem.

– O Boże – jęknął Temple.

– Buckhorm?! – zawołał Słodki, gdy zbliżyli się całą czwórką.

– Jesteś w domu?!

Nikt im nie odpowiedział. Brama stała otworem, a sztywny zawias lekko skrzypiał, poruszany wiatrem. Poza tym panowała cisza, nie licząc muczenia bydła w oddali.

Potem rozległ się cichy zgrzyt, gdy Owca dobył miecza.

– Coś jest nie w porządku.

– Racja – odrzekł Słodki, spokojnie kładąc sobie kuszę na kolanach i wsuwając bełt na miejsce.

– Niewątpliwie. – Płoszka zdjęła łuk z ramienia i wyszarpnęła strzałę z kołczana wiszącego przy jej kolanie.

– O Boże – szepnął Temple, upewniając się, że przejedzie przez bramę jako ostatni.

Kopyta ich koni chlupotały i chrzęściły na częściowo zamarzniętym błocie. Czy to się nigdy nie skończy? Zerknął na drzwi oraz w okna, krzywiąc się ze zdenerwowania, spodziewając się każdego koszmaru, od tłumu bandytów po horde Duchów, a nawet żadnego zemsty smoka Waerdinura wyskakującego spod ziemi i domagającego się zwrotu swoich pieniędzy.

– Gdzie moje złoto, Temple?

Smok byłby lepszy od paskudnego widma, które teraz schyliło się pod niskim nadprożem domu Buckhorma i wyszło na światło dnia. Oto niesławny najemnik Nicomo Cosca we własnej osobie.

Jego niegdyś elegancki strój zmienił się w ubłocone szmaty, zardzewiały napierśnik gdzieś się zapodział, brudna koszula wisiała na dwóch guzikach, a w jednej z nogawek spodni ziało rozdarcie, przez które wyzierała chuda, drżąca biała łydka. Po wspaniałym kapeluszu pozostało tylko wspomnienie, a siwe kosmyki, które Cosca zapuścił z wielką starannością, żeby zakryć łysinę upstrzoną plamami wątrobowymi, powiewały wokół jego czaszki, sztywne od tłuszczu. Wysypka zmieniła kolor na karmazynowy i przecinały ją strupy po śladach paznokci. Niczym pleśń ogarniająca ścianę piwnicy rozprzestrzeniała się z boku głowy aż na woskową twarz. Dłoń

starca drżała na drzwiach, a jego krok był niepewny. Przypominał trupa wydobytego z grobu, przywróconego do namiastki życia za sprawą czarodziejskiego zaklęcia.

Cosca zwrócił wściekle, błyszczące, gorejące oczy na Temple i klepnął dłonią w rękojeść swojego miecza, który stanowił jedyne wspomnienie jego dawnej chwały.

– Zupełnie jak w zakończeniu jakiejś taniej książki z opowieściami, co, Sworbreck? – Pisarz wyłonił się z ciemności za plecami najemnika. Był równie brudny, a do tego bosy, miał pęknięte szkło okularów i nerwowo bawił się pustymi dłońmi. – Ostatni występ złoczyńców!

Sworbreck oblizwał wargi, ale nadal nic nie mówił. Może nie potrafił stwierdzić, kto jest złoczyńcą w tej metaforze.

– Gdzie Buckhorm? – ostro spytała Płoszka, biorąc Coscę na cel i skłaniając biografa do ukrycia się za swoim pracodawcą.

Jednakże Starego niełatwo było nastraszyć.

– Z tego, co mi wiadomo, prowadzi bydło do Nadziei razem ze swoimi trzema najstarszymi synami. Pani domu jest w środku, ale niestety, chwilowo nie przyjmuje gości. Obowiązki ją krępują. – Oblizwał spierzchnięte usta. – Podejrzewam, że żadne z was nie ma pod ręką niczego do picia?

– Zostawiłam swoją butelkę po drugiej stronie wzniesienia, razem z resztą Drużyny. – Płoszka wskazała głową na zachód. – Doszłam do wniosku, że kiedy mam trunek przy sobie, zaraz go wypijam.

– Zawsze miałem ten sam problem – odparł Cosca. – Poprosiłbym któregoś ze swoich ludzi, żeby mi nalał szklaneczkę, ale za sprawą przerażającego talentu panicza Owcy oraz podstępnych machinacji panicza Temple'a moja Kompania nieco się skurczyła.

– Sam się pan do tego przyczynił – odrzekł Temple.

– Niewątpliwie. Gdy człowiek żyje dostatecznie długo, widzi, jak wszystko obraca się w ruinę. Ale wciąż mam kilka kart w rękawie. – Cosca piskliwie zagwizdał.

Drzwi stodoły otworzyły się z hukiem i kilkoro młodszych dzieci Buckhorma wyległo na podwórze z szeroko otwartymi oczami pełnymi lęku. Niektóre z nich miały buzie pokryte smugami łez. Prowadził je sierżant Przyjazny. Na jednym grubym nadgarstku wciąż miał zatrzaśnięte kajdany, których drugi koniec swobodnie zwisał na łańcuchu. Ostrze jego tasaka załśniło w słońcu.

– Witaj, Temple – powiedział bez emocji, jakby spotkali się przy barze w tawernie.

– Witaj – wychrypiał Temple.

– Także panicz Hedges był na tyle miły, że do nas dołączył. – Cosca wskazał coś za ich plecami, a jego palec tak bardzo się trząsał, że początkowo trudno było stwierdzić, co pokazuje.

Gdy Temple się obejrzał, zobaczył ciemną sylwetkę, która pojawiła się na szczycie wieżyczki obok bramy. Samozwańczy bohater Bitwy o Osrung celował z kuszy w stronę podwórza.

– Naprawdę bardzo mi przykro! – zawołał.

– Skoro tak ci przykro, możesz rzucić kuszę – warknęła Płoszka.

– Po prostu chcę dostać, co mi się należy – odpowiedział.

– Już ja się o to, kurwa, postaram, ty zdradziecki...

– Może ustalimy, co się komu należy, kiedy pieniądze już wrócą do właścicieli? – zaproponował Cosca. – Myślę, że tradycyjnym pierwszym krokiem w takiej sytuacji jest rzucenie broni.

Płoszka splunęła przez szparę między przednimi zębami.

– Pierdol się. – Grot jej strzały nawet nie drgnął.

Owca poruszył głową w jedną, a potem w drugą stronę.

– Nie przywiązujemy dużej wagi do tradycji.

Cosca zmarszczył czoło.

– Sierzancie Przyjazny? Jeśli nie odłożą broni, zanim doliczę do pięciu, zabij jedno z dzieci.

Przyjazny poprawił palce na rękojeści tasaka.

– Które?

– Co mnie to obchodzi? Sam wybierz.

– Wolałbym tego nie robić.

Cosca przewrócił oczami.

– A więc zacznij od najstarszego. Czy naprawdę muszę się zajmować każdym szczegółem?

– Miałem na myśli, że wolałbym nie...

– Raz! – wrzasnął Stary.

Nikt nie zamierzał opuścić broni. Wprost przeciwnie. Płoszka lekko uniosła się w strzemionach i posłała surowe spojrzenie wzdłuż strzały.

– Jeśli któreś z dzieci zginie, ty będziesz następny.

– Dwa!

– A potem ty! – pisnął Hedges. Jak na wojennego bohatera miał wybitnie mało bohaterski głos.

– A potem, kurwa, wy wszyscy – warknął Owca, unosząc ciężki miecz.

Sworbreck patrzył na Temple'a obok ramienia Coski, bezradnie rozkładając ręce, jakby chciał powiedzieć: „Co rozsądni ludzie mogą zrobić w takich okolicznościach?”.

– Trzy!

– Zaraz! – zawołał Temple. – Chwileczkę... psiakrew! – Zsiadł

z konia.

– Co ty robisz, do diabła? – burknęła Płoszka przez pierzysko strzały.

– Wybieram trudną drogę.

Temple powoli ruszył przez podwórze, czując pod butami chlupoczące błoto i słomę. Wiatr rozwiewał mu włosy, a oddech mroził płuca. Nie uśmiechał się, tak jak czynił Kahdia, gdy udał się do Żerców – czarnych postaci w ciemności, które wdarły się do Wielkiej Świątyni – i oddał życie za swoich uczniów. Temple krzywił się z olbrzymiego wysiłku, jakby siedł pod wiatr. Ale siedł.

Słońce znalazło szparę między chmurami i zalśniło na obnażonych ostrzach, znacząc je bolesnym blaskiem. Temple się bał. Cały czas zastanawiał się, czy uda mu się nie zeszczuć w spodnie. To nie była łatwa droga. Ale na pewno właściwa. Jeśli istnieje Bóg, to jest poważnym sędzią, który dba o to, żeby każdy człowiek otrzymał to, na co zasłużył. Dlatego Temple uklęknął w gnoju przed Nicomo Coscą i popatrzył mu w przekrwione oczy, rozmyślając o tym, ilu ludzi Stary zabił podczas swojej długiej kariery.

– Czego pan chce? – spytał.

Były generał zmarszczył czoło.

– Swojego złota, rzecz jasna.

– Przykro mi – odrzekł Temple. Nawet nie musiał kłamać. – Przepadło. Ma je Conthus.

– Conthus nie żyje.

– Nieprawda. Dopadliście niewłaściwego człowieka. Conthus ma pieniądze i one już nie wrócą. – Temple nie usiłował być szczery. Po prostu patrzył prosto w zmęczoną twarz Coski i mówił prawdę. Pomimo strachu i groźby rychłej śmierci oraz

lodowatej wody przesiąkającej mu przez spodnie, czuł się dobrze.

Zapadła cisza zwiastująca zagładę. Cosca patrzył na Temple'a, Płoszka na Coscę, Hedges na Płoszkę, Słodki na Hedgesa, Przyjazny na Słodkiego, Owca na Przyjaznego, a Sworbreck na wszystkich. Każdy wstrzymywał oddech, gotowy do działania.

– Zdradziłeś mnie – rzekł Cosca.

– Tak.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

– Tak.

Drżące palce Starego przesunęły się w stronę rękojeści miecza.

– Powinienem cię zabić.

– Zapewne – musiał przyznać Temple.

– Chcę dostać swoje pieniądze – powiedział Cosca, ale w jego głosie zabrzmiała delikatnie żałosna nuta.

– One nie należą do pana. Nigdy nie należały. Po co w ogóle je pan chce?

Cosca zamrugął, niepewnie poruszając dłonią.

– Cóż... mogę je wykorzystać, żeby odzyskać swoje księstwo...

– Nie chciał go pan, kiedy je pan miał.

– Przecież to... pieniądze.

– Nawet ich pan nie lubi. Kiedy je pan zdobywa, od razu wyrzuca je pan w błoto.

Cosca otworzył usta, żeby zaprotestować, ale musiał się zgodzić z tą oczywistą prawdą. Stał nieruchomo, pokryty wysypką, drżący, zgarbiony, postarzały jeszcze bardziej niż wynikało z jego wieku, patrząc na Temple'a, jakby widział go

pierwszy raz w życiu.

– Czasem mam wrażenie, że wcale nie jesteś taki jak ja – szepnął.

– Staram się taki nie być. Czego pan chce?

– Chcę... – Cosca zamrugał i popatrzył na dzieci.

Przyjazny opierał jedną dłoń na ramieniu najstarszego, a w drugiej trzymał tasak. Potem zerknął na Owcę, który stał z wyciągniętym mieczem, ponury jak grabarz. Następnie na Płószkę, która celowała w niego z łuku, oraz na Hedgesa, który miał ją na celowniku. Opuścił kościste ramiona.

– Chcę móc to wszystko zrobić jeszcze raz. Tym razem zrobić to... dobrze. – W oczach Starego pojawiły się łzy. – Jak to się mogło tak popsuć, Temple? Miałem tak wiele zalet. Tak wiele szans. Wszystko zaprzepaściłem. Wszystko przeleciało mi przez palce jak piasek przez klepsydrę. Tyle rozczarowań...

– Większość sam pan na siebie sprowadził.

– Oczywiście. – Cosca westchnął chrapliwie. – Ale to one bolą mnie najbardziej. – Sięgnął po miecz.

Nie znalazł go. Zaskoczony, opuścił wzrok.

– Gdzie mój...?

Ostrze wyślizgnęło się z jego piersi. Popatrzyli na nie razem z Temple'em, równie zaszokowani. Słońce zalśniło na czubku ostrza, a krew szybko rozlała się po brudnej koszuli. Sworbreck puścił rękojeść i cofnął się o krok z szeroko otwartymi ustami.

– Och – westchnął Cosca, padając na kolana. – Więc to tak.

Za sobą Temple usłyszał odgłos zwalnianej cięciwy, a zaraz potem kolejny. Niezdarnie się obrócił i upadł łokciem w błoto.

Hedges krzyknął i upuścił kuszę. Miał dłoń przesyżytą bełtem. Słodki opuścił swoją kuszę, początkowo nieco oszołomiony, ale

bardzo zadowolony z siebie.

– Przebiłem go – wyszeptał Sworbreck.

– Postrzelił mnie? – spytała Płoszka.

– Przeżyjesz – odparł Owca, przesuwając palcem po pierzysku belta Hedgesa. Grot utkwiał w wieńcu przy siodle Płoszki.

– Moje ostatnie słowa... – Z cichym stęknieniem Cosca upadł na bok w błoto obok Temple'a. – Miałem przygotowane... kilka naprawdę wspaniałych. Jak to było? – Na jego ustach pojawił się świetlisty uśmiech, do jakiego tylko on był zdolny, a dobre nastrój i dobre intencje aż promieniowały z jego twarzy poprzecinanej głębokimi zmarszczkami. – Aha! Już pamiętam...

Nie powiedział nic więcej. Znieruchomiał.

– Nie żyje – beznamiętnie oznajmił Temple. – Koniec rozczarowań.

– Ty byłeś ostatnim – rzekł Przyjazny. – Mówiłem mu, że byłoby nam lepiej w więzieniu. – Rzucił tasak w błoto i poklepał po ramieniu najstarszego syna Buckhorma. – Wy czterej możecie iść do domu do swojej matki.

– Postrzeliłeś mnie! – wrzasnął Hedges, trzymając się za przebitą dłoń.

Sworbreck poprawił pęknięte okulary, jakby nie wierzył własnym zmysłom.

– Cóż za niesamowity strzał!

– Celowałem w pierś – mruknął zwiadowca.

Pisarz ostrożnie ominął trupa Coski.

– Panie Słodki, chciałbym porozmawiać z panem o pomysłe na książkę, który właśnie przyszedł mi do głowy.

– Teraz? Naprawdę nie sędzę...

- Będzie się to wiązało z dużym udziałem w zyskach.
- ...żebym mógł odmówić.

Zimna woda przesączała się przez spodnie Temple'a i mroziła mu tyłek, ale nie mógł się ruszyć. Stanięcie w obliczu śmierci z pewnością może zmęczyć człowieka. Zwłaszcza jeśli większą część życia poświęcił na unikanie jakichkolwiek konfrontacji.

Zdał sobie sprawę, że obok niego stoi Przyjazny i ze zmarszczonym czołem wpatruje się w ciało Coski.

– Co mam teraz zrobić? – spytał sierżant.

– Nie wiem – odparł Temple. – Każdy musi sam sobie na to odpowiedzieć.

– Zamierzam stworzyć autentyczną relację z ujarznienia i zasiedlenia Dalekiej Krainy – paplał Sworbreck. – To będzie najważniejsza opowieść naszych czasów! A pan odgrywa w niej niepoślednią rolę.

– Owszem, jestem niepośledni – odrzekł Słodki. – Cokolwiek to znaczy.

– Moja ręka! – wrzasnął Hedges.

– Ciesz się, że nie trafił w twarz – odrzekł Owca.

Z budynku dobiegały odgłosy łzawego spotkania dzieci Buckhormów z matką. Dobre wieści. Sprawiedliwe zakończenie.

– Moich czytelników porwą pańskie bohaterskie wyczyny!

– Mnie z pewnością porwały – parsknęła Płoszka. – Na wschodzie nikt by nie uwierzył w heroiczne ilości gazów trawiennych, które wydalasz.

Temple podniósł wzrok na obłoki płynące po niebie. Jeśli istnieje Bóg, świat wygląda dokładnie tak, jakby Go nie było.

– Jednak muszę nalegać na całkowitą szczerość. Nie zniosę

więcej przesady! Prawda, paniczu Słodki, tkwi w centrum każdego wybitnego dzieła sztuki.

– Niewątpliwie. To mi przypomina o dniu, gdy gołymi rękami zabiłem wielkiego rudego niedźwiedzia...

Wyjątkowy tchórz

Nic nie wyglądało tak, jak to zapamiętała. Wszystko było małe. Bezbarwne. Inne.

Pojawili się nowi ludzie i wzniesli dom w miejscu, w którym stała ich siedziba, a także zbudowali stodołę. Obsadzili dwa poletka, które wydały bujne plony. Kwiaty zakwitły wokół drzewa, na którym powieszono Gully'ego. Drzewa, pod którym pochowano matkę Ro.

Siedzieli w siodłach, patrząc na to wszystko ze zmarszczonymi czołami.

– Nie wiem dlaczego, ale myślałam, że nic się nie zmieni od naszego wyjazdu – rzekła Płoszka.

– Czasy się zmieniają – odparł Owca.

– Ładne miejsce – zauważył Temple.

– Wcale nie – odrzekła Płoszka.

– Zjedziemy tam?

Płoszka zawróciła wierzchowca.

– Po co?

Włosy Ro odrosły do bezkształtnej czupryny. Pewnego dnia zabrała Owcy brzytwę, żeby znów je zgolić. Usiadła nad nieruchomą wodą, trzymając smoczą łuskę i rozmyślając o Waerdinurze, ale nie potrafiła sobie przypomnieć jego twarzy. Nie pamiętała jego głosu ani lekcji Stwórcy, które tak sumiennie jej przekazywał. Jak to możliwe, że to wszystko tak szybko się rozmyło? W końcu odłożyła brzytwę i pozwoliła włosom

odrosnąć.

W końcu czasy się zmieniają, prawda?

Z pewnością tak się stało w Uczciwości, gdzie oczyszczono, osuszono i zaorano rozległe tereny, postawiono nowe budynki, a w całym miasteczku roiło się od nowych ludzi, którzy byli tam tylko przejazdem, zatrzymywali się na dłużej albo postanowili osiąść na stałe i otworzyć jakiś interes.

Nie wszyscy odnieśli sukces. Clay zniknął, a jego miejsce zajął jakiś zapijaczony idiota, w którego sklepie brakowało podstawowych towarów, a połowa dachu się zawaliła. Płoszka kupiła od niego cały kram za jedną złotą imperialną monetę i tuzin butelek taniego trunku. Następnego ranka zabrali się do pracy, jakby to był ostatni dzień stworzenia. Płoszka targowała się bezlitośnie jak kat, Pestka i Ro ze śmiechem obsypywali się kurzem, Temple i Owca zabrali się za naprawę stolarki i wkrótce sklep odzyskał dawny klimat. Ro była zaskoczona tym, jak bardzo.

Tylko czasami wspominała góry i płakała. A Owca nosił miecz. Ten sam, który zabrał jej ojcu.

Temple zajął pokój nad drogą i wywiesił szyld: „Temple i Kahdia: Kontrakty, usługi kancelaryjne i stolarstwo”.

– Ten Kahdia rzadko tutaj bywa – zauważyła Ro.

– I tak pozostanie – odparł Temple. – Ale każdy potrzebuje kogoś, na kogo może zrzucić winę.

Rozpoczął pracę prawnika, która większości okolicznej ludności przypominała magię. Dzieci zaglądały mu w okno, obserwując, jak pisze przy świetle świecy. Czasami odwiedzała go Ro i słuchała, jak opowiada o gwiazdach, Bogu, drewnie, prawie i dalekich krainach, które odwiedził podczas swoich podróży, przemawiając w językach, których nigdy wcześniej nie

słyszała.

– Komu potrzebny nauczyciel? – spytała Płoszka. – Mnie uczono pasem.

– I zobacz, co z tego wynikło – odparła dziewczynka. – On wiele wie.

Płoszka parsknęła.

– Jak na tak mądrego człowieka straszny z niego głupiec.

Jednakże pewnej nocy Ro obudziła się i, niespokojna, zeszła na dół, a wtedy zobaczyła ich całujących się na tyłach domu. Płoszka dotykała Temple'a w sposób, który wskazywał na to, że chyba jednak nie uważa go za kompletnego głupca.

Od czasu do czasu objeżdżali okoliczne gospodarstwa, obserwując nowo powstające budynki oraz kupując i sprzedając towary. Pestka i Ro kołysali się na siedzeniu wozu obok Płoszki, a Owca jechał konno obok nich, bezustannie wpatrując się surowym wzrokiem w horyzont i opierając dłoń na rękojeści miecza.

– Nie ma się czym martwić – powiedziała mu Płoszka.

– To właśnie powód do niepokoju – odparł, nawet na nią nie spojrzawszy.

Pewnego dnia wrócili w porze zamknięcia sklepu. Długie obłoki różowiały na niebie pod wpływem zachodzącego słońca, a samotny podmuch wiatru gnał kurz ulicą i zgrzytał zardzewiałą metalową chorągiewką na dachu. W miasteczku nie było żadnej Drużyny, więc panował spokój. Gdzieś w oddali śmiały się dzieci, staruszka poskrzypywała bujanym fotelem na swojej werandzie, a przy wypaczonej balustradzie stał przywiązany tylko jeden koń, którego Ro nie znała.

– Niektóre dni są lepsze... – rzekła Płoszka, zaglądając do niemal pustego wozu.

– A inne gorsze – dokończyła za nią Ro.

W sklepie panowała cisza, tylko Wist cicho pochrapywał na swoim krześle z butami opartymi o ladę. Płoszka strąciła jego nogi na podłogę, gwałtownie go budząc.

– Wszystko w porządku?

– Spokojny dzień – odrzekł staruszek, trąc oczy.

– Wszystkie twoje dni są spokojne – mruknął Owca.

– Za to tobie handel pali się w rękach. Aha, ktoś na ciebie czeka. Twierdzi, że macie do załatwienia jakąś sprawę.

– Czeka na mnie? – spytała Płoszka, a Ro usłyszała kroki na zapleczu sklepu.

– Nie, na Owcę. Zapomniałem, jak pan się nazywa?

Jakiś mężczyzna odepchnął wiszący zwój liny i wyłonił się z ciemności. Był potężny i wysoki, tak że ocierał się głową o niskie krokwie, a przy biodrze nosił miecz z karbowaną rękojeścią z szarego metalu, podobnie jak Owca. Podobnie jak ojciec Ro. Jego oblicze przecinała długa blizna, a blask przygasającej świecy odbijał się w srebrzystym oku jak w lustrze.

– Nazywam się Caul Dreszcz – powiedział cichym, chrapliwym głosem, od którego Ro stanęły dęba wszystkie włosy.

– Jaką masz sprawę? – wyszeptała Płoszka.

Dreszcz popatrzył na dłoń Owcy, na kikut po brakującym palcu.

– Ty znasz odpowiedź, prawda?

Owca tylko pokiwał głową, ponuro i spokojnie.

– Jeśli szukasz kłopotów, to możesz spierdalać! – krzyknęła Płoszka, skrzekliwie jak wrona. – Słyszysz mnie, draniu?

Mieliśmy ich już dosyć...

Owca położył dłoń na jej przedramieniu opasanym wijącą się blizną.

– W porządku – powiedział.

– Owszem, w porządku, jeśli chce skończyć z moim nożem wbitym w...

– Nie mieszaj się w to, Płoszko. To stary dług. Najwyższy czas go spłacić. – Potem odezwał się do Dreszcza w mowie Północy: – Cokolwiek jest między nami, nie dotyczy tych ludzi.

Dreszcz popatrzył na Płoszkę, a potem na Ro. Wydawało się, że w jego prawdziwym oku jest równie mało życia, co w metalowym.

– Tak, to ich nie dotyczy. Wyjdziemy?

Zeszli po schodkach przed sklep, ani wolno, ani szybko, utrzymując między sobą stały odstęp, nie spuszczać z siebie wzroku. Ro, Płoszka, Pestka i Wist powoli wyszli za nimi na werandę i obserwowali ich w milczeniu.

– Owca, tak? – odezwał się Dreszcz.

– Imię dobre jak każde inne.

– Otóż nie do końca. Wszyscy zapomnieli o Trójdrzewcu, Bethodzie czy Whirrunie z Bligh, ale o tobie wciąż śpiewa się pieśni. Jak myślisz, dlaczego?

– Ponieważ ludzie są głupcami – odparł Owca.

Wiatr zagrzechotał luźną deską. Dwaj Północni stanęli naprzeciwko siebie. Owca luźno zwiesił dłoń wzdłuż boku, pocierając kikutem o rękojeść miecza, a Dreszcz delikatnie odchylił połę płaszcza i odsłonił swoje ostrze.

– To mój dawny miecz? – spytał Owca.

Dreszcz wzruszył ramionami.

– Zabrałem go Czarnemu Dowowi. Wygląda na to, że ostatecznie wszystko do nas powraca.

– Zawsze. – Owca przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. – Zawsze powraca.

Czas się dłużył. Dzieci nadal śmiały się gdzieś w oddali, a wiatr przyniósł echo głosu matki, która wołała je do domu. Bujany fotel staruszki wciąż cicho skrzypiał na werandzie. Metalowa chorągiewka popiskiwała. Zerwał się wiatr, który wzbił kłębu kurzu z ulicy i załopotał płaszczami dwóch mężczyzn, oddalonych od siebie o najwyżej cztery albo pięć kroków.

– Co się dzieje? – szepnął Pestka, ale nikt mu nie odpowiedział.

Dreszcz obnażył zęby, a Owca zmrużył oczy. Płoszka zacisnęła dłoń na ramieniu Ro, niemal sprawiając dziewczynce ból, czując w głowie pulsowanie krwi, a w krtani powolny rżęący oddech. Bujany fotel skrzypiał, luźna deska grzechotała, gdzieś czekał pies.

– No i co? – warknął Owca.

Dreszcz odchylił głowę do tyłu i skierował zdrowe oko na Ro. Wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Dziewczynka zacisnęła pięści, zacisnęła zęby i marzyła o tym, żeby nieznajomy zabił Owcę. Pragnęła tego z całych sił. Kolejny podmuch poruszył jej włosami, powiewając nimi wokół jej twarzy.

Pisk. Skrzypienie. Grzechot.

Dreszcz wzruszył ramionami.

– Lepiej już pójde.

– Co takiego?

– Zapuściłem się daleko od domu. Muszę wrócić i powiedzieć, że dziewięciopalcy drań wrócił do ziemi. Czy nie tak, Owco?

Owca zacisnął lewą dłoń w pięść, chowając kikut, po czym przełknął ślinę.

– Już dawno umarł.

– Myślę, że z pożytkiem dla wszystkich. Któż chciałby znów na niego wpaść? – Dreszcz podszedł do swojego wierzchowca i wskoczył na siodło. – Powiedziałbym „do zobaczenia”, ale... chyba lepiej nie.

Owca wciąż mu się przyglądał bez ruchu.

– Racja.

– Niektórzy ludzie nie są stworzeni do czynienia dobra. – Dreszcz wziął głęboki wdech i się uśmiechnął, co dziwnie wyglądało na jego zniszczonej twarzy. – Ale to i tak przyjemne uczucie. Dać sobie z czymś spokój. – Zawrócił konia i ruszył na wschód, wyjeżdżając z miasteczka.

Jeszcze przez chwilę stali nieruchomo, słuchając wiatru i skrzypiącego fotela oraz patrząc na zachodzące słońce, aż w końcu Wist chrapliwie odetchnął.

– Psiakrew, omal się nie zesrałem!

Nagle wszyscy poczuli się tak, jakby odzyskali oddech, a Płoszka i Pestka mocno się przytulili. Tylko Ro się nie uśmiechała. Patrzyła na Owcę. On również pozostał poważny. Ze zmarszczonym czołem spoglądał na pył pozostały po odjeździe Dreszcza. W końcu bez słowa wrócił po schodkach do sklepu. Płoszka udała się za nim. Gdy weszła, pośpiesznie ściągał z półek różne przedmioty. Suszone mięso, paszę, wodę i zwinięte posłanie. Wszystko, czego potrzeba w podróży.

– Co ty robisz, Owco? – spytała Płoszka.

Na chwilę podniósł zawstydzony wzrok, po czym wrócił do pakowania.

– Zawsze starałem się robić to, co dla ciebie najlepsze –

odrzekł. – Obiecałem to twojej matce. Teraz najlepsze, co mogę zrobić, to odejść.

– Dokąd?

– Nie wiem. – Przerwał na chwilę, wpatrując się w kikut środkowego palca. – Ktoś tutaj przybędzie, Płoszko. Wcześniej albo później. Muszę być realistą. Nie można zrobić tego, co ja zrobiłem, i odejść z uśmiechem. Zawsze będą za mną podążały kłopoty. Ale mogę je zabrać ze sobą.

– Nie udawaj, że robisz to dla nas – odrzekła Płoszka.

Owca się skrzywił.

– Człowiek nie może udawać kogoś, kim nie jest. Pożegnaj ode mnie Temple'a. Myślę, że będzie ci z nim dobrze.

Zgarnął wybrane przedmioty i wyszedł na ulicę, po czym upchnął je w torbach przy siodle. Był gotowy do drogi.

– Nie rozumiem – powiedział Pestka z zażawioną buzią.

– Wiem. – Owca uklęknął przed nim i wydawało się, że również ma wilgotne oczy. – Przepraszam. Przepraszam za wszystko. – Pochylił się i niezdarnie przytulił całą trójkę. – Zmarli wiedzą, że popełniłem wiele błędów. Sądzę nawet, że można szlachetnie przejść przez życie, podejmując decyzje odwrotne do moich. Jednak nigdy nie żałowałem, że pomogłem wychować waszą trójkę, a także nie żałuję, że was odnalazłem. Niezależnie od ceny.

– Potrzebujemy cię – powiedziała Płoszka.

Owca pokręcił głową.

– Wcale nie. Jestem dumny z niewielu rzeczy, ale z was na pewno. Jeśli to ma jakieś znaczenie. – Odwrócił się, otarł twarz, po czym wskoczył na grzbiet konia.

– Zawsze powtarzałam, że wyjątkowy z ciebie tchórz – rzekła Płoszka.

Przez chwilę się im przyglądał, kiwając głową.

– Nigdy nie zaprzeczałem.

Potem zaczerpnął tchu i ruszył kłusem w stronę zachodzącego słońca. Ro stała na werandzie z dłonią Płoszki na ramieniu, trzymając Pestkę za rękę. Wspólnie go obserwowali.

Dopóki nie zniknął.

Podziękowania

Jak zwykle, dziękuję czterem osobom:

Bren Abercrombie, którą bolą oczy od czytania.

Nickowi Abercrombiemu, którego bolą uszy od słuchania.

Robowi Abercrombiemu, którego bolą palce od przewracania stron.

Lou Abercrombiemu, którego bolą ręce od podtrzymywania mnie.

A także z całego serca dziękuję:

Wszystkim cudownym i utalentowanym ludziom pracującym dla mojego brytyjskiego wydawcy, Gollancza, oraz ich macierzystej grupy wydawniczej Orion, a zwłaszcza Simonowi Spantonowi, Jonowi Weirowi, Jen McMenemy, Markowi Stayowi i Jonowi Woodowi. Jak również wszystkim, którzy zajmują się wydawaniem, reklamowaniem, tłumaczeniem, a zwłaszcza sprzedawaniem moich książek na całym świecie.

Artystom, którym jakimś cudem udało się sprawić, abym wyglądał na człowieka z klasą: Didierowi Graffetowi, Dave'owi Seniorowi i Laurze Brett.

Redaktorom za oceanem: Deviemu Pillai i Lou Andersowi.

Za trzymanie wilka po właściwej stronie drzwi: Robertowi Kirby'emu.

Wszystkim pisarzom, z którymi miałem okazję się kontaktować przez internet, w barze, a czasami przy stoliku do gry w „Dungeons & Dragons” bądź na strzelnicy, a którzy ofiarowali mi pomoc, wsparcie, dużo radości oraz mnóstwo pomysłów, które warto było podkraść. Wiecie, że to o Was chodzi.

A na koniec, choć to najważniejsze:

Mojej współniczce w zbrodniach popełnianych na literaturze fantasy, Gillian Redfearn. W końcu Butch Cassidy nie zabił się sam, prawda?